

WIELKA POWIEŚĆ PRZESIAKNIĘTA KRWIĄ, MIŁOŚCIĄ I GROZĄ

C.C. HUMPHREYS



WŁAD
PALOWNIK

PRAWDZIWA HISTORIA DRAKULI

»Książnica«

C.C. HUMPHREYS

WŁAD PALOWNIK

PRAWDZIWA HISTORIA DRAKULI

DRAMATIS PERSONAE

Drakulowie:

Wład Diabeł, zwany także Władem Smokiem
Synowie diabła: Mircza, Wład, Radu

Świadkowie:

Ion Tremblac
Ilona Ferenc
Brat Wasyl, pustelnik

Sędziowie:

Petru Iordache, spatar twierdzy Poenari
Janos Horvaty, hrabia Peczu
Kardynał Domenico Grimani, legat papieski

Na dworze tureckim:

Hamza aga, późniejszy Hamza Basza
Murad chan, sułtan Turcji
Jego syn, Mehmed Celebi, później zwany Mehmedem II Zdobywcą
Abdul Raszid, jego ulubieniec
Hiba, zarządzająca w domu uciech przy ulicy Rahiq
Taruba, służka
Abdul Karim, zwany też Svenem ze Szwecji, janczar

Zakładnicy w Adrianpolu:

Bracia Mardiciowie, Serbowie
Konstantyn, Bośniak
Zoran, Chorwat
Petre, Siedmiogrodzianin

W Twierdzy Tokat:

Abdul Mahir, oprawca

Samuel, chrześcijański męczennik

Bojarzynowie wołoscy:

Albu cel Mare, czyli Albu Wielki

Udriste Cordea, sędzia

Turcul

Gales

Buriu, spatar, dowódca jazdy Dobrita

Kazan, doradca Włada Diabła

Metropolita, głowa cerkwi prawosławnej na Wołoszczyźnie

Przyboczni Drakuli:

Czarny Ilie

Szczerbaty Gregor

Milczący Stoica

Pretendenci do tronu wołoskiego:

Władysław Danowicz

Basarab Laiota

Pozostałe postaci:

Maciej Korwin, zwany Krukiem, król Węgier

Brat Wasyl, spowiednik Włada

Tomasz Katawolin

ambasador Abdul Munsif

ambasador Abdul Aziz

ambasador Mihailoglu

Ali bej, dowódca najemników króla Macieja Korwina

Elisabeta, pierwsza żona Włada Drakuli

Wład, syn Włada Drakuli

Ilona Szilagy, druga żona Włada Drakuli

Janos Varency, stróż prawa

Roman, Mołdawianin

Stary Kristo, strażnik klasztornej bramy

Jakub Hekim, medyk

DO CZYTELNIKA

Podczas srogiej zimy 1431 roku w Sighisoarze przyszedł na świat drugi syn Włada Diabła, siedmiogrodzkiego wojewody (czyli tego, który przewodzi wojsku i na wojnę wiedzie). Chłopcu na chrzcie nadano imię Wład i podobnie jak jemu starszemu bratu nazwisko Drakula. Ojciec ich wcześniej tego samego roku został wprowadzony do Zakonu Smoka, co przyniosło mu przydomek Draco, czyli Smok - przekształcone przez lud wołoski w Dracul, czyli Diabeł. Nazwisko Draculea czyli po prostu Dracula - Drakula - oznacza więc syna Smoka albo syna Diabła. W ciągu życia Wład Drakula zyskał i inne tytuły. Hospodara wołoskiego. Pana prowincji Amlasz i Fogarasz. Brata sekretnego fraternitatis draconem - Zakonu Smoka. Jego własny lud nadał mu przydomek Tepes. Tureccy wrogowie nazywali go Kazykły bej. Zarówno Tepes, jak i Kazykły bej oznacza to samo: Palownik.

Ziemia, którą władał, zdobywając i tracąc do niej prawo, nazywała się Wołoszczyzną (dzisiaj jest to centralna część Rumuni). Pochwyceni w imadło rozrastającego się i nabierającego znaczenia królestwa Węgier oraz walecznych i zwycięskich Turków, znajdując się pomiędzy Krzyżem i Półksiężycem, wołoscy gospodarowie musieli opowiadać się po stronie jednych albo drugich, przyjmując rolę wiernych wasali potężnych sąsiadów.

Drakula miał inne plany co do swej dziedziny. Inne sposoby wprowadzania ich z życie i egzekucji.

Terminy charakterystyczne dla tamtych czasów i terenów wyjaśniono w glosariuszu na końcu książki.

Ostatecznie Wład Drakula zginął podczas bitwy w roku 1476, a jego odcięta głowa została wysłana w podarunku jego najzaciętszemu wrogowi Mehmedowi - sułtanowi Imperium Osmańskiego. Zatknięto ją na murach Konstantynopola, gdzie zginęła, zamieniając się w proch. Był tacy, którzy opłakiwali jego śmierć - większość wszakże nie uroniła nawet jednej łzy. Ja pozostaję w swej opowieści bezstronny. Ocenę tytułowej postaci pozostawiam sędziom wysłuchującym zeznań świadków oraz - oczywiście - Tobie czytelniku.

PROLOG

Spowiedź

Popełniłeś, człowiecze, grzech? Przystąp zatem do Kościoła i okaż skruchę. Albowiem w Kościele masz lekarza, a nie sędzię; tutaj nie zostanie poddana badaniu twa dusza, ty zaś otrzymasz odpuszczenie win.

Święty Jan Chryzostom

1. WEZWANIE

Wołoszczyzna, marzec 1481 roku

W borze panował bezruch i cisza. Na ziemię właśnie opadły ostatnie płatki nagłej śnieżycy i czas jakby stanął w miejscu.

W koronie rozłożystego buka, oparty o gładki popielatoszary konar, w wygodnym drzewnym rozstępie siedział mężczyzna. Ręce miał lekko skrzyżowane, a dłonie w skórzanych rękawicach złożone na udach tak, że prawa podparła lewą, na której przycupnął ciężki jastrząb. Obaj - człowiek i ptak - tkwili w tym miejscu od długiego czasu, odkąd zaczęła się zamieć śnieżna. Obaj trwali nieporuszeni i milczący. Obaj mieli zamknięte oczy. Żaden nie spał. Nasłuchiwali. Czekali, aż jakieś inne stworzenie pierwsze swoim drgnięciem zapowie koniec śnieżycy, pierwsze pokaże się na śniegu przed swymi pobratymcami.

I oto stało się: ledwie zauważalne poruszenie nozdrzy; ledwie odcinająca się od wszechobecnej bieli śniegu różowa kropka nosa; ledwie słyszalny świst wciąganego powietrza, najlżejsza z możliwych won docierająca znad polany. Pozostająca od nawietrznej zajęczyca nie czuła zapachu tych, którzy znajdowali się za nią.

Człowiek i ptak równocześnie rozwarli zaciśnięte powieki. Oczy jastrzębia były czerwone, ogniście czerwone, piekielnie czerwone, być może dlatego, że był już stary dziewięcioletni, dobre pięć wiosen dzieliło go od czasów, w których bez trudu chwycił dziesięć zajęcy, pół tuzina wiewiórek, parę gronostajów w ciągu jednego tylko dnia.

Nie dla ich mięsa; jastrząb nie potrzebował aż tak wiele pożywienia. Nawet nie dla skór przeszywanych potem w odzienie mężczyzny, na którego pięści teraz siedział. Wyłącznie dla przyjemności zabijania.

Dwie pary oczu przepatrywały skrzący się srebrzyście śnieg na otwartej, opadającej w dół polanie w poszukiwaniu źródła dźwięku, jakiego ani człowiek, ani ptak nie miał prawa usłyszeć. Zajęczyca przepchnęła łepkę do końca rozrywając nieskazitelną warstwę śnieżnego puchu. Zamieć zastała ją na otwartej przestrzeni, pomiędzy buczyną a skupiskiem kilku samotnych osik, kiedy kopała zamarzniętą ziemię w próbie dotarcia do soczystych

korzonków. Zaskoczona przez oślepiające białe szaleństwo wokół, zamarła bez ruchu. Śnieg przykrył jej ciało w okamgnieniu, jednakże tylne skoki wciąż miały oparcie w twardej ziemi. Nora znajdowała się zaledwie dwadzieścia susów dalej, ukryta pośród przewróconych pni i połamanych konarów. Tam byłaby bezpieczna.

Siedzący na drzewie mężczyzna uniósł ramię; z jego rękawa osypała się śnieżna zasłona. Zdało się, że ciszę rozdarł odgłos grzmotu.

Zajęczyca wykonała skok. Była młoda i gibka, toteż znalazła się w pół drogi do swego schronienia, zanim mężczyzna zatoczył ręką półkole, posyłając ptaka w powietrze. Pięć uderzeń serca później jastrząb unosił się już na wstępującym prądzie powietrza pozostałym po zamieci. Zajęczyca zaczęła kluczyć - z powodu długiej zimy lekka niby piórko, tak że po płytszym śniegu przemykała, jakby to był lity grunt. Tuż przed tym, zanim dotarła do linii drzew, musiała wyminąć ostatnią przeszkodę; spadła gałąź formującą coś w rodzaju łuku, który przypominał wejście do katedry. Wtedy z wysokości spadł na nią skrzydlaty drapieźnik. Szpony wbiły się w gęste futro, sięgnęły żywego mięsa. Ofiara szarpnęła się, uwalniając z uchwytu pazurów, powodując fontannę krwi, która opadła niczym czerwona strzała mierząca w stronę mrocznego sanktuarium boru. A potem wszelki ruch ustał i znów zaległa niczym niezmacona cisza. Sokolnik zsunął się ostrożnie na ziemię, jęknął pomimo miękkiego lądowania. Płatki śniegu osypywały się z jego opończy, odsłaniając naprzemienne pasy skór zajęczych, wiewiórczych i łasek, spadały z wielkiej czapy uszytej najpewniej ze skóry zdartej z wilka. Mężczyzna brnął naprzód, pocierając gęstą siwą brodę, która zarastała mu aż pod oczy; próbował w ten sposób usunąć spośród kręconych włosów kłujące igielki lodu.

Pochyliwszy się, objął palcami korpus ptaka i pociągnął lekko.

Jastrząb i jego ofiara ześlizgnęły się z niewielkiego kopczyka śniegu, jednakże ptak natychmiast poluzował chwyt szponów i utkwiał spojrzenie swych niesamowitych czerwonych oczu w skórzanej torbie przytroczonej do pasa człowieka. Ten położył dłoń na ciele zająca, sięgnął wolną ręką do torby i wyjął stamtąd kawałek surowego mięsa. Jastrząb wydał przenikliwy dźwięk, po czym łapczywie złapał ochłap dziobem.

Zajęczyca leżała na skrwawionym śniegu i choć wciąż jeszcze żyła, ani drgnęła z przerażenia. Wpatrywała się nieruchomym okiem w pochylonego nad nią mężczyznę. Ten przez krótką chwilę odwzajemniał spojrzenie, a następnie przesunął delikatnie kciuk w górę i ścisnął, łamiąc zwierzęciu kark.

Niemal bezgłośnie. Z całą pewnością nie dość głośno, by suchy trzask mógł powrócić echem. Mężczyzna wyteńczył słuch i wkrótce wiedział już, że zbliża się doń nie zwierzę, tylko człowiek czyniący wszystko, aby nie zostać usłyszanym.

Od strony niecki rozległo się kolejne chrupnięcie. Nagle mężczyzna nie miał wątpliwości, że ludzi jest więcej i że idą po niego. Pod koniec zimy nigdy nie żyło tutaj wystarczająco wiele zwierzyny, żeby warto wyprawiać się na łowy.

Dziwiło go jednak, że idą po niego właśnie teraz, brnąc po kolana w utrudniającym wędrówkę lepkiem śniegu.

Chociaż musiał przyznać, że śnieżycą uderzyła zniechcąca, jakby służyła wiernie zimie, która tego roku wyjątkowo nie chciała odpuścić, co wskazywałoby na to, że tamci w drogę udali się wcześniej, zanim jeszcze rozpełtała się zamieć.

Z miejsca gdzie się znajdował, wiodło w dół tylko parę przecinek, a on znał je wszystkie i mógł podejrzewać, że ci, którzy na niego polują, również je znają. Potrafił sobie wyobrazić, jak rozpierzchają się wśród drzew - zbrojni, drwale, Cyganie - jak spuszczają sforę z uwięzi. Jakby na zawołanie w oddali ozwało się krótkie szczeknięcie i zaraz w odpowiedzi na nie jeszcze jedno, nieco tylko dłuższe, potem zaś niemal równocześnie donośny skowyt z dwu przeciwnych stron, widomy znak, że łańcuchy na psich szyjach zostały szarpnięte zbyt późno, aby uciszyć podniecone pościgiem zwierzęta.

Oczywiście mężczyzna od dawna spodziewał się, że prędzej czy później po niego przyjdą.

Włożył zająca do torby i zwinął lewą dłoń w pięść. Jastrząb podfrunął i usiadł na niej, nie spuszczając mężczyzny z oczu.

- Już czas - szepnął człowiek. Ptak przechylił lekko łepkę, jakby chciał o coś zapytać. Lecz przecież znał odpowiedź. Dzisiejsza zamieć była ostatnim porywem zimy. - Leć - rzekł człowiek - załóż gniazdo

Nie musiał mówić niczego więcej. Przez dziewięć długich lat każdej wiosny wypuszczał swojego jastrzębia na wolność, by potem odnaleźć jego pielesz i zabrać mu jedno z piskląt, które następnie układał i jako gniezdnika sprzedawał na targu w mieście za tuzin złotych monet, tak cenne były ptaki łowcze. Mężczyzna nie miał pewności, że tego roku też tak będzie. Stary ćwik mógł nie znaleźć sobie pary, albo coś innego mogło go upolować. Zresztą wciąż zbliżała się ku nim obława i to sokolnik mógł okazać się tym,

który nie wróci.

- Leć - powtórzył i zatoczył ręką półkole.

Pięć mocnych uderzeń skrzydeł, pięć uderzeń ludzkiego serca i ptak zaczął szybować, wznosząc się w górę. Wszakże zanim zniknął pomiędzy drzewami i być może z życia sokolnika, na moment przyjął pozycję jak do ataku na gołębia; przewrócony w powietrzu na grzbiet wyprostował szpony, jak gdyby w pożegnalnym salucie. Chwilę później już go nie było.

Mężczyzna przymknął powieki, wsłuchał się i ruszył w stronę przeciwną do tej, w którą pofrunął jastrząb. Już po parunastu krokach znalazł się w gęstwinie; musiał przeciskać się pomiędzy pniami, nad głową mając ciasny kobierzec z zasypanych śniegiem konarów i gałęzi. Ziemia pod jego stopami była zamarznięta, lecz dawała pewne oparcie, toteż rzucił się do biegu. Myśliwy stał się zwierzyną. Teraz on szukał schronienia

Było mgliście. Pomimo ciężkich tkanin na ścianach, pomimo grubych baranic na posadzce zimowy chłód torował sobie drogę do wnętrza jej celi. Dlatego gorąca woda z balii szybko oddawała ciepło zimnemu powietrzu. Kiedy para napotykała kamienny mur, zamieniała się znów w wodę ściekając kroplami, które poruszały się dopóty, dopóki nie zamarły w sopelek o kształcie łyzy.

Rozdziała się już, pozostawiwszy na plecach tylko cienkie giezło. Drząc na całym ciele, na przemian kładąc jedną stopę na podbiciu drugiej - czekała. Woda była wciąż niemal wrząca, nie do wytrzymania dla ludzkiej skóry. A jednak taka właśnie miała być, ponieważ kobieta zamierzała spędzić w niej wiele czasu, wygrzewając się tyleż dla przyjemności, ile dla zelżenia bólów. Zdecydowanym gestem włożyła do wody całe ramię. Skóra poczerwieniała i zaczęła szczypać, lecz dało się wytrzymać. Kąpiel była prawie gotowa.

Kobieta odkorkowała flaszkę, przechyliła ją ostrożnie i przyglądała się, jak z szyjki wycieka kleisty płyn. Jedno uderzenie serca, drugie dość.

Unosząca się para zapachniała mieszaniną rumianku, szaławii i drzewa sandałowego. Kobieta przymknęła oczy, zaczerpnęła tchu pełną piersią, westchnęła. Woń była świeża, ale zabrakło jakiejś nuty. Olejku bergamotowego, uznała. Skończył się jeszcze w środku zimy, a zapasu nie sposób było odnowić do czasu, aż na wiosenny targ zjadą Turcy. Dopiero za miesiąc. Teraz już trzęsła się z zimna, mimo to nadal zwlekała. Dawno temu nauczono ją, że przyjemność odroczonej to przyjemność zdwojona, lecz choć nie miała powodu, by nie wierzyć swoim nauczycielom, czekała wciąż i z

innego względu. Wiedziała, że gdy zrzuci z ramion gieżło, ponownie zobaczy swoje ciało, mimo że ani w jej celi, ani w całym klasztorze nie było jednego nawet lustra. Od dziewiętnastu lat - od dnia złożenia ślubów - ni razu nie zerknęła na swoje lustrzane odbicie, aczkolwiek w przeszłości zwykła była przeglądać się często i czerpać z tego radość. Kiedyś bowiem miała ciało, o jakie walczyli książęta.

Wzdrygnęła się i otrząsnęła - nie tylko z zimna. Już czas. Woda osiągnęła wymarzoną temperaturę. Mieszanina zapachów przestała drażnić nozdrza i mile uspokajała. Jej ciało - cóż, było takie jak zawsze ostatnio. Z westchnieniem skrzyżowała ramiona, pochwyciła dłońmi materię na obfitych biodrach, podciągnęła gieżło i zdjęła je przez głowę. Obrzuciła się spojrzeniem. Miesiąc wcześniej w niewielkiej wiosce w pobliżu Tirgoviste posąg Matki Bożej objawił stygmaty. Rany Syna Bożego pokazały się na kamiennym ciele Niepokalanej Pani: na jej dłoniach i kostkach broczących krwią. Ludzie z całej Wołoszczyzny ściągali tłumnie, aby podziwiać ten cud. Niektórzy nawet przebyli groźne przełęcz Siedmiogrodu, nie zważając na luty mróz, jakiego nie pamiętali najstarsi mieszkańcy. Ile osób będzie chciało oglądać jej rany ?

Powoli zanurzyła się w wypełnionej wodą balii, posyrując z niewysłowionego bólu, by w końcu z trudem ułożyć się w możliwie wygodnej pozycji. Bezwiednie dotykała czubkami palców purpurowych linii dumnie odznaczających się na reszcie różowiejącego ciała, wrażliwych na nagłą zmianę ciepłoty. Wszelako o wiele większego cierpienia dostarczało jej wspomnienie mężczyzny będącego sprawcą tych blizn. Najbardziej zaś nieznośna była myśl o tym, jak jeszcze ją dotykał. Woda obmywała ją, wdzierając się w nią, uwalniając od bólu i wspomnień. Zapach i ciepło odrywały jej myśli od ran i nieszczęścia, pozwalając się odprężyć. Czuła, jak z wolna ogarnia ją ulga, a nawet radość. Sieroty były silniejsze z każdym dniem; wprawdzie straciła tej zimy trójkę, lecz pozostała piątka rozkwitała pod jej opieką. Na jej pryczy leżał wianek upleciony z cieniutkich łądyżek rozmarynu, położony tam przez Floricę, najmłodszą. Giętkie pędy zostały połączone kosmykiem pszenicznych włosów dziewczynki, która rozstała się z jednym lokiem bez bólu, gdyż miała ich tyle, ile ona przed tym, zanim ślubowała Jezusowi Chrystusowi.

Poczuła łomotanie do bram klasztoru w tej samej chwili, kiedy je usłyszała. Trzy zdecydowane uderzenia, które poniosły się po kamieniu i drewnie, aż dotarły tutaj, do jej celi i wzburzyły gładką powierzchnię wciąż

cieplej wody. Mimo to nie rozwarła powiek. Całkiem niedawno dzwony wezwały nowicjuszek na jutrznię, a żaden gość - z jakkolwiek ważną sprawą by przybywał - nie mógł zostać wpuszczony do klasztoru przed wschodem słońca.

Łup, łup, łup. Komukolwiek było tak pilno, nie posługiwał się żelazną kołatką u drewnianej bramy. Nagle kobieta usiadła prosto. Rozpoznawała ten dźwięk; słyszała go już wcześniej - w dniu, w którym na jej ciele powstały blizny. W odrzwia uderzano płazami miecza.

Jej uszu doszło skrzywienie kraty przy bramie, gderanie starego Krista, potem czyjś niski, nagłący władczy głos. Nie potrafiła rozróżnić poszczególnych słów, raczej się ich domyślała. Zawsze wiedziała, że je kiedyś usłyszy.

„Z rozkazu księcia wojewody aresztuję cię

Brama zaczęła się otwierać ze skrzyknięciem w tym samym czasie, gdy kobieta podniosła się na nogi. Obok balii leżały czyste suche prześcieradła, którymi powinna się wytrzeć, lecz nawet nie spojrzała na nie. O wiele ważniejsze było odziać się i zakryć. Zamarła z gieźłem w ręku. Człowiek, który przemierzał właśnie dziedziniec, stukając podkutymi butami i krzesząc iskry na kamieniu, musiał wiedzieć, kim ona jest i jak wygląda. Nadchodził, aby zapytać ją o mężczyznę, który jako ostatni widział ją obnażoną, zaś jako pierwszy zobaczył jej blizny. O mężczyznę, którego ciało przygotowała do złożenia do grobu przed pięcioma laty.

Albowiem wszystko kiedyś się kończy. Teraz dobiegało końca jej życie w klasztorze. Siostrzyczka, ksieni - to były puste tytuły, które właśnie odchodziły w zapomnienie, podobnie jak przysługujące jej wcześniej, a nazywające ją kolejno: niewolnicą, odaliską, królewską metresą. Żałowała tylko, że nie stanie jej tutaj, gdy sieroty będą dorastać, wierzyła jednak, że zakonnice zaopiekują się nimi dobrze.

Nie drżała już. Ukrytą najgłębiej częścią umysłu zastanawiała się, jak to będzie przejrzeć się znowu nagiej w oczach nieznajomego mężczyzny.

Pewnym ruchem odrzuciła gieźło i sięgnęła po wianek upleciony z łądyżek i dziewczynskich włosów. Załedwie tego ranka mówiła Florice, że rozmaryn to zioło wzmacniające ludzką pamięć. Teraz więc, trzymając go w rękach przed sobą, w jednej chwili przypomniała sobie wszystko i z uśmiechem obróciła się w stronę drzwi.

W doskonałych ciemnościach lochu rycerz rozpoczął łowy.

Trwał w bezruchu nie dlatego, że był niemal całkiem ślepy; to akurat nie miało tutaj większego znaczenia. Po prostu każdy teren - podobnie jak każdy rodzaj zwierzyny - wymaga odrębnej techniki polowania. Jedne ofiary się ściga, drugie wabi. Podczas pięciu lat wiecznej nocy poznał ten świat, swój świat, równie dobrze jak kiedyś doliny i bory, pustynie i morza przynależące do jego wcześniejszego życia. Oczyma wyobraźni widział każdą piędź swego więzienia, ponieważ po stokroć zdążył wszystko odkryć dostępnymi mu zmysłami.

Kamienna posadzka zasłana była grubą warstwą trzciny, których nikt nigdy nie zmieniał, nic dziwnego więc, że były przesiąknięte nieczystościami i kiedy temperatura znienacka podniosła się powyżej punktu zamarzania wody, podściółka stała się oślizgła i nieprzyjemnie miękka. Ale zarazem taka, w jakiej dało się torować dukty i tunele, którymi stworzenie tak samo głodne jak on mogło zechcieć się poruszać w poszukiwaniu pożywienia. Wiodły zewsząd i we wszystkich kierunkach, wijąc się i przecinając nawzajem, istny labirynt, w którego środku tkwił. Nie uczynił pułapki zbyt oczywistą, jako że zwierzyna bywa nader ostrożna, chociaż targający wątpliwością głód potrafi przytępić jej uwagę, a spleśniały chleb położony tuż przy podkurczonych nogach nęcić wystarczająco silnie, by przemogła strach.

Rycerz czekał, aczkolwiek nie w lochu. Nie było potrzeby, aby tam pozostał. Och, jakaś jego część musiała nasłuchiwać skradającej się ofiary, lecz cała reszta mogła opuścić kazamaty, udać się w inne rejony, na zupełnie inne polowanie. Bynajmniej nie uciekał się do podróży we wspomnieniach. Naprawdę szedł tam, gdzie zapragnęła jego dusza i z kimkolwiek zapragnął. Przecież człowiek pozostawia dawnego siebie na linii czasu. Dziecko, wyrostka, młodzieńca.

Właśnie! Znów są w Fogaraszu, buszują po tamtejszych wzgórzach i ścigają się w dolinach. Choć tylko mali chłopcy, nieledwie dziesięcioletni, pozostawiają wszystkich innych w tyle, ponieważ dosiadają najlepszych koni i potrafią najlepiej sobie z nimi radzić. Poza tym gna ich niemające sobie równych pragnienie, bynajmniej nie tylko pragnienie zabijania. Przede wszystkim łakną zwycięstwa. Pobicia każdego przeciwnika i rywala - tutaj i teraz, zawsze i wszędzie. Na wieki. Tropią dzika. Dostrzegli go wcześniej w zagłębieniu niecki - monstrualnych rozmiarów czarną bestię przyprószoną na grzbiecie starczą siwizną i o fajkach przypominających orientalne bułaty - lecz zaraz stracili go z oczu.

Przed chwilą zwierzę wychynęło z kryjówki. Ich ostrogi natychmiast

pokrywają się czerwienią od krwi utuczonych z końskich boków, gdy dociskając pięty i kolana, zmuszają wierzchowce do cwału w nieodpartym pragnieniu dopadnięcia ofiary. Przed nimi wyrasta zagajnik, gęsty tak, że nie przepuści jeźdźca na roslym ogierze, a co dopiero dwóch. Ścigany dzik już im się niemal wymknął. Zeskakują z siodeł równocześnie, nawet na siebie nie patrząc, po czym ramię przy ramieniu biegną jego tropem, wyciągając nogi. Ubić go, zanim dosięgnie lasku i zniknie na dobre, to ich ostatnia szansa. Młody rycerz ciska w zwierzę oszczepem, ostry stalowy grot rani grzbiet dzika do krwi, lecz ześlizguje się, powodując tylko spowolnienie, nie zatrzymanie zdobyczy. Kompan młodego rycerza, jego brat pod każdym względem z wyjątkiem więzów krwi, już bierze zamach i wyrzuca broń, która trafia bestię. Dzik przewraca się i koziołkuje raz za razem, aż wreszcie zatrzymuje go pień drzewa - jednego z tych, które jeszcze niedawno obiecywały schronienie i bezpieczną ucieczkę. Czeźnie powoli, trzymając się uparcie życia. W swoich ostatnich chwilach jest groźny jak nigdy dotąd.

- Nie ! - woła młody rycerz, czując, że ogarnia go przerażenie na widok kompana sięgającego po drugi oszczep i ruszającego w stronę dogorywającego dzika. - Zaczekaj, aż zdechnie.

Czyż to nie jest zadziwiające? Większość twarzy na zawsze opuściła jego pamięć, nawet jego sny. Oblicza rodziców, dzieci, kochanek, wrogów żadnego nie potrafiłby już przywołać. Ale tę jedną twarz wciąż miał wyraźnie przed oczyma. Jego kompan, przystaje, spogląda spod czarnej grzywki, przewierca go na wylot spojrzeniem tych swoich zielonych oczu. Potem uśmiecha się.

- Dałbyś spokój, Ion - mówi. - Trzeba umieć patrzeć na swoje ofiary, kiedy umierają.

A później niczym we śnie podejmuje wędrówkę. Dzik ostatnim wysiłkiem staje na nogach, wydaje z siebie ni to chrupnięcie, ni to kwik, krew leje mu się strumieniem z pyska, drzewiec oszczepu kołysze się przy każdym ruchu, grot jednak tkwi głęboko w ciele. Wreszcie zwierz naciera na człowieka. Młodzik nie oddaje pola, chwyta pewniej oszczep - wygląda teraz jak prawdziwy rycerz w szrankach - a kiedy dzik robi chybotliwy zwód, jakby nigdy nic postępuje krok w bok i miota bronią. Trójkątne żeleźce przypominające liść wbija się prosto w pierś zwierzęcia, mimo to dzik nadal atakuje. Drzewce zagłębia się najpierw w szczecinę, potem w rozorane metalem mięśnie, a bestia nadal się rusza. Dopiero gdy niemal dotyka dłoni człowieka, nie wypuszczającej z uchwytu szarpanego na wszystkie strony

oszczepu, dopiero gdy niemal całe drewno znalazło się w jej ciele, zamiera i obniża wielki łeb, muskając jedną z szabli rękę myśliwego gestem nieomal pieśczośliwym.

- Odejdź w pokoju - powiada Smoczy Syn, uśmiechając się do siebie.

Gdzieś na górze szczęknęła zasuwa. Chociaż dźwięk nie był donośny, wśród panującej w lochu ciszy zdał się wrzaskiem. Parę uderzeń serca wcześniej, podczas kiedy rycerz polował na otwartej przestrzeni, część jego umysłu wykryła inne stworzenie, skradające się niemrawo więziennym przepustem. Nagły dźwięk powstrzymał je w pół drogi. Rycerz zawył z zawodu: pozbawiono go właśnie szansy na świeże mięso, tylko dlatego że komuś zachciało się przyprowadzić nowego więźnia i umieścić w celi leżącej tuż ponad jego.

Znienacka otwarły się jeszcze jedne drzwi i rycerz poderwał głowę, jak gdyby mógł przeniknąć niewidzącymi oczyma lity mur sklepienia.

Ponieważ wyższy poziom był używany nader rzadko, wywnioskował, że skazaniec musi być kimś znacznym bądź też popełnił wyjątkowo ohydny zbrodnię. Tak czy inaczej miał mu czego pozazdrościć. Tam, wyżej, w zewnętrznej ścianie znajdowało się małe okienko okute żelazną kratą, przez którą nawet on, ślepiec niemal, byłby w stanie wypatrzeć skrawek nieba i po zmianach barwy orientować się w porze dnia i roku. Co więcej, zdołałby wyczuć zapach mokrej psiej sierści, dogasającego ognia, grzanego z korzeniami wina, a może także usłyszeć parsknięcie konia, płacz niemowlęcia, rubaszny śmiech strażnika

Snucie marzeń przerwało mu kolejne szczeknięcie, bez wątplenia oznajmiające zwolnienie rygla w korytarzyku wiodącym do jego celi.

Rycerza ogarnęło podniecenie, dawno już zapomniał o niedoszłej ofierze. Na pewno nie wypadł dzień jego karmienia, a mimo to ktoś nadchodził ! Uniósł powieki palcami i tak też je przytrzymał - palcem wskazującym i kciukiem każdej dłoni - byle tylko nie mrugnąć. Żyjąc przez pięć lat w całkowitych ciemnościach, stracił rozeznanie, kiedy ma oczy zamknięte, a kiedy otwarte.

Uklęknął, przycisnął ucho i usta do omszałego muru i tak trwał bez ruchu. Po czasie zdającym się wiecznością rozległo się echo cichych kroków. Z pewnością kroków jednej pary nóg. Odskoczył od ściany z jękiem. Straże zawsze nadchodziły parami. Ktoś idący samotnie mógł oznaczać duchownego albo zabójcę.

Oczy rycerza pozostały otwarte bez pomocy rąk - wystarczył czysty

zwierzęcy strach spowodowany zbliżającymi się krokami. Albowiem jeśli to nie duchowny, tylko zabójca .

Opadł na czworaki i jął po omacku szukać czegoś przed sobą. Gdzieś tutaj powinna być jego zastrzona kość Jest ! Przyłożył własnoręcznie sprokurowane narzędzie do szyi w miejscu, w którym wyczuwał tętno i czekał. W przeszłości widział więźniów zadręczonych na śmierć. Niektórych z nich torturował i zgładził osobiście. Wtedy też ślubował sobie, iż nie pozwoli, by tak miał wyglądać j e g o koniec.

Lecz teraz nie rozorał sobie tętnicy. Był świadom, że mógł pozbawić się życia wiele lat temu, zaoszczędzając sobie cierpienia na tym padole. Jaki by to jednak miało sens przed ostatnią spowiedzią ?

Cierpienie na ziemi było niczym w porównaniu z katuszami, jakie stałyby się jego udziałem w piekle. Gorzej nawet! Jako samobójca trafiłby wprost do dziewiątego, najdalszego, położonego najgłębiej kręgu piekieł, przeznaczonego dla prawdziwych straceńców, podobnie jak niechlubne miejsce zapomnienia w bukaresztańskiej fortecy zarezerwowane jest wyłącznie dla zdrajców. Ponowny szcęk metalu. Tym razem dźwięk nie zwiastował odsuwanego rygla ani otwierania kraty. Tym razem metal zazgrzytał o kamień. I okrągłak, który oddzielał rycerza od świata i innych ludzi, drgnął po raz pierwszy od pięciu lat.

Blask łuczywa zdał mu się pustynnym słońcem w zenicie. W tle majaczyła jakaś ciemna sylwetka. Duchowny czy zabójca ?

Przycisnął kość mocniej do ciała. Wszelako ostatecznie nie przebił nią skóry, zamiast tego wychrypiał rozpaczliwie i pełne nadziei:

- Przebacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam przed niebiosami i przed tobą

Gdy jego słowa przebrzmiały, zapadła dźwięczna cisza. A potem sięgnęło ku niemu czyjeś ramię.

2. KOMNATA

Sięgnął po nią tuż przed przebudzeniem, tak jak czynił każdego ranka przez ostatnie dwadzieścia lat. Był czas, że u jego boku przewinęły się dziesiątki innych, pozbawionych imion, jeśli nie twarzy, a on dotykając ich miękkości, mylił je jedna z drugą, na granicy jawy i snu biorąc każdą z nich za tę wyjątkową, wszakże chwila radości trwała krótko. Niemal od razu zastępowało ją uczucie goryczy, kiedy pełnia świadomości przyniosła rozpacz i uzmysłowienie, że od lat sypia samotnie z własnego wyboru. Chętne towarzyski łoża były odprawiane zaraz po tym, jak spełniły swoją funkcję, zaspokajając jedną z jego potrzeb. Dekadę wcześniej uznał, że i to niewarte jest zachodu.

Janos Horvathy, hrabia Peczu, w stanie półsnu wyciągnął rękę, oprzytomniał, lecz nie otworzył oka. Usilnie starał się przywołać twarz Katariny. Sztuka ta udawała mu się tylko z rzadka i to wyłącznie wtedy, gdy jego sercem targało rozczarowanie w chwilach takich jak ta. Oczywiście pozostał mu po niej portret, jednakże obraz ukazywał tylko jej urodę. Artysta nie zdołał uchwycić niczego, co Horvathy naprawdę w niej kochał: aksamitność skóry, spokoju ducha, dźwięcznego śmiechu. Nic z tego. Dziś Katarina doń nie przyjdzie nawet na tę ulotną chwilę, zanim na dobre opuszczą go majaki snu. Wydobyte z odmętów pamięci kobiece rysy już się rozplływały, jakby malarz użył zbyt wodnistej farby. Podmuchi wiatru poruszył usztywnioną pszczelim woskiem tkaniną zasłaniającą wąskie strzeliste okienko, wpuszczając do komnaty nieco światła, a wraz z nim - chłodu poranka. W pierwszym odruchu hrabia chciał wezwać sługę i zwymyślać go za to, że okno nie jest należycie osłonięte, nim jednak zdążył wydobyć z siebie głos, zdał sobie sprawę, iż nie znajduje się na swym zamku w rodzimych Węgrzech. Był w innym kraju, w gościnie u drugiego człowieka. I naraz przypomniał sobie powód swej wizyty tutaj. To, że być może nadchodzący dzień rozpocznie mozolny proces cofania klątwy, która przed dwudziestu laty zabiła jego żonę i posłała ich troje dzieci w ślad za matką do rodzinnego grobowca (jedno zmarło przy porodzie, drugie wskutek zarazy, trzecie zaś zginęło w bitwie). Rozmyślenia hrabi przerwało pukanie do drzwi.

- Co tam ? - zawołał.

Do komnaty wszedł Petru, młody spatar i pan tej fortecy, poddany hospodara Wołoszczyzny zwanego tutaj także księciem wojewodą. Zatrzymał się w progu i przestępując z nogi na nogę, zdawał się równie nerwowy jak wczoraj, gdy hrabia zawitał na zamek.

Horvathy domyślał się powodów jego niepokoju. Nie zdarzało się często, aby w to odludne miejsce przybywał jeden z najpotężniejszych możnowładców węgierskich, do tego mając takie zadanie. Petru został w nie wtajemniczony o tyle, o ile, gdyż jeszcze przed przybyciem hrabi musiał poczynić w największym sekrecie pewne przygotowania.

- Czy wszystko już gotowe ? - zapytał go teraz Horvathy. Młody mężczyzna zwiłzył nerwowo wargi.

- Chyba chyba tak, wasza miłość. Czy wasza miłość zechce - wskazał na schody za sobą.

- Zechcę. Czeka tam na mnie.

Spatar złożył ukłon i wycofawszy się na korytarz, cicho zamknął za sobą drzwi. Horvathy wysliznął się spod futrzanych narzut i przez moment siedział nieruchomo na skraju łoża, pocierając szorstki siwy zarost. Spłynęło nań zrozumienie, że ta komnata nie jest wiele zimniejsza od jego własnej w Peczu. Zresztą dość dawno już odkrył, że zamczyska, za które przehandlował swoją duszę, nie sposób ogrzać, skoro nikt, kogo darzył miłością, nie był w stanie tam przeżyć. Wstał, odział się i opuścił komnatę w poszukiwaniu ciepła. Nie dla swego ciała, nigdy zbyt nie rozpieszczał. Łaknął ciepła dla swojej duszy.

- Wasza miłość - powiedział młody spatar, równocześnie pchając skrzydło drzwi i z szacunkiem odsuwając się na bok.

Horvathy wkroczył do środka. Wielka sala, rozjaśniona płomieniem zaledwie czterech pochodni i światłem poranka docierającym zza wąskich strzelistych okien wysoko w ścianach, była równie skromna jak reszta fortecy. Odgraniczona od reszty zamku grubym kamiennym murem, wzniesiona na planie prostokąta, ciągnęła się na dwadzieścia kroków w jedną i dwanaście kroków w drugą stronę. Gołe ściany ozdobiono tanimi tkaninami, a posadzkę zasłano zwierzęcymi skórami w skazanej na porażkę próbie zatrzymania ciepła, które szło od otwartego kominka u szczytu pomieszczenia. Ot, zwykła wielka sala w sercu niewyróżniającej się niczym fortecy. Nic nadzwyczajnego.

A jednak to, co się w niej teraz znalazło, czyniło ją wyjątkową.

Horvathy powiódł spojrzeniem dokoła, by na koniec utkwic wzrok w spatarze.

- Opowiedz, coś dotąd uczynił.

- Postąpiłem, jak rozkazał mój pan, mości wojewoda. - Rozwinął trzymany w ręku zwój. - Tuszę, że co do joty.

- A w jaki sposób te rozkazy do ciebie dotarły ?

- Trzy niedziele temu ktoś podrzucił je w sakwie pod samą bramę. Zwój zalakowano pieczęcią mości wojewody, ale - młodzian ponownie zwilżył wargi językiem - ale osobny dokument wyraźnie stanowił, że ów nie może być z tą sprawą w żaden sposób łączony.

Horvathy skinął głową. Gospodar wołoski, podobnie jak oni wszyscy był świadom ryzyka wiążącego się z grą, która podjęli.

- Czy w sakwie było coś jeszcze ?

- Tak, wasza miłość. - Spatar przełknął nerwowo. - W środku znalazłem również fragmenty półtoraka. Brzeszczot, jelec i trzon rękojeści. Doczepiony do nich rozkaz przekucia broni. Musiałem posłać aż do Curtei de Arges po płatnerza. Przybył dopiero dzisiaj i skoro świt zabrał się do roboty. Tutejszy kowal to wyrobnik bez krztyny talentu, ale mistrz płatnerski powiada, że taka pomoc mu wystarczy. Grunt, że ma wszystko, co potrzebuje

- Nie wszystko - stwierdził Horvathy, sięgając dłonią za poję dubletu. - Będzie potrzebował jeszcze tego - W ręku trzymał dwa nieregularne kawałki stali, każdy grubości dwóch palców. Ich brzegi były poszarpane, jakby ktoś odłupał je od rzeźbionej głowicy miecza.

- Weź je - rzekł. - Otrzymałem oba wraz z wezwaniem, które mnie tutaj przywiodło. - Nie spuszczał jedyne go oka z twarzy młodego mężczyzny w oczekiwaniu na jego reakcję.

Nadeszła niechybnie, ledwie wyartykułowana:

- Smok

- A więc poznałeś!

- Ależ oczywiście, wasza miłość. - Petru obracał w palcach ząbkowane bryłki metalu, krzywiąc się, gdy raniły mu skórę. - To symbol męża, który wznosił ten zamek, oraz świętego zakonu, któremu przewodniczył. Zarówno mężczyzna ten, jak i zakon zostały pohańbione, odarte z honoru..

Nagłość ruchu Horvathyego zaskoczyła młodziana. Hrabia przewyższała go o głowę, lecz teraz trzymał pokrytą bliznami twarz na wysokości jego oczu, blisko tak, że niemal stykali się nosami.

- Na twoim miejscu, spatarze, uważałbym ze słowami takimi, jak hańba i

brak honoru! - krzyknął. - Ja także należę do Zakonu Smoka. - Jedyne oko błyszczało mu niezdrowo, odcinając się silnym kontrastem na tle drugiego, będącego tylko pomarszczonym fałdem skórnym. Petru zaczął się jąkać ze strachu.

- Ja ja ja nie miałem nic złego na myśli, wasza miłość. Ja ja tylko powtarzam, co ludzie gadają

Hrabia przyszpilał młodziana spojrzeniem swego szarego oka jeszcze przez chwilę, by w końcu wyprostować się i nieco odsunąć.

- Powtarzasz plotki, które powstały w oparciu o postać tylko jednego z nas, Włada Drakuli, twego dawnego pana. Aczkolwiek część z tego co mówisz, jest prawdą. To jego niesławne czyny skaziły dobre imię zakonu, któremu przysięgał wierność. Te właśnie plotki nieomal przyczyniły się do upadku Zakonu Smoka.

- Nieomal ? - zdziwił się Petru, przewyciężając strach ciekawością. - Przecież święty zakon upadł, czyż nie ?

Węgier wciągnął głośno powietrze.

- Dopóki święty Michał nie uśmierci go swym ognistym mieczem, dopóty będzie żył. Udaje pokonanego, śpiąc kamiennym snem, lecz śpi po to tylko, aby pewnego dnia zbudzić się i Głos Horvathyego umilkł za zasłoną dłoni uniesionej do twarzy.

Wasza miłość - Petru postąpił ostrożnie ku gościowi. - Zostałem wychowany w czci dla Smoka i jego sług. Moim marzeniem było przystąpić do zakonu i stać się jednym z braci. Gdyby tylko się przebudził, z radością w sercu walczyłbym pod jego sztandarem i zapewniam waszą miłość, że z tutejszych nie tylko ja

Horvathy ponownie przyjrzał się uważnie spatarowi. Dostrzegł w oczach młodziana nieskrywane pragnienie i tęsknotę. Niegdyś podobna ambicja dręczyła i jego - kiedy wciąż miał dwoje oczu, kiedy nie był jeszcze członkiem Zakonu Smoka, kiedy nadal pozostawał nieprzeklęty.

Zaczerpnął tchu. Jego także zdziwił ten nagły wybuch gniewu. Powinien był go skierować przeciwko sobie, nie zaś przeciwko młodziakowi stojącemu przed nim. Przejechał palcem po pustym oczodole. Może rzeczywiście nadszedł dzień odkupienia win, początek nowej nadziei. Inni chyba myśleli podobnie, sądząc po trudzie jaki sobie zadali w trakcie utrzymywanych w sekrecie przygotowań. Znów skierował ku nim swoje myśli i spokojniejszym już głosem polecił:

- Opowiadaj dalej.

Młodszy mężczyzna skinął skwapliwie głową, po jego twarzy rozlał się wyraz ulgi. Wskazał ku podwyższeniu we wschodniej części sali, tuż przed paleniskiem kominka, i ustawionym na nim trzem krzesłom.

- Zasiądziemy tutaj, wasza miłość, żeby ogień ogrzewał nam plecy, na najwygodniejszych krzesłach, jakie posiadam. Moja żona niechętnie rozstała się ze swoim, będąc brzemienna z naszym pierwszym dziećciem - zażenowany urwał, spłonął się jak dziewczę, po czym aby pokryć zamieszanie, przeszedł ku długiemu stołowi tkwiącemu prostopadle do podestu. - Te dobra zaś to wszystko, co moja skromna forteca może zaoferować pod koniec zimy

Horvathy zerknął na blat uginający się od butli z winem, bochnów praśnego chleba, krążków koziego sera obtoczonych w popiele, pęt kielbas pokrytych ziołami. Kątem oka dostrzegł coś, co leżało w pewnym oddaleniu od pożywienia.

- A co to takiego? - zapytał, choć doskonale znał odpowiedź.

- One również były w tamtej sakwie - wyjaśnił spatar. - Mości wojewoda zażyczył sobie, aby znalazły się na widoku. - Podniósł pierwszy z nierównego stosiku, okazując stronę frontową z wyrytym w drewnie rysunkiem, który przedstawiał możnowładcę spożywającego posiłek w otoczeniu dziesiątek ciał wijących się na palach. Niepewna ręka rytownika sporządziła również wyobrażenie wiernego sługi odrabującego w pobliżu swego pana kończyny, nosy i uszy ofiar.

- „Historija o łaknącym krwi szaleńcu - odczytał tytuł Petru, po czym podał utwór hrabi. - Wasza miłość zechce może przeczytać?

- Nie - odparł krótko Horvathy. Widział te pamflety już wcześniej, i to niejeden raz. - Idźmy dalej - rzekł, odwracając się.

Odkąd wszedł do wielkiej sali, unikał patrzenia na nie, chociaż rzucały się w oczy najbardziej ze wszystkiego. Ponieważ przemawiały bezpośrednio do jego wnętrza, poruszając najskrytsze struny jego duszy. Te dotyczące grzechu, winy i odkupienia. Absolucji, tak bardzo przezeń poszukiwanej i jak dotąd nie odnalezionej.

Pośrodku wielkiej sali, dokładnie naprzeciwko podwyższenia, stały w równym rzędzie trzy konfesjonały. Każdy podzielony był na dwie części; lewą przewidziano dla penitenta, prawą dla spowiednika. Odciągnięte zasłony pokazywały tylko jedną stronę, przystosowaną do długiego siedzenia dzięki poduszkom i wilczym skóróm.

- Skąd one tutaj? - spytał Horvathy, podchodząc bliżej i kładąc rękę na

pociemniałym drewnie.

- Takie było życzenie mości wojewody - odpowiedział Petru, postępując za nim jak cień. - Jedno z trudniejszych do spełnienia - dodał zaraz. - W Cerkwi, jak waszej miłości zapewne wiadomo, ich nie używamy, radzi klękać i skłaniać głowę przed kapłanem na oczach braci w wierze wprost przy analogionie. Dlatego musiałem pojechać po nie aż za granicę, do przeklętych Sasów zamieszkujących tereny przyległe do Siedmiogrodu, którzy oczywiście oskubali mnie do szczętu, jak to katolicy - urwał ponownie i znów się zaczerwienił. - Wasza miłość raczy wybaczyć, nie miałem nic złego na myśli. To znaczy, wiem dobrze, że wasz miłość też jest wyznania rzymskiego

Horvathy machnął ręką.

- Nie przejmujcie się, spatarze. - Przysiadł po duchownej stronie słuchalnicy, przyjrzał się czemuś z uwagą, po czym rozłożył mały stolik na zawiasach. - A cóż to takiego?

- Kazałem je zamontować we wszystkich trzech - rzekł szybko Petru. - W rozkazach mego pana była mowa o tym, że zeznania mają być spisywane. Mam rację, wasza miłość?

- Tak - przyznał Horvathy - Osobiście przywiódłem tutaj skrybów. Świetnie się spisałeś. - Zwinnym ruchem podniósł się z siedziska. - Co jeszcze naszykowałeś? - Zmrużył jedyne oko, próbując przeniknąć wzrokiem półmrok wielkiej komnaty, na której szarym końcu, po zachodniej stronie, coś majaczyło w cieniu pochodni. - Co tam chowasz?

- Och.. - zająknął się znowu spatar. - W tym jednym być może źle zrozumiałem rozkazy - Wykonał nieznaczny gest ręką i obaj przeszli na przeciwległą stronę wielkiej sali, zatrzymując się dopiero przy drugim stole. Tutaj mamy mniej wykwintne pożywienie dla skrybów i świadków. - Przełknął ciężko. - Tyle że moja łacina pozostawia wiele do życzenia, toteż nie byłem pewien, co mości wojewoda rozumiał przez *quae quaestio*. Pomyślałem sobie, że skoro niewykluczone jest swego rodzaju przesłuchanie, potrzebne będą

Wskazał przedmioty wyłożone na krańcu stołu. Horvathy wyciągnął rękę, dotknął metalowej czapki, muskając opuszką palca jeden z kolców umieszczonych wewnątrz, przebiegł spojrzeniem po reszcie instrumentów, zatrzymując wzrok na hiszpańskim bucie, zgniataczu kciuków i cęgach do rwania ciała. Trudno było tę zbieraninę nazwać pełnym zestawem narzędzi tortur, najpewniej tylko tyle miał na podorędziu spatar, do którego zadań

należało egzekwowanie woli hospodara pośród okolicznych wieśniaków.

Hrabia przyłożył palec do ust - kolec przebił mu skórę, uwalniając kropelkę krwi - i pokiwał głową. Nie przewidywał, aby trzeba się uciekać do pomocy kata, lecz nie chciał potępić zapału młodziana. Odwracając się, zauważył coś po przeciwnej stronie stołu; wydawało się częścią litej ściany.

- Hm? - uniósł brew pytająco. - A to? Spatar uśmiechnął się.

- Dziwnostka. Wśród chłopstwa od dawna krążyły słuchy, że poprzednik mości wojewody karał swych przeciwników i zdradzieckich możnowładców, zsyłając ich wraz z rodzinami do katorżniczej pracy przy budowie fortecy, w której się znajdujemy. Nie dawałem tym pogłoskom wiary dopóty, dopóki nie natrafiłem na to - Wyjął zza pazuchy ogarek, podszedł do najbliższych pochodni osadzonej w żeliwnym pierścieniu przymocowanym do ściany, po czym wróciwszy z uśmiechem jakby przyklejonym do twarzy, oświetlił mur. - Proszę niech wasza miłość sam zobaczy. I poczuje

Nim zdążył pomyśleć, Horvathy uczynił jedno i drugie. I od razu zrozumiał, co wystaje z zaprawy łączącej dwie nierówne wielkości cegły. Żuchwa małego dziecka.

Oderwał dłoń od muru, pozostawiając plamkę swojej krwi na jednym z obrośniętych wieloletnim brudem mleczaków. On także w przeszłości słyszał opowieści na temat tego, co działo się podczas budowy zamku. Jak wszystkie inne dotyczące Drakuli wydawały mu się nieprawdopodobne i jako takie wkładał je między bajki. I jak wszystkie inne niezaprzeczalnie miały w sobie ziarno prawdy, wywołując w ludzkim sercu niepokój.

Janos Horvathy, hrabia Peczu, rzucił spojrzenie w głąb wielkiej sali ku trzem słuchalnicom. Słowa, które w nich padną, złożą się na podobne opowieści, tyle że znacznie, znacznie gorsze. W okamgnieniu opuściła go cała nadzieja, która przebudziła się w nim, kiedy zobaczył ułomki miecza i która trzymała się go, kiedy przemierzał siedmiogrodzkie przełęcze, nie zważając na śnieg i mróz, z uporem podążając ku tej wołoskiej twierdzy. Czy jakiegokolwiek słowa są w stanie zmazać okrucieństwo i przewiny? Jakaż to musiałyby być spowiedź, aby była zdolna oczyścić Zakon Smoka z zarzutów niosących hańbę, a jego uwolnić od klątwy?

Bezwiednie uniósł rękę, dotknął pustego oczodołu, umieszczając w nim resztki krwi z rozciętego palca. Poczawszy wilgoć, czym prędzej przetarł pomarszczoną skórę.

- Poślij te kawałki metalu swojemu płatnerzowi - polecił. - A potem ich zawołaj. Zawołaj ich wszystkich.

Kłaniając się w pas, Petru odwrócił się, aby wypełnić ostatnie rozkazy.

3. ZEZNANIA

Pierwsi zjawili się skrybowie. Mnisi o wygolonych czaszkach, z których każdy niósł swój zestaw kałamarzy, zwojów, gęsich piór i nożyków do ich ostrzenia. Podeszli do słuchalnic, pierwaj zajęli przeznaczone dla nich miejsca po stronie duchownej, potem ułożyli atrybuty pisarskie na przemyślanych rozkładanych blatach będącym inwencją Petru, usadowili się wygodniej i zaciągnęli zasłonkę.

Moment później do wielkiej sali wszedł przyboczny dowódca twierdzy Poenari, Bogdan. To on wyjechał naprzeciw orszakowi hrabi, spotykając się z dostojnikiem o dzień drogi od zamku, by służyć mu za przewodnika na ostatnim odcinku długiej drogi.

Podczas wspólnej podróży Horvathy wypytał zastępcę spatara o więźniów, których ów przywiódł już wcześniej do twierdzy na polecenie księcia wojewody.

Teraz Bogdan na poły ciągnąc, na poły podtrzymując, wprowadzał do sali przesłuchań jednego z nich. Mężczyzna ten - niegdysiejszy rycerz, z tego co dowiedział się o nim Horvathy - przykucnął w progu niezdolny stać prosto po pięciu latach spędzonych w karczerze o sklepieniu zawieszonym na wysokości jego piersi. Z tego samego powodu poruszał się nie jak człowiek, lecz jak krab żerujący na skraju plaży, a wieloletni brak dostępu do światła słonecznego - do jakiegokolwiek światła w celi - wywołał u niego niemal całkowitą ślepotę, która także przejawiała się w jego ruchach. O statusie nieszczęśnika najwięcej mówił odrażający zapach, którego nie zdołała usunąć kąpiel w korycie na dziedzińcu, mimo że pachółkowie nie szczędzili zgrzebeł ani sił. Przy pomocy Bogdana więzień dowlókl się do pierwszego konfesjonału i opadł na twarde siedzisko, natychmiast podciągając kolana pod brodę w wyćwiczonej przez lata pozycji i obejmując się obronnym gestem rękoma, tak że naprężona licha materia odzienia ujawniła sterczące jak u kościotrupa rzepki. Oczy więźnia rozbłysły, gdy poczuł zapach kadzidła i spatynowanego drewna. Nieśmiało wysunął przed siebie jedną dłoń i pomacał drewnianą kratkę, po czym nieoczekiwanie wydał z siebie radosny gulgot. Nie kryjąc odrazy, Bogdan oddzielił go od reszty pomieszczenia skrawkiem zasłony.

Drugim więźniem była kobieta, również odziana tylko w płócienne gieźło. Bogdan opowiadał Horvathemu, że udał się do klasztoru poświęconego ksieni, a zastał oszalałą gołą bezwstydnicę, która wymachiwała mu przed nosem wiankiem z jakichś badyli i ludzkich włosów. Pospieszył też z zapewnieniem, że nie wziął wianka do ręki, jako że wszem wobec wiadomo, iż to wiedźminy sposób na zauroczenie duszy niewinnego męża. Nawet nie zatrzymał oka na jej nieprzyzwoitej nagości, tylko narzucił na nią parę koców i zaraz kazał zanieść na wóz.

Głowę miała teraz odkrytą, tak że poprzez krótką ostrą szczecinę widać było błyszczącą skórę czaszki, którą oświetlały płomienie łuczyw. Jej oczy również rozbliły, kiedy z wolna zaczęło do niej docierać, gdzie się znalazła. Bogdan trzymał się na uboczu, ani jej nie dotykając, ani nawet nie kierując. To Petru, stojący tuż przed podwyższeniem, ruchem dłoni wskazał jej środkową słuchalnicę, po czym przezornie odsunął się, gdy mimo niego przechodziła. Kiedy już zasiadła na swoim miejscu, nerwowym gestem zaciągnął zasłonkę.

Ostatni pojawił się pustelnik. Cuchnące skołtunione włosy opadały mu na spuszczone oczy, gęsta broda poruszała się z każdym drgnieniem warg, gdy skryte spośród kudłów usta układały się w bezdźwięczne słowa. Petru pojmał go osobiście, nadszedłszy w jaskini położonej w przylegających do zamku borach, i przywiódł do Poenari, lecz nawet on nie usłyszał od odludka ani jednego zrozumiałego zdania.

Kiedy wszystkie słuchalnice były zajęte, młody spatar popatrzył na Horvathyego.

- Już, wasza miłość? - zapytał. Hrabia skinął głową, na co Petru odwrócił się do swego przybocznego: - Przekaż jego eminencji, że na niego czekamy.

Bogdan skłonił się, po czym odszedł wykonać rozkaz.

Chwila próby nadeszła. Horvathy nie czuł nic poza przytłumioną ciekawością. Jego jedyne oko zaszło mgłą, gdy wpatrywał się w posadzkę tępych wzrokiem. Dziwnym zrzędzeniem wyostrzeniu uległy inne zmysły, tak że słyszał każdy najdrobniejszy nawet szelest; ciszę w wielkiej sali przerywało tylko trzaskanie cienkich gałązek na ogniu, syczenie płonących łuczyw, chrobot nożyków o dudki, monotonne pojękiwania. Wtem zza szczelin okien doszło go najpierw dźwięczne gardłowe „krr”, a następnie krzyk polującego jastrzębia. Horvathy uniósł głowę, wyrrywając się z otępienia; żałował, że zamiast przebywać tutaj, w murach, nie znajduje się na otwartej przestrzeni w pogoni za ofiarą.

Drzwi do wielkiej sali otwały się i przez próg przestąpił mężczyzna.

Wydawał się w tym skromnym wnętrzu równie nie na miejscu jak paw w kurniku. W odróżnieniu od oczekujących go odzianych w czerń i szarość szczupłych, a nawet żylastych postaci miał na sobie przebogate jaskrawo purpurowe szaty, okrywające tłuste ciało nie tyle byczką, ile zwykłego wołu tuczonego na rzeź. Kiedy wspinał się na położone pośrodku sali podwyższenie, sapał, jakby zdobywał niebosięzną wieżę, nie zaś niski podest. Odrzuciwszy na plecy kaptur, zasłaniający mu dotąd oblicze, ukazał zebrany nalaną twarz, która przechodziła płynnie w liczne podbródki zakrywające krótką masywną szyję i połowę piersi. Jego małe ciemne oczka zdawały się rodzynekami wciśniętymi w miękkie ciasto. Włosy miał schludnie przystrzyżone, jasne i gęste, na nie zaś zasadzoną czerwoną piuskę. Pokonawszy ostatnie kroki, z westchnieniem opadł na krzesło z wysokim oparciem.

Janos Horvathy gestem wskazał spatarowi jego miejsce, sam jednak nie usiadł. Popatrzył wprost ku trzem konfesjonałom i przemówił. Jego słowom towarzyszył odgłos skrobania dobrze zaostrzonych piór po pergaminie.

- Zowie się Janos Horvathy, hrabia Peczu - ogłosił pewnie. - Przybyłem tu z rozkazu mego pana, Macieja Korwina, królem Węgier będącego, aby was aby wysłuchać waszej spowiedzi - zająknął się lekko na kłamstwie. - I choć to wszystko - zatoczył ręką wokół siebie - wydaje mi się nieco dziwne, nie kwestionuję rozkazów pana tej ziemi, hospodara wołoskiego, w którego dziedzinie znaleźliśmy się i z którego łaski możemy wysłuchać waszych zeznań. - Ruchem brody wskazał na młodszego z dwóch siedzących mężczyzn. - Pragnę dla potomnych nadmienić, że Petru Iordache, spatar twierdzy Poenari, wypełnił wszystkie rozkazy swego pana lennego co do joty. - To powiedziawszy, dołączył do sędziów i zawiesił wzrok na kardynale.

- Naprawdę muszę? - spytał z westchnieniem ociężały hierarcha. Horvathy w odpowiedzi wskazał słuchalnice.

- Każdy z nas ma swego pana. Z ich woli każde słowo, które tutaj padnie, ma zostać spisane - rzekł. - Dla potomności.

- Dla potomności, czyżby? - Purpurat pochylił się do przodu, krzywiąc się gdy większość jego ciężaru przejęły opuchnięte stopy, po czym splunął. - No dobrze, zatem informuję potomność, że zwę się Domenico Grimani, jestem kardynałem Urbiono i jako taki reprezentuję Ojca Świętego Sykstusa IV, będąc legatem papieskim na dworze wspomnianego tutaj króla Macieja.

Sądzę też, że potomność winna się dowiedzieć, iż Jego Świątobliwość byłby zdumiony, widząc mnie w tych barbarzyńskich górach, jak biorę udział w w jakimś przedstawieniu.

- Przedstawieniu!!! - ryknął Horvathy, lecz na kardynale nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Mości hrabio, osobiście prosiłeś mnie, abym towarzyszył ci w tej podróży. Zapewniałeś, że potrzebny ci mój osąd w niezwykle ważnej sprawie. Ale doprawdy męcząca droga, wszechobecne zimno, podłe zajazdy, wszystko to wywiało z mojej głowy powód, dla którego mnie tu ściągnąłeś. - Przyłożył dłoń do czoła w parodii gestu mającego oznaczać głębokie zamyślenie. - Czy chodziło o wysłuchanie opowieści o bestii w ludzkiej skórze? Czy też o oczyszczenie niesławnego Drakuli z wszelkich zarzutów, hm? - Zaśmiał się, gestykułując zawzięcie. - A może może raczej komuś zależy na tym, by sekretny zakon, któremu przewodził i który pograżył swoimi zbrodniami, powstał z prochu? - Teraz już otwarcie śmiał się, nie zważając, że drży na nim sadło i co najmniej pół tuzina podbródków. - No więc niech potomność wie, że los Zakonu Smoka nikogo już nie obchodzi.

- Właśnie że obchodzi! - zareagował gwałtownie jednooki mężczyzna, siadając po jego prawicy. - Czyżbyś zapomniał, eminencjo, że Zakon Smoka, o którym mówisz z taką dezynwolturą, to święty zakon rycerski? Doprawdy trudno mi uwierzyć, aby pamięć zawiodła cię w tej akurat sprawie. Podobnie jak z pewnością pamiętasz, że mój ojciec i ja sam z dumą mienimy się braćmi tegoż zakonu. Założonego po to, aby bronić uczciwych ludzi przed niewiernymi i heretykami. Przed wrogami nie tylko Węgień, ale także Watykanu, księżę kardynale. Przed wrogami całego chrześcijańskiego świata. - Horvathy obniżył ton głosu, wszakże nie ścichła w nim pasja. - Pamięć myli cię co do jednego. Człowiek, o którym mówiłeś, nigdy nie był przywódcą Zakonu Smoka, lecz tylko albo aż jego najznamienitszym członkiem. Tym, który jako ostatni pod jego sztandarem wyruszył na Turków. I który ich nieomal stał w proch. Który byłby wygrał, gdyby nie zdrada twojego papieża, mojego króla i - zamilkł na chwilę, by dokończyć prawie bezgłośnie - jego współbraci.

Tak jak wcześniej kardynał trząsał się ze śmiechu, tak teraz hrabia niekontrolowanie drżał z wściekłości. Wszelako emocje nie wzięły nad nim góry; kilkakrotnie zaczerpnął głęboko tchu, rozparł się wygodnie w krześle i już spokojniej kontynuował:

- Pozwól, że przypomnę ci, czemu tu jesteś, eminencjo. Czemu zgodziłeś

się towarzyszyć mi do tego „ barbarzyńskiego kraju - Horvathy był świadom, iż mówi zarówno do legata, jak do wyczulonych na każde słowo skrybów. - Otóż dlatego, że odrodzony Zakon Smoka mógłby raz jeszcze stać się włóczęgą chrześcijaństwa wymierzoną w niewiernych. Mógłby zjednoczyć pod swoim sztandarem przywódców całych Bałkanów i ziem dalej leżących, tym samym czy naprawdę trzeba ci o tym przypominać, eminencjo ? tym samym odsuwając ostrze bułatu, które już dotyka szyi Rzymu.

- Mości hrabio - Lód w głosie kardynała zastąpiła oleista słodycz. - Racz mi wybaczyć. Ani przez chwilę nie było moim zamiarem uwłaczać twej dumie i zakonowi, który przyznaję swego czasu stanowił potężne oręż chrześcijaństwa. Jednakowoż czyż nie jest niemożliwością wybielenie imienia kogoś, kto splamił się do szczytu ?

Przecież cały świat słyszał o Drakuli i jego nikczemności, okrucieństwie, deprawacji.

- Świat słyszał tylko o tym - rzekł Horvathy gorzko, pohamowawszy gniew - o czym zechcieli powiedzieć ci, którzy pokonali Smoczego Syna. A że dysponowali wynalazkiem zwanym prasą drukarską, udało im się rozpowszechnić kalumnie nadzwyczaj szeroko - wskazał na stół z piętrzącymi się pamfletami. - Gdyby jednak Ojciec Święty zechciał odpuścić mu przewiny, czyż nie ma teraz doskonalszych pras drukarskich w Rzymie albo nawet w Białogrodzie ? Czyż nie dałoby się wydrukować całkiem odmiennej historii, innej wersji prawdy?

- Prawdy, czyżby ? - Kardynał uśmiechnął się pod nosem. - Prawda dziejów Często zastanawiałem się, co to takiego i czy w ogóle istnieje. Czy aby na pewno doszukujemy się tutaj prawdy, mości hrabio? A może tylko pewnej jej części, która odpowiadałaby naszym ambicjom i zamierzeniom ? - Westchnął ciężko. - W jednym masz rację, mości hrabio. Druk to broń w niczym nie ustępująca mieczowi i toporowi, może nawet od nich mocniejsza. Bywało, że myślałem sobie: gdyby szatan wszedł w posiadanie prasy drukarskiej, byłbyż równie niepopularny, jak jest obecnie? - Młody Petru Iordache z wrazenia wciągnął powietrze ze świstem, na co uśmiech hierarchy zajął całą twarz. Purpurat przechylił się lekko w bok i konfidencjonalnym szeptem zapytał hrabi: - Jakąż więc prawdę dzisiaj usłyszymy ?

- To się dopiero okaże - odparł zwięźle Horvathy. - Być może, jak rzekłeś, wybielenie imienia Drakuli i Zakonu Smoka nie wchodzi w rachubę. Być może rzeczywiście z opowieści naszych świadków wyłoni się obraz

potwora, nie człowieka. Lecz w sytuacji gdy Turcy zajęli Otranto w Italii, a chorągwie sułtana powiewają na zdobytych murach Konstantynopola i nie sposób przewidzieć, dokąd dalej ruszy turecka nawała, czyż nie jesteśmy winni sobie samym i naszym potomnym tego, by przynajmniej wysłuchać tych ludzi i wyrobić sobie własne zdanie?

Grimani usiadł prosto, przybierając pojednawczy wyraz twarzy. Kiedy się odezwał, mówił spokojnie, jasno. I powoli, aby skrybowie mogli zapisać każde jego słowo.

- Wedle życzenia, mości hrabio. Trudno nie zgodzić się z twą opinią, że czasy nastały niebezpieczne. Skoroś więc poprosił mnie, abym był tutaj sędzią, pozwól, że zacznę rozprawę. - Przeniósł spojrzenie na równy rząd konfesjonałów. - Kto kryje się za tymi zasłonami? I dlaczego zdecydował się właśnie teraz opowiedzieć swą historię?

- Niech odpowiadają. - Hrabia ponaglił Petru gestem. Spatar poderwał się i zastukał w ściankę pierwszej słuchalnicy.

- Jak cię zwa, odpowiadaj!

Rycerz uważnie przysłuchiwał się wcześniejszym głosom. W ciągu ostatnich pięciu lat nasłuchiwał się ich tyłu, że z początku trudno mu było stwierdzić, czy te dzisiejsze są choćby w niewielkiej mierze prawdziwsze. Wszelako niespodzianie rozpoznał głos jednego z sędziów; co więcej, zdał sobie sprawę, że spotkał owego mężczyznę w dawnych czasach, gdy wciąż jeszcze widział i grzeszył. To w połączeniu z nagłym zrozumieniem, dlaczego został zwolniony z więzienia, z wiecznej ciemności i ciszy, spowodowało, iż jego umysł, szalejący z obłądu od długich lat, zaznał nieoczekiwanego spokoju.

- Zowią mnie Ion Tremblac - odpowiedział wbrew sobie i z chwilą, w której padły te słowa, przypomniał sobie, że tak właśnie jest.

Świst wciąganego powietrza rozległ się w dwóch miejscach równocześnie. Rozpoznany parę chwil wcześniej hrabia skojarzył podane miano z osobą, zaś jakaś niewiasta, siedząca najpewniej w słuchalnicy tuż obok, westchnęła cichutko. Petru odczekał parę uderzeń serca, potem zadał następne pytanie:

- Jak dobrze znałeś Drakulę, poprzednika obecnego hospodara?

- Jak dobrze? Zналиśmy się od chłopięctwa. Dorastaliśmy u swego boku. Maszerowaliśmy ramię w ramię, cwałowaliśmy strzemię w strzemię, w czas pokoju, na polowaniu, w czas wojny. Dzieliliśmy cierpienie tortur i radość zwycięstwa. Byłem jego najbliższym towarzyszem. - Rycerz zaszlochał. - I

zdradziłem go. Zdradziłem, słyszycie?!

Zaległa cisza przerywana tylko chrapliwym łkaniem rycerza i odgłosami płaczu dochodzącymi ze środkowego konfesjonału. Na znak Horvathyego Petru przeszedł dwa kroki, uderzył w drewnianą ściankę - raz - po czym natychmiast się przeżegnał.

- A ty, pani? Kim jesteś? I kim byłeś dla wymienionego z imienia Drakuli? - zapytał.

Kobieta również łowiła każdy dźwięk, odkąd została wprowadzona do wielkiej sali, i z wolna ogarniało ją zrozumienie. Od dawna wiedziała, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym będzie musiała dać świadectwo, i to nie tylko w modlitwie. Była na to przygotowana, w głębi duszy spokojna, pełna dobrej woli - do czasu, aż usłyszała głos, którego nie powinna była już nigdy usłyszeć, głos jedyne go mężczyzny, którego kiedykolwiek nazwała przyjacielem, człowieka którego miała za martwego od lat. Oddychała głęboko, aby ukoić rozkołataną nerwy, ocierała twarz z łez i dopiero gdy była całkiem gotowa, przemówiła:

- Przez wiele lat byłam znana jako ksieni klasztoru sióstr miłosierdzia w Clejani, jednakowoż pod zasłoną zakonnego welonu pozostałam Iloną Ferenc. Ujrzałam go po raz pierwszy, gdy jeszcze będąc niewolnicą służyłam sułtanowi, a kochałam od wtedy aż po dzień, w którym złożyłam jego ciało do grobu. Albowiem byłam jego wybranką.

Tym razem to rycerz sapnął z wrażenia, niepewien czy cokolwiek z tego co się wokół niego dzieje, należy do rzeczywistości. Coraz bardziej skłaniał się ku przekonaniu, że jednak nigdy nie opuścił swej celi i że nadal przebywa w świecie ułudy, zwidów i duchów. Przecież niewiasta, która ozwała się niemal przy jego uchu, nie żyła od dawna. Na własne oczy widział popełniony na niej mord. Niezwykle bestialski mord. Mimowolnie nachylił się w lewo, uderzając głową o odgradzającą go od pomieszczenia i reszty ludzi ściankę.

Trzecia, ostatnia słuchalnica wydawała się pusta. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Kiedy Petru swoim zwyczajem stuknął o drewno, pustelnik nawet się nie poruszył.

- A ty ? Kim jesteś i co cię łączyło z Drakulą ? Odpowiadaj! - rozkazał młody spatar. Nie doczekawszy się reakcji z wnętrza konfesjonału, zwrócił się bezpośrednio do sędziów: - Wasze miłości, toto chyba zapomniało ludzkiej mowy. Ten odludek przez wiele lat mieszkał w jaskini w okolicznych górach, udając pustelnika i nikt nigdy nie był świadkiem, by

otworzył gębę, choćby prosząc o kęs chleba.

Horvathy pochylił się do przodu i rzekł donośnie:

- Hej tam, człowiecze Kazano cię tutaj sprowadzić razem z innymi. Może więc raczysz nam powiedzieć, jak cię zowią i kim byłeś dla mężczyzny, którego czyny staramy się osądzić ?

Gęsie pióra przestały skrobać po pergaminie. Cisza przedłużała się nieznośnie, aż wreszcie - dokładnie w chwili gdy Petru chciał wyciągnąć milczka za słuchalnicę i powlec go w przeciwległy róg wielkiej sali, aby tam wypróbować na nim zgromadzone narzędzia perswazji - dał się słyszeć jakiś dźwięk. Chrząknięcie raczej, bez żadnego znaczenia i trwające ledwie moment. A jednak dosłyszalne, gdyż głos świetnie się niósł we wzniesionym wedle wszelkich prawideł pomieszczeniu. Uwaga wszystkich skupiła się na słowach pustelnika:

- Tak, znałem go. W pewnym sensie lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedziałem o każdym jego uczynku. Wiedziałem, dlaczego postępował tak, jak postępował. - Głos mężniał wypowiedzianą sylabą. - Jam jest brat Wasyl. Spowiednik tego, którego chcecie osądzić.

Chrobot ptasich dutek rozległ się na nowo, gdy zaskoczeni skrybowie w pośpiechu notowali ostatnie zdania.

- Wielce interesujące - podsumował kardynał. - Postaramy się chwilowo nie pamiętać, że będziesz tu zdradzał tajemnicę spowiedzi - Odchylił się na oparcie krzesła, przybierając bardziej dostojną i wygodniejszą pozycję. - Zatem kto z was rozpocznie? Kto pierwszy opowie historię Drakuli?

Siedzący w skrajnej słuchalnicy Ion Tremblac rzucił się do przodu, przytykając twarz do cienkiej zasłony. Sędziowie mogli dostrzec jego rysy i poruszające się nerwowo wargi.

- Ja - rzekł pośpiesznie.

Tak długo czekał na tę chwilę. Pięć lat w lochu. Tutaj, przynajmniej dostrzegał trochę światła. Na sali znajdował się ksiądz. On sam siedział przy kratce konfesjonału. Nie miało dlań znaczenia, że został wychowany w wierze prawosławnej, a spowiadali go katolicy. Bóg - w jakimkolwiek był przebraniu - opuścił go bardzo dawno temu. Nie opuściła go jednak nadzieja, że grzechy mogą zostać mu wybaczone. Wierzył, że odpokutuje winy i odzyska Boga w sercu.

- Ja zacznę. - Ponieważ tylko ja znałem go od dziecka

CZEŚĆ I

PISKLE

O wiele łatwiej jest bronić się przed Turkami temu, kto zna ich zwyczaje, aniżeli temu, kto nie jest nimi obeznajmiony.

Konstantyn Mihajlović, serbski janczar

1. ZAKŁADNIK

Adrianopol, stolica Imperium Osmańskiego, wrzesień 1447 roku

- No? Który z was, tępaków, mi to przeczyta?

Ion Tremblac wpatrywał się z natężeniem w zawijasy i kropki pisma arabskiego na tabliczce przed sobą i wzdychał. Po cichu, gdyż nie przysłużyłoby mu się jawne okazanie rozpacz i przyznanie do niewiedzy. Ilekroć nie potrafił usatysfakcjonować nauczyciela odpowiedzią, musiał przynajmniej starać się ją odgadnąć w pocie czoła, wykazując się pracowitością, jeśli już nie lotnością umysłu. Jednakże litery, które własnoręcznie przekopiował, były jeszcze mniej czytelne niż wzór na większej tablicy, a poza tym głowa mu już pękała. Chłopcy zasiedli w izbie lekcyjnej o poranku, a teraz słońce stało niemal w zenicie! Najpierw uczyli się greki, potem algebry, a jeszcze później deklamowali jakiś okrutny perski poemat. Po takim maratonie uczniowie jęli podnosić się z ziemi, z pozycji słońca na niebie wnosząc, iż na dzisiaj koniec z nauką, wszelako wtedy Hamza aga, ich nauczyciel, uśmiechnął się przewrotnie i rzucił:

- Zakończymy dzisiaj pracę odczytaniem słów Allaha, Boga Jedyne i Miłosiernego. Wybiorę dla was króciutki fragment Koranu.

Mardić, Serb jęknął głośno i został za to ukarany smagnięciem giętkiej witki. Stąd Ion pamiętał, aby wszystkie komentarze zachować dla siebie. Wolał, aby witka, a tym bardziej drewniana pałka pozostała na swoim miejscu - czyli u stóp nauczyciela.

- No, moje ptaszęta, moje nieopierzone sokoły. Wasza tępota wyprowadziłyby z równowagi samego Imana z Tebryzu, którego cierpliwość została wystawiona na próbę podczas ataku barbarzyńców. Kiedy podpalili mu domostwo, puszczając z dymem dorobek całego życia, on tylko zapytał: „Czy ktoś mógłby otworzyć okno? .

Hamza aga roześmiał się cicho i pochylił głowę nad skrzyżowanymi nogami, spoglądając ze swego podwyższenia na siedem skurczonych postaci poniżej. Najwyraźniej spodziewał się jakiejś reakcji. Nie doczekał się żadnej.

- Zatem nikt ? - Hamza aga westchnął, nie kryjąc znużenia i rozczarowania. -W takim razie lećcie, pisklęta moje, tylko uważajcie,

żebyście nie pospadali na ziemię jak kamienie z powodu swojej ociążałości. Może trochę świeżego powietrza, którym oddychacie z woli Najwyższego, oczyści wam umysły. - Pośród ogólnego szurania i postękiwań na zastale mięśnie utrzymywane długo w tej samej pozycji siedzącej dodał: - Jutro rano od tego zaczniemy. I nie przejdziemy do „Dziejów Herodota dopóty, dopóki któryś z was mi tego poprawnie nie odczyta.

Ion pierwszy poderwał się na równe nogi. Również pierwszy wypadłby na wewnętrzny dziedziniec enderunu, dając przykład swojej orcie, która wkrótce wymieszała się z członkami innych ort, gdy tylko poszczególni nauczyciele zaczęli zwalniać uczniów z zajęć na ten dzień, lecz pozostał tam, gdzie stał, skąd nawiasem mówiąc, dzięki wyprostowanej pozycji miał doskonały widok na resztę uczniów. Grupy tkwiły pomiędzy przepierzeniami ustawionymi w pokaźnej izbie, niektórzy wciąż milczący, jak im kazano, aczkolwiek Ion potrafił dostrzec symptomy rodzącej się w chłopcach radości, która niebawem miała znaleźć ujście w okrzykach, wiwatach i podskokach. Mimo to nie mógł ot, tak sobie wybiec. Przynajmniej dopóki siedzący obok niego kolega na dobre nie skończył się mozolić z zadaniem ćwiczeniem. Zniecierpliwiony pstryknął mu palcami przed nosem. Nie przyniosło to jednak żadnego skutku. Hamza aga, który także już wstał z poduszek i właśnie rozprostowywał ścierpnięte kończyny, popatrzył z góry na Iona i jego skupionego kompana. Uważniej przyjrzał się pochylonej chłopięcej głowie, czarnym jak noc włosom opadającym na twarz niby welon i uśmiechnął się.

- No, młodzieńcze ? Udało ci się rozszyfrować ten wers ?

Wargi chłopca poruszyły się raz jeszcze w bezgłośnej recytacji, nim odpowiedział:

- Tak mi się zdaje, Hamzo ago.

- Dlaczegoż więc nie odezwałeś się wcześniej, gdy wszyscy uczniowie byli wciąż w klasie ?

Głupcze -pomyślał Ion - czy to nie oczywiste ?

Jego towarzysz potrafił udzielić odpowiedzi na niemal każde pytanie nauczyciela - jeśli tylko chciał. Ale jako że reszta orty, na którą składali się zakładnicy tacy jak oni, czuła wystarczającą zazdrość i zawiść, o wiele prościej - i znacznie mniej boleśnie - było trzymać język za zębami. Hamza aga zszedł z podwyższenie, przecinając gruby promień słońca. Ocienione czarnym turbanem błękitne oczy odcinały się od urodziwej śniadej twarzy, a delikatny uśmiech rozdzielał kręte pasma jasnej brody. Z tak bliska Ion po

raz kolejny przekonał się, że nauczyciel jest od nich oczywista starszy, lecz nie więcej niż o jakieś siedem lat. Jeszcze niedawno, przed promocją, która miała miejsce trzy lata wcześniej, był tylko jednym z podczaszych sułtana.

- Nuże - ponaglił Hamza aga, wskazując tabliczkę - przeczytaj wreszcie, co masz tam napisane, Władzie Drakulo. Niech z twoich ust padnie mądrość świętej księgi islamu.

Wład odchrząknął i zaczął recytować:

- Będę cię pytać o wino i grę majsir. Powiedz; „W nich jest wielki grzech i pewne korzyści dla ludzi; lecz grzech jest większy aniżeli korzyść z nich .

- Dobrze - pochwalił Hamza aga ze skinieniem. - Źle wymówiłeś raptem trzy słowa. Zdumiewa mnie twoja znajomość arabskiego - Podszedł bliżej i ukucnął przy chłopcu.. Iloma językami już się posługujesz?

Wład wzruszył ramionami, z odpowiedzią zaś pośpieszył rozentuzjasmowany Ion.

- Greką, łaciną, frankijskim - zaczął wyliczać, lecz urwał, kiedy jego towarzysz posłał mu chmurne spojrzenie. Ion znał je dobrze, toteż usłuchał natychmiast.

- Oraz naturalnie osmańskim - dokończył za chłopca Hamza aga. - Ale żeby także arabskim ? - gwizdnął przez zęby. - Czyżbyś zamierzał zostać hafezem ?

- Tym, który zna na pamięć cały Koran ? - Wład potrząsnął głową i dodał cicho: - Nie

- A mimo to już teraz potrafisz wyrecytować więcej aniżeli ktokolwiek inny, kogo znam. - To mówiąc, Hamza aga zniecka trącił Iona w ramię. Gdy chłopiec, odskoczył z okrzykiem wzburzenia, obaj i nauczyciel i prymus, roześmieli się zgodnie.

- Ja podziwiam Koran - rzekł bez nieśmiałości Wład. - Recytuję jego wersy, ponieważ słowa i myśli, które zawiera, są piękne i powinny być wypowiedziane na głos, tak jak archanioł Gabriel przekazał je Prorokowi, niech Allah ma Go w opiece. Zapisane na pergaminie są tylko znaczkami, lecz wypowiedziane - machnął ręką przed sobą - stają się czystą mocą uwolnioną z okowów

- Moim zdaniem upajasz się słowami, tak jak niewierni upijają się winem, młodzieńcze - rzekł Hamza aga, opierając dłoń na barku Włada. Górując nad nim, dodał: - Jesteśmy w tym do siebie podobni. Oby prawda zawarta w wersach Koranu otworzyła ci oczy na inne prawdy. Może nawet

na Allaha ?

- Och, nie - zaprotestował chłopiec. - Bynajmniej nie dlatego uczę się ich na pamięć i cytuję je. Podziwiam słowa, to prawda, ale...

Hamza aga nadal się uśmiechał. Zwątpienie nie jest jeszcze złem. Jest zaledwie potknięciem w odróżnieniu od śmiertelnego upadku. Ale ? - zawiesił głos, nie spuszczając oczu z twarzy swojego ucznia.

Wład uniósł głowę, wsłuchał się w odgłosy ostatniej orty opuszczającej izbę lekcyjną - w krzyki, śmiechy i przechwałki rzucane, gdy poskramiana godzinami młodość nareszcie znalazła ujście w wolności.

- Studiuję Koran, ponieważ chcę was lepiej poznać - oznajmił. - Chcę poznać was naprawdę. Turcy poruszyli posady świata, a ich własna wiara leży u przyczyny wszelkich podejmowanych przez nich działań. Dopóki nie zrozumie tego do końca, dopóki nie zrozumie was do końca cóż - odszukał spojrzeniem błękitne oczy nauczyciela - nie będę w stanie was powstrzymać.

Zdumienie malowało się na twarzach obydwóch słuchaczy. Hamza aga odzyskał panowanie nad sobą pierwszy i cofnął dłoń z barku młodzika.

- Nie obawiasz się, że ukarzę cię za te słowa ? - spytał, wskazując pałkę.

- Za co miałbyś mnie ukarać, effendi ?

- Za buńczuczne, nieposłuszne myśli.

Wład ściągnął brwi.

- Dlaczego miałyby cię one dziwić ? - zapytał. - Wszyscy zakładnicy są synami obrazoburców. Dlategośmy się tutaj znaleźli: aby nasi ojcowie, rządzący swoją ziemią z łaski sułtana, nie zapomnieli, kto jest ich prawdziwym panem. Drakul, mój ojciec, oddał mnie i mojego brata Radu w waszą opiekę pięć lat temu. Nie po to, abyśmy pod twym okiem zdobyli najlepsze wykształcenie z możliwych, lecz aby twój pan mógł nas zgładzić, gdyby w naszym kraju rodzinnym wybuch bunt.

Ion sięgnął ku towarzyszowi, dotknął lekko jego łokcia.

- Przesta

Wład strząsnął jego palce jednym ruchem.

- Czemu mam przestać Ion ? Przecież Hamza aga dobrze zna naszą historię. Za jego życia w enderunie przewinęło się mnóstwo zakładników, część z nich odeszła, część zginęła. Robi co w jego mocy, aby dać nam wszystko co najlepsze: żywność, naukę języka, filozofii, sztuki wojennej i poezji. - Wskazał na swoją tabliczkę. - Zgodnie z rozkazami naucza nas o Koranie, zaznajamia z wiarą, której podstawą jest tolerancja i dobroczynność,

lecz w żaden sposób do niej nie przymusza, albowiem to byłoby wbrew literze świętej księgi islamu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, odeślą nas do domu, żebyśmy nadstawiali za nich głowę i płacili im daninę z złocie i młodych chłopcach, bijąc pokłony w podzięcie za wyświadczoną łaskę. A jeśli coś pójdzie nie tak - uśmiechnął się krzywo - wtedy rozłupią nam czaszki i rozrzucają nasze wykształcone mózgi po kamieniach i błocie. - Zwrócił wzrok na nauczyciela. - Czy rozminąłem się z prawdą effendi ? Jeżeli tak, proszę ukarż mnie przykładnie jako kłamcę.

Hamza aga spoglądał nań przez długą chwilę z obojętnym wyrazem twarzy. Wreszcie przemówił:

- Ile masz lat, chłopcze ?

- W marcu skończę siedemnaście.

- Jesteś zbyt młody, aby mieć tak cyniczne myśli.

- Nie, effendi - odrzekł Wład łagodnie. - Jestem zbyt młody tylko na to, aby móc im jakoś zaradzić.

Patrzyli na siebie przez długi czas bez jednego mrugnięcia. Następnie równocześnie uśmiechnęli się do siebie, podczas gdy Ion zerkał to na kompana, to na nauczyciela, czując się wykluczony z misterium i z nagłą zazdrosny. Nie dorównywał swemu towarzyszowi bystrością, mimo to rozumiał iż Hamza aga i Wład dzielą coś, co nigdy nie stanie się jego udziałem. Cisza przeciągała się do czasu, aż Turek drgnął i odwrócił się.

- Idź już, mój sokole - rzucił przez ramię. - Twój przyjaciel aż się pali, by nareszcie rozwinąć skrzydła.

Wład rozkrzyżował nogi i wstał, lecz na razie nie odchodził.

- Effendi, kiedy nas zostawisz?

Nauczyciel przerwał w pół ruchu zbieranie zwojów i tabliczek. Wyprostował przygarbione plecy.

- Jakim cudem wiesz o czymś, co dopiero zostało postanowione? - spytał. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi poza wzruszeniem ramion, kontynuował: - Rzeczywiście, wyruszam w podróż pod koniec tego tygodnia. Z rozkazu sułtana, niech Allah obdarzy go wiecznym zdrowiem. Wiesz przecież, że nie jestem zwykłym nauczycielem

- Wiem o tym - potaknął Wład. - Jesteś również jednym z najznamienitszych sokolników jego dostojności. Czy to dlatego wyjeżdżasz ?

Ion przestąpił z nogi na nogę. Nie należało do zwyczajów w enderunie, aby uczniowie zadawali pytania nauczycielom; na ogół odpowiadali na nie bądź potulnie milczeli. Podobne wypytywanie Hamzy agi zakrawało na

impertynencję i jako taka powinno zostać surowo ukarane. A jednak Turek nie sięgnął po pałkę.

- Wybieram się na polowanie, aczkolwiek nie z ptakami.

Ion ponownie poruszył się niespokojnie, żałując, że nie znajduje się gdzie indziej. Martwił go ostrzegawczy ton w głosie nauczyciela. Wszystkim było wiadomo, że Hamza aga jest ulubieńcem dostojników i wysoko zajdzie. Naprawdę był sokolnikiem, prawdziwy był zarówno jego tytuł jak i fach, który musiał mieć na wypadek dnia pomsty każdy wyznawca Muhammada ibn Abdullaha - nawet sułtan. Murad był kowalem; przemieniał żelazo w końskie podkowy i groty strzał. Wszelako nie było tajemnicą, że jeśli sułtan wysyła Hamzę agę w podróż, jego bronią będzie intryga, a nieodłącznym towarzyszem niebezpieczeństwo. Zaś sam pomysł Włada, aby o to wypytywać i drażnić temat pomimo ostrzeżeń Krajan coraz bardziej przerażonego Iona zachował kamienną twarz.

- Może mimo wszystko będziesz miał okazję zapolować z sokołem ? Skoro tak - sięgnął za lnianą koszulę aż do miejsca, w którym chowała się za szarawarami oblekającymi jego mocne nogi i wydobył stamtąd tobolek owinięty niebieską materią, po czym podał go nauczycielowi. - Proszę.

Hamza aga wyciągnął rękę, ujął podarunek. Węzeł wiśniowej jedwabnej wstążki ustąpił już przy lekkim pociągnięciu, odsłaniając zawartość. Przez kilka uderzeń serca mężczyzna przyglądał się trzymanemu przedmiotowi, po czym wsunął na dłoń rękawicę.

- Nie znałem dokładnych wymiarów - tłumaczył się chłopiec.

- Mam nadzieję, że pasuje - Hamza aga uniósł dłoń, poruszył palcami.

- Masz bystre oko, mój sokole - powiedział. - Rękawica pasuje jak ulał! - Uśmiechnął się, zacisnął dłoń w pięść, popatrzył na nią pod światło, podziwiając wygładzoną skórę na grzbiecie, skórę takiej grubości, by oparła się ostrym szponom drapieżnego ptaka, z pewnością zszytą z dwu warstw. Dopiero po chwili jego uwagę przyciągnęło miększe wnętrze osłaniające delikatnie nadgarstek. - A cóż to takiego ? - zainteresował się.

Nawet Ion dostrzegł złotogłów wyszyty w jakiś wzór. Jego perski był nieco lepszy od arabskiego, toteż z łatwością zidentyfikował język, lecz słowa poznał, dopiero kiedy Hamza aga przeczytał je na głos:

- Jestem więźniem. Zamkniętym w klatce swego ciała. A jednak nazywam się wolnym jak sokół. - Podniósł spojrzenie i dodał:

- Dżalaluddin. Mój ulubiony poeta.

- Mój także.

Turek raz jeszcze przebiegł wzrokiem po wyszytym złotą nicią napisie, tym razem ledwie poruszając wargami.

- Pofolgowałeś sobie przy ostatnim wersie - zauważył. - Poeta, zdaje się, mówił tylko o ptaku - Za całą odpowiedź musiało mu wystarczyć kolejne wzruszenie ramion. - No cóż - Hamza aga oglądał rękawicę na wszystkie strony - tak czy siak to wyśmienita robota, Władzie Drakulo. Teraz już wiem, jaki fach obierzesz na wypadek dnia pomsty. - Ostrożnie ściągnął rękawicę, z trudem oderwał od niej oczy, uśmiechnął się i rzekł: - Dziękuję. Odtąd będę ją zawsze nosił podczas polowań. I ilekroć będę polował, będę myślał o tobie.

- O niczym innym nie śmiałybym marzyć, effendi. Skłoniwszy się lekko, Wład odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia, a jego śladem z wielką ulgą podążył Ion. Byli już niemal w korytarzyku wiodącym na dziedziniec, kiedy zatrzymał ich głos Hamzy agi.

- Naprawdę masz się za więźnia, młody człowieku? Dlatego, że twoje ciało pozostaje zakładnikiem na dworze sułtana?

Wład nawet się nie odwrócił.

- Dobrze wiesz, effendi, co jeszcze napisał poeta - powiedział cicho. - Ja nie trzymam sokołów. One po prostu mieszkają ze mną. - Uśmiechnął się, aczkolwiek tylko Ion mógł to zobaczyć. - A ja mieszkam z wami - dodał, przestępując próg - do czasu.

Ion truchtał za nim, odruchowo zgarbiwszy plecy, jakby w oczekiwaniu polecenia powrotu do klasy albo razu pałką na łopatkach. Nie nastąpiło ani jedno, ani drugie.

2. RYWALE

Wład przystanął na chwilę, zamrugał powiekami, przyzwyczajając wzrok do blasku słonecznego. Rozmyślał o Hamzie adze. Wiedział, iż będzie za nim tęsknił. Dlatego że swą mądrość przekazywał uczniom za pomocą słów, nie ciosów. Dlatego że odkryli wspólne zainteresowania: poezję sufitów, filozofię Greków, sztukę polowania z sokołem. Tę ostatnią pasję dzielili naprawdę tylko raz, kiedy Hamza aga zabrał swoją ortę poza mury enderunu, wiodąc chłopców na okoliczne wzgórza. Rarogi podebrane z kojców sułtańskich tolerowały młodych obcych, na których dłoniach siedziały, i niektóre przyniosły im pośledniejsze ofiary w rodzaju dropia. Jednakże Hamza aga wybrał dla siebie ze szczeblastej klatki na tyłach seraju białozora, sokoła o upierzeniu tak białym jak śniegi jego rodzinnej krainy, i wypuszczał go w pościg za głuszcem, kuropatwą, zającem, a drapieжник posłusznie dopadał zdobyczy, po czym wracał na pięść sokolnika, aby dopominać się o nagrodę w postaci kawałka surowego mięsa. To wtedy Wład spostrzegł, że Hamza aga używa rękawicy sokolniczej, i już pierwszej nocy rozpoczął pracę nad swoim dziełem, podczas gdy inni chłopcy zażywali zasłużonego odpoczynku po nauce i zabawie. Do rzeczywistości przywołał go czyjś kpiący ton.

- A ja mieszkam z wami, do czasu! - szepnął Ion, parodiując mimikę kompana. - Czemu nie powiedziałaś tego bardziej wprost? Czyżbyś chciał stanowić dla nich tajemnicę?

- Owszem, pragnę, aby wróg gubił się w domysłach na mój temat.

- Zatem teraz Hamza aga jest twoim wrogiem?

- Oczywiście, że tak. Jest Turkiem. Lecz mimo to darzę go sympatią.

Wład pierwszy opuścił mury i wkroczył na wewnętrzny dziedziniec. Promienie palącego słońca, stojącego już w zenicie, dopadły ich natychmiast; na kamiennej posadzce obok jednego, długiego, nie odstępującego go nigdy cienia pokazały się dwa inne, krótkie. Przesuwały się szybko, gdy chłopcy rażno maszerowali przed siebie. Wład nieomal wyczuwał pytania kłębiące się w umyśle towarzysza i zastanawiał się z lekkim uśmiechem, które najpierw wydobędzie się na powierzchnię i przerwie zaległą ciszę. Tymczasem, póki obaj jeszcze milczeli, odwrócił się i z konieczności zadarł głowę. Czy to

możliwe, żeby Ion zmęźniał w ciągu ostatniej nocy? Dorastali u swego boku przez pięć długich lat tureckiej niewoli, lecz dotychczas Ion zawsze zdawał się rosnać tylko na wysokość. Wystrzelał w górę niczym młody pęd, choć prawie wcale nie nabierał ciała, tak że wciąż sprawiał wrażenie potykającego się o własne nogi źrebaka, nienawykłego do nowej postaci. On zaś cóż Nigdy nie będzie mu dane spoglądać z góry na większość przyjaciół i wrogów. Już teraz wielu musiało odstępować o krok, aby zobaczyć, co znajduje się za nim, wszakże sam był zdania, iż przydałaby mu się stopa wzrostu więcej.

Zatrzymał się znienacka, Ion, wciąż próbujący się uporać w myślach z natłokiem pytań i poukładać je według ważności, wpadł kompanowi na plecy.

- Ej! - krzyknął w zdziwieniu, zaraz jednak stał się ostrożny jak zaskoczone zwierzę. Cofnął się i zapatrzył na potężne dłonie tamtego.

- Na czym stanąłeś, Ion? - zapytał go Wład.

- Na czym stanąłem? - powtórzył Ion, spoglądając na ziemię, i dopiero gdy zrozumiał, o co chodzi jego towarzyszowi, podniósł spojrzenie. - Rękawica! Kiedy? Dlaczego?

Kiedy Wład podjął marsz, najpierw poruszyły się jego dwa cienie, a dopiero później dołączył do nich cień biegnącego za nim Iona.

- Pytasz, kiedy uszyłem rękawicę? Wtedy gdy ty przesiadywałeś w karczmie, śliniąc się do czarnobrewej Aiszy. Pytasz, dlaczego ją uszyłem? - Zwolnił kroku. - Sam chciałbym to wiedzieć.

- Nie udawaj, Wład - zachichotał przyłapany Ion. - Wszystko co robisz, ma swój powód i cel

- Doprawdy? - Wład westchnął. - Cóż, chyba masz rację. Chyba rzeczywiście zbyt wiele myślę i knuję. No więc - wydał wargi. - Uszyłem rękawicę, ponieważ pozostawało to w zasięgu moich możliwości, a także dostarczyło mi przyjemności. Zaś podarowałem ją Hamzie adze, gdyż go zwyczajnie lubię. - Popatrzył towarzyszowi prosto w oczy. - Czy taka odpowiedź cię zadowala?

- Nie - Ion odwzajemnił spojrzenie. - Mnie również lubisz, a mimo to nie podarowałeś mi nigdy niczego.

- Masz rację.

- Skoro tak, powiedz mi, jak było naprawdę.

- Zgoda. - Wład zaczerpnął tchu. - Skoro już musisz wiedzieć, to są jeszcze dwa powody oprócz uczucia sympatii. Jeden z nich byłby oczywisty

nawet dla półgłówka, drugi nieco trudniejszy do odkrycia

Ion zignorował docinek.

- Zaczniemy więc od tego oczywistego.

- Hamza aga jest znaczącym człowiekiem w swoim kraju. Pozostawał w bezpośredniej bliskości sułtana jako jego podcałki. Pławić się w blasku Murada to, przyznasz chyba, niezłe osiągnięcie, zwłaszcza jak na syna szewca z Lazu. Dlatego warto poznać go bliżej. Szanować go i samemu zyskać jego szacunek. Niewykluczone, że pewnego dnia przyjdzie nam z nim paktować.

- Nam?

- Nam, Drakulom - sprecyzował Wład. - Memu ojcu, braciom i mnie. Gospodarom Wołoszczyzny.

- Ach tak! A jaki jest ten drugi powód?

- Czy on nie przypomina ci Smoka?

Ion potknął się i zatrzymał.

- Twojego ojca? A to dobre! - Wyszczrzył się. - Wład Smok to pokurcz tak jak ty

- Pokurcz? Jak śmiesz!

- Przypominający diabła, zielonooki, ciemnoskóry, niebywale owłosiony, całkiem jak ty

- Ion, ostrzegam cię! Opisujesz ludzi czy jakieś pokracczne małpy?

- Hamza aga natomiast - zatoczył ręką, jakby portretując w powietrzu ich nauczyciela - jest wysoki, zgrabny, bladolicy i niemal tak urodziwy jak ja - zakończył, wplatając palce w gęste długie, złotopłowe włosy. - Tacy jak on i ja pochodzą wprost od rasy aniołów, Drakulowie zaś - urwał i potrząsnął grzywą.

Nie powinien był odwracać wzroku, jeśli już zdecydował się obrazić swego kompana. Wład pochwycił jego ramię, przystawił biodro do biodra, po czym w mgnieniu oka położył na obie łopatki. Nachylił się nad nim w chmurze pyłu i przysunąwszy twarz tak blisko, że czuli swoje oddechy, syknął:

- Nie mylisz się co do wyglądu mego ojca. Ja jednak mówiłem o wnętrzu. Zarówno Smok, jak Hamza aga kochają życie we wszystkich jego przejawach, a mimo to gotowi są je oddać, poświęcić każdą przyjemność, każdy nałóg w imię tego, co uważają za słuszne.

Ion poczuł w krzyżach kłujący ból, gdy jakiś kamień zaczął mu się wpijać w ciało ostrym kantem. Na domiar złego Wład ani myślał zwolnić

uchwytu, za sprawą wykręconego barku przysparzając mu dodatkowego cierpienia. Doprowadzony do furii wyrzucił z siebie:

- A ja myślałem, że nienawidzisz swojego ojca?

Wyraz twarzy Włada zmienił się z wojowniczego na poruszony. Nagle znikła cała jego zadziorność. Wyprostował się i podał przyjacielowi dłoń, podnosząc go na nogi.

- Ja nienawidzę ojca? Skąd ten pomysł?

Ion doprowadził odzienie do porządku, po czym odpowiedział:

- Stał, że oddał twojego brata i ciebie Turkom w niewolę. Odesłał was precz od wszystkiego, coście ukochali: od domu, macierzy, sióstr

Wład otrzepał dłonie.

- Nie podobało mi się, że to zrobił. Nie podobał mi się sposób, w jaki to zrobił, ale Ale nie miał wyboru.

- Otóż to - potwierdził Wład cichym głosem. - Gdy jest się skrupowanym i przywiązany do drabiniastego wozu, gdy jest się chłostany i zmuszany do lizania tyłka sułtanowi, nie ma się zbyt wielkiego wpływu na to, co się robi ani jakie decyzje się podejmuje.

Ion pożałował, że w ogóle wspomniał o wydarzeniach sprzed pięciu lat. Sułtan zwołał wtedy poselstwo do Gallipoli, a ufny Wład Smok zabrał na spotkanie swoich dwóch młodszych synów. Oczywiście okazało się, że zamiary Murada nie były pokojowe, wręcz przeciwnie. Władca Imperium Osmańskiego postanowił rzucić na kolana wasalą, który poczynił sobie nader śmiało, wchodząc w sojusze z największym wrogiem Turcji, Węgrami i ich przywódcą w osobie Jana Hunyadyego zwanego Białym Rycerzem. Wład Smok, zakuty w kajdany i praktycznie bezsilny, zrobił, co mu kazano. Obiecał płacić roczny trybut w złocie i oddać swoich dwóch synów do enderunu. Przyrzekł wspierać w każdej wojnie sułtana. Dopiero wtedy mógł powrócić do kraju rodzinnego. Sam. Pozostawiwszy swoje dzieci jako zakładników za dane słowo.

Ion byłby stał dalej w miejscu, gdyby nie to, że jego przyjaciel ruszył przed siebie szybkim krokiem.

- Wybacz, nie chciałem - powiedział, doganiając go.

- Nie przejmuj się - odparł Wład. - Nawet jeśli kiedyś nienawidziłem go za to, że mnie tu wysłał, teraz rozumiem, że nie miał innego wyjścia. Zrobił to, co musiał, aby pozostać wolnym i móc kontynuować swe dzieło. Co my wszyscy winniśmy czynić. - Obejrzał się za siebie. - Hamza aga otworzył mi na to oczy. Ta rękawica, godziny spędzone na jej szyciu, to niska cena za

naukę, jakiej mi udzielił.

Tak rozmawiając, doszli wzdłuż ogrodów do krańca wewnętrznego dziedzińca i przestąpiwszy pod dekoracyjnym portalem, wydostali się na zewnątrz. Zaraz jednak zatrzymali się w pół kroku. Na większym dziedzińcu kłębiły się setki młodzików pochodzących ze wszystkich chyba ort, krzyczących na siebie nawzajem i wzbijających tumany kurzu. Najbliżej bramy stali członkowie ich własnej orty. Na ten widok Wład i Ion jak jeden mąż odwrócili się na pięcie. Za późno.

- Władia, ach, Władia! - zewsząd rozległy się cmokania. - Spójrz tylko na swój nos! Jaki on ciemny, jaki brązowy! Jak głęboko tym razem wepchnąłeś go w tyłek nauczyciela?

Po latach spędzonych w swoim towarzystwie chłopcy znali się na wylot, doskonale wiedząc, gdzie uderzyć, aby zaboląo najbardziej. Wład Drakula miał dwie słabości: swój nos i stosunki z Hamzą agą. Gheorghe Mardic, jeden z Serbów, trafił w obie za jednym zamachem. Wzdychając z rezygnacją, Ion podążył śladem Włada kierującego się ku grupie chłopców, z których każdy miał na twarzy kpiący uśmieszek, w oczach zaś nietajoną ekscytację. Ta konfrontacja była nieunikniona od początku tygodnia, kiedy to Wład podczas ćwiczeń fizycznych bez trudu położył na ziemię obu braci Mardiciów, a potem wszystkich członków orty po kolei. Jeden na jednego nie mieli w starciu z nim najmniejszych szans, ale wszyscy razem

Wład przystanął kilka kroków przed nimi, trzymając ręce opuszczone wzdłuż tułowia.

- Masz mi coś do powiedzenia, Maksimie? - zapytał.

Potęźniejszy z Serbów - aczkolwiek żadnego z nich nie można by nazwać ułomkiem - skinął głową.

- Masz kłopoty ze słuchem, Nochalu? - padło przezwisko wywołujące zawsze salwy śmiechu.

Kiedy już zrobiło się ciszej, Maksim kontynuował:

- W takim razie powtórzę, co powiedział mój brat. Ten wielki wyrostek, który nazywasz swoim nosem, jest cały upaprany w gównie.

- W tureckim gównie - dodał dla jasności i wyciągnąwszy szyję, przypatrzył się rozmówcy uważniej. - A teraz widzę, że dziwnie brązowe zdają się również twoje brwi i włosy! - Pokiwał głową dla wzmocnienia efektu. - Czyżbyś wsadził Hamzie adze w dupę cały swój głupi łeb?

Ion odstąpił na bok, aby lepiej widzieć kompana. Gdy zobaczył jego lekki uśmieszek, spiął się cały, gotując do akcji. Niepozorny uśmieszek Drakuli

był swego rodzaju sygnałem, nie do pomylenia z żadnym innym.

Pozostali także musieli to wiedzieć, gdyż stłoczyli się, tworząc coś na kształt ostrza włóczni - Serbowie na przedzie, Petre Siedmiogrodzianin po ich prawej, Chorwat Zoran po lewej, a najmniejszy z nich wszystkich Konstantyn z Bośni w ariergardzie.

- Pięciu na dwóch - sapnął Wład, nie przestając się uśmiechać. - Takie już nasze wołoskie szczęście.

- Pięciu na trzech, bracie! - Krzyk doszedł spośród tłumu dalszych ort.

- Radu - odkrzyknął Wład, nie odrywając spojrzenia od przeciwników - zostań, gdzie jesteś! Zostaw to mnie.

- Miałbym przepuścić taką okazję? - Młodszy brat Włada przemknął przez ciżbę zwinnie niczym dzikie zwierzę i już był u boku Drakuli, wywołując swym pojawieniem się natychmiastowy kontrast.

Albowiem Radu był jaśniejszej karnacji, w miejsce czarnych jak noc miał włosy kasztanowe, oczy zaś nie zielone, tylko jasnoniebieskie, a jego cera nie nosiła żadnych śladów i zdawała się zdrowo zaróżowiona.

- Poza tym - ciągnął, przybierając postawę będącą imitacją postawy Włada: ręce opuszczone wzdłuż ciała, jedna noga nieznacznie wysunięta do przodu, ciężar rozłożony równomiernie - zaledwie wczoraj uczyliśmy się nowej techniki. „Jak skrócić kark Bośniakowi . - Popatrzył zadziornie na małego Konstantyna. - Wprost nie mogę się doczekać, by wypróbować ją w polu, nie w szrankach.

Wład zaniepokoił się. Już wcześniej zdarzało się, że walczyli w podobnym układzie - trzech na pięciu - i zawsze odbywało się to nielichem kosztem. Radu miał dopiero jedenaście lat, był postury raczej dziecięcej niż chłopięcej, a jego uroda przysparzała mu równie wielu przyjaciół co wrogów. Był łatwą ofiarą dla przeciwników, którzy nieraz w przeszłości starali się go oszpecić. Wład i Ion, próbując chronić go za wszelką cenę, sami wystawiali się na poważne niebezpieczeństwo. Mimo to Wład czuł dumę z tego, że ma brata u boku, że Drakulowie znowu zjednoczyli swe siły i działają razem.

- W takim razie pokaż nam, czego uczą w młodszych klasach - rzekł, nadal nie wykonując żadnego ruchu.

Mardyciowie zaszurali stopami. Najwyraźniej nie mieli żadnego pomysłu, jak walczyć. Prawdopodobnie nawet nie przypuszczali, że będą go potrzebować.

Ośmiu młodzików spoglądało po sobie bykiem. Wtem - prawie równocześnie - chłopcy zdali sobie sprawę z narastającego od dłuższej chwili

hałasu, któremu towarzyszyło wyczuwalne drzenie. Coraz silniejsze. Dwie nierówne grupki naraz odstały od siebie, wydostając się poza zasięg rąk przeciwnika. Osiem par oczu powiodło spojrzeniem dokoła.

Otaczała ich gruba warstwa pyłu. Ledwie dało się przez nią dostrzec niewyraźne sylwetki i posłyszeć niesione przez powietrze okrzyki. Cała ósemka chciała zejść z drogi rozpędzonym rumakom, lecz stała nadal jak zahipnotyzowana, kiedy stożkowata chmura wznieconego kurzu zbliżała się do nich w zastraszającym tempie. Wzburzyła się jeszcze bardziej, gdy konie poczuły w pyskach wędzidła i stanęły dęba, nagle powstrzymane. Kurz dławiał ludzkie gardła, grudki ziemi uderzały o ich ciała, sypki piach wywoływał piekące łzy. Potem wszystko zaczęło się uspokajać i nareszcie oczom zdumionych chłopców ukazały się postacie jeźdźców.

Wzrok przykuwała zwłaszcza jedna, dłużej niż pozostali utrzymująca swego wspaniałego białego wierzchowca w nienaturalnej pozycji, z uniesionymi w górę przednimi kopytami.

- Mehmed - szepnął Wład, krztusząc się opadającym już pyłem, krztusząc się znienawidzonym imieniem.

3. WYZWANIE

Wład nie odrywał wzroku od tureckiego księcia, który w końcu poluzował uchwyt cugli i pozwolił wierzchowcowi opaść przednimi nogami na ziemię. Nie widział go od przeszło roku, lecz szybko zauważył, iż syn Murada nie zmienił się zbyt wiele - przynajmniej z wyglądu. Może trochę pociemniała mu broda, w której połyskiwały czerwienią rude włoski, starannie przycięte i nadzwyczaj gęste. Może nieco złagodniał jego papuzi nos, wciąż wszakże dominujący nad pełnymi wargami. Na pewno zmianie uległa książęca postawa. Mehmed nigdy nie zaliczał się do skromnisiów, ale gdy przed paroma laty jego ojciec z niewiadomych przyczyn abdykował, mianując następcą tronu trzeciego w kolejności syna, młodzian poczuł się władcą całą gębą. Od kołyski wychowywano go do pełnienia tej funkcji, mimo to na razie pozostawał tylko nieopierzonym piętnastolatkiem panującym nad jednym z najpotężniejszych imperiów świata. W swej młodzieńczej zapalczywości ignorował słowa doradców, odsunął na bok najwierniejszych najemników, janczarów, dawał pole do popisu mistykom z gór, wzniewał niemądre wojny. Dywan, rada przyboczna sułtana, usiłował nakłonić Murada do powrotu na tron i starania te po jakimś czasie odniosły zamierzony skutek. Mehmed od roku znów był tylko księciem, następcą tronu, na którym zasiadał przez dwa krótkie lata. Został przymuszony do ponownego uginania karku przed starszymi i światlejszymi, do dawania posłuchu raczej aniżeli do rządzenia. Wład omiół wzrokiem twarz monarchy i w okamgnieniu odczytał piętno, jakim odcisnęły się na niej ostatnie doświadczenia.

- Drakula! - zakrzyknął syn sułtana, odwzajemniając spojrzenie. - Właściwie dwóch Drakulów. Dwóch synów Włada Diabła czy też Smoka i ich mała banda - Przyjrzał się wszystkim obecnym i szybko tracąc nimi zainteresowanie, zwrócił się do młodego Włada: - Ciesz się, że twój ojciec nadal zachowuje się jak powolna owca chroniąca swe jagnięta.

- A mnie ciesz, że twój ojciec - odparł szparko Drakula - nadal jest u władzy ku radości wszystkich poddanych.

Na policzki księcia wypełzł rumieniec. Młodzik zmusił wierzchowca do paru drobnych kroków w przód, rozpraszając tym samym grupkę chłopców.

- Niedługo znów będę rządził - syknął - ty zaś pozostaniesz tylko zakładnikiem sułtana. Moim zakładnikiem! Wtedy każę ci lizać ziemię u moich stóp.

- Możesz mieć potem trudności z chodzeniem bez małego palca u nogi
Ion stężał, oczekując na reakcję Mehmeda. Wszelako wybuch nie nastąpił, co więcej - zadufany w sobie młodzik uśmiechnął się pod wąsem.

- Smoczątko - rzekł z pobłażaniem. - Jak zwykle zadziorne. Łatwo ci pokazywać pazurki, gdy chroni cię status zakładnika. Dobrze wiesz, że nie wolno mi cię tknąć na razie.

- Wiem, że nigdy nie odważysz się tego uczynić, książątko.

- Czyżby? - Uśmiech następcy tronu rozszerzył się. - Nawet mając to? - Sięgnął ręką do tyłu, za głowę, i zdjął z pleców dziryt, o którym wśród ort krążyły opowieści, dzidę długości męskiego ramienia, bynajmniej nie tępo zakończoną. - Ty wszakże nie tknąłbyś mnie nawet wyposażony w broń. - Rozejrzał się wokół siebie. - Żaden z was, niewiernych, nie ma broni ani wierzchowca potrzebnych, aby podjąć takie wyzwanie. A może? Ośmiu na jednego, co ty na to, wołoski psie?

Ion dosłyszał podstępne nuty w jego głosie, które nie mogły także ująć uwagi Włada. Mimo wszystko ów przemówił:

- Ośmiu na jednego? Brzmi całkiem dobrze - Udał, że się zastanawia. - Nas ośmiu przeciwko tobie i twoim ludziom. Dlaczego nie?

Posykiwania, jakie rozległy się wśród zakładników, utonęły w bojowych okrzykach święty księcia. Mehmed musiał więc zawołać:

- Ale czym byłby pojedynek bez zakładu?

- Co proponujesz?

- Niech pomyślę - Mehmed uniósł oczy ku niebu. - Doszły mnie słuchy, że przyjaźnisz się z Hamzą agą. Że dzielisz z nim pasję łowów z sokołem. Jeśli uda ci się choć jedno pchnięcie, oddam ci swoją ulubienicę, cudną orlicę Szeherezadę.

Wszyscy - stojący na ziemi i siedzący w siodłach - wydali stłumiony okrzyk zdumienia. Za takiego ptaka można było kupić w stolicy imperium wystawny dom. Nawet Wład nie posiadał się ze zdziwienia.

- Ja ja nie mam nic równie cennego, by zaoferować ci w zamian

- To prawda! - potwierdził podniecony Mehmed. - Masz jednak młodszego brata, urodą nie ustępującego mojemu orłowi. Zastaw Radu Pięknego!

Wymieniony z imienia i przezwiska chłopiec splunął na ziemię.

- Nie jestem zwierzęciem ni przedmiotem, który by można zastawić. A poza tym nigdy bym nie

Wład objął brata ramieniem.

- Radu nie jest moją własnością, nie mogę więc nim dysponować - rzekł twardo. - Czego innego z mego mikrego majątku pożądasz?

- Hm - Mehmed przeniósł spojrzenie z krocza Radu na skryte pod hajdawerami genitalia pytającego. - Jest taki mały płatek skóry, całkiem ci zbędny. Czy przystoi, aby coś tak błaha oddzielało cię od miłości Allaha, niech Jego imię będzie błogosławione na wieki? Niektórzy powiadają, że znasz Koran nie gorzej ode mnie. Dlaczegoż miałbyś na tym poprzestać? Mój ojciec jest gotów zorganizować wspaniałą ceremonię obrzezania z okazji przyjęcia przez ciebie prawdziwej wiary, oczywiście już po tym, jak pokonamy waszą ósemkę. - Zgiął się w pół i pochylił nad stojącym przed nim młodym mężczyzną. - Jaka zatem będzie twoja decyzja?

Nie rób tego, zaklinał w myślach Ion, nie spuszczać oczu z przyjaciela, drząc na jego następne słowa. Które naturalnie zostały wypowiedziane.

- Mój napletek należy tylko do mnie, książę. Mogę więc rzucić go na szalę zakładu.

Pośród zakładników rozległy się zduszone szepty, Turcy ledwie hamowali wesołość.

- Zatem zakład stoi - zakrzyknął Mehmed, pozwalając rumakowi drobić w miejscu ciasne kółka. - Jeżeli żaden z waszej ósemki nie straci żadnego z nas, z chwilą gdy wszyscy znajdziecie się na ziemi, rozpocznę przygotowania do twojego wielkiego święta. Wezwę rzezaka, własnoręcznie naostrzę nóż. - Ściągnął cugle. - Zdobądźcie jakieś konie i stawcie się w szrankach.

Z tymi słowy odwrócił się i pogalopował na czele swoich ludzi; sylwetki wierzchowców i jeźdźców malały, każdą chwilą, znikając w chmurze pyłu.

- Coś najlepszego uczynił, Wołochu? - zapytał starszy z Serbów, Gheorghe, kaszląc przy każdym słowie. - Nie bylibyśmy w stanie dać im rady nawet we dwudziestu, a co dopiero w ośmiu! Dałeś się podejść jak dziecko, ufając złudnej przewadze. Ośmiu na jednego, też coś! - prychnął. - Mehmed i jego przybocznicy szkolą się w dżarodbazi, odkąd zaczęli stawiać pierwsze kroki, podczas gdy my

- Jeździmy konno równie dobrze jak oni - wpadł mu w słowo Wład. Wydawał się bardzo pewny siebie. - Potrafimy niezgorzej rzucać dzirytem. Jedyna zdolność, jakiej nam brakuje, to zwanie szeregów przeciwko wspólnemu wrogowi, w czym oni są mistrzami. Nie umiemy tego robić,

stając w szranki ani tutaj, na ćwiczebnym majdanie, ani walcząc z przeciwnikiem tam, w rodzinnym kraju - wskazał ręką na północ, po czym ruszył w tamtą stronę, kierując się ku stajniom. Idąc, nie przestawał mówić: - Bijemy się zawzięcie jako Serbowie, Chorwaci, Siedmiogrodzianie, Wołosi, a także jako Węgrzy, Frankowie, Wenecjanie - pozornie zjednoczeni w wierze chrześcijańskiej, lecz zarazem oddzielnie. Pozwalamy, by roznosili nas na swoich włóczniach i ścierali w proch, odrąbując członki. I tylko czasami, naprawdę rzadko, stajemy ramię w ramię, aby bronić wspólnej sprawy. A wtedy nie ma na nas mocnych i zdobywamy Jeruzalem. Niestety trwa to zbyt krótko, abyśmy mogli je utrzymać. I dlatego jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

- Chcesz nam powiedzieć, że dziś walczymy za twój napletek, a jutro za Ziemię Świętą?

Wszyscy roześmieli się na ponury żart Iona - wszyscy z wyjątkiem Włada Drakuli.

- Mamy bić się z nimi w imię świętej skórki, nie Krzyża Świętego? - zachichotał Zoran Chorwat.

- Nie. - Wład z powagą pokręcił głową. - Mamy bić się z nimi dlatego, że bez względu na to jakie animozje dzielą nas, z niewiernymi nie łączy nas zupełnie nic. To oni są naszym prawdziwym wrogiem. Wszyscy wierzymy w Chrystusa i nieważne, czy jesteśmy wyznania rzymskiego czy prawosławnego. Wszyscy musimy bronić swojej ziemi. Wszyscy powinniśmy być wolni, a nie uciemiężeni jarzmem Turka czy innego muzułmanina.

Dochodzili już do stajen. Pachołkowie, którzy dostrzegli ich już wcześniej, od dłuższej chwili krzatali się przy ich wierzchowcach.

- Ale jak mamy dokonać niemożliwego? - zapytał Petre.

- Mam pewien pomysł - rzekł tajemniczo Wład. - Nie zapominajcie, że wystarczy, abyśmy wysadzili z siodła tylko jednego z nich

Jego towarzysze już dosiadali końskich grzbietów. Każdy z nich podporządkowywał sobie zwierzę na swój własny sposób. Większość wbijała ostrogi, szarpała wędzidłem, pokazując, kto jest panem. Wład był świadom, iż dzięki temu łatwo okiełznać nawet najgroźniejszego rumaka. Powodowane okrucieństwem i bólem konie wypełniały wolę jeźdźców, wszelako nigdy w pełni nie jednoczyły się z człowiekiem, nie pragnęły tego samego, czego on pragnął.

W odróżnieniu od jego wierzchowca. Ilekroć go widział, odczuwał to

samo zadziwienie co przy ich pierwszym spotkaniu. Pozwolono mu wtedy dokonać wyboru spośród wszystkich koni Murada, a on oczywiście niechcący wskazał na klacz. Kalafat nie była podówczas w pełni wyrosnięta, w dodatku zaliczała się do koni turkmeńskich, a zatem znacznie mniejszych od typowych rumaków, ogromnych bestii wybranych przez resztę zakładników, aczkolwiek porażała urodą, będąc siwą piękną w hreczce z nieprawdopodobnie wprost bujną białą grzywą, od której wzięło się jej imię. Wszakże przyciągnęła jego wzrok nie z powodu wyglądu, lecz ducha - czyli tego, czego szukał w koniu, odkąd zaczął poznawać tajniki jazdy w siodle, a więc tydzień po tym, jak nauczył się chodzić. Nie zależało mu, aby poskramiać groźną bestię, już raczej aby nawiązać ze zwierzęciem kontakt i przyjaźń. Kiedy teraz jej dosiadał, czuł się tak, jakby stąpiali się w jedno, jakby z dwu istot przeistaczali się w mitycznego Centaura, ani człowieka, ani konia. Obdarzał ją pieczęcią za pomocą ruchów rąk trzymających lekko wodze, udami gładził jej boki. I nigdy nie używał ostróg. Pozostali już gnali wzdłuż linii dziryków wbitych w ziemię, pochylając się i w pędzie wyszarpując broń, by bez przestanku skierować się ku majdanowi. Wład miał właśnie pójść w ich ślady, gdy poczuł na ramieniu dłoń Iona.

- Dlaczego to robisz? - zapytał jego kompan.

Wład zapatrzył się w przestrzeń, niewidzącym wzrokiem spoglądając w stronę szranków, gdzie Turcy już tańczyli na swoich koniach, o czym dobitnie świadczył unoszący się wysoko obłok kurzu.

- Kismet.

- Co takiego?

- Rozmawialiśmy o tym zeszłego tygodnia.

- Przypominam sobie tylko, że ty i Hamza aga o tym rozmawialiście. Reszta orty musiała podpierać powieki palcami, żeby nie zasnąć - burknął Ion. - Kismet to inaczej fatum, czy tak?

- W pewnym sensie. Każdy człowiek rodzi się z przypisanym mu określonym przeznaczeniem. Nikt nie może go zmienić. Wszyscy jednak możemy się na nie przygotować. - Wskazał na zapyłony majdan. - Moim przeznaczeniem jest walka z Turkami. Moim fatum jest Mehmed, który ich poprowadzi na wojnę.

- A jaki to ma niby związek z tym, co chcesz przeprowadzić teraz?

- Muszę odkryć, jak go pokonać. Faktycznie, to ryzykowne, lecz im prędzej zacznę, tym lepiej. Kiedyś ta nauka mogłaby mnie kosztować więcej niż tylko kawałek skóry.

Ion potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Jesteś niespełna rozumu.

Wład rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Kiedy się domyśliłeś? - spytał i popędził do przodu.

Nachylając się tuż przy szyi Kalafat, wyrwał z ziemi dziryt. Prostując się w siodle, wyrzucił broń wysoko w powietrze, przyglądał się jej nieuchronnemu upadkowi, uniósł dłoń, by pochwycić drzewce i pozwolił dzirytowi spaść na ziemię.

- Wład! - zawołał Ion, marszcząc brwi. Jego księżę uśmiechnął się.

- To, że jestem niespełna rozumu, nie oznacza jeszcze, iż się nie boję. - Wydał kilka klaszczących dźwięków, które powstawały nie tyle w gardle, ile na granicy języka i podniebienia, a były zrozumiałym poleceniem dla Kalafat. Klacz opuściła kształny łeb, wyszczerzyła zęby i samymi wargami podniosła włócznię. Wład poklepał ją po szyi i odebrał broń. - Do boju! - krzyknął, kierując swe słowa na równi do wierzchowca i do przyjaciela.

4. SZRANKI

Przejechali na teren jeździecki, zakurzony prostokąt ubitej ziemi pomiędzy zewnętrznym murem enderunu a pierwszymi zabudowaniami Adrianopola, długi na około stu dwudziestu kroków, a szeroki na jakieś sześćdziesiąt. Dostając się nań, musieli przejechać mimo położonego od strony enderunu czerwonego słupa znaczącego niewielki obszar, na którym żaden z zawodników nie mógł zostać tknięty choćby palcem.

Czekała tam na nich reszta zakładników uformowana w półkole. Wład wjechał pomiędzy chłopców.

- Posłuchajcie mnie uważnie - rzucił, wskazując na odległy kraniec szranków, gdzie pod ochroną identycznego słupa zgromadzili się Turcy z Mehmedem na czele. - Mam pomysł, jak w łatwy sposób możemy ich pokonać

To mówiąc, zeskoczył z konia i posługując się tępym dzirytem, zaczął rysować w piachu miniaturowe odwzorowanie szranków, nie pomijając przy tym neutralnych stref na obu końcach.

- Dobrze wiemy, jak lubią walczyć Turcy. Zarówno w czas wojny, jak i podczas zabawy, jaką jest dżarodbazi, wyruszają z miejsca, w którym czują się bezpiecznie - dźgnął oszczepem turecką część szkicu - i wyzywają na pojedynek każdego, kogo napotkają po drodze. Naturą chrześcijańskiego rycerza zaś jest przyjąć wyzwanie samotnego starcia. Wywiązuje się walka, jeden ściga drugiego, zapalczywy rycerz miota dzirytem i najczęściej chybia, po czym do już bezbronego podejżdza inny niewierny i strąca go z siodła! Tymczasem zasady nie mówią nic o tym, że trzeba podejmować rzucone wyzwanie i walczyć samowtór. Zatem mamy prawo wystąpić wspólnie i pierwsi rzucić rękawicę ich ósemce, choć raz walcząc razem. Wy, Mardiciowie, moglibyście wieść prym, poprowadzić nas na Turka z serbskim okrzykiem bojowym, podczas gdy reszta

- Chowałaby się za naszymi plecami - dokończył za niego Gheorghe. - Zostalibyśmy strąceni jako pierwsi, a potem moglibyśmy tylko siedzieć i patrzeć, jak się zakradasz i zadajesz zdradziecki cios w obronie swej męskości.

- Nie! Słuchajcie! To może się udać! Zgoda, taka formacja miałaby na

celu ochronę, ale

- Ochronę - szydził Siedmiogrodzianin. - Zupełnie jakbym słyszał swego wuja opowiadającego o bitwie pod Warną. Podczas gdy Jan Hunyady, Biały Rycerz chrześcijańskiego świata, nadstawiał karku, twój ojciec trzymał swój sztandar zwinięty, uchylał się od walki, beczynnie przyglądając się, jak giną inni i

- Uchylał się od walki?! - Młodszy z Drakulów ryknął jak raniony tur i natarł na Petre swoim koniem. - Zapłacisz za swoje słowa

- Spokój! - krzyknął Wład, nadaremno jednak. Nie udało mu się rozdzielić walczących chłopców. Jego głos zginął pośród ogólnego tumultu, który przerwał dopiero dźwięk myśliwskiego rogu.

Wszyscy spojrzeli w stronę, od której dobiegł sygnał. Dwaj jeźdźcy zbliżali się do nich, znajdując się w odległości jakichś czterdziestu kroków. Tym, który właśnie odsuwał trąbkę od ust, był Abdul Raszid, obecny faworyt księcia, niewolnik rodem z Grecji. Przy ostatnim ruchu bransolety na jego nadgarstku opadły z cichym brzękiem, wszakże ani jeden starannie wymodelowany lok wokół oliwkowej twarzy nie zmienił położenia.

- Wy, którzy mienicie się książętami swoich krain! Zakładnicy sułtana! Niewierne psy! - zaczął, kłaniając się w parodii uprzejmego gestu, głosem ociekającym oliwą w tym samym stopniu co jego włosy. - Czy znajdzie się pomiędzy wami choćby para prawdziwych mężczyzn? Czy choćby jeden odważy się stawić czoło wojownikom walecznego Mehmeda?

- Nie waż się! - przestrzegł go Wład. - Wybierzemy sami

- A wybieraj sobie! - ryknął Mardić Maksim, stając w strzemionach. Opadł na siodło, wbił ostrogi w boki wierzchowca, wywołując przeciągłe rżenie, i szarpnąwszy wodze, zmusił zwierzę do stanięcia dęba. Gdy przednie kopyta opadły na ziemię, dodał: - Za Serbię i świętego Sawę! Kopnął raz jeszcze piętami, jego brat skopiował wszystkie gesty i wkrótce obaj szarżowali ku otwartemu polu.

Żaden z Turków nie wydawał się zdziwiony takim obrotem sprawy. Wszyscy od dawna byli gotowi do walki. Jednym ruchem rąk sprawili, że ich rumaki obróciły się w miejscu i już po trzech krokach znalazły się w pełnym galopie. Wyrówni Serbowie byli łatwym celem. Gheorghe próbował balansować na rozpędzonym koniu, z półobrotu miotając dzirynt, który haniebnie chybił przeciwnika. Już chwycił się grzywy swego konia, lecz jeden z Turków okazał się szybszy. Wykonał mocny zamach ręką, zanim Serb osiągnął zaznaczony czerwonym słupem fragment majdanu. Na nic

zdało mu się ranienie boków zwierzęcia ostrogami i rozpaczliwe podrygiwanie w siodle, nic nie mogło odwrócić uwagi napastnika. Dziryt trafił chłopca w bok, strącając na ziemię zaledwie parę kroków przed bezpieczną metą.

Z odległego krańca szranków i z lekkiego wzniesienia, na którym zdążyli się zgromadzić liczni gapie, dobiegł jęk rozpachy, wzmocniony zaraz okrzykiem tryumfu z przeciwnej strony, gdy Maksim spóźnił się o mgnienie oka i rzucił dzirytem w chwili, kiedy Abdul Raszid docierał do schronienia. Zresztą i tak by nie trafił, niemal natychmiast strącony przez innego Turka, który pojawił się nie wiedzieć skąd. Obaj Mardiciowie spuścili głowy na piersi i oddalili się w stronę stajni, starając się nie zważać na gwizdy i szyderstwa widowni.

- Czy teraz mnie posłuchacie? - zapytał Wład. - Wciąż jest nas szóstka i możemy

- Nic nie możemy - przerwał mu Ion, wskazując przed siebie. Poderwali głowy. Kolejni dwaj Turcy dołączyli do pobratymca, podnoszącego właśnie dziryt i tryumfalnym gestem wyrzucającego broń w górę, czym wywołał następną falę wiwatów. Jeden wysforował się do przodu, minął bezpieczną strefę zakładników, przystanął w odległości około dwudziestu kroków i wydał pogardliwie wargi.

- Zajmę się nim! - krzyknął Zoran Chorwat.

- Jest mój! - pisnął Bośniak.

- Nie, zostawcie go dla mnie! - zaprotestował Petre.

- Zaczekajcie - chciał ich powstrzymać Wład, lecz na próżno. Gdy wszyscy trzej wyprysnęli przed siebie, Turcy się rozdzielili: dwóch skierowało się na lewo, jeden na prawo, aczkolwiek nie w pełnym galopie. Prędkość zdawała się obiecywać zakładnikom zwycięstwo. Trzy dziryty poszybowały w powietrze równocześnie i wszystkie trzy spadły na ziemię, nie sięgnąwszy celu. Pobici chrześcijanie próbowali zawrócić w miejscu, uniknąć zbliżenia się do linii wroga, dołączyć do niedobitków, wszelako Mehmed, Abdul Raszid i kolejny Turek już jechali ku nim, niezbyt szybko, lecz bardzo pewnie, wiedząc, że z tak krótkiego dystansu ich ramiona nie będą potrzebowały dodatkowego wzmocnienia wywołanego prędkością wierzchowca.

Przynajmniej jeden z dzirytów chybił, aczkolwiek tylko o włos. Przez chwilę wydawało się, że mały Konstantyn zdoła uciec. Wszelako zaraz stało się jasne, iż tureckie rumaki są szybsze i lepiej ułożone. Dwaj Turcy podążyli

jego śladem, biorąc go w dwa ognie. Żaden nie mógł uderzyć, jako że wykorzystali już swój cios, trafiając po jednym przeciwniku każdy. Wszakże był zawodnik mogący dokończyć dzieła - Mehmed, który uprzednio puścił swój dziryt wolno, podjął go teraz z ziemi i powstrzymał konia pod sobą na samym środku majdanu. Ani Wład, ani nikt inny nie mógł nic poradzić. Wszyscy patrzyli bezradnie, jak Bośniak jest dostarczany do księcia w eskorcie aż dwóch jeźdźców niczym kosztowna przesyłka albo zwierzę prowadzone na rzeź. Mehmed pozwalał mu zbliżyć się coraz bardziej, aż wreszcie wychylił się w siodle i wzięwszy potężny zamach, wyrzucił dziryt z całych sił. Broń uderzyła chłopca prosto w twarz. Jego przeraźliwy krzyk, wydany tuż przed tym, zanim stoczył się z końskiego grzbietu, był widowym znakiem, iż został poważnie zraniony. Ległszy na ziemi, nawet się nie poruszył. Mehmed uniósł zaciśniętą pięść w geście tryumfu, po czym jakby nigdy nic odjechał ku swojej części pola. Na majdan wybiegli słudzy. Turniej zawsze przerywano, gdy zdarzył się ciężiej ranny uczestnik, toteż teraz ocalali w rozgrywce chrześcijanie bez przeszkód wyprzedzili niewolników w drodze do leżącego. Wład w okamgnieniu ześlizgnął się z grzbietu Kalafat i położył sobie głowę Konstantina na udach.

- Chryste Panie! - przeżegnał się szybko.

Twarz malca była nie do poznania. Nos przy złamaniu przesunął się na jedną stronę policzka, oko zdążyło już napuchnąć i właśnie pokrywało się sińcem, całkowicie zamknięte. Z gardła ofiary dochodziły charczące dźwięki, toteż Wład czym prędzej zmienił pozycję, sadzając chłopca i tłukąc go w plecy na wszelki wypadek. Moment później na piasek chlusnęła krew i odłamki kości.

- Słodki Jezu - szepnął Ion, który także zsiadł z końskiego grzbietu i teraz przykucał przy towarzyszach niedoli.

Radu pozostał w siodle, skąd odwracał wzrok.

- Co, na Boga? Jak? - rozległy się wokół pytania, gdy słudzy wreszcie do nich dobiegli. Jedni stali tylko z opuszczonymi rękami, inni starali się podnieść nieprzytomnego zawodnika. Wład tymczasem odszedł parę kroków i schylił się po coś.

- Jak? Tak! - odpowiedział, podnosząc dziryt Mehmeda. Kawalek wyprawionej miękkiej skóry, który miał zapobiegać ciężkim obrażeniom, zamiast tkwić doń przyczepiony, dyndał u krańca dzirytu, obnażając zaostrome topolowe drewno. - Wydłubał przytrzymujące kołeczki, ale oczywiście nigdy tego nie przyzna, chociaż

- Niewierny pies! - Ion podniósł się z kucek, czując, jak ogarnia go wściekłość. - Ja go

- Nic na razie nie rób! - powstrzymał go Wład, podchodząc do Kalafat i wskakując na siodło. - Zajmiemy się tym razem. Nareszcie tak jak trzeba - Powiódł wzrokiem od jednego do drugiego chłopca. - Czy Wołosi w końcu dadzą mi posłuch?

Obaj młodzikowie skinęli poważnie głowami. Chwilę później Konstantyna ściągano z majdanu, a Drakulowie i Ion pędzili w stronę swojej bazy. Obejrzawszy się przez ramię, Wład zobaczył Mehmeda w otoczeniu siedmiu rośliwych Turków, podawali sobie z rąk do rąk skórzany bukłak, świętując zwycięstwo kumysem. Przez moment poczuł w kroczu nieprzyjemne pieczenie, lecz zaraz wziął się w garść i zwrócił do swych kompanów:

- Słuchajcie, bo nie będę dwa razy powtarzał. Zrobimy we trójkę to, co pierwotnie zaplanowałem dla całej ósemki.

- Ale, bracie - zaprotestował słabo Radu. Głos miał płaczliwy i wciąż oglądał się nerwowo za siebie, jakby czując na karku oddech wrogów. - Żaden z nich nie został strącony. Wystąpią przeciwko nam wszyscy jak jeden mąż. Nie mamy nawet cienia szansy.

- Nie znasz ich tak dobrze jak ja, Radu. Mehmed nigdy nie przepuści okazji, by przechwalać się przed swoimi - machnął ręką, wskazując nierzednącą widownię - którymi jeszcze niedawno władał i których sułtanem niebawem znów będzie. Zechce udowodnić sobie i poddanym, że jest niezwyciężony. Przyjmie wyzwanie, ponieważ nade wszystko pragnie mnie pokonać. Gdyby mógł, osobiście pozbawiłby mnie napletka, przybliżając do swego boga - bezwiednie się skrzywił. - Nadmierna duma doprowadzi go kiedyś do zguby, na razie jest tylko jego słabością. Jeżeli podjedziemy do nich, tak jak stoimy, trzech z nich podejmie rękawicę. On będzie jednym z tej trójki. I dlatego zrobimy tak, jak wam powiem.

Mówił dalej szybko, nie umiając powstrzymać podniecenia. Zresztą plan nie był zbyt skomplikowany. Ojciec rzekł mu kiedyś, iż na polu bitwy, pośród niezliczonych komplikacji i utrudnień, prostota jest w najwyższej cenie i na ogół wyśmienicie się sprawdza. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, iż podobna zasada obowiązuje na majdanie turnieju dżarodbazi. Dosiadają koni - zauważył Ion.

- A my już siedzimy pewnie w siodle - rzucił Wład. - Wykorzystajmy to!
- Ścisnął lekko udami boki Kalafat i poprowadził swoich towarzyszy, krajan i

poddanych, na wroga. Mehmed stanął w strzemionach.

- Czujesz już to, diabelskie nasienie? - zawołał, chwytając się za krocze.
- Niedługo się przekonasz, że wszystko działa sprawniej bez tego lichego kawałka ciała.

- Wiem, że jesteś uzdolniony, jeśli chodzi o odcinanie różnych rzeczy. Tutaj mam tego dowód - potrząsnął trzymanym w rękę dzirytem Mehmeda, na co poluzowany kołpak zatrzepotał w pędzie powietrza. - Nie wydaje mi się jednak, abyś miał odciąć cokolwiek mnie. - Uchwycił pewnie dziryt, cofnął się na tyle, na ile pozwalało mu siodło, po czym wyrzucił go przed siebie. Mehmed uchylił się, wydając z siebie pisk. Był równie rozzłoszczony jak przestraszony.

- Nie macie prawa miotać w nas broni, kiedy jesteśmy za czerwonym słupem.

- Przecież nic ci nie zrobiłem - stwierdził lekceważącym tonem Wład, ani myśląc hamować Kalafat. Wściekłość zatrzymała Mehmeda w miejscu, co trzej Wołosi wykorzystali, zbliżając się jeszcze bardziej, zanim nawet Turcy zdążyli drgnąć.

- Masz! - krzyknął Ion, podając Władowi następny dziryt.

- Teraz?

- Jeszcze nie Uwaga Teraz!!!

Radu wrzasnął, uderzył piętami boki rumaka, zmuszając go do skręcenia lekko w lewo. Jeden z Turków obrał go sobie na cel, zamachnął się, chybił, zawrócił ku swojej bazie. Radu rzucił się za nim w pościg.

Znad majdanu uniósł się tuman pyłu. Mehmed i Abdul byli już zaledwie trzydzieści kroków przed nimi - trochę daleko, aby oddać celny cios, wszelako niezbyt daleko dla doświadczonego uczestnika turniejów. Wład jednak swój plan opierał na tym, iż księcia Turków poniesie pasja, zgubi go pewność wygranej. Dlatego pochylając się nad ciepłą szyją Kalafat, nadal cwałował strzemię w strzemię z Ionem, smukłe ciało przyjaciela mając za tarczę ochraniającą go na razie przed wrogiem. Zostali zmuszeni do zmiany kierunku na zachodni, ku stajniom. Mogli opuścić majdan, ponosząc sromotną porażkę, albo

- Teraz! - krzyknął znów Wład i Ion posłusznie szarpnął uzdę, zwracając najpierw tylko głowę konia, a potem całe jego ciało w lewo, ku przeciwnikom.

Wład zrównał się z nim w okamgnieniu, nadal zdając się jego cieniem. Wreszcie, jakieś dwadzieścia kroków od wroga, w pełnym pędzie

wysforował się lekko do przodu, wystawiając na cel.

Przeciwnicy już byli w zasięgu rzutu. Dwaj Turcy odchyliłi się w siodłach równocześnie, po czym niewolnik pierwszy wypuścił dziryt, kładąc się lekko na jedną stronę. Oszczep mknął nisko, przecinając powietrze ze świstem, by w końcu trafić Iona w bok. Wład usłyszał odgłos uderzenia, nagły krzyk przyjaciela, lecz nie spuszczał oczu z Mehmeda, który gotował się do rzutu, do swego zwycięstwa, tak jak on do swojej ostatniej szansy.

Wszystko jakby zwolniło, nawet dźwięki dochodziły przytłumione, a może gapie faktycznie zamiast drzeć się wniebogłosy, zaczęli teraz szeptać z wrazenia, konie powściągały rżenie, a uczestnicy okrzyki bólu czy tryumfu. Wład był świadom jedynie świstu dzirytu Mehmeda mknącego ku niemu do wtóru trzepotu poluzowanego kołpaka. Sam także pozwolił, by oszczep opuścił jego palce

I nagle czas znów przyspieszył, wszystko rozgrywało się już w normalnym tempie. Dziryt doleciał do jego głowy, on błyskawicznie się schylił i wyrzucił ramię w górę, aby pochwycić drzewce w pustej przestrzeni nad sobą. Był to gest, o jakim marzył każdy uczestnik dzarodbazi, lecz rzadko kto miał go okazję wykonać, wzbudzając niekończące się wiwaty na trybunach. Nie popisali się nim Turcy ani nawet książę Mehmed, którego nagle w całości pochłonęło kierowanie krnąbrnym rumakiem, aby uniknąć zderzenia z wierzchowcem Włada i czym prędzej schronić się za czerwonym słupem

Tymczasem Wład nacierał nań bez znużenia, deptał mu po piętach, znajdował się już tylko o trzy długości konia - nie dość blisko, aby strącenie uznać za niehonorowe, nie dość daleko, aby chybić. Muśnięcie wodzy spowodowało, że Kalafat delikatnie przechyliła łeb w prawo. Wtedy, wykorzystując pęd szarżującego konia oraz siłę własnego ciała odchylonego maksymalnie do tyłu, rzucił się w przód i tuż przed tym, jak Turek dostał się w zasięg bezpiecznego schronienia, cisnął dzirytem, celując w sam środek jego pleców.

Niemal w tej samej chwili rozległ się suchy trzask pękającego drewna, będący dla uszu Włada najmiłszą muzyką. Trafił. Mehmed musiał być tego samego zdania, ponieważ z przeraźliwym okrzykiem wyskoczył z siodła, stoczył się w bok i runął na ziemię. Minąwszy go w pełnym galopie, Drakula obejrzał się i z ulgą zobaczył, że leżące w pyle ciało porusza się - liczył, iż nie było ich przeznaczeniem, aby Mehmed zginął tego dnia z ręki nieletniego zakładnika. Jeszcze większą ulgą napawała go inna myśl, którą

wyartykułował do siebie, wracając do stajni i nieznacznym gestem nakrywając krocze.

- Jeszcze przynajmniej przez jakiś czas się nie rozstaniemy - szepnął i rozciągnął wargi w uśmiechu.

5. ODALISKA

Tłum ruszył naprzód, aby nacieszyć oczy rzadkim widokiem wyrzuconego z siodła księcia. W większości cisnęli się chrześcijańscy niewolnicy, którzy nabrali odwagi i hartu ducha wskutek przejściowego tryumfu. Nieliczni próbowali ich powstrzymać, chwytając za ręce, obejmując za barki, Ion parł w przeciwnym kierunku, dobrze wiedząc, iż za żadną cenę nie wolno im napawać się zwycięstwem. Wkrótce obaj przeciskali się pośród obcych stojących w tylnych rzędach, nieświadomych tego, kto właściwie stracił Mehmeda na ziemię.

Ramię przy ramieniu wspięli się po schodach wiodących do przejścia ponad majdanem i stajniami, będącego po części blankami, z których w razie konieczności można było bronić centralnej partii miasta, po części zaś zwykłym chodnikiem wykorzystywanym, gdy w dole kłębiła się nieprzebyta ludzka ciżba. Nawet tutaj, w górze, rozstawiono kramy, toteż dwaj chłopcy z łatwością ukryli się w cieniu markizy sprzedawcy soków, dodatkowo osłonięci przed oczami wścibskich misterną konstrukcją porzuconego palankinu, którego tragarze niewątpliwie dołączyli do rozkrzyczanych gapiów na gorąco komentujących zajście w szrankach. Z bezpiecznej odległości, popijając sok z owocu granatu, oni także spoglądali na ubitą ziemię, gdzie właśnie przetaczano Mehmeda na plecy i pomagano mu stanąć na nogach. Przez moment utrzymał się w pionie - aczkolwiek na rozstawionych szeroko stopach - zaraz jednak zgiął się wpół, opierając dłonie na kolanach. Z ruchu warg można się było domyślić, iż nie przestaje mówić. Otaczali go jego ludzie, z każdym padającym słowem baczniej przepatrujący okolicę, by w końcu ze zwieszonymi głowami zbliżyć się do swego księcia i zdać mu raport. Wład nie miał wątpliwości, kogo próbowali odnaleźć w tłumie. Zobaczył też, że Mehmed bierze zamach i z impetem uderza jednego ze swoich ludzi w twarz, po czym sam krzywi się boleśnie.

- Żal mi jego niewolników - odezwał się Ion. - Dziś wieczór w seraju z pewnością odbędzie się pokazowe bicie.

- I gwałty - dodał z podnieceniem Radu, który niepostrzeżenie dołączył do starszej dwójki. - Mężczyzn stłucze na kwaśne jabłko, a kobiety zniewoli. Chociaż może będzie na odwrót - Zaczerwienił się nagle, przypomniawszy

sobie, iż o mały włos sam stałby się dzisiejszą zdobyczą krewkiego księcia.

- Mmm - jęknął Ion. - Słyszałem, że ma już pięć odalisk ! A ledwie skończył szesnaście lat, tak jak ja. Czy jest na tym świecie sprawiedliwość? Czarnobrewa Aisza z karczmy ani myśli lec ze mną choćby raz

Wład uśmiechnął się nieznacznie.

- Cóż, Ion, ty przynajmniej dokonujesz jakichś wyborów. Mehmedowi tymczasem jest wszystko jedno, z kim się zadaje: z mężczyzną czy z kobietą. Byłby gotów wychędożyć drewniany kołek, gdyby stał wystarczająco długo w słońcu, aby się rozeschnąć i pokazać dziury po sękach

Nagły śmiech - głęboki, dudniący, od serca - zaskoczył ich w pół zdania. Nie dlatego, że doszedł z palankinu, który mieli za pusty. Nawet nie dlatego, że niewątpliwie wydawała go kobieta. Przede wszystkim dlatego, że między sobą rozmawiali zawsze w rodzimym języku, którym poza nimi nie posługiwał się nikt inny w całym Adrianopolu. To znaczy, tak uważali aż do dziś. Palankin stanowiło drewniane pudło, którego górną część przesłaniała gęsta kratka, w dolnej zaś umieszczono siedzisko. Zewnętrzne ścianki upiękuszono scenkami rodzajowymi, w tym wypadku przedstawiającymi polowanie na grubego zwierza, wypuszczanie sokoła za ofiarą, uctowanie po łowach. Przyglądając się palankinowi uważniej, Wład spostrzegł, iż rzeczywiście wcześniej przegapił siedzącą w nim osobę, a nawet jednego z tragarzy, próbującego gestami przywołać pozostałych, których uwagę nadal przyciągała scena na majdanie.

- Kim jesteś? - zapytał szeptem, przybliżając usta do misternej kratki z drewna.

Cisza zdawała się trwać wieki. W końcu, gdy Wład niemal już stracił nadzieję na odpowiedź, padło krótkie: - Jestem odaliską - wypowiedziane w jego rodzimym języku.

- Czyją? - dopytywał Wład.

I znów długie milczenie poprzedziło słowa kobiety.

- Mężczyzny, który jak się dowiaduję z poszeptywań tłumu, właśnie leży w pyle odarty z godności.

- Jesteś odaliską Mehmeda? - zdumiał się.

- Tak - potwierdziła. - Jestem jego nową gózdę, a raczej będę nią od jutra. Wiesz, co znaczy to słowo?

- Wybranka.

- Właśnie.

Ion stawał się coraz bardziej nerwowy.

- Odejdźmy stąd - pociągnął przyjaciela za ramię. - Chyba wiesz, jaka kara cię czeka za zaczepianie odaliski Mehmeda? Biczowanie co najmniej. Odejdźmy, zanim

Wład wyrwał się i nachylił do kratki palankinu przesłaniającej postać w środku.

- Mówisz moim językiem. Skąd pochodzisz?

- Z wioski nieopodal Curtei de Arges. To niedaleko

Przerwał jej.

- Wiem, gdzie to jest. Moja rodzina ma w tamtej okolicy ziemie.

- Twoja rodzina?

- Drakulowie - odszepnął. - Jestem

Zza kratki dobiegł syk wciąganego powietrza.

- Syn Smoka!

W tej samej chwili znad majdanu uniósł się donośny krzyk. Blanki okupował istny tłum żądny rozrywki, toteż nie sposób było dojrzeć nic z tego, co rozgrywało się w dole.

- Radu - poleciał sucho Wład - idź zobacz, co się tam dzieje. - Chłopiec niechętnie usłuchał polecenia starszego brata, który natychmiast zwrócił znów uwagę na palankin. - Jak cię zowią?

- Odkąd zostałam niewolnicą, wołają mnie Lama.

- „Meszek nad górną wargą - wyszeptał Ion.

- Zgadza się, lecz na chrzcie nadano mi imię Ilona.

- Ilona - powtórzył Wład. - To węgierskie imię, znaczy tyle co „blask albo „gwiazda .

- Znasz dobrze węgierski?

- Wystarczająco.

- Mój ojciec był Węgrem - wyjaśniła. - Matka wywodziła się z Wołoszczyzny.

- Jak się dostałaś do niewoli?

- Kiedy miałam dziesięć lat, Turcy najechali na naszą wioskę. Zostałam sprzedana kupcowi, u którego zajmowałam się sprzątniem, ale po jakimś czasie jego żona doszła do wniosku, że jestem ładna zbytnie ładna i kazała mnie odsprzedać. Trafiłam do byłej odaliski sułtana, która mnie wychowała, nauczyła wszystkiego, co sama umiała, czyli tańczyć, śpiewać, umilać czas recytowaniem poezji i grą na lutni - do jej głosu zakradła się niższa nuta - a także tego, jak zadowolić mężczyznę na tysiąc sposobów - dokończyła.

Pomimo niepokoju Ion postąpił krok do przodu i również nachylił się ku

mówiącej.

- Czy czy poznałaś wielu mężczyzn? - spytał ją Wład. W jego głosie pobrzmiwał smutek. Ilona roześmiała się ponownie.

- Ani jednego! Chociaż byłbyś zdumiony, wiedząc, ile okazji po temu miałam, mieszkając u mej pani w dzielnicy garnarzy. - Jej śmiech umilkł nagle. - Jako pierwszą odebrałam lekcję tego, iż nie daje się darmo mężczyźnie niczego, za co można być sownie wynagrodzoną. Dlatego nadal jestem dziewicą. I pozostanę nią aż do jutrzejszej nocy w seraju Mehmeda. - Wesołość zniknęła, lecz nie zastąpił jej smutek ani żadne inne uczucie. To z jakiegoś powodu sprawiło, iż Wład spochmurniał jeszcze bardziej.

- Pragniesz tego, co ma nastąpić?

- Czy pragnę? - powtórzyła niczym echo. - Ja niczego nie pragnę, ja istnieję, aby spełniać pragnienia innych ludzi. Takie jest moje przeznaczenie. Kismet Nie mam wyjścia, jak tylko pogodzić się z nim.

- Kismet? - podchwycił Wład, obrzucając niespokojnym spojrzeniem kłębiący się wokół tłum. Teraz już niemal dotykał ustami oddzielającą go od niej kratownicę. - A gdyby twoim przeznaczeniem okazało się jednak coś innego? Gdybyś miała możliwość wyboru?

Z palankinu dobyło się prychnięcie.

- Nigdy nie było mi wolno decydować o sobie. Niby dlaczego teraz miałabym nagle zyskać możliwość wyboru?

- Ponieważ ja mogę ci to zapewnić.

Stojący tuż obok Ion, chłonący niewieści głos i wyobrażający sobie usta, od których wzięło się jej niewolnicze miano, szarpnął się do tyłu, usłyszawszy ostatnie słowa przyjaciela. Natychmiast zrozumiał, iż Wład posunął się za daleko, wykraczając poza ramy zwykłej rozmowy, i tak będącej wystarczającym powodem do surowej kary. Mimowolnie wysunął rękę i pochwycił łokieć towarzysza, sycząc przy tym:

-Nie!

Wład nie uczynił żadnego gestu, by strącić dłoń kompana. Po prostu odwrócił się i obdarzył go przeciągłym spojrzeniem, Ion w milczeniu cofnął rękę. Zza ich pleców zaś dobiegł ledwie słyszalny, acz natarczywy głos:

- O jakim wyborze mówisz?

Wład uśmiechnął się i oderwał wzrok od Iona, całą swoją uwagę znów poświęcając niewidocznej w palankinie Ilonie.

- O wyborze pomiędzy tym, czego życzą sobie inni, a tym, czego ty pragniesz Wewnątrz lektyki zapadła cisza, podczas gdy na zewnątrz

narastał harmider.

- Mehmed! Mehmed! - skandował zbliżający się tłum.

Ludzie wycofywali się w górę schodów, przylegali ciasniej do blanek. Wszystko wskazywało na to, że księżę wraz z eskortą wspinają się ku nim. Wład i Ion wymienili szybkie spojrzenia, gdy podbiegł do nich zadyszany Radu, pokazując ręką za siebie.

- Mam przyjaciela - kontynuował pośpiesznie Wład - kupca z naszych ziem. Jego barka stoi zacumowana w porcie. Ów przyjaciel nienawidzi Turków całym sobą, za to uwielbia brzęczącą monetę. Połasi się na srebro, którym obsypie go mój ojciec, jeśli uda mu się dowieźć cię bezpiecznie do domu.

- Do domu? - powtórzyła, jak gdyby słowa te nie należały do jej języka. Po chwili podjęła pewniej, wyraźnie rozzłoszczona: - Skoro już mowa o wyborze, ten wybór będzie twój, czyż nie? Możesz postąpić, jak powiedziałeś, albo uczynić coś zupełnie innego, ja nie mam na to żadnego wpływu

Teraz już dwoje ust dotykało kratownicy. Młodego mężczyznę i młodą kobietę rozdzielał tylko kawałek drewna.

- Ja już podjąłem decyzję - stwierdził Wład. - Teraz kolej na ciebie.

- Co on wyprawia? - zainteresował się Radu, odzyskawszy dech w piersi, Ion w odpowiedzi tylko potrząsnął głową.

Napierający tłum wychylał się przez zwieńczenie blanek, aby lepiej widzieć księcia. Stojący najbliżej schodów spostrzegli już jego wykrzywioną bólem twarz, to, że Abdul Raszid podpierał go z jednej strony, w końcu wzrok nielicznych spoczął na trzymanej przezeń w ręku pałce. Moment później padł pierwszy cios, po którym przyszyły następne.

- Psy! - krzyczał syn sułtana. - Podłe szakale!

Ludzie rozpierzchali się w panice, wokół sypały się razy, przekleństwa i szeptane w pośpiechu modlitwy. Do palankinu zbliżali się tragarze obnażeni do pasa, co wskazywało na ich status. Wład usunął się w cień, kiedy mijał ich zaślepiiony Mehmed, lecz zaraz znów wystąpił do przodu.

- Wybieraj! - rzekł nagłaco.

Niewolnicy już schylali się do długich tyczek lektyki. Ich nadzorca pchnął krótkim kijem w pierś Włada, chcąc usunąć go z drogi. Młodzian przyjął cios mężnie, opierając się na pałce, gdy nadstawał uszu w oczekiwaniu na odpowiedź. Ta nadeszła, dopiero gdy palankin podniesiono.

- Przyjdź po mnie.

Z tymi słowy zniknęła im z oczu. Trzy pary oczu śledziły wolny postęp lektyki pośród wciąż gęstego tłumu. Kiedy Wład uczynił krok w tym samym kierunku, Ion po raz trzeci złapał go za rękaw.

- Nie możesz - zaczął, lecz umilkł pod palącym spojrzeniem przyjaciela.

- Dlaczego nie?

- Pobić Mehmeda podczas dżarodbazi to jedno. Zresztą uczyniłeś to w równej walce, nikt nie odważy się twierdzić inaczej. Ale porwać jego odaliskę - Wzrok młodego Drakuli nie zmienił się ani na jotę. - Nie zapominaj, że masz do czynienia z człowiekiem, który tak ukochał swój ogród, że kiedy zniknął jego pokazowy ogórek, osobiście rozplątał brzuchy siedmiu ogrodnikom, by odnaleźć zaginione warzywo.

- I ponoć je znalazł, tak przynajmniej słyszałem. Do czego więc zmierzasz?

- Do tego, że nie chciałbyś mieć w nim wroga!

- On już jest moim wrogiem. Nic, co uczynię, tego nie zmieni ani w jedną, ani w drugą stronę. I wiesz co? - Odwrócił się raz jeszcze, by spojrzeć za tłumem podążającym w ślad za swym przyszłym panem i raz po raz wykrzykującym jego imię. - Mam przeczucie, że któregoś dnia przywiedziemy się do śmierci. On mnie albo ja jego. - Sięgnął do tyłu, uniósł odstawiony wcześniej drewniany puchar i dopił sok. Połyskliwy nektar błysnął w promieniach słońca, barwiąc zęby Drakuli czerwienią. - Lecz nie mówmy o tym więcej, przyjacielu. Czyż nie słyszałeś jej śmiechu?

Zanim Ion zdążył cokolwiek powiedzieć, Wład odstaviał z hukiem puste naczynie.

- Chodźmy już! - rzucił rozkazująco. - Musimy ją śledzić, jeśli mamy się dowiedzieć, gdzie na razie mieszka.

To rzekłszy, ruszył przodem, Ion i Radu zmitrężyli chwilę, popatrując na siebie i chórem pytając słabo:

- My?!

6. WYBRANKA

Nie wszystko było nieprzyjemne podczas przygotowań do defloracji. Prawda, obudzono ją wcześniej, z chwilą gdy muezin zaczął wzywać najwierniejszych z wiernych na pierwsze modły. Zawsze dotąd Ilona przesypiała zawodzenia świętego męża, nie tego dnia jednak.

Powietrze wciąż było chłodne po nocy, gdy wyciągano ją z łóżka, które dzieliła z Afaf. Jej niczego nieświadoma towarzyszka tylko coś burknęła przez sen, odwróciła się na drugi bok i zachrapała. Zarzucono na jej ramiona pelerynę, nie pozwoliwszy się pierwiej odziać, ponieważ zgodnie ze zwyczajem trzeba było obejrzyć ją całą dokładnie. Dlatego została poprowadzona do niewielkiego hammamu, będącego częścią domostwa, gdzie u wejścia tkwił sporej wielkości kamienny blok. Kiedy już na nim stanęła, zdarto z niej okrycie, pozostawiając ją nagą i drżącą, z oczyma wbitymi w ziemię, bezbarwnym spojrzeniem, rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia i dłońmi skierowanymi wewnętrzną stroną na zewnątrz, ciężarem ciała przeniesionym na jedną stopę wykręconą do granic możliwości, tak aby żadna z jej części nie była ukryta. Niewolnice krążyły wokół niej, szczypiąc ją to tu, to tam, dotykając wszędzie, wkładając palce w najbardziej intymne zakamarki. Robiły co mogły, aby zachować spokój - dość często się zdarzało, że odsyłano stąd dziewczynę, aby została odaliską jakiegoś zwycięskiego dowódcy czy bejlerbeja albo nawet wezyra - wszelako przychodziło im to z trudem. Ten dzień był inny i Ilona to wyczuwała. Nie minęło wiele czasu, a nawet najbardziej powściągliwe i małomówne niewolnice poszeptywały między sobą z podnieceniem.

Dziś bowiem jedna z nich miała zostać posłana sułtanowi.

Ale czy na pewno sułtanowi? zmarszczyła brwi Ilona i zaraz wypogodziła oblicze na dźwięk szczekliwej komendy którejś ze starszych kobiet. Mehmed był sułtanem przez jakiś czas, potem utracił ten tytuł, lecz mówiło się, iż niebawem znów zdobędzie władzę nad imperium, jeśli taka będzie wola Allaha. Te komplikacje konfundowały ją, aczkolwiek nie miały większego znaczenia. Liczyło się to, że z jakiegoś powodu wybrał właśnie ją, zwróciwszy uwagę na tę jej część, z której nawet nie zdawała sobie sprawy. Dwadzieścia dziewcząt przemaszerowało przed obliczem Mehmeda w jego

seraju. Żadna z nich oczywiście nie widziała księcia, lecz on widział je wszystkie, widział ją, Ilonę. Dlatego teraz była gózdę, wybranką monarchy.

Stąd to podniecenie obsługujących ją niewolnic, stąd ich niezwykła drobiazgowość. Ilonie wyłożono już wagę książęcego wyboru, to, w jaki sposób może on wpłynąć na jej życie. W seraju Mehmeda było już wprawdzie pięć odalisk, żadna z nich jednak nie urodziła mu syna. Jeśli zdoła go zadowolić, a zatem sprawić, aby wracał do jej łóża wystarczająco często, by uczynić ją brzemienną, tak żeby mogła wydać na świat jego dziecko, jego syna, jej przyszłość rysować się będzie w różowych barwach. Odaliski, które urodziły sułtanowi syna, nieraz stawały się żonami, a żony otrzymywały nie tylko wolność, ale i władzę. Wolność pomyślała Ilona i westchnęła. Ciekawe, co to takiego?

Zerknęła przez zasłonę rzęs na Hibę, przełożoną odalisk, która właśnie pojawiła się w wejściu. Pani domostwa przy ulicy Rahiq rzadko kiedy okazywała którejkolwiek z nich swoje zainteresowanie, tym razem jednak obrzuciła wystawioną na pokaz dziewczynę uważnym spojrzeniem. Przystanęła w progu z rękoma założonymi na obfitych piersiach, pod którymi strój rozpychał okazały wałek tłuszczu na brzuchu, przechyliła głowę lekko w bok. Wreszcie zaklaskała w tłuste dłonie, aż rozdźwięczyły się liczne bransolety.

- Już czas! - zawołała piskliwie. - Wykąpcie ją i odziejcie.

Nie wszystko było nieprzyjemne w życiu niewolnicy. W trakcie pierwszej dekady jej egzystencji, w czasie gdy jeszcze mówiła o sobie: „wolna”, ani razu nie wzięła kąpieli. W domostwie przy ulicy Rahia kąpała się każdego dnia i nie wyobrażała sobie, aby mogło być inaczej. Doceniała możliwość zanurzenia się w gorącej pachnącej wodzie, wzmacniający ciało i ducha efekt zimnego natrysku, to, jak ciepła para sauny otulała ją, otwierając wszystkie pory skóry, i oczyszczające działanie leniwie polewającej ją wody podczas splukiwania, zanim została opatulona w rozgrzane na kamieniach zwoje miękkiej materii. Dzisiaj troszczono się o nią szczególnie. Masowano jej ciało delikatnymi gąbkami, potem nacierano wonnym mydłem, znowu masowano specjalnymi rękawicami bez palców, by w końcu sprawdzić czystość każdego wzgórką i każdego zagłębienia. Jej mocne orzechowe włosy zostały umyte w wodzie lawendowej i schludnie splecione w warkocz opadający na plecy. Później kazano jej przenieść się na łóżę, gdzie zajęły się nią kobiety o drobnej budowie, lecz silnych rękach, którymi ugniatały, masowały, gładziły i uciskały fragment po fragmencie, przebiegając ciepłymi

dłońmi w górę i w dół po jej ciele aż do granicy bólu, by zaraz obdarzyć ją subtelną pieśczęcią. Na sam koniec namaszczone ją olejkami, co przysporzyło odpowiedzialnej za to zadanie natir siwych włosów, jako że zapach musiał utrzymać się na skórze dziewczyny aż do późnej nocy i utrafić w gust syna sułtana. Na szczęście Hiba w zaufaniu dowiedziała się od klienta jednej z dziewcząt, janczara, który zeszłego tygodnia siłował się z Mehmedem w zapasach, że książę pachniał mieszaniną imbiru i drzewa sandałowego, co było łatwą do uzyskania kombinacją, prostą w wymowie, aczkolwiek z lekką męską, i uznała, że to co okazało się dobrym wyborem dla syna sułtana, sprawdzi się również dla jego wybranki, po czym zamówiła cały słoik perfum. Po ablucjach i masażu Ilona wreszcie zasiadła w krześle - w dalszym ciągu naga, lecz ani trochę nie zziębnięta, gdyż w pomieszczeniu było ciepło od palenisk i oddechu podnieconych kobiet: krzątających się przy niej oraz dopilnowujących przygotowań. Te ostatnie polegały na otomanach, od niechcienia sięgając po słodkości i popijając je herbatą jaśminową. Ilonie wolno było tylko skubnąć co nieco i ugasić pragnienie łykiem napoju. Odpowiedniego czasu wymagało wysuszenie jej długich włosów, które następnie ufryzowano w loki, albowiem tak nosił się obecny faworyt księcia, Abdul Raszid. Następnie długie minuty debatowano nad tym, który kuplet jakiego poety wypisać henną w postaci literackiego węża zaczynającego się na jej karku, wijącego się przez piersi i brzuch i dosięgającego wzgórka łonowego, wciąż lekko zaczerwienionego po usuwaniu włosków za pomocą kaustycznej mikstury, potrzebującej aż dwu aplikacji dzień po dniu, aby zabieg przyniósł zamierzony skutek. Kobieta mająca wykaligrafować napis na skórze czekała cierpliwie z boku, aż zapadnie decyzja. Kiedy w końcu wybór padł na Dżalaluddina i jakiś urywek dotyczący lotu ptaka - Ilona nie była pewna, nie posługując się płynnie językiem perskim - musiała dzielnie znosić łaskotanie malutkiego pędzelka tańczącego na jej skórze.

Przygotowania do defloracji trwały od świtu do wieczora. Dzień upływał na śmiechach i przy muzyce fletu, to wyciągającego weselsze, to znów pełne zadumy nuty. W pewnym momencie kazano jej zatańczyć. Dość, by przywrócić ją rzeczywistości i przypomnieć, kim naprawdę jest, aczkolwiek nikt nie śmiał wątpić, iż w danym momencie była najlepszą spośród nich wszystkich, nie dość jednak, aby wywołać choćby cień znużenia czy przygnębienia w jej oczach.

W miarę jak niewolnice wykonywały zleczone im zadania i jedna po

drugiej wymykały się na wewnętrzny dziedziniec, w pomieszczeniu robiło się coraz bardziej pusto, aż pozostały tylko we trzy: Hiba, która miała dokonać jej sprzedaży, Taruba, która miała jej towarzyszyć aż do komnaty księcia, oraz ona - Ilona, wybranka następcy tronu i przyszłego sułtana imperium. Stała znowu w skromnej pozie, z oczyma spuszczoneymi na ziemię, podczas gdy Hiba krążyła wokół niej, przyglądając się uważnie końcowemu efektowi i nakazując a to dodanie nieco barwiczki na usta, które bynajmniej nie potrzebowały dodatkowego koloru, a to wymienienie jednego z pierścieni na palcach u nóg, również bez żadnego powodu. Sprawdziła nawet, czy dzwoneczki u pasa dziewczyny poruszone wydają melodyjny dźwięk i czy jeden z nich milczy nawet silnie potrącony.

Hiba uderzyła w niego paznokciem kolejny raz.

- Jesteś pewna, że go odzujesz w ciemnościach?

- Tak, pani.

- Zamknij oczy i pokaż mi, jak to robisz.

Taruba odpięła pas i ułożyła go na podłodze. Ilona przymknęła powieki, uklękła na podłodze i w milczeniu jęła przebiegać palcami po metalowych dzwonach, zaś odnalazszy ten tylko jej znany, umieściła paznokieć pod miniaturową przykrywką i zapytała:

- Czy mam go otworzyć, pani?

- Ryzykując, że poplamisz welon? Głuptas z ciebie! Niech pozostanie dobrze zamknięty do chwili, kiedy zaczną ci się kleić oczy. Mężczyzna lubi dowiedzieć się o poranku, że nocą posiadał prawdziwą dziewicę. Dlatego na wypadek gdybyś jednak nie krwawiła, co przecież jest całkiem możliwe, użyj gołębiej krwi. Wysmaruj się nią sama, ale przede wszystkim wysmaruj jego. Niech jego bułat błyszczy od posoki, tak jak lubią oni wszyscy - zaśmiała się skręklawie i zwróciła do Taruby: - Nie zapomnieliśmy o niczym?

Służąca uśmiechnęła się szeroko.

- Moja pani przyćmiłaby nawet gwiazdę zaranną - rzekła z zachwytem.

- Hm - mruknęła Hiba. - Czystość jest dobra o poranku. Nocą każdy mężczyzna potrzebuje czegoś zgoła odmiennego. - Popatrzyła na Ilonę tak, że dziewczynie przebiegły po plecach ciarki. - Pamiętasz wszystko, czego cię nauczyłam?

Zapytana przełknęła ciężko ślinę, skinęła głową.

- Tak myślę, pani

- Myślisz? - ofuknęła ją Hiba. - Powinnaś mieć pewność! Albowiem musisz być przygotowana na wszystko! Mężczyźni bywają kapryśni w

swoich życzeniach, a o Mehmedzie powiada się, że jest nadzwyczaj wymagający, jeśli chodzi o te sprawy a zarazem zmienny niczym wiatr na pustyni. Może zapragnąć pisać dla ciebie poezje i czcić cię jako jutrzenkę, bijąc ukłony przed tobą i twą - dźgnęła ją palcem w spojenie łonowe - albo wziąć cię brutalnie niczym chłopca tutaj - ostry paznokieć przesunął się i zagłębił w miękkie ciało, wywołując nagły spazm.

- Może zapragnąć twoich łez albo śmiechu, albo jednego po drugim. Czy jesteś gotowa spełnić jego każdą zachciankę?

Ilonę ogarnął strach; ten sam strach, z którym minionej nocy kładła się spać i który dotąd rozpraszały intensywne przygotowania do defloracji. Strach, ale i coś jeszcze.

- A czy mam wybór? - warknęła.

Taruba zakryła usta ręką ze zdumienia na wybuch swej pani. Hiba uniosła wysoko dłoń, lecz zaraz ją opuściła, nie chcąc uszkodzić towaru, za który jeszcze nie otrzymała zapłaty.

- Głupia dziewczucha! Wydaje ci się, że gdzie jesteś, co? Za kogo się masz?! Wybór! - prychnęła.

- Też coś! Twoim jedynym wyborem jest odgadywać życzenia swego pana. - Okręciła się na pięcie i wyładowując złość na służącej, huknęła: - Załóż jej welon!

Taruba posłusznie podeszła do stojaka i z wielkim trudem ściągnęła zeń nakrycie głowy, takie było ciężkie od srebrnych i brązowych monet doczepionych po obu stronach skroni. Wysłannik Mehmeda wyraził się na ten temat jasno, nie było co do tego wątpliwości, aczkolwiek niezrozumiałe pozostały zamiary księcia, jako że zazwyczaj monety przy welonie oznaczały status albo żony, wskazując na bogaty posag, albo prostytutki, wskazując na jej umiejętności i powodzenie wśród klientów. Hiba mruknęła pod nosem, że taką właśnie rolę przyjdzie odegrać dziewczynie - żony albo dziwki. Może nawet obu naraz. Tymczasem Taruba nasunęła skórzany czepiec, uprzednio dopasowany do głowy jej pani, tak że teraz pasował jak ulał. Wzdłuż jej twarzy i szyi, opadając aż na ramiona, zwisały pobrzękujące monety, które przesłaniały jej widok na to, co było przed nią. Potężna Hiba nagle zamieniła się w niewyraźny kształt, odstępujący na bok i wciąż doszukujący się dziury w całym.

- Bardzo dobrze - rzuciła w końcu pochwałę. - Możesz już iść, Lamo. Nie pozwól, abyśmy musiały się za ciebie wstydzić. Niech Allah błogosławi cię w twym dziele i wynagrodzi za twe zdolności.

Ilona ruszyła przed siebie, raczej słysząc i czując, niż widząc zgromadzone w przedsionku kobiety. Przez całą drogę towarzyszyły jej westchnienia i szept. Idąc długim korytarzem, rozpoznawała głosy i sylwetki dziewcząt, z którymi dzieliła dom i los w ciągu ostatnich czterech lat. Nigdy więcej ich nie zobaczy. Na tę myśl do oczu napłynęły jej łzy, lecz od razu je stłumiła, przypominając sobie uczucie gniewu, który ogarnął ją przed paroma chwilami. Kontury oczu miała obwiedzione henną i nie chciała zniszczyć wizerunku ani nadziei swej pani na hojną zapłatę. Takie było jej przeznaczenie, od kilkunastu lat wiodące ją ku temu dniu, ku tej nocy. Kismet zapisany w gwiazdach i niedający się zmienić. Wiedziała, że nie ma wyboru.

Ledwie to sobie uświadomiła, wydała zduszony okrzyk. Podobnie jak o strachu, w ciągu długiego dnia przygotowań zapomniała o czymś jeszcze. O tym, że ktoś dał jej wybór. Że wziął jej los w swoje ręce. Że zaoferował jej coś, czego nikt nigdy wcześniej jej nie dał.

Gdy zamknęły się za nią ostatnie drzwi, gdy stała czekając, by otworzyła się brama domostwa przy ulicy Rahiq, Ilona nie musiała już przywoływać gniewu. Sam ją odnalazł. Kto dał młodemu Drakuli prawo do wzbudzania w niej nadziei? Cóż ten młodzik może w ogóle zrobić? Sam jest tylko zakładnikiem! Nieledwie więźniem, kimś odrobinę lepszym od niewolnika. Takim ludziom nie pozostawiano wyboru. Zaraz powiodą ją w zamkniętym palankinie do seraju Mehmeda. Książę posiadzie ją na tyle sposobów, na ile zechce. Ona tylko będzie musiała otworzyć fioletową fiołkę z gołębią krwią i wysmarować nią jego i siebie, na wypadek gdyby nie krwawiła dość przekonująco. Ani jej w głowie decydować o sobie

Brama otworzyła się i Ilona przez swą zasłonę ujrzała niewyraźny zarys lektyki. Obok pojazdu stało sześciu strażników z seraju uzbrojonych w błyszczące halabardy. Czterech innych mężczyzn, obnażonych do pasa, stało przy drążkach palankinu, to pojawiając się, to znów znikając z widoku za sprawą brzęczących jej przy uchu monet. Ilonie zrobiło się słabo, zatoczyła się na mur, lecz natychmiast poczuła uścisk dłoni Taruby na swoim łokciu. Służąca podparła ją swoim ciałem i gdy uznała, że jej pani odzyskała równowagę, powiodła ją ku jej przeznaczeniu, rozpoczynając długą drogę, która miała się zakończyć u drzwi komnaty Mehmeda. Ilona zrobiła pierwszy krok po schodkach prowadzących z domostwa na ulicę Rahiq i zamarła. Coś sprawiło, że mimowolnie przystanąła. Spojrzała ponad dachem lektyki, w mroczną bramę po drugiej stronie ulicy. Pomimo zasłony dojrzała tam

stojącego mężczyznę. Z zakrytą twarzą jak u niej, z głową omotaną chustą uniemożliwiającą rozpoznanie. Właściwie widać było wyłącznie jego oczy. I chociaż spotkała go tylko raz i rozmawiała z nim przez kratownicę palankinu, rozpoznała go od pierwszego wejrzenia.

Obróciła głowę, by przyrzeć mu się lepiej. Monety zabrzęczały, na moment ukazał się jej w całości, by już za chwilę zniknąć za srebrnym krążkiem. Gdy zarzuciła głowę w drugą stronę, w bramie nie było nikogo. Zapamiętała go więc takiego, jakim ujrzała w tej krótkiej chwili. O oczach zielonych jak wzgórza Wołoszczyzny, o nagłym, gorącym spojrzeniu i z czającym się za zasłoną uśmiechem.

Ona również się uśmiechnęła - do siebie. Cały jej gniew uleciał nagle niczym wypuszczony z sideł ptak.

7. PORWANIE

Zobaczył ją, lecz nie mógł mieć pewności, iż ona widziała jego. Maszerując przed lektyką w dół ulicy, Wład uśmiechnął się do siebie. Rzecz jasna nie zobaczył jej naprawdę, ani teraz, ani przedtem. Kiedy rozmawiali, odgradzała ją odeń gęsta kratka palankinu, natomiast przed chwilą ujrzał tylko jej sylwetkę z twarzą przesłoniętą welonem z metalowych krążków. Zastanawiał się, jak wygląda. Czy jest piękna czy też raczej odrażająca? A jeśli ten uwodzicielski głos wydaje jakaś ohydna starucha? - pomyślał i zaraz potrząsnął głową, odrzucając tę ostatnią możliwość. O gustach Mehmeda powiadało się, iż są dziwaczne, jednakże Wład nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek zarzucał synowi sułtana fascynację brzydotą. Zresztą jej wygląd nie miał większego znaczenia; liczyło się to, iż jest jego krajanką, która znalazła się w niebezpieczeństwie. I choć nasłuchiwał się licznych wspaniałych historii o Turkach, w głębi serca nadal nosił opowieści snute bądź śpiewane przy ogniu płonącym na ojcowskim zamku, które chłonał w dzieciństwie całym sobą i w które wciąż wierzył. A na każdym chrześcijańskim dworze prym wiodły legendy o królu Arturze i jego rycerzach. Nic dziwnego więc, iż teraz Wład postrzegał się jako Lancelot broniący czci Ginewry.

Aczkolwiek żywił pewne wątpliwości, czy opowieść byłaby taka sama, gdyby Ginewra okazała się paskudą, albo czy historia potoczyłaby się tak samo, gdyby na nosie Heleny Trojańskiej w przeddzień wojny wyrosła ogromna brodawka. Takie sprawy nie powinny mieć żadnego znaczenia. W istocie - nie miały go. Dał swoje słowo i musiał go dotrzymać. Tylko to się liczyło, nic innego. Z ulicy Rahia do seraju Mehmeda wiodły dwie drogi. Jedna prosta jak strzeł, druga prowadząca ogródkami. Plan Włada wymagał, aby palankin podążył tą ostatnią.

Długa, wąska i kręta ulica Rahia kończyła się przy fontannie, gdzie rozdzielała się widełkowato. W lewo odchodziła szeroka aleja, którą wszakże tarasowały liczne stragany ustawione po obu stronach i tłoczący się wokół nich ludzie wybierający produkty na wieczerzę. Po prawej zaczynała się jeszcze węższa uliczka, prowadząca lekko pod górę i do małego meczetu, naprzeciwko którego - dość perwersyjnie - rozsiadł się rząd karczem. Spoglądając ku tej odnodze w nadziei, iż wszystko tam, w górze, czeka

gotowe, Wład skręcił w lewo i wtopił się w tłum sprzedawców i kupujących. W jego planie ziała w tym miejscu wielka biała dziura; oczyma wyobraźni widział tylko chaos, który powinien wywołać - pytaniem pozostawało, jak to uczynić.

Pierwszy kram oferował arbuzy, w całości i w kawałkach. Przywiązany do lichej konstrukcji tkwił osiołek, który wydawał się posągiem żywego stworzenia: stał, jak to osły mają w zwyczaju, z jednym tylnym kopytem ledwie opartym o podłoże, gotów do nagłego bryknięcia, i z pustym wzrokiem wbitym w ziemię, a wyłączną oznaką tego, że żyje, było leniwe poruszanie pyskiem w próbie przeżucia czystego powietrza. Co za tępak, pomyślał bezwiednie Wład, próbując z ogólnego harmideru wyłowić stukot podkutych butów strażników ochraniających lektykę. Wkrótce hałas jakby ścichł, brzęk miedziaków urwał się jak nożem uciął, podczas gdy coraz głośniejsze stawały się okrzyki: „Przejdźcie, zrobić przejście! . Wład obejrzał się za siebie, dostrzegł srebrny hełm z czaplami piórami wiodącego orszak bolukbasiego i w duchu ocenił odległość; dzieliło ich zaledwie dwadzieścia kroków. Zagryzając wargę, spojrzął znów przed siebie i nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Odczepił drewnianą pałkę od pasa, zadarł ogon osła i wraził ją na długość łokcia w ośli tyłek.

Rozpętało się pandemonium. Tylnie kopyto rozminęło się z jego czaszką dosłownie o włos. Wład uskoczył w czeluść bramy, poza zasięg rozwierzganych kopyt, a mimo to dosięgły go inne przedmioty, które wbrew swojej naturze nagle zaczęły latać - najpierw ćwiartki i całe głowy arbuzów, potem także fragmenty straganu. Jako że osiołek był połączony sznurem z drewnianym kramem, wkrótce i zwierzę, i lada stały w poprzek ulicy, tarasując przejście i uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

Wład wyjrzał spod warstwy tego, co go zasypało, i zerknął w kierunku zbliżającego się orszaku. Ów przystanął jakieś dziesięć kroków przed rozwidleniem dróg. Mimo że osioł ryczał, jakby go zarzynano, a właściciel straganu i kupujący darli się wniebogłosy, głos potężnego dowódcy straży poniósł się daleko:

- Zrobić przejście, chamy!

Przechodnie rozpierzchli się w okamgnieniu, tak że na placu boju pozostał tylko kupiec - staruszek o wydatnym garbie. Mężczyzna pokuśtykał w stronę dostojnika, zatrzymał się w stosownej odległości, pokłonił nisko i składając dłonie w proszalnym geście, zaczął zawodzić:

- Effendi, zrobię, co się da, ale to przeklęte zwierzę, niech Allah je uka

Nie dokończył, gdyż osioł wierzgnął ponownie, trafiając swego pana w pierś i posyłając niczym z katapulty w stojący naprzeciwko stragan, z którego misternie ułożony towar potoczył się na ziemię, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć „Ooo!”, natomiast nędzne resztki kramu z arbuzami utkwily dokładnie pośrodku ulicy, kiedy rozwścieczone zwierzę nareszcie uwolniło się z pętającego je sznura i pokłusowało na oślep przed siebie, kosząc po drodze gapiowatych ludzi.

Bolukbasi powiódł ponurym spojrzeniem po pobojuwisku, po czym zagrział:

- Pójdziemy tędy! - i pokazał alternatywną trasę.

Wład pozwolił orszakowi oddalić się nieco, zanim ruszył jego śladem.

- Gotowa? - szepnął, rażno maszerując.

- Wciąż nic?

Radu potrząsnął głową. Przebiegł się do rozwidlenia i z powrotem już czwarty raz. Opadając na ławę obok Iona, wymamrotał:

- Może zdążyli skrócić w drugą stronę

- To niemożliwe. Wład przyszedłby po nas. Wie, że nie mamy ani chwili do stracenia

Ion popatrzył na mescid naprzeciwko i poruszył się niespokojnie. Muezin ledwie skończył nawoływać na wieczorne modły. Jako że był piątek, zakładnicy mogli pozostać poza murami szkoły dopóty, dopóki ostatni wierni nie opuszczą meczetów. W wypadku choćby krótkiej zwłoki czekała ich sroga kara z ręki Hamzy agi. Lecz nie tylko dlatego się denerwował. W karczmie, w której przysiedli, poza linią głów licznych gości podskakiwała postać czarnobrewej Aiszy, wciąż przez niego nie zdobytej. Do czoła przykleił się jej brązowy kosmyk włosów, który właśnie odgarnęła czerwoną szmatką trzymaną w dłoni, na co jeden z mężczyzn wyrwał jej gałganek i przyłożył do ust, parodiując ssanie, czym wywołał salwę śmiechu - także jej. Ion mimowolnie jęknął, a Radu błędnie to zrozumiał.

- Dlaczego oni siedzą tu i siedzą, zamiast odpowiedzieć na wezwanie muezina?

- Oni? - Ion oderwał spojrzenie od ukochanej i wyjaśnił: - To bektasze. Ich obowiązują inne zasady.

- Myślałem, że to janczarzy - marudził chłopiec.

- To są janczarzy - potwierdził Ion.

- Ale przecież wszyscy janczarzy są muzułmanami.

- To prawda. Skądkolwiek się wywodzą, aby dołączyć do janczarów, muszą przejść na islam.

Radu zmarszczył brwi, usiłując połączyć fakty. Wreszcie wyrzucił z siebie:

- Koran zabrania picia gorzałki i wina.

- To też się zgadza. Gdyby był tu z nami twój brat, z pewnością umiałby zacytować odpowiedni wers. Jednakże ten zakaz nie powstrzymuje od picia wszystkich. Powiadają, że nawet sułtan, Murad, od czasu do czasu sobie folguje. A wielu janczarów przystąpiło do bractwa derwiszów zwanych, jak już ci mówiłem, bektaszami. Też są wyznawcami Allaha, ale nieco innymi. Na przykład - wyteżył wzrok, wpatrując się w obnażony muskuł na ramieniu jednego z pijących i podziwiając tatuaż przedstawiający słonia. - Na przykład ci z siedemdziesiątej dziewiątej orty przystąpili do bektaszy. Kultu, który dopuszcza odsłonięte twarze u kobiet - spojrzął z wyrzutem na śmiejącą się Aiszę - niezwiązane włosy i picie alkoholu.

- Ale

Ion uciszył chłopca gestem podniesionej dłoni. Dobrze wiedział, że jeśli we właściwym momencie nie postawi się tamy pytaniom Radu, zaleją potężną falą, tłamsząc wszystko inne.

- Idź sprawdzić rozstaje.

- Przecież dopiero co stamtąd wróciłem!

- Nie dyskutuj, tylko idź!

- Kto tu jest synem księcia? - burknął Radu, lecz wstał posłusznie.

Ion skorzystał z okazji i ponownie zapuścił żurawia do wnętrza karczmy, tym razem jednak nie dostrzegł nigdzie Aiszy. Pewnie zeszła do piwniczki po nową butlę raki. Oni także kupili kilka dzbanów - „hubki dla płomieni”, jak powiedział Wład. Zawsze miał sposób na wszystko, począwszy od wygranej w grze w kości, przez podkradanie piskląt z sokolego gniazda, a skończywszy na pokonaniu Mehmeda w turnieju dżarodbazi. Jednakże wybranka sułtana nie była ptaszkiem na drzewie tuż po pierwszym pierzeniu, gotowym, by go odebrać. Ion miał nadzieję, że cokolwiek Wład sobie zamierzył, wprowadzi w życie już wkrótce, zanim ucichną modły w pobliskim meczecie, zanim na ich chrześcijańskie plecy zaczną spadać ciosy pałki Hamzy agi. Nagle dojrzał biegnącego w jego stronę Radu. Za chłopcem, spoza zwykłego o tej porze tłumu, wyróżniała się potężna sylwetka bolukbasiego wystrojonego w nie swoje piórka. Ion zerwał się z miejsca i uczynił to, co przykazał mu Wład. - Patrzcie! - krzyknął. -

Nadchodzą dupowłazy Mehmeda!

Wład, podążający dziesięć kroków za palankinem, usłyszał okrzyk przyjaciela, zobaczył pierwszych klientów karczmy występujących spod zadaszenia na drogę i uśmiechnął się. Powszechnie znana była zacięta rywalizacja pomiędzy janczarami a strażą pałacową. Zarówno jedna, jak i druga formacja zaliczała się do elity, ulubieńców sułtana. Tyle że pajucy - halabardziści należący do straży - byli niemal w całości Turkami i wolnymi ludźmi, janczarzy zaś w większości konwertytami z chrześcijaństwa i niewolnikami pomimo swego wysokiego statusu. To tylko zaogniało konflikt pomiędzy dwiema grupami i teraz mogło się przyczynić do sukcesu Włada.

Poruszał się zwinnie, aż znalazł się o długość konia za zakrytą lektyką, skąd pomimo okrycia głowy widział wyraźnie profil prowadzącego orszak bolukbasiego. Dowódca straży bardzo się starał, aby puszczać mimo uszu uwagi na temat jego męskości, proveniencji oraz bestialstwa. Wład zdawał sobie sprawę, iż rozkazy zabraniają mu wdać się w burdę uliczną z klientami jakiejś tam karczmy, toteż był świadom, że być może będzie musiał pomóc wypadkom.

Straże maszerowały równo, nie gubiąc kroku i tylko na wyraźne polecenie dowódcy obniżając w pewnym momencie halabardy. Przez moment Wład myślał, że skończy się na obelgach i jego plan spali na panewce, kiedy orszakowi drogę zastąpił olbrzymi mężczyzna.

- Popatrz, jaką gładką mam skórę! - krzyknął, zadzierając koszulę. - Jakie bujne włosy! - przeciągnął dłonią od krocza do szyi, zaplåtując palce w gęste blond owłosienie. - Obnaż się, effendi! Porównajmy naszą urodę!

Wład znał tego człowieka. Jego niewolnicze miano brzmiało Abdul Karim - „sługa potężnego pana” - jednakże najczęściej nazywano go Svenem ze Szwecji, co odkrywało jego prawdziwe pochodzenie. Nikt nie wiedział, w jaki sposób dostał się do tureckiej niewoli i elitarnych oddziałów sułtana, lecz wszyscy w okamgnieniu pojęli cel tego przedstawienia. Wszem wobec było wiadomo, że Mehmed jeszcze będąc sułtanem, przyjął greckie obyczaje, i to nie tylko te dotyczące stroju. Chcąc przebywać w otoczeniu wyłącznie przyjaznych, radośnie usposobionych mężczyzn, kazał im wycinać śledzionę, w ten sposób tych, którzy przeżyli operację - a było ich całkiem sporo, gdyż perscy lekarze znali się na swoim fachu - pozbawiając źródła czarnej żółci, a zarazem ponuractwa. Najwyraźniej jednak w przypadku bolukbasiego sprawdzona metoda nie zadziałała.

- Precz mi z drogi, gwałtowniku - ryknął, chwytając rękojęść miecza -

zanim i ciebie pozbawię śledziony, a przy okazji połowy innych narządów.

- Och, drżę ze strachu! - szydził Szwed, wachlując się skrajem koszuli. - Ale, ale Może przy okazji zechcesz usunąć kilka skrofułów? - To powiedziawszy, odwrócił się i wypiął, obnażając zadek.

Gwizdy. Śmiechy. Zamarła twarz dowódcy straży. Wład był niemal pewien, że bolukbasi zaraz wyszarpią broń i wrazi ją w nęcący cel. Przekonanie to minęło, gdy wielki Szwed się wyprostował, doprowadził odzienie do porządku, po czym do wtóru wiwatów zszedł z drogi. Bolukbasi gestem nakazał swoim ludziom, aby podjęli marsz.

Wład rozejrzał się rozpaczliwie wokół w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku. Zobaczył, że zwłaszcza młodszy janczarzy nadal trzymają w dłoniach trójnogie stołki, gotowi do walki wręcz, jednakże z każdą chwilą coraz więcej rąk było niechętnie opuszczanych. Dlatego nie tracąc czasu, pochwycił pierwszy wolny stołek z brzegu. Zapamiętawszy, co przedstawiają tatuaże na ramionach członków orty okupującej karczmę, zawołał: - Słoonieeee! - i cisnął taboretami prosto w głowę bolukbasiego. Dowódca straży dostrzegł mknący w jego kierunku pocisk i uchylił się w porę, tak że drewniany kant trafił go nie w twarz, tylko w hełm. Dźwięk uderzenia poniósł się echem niczym okrzyk bojowy. Nagle w powietrzu zaczęły śmigać pozostałe taborety, kufle, dzbany, wszystkie miotane w stronę oszołomionych nagłą zmianą sytuacji strażników. Wiele dosięgło palankinu, który tragarze postawili na ziemi, kiedy zaczęli chronić głowy rękoma i kryć się gdzie popadnie. Z wnętrza lektyki dobiegł wrzask.

- Do mnie! - krzyknął potłuczony bolukbasi.

Jego ludzie pośpieszyli mu na pomoc, odtrącając halabardami szybujące przedmioty z drewna i gliny i celując ostrzami w janczarów.

Wład schronił się za lektyką, wkrótce dołączyli tam do niego Radu z Ionem.

- Co teraz? - zapytał Ion.

Znajdowali się po przeciwnej stronie niż drzwi. Wład pochylił się i zajrzał przez kratownicę. W środku majaczyły dwie postaci.

- To! - rzucił przez zęby, dobywając sztyletu i wsuwając ostrze pomiędzy ściankę a dach lektyki.

Z wnętrza dobiegł kobiecy krzyk, który jednak natychmiast ucichł jak ucięty nożem. Ion wspomógł przyjaciela z drugiej strony, pracowicie piłując cienką drewnianą płytę. Zanim jednak dotarł do górnej krawędzi, Wład już uporał się ze swoim kawałkiem, tak że po chwili obaj równocześnie mogli

wczepić się palcami w odchylony element i ciągnąć ile sił. Ścianka lektyki ustąpiła z głośnym trzaskiem. Na podłodze kucaly skulone dwie niewiasty: zamaskowana hurysa i jej służąca, na której ustach piękność trzymała dłoń. Zza zasłony welonu błyszcząły powabne oczy.

- Chodź! - powiedział do niej Wład, używając języka osmańskiego. - Żywo! A ty - zwrócił się do omdlewającej służącej, dotykając rękojęści sztyletu ukrytego teraz w pochwie - milcz albo szykuj się na śmierć! Jeśli nie utrzymasz języka za zębami, odnajdę cię i zabiję!

Pochwyciwszy dłoń Ilony w swoją, wyciągnął ją z rozprutego palankinu. Za lektyką pajucy właśnie ruszali na zbuntowaną karczmę. Drewnianą broń zastąpiła stal, siniaki - krew. Jedna i druga strona w całości skoncentrowana była na walce, na tym, aby wyjść z potyczki cało, toteż nikt nawet nie zauważył czterech znikających w ciemności postaci.

Od nowego kamiennego mostu, wzniesionego za panowania sułtana Murada na rzece Ergene, odchodziły promieniście liczne drewniane pomosty, przy których leniwie kołysały się na wodzie przycumowane płaskodenne barki. Pod osłoną nocy, w godzinie, gdy większość pracowników portowych modliła się w meczetach bądź piła w karczmach, mało kto mógł zobaczyć dziwny pochód zmierzający ku umówionej przystani.

- Spóźniliście się! - zakrzyknął na ich widok Alexandru, kapitan barki. - Już miałem rzucać cumy! - Utkwił spojrzenie w zakrytej zasłoną kobiecie. - To ona?

- Tak.

- No to dawaj ją na pokład, żebyśmy wreszcie mogli odpłynąć! To, w co się wplątałeś, Władzie Drakulo, jest już wystarczająco niebezpieczne! W dodatku mój statek musi opuścić Enez w ciągu dwóch dni, ze mną albo beze mnie!

- Oto twoja zapłata. Kapitan zważył w dłoni mieszek.

- Wydaje się za lekki!

- Bo jest za lekki - wzruszył ramionami Wład. - To połowa obiecanej sumy.

- Połowa? Jak to? Nie takeśmy się umawiali!

- Mój ojciec wypłaci ci drugą, jeśli dostarczysz mu ją i ten list. - Podał kapitanowi zrolowany arkusz. - Zresztą ponoć robisz to nie tylko dla srebra Alexandru powiódł wzrokiem ponad dachami Adrianopola.

- Pięć najlepszych lat życia spędziłem przykuty łańcuchem do galerniczej ławy. Dlatego ilekroć mam okazję odpłacić tym koźlim synom z nawiązką

- Popatrzył bystro na Włada. - Mówisz, że to ich zabolii?

- O, tak - potwierdził młodzik. - Moim zdaniem dotknie ich do żywego.

- Świetnie - ucieszył się Alexandru. - No dalej, wprowadźcie ją na pokład, nim ktoś się zorientuje we wszystkim. Drugą część zapłaty odbiorę od twego ojca lub od ciebie, kiedy tu wrócę! - Z tą pogroźką na ustach odwrócił się na pięcie i jął wydawać rozkazy załodze. Wład, który ani na chwilę nie wypuścił dłoni Ilony ze swojej, teraz pociągnął ją lekko, by wprowadzić na trap. Wszakże dziewczyna po raz pierwszy stawiała opór.

- Ty nie płyniesz? - spytała.

Wład zatrzymał się w pół kroku, porażony jej siłą, jej głosem i pierwszymi słowami, jakie wymówiła od chwili porwania.

- Nie mogę z tobą popłynąć - odparł. - Jestem zakładnikiem. Dałem słowo swemu ojcu i sułtanowi, a Murad - przełknął ślinę - nie jest kimś, kogo chciałoby się rozgniewać. Kiedy przed paroma laty inni zakładnicy, synowie serbskiego despoty Jerzego Brankowicza, próbowali przesłać swemu ojcu wiadomość na temat tureckich planów wojennych, zostali wtrąceni do twierdzy Tokat, gdzie wypalono im oczy rozgrzanym do białości żelazem. Więc proszę. - Raz jeszcze pociągnął ją w stronę barki, a ona raz jeszcze stawiała opór.

- A tobie taka kara nie grozi? Po tym, co dzisiaj dla mnie uczyniłeś?

- Nie wydaje mi się, aby ktoś nas rozpoznał. Nawet twoja służąca jest pewna, iż porwania dokonali Turcy. Tylko ty albo kapitan jesteście w stanie wskazać nas jako winowajców, a żadnemu z was na tym nie zależy. Alexandru jest Wołochem z dziada pradziada, nawet jeśli brak mu ogłady. Doprowadzi cię bezpiecznie do domu.

- A co będzie potem?

Wład wyjął z torby u pasa następny zwój.

- Oto list do mego ojca. Przekaż mu go, a zatroszczy się o ciebie jak o rodzoną córkę

- Nie o to mi chodziło - przerwała mu Ilona. - Pytałam, czy jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę.

- Jeśli taka będzie wola Allaha - odrzekł i zaraz się poprawił:

- To znaczy, Boga. - Uśmiechnął się do siebie. - Chyba rzeczywiście jestem już tutaj za długo. Ale wracając do tematu - Tak, wierzę, iż moim przeznaczeniem jest powrócić w rodzinne strony.

- Kismet - szepnęła Ilona, nareszcie poddając się i pozwalając, by wprowadził ją na barkę. - Moje przeznaczenie zmieniło się w dniu, w którym

cię spotkałam.

- Kismet jest niezmienny - oznajmił Wład z przekonaniem.

- Moje i twoje losy zostały spisane już wcześniej i żadne z nas nie ma na nie wpływu.

Ledwie stanęła obiema nogami na deskach pokładu, odwrócił się i zbiegł po trapie, który marynarze natychmiast podnieśli. Majtkowie odwiązali cumy, wioślarze zanurzyli pióra wiosel w wodzie. Barka drgnęła i jęła majestatycznie wypływać z portu. Wciąż znajdowali się na wyciągnięcie ramienia, kiedy Ilonę uderzyła pewna myśl. „Nie widział mnie! Spędziwszy większość życia za zasłoną welonu, była przyzwyczajona do tego, iż z ukrycia przypatrywała się uważnie mężczyznom, podczas gdy oni nie byli w stanie dojrzeć nawet jej rysów. „Lecz przecież jeśli nie pozwolę mu się teraz zobaczyć, nigdy mnie nie rozpozna i nie odnajdzie! - Wład! - zawołała, sięgając dłońmi do twarzy. Już unosiła szeleszczącą i brzęczącą zasłonę, już czuła ciężar nakrycia głowy w rękach. Gdy echo jego imienia przebrzmiało, welon leżał na ziemi, a ona bez żadnych przeszkód spoglądała młodemu mężczyźnie w oczy, których wyraz nagle się zmienił.

- Och - powiedział do siebie. - Tak Teraz już rozumiem

Stojący obok niego Ion postąpił krok w przód i jęknął z zachwytem. W okamgnieniu wywietrzały mu wszystkie myśli o karczemnych dziewczkach. Lecz Ilona patrzyła wprost na Włada, nie odrywając spojrzenia od jego zielonych oczu. Tylko te oczy widziała, gdy niosąca ją barka nabierała prędkości. Widziała je nawet wtedy, gdy jego twarz zamieniła się w niewiele więcej niż rozmytą plamę. Widziała je wciąż, kiedy barka przepływała pod kamiennym mostem. A on od tej pory bez przerwy miał przed oczyma całą jej postać.

8. OSNOWA I WĄTEK

Twierdza Poenari, 1481 rok

- Co to ma być? Opowieść o rycerskiej miłości? Gdybyśmy chcieli wysłuchać ballady, tobyśmy wezwali tutaj trubadura!

Ostre słowa kardynała przywróciły wszystkich do rzeczywistości. Oczy obecnych znów zaczęły zauważać szczegóły komnaty, w której od dłuższej chwili jakby nikogo nie było - opowiadana historia okazała się tak wciągająca, że porwała zarówno opowiadającego, jak i słuchaczy. Ion ponownie znalazł się u boku Włada, służąc mu i znając go jak nikt inny. Za sprawą jego opowieści Ilona także przeniosła się w czasie i przestrzeni, przypominając sobie aż nadto wyraźnie, co ją z nim połączyło. Oboje - Ion i Ilona - zdawali się wciąż pod wielkim wrażeniem Włada Drakuli, tego, kim był, jaki był. Mimo że od pięciu lat martwy, nadal żył w ich pamięci.

Natomiast słuchacze budowali sobie własny obraz sązonego w zgodzie z własnymi potrzebami. Dla Petru sprawa była prosta. Całym sobą pragnął, aby człowiek, który kazał odbudować i wzmocnić mury tej twierdzy, został uznany za bohatera - ba, więcej: za wołoskiego bohatera. Za jego czasów na tej ziemi panował ład i porządek, a silne wojska z łatwością radziły sobie z wrogami Chrystusa. Marzeniem spatara było, aby historia zatoczyła koło.

Dla hrabi Peczu nic nie było proste. Drgnął na nagły wybuch purpurata, a potem nerwowo wodził za nim wzrokiem, kiedy legat papieski podnosił się z krzesła i ciężko człapał w stronę stołu. Życzeniem hrabiego było, aby wyrok zapadł sprawiedliwy. Zależało mu na tym, żeby Zakon Smoka podniósł się z kolan i znów stanął postrach niewiernych, nie zaś na tym, by oczyszczono go z zarzutów i obmyto z przelanej krwi. Na co komu zniedołężniała bestia? Gdyby jednak Zakon Smoka z pyłu, w który został strącony, powstał w mocy słusznego gniewu, nie zaś bezprawości, siły, nie barbarzyństwa. I gdyby Drakula uzyskał przebaczenie - przynajmniej częściowe, ku chwale Boga i człowieka. Wtedy być może i on by otrzymał rozgrzeszenie, być może zostałaby z niego zdjęta klątwa, za której sprawą utracił oko i całą rodzinę.

Kardynał zatrzymał się przy stole i jął oskubywać z liści pokrzyw krążek koziego sera, którego plaster następnie rozsmarował hojnie na praśnym

chlebie. Hrabia dołączył doń, żeby nalać sobie wina.

- Eminencjo? - spytał, unosząc dzban.

Grimani skinął przytakująco głową, na co Horvathy napełnił szczerze dwa kielichy. Tymczasem Bogdan na polecenie spantara zaniósł chleb i wodę do konfesjonałów, rozdzielając dary Boże po równo między przesłuchiwanym i skrybów. Nie było to oznaką dobroci serca; Petru kazał ich nakarmić, tak jak nakarmiłby bydło żyjące tylko po to, aby służyć i być wykorzystywane. Dopełniwszy obowiązku, dołączył do pozostałych sędziów.

Kardynał mówił właśnie ściszym głosem, nie chcąc, aby z nadgorliwości któregoś skryby jego słowa zostały spisane na pergaminie:

- Doprawdy, mości hrabio Całkiem to zajmujące, czym mnie tutaj uraczyłeś. Lubię posłuchać ciekawej opowieści w zimowy wieczór jak rzadko kto, ale chyba nie po to zostaliśmy tu wszyscy ściągnięci? Z pewnością czeka na nas inna, mroczna historia? - Wyciągnął dłoń i wzięwszy z kupki pamfletów jeden egzemplarz, przeczytał na głos: - „Historija o łaknącym krwi szaleńcu .

Zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie rysunkowi pod tytułem, przedstawiającemu wijące się na palach ciała. - Zatem zebraliśmy się, aby go potępić

- Nie To znaczy, niezupełnie - zaprzeczył Horvathy i ugryzł trzymaną w rękę kielbasę. - Naszym zadaniem jest wydobyć z nich inną wersję historii. Bez tego, co najgorsze, za to z większą ilością dobrego Jeśli to możliwe

- Mamy napisać tę historię od nowa?

- Eminencjo sam wcześniej rzekłeś, iż ludzie właśnie to robią wiecznie z historią. Sięgają po te jej elementy, które odpowiadają ich bieżącym potrzebom. Autorzy tego dzieła - ujął w dwa palce inny egzemplarz pamfletu - nie uczynili niczego innego, i to z wyjątkowo niskich pobudek: dla zysku i dla zemsty. Historia rzeczywiście może być narzędziem, ba, więcej nawet, bronią. I w naszym ręku będzie działać ku chwale Chrystusa.

- Mówisz o krucjacie, mości hrabio? - potrząsnął głową kardynał. - A nie zapominasz przy tym, że sztandar krucjaty najtrudniej utkać ze wszystkich? Z całą pewnością trudniej niż te paskudztwa - gestem wskazał materie zasłaniające ściany wielkiej sali. - Osnową takiego sztandaru jest czysta biel Ducha Świętego, wątkiem zaś krwista czerwień Krzyża, aczkolwiek potrzeba jeszcze co najmniej tuzina innych odcieni. Błogosławieństwa mego pana, Jego Świątobliwości, i zgody twojego, króla Węgier, a także przychylności

licznych książąt i dostojników oraz poparcia bankierów trzymających kiesę chrześcijańskiego świata. Wszystkie te nitki muszą spotkać się na krosnach i zostać przeplecione sprawną ręką Najwyższego.

Horvathy potaknął.

- To prawda. Lecz tak się składa, iż to Bałkany są od zawsze tygłem Świętej Wojny, to tutejsi władcy biorą na siebie ciężar walki z niewiernymi.

- Bywa, że grają ważną rolę w Boskim dziele, przyznaję. - Grimani przełknął, krzywiąc się na cierpkość wina, po czym bystro spojrział w jedyne oko hrabi. - Uważasz, że byłbyś w stanie zjednoczyć ich wszystkich pod sztandarem Smoka?

- Mam taką nadzieję. Modlę się o to całą duszą, lecz jak wiesz, eminencjo, modlitwa rzadko kiedy wystarcza. - Brodą wskazał linię konfesjonatów. - Dlatego opowieść, której dajemy tu ucha, jest tak ważna. Od niej zależy, jakie słowa będziemy mogli przekazać naszym panom.

Kardynał powiódł wzrokiem za spojrzeniem Horvathyego.

- Cóż, jakkolwiek zajmująca była opowiedziana dotąd historia, nie dowiedziałem się z niej niczego, co mogłoby wpłynąć na moją ocenę i ostateczny werdykt. - Machnął dłonią w stronę jednego z kobierców, na którym widniała scena polowania. - Może zatem podejmiemy nasze łowy? Naganiacze wystawili zwierzynę, czas na wypuszczenie pierwszej strzały w stronę ofiary.

Horvathy dopił wino, odstawił kielich.

- Zgoda - powiedział i pewnym krokiem przeszedł ku podwyższeniu, na którym z szacunku dla legata papieskiego przystanął, czekając, aż pozostali dwaj dostojnicy dołączą doń i zajmą swoje miejsca. Dopiero wtedy usiadł i przemówił: - Dość już o marzeniach młodego mężczyzny. O turniejach, pogoniach i uczuciach. Opowiedzcie nam teraz o okrutnych czynach. Opowiedzcie o sianiu śmierci.

Echo jego słów przebrzmiało, ucichł chrobot gęsich piór na pergaminie. Palce skrybów ściskające dutki zamarły nad kałamarzami z różnokolorowym atramentem. Każdemu z opowiadających przydzielono bowiem inną barwę. Historia kalekiego rycerza była spisywana na czarno; odaliski - na zielono; pytania sędziów, kiedy padały, zamieniały się w błękitne rzędkie liter. Tym razem jednak, gdy cisza dobiegła końca, skrybowie sięgnęli do czwartego kałamarza, najrzadziej dotąd używanego, albowiem przemówił spowiednik Drakuli. Głos miał chropawy od długiego nieużywania, a mimo to donośny.

- Czyż to nie dziwne, żeście o tym wspomnieli? Odtąd historia

rzeczywiście robi się bardziej krwawa
Na pergamin spłynęły czerwone słowa.

9. KOWAL

Przyszli po niego przed świtem. Od porwania upłynął siódmy dzień i Wład dopiero co zaczął znowu spać po nocach z zamkniętymi oczami.

Przybyli w ciemnościach, przemierzając główny korytarz enderunu stopami obutymi w miękkie pantofle, nie wywołujące żadnego hałasu na wypolerowanych drewnianych deskach podłogi. Minęli większość pomieszczeń, w których poszczególne orty uczyły się i zażywały odpoczynku, nie budząc żadnego chłopca. Poruszali się w całkowitym milczeniu, aż w końcu dotarli do miejsca, które zajmowała orta zakładników, i wtedy wypowiedziane szeptem padło jedno jedyne słowo:

- Teraz.

Wład usłyszał je i przebudził się - zbyt późno, aby cokolwiek uczynić. Zresztą cóż mógłby zrobić, skoro przy każdym materacu znalazło się dwóch roślących mężczyzn? Jeden odrzucał cienkie wełniane przykrycie chowające drobne ciało, drugi zaś przytykał ostrze sztyletu do odsłoniętego gardła.

Okrzyki przerażenia obudziły każdą żywą duszę w enderunie. Dwaj eunuchowie, śpiący na dwóch osobnych wysokich łóżach pośrodku sali, zerwali się z wrzaskiem, chcąc chronić swoją trzódkę. Podobnie zareagowali dwaj starsi nauczyciele, których komnatka - oddzielona od reszty tylko drewnianą kratownicą - znajdowała się w końcu pomieszczenia. Wszelako jedni i drudzy zamilkli natychmiast, gdy w świetle latarni, których boczne szybki zostały już opuszczone dla podtrzymania żywości płomienia, ujrzeli, kto przyszedł i czyni zamieszanie w orcie. Jedni i drudzy krzyknęli jeszcze tylko raz, krótko, aby uciszyć szepty przestraszonych uczniów.

Wład równocześnie ze wszystkimi rozpoznał czerwone kubraki, jaskrawoniebieskie hajdawery i żółte buty - strój najbardziej zaufanej gwardii przybocznej sułtana. Przez jedno uderzenie serca, zanim na dobre się rozbudził, sądził nawet, że to sam dowódca pajuków stanął w progu, lecz zaraz sobie przypomniał, że przecież nieszczęśnikowi otwarto brzuch na głównym placu Adrianopola w towarzystwie całego jego oddziału. Kara ta miała być sprawiedliwym zadośćuczynieniem za to, że nie wypełnił wyraźnych rozkazów księcia. Wszystko wskazywało na to, że człowiek, który stanął w drzwiach orty zakładników, nie zamierza podzielić losu

bolukbasiego.

- Który z tych nieobrzezanych psów wabi się Drakula?! - ryknął w stronę bliższego z eunuchów. Nie zastanawiając się wiele, zapytany mężczyzna wskazał Włada. Ktoś ściągnął go z pryczy za włosy i powiódł opierającego się na środek sali. - A który to jego brat?!

- On on on mieszka z młodszymi chłopcami, effendi - wydukał eunuch. - Ja ja zaraz go przyprowadzę.

- Wystarczy, że wskażesz go moim ludziom - warknął nowo mianowany dowódca. - A ty - sięgnął w dół, pochwycił ramię Włada niby w kleszcze i podniósł go z ziemi, boleśnie wykręcając mu rękę - pójdiesz ze mną!

Z dłonią z tyłu i nienaturalnie wysoko uniesioną, czując mocarny uścisk na swoim drugim barku, co rusz popychany Wład maszerował wzdłuż dwuszeregu rówieśników w stronę drzwi. Tam spotkał się twarzą w twarz ze zdrętwiałym ze strachu Radu trzymanym w bardzo podobny sposób. Wypchnięto ich na wewnętrzny dziedziniec, gdzie przy bramie tkwiła już grupka gwardzistów ponaglających odźwiernego, by szybciej przebierał palcami w poszukiwaniu właściwego klucza. Wład wykorzystał moment nieuwagi strażników i przybliżywszy głowę do głowy brata, szepnął w rodzimym języku:

- Pamiętaj, cośmy uzgodnili. Nie przyznajemy się do niczego.

- Cisza! - ryknął dowódca, szarpiąc go za rękę.

Wład nie zdołał powstrzymać okrzyku bólu. Chwilę później byli już za bramą. Stary odźwierny upuścił w panice pęk kluczy, którego zaraz zaczął szukać po omacku, co z kolei wykorzystał Ion, aby wyslizgnąć się niepostrzeżenie na zewnątrz.

Tymczasem dziwny orszak zbliżał się ku stajniom. Drewniane wrota były otwarte na oścież, a przy nich - w czerwonym blasku pochodni - uwijali się ludzie i dreptały konie. Więźniów wprowadzono do środka i zaraz szarpnięto w prawo, w stronę klatek z drapieżnymi ptakami, czego Wład domyśliłby się bez trudu i w zupełnym mroku, jako że spędzał tam większość wolnego czasu. Choć zgięty wpół i popychany, na moment zadarł głowę, by spojrzeć na przycupnięte na żerdziach ptaki. Sokoły, jastrzębie, rarogi - wszystkie miały łebki zakryte karnalem, lecz i tak przekrzywiały je w kierunku ludzkich głosów, poruszając się niespokojnie, jakby chciały przeniknąć bystrym wzrokiem zasłonę. Nie wiedzieć czemu Wład nagle się zastanowił, gdzie jest trzymana Szeherezada, będąca stawką w zakładzie pomiędzy nim a Mehmedem, którego księżę nie raczył dotrzymać. Któryś z

ptaków rozkrzyczał się wniebogłosy i rozłożywszy szeroko skrzydła, zaczął nimi szaleńczo trzepotać, aż w końcu spadł z żerdzi i zawisł głową w dół, trzymany na uwięzi przez przymocowane do obu nóg rzemyki. Wład kątem oka dostrzegł ruch czyichś nóg obok siebie; ów ktoś dosięgnął sokoła i doprowadził go do porządku jednym pewnym gestem. Parę uderzeń serca później minęli już klatki; ptasie krzyki ucichły, lecz bynajmniej nie zapadła cisza - pojawił się inny odgłos. Rytmiczny, dźwięczny, jakby uderzania metalu o metal. Wład pojął, dokąd go prowadzą, i poczuł nieludzkie przerażenie. Dotąd nawet przez chwilę nie sądził, aby karą za to, co uczynił, mogła być śmierć. O ile w ogóle przedstawiał jakąś wartość dla Turków, był im przydatny żywy, nie martwy. Z drugiej strony, niewierni byli mistrzami w sztuce karania. O jednym takim przypadku opowiedział Ilonie, przekonując ją, by sama wsiadła na barkę. Synowie Brankowicza, zakładnicy, których przyłapano na próbie przesyłania sekretnych wiadomości ojcu, nie zostali zabici. Po prostu wypalono im oczy.

Nawet z tej odległości wyczuwał gorąco buchające z kuźni, niemalże czuł liźnięcia rozpalonego do białości metalu na skórze. W chwili gdy silnym pociągnięciem zmuszono go, aby uklęknął - a Radu tuż przy nim - dostrzegł dwie rzeczy, dwóch ludzi: Mehmeda w brokatowej kurcie i greckiej todze, uśmiechającego się od ucha do ucha, oraz stojącego obok niego kowala, odzianego na czarno, z kapturem na głowie niczym jastrzęb, wyciągającego coś długiego i rozżarzonego z ognia. Władowi zmiękły nogi, ze wstydem poczuł, że jeszcze chwila, a puszcza mu zwieracze. Cokolwiek się tu działo, obecność Mehmeda, jego niedawnego rywala w turnieju dżarodbazi, była złym znakiem. Nienawidząc się za to, że odczuwa strach, zdołał zdobyć się na bezczelność.

- Jesteś mi winien orła! - krzyknął.

Dosięgła go czyjaś ręka, uderzenie rzuciło go na ubitą ziemię przed kowadłem. Zamiast się podnieść, leżał tam, zerkając w górę i z dziwną fascynacją spoglądając na czerwień, która zdawała się roztopiać, i podczas gdy pot oblewał całe jego ciało, a zarazem wstrząsał nim zimny dreszcz, zastanawiał się, czy to właśnie, co ma teraz przed oczyma, będzie ostatnim, co kiedykolwiek w życiu zobaczy. Obok niego Radu szlochał bez opamiętania.

A potem Wład uświadomił sobie, że nie tylko on i jego brat klęczą na ziemi; wszyscy inni także opadali na kolana, kładli dłonie w pyle i skłaniali nisko głowy. Na koniec również Mehmed, który pozwolił nawet, aby jego

błyszcząca kurta dotknęła kurzu. Pozostał tylko jeden stojący człowiek. Kowal.

Nic nie zdradzało jego niezwykłości. Był odziany jak każdy inny mężczyzna wykonujący ten zawód. Skórzany fartuch chronił go od szyi do kostek u nóg, dłonie miał okryte grubymi rękawicami, głowę zaś i twarz pod kapturem, w którym na wysokości oczu prześwitywał otwór zabezpieczony drucianą siatką. Nawet wszakże przez nią widać było odbite refleksy ognia w pałających białkach, gdy z natężeniem przyglądał się kawałkowi żelaza trzymanemu w potężnych szczypcach, które następnie wolno opuścił na lico kowadła. I znowu spadł młot kowalski, wydobywając z ciszy brzęczący odgłos kutego metalu. Po kilku uderzeniach kowal włożył metal do wody. Z jej powierzchni nadal unosiły się kłęby pary, kiedy kowal odłożył młot i przybliżył szczypce do otworu na oczy, aby poddać inspekcji efekt swojej pracy.

Wład widział tyle tylko, że to metal. Wyobrażał sobie już pogrzebacz z rozpalonym czubkiem, lecz prawdziwy kształt kutego przedmiotu, który pokazał się jego oczom po przestygnięciu, zaskoczył go. Była to najwyraźniej zwykła końska podkowa.

Z potężnym westchnieniem kowal odłożył ją na kupkę jej podobnych, po czym sięgnął szczypcami po następny metalowy pręt, żeby położyć go na rozgrzanych węglach. Następnie odrzucając kaptur, przemówił:

- Allah jest wielki, a praca kowala święta, albowiem pochodzi od Boga Jedynego. To On daje człowiekowi zdolności, które ja maluczki mogę tylko wykorzystać w dobrej sprawie.

Kaptur opadł na ramiona. Mężczyzna odwrócił się i Wład zrozumiał, dlaczego wszyscy wcześniej pochylili przed nim głowy.

- Murad! - sapnął z wrażenia młody Wołoch. Miał na tyle rozsądku, by zrobić to bezgłośnie, kiedy Cud Świata, Gwiazda Stworzenia, Wielki Pan wszystkich Turków odstępował od kowadła.

10. ODPLATA

W ciemnościach tuż za uchylonymi wrotami kuźni, gdzie nie docierał blask paleniska, czyjeś oko przezierało przez szparę między deskami, Ion patrzył i wahał się. Doszedł aż tutaj, korzystając z zamieszania, lecz pozostał z tyłu, kiedy więźniowie byli wciągani siłą do środka. Zastanawiał się, czy ktoś zauważyłby jego obecność, gdyby zakradł się teraz po cichu i legł plackiem na ziemi. Może uznaliby, że jest jednym z nich? Już oplatał palcami krawędź skrzydła wrót, gdy wyszedł drobny, ledwie zauważalny ruch w cieniu po drugiej stronie. Obok postaci Murada zamajaczyły dwie sylwetki, Ion nie miał wątpliwości, kto to jest. W wyjątkowych okolicznościach sułtana ochraniaли jego najzaufańszy łucznicy, zawsze z napiętymi cięciwami, nigdy nie chybiający celu. Jeden z nich trzymał łączyk prawą ręką, drugi - lewą, tak że wypuszczone przez nich strzały omijały sułtana i mknęły tam, gdzie akurat pojawiło się zagrożenie.

Zamarł, pozostając w ukryciu, i chwila, w której mógł jeszcze coś zrobić, minęła. Murad postąpił parę kroków w przód i odtąd Ion tylko obserwował poczynania Opoki Świata. Do tej pory widział go zaledwie dwa razy, i to z o wiele większej odległości. Wystarczyło jednak zbliżyć się tak ja teraz, a wszystko co o nim słyszał, potwierdziło się co do joty. Murad wyglądał zwyczajnie. Jak pierwszy lepszy mieszkaniec Adrianopola. Był średniego wzrostu, aczkolwiek szeroki w barkach, o potężnej piersi i mocno umięśnionych ramionach, jakich nie powstydziliby się żaden kowal. Miał rozczochraną siwą brodę i szare oczy w okrągłej, nie przykuwającej uwagi twarzy, której nieciekawe rysy obecnie pokrywała gruba warstwa sadzy wymieszanej z potem. Powiadano, że bez trudu mógłby spacerować ulicami swego miasta i nikt nigdy by go nie rozpoznał. Niektórzy twierdzili, iż czyni to w istocie. W odróżnieniu od swego pyszałkowatego syna strojącego się jak paw, nosił się skromnie i ponuro, tak że zupełnie nic nie wyróżniało go z tłumu.

Zupełnie nic, a zarazem wszystko! Ion bowiem widział człowieka, który wezwał z poselstwem do Gallipoli najpotężniejszego wojownika, jakiego kiedykolwiek znał w swoim niedługim jeszcze życiu, samego Włada Smoka, hospodara wołoskiego, a potem na tydzień przykuł go do drabiniastego wozu

i wymusił pozostawienie swoich dwóch synów jako zakładników. Ion patrzył na człowieka, który przed trzema laty pod Warną stał się z najsilniejszą armią, jaką kiedykolwiek w ostatnim stuleciu wystawił chrześcijański świat, i rozbił ją w proch, by natychmiast - i raczej nieoczekiwanie - abdykować na rzecz swego czterystoletniego syna, po to tylko, by schronić się w Manisie, gdzie zamiast janczarów otaczali go poeci, a on sam oddawał się kontemplacji i picciu wina. Ion spoglądał w oczy człowieka, który po ledwie dwuletniej przerwie w sprawowaniu władzy został zmuszony do powrotu na tron z powodu godnych potępienia praktyk Mehmeda. Ion miał przed sobą człowieka, który odstąpiwszy od kowadła, potężną stopą przygniótł Włada do ziemi, miażdżąc mu tchawicę. Przez długą chwilę nie mówił nic. Kiedy wreszcie znów się odezwał, jego głos zdawał się niemal szeptem.

- Drakula - powiedział, wymawiając przydomek, jakby to były dwa słowa. W dodatku wykorzystał swoją znajomość limba Rumana, zarzucając rodzimy język osmański. - Syn Smoka

Coś w jego tonie uderzyło Iona; był to smutek, którego nie spodziewał się usłyszeć w tych okolicznościach, oczekując raczej wściekłości spowodowanej popełnionym przez nich czynem i niepohamowanego okrucieństwa. - Nauczyciele z enderunu przekazali mi, że jesteś jednym z ich najlepszych uczniów. Że potrafisz godzinami recytować święte słowa Koranu, jak również poezje sławnych Persów, oraz rozprawiać o filozofii Ateńczyków i Rzymian. Że radzisz sobie z dratwą doskonale, niemal tak dobrze jak ja z kowalstwem, na wypadek dnia pomsty. I że przodujesz w męskich rozrywkach, w zapasach, w łucznictwie i dżarodbazi. - Przeniósł wzrok na czerwony, obsypany brokatem strój swego syna i stłumił rodzący się na ustach uśmiech. - Mimo to jest coś, co mnie nie zadowala - urwał i docisnął stopę do podłoża.

Zaczęło się - pomyślał Ion, przełykając ciężko. Zdążył na własnej skórze doświadczyć srogości Turków. Był kilkakrotnie karany za pomniejsze przewinienia, ale z pewnością nic nie przygotowało go na rozmiar kary za porwanie sułtańskiej wybranki. Tymczasem Murad kończył mówić:

- Nie zadowala mnie to, że jesteś synem Smoka! - Dwa ostatnie słowa wykrzyczał, podobnie jak następującą po nich komendę: - Na nogi!

Posłuchali go wszyscy, aczkolwiek tylko połowicznie: grzbiety się wyprostowały, lecz kolana nadal spoczywały w pyle ziemi. Ludzie czekali przykurczeni i z opuszczonymi głowami, pomiędzy nimi Wład z obolałą, acz całą szyją, z ramionami uciskanymi przez potężne dłonie. Stał tylko sułtan,

jego dwa cienie z łukami oraz Ion przyczajony za drewnianymi wrotami kuźni. Murad kontynuował już nieco cichszym głosem:

- Czy twój ojciec naprawdę myślał, że skoro sam siedzi z podkulonym ogonem, zwinąwszy sztandar Smoka, nie zauważę, że pod Warną pchnął na mnie Wołochów pod wodzą swego najstarszego syna, Mirczy? Czy on nie zdaje sobie sprawy, że mam swoich szpiegów wszędzie, gotowych przekazywać mi wiadomości o każdym jego ruchu, każdym grymasie? - Przyszpilił Włada spojrzeniem. - Ostatnio się na przykład dowiedziałem, że choć zarzeka się, iż nienawidzi do szpiku mego najzaciętszego wroga, Hunyadyego, przekłętogo Białego Rycerza, dorównując mi w tym uczuciu, zawiązał z nim pakt! Będą sobie nawzajem pomagać, doposażać armie, maszerować ramię przy ramieniu pod złożonym sztandarem, aby przyśpieszyć otwarcie drzwi, które powinny pozostać dla nich zamknięte

Murad cofnął się i zaczął oblekać rękawice, które uprzednio ściągnął, pozbywszy się szczypców.

- Zdaje się, że zapomniał, co znaczy słowo „zakładnik” w którymkolwiek z języków. I dlatego musi poznać konsekwencje - To mówiąc, ujął znów szczypcę i sięgnął po rozgrzany metal.

- Ojcze! - zawołał podniecony Mehmed. - Czy mogę

- Pozostań przy swoich roślinkach, synu - odrzekł ostro Murad. - Pozwolę ci stanąć u mego boku i kuć żelazo nie wcześniej, niż ty zdołasz mi wyjaśnić, w jaki sposób z małego płaskiego nasionka wyrasta ogromny pękaty ogórek. - Przybliżył narzędzie do twarzy i przyjrzał się rozgrzanemu czubkowi. - Bo choć nie ma we mnie pragnienia zemsty, to czyż Mojżesz, chwalony jako prorok, nie rzekł w swych przykazaniach: „Pan cierpliwy, bogaty w życzliwość, przebacza niegodziwość i grzech, lecz nie pozostawia go bez ukarania, tylko karze grzechy ojców na synach do trzeciego, a nawet czwartego pokolenia? - Postąpił krok w stronę chłopca, trzymając rozżarzony pręt przed sobą. - Wład Smok musi dostać lekcję, i to taką, jaką zrozumie bez trudu.

Stojący na zewnątrz Ion zadrzał. Za jego paskiem tkwił sztylet. Czyż nie powinien teraz opuścić kryjówek, dźgnąć nim Murada i ocalić oczy przyjaciela? Z pewnością potem by zginął, ale przynajmniej umarłby jako bohater, pozbawiwszy pierwiej życia sułtana. Jednakże jego ręka ani drgnęła. Nic się nie poruszyło z wyjątkiem spływającej mu po policzku łzy, kiedy sułtan pochylił się, przybliżając swoją twarz do twarzy Włada, tak że teraz blask rozpalonego do czerwoności pręta kapał ich obu w krwawej poświacie.

- Dlatego powiadam wam, synowie Diabła, tak jak tu stoicie: wasze pobieranie nauk w enderunie dobiegło końca. Nadszedł czas na coś nowego. Zostaniecie przewiezieni do twierdzy Tokat. Dostaniecie tam innych nauczycieli, będziecie zgłębiać całkiem odmienne przedmioty. Mniej wyrafinowane. Równie pouczające. A wasz ojciec zrozumie poprzez wasze cierpienie wagę zdrady.

- Odsunął szczypcę na bok, wyprostował się na pełną wysokość. - Zabrać ich - rzucił.

Dwaj mężczyźni, którzy trzymali po obu stronach ramiona Włada, szarpnęli nim, podrywając go na nogi. Ktoś podał im kajdany, które w mgnieniu oka skuły nadgarstki młodzika. Dwaj inni strażnicy pociągnęli wciąż szlochającego Radu w stronę wyjścia. W tej samej chwili zastąpił im drogę Mehmed, podnosząc dłoń we władczym geście i powstrzymując w pół kroku.

- Mam pytanie, ojcze.

Murad powoli odwrócił się ku synowi.

- Pytaj.

- Czy nie ma innego sposobu, aby odnieść zamierzony skutek? - Śmiało popatrzył w stronę Włada, uśmiechnął się lekko. - Wydaje mi się, że na tym, co go czeka w twierdzy Tokat, starszy syn Smoka tylko skorzysta, młodszy zaś - urwał i wyciągnął dłoń, dotknął palcem kasztanowych loków Radu opadających chłopcu na czoło, musnął zapłakany policzek, przejechał po skrzydełku nosa, by zatrzymać opuszkę na pełnych wargach. - Czy naprawdę jest tylko jeden sposób, aby uczynić Włada Smoka powolnym?

Aż do tej chwili Wład czuł się tak, jakby jakiś dzinn wziął go w swoje posiadanie. Stał jak skamieniały bynajmniej nie za sprawą dwu par mocarnych męskich rąk, które go trzymały, ani nawet pętających go kajdan, tylko dlatego, iż tak sobie nakazywał w duchu. Pogodził się z tym, iż jego kismet wymaga, aby został oślepiiony przez sułtana. Nie miał wpływu na przeznaczenie, nie mógł zrobić nic, by uchronić się przed strasznym losem. Potem nieoczekiwanie Murad zmienił zdanie i Wład znowu nie miał wyjścia, jak zaakceptować to, co go czeka z woli pana wszystkich Turków. Wszelako gdy zagrożenie przeniosło się z niego na jego brata, na jego krew, zaklęcie nagle ustąpiło.

Z rykiem zgiął się wpół, wrywając łańcuch kajdan z dłoni strażnika po lewej, po czym z równą nagłością wyprostował się i z impetem wyrzwał ciemieniem w szczękę drugiego gwardzisty, który poleciał w tył miękki jak

bela siana. Zdezorientowany pierwszy strażnik już sięgał ku niemu, aby go okiełznać, lecz Wład ponownie wykorzystał kajdany jako broń, uderzając Turka z całych sił w twarz. Mężczyzna podzielił los towarzysza, dołączyny doń na ziemi, i Wład był wolny. Zmierzał w stronę Mehmeda, jak nigdy przedtem świadom każdego najłżejszego dźwięku - stłumionego łkania brata, ludzkich okrzyków, trzeszczenia nadwężonego łączyśka.

- Zaczekajcie! - krzyknął Murad, unosząc dłoń.

Cięciwy nie zostały zwolnione, strzały nie pomknęły prosto do celu. Mimo że Wład był potężnie zbudowany i zdaniem niektórych bardziej przypominał byczka niż człowieka, nie miał szans w starciu z półtuzinem zdecydowanych na wszystko mężczyzn, którzy rzucili się nań równocześnie, bijąc na oślep pięściami, kopiąc i w końcu powalając na ziemię, zaledwie na wyciągnięcie ramienia od wroga.

Mehmed wszakże i tak cofnął się o krok, przyjmując obronną postawę. Nadal trzymał dłoń na głowie Radu, lecz nie zwracał na niego uwagi, co umożliwiło chłopcu wyszarpięcie z za pasa księcia wysadzanej klejnotami rękojeści.

- Zostaw mnie! - wrzasnął młodszy Drakula, dobywając broni i tnąc na odlew przez książęcą rękę.

Mehmed zawył. Skoczyli mu na pomoc kolejni gwardziści; Radu w okamgnieniu znalazł się na ziemi, przyciskany kolanami i twardymi podeszwami butów.

- Ciężkość ranion, mój synu? - zapytał Murad, podchodząc. Mehmed bez słowa pokazał rozciętą głęboko dłoń. Sułtan dotknął jej, zamknął w swojej. - Będziesz żył - ocenił. - Dzięki twemu poświęceniu dowiedzieliśmy się, że nawet najmłodsze ze Smocząt ma ostre zęby - Rozciągnął wargi w uśmiechu. - Nadal go pragniesz? Oczy Mehmeda zabłysły.

- Więcej niż kiedykolwiek - odparł.

- Zatem jest twój - stwierdził po prostu Murad i głośniejszym głosem dodał: - Zabierzcie chłopca do seraju mojego syna. Tego drugiego na wóz, natychmiast. Im szybciej wyruszy w drogę, tym lepiej. Niech wszyscy się rozejdą. Życzę sobie zostać sam na sam z Mehmedem.

- Wład! - zawołał rozpaczliwie Radu.

Donośny okrzyk przebił się przez gęstą mgłę, która spowiła umysł skatowanego Drakuli leżącego na ziemi. Próbował walczyć ze słabością, odzyskać ostrość spojrzenia i zdolność ruchu, lecz rozkazy sułtana jak zwykle zostały wykonane bez zbędnej zwłoki. Ludzie poczęli wymykać się z

kuźni, a gwardziści już przerzucali sobie obu chłopców przez ramię, aby wynieść każdego w innym kierunku.

Parę uderzeń serca później na scenie pozostał sułtan z synem, jego nieodłączna straż, która nareszcie mogła dać wytchnienie palcom i cięciwom łuków, oraz przyczajony w ciemności Ion. Milczenie zdawało się ciągnąć w nieskończoność, Ion obawiał się, że ktoś z obecnych usłyszy jego ciężki oddech, jego płacz. W końcu ciszę przerwał odgłos kroków. Próg przestąpił mężczyzna z jastrzębiem przycupniętym na jego zwiniętej pięści.

- Witaj, Hamzo ago - przemówił doń Murad. - Czy mój odważny Zeki jest gotów do lotu?

- Jest gotów jak zwykle, enishte. By szybować dla ciebie w przestworzach i by dla ciebie zabijać. Powiedział do niego „enishte - wuju - pomyślał Ion. Potem przypomniał sobie, że ich nauczyciel został mianowany sokolnikiem sułtana całkiem niedawno. Wcześniej ów urodziwy syn szewca z Lazu był podczaszym Murada, a niektórzy powiadali, że również kimś więcej

Sułtan sięgnął do torby u pasa Hamzy agi, skąd wy dobył kawałek surowego mięsa, aby zwabić ptaka na swoją dłoń. Jastrząb z chęcią przeskoczył z jednej męskiej pięści na drugą, gdzie czekała go nagroda, nawet nie płacząc przy tym krępujących jego nogi rzemyków. Nacieszywszy oczy dzikim zwierzęciem, które poddawało się całkowicie jego woli, Murad podniósł wzrok na rozmówcę.

- A ten drugi sokół, wołoski? Czy zdołasz go uczynić równie posłusznym? Będzie któregoś dnia zabijał dla mnie jak ten?

- Tak tak mi się wydaje, enishte. Mam już pewne pomysły, jak go ułożyć - Murad zaśmiał się do siebie.

- Och, w to nie wątpię. Zawsze byłeś najbystrzejszym z moich ludzi, bratanku - Przeniósł spojrzenie w bok i uśmiech zniknął z jego twarzy. - Zachęcałem mego syna, aby brał z ciebie wzór. - Odwrócił wzrok od spurpurowiałego Mehmeda. - A te pomysły? Podzielisz się nimi ze mną?

- Jest tak, jak mówisz, panie. Młody Drakula jest niczym sokół. A ja znam wiele sposobów, aby okiełznać drapieżnego ptaka. Czasem trzeba uciekać się do okrucieństwa, czasem wystarczy łagodność. Nieraz należy używać jednego po drugim. Tak jak w tym przypadku. - Westchnął. - Sądzę, że nauczyciele w twierdzy Tokat doskonale poradzą sobie z tym zadaniem.

- Żałuję, że mnie przy tym nie będzie - szepnął Mehmed. Murad zmarszczył czoło, aczkolwiek chyba nie na rzuconą mimochodem uwagę

syna.

- Czy to cię trapi, Hamzo ago? Żałujesz, że teraz zakładnik będzie odbierał lekcje tam, a nie pod twoim okiem?

Nauczyciel wzruszył ramionami.

- Zdarza się, że jedynym sposobem na złamanie dzikiego ptaka jest polać go zimną wodą i zostawić na całą noc na mrozie. Wtedy także choć czuję żal, zdaję sobie sprawę, iż nie ma innego rozwiązania.

Murad nachylił się i wolną dłonią dotknął rękawicy Hamzy agi.

- Jestem więźniem. Zamkniętym w klatce swego ciała. A jednak nazywam się wolnym jak sokół - przeczytał na głos. Spojrzał bystro na młodego mężczyznę. - To on dla ciebie wyszył ten napis?

- Tak.

Sułtan raz jeszcze przebiegł wzrokiem po literach.

- Dżalaluddin. Aczkolwiek dostrzegam pewne odstępstwa

- Też mu na to zwróciłem uwagę, enishte - Murad pozwolił, aby jego ręka opadła.

- Darzy cię uczniowską miłością, czyż nie? - zapytał. Hamza aga ponownie wzruszył ramionami.

- Być może.

- A jaki jest twój stosunek do niego? - Kiedy nauczyciel nie odzywał się przez dłuższą chwilę, Murad dodał z uśmiechem: - Cóż, mówiłeś coś o łagodności, która powinna przyjść po okrucieństwie

Dwaj mężczyźni, władca i jego poddany, stali zwrócenii twarzami ku palenisku, które wciąż dawało dość światła, by odczytać litery wyszyte nicią na skórze. Mehmed, nie lubiący, gdy wykluczało się go z centrum wydarzeń, zbliżył się do nich, tak że teraz trzy męskie ciała stanowiły parawan przed wzrokiem kryjących się w cieniu łuczników, Ion poruszył się nieznacznie. Jego śladem podążyła para oczu. Nie ludzkich. Jastrząb siedzący na pięści sułtana musiał być podarunkiem od któregoś z wasali z północy, gdyż Ion rozpoznał w ptaku mieszkańca bukowych lasów swojej krainy. Przesuwał się ostrożnie dalej, licząc na milczenie pobratymca. Przeliczył się.

Rozległ się donośny krzyk łowczego ptaka.

Ion podskoczył w miejscu, po czym kolana pod nim zmiękły, tak że nagle skurczył się i ocalił życie, gdy wypuszczona znienacka strzała przemknęła mu o włos nad głową i poszybowała w ciemność nocy.

- Nie! - zawołał Murad do drugiego łucznika, który właśnie wystąpił poza ciasny krąg trzech dostojników i szykował się do strzału. - Straże! - Na

rozkaz sułtana wbiegło do środka pięciu gwardzistów, którzy natychmiast pojмали Wołocha. - Ty - Murad zwrócił się do pierwszego łucznika - możesz pożegnać się ze służbą u mnie za to, że chybiłeś. Natomiast ty - ciągnął, spoglądając na Iona - podejdź tutaj.

W tym samym czasie kiedy pohańbiony łucznik opuszczał kuźnię, przed oblicze sułtana zawleczono Iona. Ciśnięto go na ziemię niczym związany tłumok. Murad pochylił się ku niemu i pociągnąwszy go za włosy, zmusił, aby się podniósł.

- Młodziak - wycedził - do tego w ubraniu ucznia. Znasz go, mój bratanku?

- Znam, enishte - odpowiedział Hamza aga. - Nazywa się Ion Tremblac. Jest synem wołoskiego bojarzyna przysłanym Władowi do towarzystwa.

- Czyżby? - mruknął sułtan. - Mnie wygląda raczej na szpiega.

Ion popatrzył prosto w oczy Murada. Zobaczył w nich swoją śmierć. Choć to dziwne, nagle przestał się bać. Jego los był już przesądzony. Nie miał się czego obawiać.

- Nie jestem szpiegiem, Murad chan. Służę tylko wiernie swemu panu i przyjacielowi, Władowi z Drakulów. - Wypowiedział te słowa wyzywającym tonem, chyba nawet ostrzej, niż zamierzał. Najbliższy gwardzista natychmiast posłał go znów na ziemię.

Wszyscy obecni zamarli, czekając na gwałtowną reakcję sułtana. Jednakże jego głos był łagodny, kiedy już się rozległ.

- Ten chłopak może się poszczycić nie lada odwagą, Hamzo ago. Czy jest równie uzdolniony jak jego młody pan?

- Nie. Nawet w przybliżeniu. Takich jak Wład Drakula jest naprawdę niewielu.

Mehmed postąpił krok do przodu.

- Ojczce To jeden z tych, którzy wystąpili przeciwko mnie w szrankach. W dodatku zwyczajny szpieg, któremu należy zakneblować usta. Przekaż go w moje ręce, a

Butne słowa uciszyło jedno podniesienie dłoni. Murad zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na swego syna i jakby nigdy nic kontynuował rozmowę z nauczycielem.

- Szkoda by było gasić taką jasną iskrę. Poza tym może się okazać dla nas przydatny

- Co masz na myśli, enishte?

- Czy ten młodziak wie, czym jest twierdza Tokat? Hamza aga skinął

głową.

- Wszyscy uczniowie wiedzą. Nocami po enderunie krążą mrozące krew w żyłach opowieści o tym, co wyprawia się w lochach fortecy.

- Dobrze. - Murad uśmiechnął się. - Nie zaszkodzi, jeśli nasza wiadomość dla Włada Smoka trafi do niego za pośrednictwem kogoś z jego ludzi. Ten młodzik opowie ojcu, co się dzieje z jego synami. A przebiegły Wołoch z łatwością się domyśli, jaki los szykuje Mehmed dla Radu i czego nauczy się jego starszy syn w twierdzy Tokat. Ion opowie też o tym, jak powstrzymaliśmy się od odebrania im życia na razie.

Sułtan raz jeszcze sięgnął do torby przy pasie Hamzy agi. Wyciągnąwszy parę kawałków surowego mięsa, przez chwilę karmił łakomego ptaka w milczeniu, ciesząc się jego urodą, spokojem i powolnością.

- Mój syn Mehmed osobiście dopilnuje, aby posłańcowi niczego nie zabrakło, nim zostanie wyprawiony w drogę. A teraz już czas sprawdzić zapal tego ptaka - dorzucił. - Na łowy! - Ruszył w stronę wyjścia. Gwardziści otoczyli go ciasnym pierścieniem, za ich plecami niczym cień podążał łucznik z napiętą cięciwą i przygotowaną strzałą. Doszedłszy do drzwi, sułtan zatrzymał się i obrócił, spoglądając ku Mehmedowi, który także zdążył zrobić parę kroków, zbliżając się do leżącego wciąż na brzuchu Iona.

- Synu, posłaniec musi być żyw, aby wypełnić swoją misję - rzekł cicho.

Z tymi słowami opuścił pomieszczenie w otoczeniu straży i z Hamzą agą u boku. W kuźni pozostali tylko dwaj strażnicy pilnujący Iona. Oraz Mehmeda.

Ion podniósł głowę i spojrzał w brązowe oczy księcia. Ich kształt był taki sam jak oczu sułtana, jednakże zabrakło w nich cienia humoru i współczucia. Mehmed podniósł rękę, jak gdyby chciał uderzyć więźnia w twarz, lecz zaraz opuścił ją i pochwycił pasmo włosów, które odsunął niemal pieszczotliwym gestem.

- Słyszałeś, psie! Mój ojciec darował ci życie, abyś mógł wyszczekać naszą wiadomość swojemu panu. - Uśmiechnął się zimno. - Lecz nikt nie mówił, że wiadomość ma być zawarta tylko w słowach - Rozejrzał się po kuźni, by po długiej chwili zatrzymać wzrok na rozżarzonych węglach. - Trzymajcie go mocno - rozkazał. - Za głowę.

Gwardziści wykonali polecenie bez wahania. Podczas gdy szarpali się z Ionem, Mehmed podszedł do półki z metalowymi prętami, przyjrzał im się uważnie i z okrzykiem radości wybrał jeden, po czym od razu włożył go pomiędzy węgle. Oblekając dłonie w grube skórzane rękawice, zaczął mówić:

- Być może wiesz, psie, że każdy sułtan ma unikatowy znak, zwany tugrą, służący do podpisywania ważnych dokumentów, coś w rodzaju pieczęci u was. Bywa, że zachodzi potrzeba wypalenia piętna na naszej własności: owcach, wielbłądach czy koniach. Do dziś sądziłem, że mój ojciec pozbył się stąd mego piętna zaraz po tym, jak odebrał mi władzę, ale - poruszył prętem rozgrzewającym się na palenisku, potem wyjął go i dmuchnął na rozżarzoną do czerwoności końcówkę - wygląda na to, że się myliłem.

Ion był bezsilny. Uchwyt mocarnych dłoni nie dawał się przewyciężyć. Został przyciągnięty do paleniska, przy którym stał Mehmed, i jedyne co mógł zrobić, to zamknąć oczy, modląc się, aby ominął go los oślepionych synów Brankowicza. To, że sułtan darował mu życie, nie znaczyło jeszcze, że zachowa wzrok. Jego zadaniem było mówić, nie patrzeć.

Ogarnęła go niewysłowiona ulga, kiedy poczuł gorąc z boku głowy, usłyszał trzaskanie palących się włosów i wciągnął w płuca duszący smród. Uczucie to jednak trwało tylko przez mgnienie oka - na moment przed tym, zanim załała go fala nieopisanego bólu, gdy Mehmed przyłożył swoją tugrę do jego ciała.

11. TOKAT

W świecie ciemności nie sposób odmierzać upływającego czasu. Zamknięty ze wszystkich stron wóz, na którym go wieziono do twierdzy Tokat, pozwalał przynajmniej odliczać kolejne wschody i zachody słońca, jako że odrobina światła dostawała się do środka przez krzywo zbite deski. Jednakże już w chwili, w której wyciągnęli go na zewnątrz, przewiązali mu oczy czarną opaską, po czym ponieśli krętymi dudniącymi korytarzami, w dół po niezliczonych kamiennych schodach. W murze jego celi nie znalazł się ani jeden występ, ani jedno zagłębienie sugerujące istnienie choćby najmniejszego okienka. Swoje więzienie poznawał więc wyłącznie za pomocą zmysłu dotyku, zresztą nie trwało to długo. Cella była cylindrem wykutym w litej skale, niewiele wyższym od Włada. W połowie wysokości znajdowała się swego rodzaju kamienna ława, na której mógł przysiąść lub - przy dużej dozie dobrej woli i wysiłku - położyć się na boku, podciągając kolana pod samą brodę. Ale nawet jeżeli udawało mu się zasnąć, bardzo szybko budził się, boleśnie kalecząc ciało o skalne zadziory, kiedy spadał z wąskiej półki, i niemal natychmiast pełzając na czworakach w plugawej słomie, która zasłaniała niewidoczną posadzkę i wchłaniała jego wszystkie wydaliny.

Nie dało się też odliczać dni na podstawie pór posiłków. Władowi wydawało się, że dostaje jedzenie regularnie każdego ranka, to znów że strawę w ustach ma ledwie dwa razy na tydzień. Tym bardziej nie można było oddzielać w myślach tygodni, gdyż pożywienie pozostawało niezmiennie takie samo. Najcieńsza z możliwych zupa na kaszy jaglanej, ledwie dające się wyczuć włókna czegoś, co być może było kiedyś mięsem, i twarde jak kamień kawałek chleba zalatujący pleśnią. Mimo to zjadał wszystko do ostatniego okruszka, popijając smrodliwą wodą. Jadło mu dostarczano w niewystarczających ilościach, toteż nie gardził niczym, wiedząc, iż musi zbierać siły na to, co go czeka niebawem. Swego czasu nasłuchiwał się historii o twierdzy Tokat, o celach tortur. Głód na pewno nie pomógłby mu tutaj przetrwać.

Nigdy nie widział tego, kto przynosił posiłek, ani nawet nie słyszał jego kroków. Po prostu nieoczekiwanie otwierała się zapadnia w sklepieniu,

naczynia uderzały głucho o ściany, kiedy były opuszczane w siatce, po czym rozlegał się przeraźliwy dźwięk zamykanej na powrót klapy. Za każdym razem Wład krzyczał, błagał, groził. Nadaremno. Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Przez większość czasu siedział skulony na niewygodnej ławie przypominającej raczej łoże tortur i obejmując się ciasno ramionami, drżał na całym ciele. Miał na sobie resztki tego, co w enderunie wkładał na noc do spania, i teraz ciągle, przenikający go do szpiku chłód był nieodłącznym towarzyszem wiecznego mroku.

Czasami tylko, kiedy zapadnia uchyliła się na wystarczająco długo, jego uszu dochodziło echo odległych krzyków.

Pewnego razu, czując w sobie przemożny gniew, nabrał w garść własnych ekskrementów i zaczął się z cierpliwością, jakiej nie przejawiał nigdy wcześniej, nawet podczas łowów na najbardziej nieuchwytną i upragnioną zdobycz. Wreszcie, gdy kłapa się otworzyła, miotnął zawartością dłoni z całych sił, dobywając z płuc przeraźliwy wrzask. Okrzyk, który wywołał swoją akcją, był dlań równie satysfakcjonujący jak zachowanie pokonanego Mehmeda w turnieju dżarodbazi. Uzyskał jednak tyle tylko, że sieć nie opadła, zapadnia zamknęła się ciasno i długo potem mógł mierzyć czas wyłącznie narastającym uczuciem głodu, który targał jego wnętrznościami. W otaczających go doskonałych ciemnościach światło widywał tylko we snach, które nawiasem mówiąc, nie całkiem dawały się odróżnić od jawy. We dnie lub nocą z piekielnej czerni, wydającej mu się chwilami blaskiem południowego słońca, dochodziły go dźwięki nieznanego mu języka, bardziej niż ludzką mowę przypominającego świergotanie ptaków. Na przemian wytrzeszczał oczy i mrużył powieki, próbując dostrzec poprzez łyż zarysy twarzy. Bezskutecznie. Aż do czasu gdy do jego snu zakradło się brzęczenie łańcuchów, tarcie metalu o kamień i pojawiło się światło. Nie to ze snu, rozmyte i nierzeczywiste, lecz jak najbardziej prawdziwe, wydobywające z mroku kształt czyjejś głowy. I padło jedno słowo, ale takie, które zrozumiał: - Chodź.

Wyciągnęły się ku niemu ręce, pomagając mu wydostać się z wąskiego cylindra. W korytarzu natychmiast ukucnął, niezdolny ustać prosto po dniach, a może tygodniach przebywania w ciasnym lochu. Ukradkiem przyglądał się stojącym po jego bokach mężczyznom, mrugając powiekami, pod którymi wzbierały łyż wywołane rażącym go blaskiem mdłej, kopcącej pochodni. Trwało to ledwie chwilę, gdyż zaraz powlekli go za sobą, nie zważając na to, że ściera sobie wyrosnięte paznokcie palców u stóp o

szorstkie kamienne płyty. Nawet wtedy próbował stanąć na nogi, używając strażników jako podpory, usiłował za wszelką cenę przywrócić czucie w udach, łydkach i stopach. Nie miał pojęcia, co go czeka na końcu tego przejmująco wilgotnego korytarza, lecz cokolwiek to było, chciał stawić temu czoło na własnych nogach.

Pierwsze, z czym się zetknął, to czysta woda. Strażnicy - mężczyźni o lisich twarzach i żelaznych palcach, z głowami omotanymi turbanami - wrzucili go do celi, pośrodku której stało drewniane koryto, i odstąpili krok do tyłu, przyglądając mu się z założonymi na piersi rękoma. Wład zatoczył się, oparł o brzeg koryta i zanurzył w nim dłoń. Woda była ledwie letnia, jemu wszakże wydała się najgorętsza, jaką zapamiętał z czasów, gdy odwiedzał hammamy Adrianopola, tak wielki był kontrast pomiędzy tym, co miał przed sobą, a tym, w czym przyszło mu żyć ostatnio. Obok leżały rękawice z grubo tkanej materii, sądząc po zapachu, niezbyt czyste, lecz doskonale spełniające swoją rolę, gdy przytknął je do ciała. Wrażenie było porażające! Pośpiesznymi ruchami zdierał z siebie śmierdzące warstwy resztek dawnego odzienia, by jak najszybciej zacząć się myć. Woda zabarwiła się najpierw na brązowo, od wydaliny jego ciała przylepionych na niemal całej powierzchni, a następnie na lekki róż, kiedy zaczęły pękać niezliczone rozdrapane do krwi strupy po ugryzieniach pcheł i innego robactwa. Nie przejmował się tym jednak. To, że wydzielał i krwawił, świadczyło o tym, że nadal żyje, a ta konstatacja ucieszyła go niezmiernie, tak długo bowiem przebywał w odosobnieniu, że nieraz nachodziły go co do tego poważne wątpliwości. Za parę chwil, już obmyty z największego brudu, znów się poczuje jak człowiek. To również było wyczekiwaną odmianą po ostatnich przeżyciach.

Kiedy skończył, ciśnięto weń wehianą tuniką. Włożona na gołe ciało grzała przyjemnie w odróżnieniu od przetartych letnich szat, w których go tu przywieziono i którym pozwolono na nim zgnić. Chwilę później schylał się po sandały, by nasunąć je na napuchnięte obolałe stopy. Musiał potem wolno, ruch po ruchu, jakby był kołem zębatym albo młyńskim, prostować się do pionu, zaciskając zęby, aż w końcu po wieku spędzonym w samotności i całkowitych ciemnościach przyjął postawę godną ludzkiej istoty. Ledwie mu się to udało, dwaj strażnicy rzucili się ku niemu, ucapili go za ramiona i powiedli dalej korytarzem, ku niskim drzwiom. Tam jeden z nich położył mu dłoń na głowie, nacisnął i tak lekko przygiętego przepchał przez otwór do środka. Nogi, w których nie odzyskał jeszcze pełni sił, zawiodły go wtedy,

zgięły się w kolanach, tak że znów wylądował na czworakach. W pomieszczeniu było ciemno i duszno, niemal tak samo jak w jego celi. Na pierwszy rzut oka jedyną różnicę stanowiła obecność piecyka dającego światło i ciepło. Wzrok Włada momentalnie ku niemu pobiegł.

Kiedy już przywykł do ciemności rozjaśnionych punktowo żarzącymi się węglami, rozejrzył się wokół siebie. Znajdował się w komorze bez okien, wysokiej dość, by sklepienie ginęło w mroku, aczkolwiek nie na tyle, by nie dało się dostrzec zwisających zeń instrumentów - jakowychś kół, łańcuchów, pętli. Jeszcze więcej dziwnych przedmiotów leżało pod ścianą bądź było o nią opartych. Metalowe pręty, szczypce, noże, nawet coś, co wyglądało jak rama łóżka, tyle że postawiona na sztorc. W kącie stała pełna pusta zbroja.

Wład powędrował spojrzeniem ku piecykowi, gdzie jak mu się zdało, zamajaczyły dwie ludzkie sylwetki. Postaci właśnie się pojawiły, a może były tam przez cały czas, tylko on ich dotąd nie widział. Jedna wydawała się wyraźnie większa od drugiej i to ona właśnie, dostrzegłszy, iż więzień spogląda w ich stronę, poruszyła się i wraziła metalowy pręt pomiędzy węgle. Wywołało to snopy iskier, nagle w pomieszczeniu zrobiło się o wiele jaśniej, aczkolwiek tylko na chwilę, wystarczająco długą jednak, by Wład w postaciach rozpoznał dwóch obcych mężczyzn. Niższy z nich postąpił ku niemu.

- Witaj, książatko - rzekł. - Witaj w twierdzy Tokat.

Głos był zadziwiająco męski i głęboki jak na tak nikczemną sylwetkę mówiącego. Wład przyjrzał mu się uważniej i doszedł do wniosku, iż mężczyzna nie ma w sobie nic z karła, o co go z początku podejrzewał. Żadnych nienaturalnie napuchniętych rysów, żadnych zaburzonych proporcji w budowie ciała, chociaż wzrostem nie przekraczał średnich rozmiarów dziecka. Wyglądał jak całkiem zwykły człowiek, tyle że w miniaturze. Miał haczykowany nos i oczy umieszczone pod opadniętymi powiekami, jakby wiecznie brakowało mu snu. Nosił zwyczajną wełnianą kurtę, którą zapewne z powodu zimna zapinał aż pod samą szyję. Przy bliższych oględzinach Wład zorientował się, że to co wziął za przeciętne odzienie, było starannie wyszyte grubą nicią we wzór przedstawiający scenę polowania na jelenia.

Podczas gdy Wład przyglądał się niższemu z mężczyzn, wyższy zbliżył się jeszcze do piecyka. Był naprawdę imponujących rozmiarów. Jego goły brzuch zdawał się obróconą na bok kopułą pod szeroką i umięśnioną klatką piersiową, po której obu stronach dominowały potężne bicepsy. Na tyle, na ile Wład był w stanie go dostrzec, całą powierzchnię skóry miał wytatuowaną

w stwory zarówno mityczne, jak i rzeczywiście żyjące na ziemi. Bazyliszek zaganiał mantykorę pod jego pachę, tygrys zdawał się brać początek z pępka, przez łysą głowę biegł jakiś napis. W istocie rzeczy Wład nie dostrzegł na nim ani jednego włoska, jakkolwiek w miejscu gdzie powinny być brwi, zostały wytatuowane czerwonym atramentem dwie grube kreski.

- Zowią go Mahir - rozległ się znów ten dudniący głos - co znaczy: „dobry w swoim fachu”. I tak właśnie jest, o czym niebawem będziesz miał okazję przekonać się osobiście. Nie miej mu za złe milczenia, biedak nie potrafi mówić. Pokaż mu dlaczego, Mahir!

Gigant nachylił się ku Władowi i otworzył wielkie usta. Biel jego zębów porażała, być może dlatego, iż okalała ciemną czeluść pozbawioną choćby kikutu języka.

- Nie była to pierwsza rzecz, jaką stracił - wyjaśnił karzeł z chichotem. - Wcześniej był eunuchem w haremie w Adrianopolu. Ale potem zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć, zaczął mleć jęzorem i pac! - Wysunął na zewnątrz własny język, zdający się poruszać na podobieństwo węzowego. - Kazali mu go sobie odgryźć, dasz wiarę? Może sam chciałbyś tego spróbować? Nie? - Ponownie rozległ się suchotniczy śmiech. - Tak czy inaczej, Mahir marnował się w haremie. Utracił język, lecz zyskał coś o wiele wartościowszego, co jak mniemam, będziesz umiał docenić.

Ciepło, które Wład zaczął odczuwać po kąpieli i w bliskości piecyka, nagle go opuściło. Pojął bowiem to, co jego umysł za wszelką cenę chciał z początku od siebie oddalić. Wszystkie przedmioty znajdujące się w tym pomieszczeniu służyły do zadawania cierpienia. A on miał się zaraz przekonać, które narzędzie do czego służy. Taka miała być jego kara za przewinienia jego ojca względem sułtana. Chciał się odezwać, zaprotestować, może nawet błagać o litość, lecz jak się przekonał, głos odmówił mu posłuszeństwa. Zamiast niego odezwał się karzeł.

- A na mnie wołają Wadi - przedstawił się. - To z kolei znaczy: „spokojny” - urwał na chwilę. - Ale po co ja ci wszystko tłumaczę? Przecież posługujesz się naszym językiem, czyż nie?

- Radzę sobie - Wład zdołał potwierdzić mruknięciem.

Na to Mahir, który trzymał usta wciąż szeroko otwarte, kłapanął zębami, przybliżył się do piecyka i zaczął układać rozmaite instrumenty na metalowej tacy zawieszanej nad płomieniem.

- Skromny jesteś - ciągnął Wadi. - Nas tu doszły słuchy, że byłeś jednym z najlepszych uczniów w historii enderunu. No cóż - uśmiechnął się -

teraz dostałeś się do innej szkoły. Czego innego będziesz się tutaj uczył. Rzeczy nieco bardziej - szerokim gestem wskazał grzejący się metal - praktycznych, by tak rzec. Zważ też, że Mahir i ja w niczym nie przypominamy twoich nauczycieli z enderunu

Nieoczekiwanie klasnął w dłonie. Tylko raz, lecz to wystarczyło, aby Wład podskoczył, jakby tuż obok jego ucha ktoś wypalił z samopału. Teraz się zacznie - pomyślał. Chciał uciekać, opuścić tę komnatę i zostawić ją daleko za sobą. Albo pochwycić pierwszy z brzegu rozgrzany pręt i rozpocząć straceńczą walkę. Cokolwiek zamierzał, nie wprowadził tego w życie z prostego powodu: nogi odmówiły mu posłuszeństwa, tak jak wcześniej głos. Nadal czuł się odrętwiały, gdy otwarły się niskie drzwi i do środka wsypało się pół tuzina młodzików. Nikt jednak nie rzucił się na niego, nikt go nie przewrócił ani nie przyspilił do podłogi, by poddać okrutnym torturom. Utworzyli półokrąg, opadli na klęczki, przytknęli czoła do zimnego kamienia. Wadi przechylił lekko głowę.

- To twoi nowi koledzy - oznajmił. - Również nieco odmienni od tych, z którymi miałeś do czynienia w swojej orcie. Głównie chłopscy synowie, nieumiejący czytać ani pisać, nieznający na pamięć Koranu i niedbający o poezję. Ale są silni i chętni do nauki. I na swoim poletku staną się równie biegli jak wszyscy inni, którzy pokończyli szkoły, chociaż przyznaję ich umiejętności nie będą dotyczyły spraw takich, jak wznoszenie wspaniałych budowli, rządzenie ludźmi czy pisanie ksiąg. Zapewne będzie im dane podróżować, tak samo szeroko jak sułtańskim żołnierzom w czas wojny, ponieważ o czym ci być może już wiadomo lub o czym dopiero się dowiesz - każde państwo potrzebuje mistrzów w katowskim rzemiośle.

Karzeł spuścił spojrzenie swych przymkniętych oczu z Włada i powiódł wzrokiem po pochylonych głowach uczniów.

- Powitajcie nowy nabytek w orcie - rzekł. - Wasz nowy kolega ma sporo do nadrobienia, ale jestem pewien, iż nie będziecie szczeni mu swojej wiedzy. Zwłaszcza że możecie być dumni z takiego towarzysza, syna samego hospodara wołoskiego. Nigdyście o nim nie słyszeli? - zdziwił się fałszywie. - Nie przejmujcie się, niewielu słyszało. Wołoszczyzna to kraik bez znaczenia, zawdzięczający wszystko łasce Murad chana, Oswobodziciela Świata, niech Allah da mu zdrowie. Życzeniem prześwieconego władcy imperium jest, aby to książątka poznało tajniki naszego fachu. Dlatego jest tutaj z nami. To powiedziawszy, Wadi klasnął ponownie. W drzwiach stanęli dwaj strażnicy o lisich twarzach, pomiędzy sobą trzymając jakiegoś

człowieka. Więzień szlochał przeraźliwie. Karzeł uśmiechnął się, jakby usłyszał najwspanialszą muzykę.

- Zatem witaj raz jeszcze, Władzie Drakulo. Witaj w swojej nowej szkole.

12. WYBÓR

Był odziany jak każdy anatolijski pasterz - w wełniane szarawary i kamizelę z owczej skóry narzuconą na ufarbowaną na czerwono koszulę. Wszystko po kolei z niego zdzierano, aż stanął nagi i drżący. Męczyzna zasłonił dłońmi przyrodzenie, co wywołało u większości uczniów kpiące uśmieszki. Nie potrafił skupić wzroku na żadnym z nich, mrugał jak szalony, a z jego oczu wyzierało czyste przerażenie. Był puciołowaty i zdecydowanie odróżniał się od stojących wciąż obok strażników, którzy właśnie - na skinienie Wadiego - zmusili go, aby opadł na kolana. - Pierwszy lepszy głupiec potrafi zadawać ból, książę - rzekł tutejszy aga - lecz tylko nieliczni umieją go przedłużyć w nieskończoność. - Przystanął przy klęczącym więźniu, który zadarł lekko głowę i spojrzał na niego załzawionymi oczami. - W pewnym sensie jest to prawdziwa sztuka. Podobnie jak dobry lutnista muska struny, aby wydobyć harmonijny dźwięk, unoszący się następnie długo w powietrzu, my także nie szarpiemy naszych instrumentów, nie bębnimy palcami ani nie uciszamy całą dłonią, gdyż pragniemy jak najdłużej radować nasze uszy muzyką, która wychodzi spod naszych rąk.

Wadi wyciągnął rękę i uszczypnął więźnia w ramię. Ów krzyknął coś w swoim rodzimym dialekcie i naturalnie został całkowicie zignorowany.

- Wszelako bardzo dużo zależy od tego, na kim przyjdzie nam grać. Czasami najdelikatniejsza lutnia okazuje się najwytrzymalsza. - Zwrócił się wprost do przysłuchujących mu się uczniów: - Dlatego przyjrzyjcie się bacznie waszemu instrumentowi. Zwróćcie uwagę na jego zdrowie, koloryt ciała, kondycję. Dopiero wtedy zaczniecie grać

Wład odezwał się, zanim zdążył się zastanowić, co robi.

- Jaką zbrodnię popełnił ten człowiek? - spytał nieswoim głosem. Czoło karła zmarszczyło się.

- Jaką zbrodnię? A cóż to dla nas za różnica? Przecież nie mamy go sądzić. Ufamy wyrokom lepszych od siebie, którzy mogli go zwyczajnie powiesić, lecz zamiast tego przysłali go do nas, wiedząc, iż w zadośćuczynianiu sprawiedliwości odgrywamy równie ważną rolę jak oni. - Ponownie skinął na strażników, a ci natychmiast poderwali więźnia z ziemi i postawili go na równe nogi. Jeden zatrzasnął mu na nadgarstkach kajdany,

podczas gdy drugi przeplótł przez łączący je pierścień grubą linę, ginącą w górze pod sklepieniem, gdzie sądząc po skrzypiących odgłosach, musiał być jakiś mechanizm, najpewniej koło pasowe zawieszona na belce. Kiedy wszystko było już zrobione jak należy, obaj strażnicy podeszli do zwisającego luźno końca liny przy ścianie i jęli za niego ciągnąć, podnosząc ramiona skazańca nad jego głowę, tak że w końcu musiał stanąć na czubkach palców wyprężony jak struna. Wisiał tak z przymkniętymi nareszcie oczyma, poruszając ustami w bezgłośnym błaganu albo modlitwie.

Wadi ujął kij i stanął naprzeciwko więźnia.

- Słyszałem, że w świecie chrześcijańskim tortur używa się po to, aby wydobyć ze skazańca wyznanie wiary, i że najczęściej tyczy się to tych wierzących w innego Boga. Co za barbarzyństwo! - zakrzyknął. - Pomijając już to, że pod panowaniem sułtana każdy poddany może wierzyć, w co zechce, nie narażając się na szykany, chociaż oczywiście prawdziwa wiara pochodzi tylko od Allaha, który jest wielki

- Allah jest wielki! - krzyknęli chórem uczniowie.

- Jaki może być pożytek z zeznań wydobytych siłą? Każdy mężczyzna powie wszystko, byle tylko uniknąć bólu. Kobieta zresztą także. Możecie nie wierzyć, ale gdybym dostał w swoje ręce świętych Piotra i Pawła, w ciągu zaledwie godziny sprawiłbym, że zaprzeczyliby istnieniu swego Boga, wyparliby się swego Zbawiciela i zaczęliby wychwalać szatana. - Powiódł spojrzeniem po wpatrzonych weń twarzach, by na koniec zatrzymać się dłużej na Władzie. - Powiedz mi, moje książątko, czy w adrianopolskim enderunie nie dzieliliście swego czasu pomiędzy zajęcia praktyczne i filozoficzne? Nie zgłębialiście tajników najpierw geometrii, a następnie dialogów Sokratesa? No więc tego samego możesz spodziewać się tutaj. My również mamy swoją filozofię. Filozofię tortur, które są przedmiotem mego zainteresowania, odkąd pamiętam. - Przytaknął sobie skinieniem głowy.

- Tortury zadaje się z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, dla zdobycia informacji. W czas wojny po to, by wiedzieć, gdzie wróg położył zasadzki i która część fortyfikacji ma słabe punkty. W czas pokoju, aby poznać miejsce kryjówek skradzionych przedmiotów lub porwanego dziecka. W takich wypadkach tortura musi być krótka, intensywna, nie do zniesienia, ponieważ oczekujemy suchych faktów. Po drugie zaś - przerwał i uniósł w górę trzymany w ręku kij.

- Torturuje się długo i przeciągle, powodując nieopisane cierpienie podtrzymywane do granic ludzkich możliwości - uśmiechnął się i wskazał

kijem zgromadzonych uczniów, którzy dopowiedzieli jak jeden mąż:

- Torturuje się tak innych po to, aby nie mogli torturować nas. - Echo młodzieńczego głosu długo odbijało się od kamiennych ścian komnaty. Pobudziło nawet skazańca, który rozwarł powieki i spojrzał przytomniej. Wadi skinął głową z zadowoleniem i powtórzył:

- Torturuje się innych, by nie mogli torturować nas. Jak większość odpowiedzi na najważniejsze pytania, i ta jest niezwykle prosta. Lecz dlaczego poszukujemy najbardziej przemyślnych metod zadawania niekończącego się cierpienia? Z pewnością nie dla samego bólu, to byłoby zwykłym okrucieństwem. Raczej dla przykładu, jasnego i tak wymownego jak to tylko możliwe. Dla przestrogi: oto co czeka każdego, kto mi się sprzeciwi, oto jaki los stanie się udziałem wszystkich, którzy odważą się wystąpić przeciwko mnie. - Rozpromienił się nagle niczym dobry wujek. - No ale dość już teorii, czas przejść do praktyki.

Odwrócił się i skinął na Mahira, który dotąd stał nieruchomo jak głaz, z rzadka wydając dziwny klaszczący dźwięk, który zapewne powstawał w jego okaleczonym gardle. Wadi postukał kijem w blat stołu, po czym zachęcił:

- Dalej, moi uczniowie. Częstujcie się.

Wszyscy bez oporów podeszli i jęli podnosić coś z tacy. Tylko jeden Wład pozostał na swoim miejscu. Wadi uśmiechnął się lekko.

- Książę? - zapytał. - Nie raczysz jeszcze do nas dołączyć? Cóż, zapewniam cię, że uczynisz to raczej prędzej niż później. Gdy tylko się rozochocisz. Gdy uświadomisz sobie, że to - uderzył w ciało rozciągniętego na linie mężczyzny - nie jest już człowiekiem. Nie jest nawet zwierzęciem. To czysty koncept. Oraz oczywiście przykład. Dla twoich przeciwników. Może także dla twoich przyjaciół.

Wokół skazańca uformował się półokrąg żądnych wiedzy młodzików. Mahir postąpił do przodu, Wadi zaś uchylił szybką latarni, równocześnie unosząc światło wyżej. Wtedy dopiero Wład zorientował się, co oprawca trzyma w dłoni - co trzymają oni wszyscy. Była to pałka, nie przypominała jednak drewnianego kija służącego do wymierzania kary chłosty za drobne przewinienia w enderunie. Ta była grubym stalowym prętem długości męskiego przedramienia, lecz nie grubszym od kciuka. Mahir użył narzędzia pierwszy. Uderzył nim w brzuch więźnia, prowokując krzyk i szerokie otwarcie oczu, a następnie jakby nigdy nic odstał, ustępując pola Wadiemu.

- Widzieliście to, moi uczniowie? - spytał karzeł. - Mahir uderzył silnie, lecz nie z a silnie. Można powiedzieć, że w sam raz. Pamiętajcie, aby nigdy

nie naruszyć skóry. Popatrzcie na ten ślad - wskazał czubkiem pałki. - Trudno go zauważyć, prawda? Ledwie słabe zasinienie w miejscu, gdzie ciało napotkało stal, znamię spowodowane pęknięciem drobnych żyłek tuż pod powierzchnią skóry. Właściwie nic takiego. Ale kiedy obok niego powstanie następne i jeszcze jedno, kiedy nie ostanie się ani kawałek zdrowej skóry - uderzył tuż obok miejsca, w które trafił Mahir, wywołując kolejny okrzyk bólu i dodając drugą pręgę. - Cóż, przekonacie się niebawem, co się dzieje, kiedy człowiek zamienia się w żywy siniec. - Machnął ręką, każąc uczniom przybliżyć się do ofiary. - Wybierzcie sobie jeden kawałek i popracujcie nad nim. Pamiętajcie tylko: żadnej krwi! - Okamgnienie po jego ostatnich słowach padł pierwszy cios, zaraz po nim następne. Wadi rzucił komentarze zalecające wzmocnienie rąk bądź opanowanie. Po jakimś czasie wrzaski mężczyzny przeszły w charkot. Wład nadal stał tam gdzie przedtem, nie odwrócił się jednak. Nie marzył o niczym innym, ale nie chciał okazać słabości.

W pewnym momencie ktoś podał mu pałkę. Odruchowo pochwycił ją w dłoń. Chwilę później zacieśniał uchwyt z każdym zadaniem razem, czując, jak martwieją mu palce na rozgrzewającej się pod jego dotykem stali.

Nawet pośród najgorszej kaźni zdarzały się chwile ulgi. Nawet w ciemnościach pojawiało się światło. Nawet samotność dopuszczała towarzystwo.

Kompani przychodzili do niego w snach i zostawali z nim na jawie. Zjawiali się ci, których akurat potrzebował najbardziej, co zmieniało się w zależności od pory dnia i nocy.

- Po czym je tutaj poznajesz, chłopcze?

Wład Smok, jego ojciec, dzielił z nim wąskie twarde posłanie z kamienia w mrocznej celi. Choć obaj byli masywnej budowy ciała, mieścili się bez trudu, siedząc na turecką modłę ze skrzyżowanymi nogami i dotykając się kolanami.

- Po rodzaju cierpienia - odpowiedział Wład, jak zwykle chętny, aby zadowolić ojca. Wiedząc, że to go zainteresuje, kontynuował: - Zimowe poranki ciągną chłodem, więc wówczas odbywają się ćwiczenia cieplejszych stylów. Tych wymagających użycia płomieni.

- Dobry chłopiec. Uważny. Obserwuj ich bacznie, synu. Tylko jeśli poznasz ich dobrze, będziesz umiał ich pokonać. - Przejechał upierścienioną dłonią po krętych czarnych lokach. - Czego jeszcze się o nich dowiedziałeś?

- Mają obsesję na punkcie jedzenia. Dowódcy janczarów nie bez powodu

zwani są kucharzami. Traktują ludzkie ciało tak, jakby to była baranina. Gotują je, duszą, podlewają sosem, opiekają i smażą.

- A potem spożywają?

- Jeśli nawet, nie byłem tego świadkiem.

Nieoczekiwanie Wład Smok zaczął płakać. Syn widywał go śmiejącego się do łez, nigdy jednak roniącego łzy z innego powodu niż wesołość. Zaniepokoił się więc.

- Ojczy, proszę Nie

- Zawiodłem cię, chłopczy - szlochał Wład Smok zwany Diabłem. - Przeze mnie musisz to wszystko oglądać. Przeze mnie tu trafiłeś. Nie zdołałem zachować złotego środka. Gdybym nie wspomógł Hunyadyego, Węgrzy obdarliby mnie ze skóry, przeżuli i wypluli tylko ogryzione kości. Jednakże przed Turkami nic się nie ukryje. Dowiedzieli się i ukarali mnie najciężej jak mogli, zabierając mi ciebie. I wszystko to na nic. Mój czas minął. Jest już za późno - Zakrył twarz rękoma, spomiędzy palców dobywały się stłumione słowa: - Za późno za późno Mimo że modliłem się do Boga i świętego Andrzeja, żeby mieli w opiece moich synów. Ty trafiłeś tutaj, a Radu Radu

Wład poczuł, jak po krzyżu przebiegają mu ciarki.

- Co z moim bratem? Mów! - Spomiędzy splecionych palców doszło ciche:

- Zostawiłeś go. Zostawiłeś go mnie - Głos był inny, język także. Nawet twarz, którą właśnie odsłoniły dłonie, należała do kogoś innego. Mehmed uśmiechnął się i przejechał językiem po obrzmiałych wargach. - Teraz jest mój, tylko mój, i o wiele słodszy niż jakaś tam dziewczka, którą mi skradłeś.

- Nie! - krzyknął Wład, zrywając się na równe nogi, by pochwycić szyję wroga, zacisnąć na niej palce, rozedrzeć gardło.

Niczego jednak nie złapał, tylko przeciął ramionami powietrze, za to stracił równowagę i uderzył głową w mur. Natychmiast poczuł na brwi mokrą lepkość, sięgnął ku niej dłonią, lecz uprzedziła go czyjaś ręka, muskając go łagodnie, pieścizotliwie niemal. Rozpoznał ten dotyk od razu, ponieważ nikt inny nigdy go w ten sposób nie gładził od czasu, gdy zmarła jego matka.

- Ilona - szepnął, sięgając ku dłoni, której tak naprawdę nie było. - Światło mego życia

- Panie mój - ozwał się cień z mroku komnaty. Wład już dawno temu

rozpiął klamrę utrzymującą w ryzach jej bujne kędziory, na własnych palcach rozprostował ciasne loczki, które zakręcono na polecenie wyrafinowanego Mehmeda. Teraz włosy Ilony spływały orzechową kaskadą, otaczając idealny owal twarzy, na której nie było śladu niepotrzebnej barwiczki.

- Jesteś bezpieczna, słońce moje?

- Tak, mój panie. Jestem na naszej ziemi, nic mi tutaj nie grozi. Oczekuję twojego powrotu.

- Nie! Musisz o mnie zapomnieć! Jesteś czysta, bez jednej skazy. Niewinna. Nie wolno ci oczekiwać na powrót potwora!

- Ty potworem? - zaśmiała się dźwięcznie. - Skądże znowu! Jesteś moim bohaterem, oswobodzicielem, moim księciem i panem

- Jestem potworem! - przerwał jej brutalnie, sięgając przed siebie, aby ją odtrącić. Jego ręce znowu nie napotkały oporu. Przystawił je szybko do twarzy, zakrył oczy. - Jestem potworem - szeptał. - Jestem taki jak oni

- To znaczy jaki?

Nie wiedział, kto zadał mu to pytanie. Zresztą nie miało większego znaczenia, czy była to Ilona czy może raczej jego ojciec albo Mehmed. Niebawem wszyscy mieli poznać nowe oblicze Włada Drakuli.

Wadi stał naprzeciwko paleniska rozjaśniony płomieniami, natomiast Mahir jak zwykle krył się w jego cieniu. Reszta orty swoim zwyczajem ustawiona była w półokrąg. Policzek karła ozdabiał okazały siniak.

- Książątko - wypluł to słowo, ledwie strażnicy wprowadzili Włada do komnaty. - Miesiącami prawie nie brałeś udziału w naszych lekcjach, ograniczając się do obserwacji. Obserwacji! - prychnął. - Nie po to tutaj jesteś, mój mały. Nie tego po tobie się spodziewają i nie tego oczekują ode mnie. - Uniósł dłoń i opuszkami palców przejechał po zasinieniu skóry na twarzy. - Pewni ludzie zaczynają się niecierpliwić. Ja zaczynam się niecierpliwić. Dlatego postanowiłem uczynić nasze zajęcia nieco bardziej - zawałał się - bezpośrednimi.

Dał znak strażnikom, którzy bezzwłocznie opuścili komnatę, by jednak zaraz powrócić. Pomędzy sobą wiedli jakiegoś człowieka, który - to od razu rzuciło się Władowi w oczy - znacznie różnił się od ubogich wieśniaków stanowiących ich zwykłe instrumenty. Mężczyzna zdawał się w sile wieku, miał starannie przystrzyżoną brodę i wąsy oraz bladą cerę świadczącą o wysokim urodzeniu. Odziany był na zachodnią modłę: w zielony aksamitny dublet, płudry i buty z błyszczącymi klamrami.

- Znajcie mą hojność, uczniowie! - zawołał Wadi. - Oto kupiec i kapitan

z samego Rzymu! Człowiek wyedukowany, a jednak wystarczająco głupi, by próbować szmuglować przyprawy i niewolników bez opłacania haraczu. No więc doczekał się czasu zapłaty - uśmiechnął się karzeł.

- Jego błagania o litość i głośnie modły będą stanowić miłą odmianę po tych ciągłych pochrząkiwaniach gburowatych wieśniaków, mam rację? Albo i nie - Ponownie przykładając dłoń do twarzy, zwrócił się bezpośrednio do Włada: - Bo ty, zdaje się, też jesteś wykształcony. Może więc twoje krzyki okazałyby się bardziej zajmujące

Wład przełknął ciężko ślinę.

- Nie odważysz się.

- Nie odważę się? Ja? - Wadi roześmiał się chrapliwie. - To moje królestwo, nie zapominaj o tym, moje książątko. Ja tutaj jestem panem, nie ty. Dlatego mogę z tobą zrobić, co tylko mi się zamarzy. - Przeniósł wzrok na wpatrzonych w niego uczniów. - Rozdziejcie ich obu. Młodziki rzucili się, żeby wykonać rozkaz. Parę uderzeń serca później zarówno kupiec, jak i Wład stali naprzeciwko siebie nadzy jak po urodzeniu, jeśli nie liczyć opasek biodrowych, które im litościwie zostawiono. Ramiona mieli unieruchomione w imadłach mocarnych uchwytów dłoni adeptów sztuki kaźni.

Wadi sięgnął jedną ręką za siebie, ujął coś i postąpił krok do przodu. Stanąwszy na wprost Włada, spojrział mu prosto w oczy.

- Jaka jest dewiza naszej szkoły? - zapytał. - Przypomnij mi, moje książątko. - Wład odwrócił wzrok. Milczał.

- Odmawiasz? A może po prostu zapomniałeś? - Wadi popatrzył rozkazująco na uczniów, którzy trzymali Drakulę. - Przypomnijcie mu! - polecił.

Unisono zakrzyknęli:

- Torturuj innych, aby oni nie mogli torturować ciebie!

- Torturuj innych, aby oni nie mogli torturować ciebie! - powtórzył ciszej Wadi.

A potem wyciągnął rękę przed siebie i przyłożył coś zimnego do skóry Włada. Był to nóż o ostrzu nie dłuższym niż dłoń mężczyzny, lecz przy tym mocno zagiętym, rozszerzającym się w środkowej części i zda się, tępo zakończonym. Wład nie miał kłopotów z rozpoznaniem narzędzia, ponieważ sam takiego używał - między innymi wtedy, gdy szył rękawicę dla Hamzy agi. Teraz ostrze przylegało szczelnie do jego ciała, aczkolwiek tylko przez moment. Wadi zniechęca zmienił lekko położenie ręki, przebijając czubkiem ostrza skórę na piersi chłopca. Zaraz ciął mocniej, zagłębił nóż w ciele i

pociągnął, odrywając pas skóry długości palca, a wszystko to, zanim Wład zdążył choćby krzyknąć.

Nauczyciel odstąpił, odwrócił się do orty i unosząc wysoko odcięty płat, przemówił na tyle głośno, by zagłuszyć jęki:

- Czy wszyscy widzieli, z jaką łatwością skóra odchodzi od ciała? I jak płytko umieściłem ostrze? Zawierzyłem ostrości noża, nie swojej sile. Taka technika nazywa się skórowaniem. Niektórzy twierdzą, że w najdalszych zakątkach Wschodu żyją mistrzowie umiejący utrzymać człowieka przy życiu, nim zedrą z niego tysięczny, ostatni pas skóry. Czy można dać wiarę takim opowieściom? Czy można przewyższyć sztukę owych mistrzów? Czy powinniśmy spróbować?

- Tak! - rozległa się zdecydowana odpowiedź.

Karzeł cisnął trzymany fragment ludzkiego ciała na palenisko. Skóra skurczyła się i w okamgnieniu zwęgliła, wydzielając słodkawą, odrażającą woń.

- Puście ich! - polecił.

Obaj więźniowie zostali uwolnieni. Wład natychmiast przyłożył dłoń do krwawiącego miejsca, nie zdołał jednak zatamować upływu krwi. Trzymał się prosto pomimo wielkiego bólu i przyglądał się dalszym poczynaniom Wadiego. Ów zrobił parę kroków w przód, pochylił się i położył nóż na kamiennej podłodze pomiędzy dwoma nagimi mężczyznami.

- Jeden z was oskóruje drugiego - rzekł, cofając się. - A ponieważ ty, książątko, jesteś naszym gościem, on zaś zaledwie przestępcą, tobie pierwszemu daję prawo wyboru.

Wład oderwał dłoń od rany, wyprostował się jeszcze bardziej. Chociaż nie widział wyraźnie postaci nauczyciela poprzez cisnące mu się do oczu łyzy, głos miał nadal silny i pewny.

- Nie - powiedział po prostu. Wadi nie krył uśmiechu.

- Interesujący wybór - stwierdził, po czym odwrócił się do kupca, którego twarz ściągnęło nieludzkie przerażenie, a usta poruszały się, układając bezgłośnie słowa. - Podnieś nóż. Jeżeli uda ci się zedrzeć z niego dziesięć pasów, nie uśmiercając go przy tym, będziesz wolny.

Wład nie spuszczał spojrzenia z oczu kupca. Widział, jak przerażenie ustępuje w nich najpierw rozpacz, a potem czemuś w rodzaju nadziei. Obserwował, jak mężczyzna postępuje krok naprzód, jak schyla się, by ująć nóż do ręki. Czuł w piersi niewysłowiony ból. Coś w nim pękło.

- Nie - powtórzył, tym razem nieco innym tonem. Pochylając się, nim

jeszcze zaczął mówić. Nóż znalazł się w jego dłoni.

Jej dłoń wciąż spoczywała w jego ręce. Ścisnął jej palce tak mocno, aż zaczął się bać, iż je połamie.

- Używałem go już wcześniej, Ilono - opowiadał. - Kiedy szyłem rękawicę sokolniczą. Jednakże ciało jest inne niż skóra martwego zwierzęcia. Rani krew - załkał - mnóstwo krwi

- Miłości moja! Nie! Przestań!

- I wiesz? - szepnął. - Tamten kupiec był jednym z wielu. Gdy tylko Wadi się przekonał, jak radzę sobie z ostrzem, wpycha mi je w rękę, ilekroć nadarzy się sposobność.

Uścisk zmienił się. Skóra pod jego palcami stała się twardsza, wyczuwał zbliżenie na wnętrzu dłoni, nim zdążył wyszarpnąć rękę.

- Jezu - rzucił zdumiony. Zachwycony. Podniósł wzrok, lecz zanim zdołał wychwycić zarys sylwetki, ta już rozplątywała się w świetle. We wspinałym złocistym świetle.

Zbawiciel nigdy wcześniej go nie odwiedził, mimo że Wład nieraz go o to prosił. Nie modlił się wiele, odkąd odumarała go matka, wszelako powrócił do kościelnych rytuałów tutaj, w tej celi.

- Jestem z tobą, mój synu - usłyszał nieziemski głos. - Wiem, jak cierpisz. Bo czyż mój ojciec mnie także nie posłał na zatracenie?

Wład opadł na kolana, nie zważając, że rani sobie skórę na ostrych kamieniach.

- Wybacz mi moje grzechy, Panie

- Wszystko zostało ci wybaczone, mój synu - padła odpowiedź.

- Dlatego, że o to prosisz, dlatego, że żałujesz, dlatego, że odkupisz swoje winy. Jesteś znów bez zmywy. Ale - głos nagle stwardniał - tak naprawdę nie było wiele do przebaczenia. Bo czyż nie poddawałeś torturom Rzymianina? A kto, jak nie Rzymianie, przybili mnie do krzyża? Czyż nie napisano w Ewangelii Mateusza: „Syn Człowieczy pošle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony ?

- Panie? - Wład spoglądał wprost w stronę jasności, mrużąc oczy. - Czy mówisz mi, że

- Nie zapominaj o moim poświęceniu. Nie zapominaj o tym, co daje ci zbawienie wieczne. Byłem torturowany i poniosłem śmierć, aby człowiek mógł żyć.

Wład posłyszał odgłosy kroków na kamiennej podłodze będącej

sklepieniem jego celi.

- Panie! - zawołał. - Jak mam to rozumieć?

Drewniana zapadnia uniosła się. Poza nią mrok rozjaśniało światło - zwykłe, mdłe i słabe, bynajmniej nie nieziemskie, które jakby zniknęło. Lecz gdy rozpływało się w powietrzu, uszu Włada doszły jeszcze ledwie słyszalne słowa. Jego ojca, Ilony, Mehmeda i Jezusa przemawiających doń jednogłośnie.

- Torturuj innych, aby oni nie mogli torturować ciebie.

Wyciągnęły się ku niemu ręce. Tym razem prawdziwe, z ciała, krwi i kości. I raz jeszcze pomogły mu opuścić mury więzienia.

13. PIERWSZY RAZ

Podczas gdy pozostawał uwięziony - Wład nie potrafiłby choćby w przybliżeniu określić, jak długo to trwało - jego droga wiodła w dół: każdy kolejny stopień po kamiennych schodach sprowadzał go głębiej w trzewia twierdzy Tokat. Tym razem było inaczej. Tym razem poprowadzono go w górę. Ta nieoczekiwana zmiana ustalonego porządku przestraszyła go głównie z tego względu, iż nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Mógł jednak podejrzewać, że cokolwiek go czeka, nie będzie to nic dobrego.

Tymczasem został wyrzucony prosto na światło słoneczne. Oślepiło go oczywście po niezliczonych dniach spędzonych w ciemnościach rozjaśnianych tylko przez płomień ognia. Mimo to cudownie było znów znaleźć się na świeżym powietrzu, tak innym od cuchnącego odoru podziemi, poczuć znów wiejący wiatr przyprawiający o dreszcz z zimna i zachwytu. Poruszał nozdrzami niczym węszący ogar, otwierał szeroko wszystkie zmysły - na wiatr kłujący go igiełkami lodu w odsłoniętą twarz, na kłębiące się szare chmury, na unoszący się w powietrzu obcy zapach, który jednak o czymś mu przypominał - Zbliża się wiosna - pomyślał. - Jestem tu od niemal roku

Dopiero po chwili rozejrzał się wokół siebie. Stał w łukowatej bramie wiodącej na główny dziedziniec fortecy. Wokół piętrzyły się mury, ciągnące się nie owalem, lecz gwiazdźście, aczkolwiek ze zwykłymi w takim miejscu drewnianymi przybudówkami krytymi lichą słomą. W jednej z nich musiała mieścić się kuźnia, gdyż przez ledwie sklecone deski prześwitywało płonące palenisko, przy którym stał kowal z młotem, w drugiej niewolnicy z mozołem obracali koło żaren, mieląc jęczmień

W oczach Włada każdy najdrobniejszy przejaw życia wydawał się cudem. Aż do chwili, w której jego wzrok padł na postaci stojące w centralnej części dziedzińca. Uczniowie jego orty zbili się w ciasną gromadkę, szukając ciepła. Pomiedzy nimi stał Wadi, który gdy tylko dostrzegł Włada, przywołał go do siebie.

- Świetnie. Zapraszamy do nas, książątko! Przygotowałem dla was na dziś coś wyjątkowego. Grupa rozwarła szeregi, aby go wpuścić, i oczom Włada ukazał się - pierwiej zasłonięty - Mahir. Siedział wprost na ziemi z

piersią nagą jak zwykle pomimo przejmującego chłodu i siekącego deszczu. Na kolanach trzymał długi drewniany drąg, który o połowę przewyższał jego wzrost, a był grubszy od jego przedramienia. Zakończenie zostało ociosane do czegoś na kształt głowicy, jednakże Mahir nadal je gładził dłonią obleczoną w specjalną rękawicę, pozbawiając wszelkich zadziorów i nadając kształt niemal idealnej półkuli.

- Dzisiejszego dnia będziesz świadkiem czegoś nadzwyczajnego, książątko - mówił dalej Wadi.

- Można powiedzieć, że innowacyjnego. Nawet Mahir nie miał okazji często ćwiczyć tej sztuki. W czasach pokoju jest niemal zbędna, choć powiadają, iż w bardziej barbarzyńskich rejonach po drugiej stronie Dunaju znajduje uznanie na co dzień. A my jesteśmy otwarci na wszystko co dobre, nawet jeśli pochodzi od naszych wasali z północy.

Mahir zdjął ścierną rękawicę, przejechał palcem po zaoblonym krańcu drąga, po czym wydał z siebie pisk, który w jego mowie oznaczał, iż jest gotów.

- Doskonale - skwitował karzeł. - Zanim zaczniemy, pozwólcie, że wam przypomnę, iż jesteśmy nie tylko rzemieślnikami znajdującymi się na swoim fachu, ale również historykami i filozofami. A to co dzisiaj przedsięwzięmiemy, może się poszczycić długą historią sięgającą czasów antycznych. Bo czyż sam Sancheryb, król Asyrii, nie potraktował w ten sam sposób Izraelitów? A czyż oni nie wynieśli z tego nauki i nie obrócili ku swemu pożytkowi? Czyż w ich świętej księdze, Torze, nie mówi się o grzesznikach przyszpilonych drewnem? - Klasnął w dłonie, na równi z uciechy, jak i dając znak. - Po trzykroć tak, moi uczniowie! Jak widzicie, nie macie się co wstydzić swych świątłych poprzedników. A teraz dawajcie baczenie!

Na jego klaśnięcie wyszli czekający dotąd w pogotowiu mężczyźni. Pierwszy wyłonił się z chaty, dźwigając naręcze sznura, drugi prowadził od stajni osła, trzeci i następni ruszyli od strony bramy, spoglądając ku sobie, a raczej ku wiedzionemu przez nich człowiekowi. Kiedy się rozstąpili, Wład ujrzał pomiędzy nimi młodzieńca niewiele starszego od siebie, z długimi jasnymi włosami nie omotanymi turbanem.

W żaden sposób nie okazywał strachu, gdy z każdym krokiem zbliżał się do grupki początkujących katów; w istocie rzeczy chyba nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje ani gdzie się znajduje, zapatrzony w przemykające po niebie chmury.

- Ma na imię Samuel - rzekł Wadi, jak zwykle przedstawiając im ofiarę, nim zabiorą się do rzeczy - i pochodzi z krainy będącej ojczyzną wspomnianej techniki, czyli z drugiego brzegu Dunaju. Pojmany przez naszego sułtana, Balsam na Bolączki Tego Świata, podczas jednej z jego licznych zwycięskich kampanii

Wład zrobił pół kroku w przód. Wołoszczyzna leżała po drugiej stronie Dunaju.

- Naturalnie jest chrześcijaninem - kontynuował tymczasem Wadi - w czym jeszcze nie ma niczego złego. Wielu mieszkańców Siedziby Pokoju wyznaje Jezusa Chrystusa, a my prosimy ich tylko grzecznie o to, by zachowali swoje mylne przekonania dla siebie, nie siejąc zgorzenia. Jednakże on - wskazał na młodzieńca - odmówił trzymania języka za zębami i swojego Boga w sercu. Został skazany na karę chłosty i biczowania, a potem był morzony głodem. Mimo to nadal głosił wyższość Jezusa nad największym Prorokiem, jakiego nosiła ziemia

Wład nie odrywał wzroku od uniesionej ku niebu twarzy młodzieńca. Samuel oczy miał przymknięte, usta półotwarte i poruszające się bez ustanku.

- W końcu przekazano go w nasze ręce, byśmy go przykładowie ukarali. A Mahir uznał, iż zasłużył sobie, aby zająć się nim osobiście!

Mężczyzna z osłem na uwięzi zbliżył się już na tyle, że znalazł się w nierównym kręgu słuchających. Zwierzę stało ze zwieszonym łbem, równie obojętne na otoczenie i rozwój wypadków jak skazaniec. Na jego widok Władowi przemknęło w głowie wspomnienie innego osiołka, tego z ulic Adrianopola. Kiedy pomyślał, co uczynił tamtemu poczciwemu osłowi pilnującemu kramu handlarza, bezwiednie zadrżał.

Mahir już był przy zwierzęciu, sięgając do juków. Wydobył stamtąd dwie rzeczy: brzytwę i słoć. Pierwszy przedmiot zatknął sobie za pas, z drugiego wyjął zatyczkę i polał wygładzony koniec drąga zieloną zawartością. W powietrzu rozszedł się słodkomdły zapach oliwy z oliwek.

- Gotowi?

Mahir znowu pisnął potwierdzająco. Odłożył drąg na ziemię, podszedł rażno do młodzieńca i zerwał z niego gomlek. Więzień ani nie starał się zakrywać swojej nagości, ani nie zareagował w żaden inny sposób, nawet kiedy olbrzym pochwycił go w obie dłonie i położył na ziemi twarzą w dół, tak że głowa znalazła się pomiędzy tylnymi kopytami osła.

Na grzbiecie zwierzęcia zamiast siodła umocowano przemyślną konstrukcję z solidnych patyków. Teraz Mahir przywiązał do niej luźne na

jednym końcu sznury, motając potrójne sploty. Następnie obwiązał w połowie długości drąg, który potem położył pomiędzy gołymi, szeroko rozrzuconymi nogami młodzieńca. Uporawszy się z tą częścią zadania, uniósł głowę i kolejny raz wydał z siebie pisk.

Wadi uśmiechnął się szerzej.

- Masz rację. Czas przejść do najważniejszego.

Mahir skinął na pomocników. Czterech podeszło, aby unieruchomić kończyny torturowanego, piąty przygniótł mu plecy, a wtedy olbrzym wydobył z pasa brzytwę. Dopiero wówczas młodzieniec otworzył oczy, spoglądając na otaczające go twarze, jakby zobaczył je po raz pierwszy, odkąd zjawił się na dziedzińcu. Utkwił wzrok w Drakuli i wypowiedział jedno jedyne słowo. Wład wystąpił z kręgu otaczającego ofiarę, uniósł rękę i zaraz pozwolił jej opaść. Wiedział, że nikt inny tutaj nie rozumie jego rodzimego języka z za Dunaju i że nikt nie domyśla się nawet, co chciał rzec chrześcijanin.

„Zbawienie - takie słowo padło na dziedzińcu twierdzy Tokat i natychmiast zostało zagłuszone przez potworne krzyki, kiedy brzytwa cięła męczennika w odbytu, poszerzając otwór, w który miał wejść zaoblony i naoliwiony drąg. Mahir naprowadził go we właściwe miejsce, popiskując do Wadiego, by ten powoli odprowadzał osła. Zwierzę nie zwracało najmniejszej uwagi na nieludzkie wrzaski, na napinające się sznury i wibracje przez nie przenoszone; po prostu szło do przodu, ciągnąc za sobą drąg i ignorując opór, który zresztą stawał się coraz mniejszy.

Wład widział, jak męczennik traci przytomność, kiedy drąg zagłębił się w jego ciele mniej więcej do połowy. Zdawał sobie sprawę, iż ofiara nadal żyje - żyłka na skroni młodzieńca pulsowała szaleńczo, wybrzuszając pergaminową skórę. Nagle Mahir zasłonił mu widok, podchodząc do leżącego, aby odwiązać sznury. Chwilę później gestem przywołał bliżej uczniów. Wspólnymi siłami, komenderowani przez niemego oprawcę, chłopcy unieśli pal z nabitym nań mężczyzną i ustawili w uprzednio wykopanej dziurze w ziemi. Przywrócone do pionu ciało jęło się ześlizgiwać po drągu pod własnym ciężarem, obiecując wybawienie od bólu z chwilą, gdy stopy osiągną podłoża. Jednakowoż Mahir, choć był nowicjuszem w tej sztuce, szybko się uczył. Zanim nogi młodzieńca zjechały zbyt nisko, pochwycił je i skrzyżował, opierając o specjalną deseczkę przybitą zawczasu do gładkiej poza tym powierzchni drąga. Mglenie oka później, wydobywszy skądś młotek i długi gwóźdź, przybił obie stopy równocześnie i na sztywno.

- Zbawienie!

Głosu dobył Wład, ponieważ młody mężczyzna nie był już w stanie mówić, mając zaoblony koniec pała we własnym gardle. Wykrzyczał to słowo w jego imieniu i swoim, i Jezusa Chrystusa, który wcześniej odwiedził go w celi, a teraz był tutaj z nimi i ujmował za rękę następnego męczennika, tak jak uczynił z jednym z pierwszych noszących to samo miano. Chwała! Poświęcenie! Zbawienie! Jezus umarł za Człowieka na krzyżu, człowiek umiera za Zbawiciela na pału. Wszystko cierpienie poświęcone jest Bogu Wszechmogącemu.

- Zbawienie! - krzyknął raz jeszcze. - Chwalmy Pana! Chwalmy Boga Jedyne!

Wadi nie mógł wiedzieć, jakie jest znaczenie jego słów. Ale wyraźnie widział ekstazę wymalowaną na jego twarzy, dobitnie słyszał ją w jego głosie.

- Tak, moje książątko - zawołał w odpowiedzi. - Nareszcie przejrzałeś na oczy! Nareszcie zrozumiałeś!

Wład zrozumiał, to prawda, aczkolwiek nie to, czego życzyłby sobie jego nauczyciel. I to zrozumienie - swoje, nie Wadięgo - zabrał ze sobą, gdy w końcu znów powalono go na ziemię i aż pięciu osiłków musiało nieść go z powrotem do celi. Wciąż krzyczącego. Wciąż chwającego Pana.

14. RABIEC

Nikt nie przychodził po niego przez kilka następnych dni, chociaż pośród nocy, która znów okryła go swoim całunem, nie potrafiłby powiedzieć, jak długo to trwało. Przynoszono mu cienki bulion i mętną wodę, a on chłęptał je bądź wylewał - w zależności od chęci. Również z własnej woli wysmarował ekskrementami mury i swoje ciało. Skoro męczennik odszedł z tego padółu łez umorusany wydaliniami, on z całą pewnością może żyć z nimi na skórze. Nie było mu to ani trochę wstrętne, aczkolwiek strażnicy byli odmiennego zdania. W końcu przybyli po niego i zastawszy cuchnącego okrutnie szaleńca, klęli na czym świat stoi, aż dopiero za którąś z kolei próbą udało im się wydostać go z karceru.

Odruchowo przykucnął na kamieniach korytarza, nagi i niemiłosiernie brudny, mamrocząc coś do siebie niezrozumiale. Oglądał się nerwowo za siebie, chcąc zobaczyć swoich oprawców, lecz nikogo poza nim nie było w plamie światła rzucanego przez łuczywo. Ci, którzy po niego przyszli, woleli pozostać ukryci w mroku.

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś przed nim stoi i woła jego imię. Zadał głowę do góry i dostrzegł mężczyznę, którego z pewnością kiedyś znał, lecz którego miana nie był w stanie sobie przypomnieć.

- Wład - powiedział ów mężczyzna cicho.

Na powrót opuścił głowę na piersi i zatopił się w urywanej modlitwie. Po chwili przez jego bełkotanie znów przebił się dźwięczny głos mężczyzny.

- Czyżbyśmy posunęli się za daleko? - szepnął do siebie, by zaraz donośniej dodać: - Zabierzcie go do hammamu. Wykąpcie i ogólcie. Nie! - podniósł głos jeszcze bardziej. - Nie w ten sposób! Delikatnie! Obchodźcie się z nim łagodnie. Dajcie mu czyste odzienie i ułóżcie do snu w mojej kwaterze.

Wład wiódł przytomniejącym wzrokiem za młodym wysokim, przystojnym mężczyzną, gdy ten odchodził w dół korytarza. W porównaniu z żyłastymi strażnikami o ziemistej cerze i lisich twarzach przybysz zdawał się przypominać antyczne bóstwo.

- Hamza - zaskrzeczał za nim Wład. - Dokąd mnie zabierasz?

Zaskoczony Hamza obrócił się lekko w siodle, aby spojrzeć na

młodzieńca obok. Słowa, które właśnie usłyszał, były pierwszymi, jakie Wład wypowiedział, odkąd został zabrany z celi w podziemiach. Dotychczas wszystkie dobre traktowanie: codzienne wyszukane posiłki podawane mu od chwili, gdy był w stanie zatrzymać w sobie dary Boże po miesiącach żywienia się odpadkami, codzienne gorące kąpiele, noce spędzane w miękkim łożu pod przyjemną w dotyku ciepłą pościelą - wszystko to przyjmował z jednaką obojętnością, z jednakim milczeniem, z jednakim wzrokiem wbitym w ziemię. Mówił, owszem, lecz wyłącznie do siebie i bezgłośnie - Hamza widział tylko poruszające się wargi, których nie opuszczał żaden dźwięk. Aż do teraz.

- Donikąd cię nie zabieram, młody człowieku. Będziesz mi towarzyszył.

- Wład uniósł spojrzenie - kolejny mały krok na długiej drodze.

- Zatem mógłbym odjechać w przeciwną stronę, gdybym chciał? - zapytał.

- Cóż - Hamza przechylił głowę z uśmiechem. - Dlaczegoż miałbyś to zrobić, skoro obiecałem ci taką wspaniałą rozrywkę?

Machnął ręką do tyłu, wskazując sześciu służących, także siedzących w siodle, i trzy wozy. Z pierwszego zwieszały się na boki różnorakie sprzęty potrzebne do rozbicia obozowiska: bele surowego płótna, rulony kobierców, tyczki od namiotów, ruszty, kotły i wszelakie inne parafernalia. Na drugim przy najłżejszym ruchu konia pociągowego pobrzękiwały butle, słoje i antałki, których zawartość obiecywała miłe spędzenie czasu na biwaku. Jednakowoż Hamza odnosił się do ostatniego wozu. Drabiniastą konstrukcją osłaniały ze wszystkich stron grube materie, rozpięte i dobrze przymocowane, szczelnie odcinające wnętrze od światła słonecznego i broniące dostępu ciekawskim spojrzeniom, aczkolwiek niezdolne do stłumienia dobiegających ze środka hałasów. Krzyki i piski rozpoczęły się tuż po tym, jak opuścili Tokat, i choć od chwili wyruszenia upłynęło już ponad pół dnia, nie ścichły nawet na jotę, w ten sposób umilając drogę ku rysującym się na horyzoncie gór. Wład obejrzał się za siebie.

- Co tam jest?

- Nie poznajesz po tych wrzaskach? - Hamza skrzywił się i ostentacyjnie włożył sobie palec do ucha, po czym przekreślił. - No, tak lepiej - westchnął i dopiero wtedy udzielił odpowiedzi na zadane pytanie: - Lannery schwytane zeszłego lata i przetrzymywane w sokołami jakiegoś głupca, który połasił się na moje monety. Niewykluczone, że nie ma dla nich już nadziei, podobnie zresztą jak dla nas wszystkich - Popatrzył na zakryty wóz z

tęsknotą w oczach.

- Mimo to powinniśmy chyba dać im szansę. Pomożesz mi je ocalić, książę?

Wład milczał tak długo, że Hamza zaczął się już obawiać, iż ponownie został stracony dla świata. Niesłusznie.

- To wszystko po to tylko, by układać ptaki?

- Masz rację, to byłaby rozrzutność - zgodził się z nim Hamza. - W istocie rzeczy będą nam umilały czas w drodze do miejsca, w którym jak tuszę, znajdują się godne zainteresowania sokoły i jastrzębie. To dla nich wybraliśmy się w tę podróż.

Nie była to do końca prawda. Powodem był młodzik, ptaki tylko pretekstem.

- A dokąd właściwie jedziemy? Hamza wyciągnął rękę przed siebie.

- Tam - rzekł krótko.

Wład zapatrzył się w przestrzeń. W przedzie szczyty górowały nad nimi; droga już od jakiegoś czasu wiodła pod górę, lecz z każdą chwilą stawała się coraz węższa i bardziej kręta. W czystym powietrzu lśniła wstęga serpentyny.

- Ak Daglari. Najwyższa góra w tej części Anatolii. Powinniśmy do niej dotrzeć jutro przed zapadnięciem zmroku.

- I tam zastaniemy jakieś łowcze ptaki?

- Jeśli taka będzie wola Allaha. Ak Daglari to siedziba pewnego ludu. Dziwnego, posługującego się barbarzyńskim, niezrozumiałym językiem, przybyłego, jak powiadają, z dalekiej północy, z krainy płaskiej jak okiem sięgnąć, a zwanej piekłem na ziemi, co jak sądzę, wyjaśnia tę nieposkromioną dzikość. Trudno być cywilizowanym, jeśli mieszka się całe życie w niecce, spoza której nic nie widać - zaśmiał się, nie wywołując jednak wesołości u Włada; kontynuował więc:

- A mimo to szczytą się niezwykle rzadką umiejętnością: potrafią pojmać zdatne do przyuczenia drapieżne ptaki. Opuścili rodzinne strony i przybyli aż tutaj z powodu Murada, Błasku Świata, który wynagradza ich lepiej, niż zdołaliby to kiedykolwiek uczynić najbogatszy chrześcijański monarcha. Krążą opowieści, że zarabiają na rok życia, sprzedawszy trzy gniezdniki. - Hamza westchnął przeciągle. - Niestety, mogli jeszcze nie wrócić z wyprawy w wysokie góry. Wyruszają zwykle wraz z pierwszymi roztopami, lecz nie zawsze czeka na nich łasy genti. Mimo to nie będziemy się nudzić, prawda? Ponownie wskazał ręką za siebie, ogarniając ruchome obozowisko i kojec. Wład znowu go zignorował, spuszczaając wzrok i

pograżając się w swoim świecie. Hamza przyjrzał się młodzikowi uważniej, zastanawiając się, czy jest możliwe, aby się czegoś domyślał. Zaraz jednak wzruszył ramionami, dochodząc do wniosku, że nie miałyby to żadnego znaczenia. W tresurze liczyło się tylko to, że ledwie opierzony ptak uczył się wreszcie latać, poznawał, kto jest jego panem, i chętnie wracał na pięść sokolnika. Pierwej, oczywiście, dopadłszy posłusznie ofiary.

Na szczycie Ak Daglari nie oczekiwały na nich żadne ptaki. Zastali tam tylko trzech siedzących wiecznie w kucki zarośniętych mężczyzn, którzy na odległość śmierdzeli kozami, będącymi całym ich dobytkiem, i którzy potrafili jeno gestykulować w odpowiedzi na ręczne tyrady przybyszów - nikt nie znał języka drugiej strony - i pochrząkiwać w swoim dzikim narzeczu.

- Nie mam pewności - pokręcił głową rozczarowany Hamza - ale wydaje mi się, iż chcą powiedzieć, że młode sokoły wypatrzyli, lecz nie udało ich się jeszcze zwabić.

- Jak je wabią?

Hamza okręcił się gwałtownie, uradowany z kolejnego pytania Włada.

- Zaraz zobaczysz na własne oczy. Pójdziemy z nimi i będziemy czatować, co jest ostrzegam cię dość nudnym zajęciem. Najlepiej świadczy o tym liczba ptaków pozyskiwanych w ciągu jednego sezonu. Pamiętasz? Mówiłem ci o zaledwie trzech sztukach, chociaż zarobek jest na nich godziwy. Z tego co się orientuję, przywiązują do tyczki bałwanka. Może to być wypchana skóra jakiegoś małego zwierzęcia ciągnana po ziemi albo uczepiona na cienkim sznurze doczesna powłoka czegoś pierzastego, co przy dozie szczęścia unosi się na wietrze i nawet porusza skrzydłami. Cokolwiek, byle przyciągnęło uwagę dziczka. Drapieżnik spostrzeżę ofiarę, pikuje w dół. Wtedy czający się nań ludzie zarzucają ukrytą dotąd siatkę - Opowiadając, Hamza kierował Włada w stronę obozu rozbitego w wąwozie. - No ale lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, jak to powiadają. Zajmijmy się tym, co mamy pod ręką, zamiast snuć marzenia. - Objął ramieniem towarzyszącego mu młodzika.

Wład w pierwszym odruchu zeszywniał, by rozluźnić się, dopiero kiedy nadeszła myśl, że o dziwo nikt nie chce go skrzywdzić, co ostatnimi czasy raczej nie było normą w jego życiu. Dwa wozy zostały już całkowicie opróżnione, a z ich zawartości wzniesiono zgrabny otak o klepisku nakrytym kobiercami i ścianach zdobionych jedwabiem. Pod dachem stanęły dwa łoża zasłane wyprawionymi skórami i miękkimi futrami, przeznaczone dla Hamzy i Włada. Obok z myślą o służących stanął mniej okazały namiot. Teraz

jednak Hamza poprowadził swego podopiecznego mimo nich, ku trzeciemu wozowi, który nadal wyglądał tak jak wtedy, gdy opuszczali twierdzę Tokat. Hamza jął delikatnymi ruchami odwiązywać pasy przytrzymujące zasłony, lecz nawet coś takiego spowodowało nagłe poruszenie w środku. Krzyki i piski, które niemal ucichły z chwilą, gdy wóz został wyprężony, rozległy się na nowo. Mężczyzna przestał więc pieścić się z węzłami, nie przejmując się już, że zdradza swoją obecność.

- To typowe dla dziczków, które zostały odłowione za wcześnie. Wołają za matką. Dziwoki są pod tym względem o wiele lepsze. Rzadko tak się drą, no i oczywiście wiedzą już, jak zabijać. - Uniósłszy płat materii, skinął na Włada, przepuścił go na wóz przodem, po czym podążył jego śladem, zasłaniając znowu wejście. Wnętrze było zupełnie ciemne do czasu, aż ludzka ręka nie opuściła jednej szybki latarni, pobudzając do życia wątyły płomyk, który dawał dość światła, by wydobyć z mroku źródło nieustającego krzyku. Dwa lannery siedziały na drążku, kiwając okapturzonymi łepkami i próbując zlokalizować, skąd zagraża im niebezpieczeństwo. Jeden zaczął uderzać skrzydłami, napinając do granic możliwości utrzymujące go w niewoli rzemyki, co skończyło się tym, że zawisł głową w dół, z wrażenia zapominając o złożeniu rozpostartych skrzydeł.

Hamza zacmokał uspokajająco.

- Moje perełki Moje skarby Cii Już dobrze - mrucał, nakładając rękawicę.

To jej widok, a może raczej widok starannie wyszytych złotą nicią wersów na miękkiej skórze sprawił, że umysł Włada, wciąż wirujący, na zmianę przyśpieszający i zwalniający, odkąd był świadkiem męczeńskiej śmierci rodaka, nareszcie zatrzymał się na dobre. Nie dałoby się tego poznać po jego twarzy, chociaż ciałem targnął ledwie zauważalny dreszcz. Jednakże kiedy po chwili odezwał się, było jasne, iż po raz pierwszy od wieków przemawia naprawdę on, nie zaś ktoś, kto przypadkiem zamieszkał w skorupie jego ciała.

- Nosisz ją?

Hamza spojrział na młodzika bystro, odnotowując tę zmianę tonu. Dostrzegł również - choć światło nie sprzyjało bacznemu przypatrywaniu się - że Wład spogląda mu wprost w oczy, a nie na wskroś niego ani nie do wewnątrz siebie.

- Kiedy tylko mam okazję - odparł z uśmiechem. - Myślę, że gdyby mój dom się palił, byłaby to jedyna rzecz, którą porwałbym ze sobą, ratując życie.

Zaczął mozolnie rozplątywać rzemyki pętające nogi raroga. Ptak uparcie machał skrzydłami, a człowiek klaskał językiem, aby go uspokoić.

- Ten nazywa się Erol, czyli Odważny albo Śmiały. Imię nadałem mu trochę na wyrost, w nadziei że do niego dorośnie, co, mój mały? - zwrócił się wprost do ptaka. W tym samym czasie uwolnił go do końca od pęt i przeniósł z drążka na własną pięść, gdzie laneret po pewnej chwili rozsiadł się wygodniej, a nawet jakby doszedł do siebie po ostatnich przeżyciach, do czego wydatnie przyczyniło się to, że Hamza wyjął dla niego kawałek surowego mięsa. Ruchem brody wskazał Władowi wolną rękawicę, a zachęcony młodzik skwapliwie ją naciągnął. - Ten jest większy, bo to samica. Oczywiście nie tak imponująca jak Szeherezada, ślicznotka, którą Mehmed przegrał w zakładzie i której nigdy ci nie przekazał, lecz i tak powinna dobrze służyć sułtanowi, niech Allah ma go w swojej opiece. - Uśmiechnął się znowu. - Przedstawiam ci Akhtar. Jej imię znaczy. - urwał, gdyż siedzący mu na dłoni ptak ponownie zaczął się trzepotać. - Siedź spokojnie! Okaż swą śmiałość!

- Gwiazda - dokończył za Hamzę Wład. Pochylił głowę, zabierając się do supłów rzemyków, i po chwili, zanim pozwolił ranożycy przeskoczyć na swoją dłoń, wyszeptał to samo słowo znowu, tyle że w innym języku. Niesłyszane od tak dawna, wydało mu się dziwne, obce. - Ilona. Ptaki nie zostały jeszcze ukrócone; ot, potrafiły tylko nie uciekać z dłoni człowieka i brać mięso pomiędzy ludzkich palców. Dwaj młodzi mężczyźni spędzili kilka najbliższych dni na wozie, karmiąc parę rarogów baraniną i przemawiając do nich łagodnie. W końcu ptaki zostały zabrane na zewnątrz, aczkolwiek w karnalach. Parę dni później, o zmierzchu, rozkapturzono je na pewien czas i odtąd powtarzano to co wieczór, za każdym razem pozwalając, aby łepki pozostawały odkryte dłużej. Wkrótce rozpoczęły się ich wspólne wędrówki po terenie przylegającym do obozowiska. Zapuszczali się nad brzeg strumienia, na którym puszczały lody. Wład uważnie obserwował Hamzę i naśladował jego ruchy: a to wykapturzał Akhtar, to znów zaciągał kaptur, obracał ramieniem, tak że ptak musiał orientować się na nowo. Po tych ćwiczeniach, gdy zapadła już noc, umieszczali Akhtar i Erola z powrotem w ich kojcu i udawali się do swego pawilonu, aby spożyć smaczny, acz skromny posiłek i przy ciepłym piecyku rozprawiać o układaniu łowczych ptaków i innych sprawach, przy czym Wład słuchał raczej, niż mówił.

Kiedy wstał dziesiąty świt, odkąd znaleźli się na szczycie góry, i nadal

nie pojawili się sokolnicy z odłowionymi ptakami, zostało postanowione, iż po ukracaniu i unoszeniu będącej na miejscu pary rarogów nadszedł czas, by poddać je uwabianiu.

- To godzina próby - rzekł cicho Hamza, gdy szli skąpani blaskiem poranka. - Można mieć tylko nadzieję, że ptak przyzwyczał się wystarczająco i ma dość zaufania, aby powrócić na rękę, która go karmi. I niestety jest jeden jedyny sposób, aby się o tym przekonać.

Wspięli się na inne, nieodległe, niemal całkiem pozbawione roślinności wzgórze. Na jego zboczach i wierzchołku rosło zaledwie parę samotnych drzew. Hamza wybrał miejsce bardzo starannie i ostatecznie przystanął na kilkaset kroków przed osiągnięciem szczytu.

- Niech Erol pofrunie pierwszy - dorzucił, rozwiązując rzemyki krępujące ptasie nogi - i niech udowodni, że zasłużył na swoje miano. - Trzymając końce skórzanych pasków w palcach obleczonej w rękawicę dłoni, wolną ręką rozkapturzył lanereta. Ptak zamrugał kilkakrotnie, obracając paciorkowatymi oczami w próbie ogarnięcia niespodziewanie wielkiej przestrzeni. Hamza podał mu kawałek mięsa. Następnie uniósł ramię i posłał raroga w przestworza. - Leć, Baz Szachu! - zawołał. - Pokaż, żeś królem drapieźnych ptaków!

Laneret wzbił się w powietrze. Z początku mknął niedaleko ziemi niczym strzała, by w końcu unieść się i poszybować w stronę szczytu i porastających go nielicznych drzew. Wreszcie zniknął im z oczu, sprawiając, że bezwiednie wstrzymali oddech na czas zdający się wiecznością. Wtedy Hamza postąpił krok do przodu, zarzucił wabidło w postaci zajęczej skóry umocowanej do długiego sznura, jął nim kręcić po ziemi i wołać na cały głos:

- Wracaj, Baz Szachu! Wracaj, Erolu ! Wracaj do mnie!

Długo nic się nie działo, krajobraz pozostawał niezmienny, odkąd dumna ptasia sylwetka rozplynęła się w mroku drzew. Wtem ciemna plamka odłączyła się od którejś gałęzi, w locie przeistaczając się z kropki na niebie w pierzaste stworzenie mknące ku nim z ogromną prędkością. Parę uderzeń serca później Śmiały uderzył siłą całego ciała w wabidło, rzucając Hamzę na poszycie. Laneret zaczął rozszarpywać „ofiara” .

- Allahowi niech będą dzięki! - wykrzyknął zachwycony Hamza, pozwalając ptakowi pastwić się nad zajęczą skórą, dopiero po paru chwilach schylił się, aby ująć dyndające wolno rzemyki. Trzymanym w rękę kawałkiem baraniny zachęcił ptaka, aby wskoczył mu na zaciśniętą pięść. Wyprostowawszy się na całą wysokość z dumą, zwrócił się do Włada: -

Teraz twoja kolej. Wład odsunął się nieco, równocześnie poluzowując pęta Akhtar. Spokojnym ruchem sięgnął do karnala, by ją rozkapturzyć. Rarózyca, podobnie jak jej partner przed chwilą, zamrugła oślepiona światłem i zdziwiona przestrzenią. Wład nachylił się ku niej lekko i głosem tak cichym, iż słyszeć go mógł tylko ptak, rozkazał: - Leć, moja piękna! Leć wolno gwiazdo! - wraz z ostatnim słowem wyrzucając ramię przed siebie.

Spoglądali za oddalającym się kształtem, zmieniającym się z ptasiej sylwetki w kropkę, a w końcu w nicość, kiedy skrzydła zawiodły Akhtar ku szczytowi góry i poza niego. Wład, wyczuwając, że ptak nie wróci, nie schylił się nawet po wabidło.

Czekali w milczeniu przez jakiś czas, aż wreszcie Hamza przerwał ciszę, mówiąc po prostu:

- Cóż - Odwrócił się do Włada. - To się zdarza. Najlepszym spośród sokolników. Najlepszym spośród ptaków. Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy, najbardziej ryzykowny. To nic

Wład zaczął maszerować szybkim krokiem w dół zbocza. Hamza musiał podbiec, aby się z nim zrównać, a kiedy już to uczynił, zaskoczyła go mina podopiecznego. Nie dostrzegł łez, których się spodziewał, za to nie mógł nie zauważyć, że ucieczka rarózycy spowodowała to, co on nadaremno próbował od dawna osiągnąć swymi żartami, komentarzami i entuzjazmem.

- Uśmiechasz się?

- Tak.

Hamza potrząsnął głową ze złością.

- Dlatego, że ten ptak należał do sułtana? W ten sposób go karasz? A może po prostu ci nie zależy?

Wład zatrzymał się, obrócił lekko i spoglądając prosto w twarz dawnemu nauczycielowi, rzekł z uśmiechem:

- Ależ zależy mi, i to bardzo. Cieszę się, gdyż Ilona jest wolna. Hamza zmarszczył brew.

- Miałeś na myśli Akhtar.

- O, tak - zgodził się Wład, podejmując marsz. - Ją także.

15. INICJACJA

Kiedy powrócili do obozowiska, zastali tam dwóch gości.

Jeden z mężczyzn okazał się łowcą, z którym widzieli się na samym początku pobytu na Ak Daglari. Przyszedł pochwalić się swoim pierwszym sukcesem w tym roku.

- Gołębiarz! - krzyknął zachwycony Hamza, odbierając z rąk dzikusa spętanego i okapturzonego ptaka i przyglądając mu się uważnie.

Długo trzymał w dłoniach szaropopielaty kształt, próbując dowiedzieć się o nim czegoś więcej. - Na moje oko samiec, i to niemal dwuletni, sądząc po wadze. - W końcu oderwał wzrok od zwierzęcia. - Te jastrzębie często nazywa się ptakami kucharza albo niestrudzonymi myśliwymi, a to dlatego, że przynoszą wspaniałą zdobycz, w sam raz nadającą się na ludzkie pożywienie, w dodatku polują do upadłego, zabijając wielokrotnie w ciągu jednego dnia, i przestają, dopiero gdy całkiem zabraknie im sił. Widzisz jego oczy? Są jaskrawożółte z domieszką odrobiny różu. Z wiekiem będą ciemniały, aż wreszcie staną się ogniste. Powiadają, że ta czerwień bierze się z krwi ofiar. - Uśmiechnął się do siebie. - Gdy sułtan go zobaczy, nie będzie żałował ucieczki Akhtar

Uśmiech spelzł mu z twarzy, kiedy dostrzegł drugiego z gości. Mężczyzna zdawał się w całości usypany z kurzu, który pokrywał go równomierną warstwą od turbanu po czubki butów.

- Posłaniec od Murada - z ponurą miną stwierdził Hamza. Niechętnie oddał gołębiarza w ręce łowcy, wskazując mu gestem podróżny kojec, po czym zaprosił wysłannika sułtana do swego pawilonu.

Wład, trzymający przez cały czas Erola, podążył teraz za górale. Od dłuższej chwili musiał walczyć z rarogiem, który choć spętany i okapturzony, wyczuł obcego ptaka i najpierw wydał przeraźliwy skrzek, po czym zaczął się szarpać na uwięzi, próbując podfruć i trzepotać skrzydłami. We dwóch weszli na wóz, każdy zajęty swoim podopiecznym. Laneret wrócił na swoje miejsce, a jastrząb został oczywiście zamknięty w osobnej klatce. Wład właśnie zabezpieczał zewnętrzną osłonę kojca, kiedy usłyszał za sobą ciche kroki. Obrócił się na czas, by dostrzec wyraz zafrasowania na twarzy Hamzy, który jednak natychmiast ustąpił pozornej obojętności.

- Nowe rozkazy. Mam natychmiast wrócić do Adrianopola i

Wład poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Połączył niespodziewane przybycie posłańca sułtana z zauważonym przed chwilą zaniepokojeniem swego dawnego nauczyciela i dokończył za niego drżącym głosem:

- I odstawić mnie do twierdzy Tokat.

Hamza zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Otrzymałem polecenie, aby przywieźć cię ze sobą.

Wład z trudem ukrył swoją ulgę. Nadal jednak bacznie przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie, wyczuwając jego zakłopotanie. Postanowił wszakże o nic na razie nie pytać.

- Wyruszymy niezwłocznie? - zainteresował się.

- O świcie - padła odpowiedź. - To i tak zbyt wcześnie, jeśli chodzi o ciebie. Wydaje mi się, że wciąż jeszcze nie odpocząłeś. - Słaby uśmiech przegnał troskę z twarzy Hamzy. - Przynajmniej nie powrócimy z pustymi rękami, co? Zawieziemy Muradowi podarunek od Allaha, niech jego imię będzie pochwalone. Taki rabiec to nie byle co - Położył dłoń na ramieniu Włada.

- A dziś wieczór będziemy ucztować, aby uczcić sukces naszej wyprawy.

Służący rozpalili ognisko nad brzegiem strumienia, w którym lód puścił już niemal całkowicie, tak że teraz prawie nic nie powstrzymywało jego biegu. Następnie zagotowano wodę w wielkich stalowych kotłach, po czym wiano ją do uprzednio wykopanego dołu wyłożonego wygarbowanymi wielbłądzimi skórami. Nieopodal zakręcające w tym miejscu koryto strumienia uformowało naturalną nieckę z chłodną wodą.

- Najpierw zimna kąpiel! - zarządził Hamza, rozdziewając się z odzieży.

- Ja też muszę? - spytał Wład, z wielką niechęcią pozbywając się z pleców baranicy i zerkając ku zabarwionej zielenią stojącej wodzie, w której tu i ówdzie pobłyskiwały kryształki lodu. Chociaż za dnia panowała już ciepłota zapowiadająca rychłą wiosnę, gdy dzień zbliżał się do końca, zima wciąż dawała o sobie znać.

- Niestety warunki nie umywają się nawet do mojej łaźni w Adrianopolu, do której zapraszam cię po powrocie w każdej chwili - krygował się Hamza - ale będą nam musiały na razie wystarczyć. Zwłaszcza że - dodał, pomagając Władowi zdjąć tunikę, którą ten na sobie pozostawił, licząc, że jednak mu się upiecze - nie powinniśmy cuchnąć jak pasterze, mimo że się z nimi zadajemy. - To powiedziawszy, przyłożył na płask dłoń do piersi Włada i

pchnął go w tył, wprost do jeziora. Już wcześniej poznał, co to przejmujące do szpiku zimno, gdy miesiącami przebywał w lochu pod ziemią. Teraz jednak chłód go zaskoczył, zarówno swą nagłością, jak i intensywnością. Próbował rozpaczliwie wydostać się z lodowatej niecki, lecz Hamza dołączył do niego, blokując mu drogę wyjścia.

- O żeż, na wszystkich anatolijskich kozojebców, ależ zimna! - zaskowytał Turek. Mimo to pochwycił Włada za ramię, gdy ten raz jeszcze spróbował go wyminąć. - Czekaj! Im więcej nacierpisz się na ziemi, tym słodsze rozkosze czekają cię w raju!

Wytrzymali minutę, a i tak zsinieli z zimna i zaczęli szczerkać zębami. Hamza podniósł się z kucek pierwszy, spojrzął w dół.

- Starczy - ocenił. - Zabierajmy się stąd, zanim nasza męskość zupełnie zniknie, czyniąc nas zdolnymi wyłącznie do pracy w haremie.

Utykając, przeszli do dziury w ziemi przygotowanej przez służących, gdzie czekał na nich odmienny rodzaj bólu. Tym razem nie do zdzierzenia był gorący. Chociaż drżeli na całym ciele i łaknęli ciepła jak niczego innego na świecie, zanurzali się w ciepłą wodę powoli i ostrożnie. Jakimś cudem zdołali pogrążyć się po samą brodę, pozwalając, by gęsta para spowijała ich twarze.

- Aa - westchnął Hamza, wdychając rozgrzane powietrze, wonne od olejków bergamotki i drzewa sandałowego. Opuścił rękę, aby coś sprawdzić. - No, tak lepiej. Moje żony nie będą musiały rozglądać się za innymi, aby je usatysfakcjonowali.

- Ile masz żon? - zainteresował się Wład.

- Tylko dwie i co dzień dziękuję za to Allahowi - odparł Hamza. - Mógłbym wziąć ich sobie więcej, a do tego mieć nałożnice, gdybym zechciał, lecz ani mi to w głowie. Kobiety! - wykrzyknął, odchylając się do tyłu. - Błogosławione istoty i z całą pewnością radość nocy każdego mężczyzny. Ale spędzać z nimi dni. Toż to czysty koszmar! Jakżeż one gadają! Usta nie zamykają im się całymi godzinami. W dodatku rzadko kiedy mają coś do powiedzenia. - Spojrzął na młodzika z ukosa. - Zgodzisz się chyba ze mną?

- Ja - Wład zaczerwienił się. - Ja jeszcze nigdy

- Co takiego? Nigdy? Naprawdę? - Hamza wyprostował się, położył ramiona na brzegu ziemnej łaźni. - Nawet z karczmarką? Z jakąś wzgardzoną odaliską, która by cię uwiodła z rozpaczy? - Wład potrząsnął przecząco głową. - Patrzcie no, a taki Mehmed ma już sześć kobiet - to znaczy: pięć, odkąd jego ostatnia wybranka zaginęła w tajemniczych okolicznościach. -

Wciąż przyglądał się młodzikowi, który nie potrafiąc go rozszyfrować, przybrał obojętny wyraz twarzy. - Został nawet ojcem, podczas gdy ty Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście jesteście w tym samym wieku?

- Ja nie muszę brać przykładu z Mehmeda - rzekł z godnością Wład.

- Chyba go nie lubisz

- Nienawidzę go! - wybuchnął młodzik. - Mehmed to młody byczek i brutal, nic więcej. Na domiar złego - zawahał się, gdyż nagle przypomniał sobie o czymś. - Mój brat Radu Jak on się miewa? - zapytał.

Hamza przymknął oczy i ponownie zanurzył się aż po brodę.

- Całkiem nieźle, jak sędzę. Mehmed obszedł się z nim łagodnie. - Rozwarł powieki. - Jednakże nie powinieneś przekreślać tak łatwo Mehmeda. Powiadasz, że młody byczek z niego? Być może. Brutal? Czasami z pewnością. Lecz szczyci się umysłem równie byстрыm jak twój, snuje marzenia równie wielkie jak twoje i co najważniejsze: pewnego dnia będzie na tyle potężny, by móc je zrealizować.

- W ten zawołowany sposób przypomniałeś mi, że ja jestem pozbawiony wszelkiej władzy, że jestem tylko nędznym zakładnikiem

- Tylko? Może raczej: aż. Nie ma czegoś takiego jak nieważny zakładnik. Każdy zostaje oddany w niewolę z istotnych przyczyn. Zwłaszcza jeśli jest księciem. Zwłaszcza jeśli stoi za nim prawdziwa władza.

- Nie taka jednak jak ta, po którą znów sięgnie kiedyś Mehmed.

- Cóż, rzeczywiście nie taka sama - Hamza potwierdził skinieniem głowy. - Nie zdziw się w przyszłości, gdy Mehmed zawojuje cały świat.

Ledwie wypowiedział ostatnie zdanie, klasnął w dłonie. Stojący w pogotowiu sługa natychmiast wyłonił się ze swojej kryjówki, aby podać swemu panu szorstkie rękawice. Zamiast jednak wskoczyć do wody i wyszorować plecy Hamzie, czego Wład się po nim spodziewał, ponownie się oddalił, pozostawiając obu młodych mężczyzn samych.

- Czasami - rzekł Hamza do Włada - trzeba pobrudzić sobie ręce, żeby mieć czyste plecy.

Wstał i zbliżył się do Włada, zatrzymując się tuż za nim. Młodzik stęzał, wszakże ruchy rąk, które zaraz poczuł na swoim ciele, nie były lubieżne - raczej zdecydowane i nieprzyjemne, takie same jak te, które wykonuje każdy tellak w adrianopolskiej łaźni. Po chwili jego napięte mięśnie zwiotczały, poddając się męskiemu uciskowi. Kiedy Hamza wystawił mu swoje plecy, odwzajemnił przysługę z równym wigorem, wywołując u masowanego jęki bólu. Jakiś czas potem Hamza ujął go delikatnie za nadgarstek.

- Chodź, młodzieńcze - rzekł cicho. - Czas, byś poznał inne przyjemności.

Kiedy zażywali kąpieli, ich pawilon się przeobraził. Zwykłe owcze skóry, na których dotąd sypiali, zostały zwinięte i zastąpione misternie tkanymi izmirskimi kilimami, cieszącymi oczy wzorami i barwami, o jakich Wład dotąd tylko słyszał. Pomiedzy dwiema leżankami ustawiono niski stolik. W rogach pomieszczenia stały latarnie dające przytłumione światło, natomiast z piecyka oprócz ciepła dobywał się zapach olejków eterycznych. Wnętrze wydawało się niezwykle przytulne po krótkim marszu w chłodzie, zwłaszcza że oferowało suche odzienie: jedwabne tuniki lamowane futrem i pantofle z owczej wełny.

Na kolejne kłaśnięcie Hamzy służący wniesli do środka jadło. Różniło się ono znacznie od tego, co dotąd spożywali na wyprawie. Wprawdzie w dalszym ciągu była to koźlecina, lecz w postaci kebabu, a nie polewki, do niej pilaw z dodatkiem pistacji, rodzyneków i suszonych moreli, potem placki pita smarowane owocowym dżemem z nasionami maku, posypane listkami rozmarynu i powleczone złocistą warstwą miodu. Zamiast wody ze strumienia, którą do tej pory wszystko popijali, sączyli sorbety z pomarańcz i granatów.

Władowi zdawało się to niebiańską ucztą, lecz mimo to brakowało mu jednej rzeczy. Hamza domyślił się, czego, kiedy młodzik tęsknym wzrokiem zaczął zaglądać w pusty kielich.

- Pragniesz wina, czy tak? - spytał.

- Pragnę? To za dużo powiedziane. Chcę? Cóż - wzruszył ramionami.

- Jak brzmiał ten werset z Koranu, który wyrecytowałeś tak pięknie w enderunie? Wład odchrząknął. Po chwili z jego ust popłynęły arabskie słowa:

- Będą ciebie pytać o wino i grę majsir. Powiedz: „W nich jest wielki grzech i pewne korzyści dla ludzi; lecz grzech jest większy aniżeli korzyść z nich .

- Wierzysz w to?

- Nie. Ale przecież nie jestem muzułmaninem. Zresztą - urwał. Hamza nachylił się i dokończył za niego:

- Zresztą nie wszyscy muzułmanie stosują się do zaleceń Proroka. Czy to właśnie zamierzałeś powiedzieć?

- Może.

- Nie wyłączając Murada, Zbawcy Świata, naszego światłego sułtana, który pożąda wina, jak szeptaną niektórzy, do nieprzyzwoitości.

- A ty go nie pożądasz?

- Nie. I nie chodzi wcale o przykazania, chociaż je bardzo szanuję. - Uśmiechnął się. - Po prostu nie podoba mi się wpływ, jaki wino wywiera na pijących je ludzi. Niektórzy robią się po nim ckliwi, rzewni, rozwiązuje im się język. Inni znów stają się skorzy do bitki. - Odchylił się na wałek, który stanowiła zrolowana owcza skóra.

- To nie dla mnie. Uważam, że jeśli już łamać przykazania Świętej Księgi, należy mieć z tego trochę przyjemności.

Wład zmarszczył brwi.

- To znaczy? - zapytał, przełykając ślinę.

Zamiast odpowiedzieć, Hamza znowu klasnął w dłonie. Służący pojawili się znikąd i bezszelestnie usunęli pozostałości po posiłku. Krzątając się po pawilonie, przysunęli bliżej piecyk, niewielki kociołek i flaszę. Następnie skłonili się i raz jeszcze zostawili ich samych.

Hamza sięgnął do swojej torby, skąd wyciągnął brązową grudkę czegoś. Trzymając ją pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, uniósł pod światło i pokazał Władowi.

- Co to? - zaciekawiał się młodzik.

- Przyjemność, o której mówiłem przed chwilą - mruknął Hamza, nachylając się i krusząc grudkę w palcach nad kociołkiem. - Haszysz, prosto z Libanu. Próbowaleś go kiedy?

- Tak, to znaczy: nie - odparł szybko Wład. - Niektórzy uczniowie chodzili do pewnych domów w Adrianopolu, ale ja - Pokręcił głową. - Jak się człowiek po tym czuje?

- Jak we śnie - Hamza dolał do kociołka płynu z flaszy. - To produkt destylacji fig - wyjaśnił, widząc pytający wzrok Włada, po czym skupił się na przyrządzaniu mikstury.

W miarę jak kociołek rozgrzewał się nad piecykiem, Hamza dodawał doń różnych rzeczy. Wład rozpoznał tylko część z nich, i to głównie po zapachu. Na pewno znalazła się tam gałka muszkatołowa i goździki, zanim wszystko zostało starannie wymieszane i w końcu zdjęte z ognia. Wtedy Hamza zanurzył w gęstym płynie brązową chochelkę, którą przelał nieco zawartości do dwóch filigranowych kielichów. Ujął je w dłonie i podał jeden Władowi. Młodzik odskoczył jak oparzony, wyciągając przed siebie rękę.

- Myślę, że podziękuję

Hamza nie cofnął kielicha.

- Oferuję ci tylko tymczasowe zapomnienie. Sen, książę. Ucieczkę od tu i

teraz. Nic poza tym. - Kiedy Wład ponownie odmówił, potrząsając energicznie głową, mężczyzna kontynuował monotonicznie: - Mogę sobie tylko wyobrazić okropieństwa, które stały się twoim udziałem w twierdzy Tokat. Od dawna błagałem Murad chana, aby pozwolił mi przybyć ci na ratunek. Ten napój przyspieszy proces gojenia ran - zapewnił. - Zaufaj mi, książę

Przez długą chwilę kielich zdawał się wisieć pomiędzy nimi, aż w końcu Wład sięgnął i wziął go do ręki. Wtedy Hamza poruszył swoim, wznosząc toast:

- Za sny!

Wład, biorąc przykład z Hamzy, osuszył kielich do dna, przełykając napój małymi łydkami, rozkoszując się smakiem, który rozpoznawał w miksturze, a także tym nieznanym, lekko gorzkim, aczkolwiek nie odrażającym.

- Czy mogę dostać jeszcze trochę? - poprosił, czując się tak samo jak przedtem.

Hamza wyjął mu kielich z dłoni, odstawił go, po czym wstał, żeby odsunąć piecyk w kąt namiotu.

- Cierpliwości - rzucił, wróciwszy na leżankę. - Wyciągnij się wygodnie

Wład postąpił za jego radą. Przez pewien czas wszystkie jego kończyny, które nie rozluźniły się nawet w ciepłe pawilonu, zdawały się sztywne i obce, aż naraz nieoczekiwanie zmiękły, pozwalając mu zatopić się w miękkich poduszkach. Wszelako umysł miał nadal jasny. Niezwykle jasny. Poza tym nie zauważał żadnej różnicy ani tym bardziej nic z tych rzeczy, o których szeptali między sobą jego koledzy z orty.

Z wolna zaczynał czuć się oszukany.

- I to już wszystko? - spytał z rozczarowaniem w głosie.

- Cierpliwości - powtórzył Hamza. - Czekaj i patrz

Wład powiódł spojrzeniem za jego dłonią. Płomyki piecyka prześwitujące przez misterną kratkę z metalu rzucały różnokształtne cienie na sufit pawilonu. Im dłużej na nie spoglądał, tym mniej wyraźnie je widział, aż w końcu zupełnie stracił je z oczu i w tej samej chwili zdało mu się, że przestał obserwować, a stał się uczestnikiem teatru cieni, unosząc się u powały. Nagle usłyszał głos. Dochodził z daleka, a jednak z bliska; był czysty i dźwięczny niczym odgłos dzwonu na kościelnej wieży. Mówił:

- Widzisz je?

- Tak - Własny głos wydał mu się nadzwyczaj donośny. - To gwiazdy.

- Gwiazdy? Mnie chodziło o wielbłądy.

- Jakie znowu wielbłądy?

Nim skończył mówić, dostrzegł je. Dwa wielbłądy o łbach uniesionych wysoko w górę, garbach to scalających się w jeden, to znów namnażających się tak, że przechodziło to ludzkie pojęcie. A potem zaczął się śmiać. Rżał na całe gardło z dziwności tej sytuacji i z głupoty jucznych zwierząt. Czuł się, jakby śmiech był kończyną, której długo nie używał i o której istnieniu prawie zapomniał. Jednakże podobało mu się to, że odzyskał ją, a przy tym swoją sprawność. Wprost nie potrafił przestać się zaśmiewać, ba, nie chciał przestać! Przeniósł wzrok na Hamzę i parsknął przez nos. Co za twarz! Każda jej część rozrosła się do granic: broda, nos, oczy. A tęczęwki zdawały się bardziej niebieskie od nieba w słoneczny dzień. Wszelako twarz zmieniała się i śmiech zamarł Władowi na ustach. Hamza przedzierzgał się w kogoś innego, z jednej twarzy zrobiło się ich kilka. Wład Smok Zbawiciel

- Nie! - Wład spróbował się podnieść do pozycji siedzącej, lecz przegrał z własnym ciałem. Potrząsnął głową i znów przed sobą miał tylko Hamzę. Roześmiał się z ulgą. Jego były nauczyciel zadziwiająco przypominał wielbłąda, zwłaszcza że nagle wyrosły mu wielkie żółte zębiska. - Obiecywałeś mi zapomnienie! - krzyknął Wład.

- Spokój ducha! Mam do nich prawo, będąc księciem. Chcę zapomnienia!

- Chcesz zapomnienia? - powtórzył Hamza. - Ależ proszę cię bardzo!

I z tymi słowy, także śmiejąc się szaleńczo, rzucił się na Włada, przygniatając go swoim ciałem do leżanki.

Plątanina rąk i nóg. Splecione ramiona, szczepione palce, dłonie macające, szukające, znajdujące i znów gubiące. Hamza był wysoki, smukły, umięśniony, jego kończyny działały niczym sploty stalowego węża. Wład w porównaniu z nim zdawał się niski, przysadzisty, o równie wielkiej sile, acz inaczej rozłożonej, skupionej raczej w korpusie. Przetaczali się, walcząc o to, który będzie górą. Siły opuszczały ich z każdym spazmem śmiechu, aż w końcu przestali się śmiać, spoważnieli nagle, poczuli, jak ogarnia ich gniew rosnący z każdym kolejnym ciosem rozrzucającym wokół poduszki i powodującym, że krew zaczęła im dudnić w uszach niczym odgłos bębna. Hamza przejął prowadzenie; jedną długą nogą przygwoździł Włada do podłoża, rękoma unieruchomił jego oba nadgarstki, przybliżył twarz do niego na włos. Wtedy Wład poczuł w sobie przyływ nadspodziewanej siły;

skupił się w sobie, zogniskował moc i zrobił z niej użytek, wijąc się i wykręcając, odpychając i obracając wokół własnej osi, aż wreszcie podjął ostatni wysiłek i nagle to Hamza był pod spodem, leżał na ziemi z rozrzuconymi szeroko rękoma, tak blisko, że Wład bez trudu mógł zaglądać mu w oczy i pomimo przyćmionego światła wyraźnie widzieć subtelne szmaragdowe spiralki w kobaltowych poza tym oczach Turka. Równocześnie przestali walczyć, dążyć do wygranej. Zamarli w tej jednej pozycji na chwilę ciągnącą się w nieskończoność, zatonęli we wzajemnym spojrzeniu. Trwali tak dopóty, dopóki Hamza nie zdołał unieść się odrobinę w górę. Tyle tylko, aby przyłożyć swoje usta do warg Włada.

- Nie. - Wład uwolnił z uścisku ręce przeciwnika, wyprostował się nagle.

Wszelako nie znalazł w sobie siły, aby odsunąć się dalej, aby powstrzymać Hamzę, który już zakradał się doń od tyłu, już obejmował go za szeroką pierś, trzymając w mocnym uchwycie.

- Jesteś taki samotny, książę - szeptał Hamza. - Zawsze byłeś. Wiele przeszedłeś. Tam. W Tokacie

Nieoczekiwanie dla samego siebie Wład się rozplakał.

- Widziałem potworności. Robiłem - jego słowa przeszły w szloch. Wspomnienia i łzy zdławiły to, co chciał powiedzieć. Co chciał wyznać.

- Wiem - ozwał się głos należący i nienależący do Hamzy. Czyjaś ręka przesuwiała się w dół, po piersi, po brzuchu, nie zatrzymując się nigdzie

- Nie - powtórzył Wład, chcąc jakoś powstrzymać sunącą wciąż w dół dłoń, lecz nie znalazł w sobie siły, aby uczynić coś więcej, niż tylko wydać z siebie szept.

- Pożegnaj się ze swoją samotnością, książę - rzekł Hamza i pochylił Włada nad poduszkami. Nie zaznał obiecywanego spokoju. Tam gdzie się znalazł - znowu wbrew własnej woli - było nadzwyczaj mroczno, aczkolwiek po początkowym bólu naszło go również coś w rodzaju przyjemności. Nie mógł także nie słyszeć głosu zapewniającego go o miłości i żądającego miłości w zamian. Nie mógł nie słyszeć, że jego - a zarazem nie jego - głos odpowiadał raz po raz:

- Tak. Tak. Ja też cię kocham. Teraz. Zawsze. Na wieki. Tak

16. KRAJ WOJNY

Wyruszyli o świcie - Hamza, Wład i trzech przysłani z Adriano-pola gwardziści. Reszta obozu miała zwijać się powoli i podążać za nimi w swoim tempie. Kiedy sułtan wzywał, nie należało zwlekać ani chwili. Dlatego zamierzali nie oszczędzać wierzchowców, przystawać tylko na krótko i wymieniać konie na świeże w każdym karawanseraju, który mógł je zaoferować. Do Adrianopola powinni byli dotrzeć w góra pięć dni.

Przez sporą część drogi cwałowali na złamanie karku, zmuszając wierzchowce do wielkiego, aczkolwiek nie nadmiernego wysiłku. Prędkość, z którą się poruszali, uniemożliwiała jakąkolwiek wymianę myśli, gdy zaś z kolei zatrzymywali się na popas, Wład z całych sił unikał rozmowy.

- Mój młody mężczyzna - szepnął Hamza, wyciągając rękę pod okrywającym ich kocem w pierwszą noc w drodze.

Wład, milcząc, owinął się przykryciem ciaśniej i przewrócił na bok, pokazując Hamzie plecy. Przemierzali kraj u progu wiosny i wojny. Jak górskie strumyki opuszczają zaśnieżone szczyty, by w dole dołączyć do większych rzek, tak ich niewielka kawalkada była jedną z tysięcy podążających w stronę stolicy i wkrótce zlała się w jedno z istnym morzem ludzi i zwierząt. Sułtański buńczuk dominował nad namiotem wzniesionym w Adrianopolu, dokąd zmierzali nieprzeliczeni wojownicy. To stamtąd rozbrzmiewały odlane ze srebra dzwony, a powiadano, że ich delikatne dźwięki docierają od najdalszych wysp Morza Egejskiego po piramidy w Egipcie i od ziem Złotej Ordy po oazy Synaju. Bijące dzwony wzywały zewsząd do dar al-harb, kraju wojny, rozbrzmiewały także w przełęczach Siedmiogrodu, kamiennych sieniach karpackich zamków i pośród murów pałaców królewskich i biskupich. Nadchodzą Turcy, ostrzegają. Wiedźcie to i drzyjcie. Cokolwiek Hamza robił, napotykał spuszczone wzrok Włada, jednakże młodzik w końcu podniósł oczy, aby ogarnąć spojrzeniem otaczające go cuda i przypatrzeć się dobrze swoim wrogom w próbie poznania ich, tak jak jego ojciec, Wład Smok, przykazał mu w chwili rozstania. Gdziekolwiek spoglądał, widział wierzchowce: wysokie i proporcjonalnie zbudowane, schwytnie na nizinach Anatolii, albo przysadziste i niezgrabne, służące zwykłym góralom, podczas gdy tych

pierwszych dosiadali spahisi, czyli tureccy rycerze, w bitwach sprawujący dowództwo w pancerzach kolczych i w żelaznych hełmach, tutaj jednak przechadzający się w kosztownych szatach i turbanach świadczących o ich wysokim pochodzeniu. Nie kłaniali się nikomu, kto ich mijał, chyba że natknęliby się na samego Murada. Nie ustępujący im w bitności górale pochodzący z różnych plemion, nierzadko Tatarzy o skośnych oczach, uważali to za zniewagę i puszczali się w galop środkiem ulicy, wywołując tryumfalne okrzyki i dzikie zawodzenia pobratymców, które dość szybko przeradzały się w bojowe uderzenie mieczów o tarcze, krzyżowanie sztychów i wypuszczanie strzał mknących o włos od niewinnych świadków.

Strumyki łączyły się w rzeki, te zaś zamieniały się w istny potop wojowników. Kiedy w południe trzeciego dnia podróży stanęli przed mostem w Ilgazie, będącym jedyną przeprawą przez Gokirmak, zablokowani przez tysiące przybyłych przed nimi, klnących w żywy kamień jeźdźców, Hamza zarządził odpoczynek aż do wieczora. Na moście zrobiło się luźniej, dopiero gdy wszedł księżyc, i wtedy podjęli wędrówkę, nie zatrzymując się w nocy ani razu, aż o świcie dotarli do równie zakorkowanego przejścia na rzece Sakarya, gdzie postąpili podobnie jak poprzedniego dnia, pozwalając ludzkozwierzęcej masie przewalić się przodem.

Podczas każdego postoju Hamza czynił starania, by zachęcić Włada do rozmowy. Nie chciał mówić o tym, co między nimi zaszło, gdyż młodzik wyraźnie nie miał najmniejszej ochoty poruszać tego tematu. Próbował za to zagajać o drapieżnych ptakach, zbliżającej się wielkimi krokami wojnie i rodzajach broni, które zdolne by były zapewnić każdemu bezpieczeństwo, wszelako nieodmiennie napotykał mur milczenia. Dopiero gdy stanęli na skalistych brzegach cieśniny Bosfor, spoglądając z klifu na leżący w dole mały port Uskudar, Wład się odezwał. Dobył z siebie tylko jedno słowo.

- Konstantynopol - powiedział.

Hamza powiódł wzrokiem za spojrzeniem Włada. Na horyzoncie majaczyła mglista panorama miasta obwiedzonego wysokimi murami z górującymi tu i ówdzie basztami strażniczymi.

- Pragnąłbyś tam kiedyś pojechać, mój mały? - zapytał, spodziewając się, że raz jeszcze zostanie zignorowany. Wład jednak ponownie go zaskoczył.

- Pragnąłbym się pomodlić - wskazał budowlę przyćmiewającą wszystkie okoliczne budynki - przed ołtarzem Mądrości Bożej.

- Doprawdy? - zdziwił się po raz drugi Hamza. - Choć sam zanosił modły pięciokrotnie w ciągu dnia, jak zalecał Koran, nigdy jeszcze nie widział, aby

jego kompan zgiął kolano przed swoim czy cudzym Bogiem. - A o co chciałbyś prosić?

Młodziak po raz pierwszy od czterech dni utkwiał spojrzenie swych zielonych oczu w twarzy towarzysza podróży.

- O zbawienie - rzekł po prostu.

Wprawiony w zmieszanie Hamza odwrócił się i zapatrzył na kopułę wielkiego kościoła, w której odbijały się promienie wieczornego słońca.

- Być może tego nie wiesz, ale marzeniem sułtana jest przemienić tę świątynię w meczet - powiedział. - A biorąc pod uwagę, że Grecy słabną z roku na rok, tracą po kawałku swoje ziemie, są wystawiani do wiatru przez swych sojuszników i zdradzani przez własny lud - urwał, zorientował się bowiem, że Wład już go nie słucha, prowadząc ostrożnie konia w dół po stromej ścieżce wiodącej do portu i oczekującej na nich barki.

Westchnął, po raz ostatni spojrzął w stronę Konstantynopola i ruszył jego śladem.

Dwa dni później osiągnęli ostatnie wzgórze dzielące ich od Adrianopola, mając nadzieję, że w końcu ucieszą oczy znanym widokiem, jednakże srodze się rozczarowali - pod murami miasta wyrosło bowiem inne, nie mniej imponujące. Szeroka rzeka islamskich wojowników, spływająca ku stolicy na wezwanie bijących dzwonów, rozlała się w niespokojne morze obozu wojskowego. Wyglądało to jak pierwotny chaos. Najdalszy od centrum krąg stanowiły byle jak postawione, krzywe namioty gazich z gór, którzy byli równie dzikoocy i pokraczni jak ich wierzchowce, a napędzała ich na równi wiara w Allaha, kumys i nadzieja na rajską nagrodę za życia lub po śmierci. Z dali niosła się kakofonia dźwięków wydawanych przez obozowe zwierzęta: rżały podekscytowane konie, trąbiły, pokasływały i pluły złośliwe wielbłądy, ryczały wiecznie niezadowolone osły, szczeptały i wyły pokryte świerzbem psy nie przepuszczające żadnej okazji, aby ugryźć kogoś lub coś.

Z początku jaki taki porządek dostrzegali tylko na drodze, którą zmierzali w dół wzgórza. Była to jedna z czterech tras wiodących do miasta, a że razem przedzielały one obóz na promieniste części, usuwano z niej i z pozostałych każdego zawałd drogę, umożliwiając tym samym poruszanie się bez przeszkód wszystkim sułtańskim wysłannikom podążającym z wiadomościami z krain podległych i wrogich Opoce Świata. W końcu pozostawili za sobą ciżbę, hałas i smród i stanęli przed barierą, którą stanowiła czerwona jedwabna wstęga. Tamże uzbrojony po zęby strażnik poddał starannej inspekcji pisemne wezwanie, dostarczone im przez pajuka,

przyjrzał im się ponurym wzrokiem i machnięciem ręki pozwolił iść dalej.

Jedwabna szarfa rozpięta na niskiej drewnianej palisadzie oddzielała potworny chaos od umiarkowanego porządku. Poza nią miasteczko namiotów rozrastało się koncentrycznie; te na obrzeżach były jeszcze małe i szare, wszelako w miarę jak zagłębiali się w uprzywilejowany teren, napotykali coraz wykwintniejsze pawilony, ozdobione przebogatymi barwnymi kobiercami, a zdolne pomieścić, lekko licząc, setkę zbrojnych, chociaż - o czym Wład wiedział doskonale - zazwyczaj były siedzibą tylko jednego człowieka: bejlerbeja, gubernatora prowincji, wokół której mniejszymi kręgami gromadziły się skromniejsze namioty spahisów. Przed każdym pawilonem w widocznym miejscu stały buńczuki, poruszające się wskutek ruchu powietrza wywołanego ich przejazdem. Wład i Hamza zostali zatrzymani ponownie, kiedy zbliżali się do porażającego oczy pawilonu, przed którym stało aż pięć buńczuków. Drogę zastąpił im gigantycznych rozmiarów oficer wystrojony w stożkowate nakrycie głowy zdobne w pióra czapli, zwane kałafatem, od którego wzięła imię urodziwa klaczka Włada. Z tyłu jego głowy powiewała czerwona kita świadcząca o przynależności męczyzny do odłamu derwiszów, określanych mianem bektaszy. Na jego skinienie przybyszów przeszukało sześciu roślących żołnierzy, których ręce śmiało zapuszczały się pod wierzchnie okrycia obu młodzieńców, zzuwały im buty i konfiskowały sztylety. Gdy było pewne, iż żaden z nich nie stanowi zagrożenia, zostali przepuszczeni.

- Janczarzy - rzucił Hamza, całkiem niepotrzebnie, gdyż Wład doskonale poznał ten elitarny oddział w służbie sułtana, ćwicząc z jej adeptami w enderunie swój kunszt szermierczy, a także siłę ciosów, precyzję wypuszczania strzał z łuku, umiejętność utrzymania się w siodle w pełnym cwale, a wszystko to z równym zapałem, z jakim studiował łacinę i Świętą Księgę islamu. Namioty janczarów były niższe, zaledwie dwuosobowe, i ciasnym kręgiem otaczały wystawne pawilony dowódców, które wszakże nie umywały się do tego, co ukazało się oczom dwóch młodych męczyzn, gdy osiągnęli wreszcie koniec szerokiej alei, będący zarazem końcem trzech pozostałych dróg zbiegających się w bezpośredniej bliskości otaku Murada. Był to właściwie pałac, nie namiot - przestronny i zdumiewająco bogaty, podtrzymywany przez trzy wysokie pale nikiące w górze niczym pnie starych drzew, na których rozpostarte były płaty solidnego płótna, zakryte miejsce przy miejscu wspianymi jedwabnymi materiałami malowanymi w kwiaty i gęszcz roślinny, tak że patrzącemu zdawało się, iż nagle się znalazł

w cudownym ogrodzie.

Przed nim, tuż przy wejściu, stał buńczuk sułtana z aż sześcioma końskimi ogonami. Wiszące nieopodal srebrne dzwony wydawały słodkie dźwięki wzywające hordy prawowiernych do ich przywódcy i wywołujące we wrogach islamu przemożny strach. Murad wybierał się na wojnę.

A leżący w pyle ziemi Wład, bokiem przylegający do bijącego pokłony Hamzy, który oddawał hołd swemu panu i jego wojennemu sztandarowi, zastanawiał się nad dwiema sprawami. Po pierwsze, przeciwko komu zostanie skierowana ta potęga. Po drugie, czy jakiegokolwiek sile na ziemi uda się ją powstrzymać.

17. OFERTA

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami i z braku lepszego zajęcia obserwowali, jak zmienia się cień górującego nad nimi buńczuka. Stopniowo skracał się od zachodniej strony, by w południe niemal całkiem zniknąć, po czym wkrótce znów się pojawił, rozciągając się na ziemi ku wschodowi, podczas gdy bejowie, żołnierze, słudzy i niewolnicy, kierując się do pawilonu sułtana, w zależności od swojej pozycji dostojnie wkraczali, wmaszerowywali, wbiegali lub gnąc się w pas, wpełzali na kolanach. Mimo że wydawało im się, iż wszyscy o nich zapomnieli, bynajmniej tak się nie stało, o czym najlepiej świadczyło to, że około południa przyniesiono im wodę, mięso nadziane na szpikulec i upieczone nad ogniskiem oraz chleb. Nie zostali jednak wezwani do środka wcześniej, aż cienie wydłużyły się do ostatka, kładąc się zupełnie na ziemi.

Dopiero wtedy wyrósł przed nimi sługa, skłonił się i gestem zaprosił do wnętrza otaku. Przeklinając zeszywniałe kończyny, Hamza podniósł się pierwszy, otrzepując odzienie z kurzu i okruchów. Wład pozostał w pozycji kucznej chwilę dłużej, kilkakrotnie wziął głęboki oddech, lecz w końcu i on stanął prosto.

Kiedy zostali wprowadzeni do środka, nie od razu dojrzeli Murada, taki wokół niego kłębił się tłum. Byli tam: spahisi w wysokich jeździeckich butach i w wygodnym stroju, nie krępującym ruchów podczas walki; dowódcy janczarów zamknięci w zbrojach płytowych lub w kolczugach; aszchi basza, czyli główny kucharz armii, wyposażony w symbole władzy w postaci chochli i misy, dyndających u jego pasa i mających dawać świadectwo, że ojciec Imperium nakarmi wszystkich swoich żołnierzy podczas nawet najdłuższej wojny. Obecność na zgromadzeniu tego ostatniego była nie mniej ważna aniżeli pozostałych, bezpośrednio zaangażowanych w układanie planów walki. Wszelako Wład w końcu wysłedził Murada, który jak zwykle rzucał się w oczy przez to, iż zdawał się całkowicie niepozorny w prostej ciemnoniebieskiej tunice do kolan. Górował nad stołem zarzuconym przeróżnymi dokumentami, a ze wszech stron otaczali go najwyżsi rangą oficerowie wszystkich formacji. U jego boku stał - zdający się szczygłem przy wróblu - jego syn, Mehmed. Mężczyzna będący

sułtanem, jak również ten, który nim już raz był i miał zostać ponownie - jeśli taka będzie wola Allaha - równocześnie podnieśli wzrok znad papierów, kiedy do namiotu weszli Hamza z Władem. Mehmed natychmiast opuścił oczy, jednakże Murad nie odrywał spojrzenia od twarzy młodego Drakuli, aż ten opadł na ziemię i przyłożył czoło do wyłożonego kobiercami klepiska.

- To na razie wszystko - rzucił sułtan, wywołując jęk rozczarowania pośród chętnych, by mu się przypodobać, ludzi. - Zostawcie nas samych.

- Ojcze

- Ty także, mój synu. Ale wolno ci wrócić z bratem tego mężczyzny.

- On wcale nie chce

Murad przerwał mu stanowczo:

- Nie interesują mnie jego życzenia, synu. Ma się tutaj znaleźć. Natychmiast.

Ton głosu sułtana nie zmienił się ani na jotę, a jednak teraz wyczuwało się w nim nie tylko władczość, ale i napięcie. Nikt z obecnych nie odważył się więcej polemizować z rozkazami. Skulony wciąż przy ziemi Wład dostrzegł poruszające się barwne pantofle, owionął go zapach imbiru i drzewa sandałowego. Mehmed wyszedł w ślad za pozostałymi. Chwilę później niemal do jego nosa zbliżyła się inna para pantofli, tym razem zwykłych, skórzanych.

- Bratanku.

- Oko Cyklonu - powiedział młody sokolnik, wyciągając szyję, aby złożyć pocałunek na czubku prawego pantofla.

Wład już zbierał się w sobie, aby również ucałować sułtański but, wszelako coś go powstrzymało.

- Książę Drakulo - zwrócił się doń Murad, nigdy wcześniej nie używający wobec niego tego tytułu. Uderzenie serca później Wład nachylił się niżej i cmoknął wargami ostro pachnącą skórę, a uczynił to ze znacznie większym zapałem, niżli pierwotnie zamierzał.

Pantofle odwróciły się i zniknęły z pola widzenia.

- Powstańcie. Napijcie się wina? - zaproponował, gestem odprawiając niewolnika, który już unosił w górę dzban, aby obsłużyć dostojników.

Kiedy sułtan nalewał rubinowoczerwonego płynu do kielichów, za jego plecami rozległo się wyraźne jęknięcie zwalnianej cięciwy; to dwaj nieodłączni łucznicy uznali, że największe niebezpieczeństwo minęło i wystarczy tylko mieć oczy szeroko otwarte, a sprawne dłonie w pogotowiu.

- Och, byłbym zapomniał, że ty, Hamzo, swoim posłuszeństwem

przykazaniom al-Rahmana przyganiasz nam wszystkim. Twoja strata! - Odwrócił się do Włada. - Lecz ty, jak sądzę, nie będziesz mnie zmuszał, abym pił sam, wstydząc się swej słabości jeszcze bardziej?

- Zaiste, nie.

- Wyśmienicie - stwierdził i skinął na sługę, aby podał Hamzie owocowy sorbet, podczas gdy on i Wład trzymali już w dłoni po kielichu z winem. - Pij do dna, książę - polecił.

Wład zamoczył lekko usta. Wino smakowało wybornie, dokładnie tak, jak się spodziewał. Po półroczu abstynencji zdawało mu się boskim nektarem.

Murad również popijał małymi łykami, przez cały czas przyglądając się uważnie gościowi.

- Śmiało, książę. Wychył kielich do dna, dobrze ci radzę. Inaczej nie będziesz przygotowany na to, co mam ci do powiedzenia.

Jeszcze przed chwilą młodzik z własnej woli chciał przyłożyć usta do brzegu kielicha i przypiawszy się niczym niemowlę do matczynej piersi, wypić wszystko, co mu podano, jednakże tajemnicze słowa powstrzymały go w pół ruchu. Zamarł z uniesioną dłonią i spytał:

- Co to za wiadomości, sultanim?

Murad popatrzył bystro na Hamzę.

- Nic mu nie powiedziałaś?

- Postąpiłem tak, jak mi rozkazałeś, enishte. Zresztą nawet gdybym z jakiegoś powodu zapragnął okazać ci nieposłuszeństwo - zerknął szybko w stronę Włada - żaden moment nie wydawał mi się odpowiedni.

- Czyżby? - Murad uniósł jedną brew, wychytując podejrzany ton w głosie swego sokołnika, ale zaraz ponownie przeniósł uważne spojrzenie na młodego Drakulę. - Zatem wszystko wskazuje, iż to ja będę musiał wziąć na siebie niewdzięczne zadanie. Cóż, mam tylko nadzieję, że jak mnie już wysłuchasz, nie będziesz łaknął krwi posłańca przynoszącego złe wieści - Wyraźnie spodziewał się jakiejś reakcji, lecz gdy milczenie młodzieńca przedłużało się, z westchnieniem kontynuował: - Musisz dowiedzieć się o dwu sprawach, książę. Po pierwsze, twój ojciec nie żyje.

Wład lekko wysunął przed siebie stopę, aby mieć lepsze oparcie, po czym zapytał cicho:

- Jak umarł?

- Został skrócony o głowę.

Bez drgnienia powieki Drakula uniósł kielich do ust, wypił duszkiem

jego zawartość i dopiero wtedy odezwał się ponownie:

- Jak?

Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę, iż nie pyta o kwestie techniczne.

- Z rozkazu Hunyadyego - padła rzeczowa odpowiedź, po której znów zaległa cisza wymuszająca powtórzenie: - Z rozkazu Hunyadyego zwanego Białym Rycerzem, co jest o tyle dziwne, że człowiek ten ma serce czarne od okrucieństwa i zdradliwości - urwał nagle, jakby się zreflektował. - Ale przecież ciebie wychowano w przekonaniu, iż to bohaterski uczestnik krucjat, przez niewiernych zwany Przeklętym, przez chrześcijan zaś Biczem Bożym

Wład słuchał uważnie, lecz w dalszym ciągu nic nie mówił. Sułtan raz jeszcze poszukał pomocy u Hamzy i nie znalazłszy jej, podjął:

- Nie ma znaczenia, co myślałeś o nim wcześniej. Podobnie jak nie ma znaczenia, co ja myślę o nim teraz, w końcu zawsze był moim wrogiem. Liczy się tylko to, abyś zrozumiał, dlaczego powinieneś go znienawidzić. A najlepiej ci w tym pomoże relacja z pierwszej ręki przekazana przez kogoś z twoich rodaków. - Skończywszy mówić, wykonał nieznaczny gest, co spowodowało poruszenie przy wejściu.

Wład nie odwrócił się; po prostu dalej patrzył ponad ramieniem Murada, podziwiając subtelny malunek na jedwabiu przedstawiający wiotki kwiat maku. Dopiero kiedy wezwany mężczyzna znalazł się na krawędzi pola jego widzenia - a był to człowiek, którego znał i którego nie oglądał na oczy od wielu lat - drgnął i przechylił głowę, by lepiej mu się przyjrzeć. Przybysz odziany był na odmienną modłę niż wszyscy ludzie z otoczenia sułtana; zamiast lekkich, przewiewnych wygodnych szat miał na sobie ciężki pikowany dublet. Na jego wysokim czole lśniły okazałe krople potu, które pod wpływem własnego ciężaru staczały się po niemal łysej czaszce, by utonąć w wianuszku siwych włosów otaczających skronie na podobieństwo frędzli u kraju tuniki.

- Z pewnością pamiętasz Wybacz, tytuły używane w waszym języku zawsze sprawiają mi trudność Wysoko urodzonych zwiecie bojarzynami, czy tak? Ale ten tutaj człowiek jest żupanem, zgadza się? Nie myślę się? Dobrze. Zatem z pewnością pamiętasz żupana Kazana, aczkolwiek możesz nie wiedzieć, że ostatnimi czasy był on doradcą logofetem? twego ojca. Nowo przybyły skłonił się, mówiąc z szacunkiem:

- Książę

To, że i on zwrócił się doń w ten sposób, wprowadziło Włada w

konsternację. Działo się coś więcej, niż się domyślał. Coś, co miało związek nie tylko ze śmiercią jego ojca. Nie zdążył jednak zastanowić się nad tym, gdyż Kazan już klęczał przed nim, wyrzucając z siebie słowa:

- Książę, Władzie, synu Smoka, z głębi twej nieszczęsnej ziemi przynoszę ci błagania twego ludu i tę oto nadzieję na przyszłość dla nas wszystkich.

Trzymany przezeń w rękach tobół odłonił kolejne warstwy materii, by na końcu ukazać leżącą na błyszczącym atłasie pieczęć i miecz.

Zarówno jeden, jak i drugi przedmiot nosiły ten sam symbol - repusowanego w metalu smoka z wysuniętym z paszczy językiem, z łuskowatym ogonem sięgającym szyi i z Chrystusowym krzyżem leżącym bestii na grzbiecie. Dopiero ten widok, emblemat jego rodu, uświadomił Władowi powagę sytuacji i ogrom poniesionej straty. Mimo to zdołał dobyć głos.

- Przyniosłeś te rzeczy niewłaściwemu z Drakulów, Kazanie - oświadczył cicho, lecz pewnie. - Powinieneś być je dostarczyć memu starszemu bratu, Mirczy.

Żupan przełknął ciężko, zawahał się, popatrzył z błaganiem na Murada. Sułtan przyszedł mu z odsieczą.

- Druga ze złych wiadomości jest taka, że twój brat Mircza również nie żyje.

- Zginął w ten sam sposób? - zapytał Wład, usiłując zachować spokój, ale zdradziło go drżenie głosu.

- Niestety nie - odparł Murad i ponownie skinął na ostatniego z gości. - Opowiedz mu, żupanie. Napij się wina i dokończ opowieść.

Sługa, odgadując życzenia swego pana, już podawał Kazanowi kielich. Mężczyzna wypił zaoferowany trunek łapczywie, plamiąc sobie pierś dubletu, po czym otarł usta i wąsy i zwrócił się bezpośrednio do Włada.

- To było... jeszcze zanim został pojmany twój ojciec. Mircza przebywał na zamku w Tirgoviste niemal sam. Wiadomo już było, że zbliża się Hunyady z wojskiem i kandydatem do wołoskiego tronu w osobie twego kuzyna Władysława Danowicza. Wtedy paru bojarzynów - znów przełknął ciężko - zabiło nieliczne straże, wyciągnęło Mirczę z łoża i - urwał, szukając ratunku w obliczu sułtana. Ten jednak spoglądał twardo.

- Dalej. Książę musi usłyszeć wszystko bez owijania w bawełnę.

- Najpierw go oślepił - ciągnął z rezygnacją żupan. - Wrazili mu rozgrzane pogrzebaczki w oczodoły. A potem - rozkaszał się

nieoczekiwanie, po czym długo nie mógł złapać tchu.

- A potem go pogrzebali - litościwie dokończył za niego Murad. - Wszystko wskazuje na to, że żywcem. - Potrząsnął głową, jakby nie wierząc w to, co właśnie powiedział. - Cóż za barbarzyństwo.

Kazan otarł oczy, po czym pochylił się nad ułożonymi na ziemi przedmiotami ze stali.

- Dlatego pieczęć i miecz twego ojca trafiają w twoje ręce, książę. Jesteś ostatnią nadzieją rodu Drakulów.

Ruchem gwałtownym, tak jak wszystkie poprzednie były wyważone i leniwe, Wład zgiął się wpół i podniósł broń po ojcu. Był to miecz długi, półtorareczny, z którym obznajmiał się od najmłodszych lat i który w jego ręku zdał się dawno utraconą, a teraz odzyskaną kończyną. Przypomniawszy sobie, że ojciec zwał go „bastardem” lub „Smoczym Szponem”.

- Nie!

Ostra komenda, która padła z ust Murada, powstrzymała łuczników w pół ruchu, oszczędzając życie mężczyzny nieostrożnego na tyle, by w obecności sułtana wziąć do ręki zabójczą broń. W ciszy, jaka nastąpiła po nagłym okrzyku, dało się słyszeć jedynie skrzypienie napiętych sznurów utrzymujących konstrukcję namiotu oraz brzęk napiętych cięciw. Po długiej chwili milczenia Murad ozwał się spokojnym głosem:

- Miecz, który trzymasz w dłoniach i który teraz należy do ciebie, książę, nigdy nie należał do twego ojca. Szczycę się tym, że go trochę poznałem. Z początku walczyliśmy przeciwko sobie. Podpisaliśmy traktat pokojowy ku radości jego i mojego ludu. Potem zdarzyło się, że walczyliśmy ramię przy ramieniu. Wład Smok jako jeden z niewielu w tych parszywych czasach był człowiekiem honoru. Starał się dotrzymać danego słowa, nawet gdy Hunyady, Biały Rycerz o czarnym sercu, grzebał jego najstarszego syna żywcem, a jemu ścinał głowę. - Zaczął się przybliżać wolnym krokiem. - Ten miecz za życia Włada Smoka nigdy nie zostałby podniesiony przeciwko mnie, lecz zawsze siałby postrach w sercach jego prawdziwych wrogów. Tych, którzy uzurpowali sobie prawo do jego tronu. Do twojego tronu, jeśli zechcesz na nim zasiąść. Zatrzymał się tuż przed Władem Drakulą, nie opuszczając ręki powstrzymującej łuczników przed posłaniem strzał prosto w jego pierś.

- Nie jestem w stanie cię na nim usadzić - ciągnął. - To może uczynić tylko twój lud pragnący prawowitego i sprawiedliwego - jakże to było? hospodara, czy tak? - uśmiechnął się i zadowolony mówił dalej: - Mogę

jednak wesprzeć cię armią. I kiedy ja udam się do Serbii, aby raz na zawsze rozprawić się z Białym Rycerzem, ty możesz wrócić na Wołoszczyznę i upomnieć się o to co twoje. O koronę. Oraz o głowy morderców i zdrajców.

Wład od początku tej przemowy niewzruszenie trzymał miecz uniesiony wysoko w górze, jednakże teraz ręce zaczęły mu drżeć pod ciężarem stali i smutku przytłaczającego pierś. Stojący naprzeciwko Murad łagodnym gestem wyjął mu broń z dłoni, a Wład pozwolił, aby jego ramiona bezwładnie opadły wzdłuż ciała.

- To prawdziwy majstersztyk - ocenił sułtan, oglądając miecz pod światło. - Chyba muszę przyznać, że płatnerze z Toledo przewyższają pod każdym względem słynnych w całym świecie damasceńskich mistrzów. - Obrzucił postać młodzieńca uważnym spojrzeniem, mrużąc oczy przed odblaskami, które rzucała klinga. - Kiedy w mojej armii bej otrzymuje honor dowodzenia, dostaje także własny buńczuk, by jego ludzie podążali za nim w drodze ku zwycięstwu. Ale w waszych stronach jest inaczej, prawda? - Wykonał półobrót, tak że tylko górna część jego ciała zwróciła się ku Hamzie. - Bratanku ? Czyż u Franków pasowany rycerz nie przyjmuje miecza na swe ramię?

- Jak zwykle się nie mylisz, enishte. Tak było napisane w legendach o królu Artusie, którego Frankowie zowią Arturem.

- Zaiste, o tym właśnie czytałem ci, gdy byłeś małym chłopcem - Sułtan opuścił miecz, opierając jego czubek o ziemię, dłonie zaś składając na wspaniale rzeźbionym jelcu. - Czy mam nadać ci tytuł dowódcy w taki sposób, Synu Smoka?

Wszyscy powiedli spojrzeniem ku Władowi. Młodzik zielone oczy miał spuszczone, wzrok wbity w ziemię, ciało nieruchome. Niczym nie dał po sobie poznać, iż w ogóle usłyszał pytanie. Było słychać, jak obecni wstrzymują oddech, gdy cięciwy łuków napięły się mocniej, a wiatr na zewnątrz targnął płótnem otaku, naprężając sznury do granic wytrzymałości.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, Wład jakby przebudził się z letargu. Opadł na kolana, zwiesił głowę, odsłaniając nagi kark, ramiona rozłożył szeroko na boki. I przemówił głosem nadspodziewanie pewnym:

- Oddaję się pod twoje rozkazy, Kolumno Świata. Użycz mi swej siły, abym mógł pomścić śmierć bliskich i strącić w pył swoich nieprzyjaciół.

Murad uśmiechnął się i uniósł miecz nad głowę. W przeszłości rzeczywiście czytał małemu Hamzie legendy o rycerzach Okrągłego Stołu, znał więc dobrze rytuał towarzyszący pasowaniu, a odnoszący się do

chrześcijańskiej Świętej Trójcy. Dlatego teraz, kładąc ostrze miecza na lewym ramieniu Włada, rzekł:

- Użyczam ci swej siły, Władzie Drakulo, księciu Wołochów. Następnie przeniósł klingę na prawe ramię ze słowami:

- Nadaję ci imię Kilic bej w hołdzie mieczowi twego ojca, tak aby wszyscy znali cię jako niezwyciężonego.

Dźwignął głownię raz jeszcze i umieścił ją wprost na głowie pasowanego. Ostrze zagłębiło się w gęste czarne włosy, przygniatając je do czaszki. Zanim jednak sułtan zdążył wypowiedzieć ostatnie słowa obrzędu, w namiocie rozległy się okrzyki:

- Wład! Wład!

Młodziak obrócił się, wciąż czując ciężar miecza na głowie. W wejściu stał Mehmed, przed nim zaś - przytrzymywany przez księcia za ramiona - Radu Drakula.

Chłopiec bardzo się zmienił w ciągu półrocza, które upłynęło, odkąd Wład widział go po raz ostatni. Wzrostem niemal już dorównywał starszemu bratu. Długie brązowe włosy, które zawsze przedtem opadały mu falami na ramiona, teraz były skręcone w loki i namaszczone oliwą na grecką modłę. Ubiorem prawie wcale nie odróżniał się od przytrzymującego go mężczyzny, miał bowiem na sobie wyszukaną czerwoną brokatową kamizelę bogato zdobioną złotą nicią oraz hajdawery porażające oczy najbłękitniejszym odcieniem lazuru, jaki można zobaczyć na tureckim niebie. Było coś jeszcze, coś niełatwego do sprecyzowania, a jednak wyraźnie widocznego. Sposób, w jaki stał, ulegle znosząc osadzające go w miejscu dłonie na swoich ramionach, bardzo przypominał to, jak jego starszy brat akceptował ucisk miecza trzymanego przez sułtana. Obaj synowie Włada Smoka, którym dane było przeżyć rodziciela i następcę tronu wołoskiego, byli poddanymi Turków. Dlatego właśnie składając przysięgę na wierność Muradowi, Wład Drakula poprzysiągł sobie, iż nigdy więcej nie utraci władzy ani kontroli nad sytuacją, narażając swoją krew na cierpienia i śmierć.

Ogarnąwszy wzrokiem tę scenę, sułtan dokończył:

- Powstań, Kilic beju.

Wład podniósł się z klęczek. W tym samym momencie Radu oswobodził się z uścisku Mehmeda. Kiedy wołał imię brata, jeszcze przed paroma chwilami, zdawało się, że rzuci się wprost w jego ramiona. Tymczasem poruszał się powoli, dostojnie, z wysuniętą do przodu ręką.

- Bracie, czy wszystko u ciebie dobrze? - zapytał głosem ni to

chłopięcym, ni to męskim. Wład ujął go za łokieć i przyciągnął do siebie, tak że nareszcie objęli się i przywitani jak rodzeni bracia. Nie wypuszczając Radu z uścisku, odwrócił się ku Muradowi, pytając z szacunkiem:

- O Oświecony, czy wolno mi wybrać pierwszego żołnierza, który będzie służył pod moimi rozkazami? Jego dusza, podobnie jak moja, łaknie zemsty.

Poczuł pod dotykiem rąk, że Radu zaczyna drżeć. Oczywiście wiedział o tym, co spotkało jego najbliższych, już od dawna, podczas gdy Wład usłyszał o wszystkim dopiero przed chwilą, spędziwszy ostatnie miesiące w trzewiach twierdzy Tokat, gdzie był odcięty zarówno od światła słonecznego, jak i od złych wieści dotyczących jego rodziny. Z pewnością Radu aż rwie się do walki, aby pomścić śmierć ojca i brata, myślał.

Wszelako zaraz został wyprowadzony z błędu. Czuł, jak ramię Radu wyslizguje się spod jego uchwytu, chciał je przytrzymać, lecz nie zdołał, gdyż w tymże momencie dojrzał potwierdzenie swych najgorszych obaw w oczach takich samych jak jego, by wkrótce potem usłyszeć je w dwóch podobnych do siebie tureckich głosach:

- On zostaje ze mną.

- Przykro mi, książę, jeden z was musi zostać u nas.

Pozwolił Radu całkowicie się uwolnić i wrócić do Mehmeda, przy którym z wolna odzyskiwał spokój. Syn sułtana nawet nie zamierzał taić tryumfu. Jeden z Drakulów miał powieść oddział tureckiej armii na wspólnego wroga, drugi - pozostać w niewoli jako zakładnik na wypadek zdrady, lecz zarazem jako ktoś jeszcze

Wład spoglądał od ojca do syna, od panującego sułtana do tego, który miał być jego następcą, a potem wpatrzył się w twarz Radu, chłonąc widok brata po raz ostatni i powtarzając w duchu złożoną samemu sobie przysięgę. Na głos jednak powiedział:

- Kiedy mam wyruszyć?

18. NA TRONIE

Tirgoviste, dziewięć miesięcy później, grudzień 1448 roku

Ion Tremblac stał w odległości dwudziestu kroków od bram książęcego dworu w Tirgoviste, wpatrując się w ciemność przed sobą. Peleryna w żaden sposób go nie chroniła, dawno przemókłszy na wskroś, Ion stał tam, gdy po niebie zbliżała się burza, zakrywając gwiazdy ciężkimi chmurami, stał w wietrzyku z początku pieszczotliwym, lecz z każdą chwilą przybierającym na sile, by w końcu toczyć walkę z podmuchami wichury, która próbowała zwalić go z nóg. Kiedy zaczęło padać, pozostali rozpięchli się, szukając schronienia i znajdując je w rozlicznych zakamarkach. On nie mógł opuścić stanowiska, przynajmniej nie dopóty, dopóki nie szczyła cała nadzieja. Trwał więc na posterunku, znosząc w pokorze wszystko, czym raczył go Pan Bóg, licząc, że jeśli wytrwa, Najwyższy ześle wreszcie posłańca.

Jednakże zachodni trakt pozostawał niezmiennie pusty. I nic dziwnego - tylko szalenie wybrałby się w drogę w noc taką jak ta. Szalenie albo ktoś, komu pilno było dostarczyć niesłychanej wagi wiadomość. Przynoszącą nadzieję lub pogrążającą w rozpacz.

Ion sięgnął dłonią do czoła, żeby odgarnąć wilgotny kosmyk włosów, który zasłaniał mu oczy. Był to gest tak dlań naturalny jak oddychanie, gdyż młody mężczyzna nosił piętno, które starał się kryć, zapuszczając długie włosy i pozwalając im luźno opadać na twarz. Nie było to wprawdzie piętno przestępcy, ale i tak go nie cierpiał i robił, co mógł, aby je ukryć przed oczyma postronnych. Nareszcie! Uchyłek w skłębionych chmurach uczyniony przez potężnej mocy wiatr przepuścił na ziemię nieco blasku księżyca, w którym poprzez ścianę deszczu zamajaczyła postać jeźdźca i konia. Chwilę później dokoła znów panowały egipskie ciemności, wszelako dało się słyszeć rżenie przerażonego zwierzęcia i krzyki człowieka starającego się wygrać z wiatrem. Zbliżywszy się jeszcze trochę, wierzchowiec stanął dęba i zaraz jął drobić w kółko, a w końcu ponaglony ostrogą rzucił się do przodu, ku bramie. Ion, odmawiający szeptem modlitwę dziękczynną, w ostatniej chwili zdążył umknąć spod kopyt rozhukanej bestii. Na szczęście jeźdźcowi udało się zapanować nad zwierzęciem, zanim razem

wpadli w zamknięte na głucho wrota, niemal od razu jednak ledwo żywo osunął się w siodle, przylegając do końskiej szyi.

- Jakie wieści przynosisz, przyjacielu? - Ion postąpił do przodu, złapał luźne wodze i wolną ręką zaczął gładzić zwierzę po mokrzuteńskiej sierści.

- Tylko takie, że to straszna noc - odburknął niewyraźnie przybyły. - Dobrze wiesz, Ion, że i ty, i ja, i to biedne zwierzę powinniśmy spać w ciepłe, a nie wystawać tu na zimnie i deszczu.

Spodziewał się nieznanego mężczyzny, toteż zdziwił się podwójnie.

- Ilona! - zakrzyknął, wyciągając ku niej ręce i pomagając jej zsunąć się na ziemię. Podtrzymywał ją jedną ręką, czując, jak zmęczenie uchodzi z niej z każdym oddechem, i ile sił w płucach wołał stajennego, któremu nie w smak było wychodzić na ulewę. Wreszcie pokazał się jakiś niedorostek, mający nie więcej niż dziesięć lat, z pewnością wypchnięty przez starszych od siebie, którym żal byłoby wygonić na taką pogodę sparszywiatego psa. Nie mając wyjścia, Ion przekazał mu wodze, przykazując zająć się dobrze uchetanym koniem.

Chłopaczysko, kuląc się przed wiatrem, z oczyma wielkimi ze strachu, ujęło posłusznie rzucone lejce i czym prędzej czmychnęło w stronę stajni.

Objąwszy nareszcie Ilonę porządnie, na poły powiodł ją, na poły zaś poniósł ku osłonie strażnicy.

- Jesteś cała mokra

- Zdziwiająca, prawda? - sarknęła, a potem się roześmiała. Ion usłyszał ten śmiech po raz pierwszy jeszcze w Adrianopolu, nawet nie wiedząc, jak wydająca go dziewczyna wygląda, gdyż znajdowała się za gęstą kratownicą palankinu, i zapamiętał tak dobrze, że odtąd poznałby go na końcu świata. Nie miałby również najmniejszych trudności z rozpoznaniem jej samej, gdyż sylwetka i twarz wsiadającej na barkę piękności wryły mu się w pamięć na zawsze z chwilą, w której pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Teraz spoglądał na nią z miłością, mimo że wyglądała jak zmokła i zziębnięta kura - jej lic nie zdobiła ani krztyna barwiczki, żaden włoszek nie został usunięty na siłę wbrew naturze, gęste orzechowe włosy, mokre i śliskie, opadały niczym nie tamowaną kaskadą, obramiając spojrzenie takich samych jak zwykle, bystrych piwnych oczu. Miał przy tym świadomość, iż przebywający na zamku mężczyzna czuje wobec niej to samo co on, i to bez względu na wszystkie trapiące go troski.

- Chodźmy - powiedział, biorąc ją pod ramię. - Musimy ci znaleźć jakies suche rzeczy Oparła się jego sile.

- Czy on tutaj jest?

- Ilono - zaczął, lecz nie pozwoliła mu dojść do słowa.

- Pytałam, czy jest tutaj!

- Tak. - Westchnął. - Lecz nie zobaczy się z tobą. Nie przyjmuje nikogo, kto nie przynosi mu wieści.

- A właśnie że będzie chciał mnie widzieć - zapewniła, rażno zmierzając w stronę mniejszych wrót. - Pod warunkiem że mu powiesz, kto przybył.

Ion nie ruszył się z miejsca.

- On bardzo się zmienił. Tak wiele doświadczył. Spotkały go rzeczy, o jakich nawet nie chce mówić. A teraz czeka tylko, aby się dowiedzieć, czy jego armia wystąpi przeciwko niemu czy pójdzie za nim. Pragnie wiedzieć, czy o północy nadal będzie zasiadał na tronie, który w teorii zajmuje od dwóch miesięcy. - Zrobił kilka kroków, ujął dłoń zmartwiałej nagle Ilony. - Moja rada jest taka, abyś zaczekała na lepszy dzień.

- Czekałam przez dwa miesiące! - wybuchnęła. - Księżyc dwukrotnie zniknął i pokazywał się na niebie, podczas gdy ja tkwiłam zamknięta ze starymi zakonniciami, na przemian modląc się i wyszywając. I to ma być życie poświęcone Bogu - prychnęła. - Byłam w stanie zrozumieć, że nie powinnam przemierzać kraju pogrążonego w wojnie, że mój książę ma głowę zaprzętą innymi sprawami. Ale teraz? Teraz wszystko co złe dobiega końca. Moim zdaniem nie nadejdzie już lepszy dzień.

- Ale twoje odzienie - Ion spróbował ją powstrzymać ponownie.

- Jeżeli nie zechce mnie widzieć, zmienię je - obiecała. - Lecz jeśli mnie przyjmie, wtedy - wzduszyła ramionami.

Ladacznica! syknął w myślach, wymijając ją i z całych sił pchając drewniane skrzydło, które z hukiem uderzyło w mur. Czego innego się spodziewałaś? wyrzucił sobie. Przecież porwaliśmy odaliskę, nie świętą. Czymże jest sułtańska wybranka jak nie zwykłą ladacznicą? Opanował się nieco i zwolnił kroku, aby mogła się z nim zrównać, jednakże ani myślał na nią patrzeć - nawet gdy włożyła mu rękę pod ramię. Dobrze pamiętał, jak przez równy rok, odkąd kapitan wysadził ją na rodzinnej ziemi, cały dwór Włada Smoka wychodził z siebie, aby ją nakłonić do przychylności. Sam gospodar uczynił ją dwórką swojej żony, aby mieć ją na oku i podorędziu, lecz ona przez cały ten czas grzecznie, choć stanowczo odmawiała swych wdzięków każdemu, począwszy od księcia wojewody, a skończywszy na nim, Ionie. Zdesperowany poprosił ją nawet o rękę, co stanowiło nie lada zaszczyt dla dziewczyny niskiego stanu, skoro on był synem bojarzyna, na

niej wszakże nie uczyniło najmniejszego wrażenia. Potraktowała go tak samo jak wszystkich, czekając na jedyne go mężczyznę, który ją interesował. Czekając na jedną noc. Tę, która właśnie nadeszła.

Kiedy tak szli ramię przy ramieniu przez zamek, Ion uświadomił sobie dwie sprawy: że we wnętrzach, które powinny roić się od dworzan i żołnierzy, panuje pustka oraz że mężczyzna samotnie wyczekujący wiadomości na górze lekką ręką odrzuci to, za co inni daliby się pokroić. Ion bowiem nie kłamał, mówiąc, że jego przyjaciel się zmienił. I miał nadzieję, że kiedy również Ilona to zrozumie, kiedy minie jej ból spowodowany odrzuceniem, on znajdzie się przy niej, oferując pociechę. To napawało optymizmem, więc nawet przyspieszył kroku, chcąc popchnąć wypadki do przodu.

Tyle dobrego, że strażę wciąż pilnowały wejścia do komnaty Włada, aczkolwiek byli to raczej dwaj niezgrabni młodzicy, wciąż jeszcze z mlekiem pod nosem, którzy ledwie umieli prawidłowo skrzyżować halabardy, nie robiąc sobie krzywdy. Kiedy we dwóch wyłonili się zza węgła, rzucił uspokajająco:

- To tylko ja! - Nieudolnie kryjąc ulgę, gwardziści zrobili im przejście. Niedaleko jednego z nich stało krzesło. Ion podprowadził tam Ilonę, łagodnie zmusił ją, aby usiadła, mówiąc: - Zaczekaj tu na mnie. - Dla pewności przykazał strażnikom: - Macie jej nie spuszczać z oka. Energicznie zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili rozległo się stłumione chrząknięcie. Poczytując to za pozwolenie, Ion otworzył skrzydło i wstąpił do środka. W ostatniej chwili powstrzymał się przed starannym zamknięciem drzwi, celowo pozostawiając je uchylone.

Wład stał przy stole, przy którym spędził większość nocy, całym ciężarem ciała opierając się na pięściach ułożonych po dwu stronach rozłożonej mapy. Już dawno stracił czucie w miażdżonych wielką siłą knykciach, jednakże nie zmienił pozycji, składając to małe cierpienie, to wyrzeczenie w ofierze na równi z zanoszonymi modlitwami. Liczył, że wszystko razem spowoduje, iż z zarysowanych atramentem konturów jego dziedziny, z Wołoszczyzny rozpostartej na płask przed nim, powstanie jak najbardziej realna armia skupiona pod sztandarem Smoka. Niestety wciąż widział tylko jedno wojsko maszerujące na jego ziemię z zachodu, a zgrupowane pod przywództwem jego kuzyna, Władysława z Danowiczów, i co gorsza, powstałe z połączenia wrogich oddziałów z jego własnymi, wysłanymi w celu zatrzymania nieprzyjaciela i zmiecienia go w pył.

Dlaczego? Co takiego uczynił? W czym zawiódł? Przecież zaledwie dwa miesiące temu wkroczył na zamek w Tirgoviste pod powiewającą chorągwią opatrzoną wizerunkiem smoka, ani razu nie musząc dobyć Smoczego Szponu z pochwy. Jego lud wylęgał tłumnie na trakty, którymi przejeżdżał, aby witać go wiwatami. Bojarzynowie klękali przed nim pokornie w katedrze, przysięgając wierność. Nie został jednak koronowany. Ten uzurpator, Władysław Dan, wciąż pozostawał w posiadaniu korony, która z prawa i tradycji należała się władcy dziedziny ugro-wołoskiej. Wład nieomal czuł na skroniach ucisk wąskiego paska złota, który wszakże dopiero musiał dla siebie wywalczyć. Doradcy zapewniali go, że to tylko kwestia czasu. Najpotężniejszy z nich wszystkich, Albu cel Mare zwany Wielkim, przyrzekał, że dostarczy mu ją w ciągu miesiąca razem z głową znienawidzonego Danowicza. Dlatego właśnie Wład rozpuścił wolno tureckie wojsko, z którym dotarł aż pod Tirgoviste. Wołoski gospodar winien umieć radzić sobie w pojedynkę, bez pomocy niewiernych. Wierząc w zwycięstwo, został na zamku, aby planować dalsze kroki, zaś ku zachodnim przełęczom posłał Albu wraz z trzema czwartymi swojej armii. I to był jego największy błąd. Bo choć Władysław i jego protektor Jan Hunyady, wojewoda siedmiogrodzki, przegrali z Muradem starcie nad Żytnicą w Serbii już przed dwoma miesiącami, Wład po dziś dzień nie otrzymał wiadomości o śmierci żadnego z nich. Kazał wyruszyć Albu Wielkiemu z podległymi mu oddziałami, zanim doszły go słuchy, że Władysław i Hunyady wciąż żyją. A przecież na zachodnich krańcach jego dziedziny - w Hunedoarze - Hunyady miał swoją twierdzę. Tam zapewne się schronił - i tam Albu Wielki dołączył do niego i do Danowicza. Już nie jakiegoś tam uzurpatora ani nawet pretendenta do tronu, tylko króla pełną gębą. Chyba że Chyba że człowiek, którego kroki rozlegają się właśnie echem w pustym korytarzu, przynosi wieści będące odpowiedzią na jego modlitwy.

- Książę

Wład uniósł głowę, próbując dopatrzeć się swojej armii w twarzy przyjaciela, podobnie jak wcześniej usiłował ją znaleźć na karcie mapy. Raz jeszcze poniósł porażkę.

- Czy?

Ion pokręcił głową.

- Nic nowego.

- Słyszałem tętent konia. Ktoś przybył? A może raczej - jego głos obniżył się do szeptu - ktoś opuścił zamek?

- W rzeczy samej, zjawił się niespodziewany gość. Ona
- Ona? - wpadł mu w słowo Wład. - Kim jest ta kobieta?
- To Ilona.

Wład potarł oczy zmartwiałymi knykciami.

- Kto taki? - spytał ponownie.
- Odaliska

Wład przyjął do wiadomości tę krótką odpowiedź, opuścił wzrok na mapę i spoglądał na nią bezmyślnie przez dłuższą chwilę, po czym rzekł tylko:

- Ach tak

- Pragnie się z tobą zobaczyć - poinformował Ion. Nie doczekał się reakcji, poczuł za to, jak wzbiera w nim nadzieja. - Przyjechała od sióstr miłosierdzia w Rucarze, gdzie skryła się wraz z twoją macochą. - W dalszym ciągu napotykał obojętne milczenie. - Czy życzysz sobie, abym ją przyprowadził?

Wład usiadł zniechęcony, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zakrył twarz rękoma.

- Nie - szepnął zza zasłony palców. - Nie chcę widzieć nikogo z wyjątkiem posłańca z Nie chcę widzieć nikogo innego.

- Mój książę - Jej okrzyk dobiegł zza uchylonych drzwi, gdzie dwaj gwardziści bezskutecznie starali się odciągnąć kobietę od progu.

- Mówiłem wam, że macie jej pilnować i nie wpuszczać - rzekł rozgniewany Ion, podchodząc do drzwi z szeroko rozłożonymi ramionami. - Gospodar nie życzy sobie widzieć nikogo. Jeden ze strażników przekazał halabardę w ręce kompana, po czym objął w pasie wyrywającą się Ilonę. Kobieta wrzasnęła przeraźliwie, jakby ją kto hańbił, i wierzgnęła, wywołując pełen bólu krzyk żołnierza, który tylko ucapił ją mocniej.

- Zostawcie ją- rzekł zrezygnowany Wład, wstając.

- Ja się nią zajmę - zaferował się pośpiesznie Ion, wychodząc już prawie za drzwi. - Chodźmy stąd, Ilono

- Powiedziałem: zostawcie ją! - ryknął Wład. - Zostawcie nas

- Ależ książę - zaczął Ion i nie dokończył, gdyż skutecznie uniemożliwił mu to Wład, chwytając go za gardło.

Niższy i bardziej krępy z mężczyzn trzymał wyższego i smuklejszego w żelaznym uchwycie, każąc mu stać na czubkach palców, jeśli nie chciał stracić grdyki, w którą paznokcie wpijały się niczym naostrzone noże.

- Dopóki jestem tu hospodarem, nie zniosę nieposłuszeństwa - rzucił. -

Masz do wyboru: słuchać mnie albo opuścić, jak uczynili już inni. Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Wszelako jeżeli zostaniesz, wróc tylko w wypadku, gdy zjawi się posłaniec z zachodu bądź wróg stanie u moich bram.

Mówiąc ostatnie słowa, ugiął lekko kolana i z wielkim impetem cisnął Ionem w stronę zdumionych strażników. Ten, który przytrzymał Ilonę, momentalnie wypuścił ją z uścisku i po chwili trzej mężczyźni znaleźli się za zamkniętymi drzwiami.

Wówczas Wład podszedł do stołu i raz jeszcze zajął miejsce na krześle, by nieruchomo przyglądać się mapie. Ilona, która opadła na posadzkę jak szmaciana lalka, kiedy gwardzista zwolnił uchwyt mocarnych ramion, patrzyła na niego w milczeniu, nie umiejąc wydusić z siebie ani słowa. Wszystko, co miała mu do powiedzenia, uwięzło jej w gardle, gdy go zobaczyła. Ion mówił prawdę. Chociaż właściwie widziała go przedtem tylko raz - w adrianopolskim porcie tuż przed tym, zanim barka odbiła od brzegu - i ona teraz zauważyła, jak bardzo się zmienił. Ta jego postawa. Ta jego martwota. Zniknął gdzieś tamten młodzik czy też raczej ktoś sprawił, że młodzik musiał odejść, pozostawiając no właśnie: kogo lub co?

- Mój książę - wydukała w końcu.

Poderwał głowę, równocześnie unosząc dłoń, jakby chciał się od czegoś opędzić.

- Zapomniałem, że tutaj jesteś.

- W przeciwieństwie do mnie - odrzekła śmiało. - Odkąd ofiarowałeś mi możliwość wyboru w Adrianopolu, nie zapomniałam o tobie ani na moment.

Wstała i zaczęła się do niego zbliżać. Obserwował ją bez wyrazu w swych ogromnych zielonych oczach. Kiedy już znalazła się przy nim, zerknęła na mapę, pytając:

- Czy wszystko stracone?

Powiódł opuszką palca po obrzeżach swego królestwa.

- Tak - odparł cicho, po czym podniósł na nią wzrok. - Jesteś pierwszą osobą, przed którą to przyznałem. Włączając mnie. Dlaczego?

- Bo pewnie zdaje ci się, że jeśli przed kimś to przyznasz, włożysz broń w ręce potencjalnego wroga. A ja nie mam ani władzy, ani siły, więc jakkolwiek broń bym otrzymała, nie zrobię z niej żadnego użytku.

- Być może - zgodził się, ponownie zwieszając głowę. Nagle zapytał: - Znasz Albu Wielkiego?

Ilona wzdrygnęła się i choć nie mógł tego widzieć, skinęła potakująco. Z odrazą wspominała potężnego rozpustnika, który miesił palcami jej uda przy

wieczery odbywającej się u stołu Włada Smoka, mimo że własną małżonkę miał naprzeciwko siebie. Nim zdążyła coś powiedzieć, Drakula ciągnął grobowym głosem:

- Jestem niemal pewny, że był jednym z zabójców mego ojca i prowodyrem tych, co postanowili pochować mego starszego brata żywcem w miejscu, którego dotąd nie udało mi się odnaleźć.

- A mimo to powierzyłeś mu swoje wojsko?

- Nie miałem wyboru - wzruszył nieznacznie ramionami. - Bojarzynie sprzymierzają się z tym, od kogo mogą więcej uzyskać. Sądziłem, że moja oferta była nie do przebicia. Dlatego przyjąłem od niego pocałunek pokoju, chociaż policzek palił mnie, podobnie jak naszego Zbawiciela palił pocałunek wyciśnięty przez Judasza. - Uniósł dłoń, bezwiednie dotykając twarzy.

- Mówił to, co chciałem usłyszeć: że przyniesie mi odciętą głowę mego kuzyna zatkniętą na pal. - Zadrżał. - Głowa mego ojca spoczęła na jakiejś zapomnianej kupie gnoju, stając się pożywieniem dla psów. Psów takich jak Albu.

Zakrył twarz dłońmi. Po chwili Ilona przyłożyła swoje ręce do jego i jęła delikatnie rozsuwać na boki jego palce, odsłaniając czoło, do którego przytknęła opuszki palców, by zaraz zacząć zataczać nimi kręgi zahaczające o gęste czarne włosy. Poczawszy jej dotyk, wspomniał Tokat, wspomniał, jak do niego przychodziła w całkowitej ciemności, przynosząc chwilową ulgę wyobrażonej łagodności. W rzeczywistości dotykała go inaczej. Bynajmniej nie z łagodnością, jaką chciałby u niej widzieć, choć zarazem było to Nie myśląc wiele, pochwycił jej ruchliwą dłoń, pociągnął lekko, na co się pochyliła i strumień wody spłynął z jej głowy na jego pierś.

- Pani! - krzyknął, podrywając się z miejsca. - Jesteś cała mokra!

- Tak to już bywa, kiedy jedzie się wierzchem przez burzę.

- Trzeba ci znaleźć coś suchego do ubrania. Chodź ze mną Już odwracał się w stronę drzwi, kiedy położyła mu palec na ustach.

- Nie potrzebuję się przebierać, mój książę. Wystarczy, że zdejmę to, co mam na sobie.

Spojrzał wprost na nią i dziwne uczucie, którego doświadczył przed chwilą, powróciło ze zdwojoną siłą. Dysząc, napał wargami na opuszki jej palców, podczas gdy ona wodziła nimi z lewa na prawo i z powrotem, patrząc prowokująco. Złapał ją wpół i podniósł, podtrzymując rękoma pod kolana, ona zaś złapała go mocno za szyję.

- Tam jest kominek - rzekł. - Ogień powinien cię rozgrzać.

Zaśmiała się.

- Och, z pewnością, ale podejrzewam, że ty zrobisz to o wiele lepiej.

- Ile ty właściwie masz lat? - zapytał z uśmiechem, niosąc ją poprzez komnatę.

- Pytałeś już o to w Adrianopolu - odparła. - Dziś jestem o ponad rok starsza niż wtedy, zatem mam siedemnaście lat. Praktycznie jesteśmy rówieśnikami.

- Hm - Oczy mu pociemniały, gdy się nad czymś zastanawiał. - Jeśli jest, jak powiadają, i doświadczenie świadczy o ludzkim wieku, jestem starszy, niż wyglądam.

- W takim razie jest nas takich dwoje - odparła, sięgając do pasa u jego tuniki - ponieważ ja także jestem nad wiek doświadczona.

Oczy mu się rozszerzyły.

- W czym dokładnie?

Roześmiała się znowu.

- Och, tylko w pewnych sprawach tego świata - Jednakże nie w miłości, jeśli nie liczyć zajęć czysto teoretycznych. Uchroniłeś mnie od praktyki w łożu, wykradając mnie, pamiętasz? - Rozwiązała pas i rzuciła go na podłogę.

- A ty, mój książę?

W oczach Włada pojawił się ten sam mrok co przedtem, lecz zaraz przegnał go stamtąd uśmiech. Nawet po tak krótkim czasie wiedziała, że jego uśmiech to coś wyjątkowego, coś, na co z pewnością warto czekać.

- No cóż, może i masz rację, mówiąc, że stanowimy dobraną parę - rzekł wymijająco, ściągając jej z ramion przemoczoną na wylot podróżną pelerynę.

Chwilę później całował ją mocno, tak jak całują młodzi, złąknieni miłości mężczyźni. A ona - ona, którą nauczono, jak na tysiąc sposobów zadowolić sułtana! - zapomniała o niemal wszystkich naukach. Niemal wszystkich, gdyż w domu przy ulicy Rahiq przestrzeżono ją przed niecierpliwością młodych mężczyzn dążących do jak najszybszego spełnienia. Dowiedziała się, że wielu z nich później żałuje swego pośpiechu, a ona dostrzegła dość żalu w oczach swego księcia, by podejrzewać, że jeśli żalność powróci doń w innej postaci, natychmiast wywoła ponure myśli o niepomszczonej krzywdzie rodzinnej, o tronie, który odzyskał na tak krótko i zaraz znowu stracił. Dlatego musiała powstrzymać go wbrew niemu samemu, dając mu odrobinę ciepła i nadziei.

- Powoli, Władzie - szepnęła z wargami przy jego uchu. Kiedy poczuła, że na jej słowa sztywnieje, zastanowiła się, czy przypadkiem nie popełniła

błądu, zaraz jednak rozluźnił się w jej objęciach, tak że mogła wtulić się w niego głębiej. Nawet nań nie patrząc, wiedziała, że się do niej uśmiecha.

- Jak rozkażesz, moja gwiazdo

Posłuszny jej wysłowionym i niemym instrukcjom rozdziewał ją niesłuchanie powoli, pozwalając jej równocześnie zdejmować sztuki stroju z siebie i zaśmiewając się do wtóru, gdy mokra koszula oblepiła jej twarz, więząc ją na chwilę wbrew pragnieniu obojga. Lecz zanim uwolniła się z przesiąkniętej wodą materii, jego śmiech umilkł i kiedy znów mogła na niego spojrzeć, dzięki blaskowi kominka dostrzegła w jego oczach coś, czego nie widziała jeszcze nigdy w oczach żadnego mężczyzny. Nie było to pożądanie - to akurat widziała aż nazbyt często - a raczej pragnienie.

- Och, Ilono - powiedział, sięgając po nią.

Uprzedziła go, zmieniając pozycję błyskawicznie, tak że zanim zdążył cokolwiek uczynić, już napierała na jego męskość, przylegając całym ciałem do jego twardych mięśni zaprawionych w licznych ćwiczeniach. Sama także czuła, iż nie jest już dzieckiem, podrzutkiem wychowanym w domu rozkoszy i przeznaczonym na zabawkę sułtańskiego syna; była w pełni dojrzałą kobietą. I tacy się spotkali: twardość z miękkością, jedwab ze stalą. Wilgoć z suchością.

Oderwał się i wodził po niej ustami, zataczając coraz szersze kręgi ruchliwym koniuszkiem języka - wszędzie, po piersiach, po brzuchu, po wewnętrznej stronie ud. Tam na moment przerwał wędrówkę, oddychając ciężko i otwierając ze zdumienia oczy. Podniósłszy na nią wzrok, wyszeptał:

- Świątynia

- Twoja - odszepnęła.

Wtedy powrócił ustami do jej warg. Złączeni tylko pocałunkiem, lecz czując się całym ciałem, zmienili raz jeszcze pozycję, tak że teraz oplatała go nogami w pasie. Przeszedł parę chybotliwych kroków w stronę ściany nieopodal kominka, tam przycisnął jej plecy i pośladki do kobierca, po czym zadygotał jak sokół na niebie, który właśnie szykuje się do pikującego lotu w dół. Wyczuła to, sięgnęła dłonią, by go pochwycić i naprowadzić. A kiedy zagłębiał się w nią, zdecydowanie wolniej niż jakikolwiek łowczy ptak opadający ostrożnie za zdobyczą, sapnęła cicho z bólu i z rozkoszy, chłonąc to nowe dla niej doświadczenie zatapiania się w sobie nawzajem, unoszenia się w przestworzach. W końcu poczuła, że ma go w sobie całego, lecz mimo to naparła na niego biodrami, zachęcając, by rozparł ją jeszcze bardziej.

Trwali tak przez długą chwilę, w bezruchu, tylko patrząc sobie w oczy.

Wreszcie jęli się delikatnie poruszać, a kiedy już zaczęli, nie mogli przestać. Wszystko wokół nich straciło kontury, stało się jedną niewyraźną i nieistotną plamą, ich zaś opanowała jakaś gorączka nagląca do jeszcze gwałtowniejszych pchnięć i wicia się. Czegokolwiek ją kiedyś nauczono, w tej jednej chwili zapomniała. Znienacka oderwał się z nią od ściany, postąpił krok w tył, tak że musiała uczeplić się jego szyi. Przeszedł tyłem do stołu i tam położył ją na wznak, nakrywając swoim ciałem. Trzymała go kurczowo za głowę, gdy odchyłał się, aby polizać jej sutki, nie przestając kręcić w niej biodrami. Wcześniej wielokrotnie o tym marzył, lecz nigdy nawet nie przypuszczał, że rzeczywistość przejdzie jego najśmielsze oczekiwania. Chociaż był całkowicie pogrążony w akcie miłości, jakąś częścią umysłu nie wierzył, iż jest w ogóle zdolny do takiego poddania swego ciała innej osobie. Z tego dziwnego stanu zawieszenia pomiędzy tu i teraz a wyobraźnią wyrwał go jej nagły ruch. Zrzuciła biodrami, wywołując okrzyk rozczarowania i bólu, po czym zorientował się, że jest już poza nią, ona zaś wyślizguje się spod niego i opiera pełne piersi o zmiętą mapę. Obejrzała się przez ramię i z uśmiechem zaprosiła:

- No, dalej

A on nagle przeniósł się w czasie i przestrzeni. Nieproszony umysł przywołał inne wspomnienie, dotyk kogoś innego, całkiem odmienną postać nachylającą się tak jak teraz ona. Płomienie na kominku poruszyły się, rzucając ich złączony cień na ścianę. Na płótno, nie na mury okryte kobiercem.

Spodziewała się wdzięczności i zachwytu w jego oczach. Zamiast nich dostrzegła coś innego - tę samą ciemność, która brała go w posiadanie wcześniej, tyle że dwakroć mroczniejszą. Na uderzenie serca przed tym, zanim czerń pochłonęła go całkowicie, odwróciła się, położyła znów na wznak i przyciągając go do siebie jedną ręką, drugą już wprowadzała do śliskiego wnętrza.

- Teraz, Władzie - szeptała, gryząc go w płatek ucha. - Teraz

Ciemność się rozproszyła. Przedtem były takie chwile, w których miała pewność, że jej słucha i pragnie się o nią troszczyć. Teraz nie chciała niczego podobnego. On również nie chciał.

19. UCIEKINIER

To co nastąpiło później, niewiele się rozminęło z jej obawami.

Kiedy zgrzani legli na kobiercach zaścielających posadzkę przed paleniskiem, a stanowiących misternie tkane rękodzieło mieszkańców doliny Aluty o kwietnym motywie tak realistycznym, że mogło im się zdawać, iż są nad brzegiem rzeki późną wiosną, nie zaś w murach ogrzewanych pośród zimy gasnącym ogniem na kominku, z każdą chwilą czuła mocniej, jak mężczyzna, do którego się tuli, zmienia się, na powrót przybierając oschłą postawę i napinając mięśnie pod jej dotykiem. Domyślała się, że Wład zbiera się w sobie, aby ją odtrącić i wstać, dlatego przywarła doń całym ciałem.

- Mój książę - szepnęła. - Co teraz uczynisz?

- Włożę zbroję. Zwołam tych, którzy pozostali mi wierni. Zginę z ojcowskim mieczem w dłoni. - Głos miał zimny niemal tak samo jak skórę, kiedy ponownie próbował oswobodzić się z jej objęć i powstać na nogi. Ona jednak znowu mu nie pozwoliła.

- Nie ma innego wyjścia? - zapytała.

- Jeśli nawet jest, ja go nie widzę. Nie mam zamiaru uciec pod opiekę Turków po to tylko, żeby zobaczyć Mehmeda przebijającego w łupach wojennych znad Żytnicy i obłapiającego mojego młodszego brata - urwał w pół zdania, wyszarpnął się z jej objęć, owinął ciasno peleryną i opadł na krzesło za stołem.

Ilona sięgnęła po leżącą najbliżej męską tunikę, włożyła ją przez głowę, z przyjemnością wdychając utrzymujący się wciąż zapach kochanka. Podeszła do niego i odgarnąwszy mu z karku długie włosy, przyłożyła obie dłonie do krępej szyi.

- A nie mógłbyś zawrzeć z Władysławem pokoju? - poddała. - Przecież jesteście rodziną.

- Zaledwie dalekimi kuzynami. A ród Danowiczów od wieków nienawidzi nas, Drakulów, podobnie jak my nienawidzimy ich. - Złapał podłokietniki i zacisnął na nich palce, aż pobieleły mu knykcie.

- Tylko jeden z nas może zasiąść na tronie.

Ilonę zalała mieszanina gniewu i smutku.

- Tron nie jest wart, byś poświęcił za niego swoje życie.

- To moja ojcowizna, a Władysław chce mi ją odebrać. Aby to zrobić,

będzie musiał mnie zabić, chyba że chyba że mnie uda się posłać go do piekła pierwszego.

- Mój książę - Obeszła go dokoła i uklękła przed nim, by móc patrzeć mu prosto w oczy. Mimo to nadal unikał jej spojrzenia.

- Nie możesz liczyć na łut szczęścia. Władysława popiera Biały Rycerz, za którym stoi wielka armia. Zresztą nawet bez pomocy Hunyadyego miałby dość swoich wojsk, aby ci się przeciwstawić, zwłaszcza odkąd część twoich ludzi pod wodzą Albu Wielkiego przeszła na jego stronę. Należy się spodziewać, że prędzej czy później inni bojarzynowie także to zrobią

- Oczywiście, że tak. Oni wszyscy to zwykłe szakale w wiecznej pogoni za dogorywającą zwierzyną.

- Zatem nie zwycięstwa szukasz, tylko męczeństwa - zauważyła. Zgromił ją wzrokiem.

- Podważasz moje zdanie, kobieto?

- Wybacz mi, mój książę - spuściła skromnie oczy, lecz ton jej głosu nie uległ zmianie. - Zastanów się jednak, czy kiedy zaczną po twojej śmierci opowiadać o tobie legendy, masz być przedstawiany jako ostatni osioł czy jako niepokonany lew? - Nie odważyła się na niego spojrzeć, zwłaszcza że wciągnął ze świstem powietrze, szykując się do tyrady. Kontynuowała więc, póki mogła: - Lew schroniłby się na uboczu, wylizał rany, odzyskał pełnię sił, zczekał, aż szakale zajmą się ścierwem kogo innego, i wtedy uderzył.

Posunęła się za daleko. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy nad sobą usłyszała charczące dźwięki dobywające się ze ściśniętego gardła. Spodziewała się wybuchu niekontrolowanej wściekłości, lecz nagle uświadomiła sobie swoją pomyłkę. Charkot przeszedł w bardziej ludzkie i nie całkiem jej obce odgłosy. Uniósłszy wzrok, przekonała się, że Wład śmieje się - rysy jego twarzy układały się przy tym w niezwykłe dla niego linie.

- No, no, blasku mojej nocy - rzekł, drżąc od śmiechu. - Coś mi mówi, że to nie ciebie uratowałem, tylko Mehmeda. Któż to widział tak mówić do księcia? Osioł albo lew, co? Dobre sobie! - Zerwał się z siedziska, przytknął palec do mapy. - Tutaj, na północnym wschodzie, w Mołdawii, gdzie spodziewa się panować mój wuj, Bogdan II Tutaj mógłbym się schronić, czekając, aż ujadające szakale rzucą się znów na siebie.

Ledwie skończył mówić, na dziedzińcu poniżej rozległ się klekot końskich podków. Wład w okamgnieniu znalazł się obok kominka, sięgnął po oparty o ścianę miecz.

- Jeżeli to jeden z polujących na mnie szakali, zginę jak mężczyzna, ze

Smoczym Szponem w rękę - rzekł na poły do Ilony, na poły do siebie, kładąc broń na podorędziu. - Jeżeli zaś przybywa mój posłaniec z potwierdzeniem tego, co od dawna podejrzewam, udam się na dwór mego wuja i tam będę wyczekiwał swej drugiej szansy.

Nie oddalając się od miecza, jął ubierać się pośpiesznie, gestem nakazując Ilonie, aby uczyniła to samo. Kiedy chciała zdjąć z siebie tunikę, powstrzymał ją.

- Bezpieczniej dla ciebie będzie wyglądać jak mężczyzna - powiedział i dodał: - Dzisiejszego wieczora uratowała cię tylko potężna burza i opieka świętego Krzysztofa. - Z gołą piersią podszedł do skrzyni, otworzył wieko i wskazując wewnątrz, dorzucił: - Możesz przebierać pośród moich innych ubrań.

Odziali się równie szparko, jak przedtem zrzucali w gorączce swe szaty. Właśnie zaciągali rzemyki u butów, kiedy ich uszu doszedł tupot na korytarzu i chwilę później łomot do drzwi.

- Stań za mną - polecił szeptem Wład, dobywając miecz z pochwy, natomiast w stronę wejścia krzyknął: - Do mnie!

Ion wpadł do środka i skamieniał na widok ich dwojga razem.

- Czy to moi wrogowie? - ponaglił go Wład.

- Nie, książę. To posłaniec, jeden z ostatnich, którzy pozostali tobie wierni. Przyniósł wiadomość, że Albu cel Mare przyłączył się do rodu Danowiczów i że ich wspólne siły już maszerują w stronę Tirgoviste. Staną u bram przed świtem.

- A więc jednak.

Ion popatrzył na Włada, potem przeniósł spojrzenie na kobietę, którą obaj darzyli miłością. Spostrzegł, że wyglądają i zachowują się inaczej, niż kiedy widział ich razem w Adrianopolu i minionego wieczoru. Stali blisko siebie i chociaż ich ciała nie stykały się ze sobą, poznać było, iż już nigdy nie będą oddzielne. Zaczerpnął tchu i skinął głową.

- Będziemy walczyć? - zapytał.

- Ty i ja przeciwko całej armii?

- Czekałaby nas bohaterska śmierć

- Nie - zaprzeczył Wład i spoglądając na Ilonę, dodał: - Tak giną tylko osły. - Poprowadził ją przodem w stronę drzwi. - Gdybym dzisiaj zginął, historię napisaliby moi wrogowie, a oni z pewnością nie przedstawiliby mnie jako bohatera. - Zatrzymał się i uważnie przyjrzał przyjacielowi. - Zawiedziesz Ilonę z powrotem do klasztoru, oddasz pod opiekę mojej

macochy, a potem podążysz za mną?

- Dokąd?

- Do mego wuja w Mołdawii. Ion wzruszył ramionami.

- Książę, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Wład potrząsnął głową.

- Nim wstanie świt, przestanę być księciem, zamieniając się w zwykłego uciekiniera. - Uniósł rękę i dotknął szyi przyjaciela w miejscu, gdzie wcześniej jego palce pozostawiły siny ślad. - Niewykluczone, że skończę w jakimś zaułku zadźgany przez najętego mordercę. Dlatego nie mogę ci rozkazywać, Ion. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Mogę cię jedynie prosić.

Ion nakrył dłonią rękę Włada, po czym odjął ją od swojej szyi, obniżył i zamknął w uścisku.

- Jestem po twojej stronie, jak zawsze.

- To dobrze. - Wład odwzajemnił krótko uścisk, po czym wsunął w rękę przyjaciela dłoń Ilony.

- A teraz już ruszajcie w drogę.

- Zaczekajcie! - zawołała Ilona, ociągając się z odejściem. Wyrwała się Ionowi i popatrzyła wprost na Włada. - Czy nie chcesz, abym udała się z tobą, dlatego że jestem słabą niewiastą?

- Nie - odparł, spoglądając na nią z uczuciem. - Powód jest całkiem inny. Kocham cię i moi wrogowie dowiedzą się o tym wcześniej czy później. Będą starali się mnie dopaść, krzywdząc cię. Zginąłbym w jakimś zaułku albo zajeździe, próbując im się przeciwstawić w twojej obronie. Na razie potrafię zadbać wyłącznie o siebie.

- W takim razie - powiedziała, odstępując o krok - pojedę do klasztoru i co dzień będę się modliła o twój rychły powrót.

Pochwycił jej dłoń w chwili, kiedy się obracała do odejścia.

- Nie czekaj na mnie, Ilono. Jeśli nawet przeżyję, powrócę dopiero, gdy będę dość silny, aby odzyskać tron i utrzymać go. - Ścisnął jej palce. - To może mi zabrać całe lata.

- Zatem będę czekała na ciebie latami - zapewniła, uśmiechając się łagodnie. - Służenie niewieście, która przebywa w murach klasztoru, ma parę dobrych stron. - Powiodła wzrokiem od jednego wpatzonego w nią mężczyzny do drugiego. - Najważniejsza jest taka, że nie trzeba opierać się pokusie. - Uniosła jego dłoń do ust, złożyła na niej pocałunek, po czym bez słowa przekroczyła próg.

- Pilnuj jej dobrze, Ion - poprosił przyjaciela Wład. - A kiedy już zatrzaśnie się za nią klasztorna furta, odnajdź mnie na dworze mego wuja

albo jeszcze wcześniej, w drodze do Mołdawii.

- Będzie, jak każesz, książę.

Podczas gdy kroki Iona cichły na korytarzu, Wład zbierał swoje rzeczy, by następnie owinąć je jednym z mniejszych kobierców w zgrabny tobolek podróżny. Potem narzucił na ramiona pelerynę, ujął w wolną dłoń miecz i podążył śladem kochanki i przyjaciela, odnotowując po drodze, że jego ostatni wierni słudzy, dwaj młodzi gwardziści, zniknęli jak sen złoty. Przystanąwszy w cieniu portyku, patrzył, jak Ion i Ilona dosiadają wierzchowców i wyjeżdżają przez bramę. Później sam poszedł ku stajniom.

W jednym z boksów stała Kalafat o lśniącej sierści i napchanych obrokiem bokach. Z radości na jego widok poderwała do góry łeb. Tylko o nią poprosił Murada, nie licząc oddziału mającego mu pomóc odzyskać panowanie nad Wołoszczyzną. Wygłaskał jej jedwabistą grzywę, po czym sam ją osiodłał, ostrożnie zaciskając popręgi. Sądził, iż wszyscy stajenni również go opuścili, jednakże z mroku stajni wyłoniło się dziesięcioletnie może chłopię ze łzami w oczach i jakimś rulonem pod pachą.

- Tamten mężczyzna kazał ci to dać, panie - powiedział, zanim cisnął we Włada rulonem i zbiegł w mrok nocy.

Kiedy Wład uniósł skraj ciemnej materii, błysnęła srebrem nić wyszyta w kształt smoczego pazura. Natychmiast rozpoznał sztandar swego ojca - teraz jego sztandar, który powiewał nad zamkiem przez niespełna dwa miesiące. Wład uklęknął i tam, na słomie, złożył przysięgę.

- Na Boga Wszchemogącego, którego czczę jako prawy chrześcijanin. Na mego ojca, którego kochał i podziwiał za życia, a który poprzez swoją męczeńską śmierć zasłużył na mój jeszcze większy szacunek. Na Wołoszczyznę, mój kraj, który zasługuje na coś lepszego niż rządy skłóconych szakali, wrywających sobie ochłapy rzucane im przez Turków i Węgrów. Na to wszystko i na krew Drakulów przysięgam, że powrócę tutaj w chwale.

Gdy ostatnie słowa wciąż jeszcze wisiały w powietrzu, Wład jednym skokiem dosiadał wierzchowca. Turkmeńska klacz posłuchała wydanego szeptem polecenia i bez oporów wyszła wprost w ciemną zimową, przejmująco chłodną, wietrzną i zlaną deszczem noc, zabierając jeźdźca ku nieznanemu przeznaczeniu.

CZEŚĆ II

PALOWNIK

Ponieważ ludzie kochają, gdy im się podoba, a boją się, gdy podoba się księciu, przeto mądry książę powinien oprzeć się na tym, co od niego zależy, a nie na tym, co zależy od innych.

Niccoló Machiavelli, Książę

20. DZIKIE LATA

Twierdza Poenari, 1481 rok

W wielkiej sali zamku najczęściej rozbrzmiewał ostatnio głos kobiety. Pomimo jej niemłodego przecież wieku nadal uwodził, tak że to, co w przeszłości doprowadzało do zguby możnych i księżęta, przydawało opowiadanej historii hipnotycznego uroku. Pióra skrybów skrzypiały, przelewając na pergamin suche słowa, jednakże opowieść rozwijała się barwnie w umyśle słuchających. Każdy z nich prokurował własną, nieznacznie odmienną od innych wersję wydarzeń, dokładnie taką, jaka służyłaby dobrze jego potrzebom.

Wszystkich więc zadziwiło, gdy gadatliwej ksieni, przywołującej miłe wspomnienia, zniecka przerwał pustelnik, dotychczas milczący i raczej niechętny zeznaniom. Uczynił to, kiedy się okazało, że żadne z dwojga najbliższych przyjaciół Włada nie ma pojęcia o szczegółach jego pobytu w twierdzy Tokat. Mogli się tylko domyślać z cienia w jego spojrzeniu strasznych przeżyć, których tam doświadczył, lecz nie byli zdolni ich sobie wyobrazić - aż do teraz. Łzy ciekły obojgu po policzkach, w miarę jak spowiednik Drakuli zdradzał tajemnice konfesjonału. Sędziowie sumiennie chłonęli opowieść i choć dostosowywali ją przy tym do swoich pragnień, żaden nie zapomniał, w jakim celu jej słucha. Kiedy więc wątek się urwał i dobiegło końca pierwsze, krótkie panowanie Drakuli, każdy z nich rozprostował zdrętwiałe kończyny, przypominając sobie, gdzie się znajduje.

Ion właśnie odtworzył z pamięci słowa przysięgi złożonej przez przyjaciela. Odczytując to jako koniec pewnego rozdziału, Horvathy podniósł się i ruszył w stronę stołu z jadłem. Za nim podążył kardynał, stękając przy każdym ruchu wywołującym trzaskanie stawów i ból w opuchniętych kostkach. Petru dał znak swemu podwładnemu, aby zaniósł do konfesjonałów kolejną porcję wody i chleba, i dołączył do dwóch dostojników.

- Czy to wszystko prawda? - wypalił.

Horvathy obrócił się ku niemu i z pełnymi ustami zapytał:

- Co w szczególności masz na myśli, spatarze? Petru z irytacją machnął ręką w stronę słuchalnic.

- To, że Drakula zyskał władzę z łaski niewiernych. I to jeszcze, że rządził, lecz nie mordował Hrabia chrząknął powątpiewająco.

- Za pierwszym razem panował przez tylko dwa miesiące - zauważył. - Trudno w tym czasie zorganizować masakrę.

- No dobrze, ale czy panował z nadania tureckiego?

- Młody człowieku, wszyscy jesteśmy w jakiś sposób uzależnieni od Turcji - rzekł kardynał Grimani, upiwszy wina. Teraz smakowało mu bardziej niż z początku. Nie miało oczywiście jedwabistego posmaku, do jakiego został przyzwyczajony w rodzinnych stronach, lecz ta jego surowość dziwnie dobrze konweniowała ze scenerią i toczoną opowieścią, która, musiał to przyznać, zaczęła go prawdziwie wciągać. - Jakież to były słowa hierarchów greckiego Kościoła wypowiedziane w Konstantynopolu, zanim ostatecznie upadł? „Raczej turban w kościele Mądrości Bożej aniżeli mitra ? - Przejechał językiem po wargach. - Cóż, wykrakali sobie, gdyż to co niegdyś było najwspanialszą katedrą w chrześcijańskim świecie, zamieniono w meczet zwany nawet inaczej: Aja Sofia. - Westchnął przeciągle.

- Problem z nami, chrześcijanami, jest taki, że nienawidzimy siebie nawzajem co najmniej równie mocno, jak nienawidzimy niewiernych. Jest prawdą to, co Wład ponoć rzekł, szykując się do walki z islamskim księciem: że naprawdę rzadko stajemy ramię w ramię, aby bronić wspólnej sprawy, a wtedy nie ma na nas mocnych i zdobywamy Jeruzalem, co niestety trwa zbyt krótko, abyśmy mogli je utrzymać. - Przerwał, znowu upił łyk, oblizał usta i kontynuował:

- A żeby się zjednoczyć, zawsze potrzebujemy nadzwyczajnego bodźca.

Janos Horvathy uważnie słuchał słów kardynała, doszukując się w nich nadziei dla Zakonu Smoka i dla swojej nieśmiertelnej duszy.

To dlatego się tutaj znalazł - aby przekonać tego opasłego mężczyznę, który z kolei był władny przekonać papieża.

- Na przykład sztandaru Smoka, eminencjo? - podsunął, wstrzymując oddech i mimowolnie nachylając się ku hierarsze.

Grimani powoli uniósł na niego wzrok, lecz nie zdążył nic powiedzieć, gdyż do rozmowy włączył się znowu Petru. Żując wciąż kielbasę, sarknął:

- Ale w jaki sposób Drakula z kukielki, tureckiego katamity - wypluł to słowo razem z drobinkami jedzenia - przeistoczył się w legendarnego Palownika?

- Gdybyś mniej mówił, a więcej słuchał, spatarze - odparł na to rozwścieczony do granic Horvathy - z pewnością już byśmy się dowiedzieli.

- Zrobił pauzę, dając kardynałowi dojść do słowa, ten jednak nie skorzystał z okazji, napychając się dalej kozim serem. Westchnąwszy, hrabia kontynuował więc: - Zanim znów dopuścimy do głosu naszych świadków, osobiście podyktuję parę faktów do protokołu, gdyż nie uśmiecha mi się przerabianie dzień po dniu każdego roku, który Drakula spędził w dziczy. - Opróżnił kielich, odstawił z hukiem na stół i skierował się ku podwyższeniu.

Kardynał poczłapał za nim, drapiąc się po głowie.

- W dziczy? Sądziłem, że zbiegł do zamku swego wuja? Horvathy zasiadł na swoim miejscu i podnosząc głos, oznajmił:

- Dla potomnych należy odnotować - gęsie pióra jęły skrobać po pergaminie - że księżę Bogdan z Mołdawii został zamordowany przez swego brata trzy lata po tym, jak Wład poszukał schronienia na jego dworze. Wówczas, a był to rok Pański tysiąc czterysta pięćdziesiąty pierwszy, Wład musiał ponownie salwować się ucieczką, tym razem mając za towarzysza niedoli swego kuzyna, syna Bogdana imieniem Stefan.

Spatar uśmiechnął się. Nareszcie niezbity fakt i postać bez skazy.

- Stefan cel Mare - powtórzył ciszej i odwracając się do kardynała, przetłumaczył: - „Cel Mare znaczy: Wielki, eminencjo. I zaiste taki jest. Młot na niewiernych. Największy ze współczesnych chrześcijańskich książąt.

- Czyżby? - Hrabia nie zgadzał się z opinią młodszego mężczyzny. - A może tylko kolejny pragmatyk? Przecież i on nie oparł się knowaniom z Turkami, kiedy chciał ukraść ziemie współbraciom w wierze. Zdarzyło mi się walczyć u jego boku i przeciwko niemu, a nawet - wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej w pięćdziesiątym pierwszym był tylko jednym więcej pretendentem z pełną kieszą, który jak zbawienia wyczekiwał kogoś, kto pomógłby mu powrócić do rodzinnej Mołdawii. Zupełnie jak Wład Drakula, którego nieodłącznym kompanem był podówczas człowiek siedzący przed nami - powiódł spojrzeniem ku konfesjonałowi skrywającemu Iona Tremblaca, po czym podniósł znowu głos na użytek skrybów: - Uciekinierzy wędrowali na przełaj przez kraj, pogrążeni w rozpacz i bez grosza przy duszy, broniąc się nawzajem przed podstępny atakiem zamaskowanego skrytobójcy. Z pewnością wtedy posiadli sztukę spania z jednym oknem otwartym. Petru poprawił się na krześle i wtrącił:

- Ale przecie w końcu wrócił i objął tron, jak ślubował.

- To prawda - przytaknął hrabia. - W dodatku w ciągu tych paru lat posiadał wiedzę, jak utrzymać się na zdobytym siłą tronie.

- Mianowicie?

Horvathy przyjrzał się spatarowi.

- Czy naprawdę muszę przypominać, co się wydarzyło w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym czwartym?

Gospodarz twierdzy Poenari nie mógł nie wyczuć sarkazmu w jego głosie.

- Nie, mości hrabio. Wszyscy jak tutaj siedzimy, wiemy, że wtedy upadł Konstantynopol - zrewanżował się sucho.

- Brawo! Murad już dawno nie żył, pożegnawszy się z życiem w czasie jednej ze swych zakrapianych winem uczt jak powiadają niektórzy, dotknęła go Boża sprawiedliwość, gdy za swoje grzechy padł rażony apopleksją. Sułtanem był znów jego syn, Mehmed. Nareszcie mógł rozsiać się na odzyskanym tronie wygodnie i wprowadzać w życie swoje marzenia o zostaniu drugim Aleksandrem, nowym Cezarem. Przygotowywał się nadzwyczaj długo i starannie, gromadząc olbrzymią armię, wzywając na dwór najsłynniejszego puszkarza, aby zbudował nie mające sobie równych działo

- Ów puszkarz był, zdaje się, Węgrem, mam rację, mości hrabio? - wtrącił cicho kardynał.

- Tak - potwierdził bynajmniej niezmiyszany Horvathy. - A działo zostało odlane przez Niemców tu niedaleko, w Sybinie, podczas gdy Serbowie wysyłali oddziały górników mające za zadanie przekopać się pod murami Konstantynopola, które równocześnie były pod ciągłym ostrzałem Wołochów, jak w transie uderzających taranami do wtóru swoich bębnow, a papież nie posłał oblężonemu miastu na pomoc ani jednego statku, ani jednego żołnierza. Jakie więc znaczenie miała narodowość puszkarza?

- Żadnego - przyznał kardynał z uśmiechem, rozpierając się wygodniej na krześle, po czym zachęcił: - Ależ proszę, mości hrabio Kontynuuj swe arcyciekawe podsumowanie. Horvathy zazgrzytał zębami, mimo to podjął:

- Nie zostało wiele do opowiedzenia. Mehmed poddał legendarne miasto oblężeniu, w końcu przebił grube mury za pomocą kul armatnich, najechał je i splądrował. Rzym Wschodu upadł ostatecznie. A do chrześcijańskich władców, którzy wykręcali sobie palce, pod warunkiem że akurat nie siedzieli ze związanymi rękoma, dotarło, że islamski Aleksander, muzułmański Cezar nie poprzestanie na jednym mieście, jakkolwiek wspaniałe by ono było. Sułtanowi zamarzył się podbój całego świata. Stało się jasne, że jeżeli nie zostaną odłożone na bok kłótnie, że jeżeli nie zostaną zwarte szeregi, zwycięski muzułmanin podbije ich wszystkich po kolei. -

Zwilżył językiem wysuszone wargi. - Nadszedł czas, aby wszyscy ci, którzy szczerze nienawidzili Turków, zjednoczyli się pod wspólnym sztandarem.

Petru pochylił się do przodu, z podnieceniem spoglądając na mówiącego.

- A nikt nie nienawidził Mehmeda bardziej niż Wład Drakula.

- Otóż to. W dodatku zaistniała szansa na przymierze Drakuli z Białym Rycerzem, jako że Władysław Danowicz, który najpierw skradł mu wołoską koronę, teraz paktował z niewiernymi, zdradzając sojusz z Hunyadym. Biały Rycerz potrzebował nowego sojusznika. Potrzebował Włada Drakuli.

- Ale ale - zająknął się spatar - Hunyady był mordercą Włada Smoka i Mirczy.

- Z całą pewnością.

- Muszę stwierdzić - wtrącił znowu kardynał - że wy tutaj, na Bałkanach, bardzoście giętycy w kwestii lojalności, w czym zdajecie się podobni do sądów ferujących wyroki we Włoszech. Horvathy zignorował tę dwuznaczną uwagę.

- Wład Drakula poprzysiągł zemstę Turkom i ślubował wieczne przymierze z Janem Hunyadym oraz moim panem lennym, suwerenem Węgier określanym mianem przedmurza chrześcijaństwa. Mając takich popleczników, bogatych w złoto i wojsko, już dwa lata później Wład był zdolny do zdjęcia korony ze skroni uzurpatora. Zwłaszcza że by użyć malowniczej metafory tutaj przytoczonej wołoskie szakale były się o nędzne resztki ze stołu wielkich książąt. Nie będę wdawał się w szczegóły, których rzecz jasna dokładnie nie znam. Po prostu chciałem nam wszystkim oszczędzić powtarzania tego, co jest powszechnie wiadome. - Pochylił się do przodu, ku słuchalnicom, i powiódł wzrokiem od jednej przez drugą do trzeciej, pytając: - Kto z was opowie nam o wydarzeniach roku Pańskiego tysiąc czterysta pięćdziesiątego szóstego? Skrybowie wywiązywali się ze swego zadania znakomicie. Zapisywali tylko te słowa Horvathyego, które przeznaczone były dla potomności, kierując się raczej własnym wyczuciem aniżeli podniesionym głosem hrabi. Kiedy padło jego ostatnie pytanie, zanotowali je skrzątnie, po czym odłożyli pióro zabarwione niebieskim atramentem, czekając, aż któryś ze świadków odezwie się, by po głosie poznać, w którym kałamarzu zanurzyć dutkę.

Aż do tej chwili cała trójka przesłuchiwanym pożywiała się, gasiła pragnienie, odpoczywała i zbierała siły na ciąg dalszy. Nie było łatwo odtwarzać w pamięci wydarzenia, które z trudem przyszło im przeżyć w przeszłości. Chociaż wszyscy wiedzieli, że w miarę rozwoju historii będzie

coraz ciężej, każde z nich na swój sposób było gotowe zmierzyć się z bólem. Wirujący wciąż umysł Iona zatrzymał się na roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym szóstym. To był jego czas. Ich czas! Dokonali wtedy z Władem rzeczy, o jakich wcześniej, w dzikich latach, mogli tylko snuć plany. Obaj mieli wtedy po ćwierć wieku i ciała stwardniałe wskutek młodzieńczych ćwiczeń i późniejszej tułaczki. Dlatego usłyszawszy pytanie, nachylił się ochoczo w przód, przywołując w pamięci pewien lipcowy dzień, w którym po raz pierwszy stanął na polu bitwy. I w którym na wołoskim niebie pojawiła się kometa.

- Ja opowiem - wyszeptał. - Ja

Na pergamin popłynęły czarne znaczki liter.

21. KOMETA

Lipiec 1456 roku, osiem lat od początku wygnania Drakuli

Wład dostrzegł słaby punkt, którego szukał w stojącym przed nim mężczyźnie, w jego zbroi. Opadłszy nagle na lewe kolano, przygiął trzymającą sztylet rękę przeciwnika do ziemi, powodując, że mężczyzna zachwiał się na niewystarczająco szeroko rozstawionych nogach, po czym niemal równocześnie wyrzucił własną dłoń do góry, kierując swoją broń ku miejscu, które wypatrzył. Czubek noża wślizgnął się w szczelinę pomiędzy poluzowanymi kółkami plecionki kolczej chroniącej gardło. Nadwerżony splot puścił pod ostrzem z hartowanej stali. Ciało okazało się jeszcze mniej wytrzymałe.

Mężczyzna próbował wydać z siebie krzyk, ale głos zginął pośród bulgotu krwi. Powstając z półprzykłąku, Wład przytrzymał osuwające się ciało, mając twarz tak blisko ofiary, że wyraźnie widział w oczach prerażenie przez wąską szparę misiurki. Bardzo szybko jednak przeniósł wzrok dalej, obracając ciałem to w tę, to w tamtą stronę, używając go jak osłony przed napierającymi wrogami. Nauczono go, że w krótkich chwilach tryumfu, gdy świętuje się własne małe zwycięstwo, najłatwiej jest polec, utraciwszy czujność. Jako że była to jego pierwsza poważna bitwa, nie zamierzał ani umierać, ani podważać przekazanych mu nauk.

Wychyliwszy się zza całkiem zwiotczałego już ciała, dojrzał, iż kompani pokonanego dają tyły. Zadziałali jak jeden organizm, jak sznur gęsi w okamgnieniu zmieniający kierunek lotu. Nikt nie dał sygnału do odwrotu; wszyscy naraz pojęli, odwrócili się i zaczęli uciekać. Ponownie zerknął w szparę na oczy, z których wyciekło życie. Ciało zaciążyło mu w rękach swoją bezwładnością. Wład odrzucił je precz, odstąpił o krok, wciąż trzymając odsłonięty sztylet na wysokości piersi, chociaż nie było już po temu potrzeby. Nieprzyjaciel oddalał się tłumnie, podążając w dół łagodnego zbocza, przeskakując lub depcząc zabitych, którzy masowo wypełnili nieckę w kształcie płytkiej czary w trakcie trzygodzinnej walki, i oddalając się ku bardzo podobnemu wzniesieniu. Wład śledził zamglonym wzrokiem ten exodus, przekonując się, iż najsmiglejsi pokonali dystans w ciągu zaledwie

czterdziestu uderzeń serca.

Nie tylko krew zalewająca mu oczy utrudniała obserwację. Wokół szarzało; coraz trudniej było rozróżnić poszczególne sylwetki pomykające przez dolinę. Mimo to spróbował przebić ćmę spojrzeniem. Skierował je na północny wschód i zobaczył to co wszyscy. Przez krwistoczerwone niebo, zabarwione tak od łuny zbliżającego się do horyzontu słońca, zda się, że tuż przy ziemi, mknęła kometa o podwójnym ogonie. Wyglądała tak samo jak wówczas, gdy po raz pierwszy zapuścił się ze swymi ludźmi w przełęcz Siedmiogrodu. Prości żołnierze okrzyknęli ją znakiem Smoka, świadczącym, iż sprawa, za którą walczy, ma przychylność niebios. Wszelako Wład wiedział, iż jego kuzyn, Władysław z Danowiczów, kryjący się pośród swojej armii na przyległym wzgórzu, myśli dokładnie to samo. - Książę?

Wład obrócił się w stronę, skąd dochodził głos. Zgrupowani za nim stali jego najbliżsi towarzysze: Czarny Ilie - słusznej postury Siedmiogrodzianin najęty za czasów wygnania na jego witezia, choć odbierający żołąd w napitku i jadle, a i to nie zawsze; Szczerbaty Gregor - teraz o twarzy pomazanej krwią, swoją albo cudzą, lecz jak zwykle przeciętej trwałą szczeliną szczerbatego uśmiechu; wreszcie Milczący Stoica - osobisty sługa Włada, niemowa, który nie potrzebował artykułować słów, by spełniać wszystkie życzenia swego pana. Każdy z nich miał na sobie zdekompletowaną zbroję, aczkolwiek wszystkie fragmenty w jednym przypominały zbroję ich dowódcy: były czarne. Zawołał go Ilie. Tubalny głos wydobywał się z ust okolonych obliczem tak ciemnym, że niektórzy powiadali, iż jego właściciel wywodzi się od Afrykańczyków czarnych jak heban, stąd jego przydomek. Wszakże to Stoica trzymał w rękach jego miecz - Smoczy Szpon - upuszczony, kiedy wróg jakimś cudem złamał jego obronę, tak że konieczne stało się użycie sztyletu. Wład odebrał swoją własność, uniósł potężną broń w górę, aby umieścić ją w pochwie noszonej na plecach, lecz ani na chwilę nie przestawał przepatrywać okolicy w poszukiwaniu człowieka, którego pragnął mieć przy sobie najbardziej.

- Gdzie Ion?

- Tu jestem, książę

Drakula zmarszczył brew, zobaczywszy w końcu przepychającego się ku niemu przyjaciela.

- Rannyś. - Wyciągnął ku niemu rękę, przytknął ją do głowy, lekko obracając ku sobie. Rana długości palca i głębokości paznokcia biegła od kości policzkowej do żuchwy.

- Przestałem na chwilę uważać - wyznał Ion. - Zapomniałem, że człowiek jest nieżywy i niegroźny dopiero wtedy, kiedy zabije się go na śmierć.

- Za pozwoleniem, żupanie - odezwał się Ilie. - Nie wyglądasz już tak ładnie jak przedtem.

- I dzięki niech będą Bogu! - wykrzyknął Gregor. - Może nareszcie będziemy mieli cię szansy u karczemnych dziewczek.

Wład nie dołączył do docinków, z zafrasowaniem spoglądając na Iona.

- Uciekli. I nikt z naszych nie podążył ich śladem?

- Nie, książę. Dręczy mnie obawa, iż odeszła ich ochota do walki.

- Albo nadzieja na złoto - dodał Gregor.

Wład rozejrzał się po okolicznych wzgórzach. Jeśli nie liczyć Iona i przybocznych, a także może pięciu setek Wołochów, którzy podążyli za nim na wygnanie, reszta jego armii - jakieś sześć tysięcy dusz - opłacana była przez sprzymierzeńców jego sprawy, czyli bankierów z Braszowa i Sybina, węgierskiego króla i Białego Rycerza, byłego wroga Drakulów, teraz zaś najgorętszego sojusznika. Mężczyźni mieli to do siebie, że walczyli, jeśli tylko czekała ich nagroda w postaci złota; potrafili wtedy nawet wykrzesać z siebie entuzjazm dla sprawy, aczkolwiek tylko przez jakiś czas. Wielu z nich zdejmowało teraz szyszaki, przysiadało wprost na ziemi, łapczywie sięgając do bukłaków z winem. Wład wiedział, że Gregor ma rację. Jego ludzie uznali, iż napracowali się wystarczająco za wydzieloną im zapłatę. Ion dostrzegł rozpacz w jego oczach.

- Jeśli nawet to prawda - powiedział, wskazując przeciwległe wzgórze - nie inaczej wygląda sytuacja po stronie naszych wrogów. Najemnicy, którzy się zaciągnęli w służbie Danowiczów, także na pewno nie będą walczyć, dopóki nie zobaczą nowego złota. - Zniżył głos.

- Możemy poczekać, aż zapadną ciemności, wymknąć się stąd i ukryć w górach

Wład nie patrzył na przyjaciela, tylko na komętę ponad jego ramieniem. Dziwne zjawisko na niebie robiło się jaśniejsze z każdą chwilą, a on nabierał coraz większego przekonania, że to na tym podwójnym rydwanie przybył do serca swojej dziedziny. Teraz wyraźnie już widział, że kometa zmierza ku ziemiom jego nieprzyjaciół.

- Naprawdę tak bardzo ci tęskno do losu wiecznego uciekiniera? - spytał równie cicho. - Jeżeli stchórzymy, jeżeli rozwiążemy tę armię i każdy pójdzie w swoją stronę, na tym skończy się ta historia. Możemy nigdy nie dostać

drugiej szansy.

- Albo wręcz przeciwnie - zareagował żywo Ion. - Podczas gdy zostając tutaj - gestem wskazał pole bitwy usłane trupami.

Wład powiódł spojrzeniem za jego ręką, ale już chwilę później patrzył dalej, poza pokłose bitwy, na powiewający na szczycie południowego wzgórza sztandar, bez wątpienia sztandar Czarnego Orła. W odróżnieniu od Drakuli jego przeciwnik, Władysław z Danowiczów, ani razu nie wystąpił spod jego cienia, posyłając tylko coraz to nowe posiłki do walki.

Jego wzrok ściągał jednak najniższy szczyt w okolicy, zamykający dolinę od wschodniej strony. Na nim powiewało więcej chorągwi. Pomiędzy nimi były sztandary wojenne bojarzynów z Wołoszczyzny, którzy przeszli na stronę Danowiczów. Naprawdę nieliczni - i wygnańcy jak on - pozostali pod sztandarem Smoka. Zdecydowana większość żupanów przyjęła rolę obserwatorów - tkwili na tym wzgórzu przez cały czas bitwy, jedząc, pijąc i komentując na gorąco wypadki. Zabawiając się spektaklem, podczas którego wykrwawiało się dwóch kuzynów. Nie przejawiając zbytniego zainteresowania tym, kto wygra. Im było za jedno, kto zostanie hospodarem i powiedzie ich na jeszcze większą wojnę, na której losy wszystkich mogły się drastycznie odmienić. Jak szakale przejści byli wyłącznie łupem i tym, aby przypadkiem nie wystąpić przeciwko silniejszemu.

- Wzrok mi się mąci - rzekł Wład, sięgając dłonią do czoła, ocierając pot zmieszany z krwią. - Kto się tam tchórzliwie chowa?

Gregor spojrział w stronę, ku której spoglądał jego pan.

- Albu Tłusty, to jest, chciałem powiedzieć: Wielki, a także Codrea, Gales, Udriste

- Wszyscy, którzy coś znaczą, książę - przerwał wyliczankę Ion. - Przypatrują się bez ruchu i czekają

- Zaraz - przerwał mu Czarny Ilie, postępując do przodu. - Zobaczcie, kto ruszył gruby tyłek!

Wład obrócił się i wyteżył wzrok. Po zboczu naprzeciwko zaczęły zjeżdżać wierzchowce, jeden za drugim, aż zrobiło się ich całe mrowie. Jeździec na przedzie wymachiwał sztandarem przedstawiającym - jak się okazało, kiedy byli dostatecznie blisko - głowę niedźwiedzia, symbol rodu Albu Wielkiego. Jadący obok na mniejszym koniu mężczyzna trzymał w górze drzewiec z białą flagą.

- Chcą paktować - stwierdził z niedowierzaniem Ion.

- Do broni! - krzyknął Wład, zapominając o zmęczeniu. - To może być

pułapka!

Przybocznicy posłuchali go natychmiast, parunastu innych niechętnie podniosło się z ziemi i jęło szykować miecze, większość wszakże zwyczajnie go zignorowała. Nadciągający oddział w sile jakichś dwudziestu zbrojnych zjechał w dół, przemierzył niewielką dolinkę i wspinając się po jej zboczu, zatrzymał się około dziesięciu kroków przed Władem. W środku grupy, na imponujących rozmiarów koniu bojowym, siedział okrakiem równie potężny mężczyzna. Powiewający chorągwiami zatrzymali się po jego obu bokach.

- Albu cel Mare! - Ion aż sapnął z wrażenia, kiedy przybysz uniósł zasłonę hełmu. - Człowiek, który przed ośmiu laty porzucił cię i odebrał ci armię!

- Nie wydaje mi się, żebym potrzebował mu o tym teraz przypominać - skwitował Wład.

Wielki rycerz osadził wierzchowca w miejscu, po czym donośnie zapytał:

- Który z was jest synem Smoka? Ostatni raz widziałem go, gdy ledwie odrósł od ziemi.

- Ja jestem Wład Drakula - ozwał się wezwany, wysuwając się do przodu.

- Hm - Albu parsknął i nie zniżając wiele głosu, zwrócił się do stojącego najbliżej kompana:

- Prawie wcale nie zmężniał od tamtego czasu, co? - Następnie popatrzył w oczy księcia, ani myśląc go tytułować odpowiednio: - Wygląda na to, panie, że potyczka pozostała nierozstrzygnięta.

- Dzień się jeszcze nie skończył, żupanie. Dlaczego nie miałbyś przejść na moją stronę i pomóc mi przechylić szalę zwycięstwa?

- Czy to nie dziwne - roześmiał się gigant - że twój kuzyn przed chwilą poprosił mnie o to samo? - Pochylił się w siodle. - I że odpowiedziałem mu to samo, co odpowiem teraz tobie: niełatwo jest podjąć decyzję, mając do wyboru nasienie Mirczy Starego. Dlaczego miałbym - zakpił, naśladując Włada - opowiedzieć się po stronie jednego albo drugiego, zanim obaj nie udowodnią, czego są warci?

- Czy to nie wystarczający dowód? - zapytał Wład, zataczając ręką szeroki krąg. Z tyłu, z boku i z przodu jeźdźców ziemia zasłana była ciałami zabitych.

Albu nawet nie odwrócił głowy.

- Martwi najemnicy? - westchnął. - To za mało. Ale wojna w istocie nie

służy naszemu krajowi ani naszym interesom. Potrzebujemy hospodara, który okaże się dość silny, by utrzymać się na tronie dłużej.

- Ciebie, Albu cel Mare ? - spytał Wład cicho.

- Cóż, nie jesteś pierwszy, któremu to przyszło do głowy. - Podrapał się po brodzie. - Jednakże po namyśle dochodzę do wniosku, że to zbyt wielkie obciążenie, zbyt dużo narad i tak dalej. Zdecydowanie bardziej odpowiada mi rola doradcy. Widzisz, lubię doradzać i

- Chędożyć owce - bąknął pod nosem Gregor.

Ilie zachichotał. Żupan usłyszał to i choć nie mógł wiedzieć, co wywołało nagły śmiech, twarz mu stwardniała.

- No więc który z was okaże się potężniejszy? Danowicz czy Drakula? Władysław czy Wład? Skoro nie umieliście powieść na siebie armii, może zdołacie stoczyć pojedynkę jak mężczyzna z mężczyzną. - Uśmiechnął się lekko. - Pozwólmę osądzić to Bogu. To samo zaproponowałem twojemu kuzynowi, który skwapliwie przystał.

- Chciałbyś, żebyśmy się pozabijali ku twojej uciechu?

- Nie. - Uśmiech znikł z twarzy równie nieoczekiwanie, jak się na niej pojawił. - Chciałbym, żeby jeden wykluczył drugiego w walce o tron wołoski.

Wcale nierzadko podobna propozycja padała, kiedy losy bitwy się ważyły i nie mogły przeważać. Wszakże niespotykane rzadko dochodziło do walki wręcz pomiędzy dwoma dowódcami, Ion wpatrywał się w twarz przyjaciela z niepokojem, dostrzegając malujące się na niej wahanie.

- Książę, nie m... - zaczął, lecz nie dokończył, gdyż Wład uniósł dłoń, przerywając mu w pół słowa.

- Gdzie i kiedy, żupanie?

Na nalanej twarzy wykwił uśmiech nieskrywanej radości.

- Skoro już tu wszyscy jesteśmy, a niebo wciąż jeszcze nie pociemniało do reszty... - uśmiechnął się szerzej. - Co powiesz na tu i teraz?

Ion chciał protestować, przemówić Władowi do rozsądku, lecz uniesiona w królewskim geście dłoń nadal go powstrzymywała.

- Jaka broń? - dopytywał rzeczowo książę.

- Noo... - zastanowił się jeździec. - Może na początek kopie? Tak dla porządku, żeby tradycji stało się zadość. A potem... o ile oczywiście będzie jakieś potem... cokolwiek. Co ty na to? Wład nie potrzebował czasu do namysłu.

- Zgoda. Ale pod jednym warunkiem.

- Mów śmiało.

- Nie będę z nim walczył, dopóki nie zdejmie korony mego ojca. Niech ją zdejmie i położy na skraju szranków, jako nagrodę dla tego, który okaże się lepszy. Ty udekorujesz nią zwycięzcę.

- Masz na to moje słowo. Zatem - powiódł wokół wzrokiem - powiedzmy, że spotkamy się ponownie, kiedy cień tamtego dębu dotknie brzegu strumienia. To powinno dać dość czasu nam, aby uprzątnąć trupy i znieść rannych, a wam, aby się przygotować.

- Będzie, jak sobie życzysz, żupanie.

- Doskonale. - Albu pociągnął za wodze i obejrzał się za siebie. - Nie przypominasz z wyglądu ojca. Jesteś pewien, że posiadasz choć połowę jego umiejętności?

Tym razem uśmiechnął się Wład.

- O tym niebawem przekonasz się na własne oczy, panie.

Nie bacząc na zniewagę, żupan skinął głową, dźgnął ostrogą konia i pocwałował ku swoim. W ślad za nim ruszyła jego obstawa, przy czym nie uszło uwagi Drakuli, że biała flaga została uniesiona trzykrotnie w górę, co niechybnie stanowiło znak, gdyż w odpowiedzi chorąży zamachał Czarnym Orłem Danowiczów. Nim jeszcze Albu dotarł do linii, część jego żołnierzy zbiegła ku kotlinie, aby wyzbierać rannych i złożyć trupy na stos, pozostali zaś rozpięchli się wzdłuż szczytu. Na wzgórzu Włada również uczynił się ruch, kiedy szeptana wieść zatoczyła szersze kręgi, powodując wyrwanie się zbrojnych z letargu. Jedni pomknęli w dół ratować rannych kamratów, drudzy szukali najlepszych punktów widokowych.

Dopiero wtedy Wład odwrócił się, opuszczając dłoń przed nosem Iona.

- Co chciałeś mi rzec? - zapytał.

- Niewiele z tego coś jeszcze znaczy - padła odpowiedź. - Podniosłeś rękawicę. Nawet gdybyś zechciał się teraz wycofać

- Ani mi to w głowie. - Popatrzył poprzez dolinę, a potem do góry, na niebo. - Dziś wszystko się skończy. Pod okiem Smoka na firmamencie - Zaczął oddalać się ku tylnym szeregom, gdzie wierny Stoica już szykował Kalafat i wyposażenie potrzebne podczas walki w siodle. Nie odwracając się, spytał: - Ale może chcesz podzielić się ze mną jakimiś spostrzeżeniami, które nie wynikają z twoich obaw?

- Tych z kolei nie mam wiele - odparł. - Władysław słynie ze sprawności w pojedynkach, wiele z nich wygrał, zanim jeszcze zdążył się porządnie rozgrzać - urwał, widząc chmurniejący wzrok Dra-kuli.

- Podczas gdy ja, chciałeś zapewne powiedzieć, nie poświęcałem zbyt wiele czasu na turnieje i rycerską walkę. - Z uśmiechem uciszył rodzący się na ustach przyjaciela protest. - Tyle że to nie będzie pozorowane starcie w walce o serce wybranki albo jej jedwabną szarfę. My będziemy walczyć o koronę Wołoszczyzny. O koronę mego ojca. - Spochmurniał ponownie i jakby dla dodania sobie kurażu raz jeszcze zerknął na jaskrawe światło bijące od komety. - Dlatego zamierzam wygrać bez względu na wszystko.

22. POJEDYNEK

- Cień dębu dotknął brzegu strumienia. Już czas.

Na słowa Iona Wład podniósł się z ziemi i wyprostował, wydając głośny jęk. Nie powinien był klękać, nawet po to, aby się pomodlić. Przez całe popołudnie toczył walki i choć nie został poważnie raniony, ciało całe mu zeszywniało i protestowało teraz przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

Położył dłonie na biodrach i wykręcił tułów najpierw w jedną, potem w drugą stronę, następnie pochylił się tak nisko, jak potrafił, nie zginając nóg, zrobił kilka silnych wymachów ramionami, na koniec uniósł obie ręce na znak, że jest gotów. Wtedy natychmiast podbiegł do niego Stoica, już trzymający na podoreździu przygotowaną czarną zbroję, która niestety prezentowała się tylko nieco lepiej niż uzbrojenie jego towarzyszy broni. Wymagała poważnej naprawy, lecz w warunkach polowych można było co najwyżej wyklepać co bardziej wgniecione miejsca. Należało docenić drobne łaski, jak na przykład to, że Stoica zdołał doczyścić ją z grubej warstwy brudu. Latami Włada nie było stać na lepsze wyposażenie, a gdy w końcu zaczął płynąć ku niemu strumień złota z przeznaczeniem na jego sprawę, postanowił zrobić z niego lepszy użytek i wydać głównie na żołd dla większej liczby żołnierzy. Nie posiadał nic z typowego wyposażenia uczestnika turniejów. Owszem, miał solidną tarczę - nikt przy zdrowych zmysłach nie oszczędzał na czymś tak podstawowym i istotnym dla przeżycia - ale poza tym prostokątnym kawałkiem grubego drewna, powleczonym skórą nabijaną ćwiekami, z biegnącym przez środek wzmocnieniem, za to bez wycięcia ułatwiającego użycie kopii, nic nie miało mu pomóc podczas pojedynku. Lewy bok zbroi nie był ani na jotę grubszy od prawego, a przecież tam każdy przeciwnik w turnieju celował grotem kopii. Hełm - ten sam, odkąd przed ośmiu laty opuścił Adrianopol, aby upomnieć się o swoje dziedzictwo - pozbawiony był zasłony chroniącej oczy przed drzazgami lecącymi z połamanych drzewc. Kiedy Stoica włożył mu go na głowę, nie pozostało już nic więcej do zrobienia. Na tyle, na ile mógł, uzbroił się. Zakuty w metalu obrócił się z chrzęstem, wywołując przeciągłe westchnienie Iona.

Kalafat dostrzegła go z odległości czterdziestu kroków i poczęła tańczyć

w miejscu. Zarzucała łbem i odsłaniała zęby, rżąc na powitanie. Zbliżywszy się, zdjął rękawicę i podrapał klacz za uchem, cmokając pieszczotliwie.

- Na pewno nie chcesz wziąć mojego? - raz jeszcze zapytał z troską Ion, który już parokrotnie proponował, że odstąpi mu swego bojowego rumaka, wielkiego ogiera, takiego bowiem z pewnością dosiadał Władysław. Drakula jednak, nie tak wysoki jak przeciwnik, wyglądałby na grzbiecie dexteriusa niczym dziecko. Dlatego ponownie odpowiedział:

- Nie. To nie najlepszy czas, aby zaprzyjaźniać się z nowym wierzchowcem. Poza tym - ściągnął lekko wodze i mając łeb Kalafat na wprost siebie, złożył pocałunek dokładnie pomiędzy jej oczami - braliśmy już razem udział w turnieju.

- Chyba nie sądzisz, że o tym zapomniałem - mruknął pod nosem Ion.

Ilie zbliżył się, składając dłonie w koszyczek. Wład umieścił jedną stopę na dłoniach olbrzyma, który wyprostował się, z impetem umieszczając swego pana w siodle. Wład powiódł wokół spojrzeniem, by zatrzymać się dłużej na twarzy przyjaciela.

- Mówiłem ci, Ion. W tamtym pojedynku przegrałem, bo toczył się o nic. O szarfę jakiejś damy, której nawet nie znałem. Tym razem nie przegram. - Dotknął stopami boków klaczy i poprowadził ją w górę łagodnego zbocza, na niewielki szczyt.

Żołnierze obu stron uwijali się jak w ukropie podczas tego krótkiego czasu, który Wład poświęcił na modlitwę i wkładanie zbroi. Teraz w dolinie, nad pustą, rozgrzaną słońcem zakrwawioną ziemią, unosiły się chmury owadów stanowiących ucztę dla śmigających w tę i we w tę jaskółek. Żywi rozproszyli się po całej dolinie, mieszając szeregi, jako że większość była najemnikami. Nieliczni dochowali wierności wybranym barwom, pozostając na dwóch wzgórzach okupowanych przez Drakulów i Danowiczów. Lojalni wobec swoich panów zachowywali się powściągliwie, podczas gdy reszta ludzi posilała się, gasiła pragnienie i śmiała w głos, szykując na przedstawienie. Wład patrzył na nich, czując rodzący się w krzyżach dreszcz. Przeniósł spojrzenie na szczyt naprzeciwko, skąd właśnie doszły donośne wiwaty towarzyszące uniesieniu sztandaru Czarnego Orła. Poniżej chorągwi coś zabłysło. Choć dolina biegła z północy na południe, tak że żadnemu z rycerzy słońce nie świeciło wprost w oczy, promienie odbijały się w ladrach i zbroi mężczyzny, który wydawał się jeszcze większy, niż był w istocie. W przeszłości młody Drakula spotkał swego kuzyna tylko kilkakrotnie - kiedy zawierano kruchy pokój pomiędzy dwoma nie cierpiącymi się rodami.

Władysław był odeń dziesięć lat starszy, przerastał go o głowę i miał spore doświadczenie zarówno w wojaczce, jak i w pojedynkowaniu się w szrankach. Teraz w dodatku od wielu już lat praktycznie panował nad wołoską ziemią. Nic dziwnego więc, że stać go było na lśniącą i nie rozpadającą się na kawałki zbroję!

Z odrętwienia wyrwał Włada dźwięk trąb. Do przodu wyrwał się giermek Danowicza, z dumą powiewający orlim sztandarem. Zjechał stępą do stóp wzgórza, gdzie zatrzymawszy się, uniósł chorągiew wysoko do góry, a następnie ją opuścił, niemal zamiatając ziemię. Potem zatknął drzewce w gruncie i powrócił do szeregu, który przed chwilą opuścił, pozostawiając za sobą trzepoczący na wietrze spłacheć materii, odstraszaający nienasycone jaskółki.

- Ilie! - zawołał Wład.

Jego chorąży ruszył kłusa w dół zbocza omiatany sztandarem Smoka. Dotarłszy, gdzie sobie zamierzył, osadził wierzchowca i zmusił go, by stanął dęba.

- Draakulaa! - krzyknął, wbijając drzewce proporca w rozmiękły grunt.

- A to pyszałek - zaśmiał się Gregor.

W oddali po lewej dwóch trębaczy zrobiło krok w przód i jęło wygrywać monotony motyw. Szum i wrzaski towarzyszące ogólnej hulance ścichły w okamgnieniu, kiedy spomiędzy nich wystąpił piechur ze zwiniętym proporcem w dłoniach. Uniósłszy wysoko drzewce, rozwinął go, pozwalając, by wiatr porwał płachtę, na której nie widniał żaden emblemat, żaden herb wielkiego rodu - na której nie widniało nic oprócz jednolitej czerni.

- Na śmierć i życie! - ryknęło tysiąc gardeł równocześnie. Kiedy Ilie wracał pod górę, Ion zagadnął Włada:

- Jaką broń wybierasz, książę?

Drakula wskazał gestem to, co Stoica już podnosił z ziemi.

- Smoczy Szpon. Odbiorę koronę mojego ojca za pomocą jego miecza.

Półtorak przeszedł z rąk do rąk i po chwili tkwił już pewnie w pochwie na okrytych zbroją plecach. Wtedy Gregor wręczył Władowi kopię, mówiąc:

- Twój szpikulec, panie. Nadziej parę kawałków mięsa jakiegoś Wołocha, a będzie szaszłyk. Wład spojrzał uważnie na Iona.

- Czas na twoją ostatnią radę, przyjacielu. Ion odchrząknął, po czym burknął:

- Po prostu nie daj się zabić.

- Będę się starał.

Ostre dźwięki trąbek świdrowały uszy.

Na przeciwległym wzgórzu drgnął srebrzysty kształt, zdający się z tej odległości mitycznym centaurem. Kalafat poczuła najłżejsze z możliwych ściśnięcie kolanami i również zaczęła iść.

- Jedź z Bogiem, książę! - zawołał Ion, podążając ich śladem. - Lecz walcz jak twój ojciec, nie bez powodu zwany Diabłem!

W powietrzu zadźwięczała cisza, kiedy fanfary umilkły i wszyscy wpatrzyli się w dwie zbliżające się ku sobie sylwetki. Z początku słyhać było tylko krzyki niestrudzonego pikujących jaskółek, szmer wody w strumieniu, suchy trzask powiewających sztandarów, lecz kiedy rycerze znaleźli się w zagłębieniu niecki, rozległy się głosy z każdą chwilą przybierające na sile.

- Dan ! Dan ! Dan ! - dochodziło z jednej strony, z drugiej zaś:

- Smok! Smok! Smok!

Potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapanowała cisza. Wład bez ruchu spoglądał w stronę mężczyzny stojącego niecałe sto kroków od niego. Na obecnego wojewodę wołoskiego. Na swego kuzyna i zaprzysięgłego wroga. Blask gasnącego słońca opromieniał jego postać intensywną czerwienią. Drakula przeniósł wzrok na niebo, mamrocząc:

- Może sobie zabrać całe słońce, bo ja będę walczył pod znakiem komety

Gdyby nie nagły ryk, który wyrwał się z gardeł żołnierzy, może nawet by nie spostrzegł, że Władysław już dał koniowi ostrogę, zyskując przewagę prędkości. Chwytając pewniej kopię, Wład dał Kalafat znak cichym głosem. Spieszeni wojownicy zeszliby się po dziesięciu uderzeniach serca. Wierzchowce, zaprawione w zrywaniu się do galopu, przebyły dzielącą je odległość w dwa, nie więcej niż cztery uderzenia serca. Promienie słońca tańczyły na zbrojach i na stalowych grotach. Oślepiiony Wład, zwężwszy oczy w wąskie szparki, szukał dobrego miejsca do wrażenia swojej kopii, zbierając wszystkie siły do zadania decydującego ciosu.

Nigdy jeszcze nie odebrał tak mocnego uderzenia. Huk, który towarzyszył starciu, był ogłuszający i nagły - tak samo jak zgrzyt metalu o metal. Moment później zaległa cisza, a on znalazł się pośród wirującej czerwieni. Własna tarcza wbiła mu się boleśnie w bok, po czym została wyrwana z uścisku słabnącej dłoni, dotkliwie zranionej pomimo rękawicy. Stopy wymknęły się ze strzemion, plecy opadły na zad Kalafat i już po chwili ześlizgiwał się z grzbietu na ziemię. Oparł się o nią nogami, tak że przez

moment wydawało się, iż ustoi, lecz zaraz gruchnął, upadając wprost na twarz, by po chwili wolno jak we śnie przewrócić się na bok. Ani na moment nie przymknął powiek, przez cały czas widział twarze wpatrzonych w niego ludzi, ich otwarte usta, z których dobywał się krzyk, jakiego nie mógł usłyszeć. Wszystko jednak spowijała czerwień, jak gdyby patrzył przez cienki, jedwabny barwiony welon. Widział też ciemny porządek rozciągnięty na wietrze, nie szamoczący się z podmuchami, jakby czas stanął w miejscu.

Raczej poczuł, niż usłyszał, że ktoś się zbliża. Ziemia drżała pod nim na długo przed tym, zanim odzyskawszy częściowo słuch, zdał sobie sprawę z odległych krzyków i znacznie bliższego końskiego rżenia. Coś zasłoniło słońce, a gdy zobaczył odbłask, odruchowo przeturlał się i już po chwili patrzył w ukłute włócznią miejsce w ziemi, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się jego pierś. Grot naruszył murawę, po czym został błyskawicznie uniesiony, znikając z jego pola widzenia. Wciąż czuł przenoszone przez grunt wibracje wywołane ciężkim końskim stąpieniem, nagle na jego twarz padł odprysk błota, co w nieodgadniony sposób spowodowało, że odzyskał pełnię zmysłów.

- Dan ! Dan ! Dan ! - zdzierali sobie gardła żołnierze.

Nikt już nie krzyczał jego imienia. To spowodowało, że przewyciężając słabość, podniósł się na kolana, zadarł głowę i przez chwilę odprowadzał wzrokiem cień, który w końcu nabrał kształtów jeźdźca. Mężczyzna ów zatrzymał się pod sztandarem Czarnego Orła i nie schodząc z końskiego grzbietu, dał ręką znak. Giermek ruszył ku niemu w dół zbocza, omal nie gubiąc nóg. Podał coś swemu panu i pośpiesznie się oddalił. Wtedy rycerz - jego kuzyn - upuścił podany przedmiot i dopiero wtedy Wład zrozumiał, co to jest: stalowa kula naszpikowana ostrymi kolcami umocowana na łańcuchu długości męskiego ramienia. Wiodąc spojrzeniem wyżej, zobaczył pałkę w ręku Władysława.

- Kiścień - szepnął Drakula.

Nazwa broni przypomniała mu, co ma na plecach. Podczas gdy kuzyn już się do niego zbliżał, sięgnął ręką do tyłu, dobył miecz i ku swej uldze przekonał się, że klinga wytrzymała siłę upadku i nie poniosła najmniejszego uszczerbku.

Nadal jednak klęczał. Nie był w stanie podnieść się na nogi, mógł tylko zasłaniać się półtorakiem trzymanym oburącz niczym tarcza. Władysław musiał pochylić się w siodle, kiedy zaczął wywijać kiście-niem, aż w końcu

zamachnął się potężnie, posyłając wielką kulę ku dołowi. Wład zdołał tylko przesunąć się nieco i obniżyć miecz, tak aby nadal stanowił zasłonę; liczył, że uda mu się sparować cios, hamując jego impet i nie niszcząc przy tym Smoczego Szponu. Stalowa kula najeżona kolcami spotkała się z jelcem miecza, wyginając go, lecz nie łamiąc. Niezrażony niepowodzeniem Władysław podjął atak. Zatokczył szerokie koło, dając w ten sposób rumakowi możliwość rozwinięcia większej prędkości, po czym wbił w boki zwierzęcia ostrogi. Zapomniał, że oddalając się, podarował Drakuli cenny czas. Wład zdążył stanąć na nogach, rozstawić pewnie stopy, zdobywając oparcie, otrząsnąć sprzed oczu reszty krwawej mgły, a także - kiedy jeździec naparł znowu, zataczając bijakiem łuk w powietrzu - postąpić w przód, zamiast robić kolejny unik. Równocześnie uniósł miecz nad głowę, ustawiając go poziomo i wolną ręką przytrzymując kraniec przeciwny głowicy. Natrafił na niego łańcuch - nie kula, która z pewnością złamałaby ostrze. Z powodu ruchu obrotowego, wielkiej siły zamachu i ciężaru kuli łańcuch jął się bezwładnie owijać wokół klingi. Kiedy był już naprężony do granic, Wład szarpnął mocno, rzucając się całą swoją masą w dół, i tak ściągnął jeźdźca z konia.

Podczas upadku rzemień, który pomagał utrzymać rycerzowi trzonek w ręku, ześlizgnął się z grzbietu dłoni i kiścięń gruchnął o ziemię niezależnie od spieszonego jeźdźca. Władysław jakimś cudem utrzymał się na nogach, aczkolwiek chybotął się, przyjmując postawę szermierczą. Jego miecz był już w połowie pochwy, kiedy Drakula przypomniał sobie, że nie jest bezbronny - nadal przecież trzymał obiema rękami Smoczy Szpon. Wtedy nieoczekiwanie przypomniała mu się technika, którą ćwiczył swego czasu z pewnym germańskim szermierzem. Ów ruch należał chyba do ulubionych mistrza i miał nawet szwabską nazwę - mordschlag, a może mordanschlag, co znaczyło ni mniej, ni więcej, tylko: zamach na życie.

Przesunął lewą rękę wzdłuż klingi aż do miejsca, w którym wciąż owinięty był łańcuch. Potem uniósł miecz tak wysoko nad głowę, jak się dało, po czym zatoczywszy nim w powietrzu szeroki łuk, z impetem wbił czubek głowni w sam szczyt Władysławowego hełmu.

Przez moment żaden ani drgnął, zamarli również przyglądający im się z obu szczytów. Zaraz drgnął za to owinięty wokół ostrza łańcuch, który akurat postanowił się rozwinąć, uwalniając kulę. Stalowy bijak upadł na ziemię z głuchym odgłosem. Chwilę później poruszył się Danowicz, przysiadając na ziemi z dłonią wciąż usiłującą wydostać miecz z pochwy. Klinga Włada w

dalszym ciągu tkwiła w hełmie przeciwnika. Wydobył ją spośród pogiętego metalu z nie lada trudem, najpierw przekręcając, a później szarpiąc silnie, po czym od razu ujął broń ponownie w obie dłonie, szykując się do dalszego fechtunku. Tymczasem siedzący na wprost niego mężczyzna pozostawał w bezruchu; tylko głowa opadała mu coraz bardziej na piersi.

Pochyliwszy się, Wład umieścił czubek miecza pod krawędzią zasłony hełmu i wykonał nagły ruch. Przyłbica otwarła się, ukazując oczy niemal równie zielone jak jego, lecz różniące się w jednym istotnym szczególe: właśnie uciekało z nich życie. Kiedy tak spoglądał na umierającego wroga, spod nagle poruszonego hełmu wydobył się strumień krwi, zalewający czoło i spływający niżej, tak że wkrótce czerwień trwale przesłoniła znajomą zielen.

Ciało nie od razu się poddało, ale w końcu przechyliło się na bok i upadło. Wład uklęknął, opierając się ciężko na mieczu, którego klinga weszła z łatwością w rozmiękłą ziemię. Rękoma trzymał za jelce -jeden jak zawsze prosty, drugi od niedawna nienaturalnie wygięty. Zacisnął na obu palce i dopiero wtedy posłyszał rytmiczne skandowanie. Żołnierze wołali imię. Jego imię.

- Drakula! Drakula! Drakula!

Rozejrzał się. Wydawało się, że nie ma człowieka, który by nie wiwatował na jego cześć. Zarówno po jego stronie, jak i po stronie jego kuzyna. Zadarł głowę i popatrzył w niebo. Jaskółki nadal kołowały nad polem bitwy, krążąc pomiędzy ziemią i kometą, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi.

Nagle u jego boku wyrósł Ion.

- Wład - szeptał. - Wład

Drakula pozwolił, aby przyjaciel pomógł mu wstać. W tym czasie podchodzili już następni, jego wierni kompani. Czarny Ilie powiewał sztandarem Smoka. Szczerbaty Gregor wiodł za uzdę Kalafat. Stoica przyniósł bukłak z winem i Wład przypiął się do niego na parę długich chwil. Zebrawszy się w sobie, skinął i cała grupka pomaszerowała w górę zbocza pomiędzy dwiema armiami, tam, gdzie wciąż tkwił czarny proporzec. W powietrzu panowała cisza jak makiem zasiał, nawet jaskółki przestały wrzeszczeć przeraźliwie.

Wład nie mógł widzieć tego wcześniej, ale na wierzchołku drzewca było coś zatknięte, coś bardzo niepozornego. Cienki krąg złota, zdobny tylko szmaragdem wielkości mewiego jaja.

- Oto korona twego ojca, książę - Albu cel Mare zwracał się teraz do niego innym tonem. Pogarda zniknęła z jego oczu. - Oczywiście sam przedmiot nic nie znaczy, dopóki metropolita nie umieści jej na twoich skroniach i nie namaści cię w katedrze w Tirgoviste

- Ta korona znaczy dla mnie wszystko - odrzekł Wład, wyciągając ręce, żeby ująć złoty przedmiot. Uniósł go wysoko i zakrzyknął:

- Upominam się o tron mego ojca! Upominam się o tytuł hospodara wołoskiego!

Zewsząd doszedł ryk poparcia. Od jednej i drugiej armii, nawet od neutralnych dotąd bojarzynów z Albu Wielkim na czele. Nie wszyscy mogli jednak święcić jego tryumf; niektórzy - jak widział, jeszcze wspierając czoło na jelcu miecza - chyłkiem opuścili pobliskie wzgórze, gdy tylko ciało Władysława Danowicza sięgnęło ziemi. Mimo wszystko większość pozostała i ślubowała swemu nowemu wojewodzie wierność. Wład ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Korzystając z tego, że otaczają go postawni mężczyźni, nagłym ruchem odwrócił się i wsparł o Iona.

Nieliczni to zobaczyli. Wiwaty trwały nieprzerwanie. Ion natomiast w zdumieniu patrzył, jak jego przyjaciel szłocha. Nigdy wcześniej nie widział Włada płaczącego, dlatego teraz tylko trzymał go mocno, ponad ramieniem swego księcia spoglądając na Albu Wielkiego i pozostałych żupanów i zamglonym łzami spojrzeniem wyzywając ich, aby odważyli się wyśmiać swego hospodara.

23. PRZYGOTOWANIA

Książęcy dwór w Tirgoviste, dziewięć miesięcy później, niedziela Wielkiejnocy 1457 roku

- Czy wszystko gotowe?

- Tak, książę. Przygotowałem tyle, ile zdołałem przy swojej ograniczonej wiedzy

- Ion, nigdzie nie jest napisane, że powinieneś wiedzieć więcej. Zresztą ja sam nie wiem o wszystkim. Wszystko wie tylko Bóg, a my, maluczcy, pozostajemy w wiecznej ciemności, czyż nie tak?

Wład mówiąc, uśmiechał się coraz szerzej i nie przestawał spoglądać przez kratownicę w drzwiach. Stojąca obok Ilona odwróciła się, odrywając wzrok od rozpościerającego się za małym okienkiem widoku wielkiej sali, i spojrzała wprost na niego.

- Wydajesz się dzisiaj wesół - stwierdziła.

- Dlaczego nie miałbym się weselić? - odpowiedział pytaniem. - Czyż metropolita wołoski, głowa naszej Cerkwi prawosławnej, nie namaścił mnie na „króla dziedziny ugro-wołoskiej i księcia Amlaszu i Fogaraszu ? - Wład tak udatnie naśladował piskliwy nosowy głos hierarchy, że Ilona aż się roześmiała. Popatrzył na nią z czułością.

- I czyż kobieta, którą miłuję, nie nosi mego pierwszego męskiego potomka?

- Tego nie możesz być pewien! - zakrzyknęła, obejmując dłońmi napęczniały brzuch, pod którego powłoką poczuła mocne kopnięcie. - Zwłaszcza że dotychczas rodziły ci się same dziewczynki.

- Posłuchaj tylko, Ion Jej zdaniem powinienem był żyć jak mnich, skoro ona spędziła osiem lat w klasztorze.

Ilona uderzyła go lekko w ramię. Tak naprawdę nie miało dla niej znaczenia, co Wład robił, kiedy los ich rozdzielił. Liczyło się to, że w końcu znów byli razem. Niemal dekada zdawała jej się teraz krótkim dniem spędzonym w rozłące z nieistotnego powodu. Wład rozmasował ramię z uśmiechem i ponownie spojrzał na wielką salę.

- I czyż wszyscy moi przyjaciele, najmoźniejsi z możnych mego

królestwa, nie przybyli tu, aby ze mną świętować? Mego sukcesu, mej radości, Pańskiego zmartwychwstania

- Przyjaciele?

- Któż by inny? Czyż nie przyjaciele pomagają spełniać człowiekowi jego marzenia? Czyż nie po to oni wszyscy tutaj się zebrali? - Ilona ponownie złapała się za brzuch, na co Wład podprowadził ją do krzesła. - Odpoczywaj, blasku mego życia. Niech Ion zajmie twoje miejsce i przekona się, jak wielu przyjaciół stawiło się na me wezwanie.

Chwilę później Wład i Ion stali ramię przy ramieniu, spoglądając przez sekretne okienko zamaskowane gęstą kratownicą. Był to jeszcze jeden wynalazek zapożyczony od Turków - Mehmed nie czynił wielkiej tajemnicy z tego, że szpieguje swoją radę. Tutaj, na książęcym dworze w sercu Wołoszczyzny, zebrał się wołoski odpowiednik Dywanu - Sfatul Domnesc. Obok panów rady zasiadały ich zacne małżonki, niektórym towarzyszyli też najstarsi synowie. Jeśli ktokolwiek z nich z początku czuł się nieswojo, podejrzewając, że przedłużająca się nieobecność gospodarza może świadczyć o tym, iż obserwuje ich z ukrycia, dwie godziny oczekiwania na gospodarza zrobiły swoje i teraz wszyscy już ucztowali bez skrupołów, pozwalając, aby wojewoda zajmował się sprawami królestwa. Puchary ani przez moment nie stały puste - bez względu na to, jak szybko były opróżniane. Żonglerzy i akrobaci bez ustanku dawali występy, grajkowie łąčili w instrumenty ile sił, wypełniając komnatę muzyką typową dla okolic Curtei de Arges, serca dziedziny Drakulów, gdzie chłopci lubili umilać sobie pracę wysokimi dźwiękami fletów, melodyjnymi kobz i głębokimi trąbek. Bojarzynowie w dużej mierze ignorowali te popisy, koncentrując się na własnych, pełnych przechwałek rozmowach, ferowaniu wyroków i szafowaniu opiniami - w chwilach kiedy akurat nie mieli w ustach nic do jedzenia, gdyż słudzy ciągłym strumieniem wnosili na salę rozliczne potrawy: a to pieczone skowronki, a to całe szczupaki faszerowane nadzieniem z gotowanej pszenicy i pietruszki, w większości jednak wieprzowinę pod rozmaitymi postaciami, poczynając od kaszanek z krwi knura, a kończąc na marynowanych świńskich uszach, przez rzecz jasna pieczone w całości na ruszcie prosięta wypchane przeróżnymi smakołykami, ze zrumienioną skórką kryjącą młody tłuszcz i z zatkniętym owocem w ryjku. Jeżeli przypadkiem zdarzyło się, że na stole przez parę chwil nie pojawiało się nic godnego uwagi, każdy z zaproszonych mógł wstać i przeszedłszy na środek komnaty, odciąć sobie plaster mięsiwa z zatkniętego tam na palu dziczego łba.

Harmider z każdą chwilą przybierał na sile, przechodząc od cichego poszeptywania do głośnych ryków. Moźnowładcy obłapiali dziewczki służebne, na co dostojne połowice nie zwracały najmniejszej uwagi, tak były zajęte unikaniem latających w powietrzu kawałków jedzenia i ogryzionych kości.

- Przyjaciół? - sarknął Ion. - Nie widzę ani jednego. Może tylko paru takich, co są twoimi mniejszymi wrogami niż reszta.

- Ależ z ciebie cynik, Ion. Można by pomyśleć, że nie miałeś łatwego życia.

Wład przejechał opuszką palca po długiej bliźnie na policzku, od dołu do góry, sięgając aż po czoło skryte pod kosmykiem, zagłębiając paznokiec w rowek znamienia, zanim Ion zdążył szarpnąć głową i odsunąć się.

- Książę - rzekł, odstępując krok do tyłu i przyglądając długie włosy. Nie znosił, kiedy Wład popadał w żartobliwy nastrój. Zazwyczaj oznaczało to, że coś się wydarzy. Coś, na co on, Ion, będzie musiał jakoś zareagować. Nie dokończył zdania, gdyż uwagę obydwóch nagle zwrócił donośny krzyk.

Mężczyzna solidnej postury, w pasie okrągły jak beczka i o karku grubym jak u knura, jakimś cudem wylazł na stół, przy którym dotychczas siedział, i górując nad resztą zgromadzenia, jął wymachiwać nogami w rytm melodii. Muzykanci właśnie wygrywali takty znanego chłopskiego tańca - mocaneasca. Drewno ugięło się i trzeszczało pod ogromną masą mięśni i tłuszczu, tak że było to słychać nawet poprzez krzyki i śmiechy, które przybrały na sile w centralnej części sali.

- Ostrożnie, Albu - Wład z niepokojem przyglądał się wielkoludowi i rozluźnił się, dopiero kiedy ów skłonił się paradnie i wśród wiwatów i braw zgramolił z blatu. - Jak widać, cel Mare świetnie się bawi.

- A czego mu brakuje do szczęścia? - zapytał Ion. - Pod twoim panowaniem ma się jeszcze lepiej niż pod panowaniem twego poprzednika, uzurpatora Władysława. Podczas gdy wszyscy sądzili, że za zdradę pozbawisz go życia, ty nadałeś mu honory i ziemie

- Oczywiście, że tak. Albu Wielki to potęga na mojej ziemi, ustępuje w bogactwie tylko mnie. Takich ludzi należy - urwał i odwrócił się. - Jak wyglądam, Ilono?

Jej ukochany miał na sobie gruby dublet tak ciemny, że wielu wzięłoby go za czarny, aczkolwiek gdy na strój padało światło pochodni, blask płomieni wydobywał z materii czerwoną nutę. Odzienie, luźniejsze niż większość męskich ubiorów, tuszowało nadzwyczaj rozłożyste barki i

szeroką pierś, jakie Wład zawdzięczał intensywnym ćwiczeniom fizycznym w młodości oraz częstemu udziałowi w bitwach, a sięgało do póluda, zakrywając pludry z karmazynowo-czarnego jedwabiu w pasy, nadające nogom nieco smukłości. Na lewym ramieniu dubletu wyhaftowano srebrną nicią smoka o łuskowatym ogonie zawijającym się wokół szyi i z umieszczonym na grzbiecie krzyżem. Twarz pytającego mężczyzny utraciła w latach poniewierki całą chłopięcą łagodność. Długie lśniąco czarne włosy opadały dwiema falami na ramiona, z tyłu sięgając pleców, a po obu stronach wydatnego, długiego nosa świeciły niesamowicie zielone oczy, barwą nieomal przyćmiewające szmaragd osadzony pośrodku złotej gwiazdy otoczonej przez trzysta pereł rzecznych. Co do tego ostatniego Ilona nie miała cienia wątpliwości, gdyż własnoręcznie każdą przyszyła do brzeżku nakrycia głowy zrobionego z tego samego aksamitu co dublet i przystrojonego strusim piórem. Obrzuciła wzrokiem całą jego postać, po czym powróciła spojrzeniem do oczu, z których nie zniknęło pytanie.

- Jak prawdziwy król - odparła, wstając.

Wład powstrzymał ją w pół ruchu, klękając tuż przed nią.

- Wiesz, że bym cię poślubił, gdybym tylko mógł - Zaśmiała się.

- Mnie? Córkę szewca? Nie mógłbyś, nawet gdybyś chciał. Małżeństwo to dla ciebie jeszcze jedna broń do użycia przeciwko nim - Gestem wskazała wielką salę. - Już prędzej powinieneś się ożenić z kobietą, która oczekuje mnie na zewnątrz. Z tą, którą wyznaczyłeś na moją strażniczkę

- Mówisz o Elisabecie? Gdybym zdecydował się poślubić klacz, wybrałbym raczej Kalafat. - Roześmieli się oboje. - Jednakże wybranka króla musi mieć odpowiednio wysoko urodzoną damę do towarzystwa, kiedy - rozpostarł dłonie nad wyдутym brzuchem Ilony.

- Więc jednak. Żona czy nie, jeżeli urodzę chłopca

- Nie widzę innej możliwości.

- Jeżeli urodzę chłopca, będzie po tobie dziedziczył?

- Takie jest prawo na wołoskiej ziemi, którą w przeszłości władali niezliczeni synowie z nieprawego łoża. - Gdy to mówił, uśmiech czał się w jego oczach, nie sięgnął jednak ust. Ilona roześmiała się za nich dwoje, po czym westchnęła ciężko.

- W takim razie chyba będę musiała dalej znosić tę klacz.

- Jeśli będzie trzeba, Ion poprosi cię o rękę. - Wład zadarł głowę, by spojrzeć na przyjaciela. - Mam rację, Ion?

Rycerz skinął z powagą głową.

- Złożyłem Ilonie propozycję zaledwie wczoraj. Niestety, odmówiła mi po raz setny.

- Widzisz? - Drakula zwrócił się znów do Ilony. - Nie zostaniesz sama, nawet jeśli zginę. Uśmiech spelzł z twarzy kobiety.

- Na świętą Teresę! - zakrzyknęła. - Nie mów tak! Nawet w żartach - dokończyła szeptem. Moment później złapała się za wystający brzuch i jęknęła.

- Wezwij opiekunkę - polecił Wład, sam zaś powstał, aby pomóc jej się podnieść.

- Nie, mój książę - zaprotestowała. - Pozwól mi tu odpoczywać, dopóki nie uczynisz tego, co sobie zamierzyłeś - Zerknęła w kierunku wielkiej sali, po czym popatrzyła mu prosto w oczy. Zdażyła pochwycić wzrokiem ciemność i coś jeszcze, coś bardzo podobnego do głodu malującego się na jego twarzy, ilekroć dzielili łożę, aczkolwiek w znaczący sposób odmiennego. Odmówił jej prośbie.

- Chcę, abyś schroniła się w zaciszu swego domostwa. Dołączę tam do ciebie jutro, jak Bóg da.

- Amen - przeżegnała się, ani trochę nie uspokojona. Po raz pierwszy okazał przed nią swoją niepewność.

Do komnaty wkroczyła Elisabeta, jak zwykle nie umiejąca przegonić z końskiej twarzy wyrazu pogardy.

- Wzywałś mnie, książę? - spytała sztywno.

- Tak - odparł Wład, podnosząc Ilonę. - Masz zabrać mą panią do jej domostwa.

- Jak sobie życzysz, książę - rzekła, nie zmieniając tonu. Dygnęła płytko i odstąpiła na bok, przepuszczając Ilonę przodem.

Ta schwyciła Włada za ramię, pochyliła się ku niemu.

- Bądź ostrożny - poprosiła szeptem.

- Zawsze jestem - odrzekł.

Straciwszy cierpliwość, Elisabeta ujęła Ilonę pod łokieć i pociągnęła ją w stronę wyjścia. Obie kobiety przystanęły jeszcze w drzwiach, kiedy Ilona odwróciła się, by spojrzeć na swojego księcia. Wład właśnie poprawiał na ramionach granatową pelerynę. Kiedy skończył, spojrzał na Iona i polecił:

- Otwórz drzwi, a potem przejdź na swój posterunek i czekaj na znak ode mnie.

Patrzyli na siebie długą chwilę, po czym wreszcie Ion skłonił się ze słowami:

- Będzie, jak sobie życzysz, księżę.

Drakula znowu spoglądał na zamknięte drzwi. Kiedy skinął głową, Ion odsunął trzy rygle. Mechanizm został niedawno naoliwiony, toteż obeszło się bez zgrzytów. Skrzydło drzwi otwarło się i do środka buchnął rozgwar z wielkiej sali wraz z ciepłem, jakiego nie powstydziałaby się działająca kuźnia. Wład przestąpił próg bez wahania. Ion przymknął dokładnie drzwi, lecz nie zasunął rygli, a następnie odwrócił się i zrównał ze stojącą wciąż przy wyjściu Iloną.

- Chciałbym ci towarzyszyć w drodze do twego domostwa

- Masz udać się na swój posterunek, tak życzy sobie mój księżę - przypomniała, z trudem panując nad spazmami, które ogarnęły jej ciało. - Ja zaś wracam na swój.

Ion skłonił się bez słowa i wyszedł.

Elisabeta nadal trzymała drzwi otwarte, jednakże Ilona ani myślała z nich skorzystać.

- Zostanę tutaj.

- Ale księżę wojewoda powiedział wyraźnie

- Posiedzę tu trochę, a potem cię zawołam. Możesz trzymać straż przy drzwiach, jeśli chcesz, byle z drugiej strony. Przyciągnij to krzesło o, tam i zostaw mnie samą.

- Ale

Ilona przerwała jej:

- Rób, co każę.

- Jak moja pani sobie życzy - padła wyniosła odpowiedź. Elisabeta ujęła w dwie ręce ciężkie krzesło, przeniosła je kilka kroków i ustawiła przy drzwiach z sekretnym okienkiem. Ledwie jej opiekunka znalazła się na korytarzu, Ilona pochyliła się do przodu i odsunęła metalową płytkę. Z początku widziała tylko granatową ciemność. Światło pojawiło się dopiero wtedy, gdy jej księżę zaczął schodzić w dół po stopniach wiodących do wielkiej sali.

24. REZUREKCJA

Nie spostrzegli go od razu, tak cicho zstąpił pośród nich, a może tak bardzo pochłaniało ich obżarstwo i opilstwo. Zresztą spodziewał się, że tylko nieliczni go rozpoznają bez trudu, jako że w ciągu pół roku od koronacji zwołał Sfatul Domnesc zaledwie raz - tuż po ceremonii namaszczenia. Potem odesłał ich do swoich siedzib na długą zimę, podczas której we wspomnieniach większości zatarł się obraz ciemnowłosego młodego mężczyzny, pijącego mało i mówiącego jeszcze mniej. Nie miał wątpliwości, że jeśli w ogóle zdarzyło im się o nim rozmawiać, porównywali go - zawsze na niekorzyść - z jego świętej pamięci ojcem, Władem Smokiem. Ion powtórzył mu dowcip krążący po zamkach jak kraj długi i szeroki, a głoszący, że Wład Smok nawet skrócony o głowę wciąż był wyższy od swego syna i dwakroć bardziej od niego męski. Panowało powszechne przekonanie, że młodzikem da się łatwo powodować, a gdyby zaczął sprawiać problemy i okazał się niewdzięczny, da się go łatwo usunąć. W kraju, w którym pochodzenie z nieprawego łoża nie było żadną przeszkodą w drodze do tronu, aż roіło się od bastardów łaknących korony i równie podatnych jak kukielka na sznurkach. Tańczyliby, jak by im zagrano, podczas gdy ci, którzy naprawdę się liczą, dzieliliby łupy i władzę. Wład Drakula doskonale wiedział, co bojarzynowie o nim myślą. I gdy tak teraz szedł pomiędzy nimi, rozlewając wino z pełnego dzbana, który wziął do ręki tuż przy drzwiach, by stać się idealnie niewidzialny jak zwykły sługa, począł myśleć o nich. O mężczyznach, których nie interesował ani kraj, ani król. Którzy klękali przed majestatem Boga, by już chwilę potem łamać wszystkie co do jednego Boże przykazania. Którzy w głębi ducha wierzyli, że poświęcenie Jezusa Chrystusa uczynione tego dnia - a odzwierciedlone w naturalnej wielkości i krwawości figurze ponad otwartym kominkiem - miało na celu li tylko natchnięcie niewolników otuchą na lepsze życie po śmierci, podczas gdy ich panowie mogli do woli używać już za życia. W przeszłości Wołoszczyzna stanowiła rozstaje cywilizowanego świata i zewsząd płynęło ku niej bogactwo, to jednak już się skończyło. Wszystko się zmieniło, odkąd zbóje i rabusie zgodnie uczynili trakty nieprzejezdnymi dla każdego, kto nie był członkiem małego oddziału zbrojnego, a najwięksi złoczyńcy zasiedli za

jego stołem z twarzami błyszczącymi od świńskiego łoju i koszulami splamionymi czerwienią wina.

Stoją pomiędzy mną a moimi marzeniami - pomyślał Wład, nalewając komuś jeszcze wina i wciąż pozostając nierozpoznanym. - Dzisiejszego wieczoru muszę ich wyminąć albo Przełknął ciężko, kiedy zniemacka dopadło go zwątpienie. Dla odzyskania rezonu odszukał wzrokiem Iona, który właśnie pojawił się w łukowatym wejściu wiodącym do mniejszej sali, gdzie ucztowali przyboczni Drakuli i jego gości. Przyjaciel spoglądał wprost w jego stronę z uniesionymi lekko brwiami.

Zwątpienie odeszło go tak szybko, jak wcześniej się pojawiło. Przebywając na dworze sułtana, Wład studiował pilnie nie tylko święty Koran.

Co musi się stać, stanie się - postanowił w duchu. - Co więcej, wieść o tym poniesie się szeroko, bo manifestacja władzy dokonana bez świadków to czyste marnotrawstwo sił i środków. Zresztą - dodał w myślach, językiem zataczając kręgi po wargach - czekałem na tę chwilę tak długo, że z pewnością sprawi mi wiele przyjemności.

Raz jeszcze spojrzął na Iona, potrząsnął głową, po czym przeniósł wzrok na innego mężczyznę, który jako jedyny ze zgromadzonych zauważył jego przybycie i odtąd nie spuszczał zeń oczu. Był to guślarz, a zarazem minstrel, wiodący prym, gdy przychodziło do śpiewania ballad. Zastanawiając się, czy ktokolwiek ułoży kiedyś balladę o tej nocy, Wład skinął głową.

Muzyka ucichła w pół nuty, jednakże wokół panował tak wielki rozgwar, że dłuższą chwilę zajęło, nim ktoś to zauważył. Pani Udriste, siedząca przy najwyższym stole, znudzona wywodami swojego męża na temat najlepszych metod polowania na dzika, podniosła wzrok, by sprawdzić przyczynę, dlaczego grajkowie tak nagle ucichli, i zastygła. Ojciec odumarał ją rok wcześniej; pochowała go w czarno-czerwonym stroju i odtąd ujrzała jego ducha już trzy razy. Za każdym razem zdawało się, że chce ją przed czymś ostrzec, jednakże nigdy nie usłyszała wymawianych martwymi wargami przestroóg. Wszelako teraz, rozpoznawszy, kim jest mężczyzna, odruchowo pociągnęła męża za rękaw. Poirytowany na małżonkę żupan odwrócił się i powiódł spojrzeniem w stronę, w którą patrzyła. Uderzenie serca później szepnęło coś do zdziwionego sąsiada.

Z każdą chwilą gwar cichł, przechodząc w podniecone szepty, aż w końcu zaległa cisza. Wład, stojąc z opuszczoną głową i uśmiechem błakającym się na ustach, pozwolił, aby milczenie przeciągnęło się nieco,

zanim przemówił:

- Witajcie, możni panowie i zacne damy, a także biskupi matki nas wszystkich, Kościoła. Witajcie, moi lojalni poddani, na uroczystościach święta najświętszego ze świętych dla każdego chrześcijanina wspominającego dzień, kiedy to Syn Boży powstał z martwych w pełnej chwale i dał nam obietnicę zbawienia wiecznego. Chwalmy Pana!

Przez wielką salę przetoczyło się echo licznych, wypowiedzianych głośniej i ciszej, „Amen! .

- Wiem - kontynuował Wład - że wszyscy modliliście się dzisiaj do Niego - wskazał na spływający czerwoną farbą krucyfiks z Jezusem. - Na własne oczy widziałem, jak piliście Jego krew w Biserica Domneasca, gdzie się wszyscy zebraliśmy. Że wychwalaliście Go i prosiliście o rozgrzeszenie, a także o jeszcze jedno zmartwychwstanie, tym razem Wołoszczyzny. Żeby nasz kraj znów był potężny i nie miał sobie równych. Żeby w niepamięć odeszło bezprawie, które uczyniło z nas biedaków. Żeby wolny człowiek mógł przejechać stajanie od swego domostwa bez obawy, że straci konia, a nawet życie. Żeby zapanował ład i porządek w naszych granicach i żeby raz na zawsze oddalić zakusy sąsiadów, chętnie widzących nas w roli szczap drewna dla ich wojennego ognia. Żeby do naszych rąk powróciło bogactwo, które nam się należy, a nie było dalej tracone i trafiało do obcych za bezcen. Żeby ziemia wołoska znów była silna, zjednoczona pod panowaniem jednego króla.

Wład umilkł, rzucając spojrzenie wzdłuż długiego stołu, zanim dodał na koniec:

- Przynajmniej ja się o to wszystko modliłem. A wy? - Uniósł dzban, postąpił ku kobiecie, która pierwsza go zauważyła, i ku jej mężowi, dolał im do pucharów wina, po czym powtórzył pytanie:

- Czy i ty, Maneo Udriste, modliłeś się o to samo?

Żupan, którego chuda szyja i wąska twarz wystawała z gronostajowego kołnierza trzykrotnie dlań za dużego, uśmiechnął się słabo.

- Oczywiście, mości wojewodo. Modliłem się o te wszystkie rzeczy, które raczyłeś wymienić. Jak również o twe niesłabnące zdrowie.

- Jakże lojalnie z twojej strony! - skomentował Wład, już przesuwając się dalej i dolewając wina do następnych pucharów. - A ty, dworniku Codreo? Czy modliłeś się o to, co powinno być szczególną troską każdego sędziego? O praworządność na naszej ziemi?

Wymieniony z imienia bojarzyn, o poczerwieniałej od trunku twarzy i

obwisłych podbródkach upodabiających go do spożywanej świni, skinał zamasyście głową.

- Będąc twym głównym doradcą i sędzią, nie mógłbym modlić się o nic innego.

- Ależ oczywiście - Wład już stawał naprzeciwko kolejnego możnowładcy, który w odróżnieniu od swego korpulentnego poprzednika zdawał się olbrzymem. Zajmował niemal trzy miejsca siedzące na ławie, a wraz z żoną niemal pięć, gdyż kobieta nie zaliczała się do zwiewnych istot. Już na pierwszy rzut oka poznać było, że przydomek: Wielki, zdobył nie tylko dzięki swoim czynom. - A ty, Albu cel Mare ? Czy i twoje modlitwy dotyczą spraw równie wysokich?

- Sądzę, że wystarczająco. - Odpowiedź padła znudzonym tonem. - Liczy się jednak to, że zazwyczaj dostaję to, o co proszę. Ale przecież ty o tym już dobrze wiesz, czyż nie, Władzie Drakulo?

Choć „Drakula” oznaczało „syna Smoka” i samo w sobie nie było obraźliwe, wszyscy wiedzieli, że powinno być zostac poprzedzone tytułem, i niczyjej uwagi nie uszło przeciągnięte „o” na końcu. Ktoś w głębi sali nawet zachichotał. Na twarzach pojawiły się uśmiechy, rychło jednak stłumione, gdy dwaj mężczyźni - starszy i młodszy, wysoki i niski, otyły i szczupły, mierzyli się w milczeniu wzrokiem.

- Dostajesz to, o co prosisz, Albu Wielki - powiedział Wład, kładąc nieznaczny akcent na ostatnie słowo. - Ależ naturalnie, że tak! Ostatnio, zdaje się, dostałeś wioski Glodul i Hintea - Popraw mnie, jeśli się mylę

- Przylegały do moich ziem.

- Teraz na pewno przylegają - zgodził się Wład, przechylając lekko głowę. - Ale powiedz, proszę, co stało się z ludźmi, którzy w nich mieszkali?

Cel Mare pstryknął palcami.

- Zniknęli. Co za niespodzianka.

- Rzeczywiście. Zwłaszcza że zniknęło także złoto z monasteru w Govarze

- Ależ skąd! - Wielkolud nachylił się, rozciągając usta w szerokim uśmiechu. - Złoto, o którym mówisz, znalazło się w mojej piwniczce. Kiedy płonął stary klasztor, poczułem, że moim obowiązkiem jest zapewnić kosztownościom bezpieczne schronienie. - Ostentacyjnie popatrzył na krucyfiks i przeżegnał się.

Wokół rozległy się bardziej otwarte śmiechy. Nawet Wład, rozejrzawszy się po sali, przyłączył się do ogólnej wesołości.

Powyżej Ilona, siedząca wciąż z twarzą przyciśniętą do kratownicy, sapnęła ze zdumienia. Jej księżę czasem śmiał się przy niej, razem z nią.

Były to nader rzadkie okazje, lecz takie, na jakie warto było czekać choćby i całą wieczność. Niemniej nigdy nie słyszała, aby Wład Drakula śmiał się przy innych. Zaciśnęła palce na obramowaniu okienka, nie przestając odczuwać bólu w dole podbrzusza.

W dole śmiechy wreszcie umilkły. Wład pochylił się, dolał wina do pełna w stojącym przed nim pucharze.

- Wzniesmy toast, Albu. Za chrześcijańską powinność. - Wielkolud nie uniósł pucharu. - Nie pijesz, żupanie?

Albu nie przestawał się uśmiechać.

- Wychylę kielich, jeśli i ty to uczynisz.

Wład wskazał na małe metalowe drzewka rozmieszczone w równych odstępach na całym stole. Płomyk pojedynczego ogarka tkwiącego na ich szczycie rozjaśniał maleńkie kawałeczki czegoś czerwonego poprzyczepianego do „gałązek”.

- Czyżbyś nie ufał owocowi takiego drzewka? - zapytał. Albu odburknął:

- Żmijowe zęby to jedno. Są tacy, co powiadają, że chronią przed trucizną. Ja jednak uważam, że przed otruciem najlepiej chroni widok człowieka pijącego wino, które oferuje innym. - Skinął w stronę dzbana w rękach Drakuli. - Zatem napijesz się ze mną?

- Oczywiście. Jakiż był toast? Ach tak, już pamiętam, za chrześcijańską powinność. - Wład uniósł dzban, przechylił, pozwalając, by szeroka struga szkarłatnego płynu połała mu się na przód koszuli. Po krótkiej chwili Albu sięgnął po swój puchar, upił z niego łyk, po czym znów odstawił.

- Obowiązki wierność - mruknął Wład. - Nasunęło mi się właśnie pewne pytanie. Do was wszystkich - powiódł spojrzeniem wzdłuż wysokiego stołu, a potem po całej komnacie. - Ilu królom Wołoszczyzny ślubowaliście wierność?

Mężczyźni odwracali wzrok, unikając spojrzenia jego szmaragdowych oczu. Jedynie Albu miał dość odwagi, by odpowiedzieć:

- Królom? - zastanowił się przez chwilę. - Chyba straciłem rachubę. Dziesięciu? Dwunastu? Doprawdy, ciężko to spamiętać. Tak szybko się zmieniają na tronie.

Tym razem nikt się nie roześmiał.

- Tak szybko się zmieniają na tronie - w zamyśleniu powtórzył za nim Wład. - Podczas gdy ty pozostajesz tym, kim byłeś. - Wpatrzył się w

mężczyznę siedzącego naprzeciwko i obniżył głos, tak że ci siedzący w dalszym sąsiedztwie musieli wyęczać słuch. - Słyszałem o tobie jeszcze jedną historię, Albu. Ponoć byłeś przy tym, jak umierał mój brat Mircza

Wszyscy obecni równocześnie wciągnęli do płuc powietrze. Każdy jak zahipnotyzowany wpatrywał się w dwóch mężczyzn, którzy z kolei nie odrywali oczu od siebie.

- To nieprawda - stwierdził pewnie Albu.

- Nie? - Wład ponownie przechylił lekko głowę. - To by oznaczało, że ten, kto mi o tym opowiedział, skłamał. A widzisz, jego zdaniem i ty, i mój drugi lojalny poddany, Manea Udresti, jak również mój nieoceniony i prawy sędzia Codrea, byliście tam wszyscy.

Na moment przeniósł spojrzenie na dwóch pozostałych mężczyzn, którzy kręcąc głowami, mruzcili jakieś zaprzeczenia.

- Dowody, Władzie Drakulo - powiedział Albu, odsuwając się wraz z ławą od stołu, tak by mógł rozejrzeć się po sali. Ale w zasięgu wzroku nie było ani jednego strażnika. Tylko trzydziestu bojarzynów, niektórzy z żonami, inni, tak jak on, z synami. Każdy miał przed sobą nóż do mięsiwa. A przeciwko sobie hospodara z pustymi rękami, jeśli nie liczyć na wpół opróżnionego dzban. Dostrzegłszy to, Albu odprężył się i znów przywołał na usta uśmiech. - Jakie masz na to dowody?

Ukryta za zasłoną z drewnianej kratownicy Ilona krzyknęła. Skurcz dopadł ją ponownie, tym razem z podwójną mocą, tak intensywny jak jeszcze nigdy przedtem. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna zawołać służkę albo damę do towarzystwa, znienawidzoną Elisabetę. Mimo to nie chciała uронić nic z tego, co rozgrywało się w dole. Nie mogła zostawić swego lwa zdanego na łaskę szakali.

- Hm Ciekawe, czy mógłbym to uczynić - rzekł cicho Wład. Odstawił dzban, sięgnął do krańca mięsistego czerwonego adamaszku pokrywającego stół i zaczął bawić się frędzlem. - Pewnie nie. Ale jeśli nawet nie zdołam udowodnić, kto był obecny przy śmierci Mirczy, być może uda mi się udowodnić coś innego. To, w jaki sposób umarł. Bo doszły mnie słuchy, że nie został skrócony o głowę, tak jak mój ojciec. Spotkało go coś zupełnie innego Ponoć najpierw był długo torturowany, później wypalono mu oczy, a na koniec pogrzebano go żywcem.

- Ja również słyszałem tę pogłoskę, książę - rzucił dwornik Codrea, spoglądając z niepokojem w stronę wciąż mierzących się ciężkim wzrokiem mężczyzn. - Przyjrzałem się sprawie, co było moim obowiązkiem, i choć nie

byłem w stanie zbadać wszystkich aspektów choćby z tego względu, że nigdy nie odnaleziono trumny

- Masz rację. Nie odnaleziono jej - wpadł mu w słowo Wład, rzucając spojrzenie przez wielką salę i nieznacznie kiwając głową Ionowi, po czym zaraz wrócił wzrokiem do maltretowanego frędzla.

- Aż do teraz.

Skończywszy mówić, Wład pochylił się i z całych sił szarpnął obrusem. Naczynia i sztuce, dzbany i metalowe drzewka z poprzyczepianymi zmijowymi zębami, całkiem świeże dania i ogryzione kości - wszystko poderwało się do lotu, by zaraz opaść z hukiem na podłogę, roztrzaskując się w drobny mak. Niewypite napoje rozlały się po posadzce, barwiąc ją czerwienią. I wtedy każdy, kto miał oczy, mógł zobaczyć, że najdostojniejsi goście bynajmniej nie wieczerzali przy zwykłym stole, lecz przy trumnie.

25. PAN ZMARTWYCHWSTAŁ

Rozpętało się pandemonium. Rozległy się piski kobiet, wrzaski mężczyzn, zgrzyt przesuwanych po kamiennej posadzce ciężkich krzeseł i ław, powstał zamęt kotłujących się ciał. Zastawa i świeczniki wciąż z hukiem spadały na ziemię, kiedy pierwsi bojarzynowie chwytali za noże i ustawiali się przed swymi przerażonymi połowicami. Tylko Wład ani drgnął. Stał bez jednego ruchu i patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę. Pośród ogólnego harmideru dał się słyszeć ryk:

- Co to ma znaczyć, Władzie Drakulo?

Hospodar wołoski podniósł wzrok na wzburzonego Albu Wielkiego.

- Przedtem widziałem, jak wylazłeś na stół, cel Mare. Czy to nie dziwne, że tańczyłeś na grobie? I to takim, który pomogłeś wypełnić?

- Nie zamierzam dłużej słuchać twoich oskarżeń! - krzyknął Albu i odwracając się ku łukowatemu przejściu pomiędzy wielką salą a przylegającą do niej mniejszą komnatą, zawołał: - Miklos! Zwołaj ludzi! Kończymy ucztę!

Wszyscy - z wyjątkiem Włada - popatrzyli w stronę przejścia i dojrzeni, jak wyłania się stamtąd jeden mężczyzna. Miał na sobie biały dublet z wyhaftowaną na rękawie głową dzika, głoszącą wszem wobec, iż jego właściciel jest w służbie u Albu Wielkiego.

- Miklos! - ryknął żupan. - Gdzie reszta?

Człowiek w białym stroju nie odpowiedział. Zamiast tego oderwał wzrok od swego pana i przeniósł spojrzenie w dół, na śnieżnobiałą materię dubletu, która właśnie zmieniała barwę na czerwoną. Na jego oczach spod dopiętych pól ubioru wypadło coś, co chciał - bezskutecznie - pochwycić. Wysięk, jaki w to włożył, nie poszedł na marne o tyle, że zaraz opadając na kolana, dołączył do swych wnętrzności na posadzce.

Narastający pisk niewieści zagłuszył odgłos kroków grupy mężczyzn wmaszerowujących na galerię powyżej i nie pozwolił, by nawet najbystrzejsze ucho posłyszało dźwięk napinanych cięciw, aczkolwiek nie sposób było nie dojrzeć trzydziestu witeziów stanowiących doborową gwardię przyboczną Drakuli. Że to oni, poznać się dało po czerwono-czarnych strojach z emblematem obwiedzionego srebrną nicią smoka na rękawach. Każdy z nich wymierzył strzałę gotową do wypuszczenia z łuku w

pierś wybranego bojarzyna, tak że nie znalazł się teraz pośród nich śmiałek, który by wciąż trzymał w ręku nóż. Broń opadała wprost na podłogę i już po chwili tylko dwaj mężczyźni dzierżyli w dłoniach ostrza, Ion ocierał swoje z krwi o własny rękaw, Drakula natomiast dopiero co dobył sztyletu.

- Codrea! - zawołał Wład.

Dwornik podskoczył jak dźgnięty, po czym przyłgął do żony, dukając:

- T t tak, książę?

- Zdaje się, że powiedziałeś, iż gdybyś tylko znalazł miejsce pochówku mego brata, drążyłbyś sprawę dalej aż do pełnego wyjaśnienia. - Wład dotknął opuszkami palców wieka drewnianej skrzyni. - Podtrzymujesz chęć odkrycia prawdy?

- A a ale - bąknął Codrea i przełknął ciężko. - Minęło aż dziesięć lat od nieszczęśliwego ehm zniknięcia Mirczy. Pewnie nic już nie - zawiesił głos, bezradnie wskazując trumnę.

- Jeżeli prawdą jest to, co mówią, że mój brat był przed śmiercią torturowany, że wypalono mu oczy, zanim zakopano go żywcem w ziemi, muszą być tego jakieś ślady.

- S ś ślady, książę?

- Tak, ślady - potwierdził Wład bez mrugnięcia. - Przekonajmy się. Gdzie twój nóż, Codreo? - Kiedy dwornik pokazał puste dłonie w geście niemal poddańczym, Drakula pokręcił głową. - Ależ nie, nie o to mi chodziło. Weź nóż do ręki. Pomóż mu, Ion

Wkrótce potem Codrea został zaciągnięty na środek sali i zmuszony do pochwycenia pierwszego z brzegu ostrza. Wówczas Wład umieścił czubek swojego sztyletu pomiędzy wiekiem i ścianką trumny.

- No dalej, sędzio - ponaglił. - To twoja robota.

Jeden po drugim zaczęły puszczać gwoździe, aczkolwiek działało się to raczej dzięki staraniom Iona aniżeli starego Codrei. Wreszcie, kiedy już żaden trzpień nie mocował wieka, Wład rozejrzał się po sali i uniósł je ledwie na palec.

Wokół rozeszła się nieprzyjemna woń. Bynajmniej nie odór gnijącego ciała, jako że robactwo zdążyło już zrobić swoje i zamienić w proch to, co było kiedyś ludzkim mięsem. Raczej zapach rozkładu, jaki towarzyszy źle zapeklowanej wędzonce.

- Hm - mruknął Wład, próbując unieść wieko wyżej. - Coś tu dalej trzyma. Ion, Codrea, podnosimy wszyscy razem na trzy, cztery. Tylko delikatnie

Wspólnymi siłami zdołali otworzyć trumnę, co wywołało kolejną falę krzyków. Do wewnętrznej strony wieka bowiem uczepione były dwie kościane dłonie, które jakby pomagały wypchnąć deskę do góry. Przez moment trwały tak, niczym przybite do drewna, po czym rozległ się głośny trzask i poszczególne kostki opadły na dno z grzechotem.

Nic już nie stało na przeszkodzie, by ustawić wieko w pozycji pionowej. Wład jako jedyny pochylił się i przyjrzał wewnętrznej stronie pokrywy, do której wciąż coś było przyczepione. Wyciągnął rękę i dotknął pożąłkłego paliczka, po czym oderwał go od wieka skrzyni.

- Drzazgi - rzekł, przyglądając się kostce bliżej. - To one musiały zespolić palce z drewnem, zwłaszcza odkąd paznokcie robiły się coraz dłuższe. - Uniósł samotny knykieć, aby każdy mógł dojrzeć skreślony i niemiłosiernie długi paznokieć. - Mircza zapuszczał je w jednej dłoni za życia, gdyż był lutnistą, nigdy wszakże nie pozwalał, aby krępowały mu ruchy. - Obejrzał paliczek pod światło pochodni, obracając go na wszystkie strony. - Aż dziw pomyśleć, że ten oto palec kiedyś wydobywał ze strun lutni najwspanialsze dźwięki. - Ostrożnie złożył fragment kości we wnętrzu skrzyni, po czym raz jeszcze zwrócił uwagę na wieko. - A te rysy, Codreo? Jaki wniosek wysnułby z nich sędzia? Sądząc po ich liczbie i głębokości?

Oczy dwornika były ogromne, równie wielkie zdawały się usta otwarte na całą szerokość, zanim w końcu przemówił:

- Ż... że został pochowany za życia, książę. I że drapiąc w wieko, próbował wydostać się na powietrze.

Wład przytaknął.

- Zgadza się. To bardzo rozsądny wniosek. Zatem teraz już wiemy - rozejrzał się po sali - jak umarł mój brat. Ale co spotkało go wcześniej? Co jeszcze zwraca twoją uwagę, sędzio? Stamtąd niewiele widzisz. Przyrowadź go bliżej, Ion!

Rycerz ponownie przyciągnął dwornika do trumny. Położywszy mu jedną dłoń na karku, zgiął starca w pół nad otwartym wnętrzem.

- Co jeszcze widzisz, Codreo? - kontynuował Wład. - Bo nie wątpię, że widzisz w przeciwieństwie do mego brata w ostatnich chwilach życia. O czym świadczy to wiele mówiące zaczerwienienie oczodołu, ta łuszcząca się kość, te odpryski wokół? Na moje oko - uśmiechnął się okrutnie - spowodował je żelazny pręt, rozpalony do białości, przytknięty do twarzy i przytrzymany zbyt długo. Czy zgodzisz się ze mną, Codreo? To właśnie widzisz? Szczątki człowieka, który został oślepiiony, zanim umarł z braku

powietrza?

- Jezu miłosierny! - wrzasnął dwornik, starając się oswobodzić z mocarnego uścisku Iona. Ów jednak ani myślał go puszczać, a że był dziesięciokroć silniejszy od starca, trwali tak sczepleni razem nad otwartą trumną.

Na nieznaczne skinienie Włada z cienia wystąpili Ilie i Stoica, obaj odziani w mroczną czerń, i od tyłu ujęli sędziego za ramiona.

- W istocie - rzekł Wład, podchodząc do najbliższej pochodni i umieszczając koniec sztyletu w jej płomieniu - Jezus jest miłosierny. Mimo to Mirczy Drakuli nie spotkała niczyja łaska. Ty także jej nie dostąpisz.

- Nie! Nie! Nie! Nie! - krzyczał dwornik, podczas gdy Ilie i Stoica, już bez pomocy Iona, obracali go, opierając o trumnę, tak że Codrea tkwił tam unieruchomiony pomiędzy drewnem i górą mięśni. Jego krzyki przeszły w jednostajny wrzask, kiedy Wład zanurzył rozgrzany koniec ostrza najpierw w lewej, a potem w prawej gałce ocznej, przytrzymując nóż na miejscu przez parę uderzeń serca.

Dwoje obecnych zemdłało, osuwając się na posadzkę, gdzie zaraz dołączył do nich Codrea, drąc się wniebogłosy i przytykając dłonie do tego, co pozostało z jego oczu.

- Zabierzcie go na zewnątrz. Tam czeka już na niego trumna - obwieścił Wład.

Nikt się nie poruszył, kiedy dwaj witeziowie ucapili starca za kostki u nóg i pociągnęli go na plecach w stronę wyjścia, lecz wszyscy skrzywili się jak jeden mąż, kiedy z sieni doszły głuchoe odgłosy czaszki tłukącej o kamienne stopnie. Echo niosło się w murach daleko i dotarło nawet do komnaty, gdzie przy sekretnym okienku siedziała Ilona. Wiedziała, że powinna wstać i poszukać pomocy, lecz nie potrafiła oderwać się od drewnianej kratownicy i od widoku mężczyzny, którego kochała, a którego nie znała. Palce miała kurczowo zaciśnięte i tylko nieludzka siła byłaby w stanie je rozprostować w tamtej chwili.

Kiedy w końcu odgłosy kroków, zawodzenie i głuchoe łomot ucichły, Wład wytarł ostrze o swoją pelerynę, po czym podjął:

- A teraz

Nie dokończył, gdyż przerwał mu okrzyk Manei Udristego, który właśnie dobył zza obszytego gronostajami płaszcza krótki miecz.

- Nie! - krzyknął i ruszył na Włada.

Zrobił pierwszy z trzech dzielących go od Drakuli kroków, kiedy

równocześnie dosięgły go dwie strzały: jedna trafiła w szyję, druga zaś pośrodku piersi. Obie zostały wystrzelone z tureckich łuków, zdolnych posłać pocisk na pięćset kroków i nadal poczynić znaczne szkody w ludzkim ciele. Jako że te miały do pokonania odległość zaledwie dziesięciu kroków, nie tylko przeszły żupana na wylot, ale również osadziły go w miejscu, ciskając z powrotem na krzesło, na którym ucztował.

Wład pochylił się nad niedoszłym zabójcą, wpatrzył w zachodzące mgłą oczy, do ostatniej chwili pełne zdumienia. Ionowi przypomniało się wspólne polowanie sprzed lat, to, jak jego przyjaciel pochyłał się nad dzikiem trafionym oszczepem, jego słowa: „Trzeba umieć patrzeć na swoje ofiary, kiedy umierają .

Tym razem księżę niczego nie powiedział; po prostu przyglądał się mężczyźnie do czasu, aż ten wyzionął ducha, a potem wyprostował się i mruknął:

- Wielka szkoda. Miałem dla niego w planie coś całkiem innego w rewanżu za jego lojalność.

Stojąca jak słup soli za krzesłem swego męża pani Udriste nagle zrozumiała, przed czym chciał ją ostrzec duch jej zmarłego ojca. Rzuciła się przed siebie ze skrzekiem, jęła szarpać strzały przyszpilające ciało do drewnianego oparcia, nadaremno jednak. Poważny jak rzadko Gregor postąpił do przodu, ucapił kobietę w pasie, oderwał od ziemi. Wciąż wierzgała nogami, kiedy wynosił ją z wielkiej sali, a jej krzyki rozlegały się tak długo, aż czyjaś ręka nie zakryła jej szczelnie ust.

- A co zaplanowałeś dla mnie, Władzie Drakulo?

Wład spojrzał na Albu Wielkiego, olbrzyma spoglądającego nań z wyzwaniem w oczach. Przypatrywał mu się długą chwilę, zanim odpowiedział:

- Coś ciebie wartego.

- Odważyłbyś się ze mną walczyć, Władzie Drakulo? Tutaj, teraz, na noże? - Wolnym ruchem sięgnął do pasa, za który miał wciąż zatknięty sztylet.

W zapadłej nagle ciszy jęk napinanych cięciw zdał się grzmotem, jednakże nie nastąpił po nim świst wypuszczanych z łuków strzał. Wład uniósł bowiem wysoko dłoń, powstrzymując wiernych łuczników. Nie opuścił ręki nawet wtedy, gdy Albu dobył ostrza.

- Czybym się odważył? - Wład pokręcił głową. - Być może. Lecz jaki pożytek przyniosłoby mi uśmiercenie cię w taki sposób?

- Taki, że pokazałbyś wszystkim, iż jesteś prawdziwym mężczyzną.

- Och, sądzę, że o tym wszyscy już od dawna wiedzą. - Wład potrząsnął głową. - Nie, uczciwa walka wręcz dałaby ci szansę na wygraną, a w razie przegranej honorową śmierć, podczas gdy z powodu swej zdrady nie zasługujesz ani na jedno, ani na drugie.

Zanim nawet Albu zdążył odpowiedzieć, Ion uderzył płazem swego miecza w dłoń, która trzymała odsłonięte ostrze. Sztylet żupana upadł z brzękiem na posadzkę.

- Więc zabij mnie! - zawył Albu. - Odetnij mi głowę, dlaczego by nie? W końcu to samo uczyniłem twemu ojcu, Smokowi - szydził. - A był on dwakroć mężczyzną, jakim ty kiedykolwiek masz szansę się stać.

- Głowa za głowę? - zastanowił się Wład. - Pomściłbym swego ojca, zgoda - Skinął, podszedł bliżej, zatrzymał się. - Ale byłaby to wciąż śmierć zbyt honorowa, zbyt lekka. Poza tym zemsta dla samej zemsty nic nie znaczy. Taki akt musi coś ogłaszać światu. - Powiódł spojrzeniem od ściągniętej niepokojem twarzy Albu do innych, nagle odwróconych od niego na wszystkie strony. - Nie jestem w stanie sprawić, abyście nagle mnie pokochali - mówił dalej. - Poddani kochają władcę, gdy im się podoba, za to mogą się bać, gdy podoba się ich panu. A kiedy będą się bali wystarczająco mocno, nie postaną im w głowie zdrady i sprzeniewierzenia. - Obrócił się ku wejściu, gdzie już czekało na rozkazy czterech jego ludzi. - Sprowadźcie ją - polecił. - Przynieście wszystko co trzeba.

Po chwili wszyscy usłyszeli niezwykły w murach dźwięk, miarowe uderzenia żelaza o kamień, a potem także parsknięcie ujawniające, kto nadchodzi, zanim oczom zebranych ukazała się końska sylwetka.

- Oto Kalafat - obwieścił Wład, podchodząc do klaczy i ujmując ją za uzdę. - Dosiadam jej, odkąd mieszkałem wśród Turków. Potrafi być rączy jak wichry i waleczna jak Syn Diabła, który jest jej jeźdźcem - podrapał ją pomiędzy oczami, tarmosząc hreczkę - ale umie też być łagodna i posłuszna najbardziej wymyślnym komendom.

Do wielkiej sali wkraczali coraz to nowi mężczyźni, dźwigający zwoje sznura, kołowrotki, grube szczapy drewna. Strażnicy używali halabard, aby odgrodzić kłębiący się tłum możliwych od środka komnaty, gdzie z kolei uwijali się słudzy odsuwający pod ściany stoły, ławy i krzesła i cały powstały uprzednio bałagan, a także z szacunkiem przenoszący w ustronne miejsce otwartą wciąż trumnę. W centralnej części pozostali tylko: Ion strzegący Albu Wielkiego oraz Wład z Kalafat, bacznie obserwujący swoich ludzi

wypełniających jego wcześniejsze polecenia według wyraźnych instrukcji. Właśnie obwiązywali kawał drewna sznurem, który zaraz mieli przytroczyć do końskiego siodła. Kiedy wszystko zdawało się przygotowane, Drakula przemówił do swego wroga:

- Wybaczysz nam, Albu, jeśli okażemy się nieco niezdarni? Otóż widzisz, tylko raz byłem świadkiem podobnego wydarzenia - zaśmiał się szaleńczo.

W górze, nadal uczepiona kratownicy jak zbawienia i starająca się ignorować narastający w niej ból, Ilona zmartwiała. Jej książę mało się śmiał, a już na pewno nigdy w ten sposób. Jej książę nie stał beczynnym, kiedy najbliższy mu przyjaciel rozdzierał nożem odzienie na bezbronnym, odsłaniając nalane ciało. Jej książę nie klęczał pomiędzy obnażonymi udami mężczyzny - tłustymi, sinawymi i upstrzonymi pieprzykami - gdy ten został już przewrócony na ziemię twarzą w dół.

Choć widziała, jak wraz z ręką jej księcia opada sztylet, nie mogła dostrzec, do czego sięga, i tylko straszliwy krzyk, który zaraz nastąpił i trwał, wzmagając się z każdą chwilą, kiedy pomocnicy obniżali zaoblony na jednym krańcu pał, wsuwając go pomiędzy szeroko rozrzucone nogi żupana, podczas gdy Wład stał już u głowy swej klaczy i szeptał jej coś do ucha, ów krzyk powiedział kobiecie, że dzieje się coś niewyobrażalnego. W momencie kiedy Kalafat zaczęła iść wolno do przodu, Ilonie udało się zamknąć oczy, jednakże nie była w stanie zamknąć uszu, odciąć się od łkania kobiet i od szlochów mężczyzn, i od głębokiego ryku Albu Wielkiego, który cieniał z każdą chwilą, aż w końcu przeszedł w przenikliwy skowyt.

- Pani!

Głos Elisabety doszedł ją z bliska, przebił się przez ogólny hałas zaświadczaający o rozgrywającym się w dole horrorze. Wszelako dama do towarzystwa nie widziała krwi leżącej się w wielkiej sali; wzrok miała utkwiony w czerwonej kałuży u nóg książęcej kochanki. Ilona poczuła na sobie czyjeś dłonie, poczuła, że ktoś chce podnieść ją z krzesła, i rozwarła powieki akurat na czas, by zobaczyć, jak inne ręce unoszą pał, a jeszcze inne naciągają sznury. Równocześnie usłyszała, jak jej książę mówi: - To najtrudniejsza część całego przedsięwzięcia - podczas gdy Albu cel Mare znalazł się w górze, zjechał nieco na palu i zaczął rozpaczliwie machać nogami, które zostały przez kogoś pochwycone, przytrzymane, przybite W tej samej chwili osunęła się na ziemię, lecąc przez ręce Elisabety, mając nadzieję, że straci przytomność, co jednak nie nastąpiło od razu.

Przynajmniej nie przed tym, zanim znów usłyszała jego głos: czysty, spokojny, przebijający się przez niekończący się wrzask. W komnacie na dole Wład odwiązał sznur od siodła klaczy, pytając Iona:

- Dasz sobie radę, Ion?

- Tak sędzę, książę.

- W takim razie zostawię cię samego. Jego żona i syn nie będą potrzebowali konia. Zresztą aby wszystko przyśpieszyć, musimy nauczyć się korzystać z siły ludzkich mięśni. Umieść ich po obu stronach Wielkiego. Skoro wciąż żyje – czyż to nie sukces, biorąc pod uwagę, że to był mój pierwszy raz? – będzie mógł się przyglądać, jak umierają.

Wład wskoczył na siodło, odwrócił Kalafat, wiodąc dokoła spojrzeniem – większość obecnych opadła na kolana i w takiej pozycji łkała, nie śmiąc podnieść głowy – wyminął wszystkich, podjechał do człowieka na palu, a następnie do Boga na krzyżu. Jezusa Bolesciwego.

- Pan zmartwychwstał! - zawołał, lekko uderzając piętami boki Kalafat, po czym opuścił wielką salę swego zamku.

26. POKUTA

Komnatę wypełniło zawodzenie, równie ciężkie do zniesienia dla uszu, jak zapach kadzidła był nieznośny dla nozdrzy. Jedno i drugie miało swoje źródło w osobie duchownego, który stał nachylony nad łóżem, z takim samym zapałem machając miedzianą kadzielnicą i nucąc żałobną pieśń.

Mężczyzna był odziany w szare szaty, stanowiące kontrast dla śnieżnej bieli gieźła Ilony - czwartego, które miała na sobie w ciągu niedługiego czasu, i pierwszego, którego nie splamiła, gdyż krwawienie nareszcie ustało. Wszelako jej opiekunki uznały, iż stało się to zbyt późno, i wezwały duchownego. Gdy czekały na jego przybycie, odgarnęły włosy z jej twarzy bledszej od stroju i splotły na piersi dłonie, wtykając między palce gałązkę rozmarynu i różaniec. Teraz zaś duchowny kołysał się nad nią monotonnie i zawodził. Dwie służki płakały w kącie, a Elisabeta - córka bojarzyna - przyglądała się rozwojowi wypadków z kamienną twarzą. Gdzieś na dole rozległ się łomot do drzwi, potem tupot obutych stóp na schodach i w wejściu do komnaty stanął odziany na czarno, skrwawiony mężczyzna, który z trudem łapał oddech. Kobiety poderwały się z kolan, zbiły w gromadkę, nie zważając na pochodzenie, i z piskiem zeszyły mu z drogi. Wład wydał z siebie ryk i zataczając się, przeszedł przez komnatę, aby dotarłszy do łóża, odtrącić łokciem duchownego, pochwycić dłonie Ilony w swoje, gniotąc więdnącą gałązkę, różaniec i drobne palce.

- Gwiazdo moja - wyszeptał, składając głowę na jej piersi. Moment później poderwał się, podnosząc spojrzenie i mówiąc: - Ona żyje

Do przodu wystąpiła Elisabeta.

- To prawda, książę, żyje

- Więc co robi tutaj ten kruk? Jakiego łupu szuka? - Wład zwrócił pałające spojrzenie na duchownego.

- Zostałem wezwany i jestem - odparł cicho mężczyzna. - A choć żaden medyk ze mnie, widziałem wielu na granicy życia i śmierci. Powiadam, że ta niewiasta jest jedną nogą w grobie i muszę przygotować ją na przyjęcie Pana.

- Skoro nie jesteś medykiem, nie będę słuchał twojego krakania o jej rychłej śmierci! - Przeniósł wzrok na kulące się kobiety. - Był tu jaki balwierz?

- Był, książę. Poszedł godzinę temu, zrobiwszy co w jego mocy.

- Coś mi się widzi, że niewiele mógł - Wład odszukał oczyma postać Czarnego Ilie stojącego wciąż w proggu. - W pobliżu Strada Scaloian mieszka babka wiedząca. Wołają ją Marca. Sprowadź ją, a chyżo.

Mężczyzna skłonił się, obrócił na pięcie i zbiegł po schodach. Duchowny złapał się za usta.

- Będziesz tu sprowadzał czarownicę?! Kiedy ja stoję tutaj ze słowem Bożym na ustach i we mnie?

- Prawda to, że Marca jest Cyganką i że przepowiada przyszłość. Stąd właśnie ją znam. Ale prawdą jest i to, że potrafi leczyć ziołami i modlitwą. Jeśli coś takiego nazywasz czarodziejstwem, trudno, twoja wola. Mnie to nie przeszkadza. - Powstał z kolan i podszedł do duchownego tak blisko, że zdawało się, iż stykają się nosami. Byli tego samego wzrostu, pewnie też w tym samym wieku, chociaż długa broda duchownego przydawała mu lat. - Co więcej, zapowiadam ci, że zawrę pakt z samym szatanem, byle tylko moja Ilona wydobrzała. Więc chyba możesz sobie już pójść, nie będziesz więcej potrzebny.

Duchowny jednak nie uląkł się groźby czającej się w oczach i słowach Drakuli.

- Nie, książę. Chyba powinienem zostać. Ktoś musi chronić duszę tego dziecka przed synem Diabła.

Elisabeta aż sapnęła z wrażenia. Stoica i Gregor zbliżyli się o krok, aby móc szybciej zareagować na rozkaz swego pana. Byli przekonani, że Wład rozkaże ukarać to jawne nieposłuszeństwo, on jednak nie dał im żadnego znaku. Przez długą chwilę milczał, wpatrując się w twarz przed sobą, a potem przemówił:

- Czy wiesz, człowiecze, co uczyniłem dzisiejszej nocy?

- Słyszałem. I widzę. Wciąż masz na twarzy krew swego bliźniego.

Wład uniósł dłoń, przejechał nią po twarzy, a następnie zapatrzył się na rdzawe koniuszki swoich palców.

- Albu Wielkiego - rzekł w zamyśleniu, po czym nagle wzrok mu się wyostrzył. - Mógłbym zgotować ci jego los.

- Wiem, że mógłbyś, książę. Ale nie sądzę, abyś to zrobił.

- Ponieważ się nie odważę?

- Ponieważ nie potrzebujesz - padła spokojna odpowiedź. - Drakula zabija wtedy, gdy widzi w tym jakąś korzyść dla siebie. Albo po prostu żeby okazać swoją siłę. Mnie nie ma potrzeby zabijać. To by niczego nie dało.

Wład odsunął się do tyłu, aby lepiej przyjrzeć się rozmówcy.

- Wydaje ci się, że coś o mnie wiesz - stwierdził.

- Trochę wiem. Obserwowałem cię z bliska. Byłem w twojej armii, kiedy na niebie pojawiła się kometa.

- Żołnierz i duchowny zarazem?

- W tej chwili już tylko duchowny. - Mężczyzna przymknął oczy. - Postanowiłem przywdziać habit właśnie podczas tamtej wojny.

- Doznałeś objawienia w drodze do Damaszku?

- Nie, książę - odparł cicho mężczyzna. - Zwyczajnie naoglądałem się za dużo krwi. Wład patrzył nań przez chwilę w milczeniu.

- Jak się nazywasz?

Mężczyzna zawahał się, nim odpowiedział:

- Obecnie noszę miano brat Wasyl.

Drzwi na dole znów trzasnęły, ponownie rozległo się skrzypienie drewnianych stopni.

- Zaciekawileś mnie - stwierdził Drakula. - Zostań.

Ilie wepchnął do komnaty staruszkę. Jej strój mącił wzrok nagromadzeniem gryzących się barw, zdawał się składać z niezliczonych warstw, a jego zwieńczeniem była chustka na głowie przeplatana srebrną nicią i połyskująca poprząszywanymi malutkimi lusterkami. Świadczyło to o tym, że kobiecie dobrze się powodzi, a skoro tak, musiała trafnie odczytywać przyszłość, jak również pomagać w sytuacjach jak ta, do której ją teraz wezwano. Za nią dreptała śniada dziewczynina, też ubrana kolorowo, aczkolwiek znacznie skromniej. Obie dygnęły przed Władem i przeżegnały się na widok duchownego, po czym starsza ruszyła prosto w stronę łoża. Najpierw uniosła powieki Ilony, później przyłożyła dłoń do jej głowy i serca, na koniec zaś nachyliła się, aby powąchać oddech. Zakończywszy badanie, odwróciła się do dziewczek służebnych i zadała im jakieś pytanie w swoim języku. W żyłach młodszej z dwu kobiet, śniadolicej, najwyraźniej płynęła odrobina cygańskiej krwi, gdyż odpowiedziała niemal natychmiast, po czym z lekkim wahaniem wskazała kubeł stojący w kącie. Znachorka podniosła się i pokuśtykała tam, uniosła pokrywę i zajrzała do środka. Odwróciwszy się, znów powiedziała coś szybko w swoim rodzimym języku, tym razem do towarzyszącej jej dziewczyniny, na co ta wypadła z pomieszczenia i na złamanie karku pognęła w dół po schodach. Wład poblądł; wymierzył palcem w kubeł.

- Co - urwał, kiedy jedna ze służek zaczęła szlochać. - Co się stało?

Mówcie! - Jednym susem dopadł Elisabety, potrząsnął nią za ramię.

Kobieta krzyknęła, kiedy palce wbiły się jej w ciało.

- Książę! To jest to było twoje dziecko.

Wypuścił ją w okamgnieniu i oklapł, jakby go ktoś uderzył. Brat Wasyl poderwał się z miejsca, wyminął Drakulę, który stał jak przy-murowany, i schylił się, aby podnieść kubek.

- Zabiorę to stąd. Cyganicha je widziała, a przecież wszyscy wiedzą, że takie jak ona wykorzystują tłuszcz nienarodzonych dzieci do warzenia swoich przeklętych dekoktów. Zabiorę to i

Wład powstrzymał go.

- Chcę zobaczyć - szepnął.

- Książę

- Chcę zobaczyć - powtórzył nieznośnym sprzeciwu tonem Drakula - co Ilona i ja powołaliśmy do życia i co odebrał nam Bóg. - Ponaglił duchownego skinieniem głowy. - Odchył wieko.

Brat Wasyl z westchnieniem usłuchał. Dwaj mężczyźni przez długą chwilę przyglądali się zawartości kubła. Wreszcie Wład skinął ponownie.

- Syn - powiedział po prostu. - Czarnowłosa jak każdy z rodu Drakulów. - Spojrzał w stronę wyprężonej na łożu postaci. - Mówiłem jej, że tym razem spłodzę syna

- Tym razem? - podchwycił duchowny, umieszczając pokrywę kubła na swoim miejscu. - Więc popełniłeś ten grzech już wcześniej?

Wład wydawał się zaskoczony.

- Grzech?

- Masz więcej dzieci, książę? Wzrok gospodarza złagodniał.

- Dwie córki. Przynajmniej o tylu tylko wiem

- I płodząc je, nie byłeś mężem ich matek? Podobnie jak nie jesteś żonaty z tą tutaj niewiastą? - dopytywał brat Wasyl.

- Dobrze wiesz, że nie!

- Grzesznik!

Wszyscy obecni zamarli w oczekiwaniu na wybuch gniewu księcia. Ten jednak nie nastąpił.

- Uważasz, że spotkała mnie kara za moje grzechy? Chociaż wszyscy mężczyźni wokół grzeszą tak samo jak ja, a mimo to roi się koło nich od nieślubnych zdrowych dzieci?

Brat Wasyl potrząsnął głową.

- Nie twierdzę, że posiadam zdolność pojmowania wyroków Boskich -

rzekł wolno. - Nie umiem powiedzieć, dlaczego Pan Bóg wybiera jednych i srodze ich karze, podczas gdy innym gorsze występki uchodzą na sucho. Niewykluczone wszakże, iż to co przystoi maluczkiemu, nie przystoi księciu także w oczach Najwyższego.

- Grzesznik ze mnie, powiadasz - mruknął pod nosem Wład, nie odrywając oczu od Ilony. - A gdybym postanowił odpokutować za moje grzechy? Czy wtedy Pan Bóg oszczędziłby życie tej niewiasty?

- Z Panem Bogiem się nie pakuje - rzekł twardo brat Wasyl.

- Doprawdy? A mnie się wydawało, że modlitwa to nic innego jak ciągłe paktowanie. Mówimy przecież: „Panie Boże, oddam Ci to, jeśli tylko dostanę od Ciebie tamto

- Modlitwa to zaledwie część długiego łańcucha. Trzeba jeszcze spowiedzi i prawdziwej pokuty. A także

- Spowiedzi? - wpadł mu w słowo Wład, odstępując od łoża położnicy. - Nie spowiadałem się od wieków. Dlatego wyznaczam cię na mojego spowiednika.

Duchowny aż się cofnął, tak go zaskoczyła ta propozycja.

- Książę, nie Nie jestem dość zdolny. Młody wiekiem, niedoświadczony Wystarczająco absorbują mnie sprawy moich owieczek

- I będzie tak dalej. Zostaniesz, gdzie jesteś, tyle że przybędzie ci jedna owieczka więcej.

- Ale - Duchowny rozpaczliwie szukał dalszych argumentów. Nie znalazłszy ich, bezradnie wrzucił ramionami. - Dlaczego ja?

- Byłeś żołnierzem. Żyłeś jak prawdziwy mężczyzna, więc zrozumiesz grzechy innego mężczyzny. Poza tym odkąd opuściłem turecki enderun, nikt ani razu nie mówił do mnie takim tonem, jakiego ty właśnie wobec mnie użyłeś.

- Nie wolno mi - zaczął brat Wasyl, lecz przerwało mu kłaśnięcie drzwi na dole. Na schodach rozległy się kroki.

Wszelka krew odpłynęła z twarzy Włada. Ciemność zasnuła mu oczy, kiedy przeniósł wzrok na łożo i spoczywającą w nim kobietą postać.

- Ani słowa więcej - rozkazał. - To już postanowione. Wyznam ci swoje winy i chęć zadośćuczynienia za grzech. Nawet jeśli to prawda, że z Panem Bogiem się nie pakuje, tu i teraz uroczycie przed nim przysięgam, a przecież będąc Wszchemogącym, z pewnością wie, że zawsze dotrzymuję przyrzeczeń, iż jeśli pozostawi moją Ilonę przy życiu, nigdy już nie spłodzę

potomka z nieprawego łoża.

Ledwie wymówił ostatnie słowo, do komnaty weszła dziewczynina z małym kubelkiem w garści. Spod pokrywki wydobywała się gęsta para. Stara Cyganka odebrała naczynie od pomocnicy, podeszła prosto do łoża i przysiadła na nim. Ułożyła sobie głowę Ilony na kolanach, przytknęła brzeg kubelka do warg nieprzytomnej i jęła coś mamrotać pod nosem. Większość płynu pociekła bokiem, ale część musiała trafić do gardła, bo Ilona zakrztusiła się i z trudem przełknęła. Brat Wasyl westchnął głośno. Najwyraźniej nie miał nic do powiedzenia w sprawie swego dalszego losu.

- Módlmy się - zaintonował. - Módlmy się o to, aby księżę zdołał dotrzymać danego Bogu słowa, a także prosimy Najwyższego, by zechciał zachować tę nieszczęsną niewiastę przy życiu, gdyż nikt inny nie jest już w stanie jej pomóc

Wszyscy obecni uklękli, a duchowny - odstawivszy chlupoczący kubek za siebie - sięgnął po kadzielnicę. Kołyszac ją w powietrzu i zatrzymując gwałtownie, aby wydobyć ze środka słodko pachnący dym, rozpoczął inkantację, robiąc przerwy, podczas których do modlitwy włączali się pozostali. W oddali na kościelnej wieży dzwon wybił szóstą.

W dalszym ciągu klęczeli i zanosili modły, kiedy rozległo się siedem uderzeń dzwonu. Wszelako rozbrzmiały tylko trzy uderzenia, gdy leżąca niczym nieżywa kobieta poruszyła się i jęknęła. Drakula zerwał się na równe nogi w okamgnieniu, przemierzył komnatę i znalazł się przy łożu, gdzie już sięgał po blade jak śmierć dłonie.

- Miłości moja? - szeptał. - Wracaj do mnie, słyszysz? Powieki Ilony zatrzepotały i pozostały uchylone.

- Mój księżę - powiedziała samymi wargami. Wład dostrzegł w jej oczach światelko życia, zanim powieki na powrót się przymknęły.

Spoglądał na nią przez długą chwilę, licząc, że znów na niego spojrzy, kiedy się jednak nie doczekał, zwrócił się do starej Cyganki:

- Będzie żyła?

Kobiecina wzruszyła ramionami.

- Jeśli księżę pan tego sobie życzy

Duchowny podszedł bliżej, przerywając starszce w pół zdania.

- Życie tej niewiasty jest w rękach Boga - rzekł stanowczo.

- W rękach Boga - skinął Wład - i w moich.

To powiedziawszy, zacisnął mocniej palce na niemal przezroczystych dłoniach Ilony.

27. PIERWSZA SPOWIEDŹ

- Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłem przeciwko niebiosom i tobie.

- Ależ książe, wstań z kolan!

- Nie! Chcę spowiadać się na klęczkach! Przynajmniej ten pierwszy raz. Trudno rzec, czy w przyszłości zawsze będziemy mieli podobne warunki: zaciszną kaplicę, miękki kobierzec. Więc przynajmniej ten jeden raz niech wszystko odbędzie się jak należy.

- Zatem ja także uklęknę. Abyśmy mogli pomodlić się wspólnie.

Dwaj mężczyźni klęczeli naprzeciwko siebie tuż przed ołtarzem. Cerkiew zdążyła już opustoszeć po nabożeństwie. Wierni zgromadzili się, odśpiewali hymny, adorowali Hostię i tajemnicę Ducha Świętego i powrócili do swoich spraw oczyszczeni z grzechów, pełni odnowionej nadziei i głębokiej wiary. Wład nie przyjął komunii ani pod postacią opłatka, ani pod postacią mszalnego wina, gdyż zbyt wiele czasu upłynęło od jego poprzedniej spowiedzi. Najpierw musiał wyznać swoje winy.

Z fresków na murach spoglądały nań postacie licznych świętych, przedstawionych na rozmaitych etapach życia, a znacznie częściej - męczeństwa. Za plecami księdza, poza balustradą, nad ołtarzem, wisiała figura Pana Jezusa na krzyżu; cierpienie na Jego twarzy zostało wydłubane dłutem w drewnie i odmalowane farbami, tak że nie można było mieć wątpliwości, iż są to ostatnie minuty Jego życia na ziemi. Przed figurą Zbawiciela unosił się gęsty obłok dymu z kadzielnicy, obok której stał złoty kielich podarowany świątyni zaledwie tego ranka przez hospodara Wołoszczyzny.

- Książe - odezwał się duchowny, skończywszy krótką modlitwę. - Zanim zaczniemy, muszę ponowić swoje pytanie: czy jesteś pewien, że właśnie mnie chcesz na spowiednika? Ktoś tak znaczny jak ty powinien się spowiadać przed głową Kościoła na naszej ziemi, przed metropolitą, któremu nieobce są sprawy racji stanu, z pewnością stanowiące tło twoich domniemyanych grzechów i przewinień przeciw przykazaniom. Ja jestem tylko prostakiem

- Który swego czasu był żołnierzem?

- Tak.

- I grzesznikiem?
- Każdy człowiek rodzi się grzeszny.
- Ale ty masz na sumieniu ludzkie żywoty?
- Niech Bóg mi wybaczy, tak.
- I wiesz, co to miłość kobiety?
- Tak - przyznał z westchnieniem brat Wasyl. - Popełniłem większość zwykłych grzechów, a także nieco niezwykłych. - Od-kaszlnął nerwowo. - Na przykład polowałem z sokołem.
- Uważasz, że to grzech?
- Wszystko może być grzechem, jeśli jest robione bez umiaru. Jeśli tak jak ja rzuca się wszystko inne, byle tylko znaleźć właściwego ptaka.
- Teraz widzę, że jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż myślałem. W dodatku jesteśmy chyba rówieśnikami, mam rację?
- Też odnoszę takie wrażenie. I właśnie dlatego
- Niepotrzebny mi spowiednik, który jest starcem i dawno zapomniał, jakie uczucia i ambicje targają duszą młodego mężczyzny. Który rozmyśla już tylko o życiu wiecznym. Potrzebny mi ktoś, kto jest równie żywy jak ja. A jeżeli chodzi o tło moich przewin, o którym wspomniałeś, sprowadza się ono do jednego. - Drakula pochylił się lekko do przodu. - Muszę zdobyć władzę.
- Przecież już ją masz.
- Nie. Na razie noszę koronę. A mój tron stoi pośród bandy rabusiów i rozbójników, w środku ziem słynących z bezprawia na cały świat. Zostałem królem, aby to zmienić. Taki jest mój kismet.
- Nie znam tego słowa
- Bo to tureckie słowo. Znaczy mniej więcej tyle co „nie dający się zmienić los, przyznany człowiekowi przez Boga w chwili urodzenia . - Przymknął oczy. - Jest taki hadis, czyli wypowiedź Proroka: „Los każdego został uwieszony na jego szyi .
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie masz żadnego wpływu na to, co robisz?
- Właśnie to mam na myśli.
- Nie tego uczy nas Cerkiew. Każdy człowiek ma wolną wolę i wybór, czy czynić w życiu dobro czy zło.
- No więc może nie zgadzam się w tym jednym punkcie z prawosławiem, w którym wzrosłem. Ponieważ dobrze wiem, do czego zostałem przeznaczony i jak to mam osiągnąć. Żywię głębokie przekonanie, że nie

mogę robić w życiu nic innego.

Duchowny oblizał spierzchnięte wargi. Zarówno on, jak i klęczący przed nim mężczyzna zdawali sobie sprawę z ryzyka sporu doktrynalnego, jaki się właśnie rodził wśród kontrowersyjnych wypowiedzi. Na domiar złego o Władzie krążyły rozmaite plotki, skupiające się na tym, komu to gospodar wołoski oddaje cześć. Niektórzy nawet powiadali, że nie bez powodu nazywa się go Synem Diabła. Inni poszeptowali, że jego matka była wyznawczynią znienawidzonej na tej ziemi wiary rzymskiej, a on sam tylko udaje wiernego syna Cerkwi. Wreszcie krążyły jeszcze gorsze opowieści o tym, że jest heretykiem i sprzeniewierzeńcem, który wyparł się Boga w Trójcy Jedynej, a przyjął do serca Allaha i jego Proroka Muhammada, zanim sułtan postanowił dać mu swoją armię.

Ale przecież nie kwestie doktrynalne były tematem ich rozmowy, którą prowadzili w prawosławnej świątyni, jak Pan Bóg przykazał.

- A jak w największym skrócie określiłbyś swój kismet?

- Służyć Bogu.

Duchowny zmarszczył brwi.

- Każdy człowiek rodzi się po to, by służyć Bogu. Każdy chłop w to wierzy, a przynajmniej powinien, i postępuje tak, aby na spotkaniu ze swym Stwórcą nie mieć się czego wstydzić ani obawiać.

- Zgoda. Tyle że ja, Drakula, mam inne powinności niż pierwszy lepszy chłop. Nie mogę słać Najwyższego tylko w mowie i w pocie czoła uprawiać swego poletka ku Jego większej chwale. Jako rycerz i księżę mam obowiązek być lśniącym mieczem Boga. A aby nim zostać, muszę wpierv zahartować własne ostrze.

- Jak?

Wład podniósł się na nogi, a następnie ukucnął na turecką modłę.

- Przede wszystkim muszę przywrócić ład i sprawiedliwość w tym kraju. Rozprawić się z tymi, którzy zagrażają mi najbardziej: z bojarzynami.

- Czy to co spotkało Albu Wielkiego minionej nocy, nazywasz sprawiedliwością?

- Oczywiście. Albu przyznał się do tego, że zamordował mego ojca i brata. Zasłużył na to, by umrzeć.

- Ale jak? - Duchownego przebiegł dreszcz. - Coś takiego robi się komuś, gdy chce się go upokorzyć, zadać mu nieludzki ból, pokazać innym, że tak jak oni biorą kobietę, ty możesz wziąć ich w każdej chwili, odbierając także życie

- Nie. Tak To znaczy, powodów może być więcej
- Mianowicie?

Wład ponownie lekko się pochylił.

- Nauczono mnie kiedyś następującej dewizy, którą przyjąłem za swoją, gdyż moi nauczyciele byli mistrzami w swoim fachu: „Torturuje się innych, by nie mogli torturować nas .

- Zatem będziesz pozbywał się wrogów w okrutny sposób, zanim oni zdążą tak samo pozbyć się ciebie, czy tak?

Wład potaknął.

- Równocześnie zaś będę dawał ludziom jasne przesłanie: słuchajcie swego władcy, namaszczonego świętym olejem na waszego króla, albo gińcie w męczarniach. I to takich, jakie będą przedsmakiem tego, co was czeka po drugiej stronie przez całą wieczność, jeżeli tu, na ziemi, wystąpicie przeciwko swemu prawowitemu suwerenowi.

- Ale czy nasz Pan nie nauczał, że miłość jest jedynym pewnym sposobem, aby dostąpić zbawienia?

Drakula przymknął oczy. Musiał po omacku wyciągnąć rękę przed siebie i oprzeć się o zakrywający posadzkę kobierzec, gdyż ostatnie słowo duchownego wywołało wizję innego mężczyzny, który wypowiedział w jego obecności jedno jedyne słowo, wiedząc, że tylko on je zrozumie, a miało to miejsce na dziedzińcu twierdzy Tokat tuż przed tym, zanim pał został włożony w przeznaczone na niego miejsce. Wład powrócił myślami i ciałem do cerkwi w Tirgoviste, przełknął ciężko ślinę i rozwarł zaciśnięte powieki.

- Owszem - zgodził się. - Jednakże będąc tylko człowiekiem, nie mam władzy nad ludzkimi uczuciami takimi jak miłość. Potrafię kontrolować wyłącznie strach. Zresztą miłość przemija, a strach towarzyszy człowiekowi stale niczym gwiazda na niebie.

- Mam więc rozumieć, że chcesz utrzymywać swój lud w ciągłym strachu?

- Chcę, aby moi poddani mieli poczucie pewności. Aby znali swe miejsce w Bożym dziele. Aby dawali posłuch lepszym od siebie bez zadawania pytań, wierząc, że ustalone przez nich prawa wynikają z praw Boskich. - Wład mówiąc, kiwał głową. - Aby wiedzieli, co ich czeka, jeśli wystąpią przeciwko mnie: że zostaną przykładnie ukarani, i to w taki sposób, jaki skutecznie powstrzyma ich następców przed pójściem w ich ślady. Dokładnie tak, jak się stało z Albu Wielkim.

- A za jakie przewiny będziesz wymierzał tak surową karę?

- Za wszystkie.

- Za wszystkie? - zdumiał się duchowny. - A jeśli ktoś tylko ukradnie krowę?

- Zostanie nabity na pal. Jeżeli tylko odetnie mu się rękę, otrzyma się byłego złodzieja, który jest żebrakiem niezdolnym do pracy, zawalidrogą dla wszystkich. Za to nabity na pal na oczach gawiedzi posłuży za przykład.

- Grabież?

- Nabicie na pal.

- Gwałt?

- Nabicie na pal. Niech złoczyńca poczuje, co uczynił swej ofierze.

- Bicie fałszywych monet? Oszustwo? Bunt?

- Po trzykroć nabicie na pal.

Duchowny także podniósł się z klęczek, przysiadł i ciężko westchnął. Spowiedź potoczyła się nie tak, jak powinna.

- Naprawdę masz zamiar to robić?

- Będę to robił - zapewnił z mocą Wład. - Moja ziemia, Wołoszczyzna, nigdy była rozstajem cywilizowanego świata, a teraz ten sam świat ma nas za zwykłych zbójów i zabiera swoje bogactwo gdzie indziej, pogrążając nas w coraz większej nędzy, ograniczając moją władzę, bo cóż znaczy księżę jakiegoś zapyziałego biednego kraiku? Widzisz ten złoty kielich na ołtarzu? Za pięć lat zastąpię go innym, cięższym, wysadzonym najdroższymi klejnotami, a umieszczę nie w świątyni, tylko na rynku przy studni, tak żeby każdy mógł go dotknąć, a mimo to nikt go nie ukradnie.

- To niemożliwe.

- Klnę się na Boga, że do tego doprowadzę.

Przez parę uderzeń serca duchowny tylko spoglądał nieruchomym wzrokiem na kucającego przed nim młodzieńca, doszukując się w wyrazie jego twarzy, w głosie i w zielonych oczach pyszałkowatości albo fanatyzmu, lecz widział jedynie wielką pewność siebie.

- Nawet jeśli uda ci się zaprowadzić porządek na swojej ziemi - przemówił wolno duchowny - pozostaną inni, nad którymi nie zdołasz zapanować. Przebywający poza granicami twej dziedziny ludzie życzący ci klęski, knujący przeciwko tobie. Jak poradzisz sobie z nimi?

- Wedle tej samej zasady. Za pomocą tej samej kary. Jeśli będzie trzeba, postawię las z ciał nabitych na pale. Coś takiego rozejdzie się szerszym echem, dając jeszcze lepszy efekt.

- Chodzi ci o

- Chodzi mi o Sasów, którzy chcieliby władać całym Siedmiogrodem, nie wyściubiając nosa zza murów Braszowa i Sybina, a także innych miast. Jeżeli nie zaprzestaną swoich praktyk, dławienia naszego handlu i co za zadziwiający przypadek nabijania na pal każdego wołoskiego kupca, który odważy się postawić nogę na ich ziemi - Wład dostrzegł niedowierzenie na twarzy duchownego i przerwał na chwilę, by zaraz podjąć: - O tak, bracie Wasylu. Nabicie na pal to również germański sposób na sprawiedliwość, część znanego Prawa z Igławy, kara stosowana tutaj na długo przed tym, zanim wprowadziłem ją na Wołoszczyźnie. A źli Turcy zapożyczyli ją od swych chrześcijańskich i miłosiernych nieprzyjaciół.

- Bez względu na to kto ją stosuje, woła o pomstę do nieba.

- Zgoda. Lecz mimo to jeżeli tutejsi Sasi nadal będą dawać schronienie każdemu, kto pretenduje do tronu, na którym zasiadam, i spiskuje przeciwko mnie i temu, co jest mi przeznaczone osiągnąć w doczesnym życiu, najadę na nich niczym Hannibal na starożytny Rzym i będę siał spustoszenie za pomocą miecza, ognia i tysiący postawionych na sztorc pali.

Ponownie zapadła cisza. Spowiednik i penitent spoglądali na siebie w milczeniu, aż w końcu brat Wasyl znalazł w ustach dość wilgoci, aby się odezwać.

- A kiedy już spacyfikujesz ten kraj, przywrócisz na swej ziemi sprawiedliwość i prawo, uciekając się do takich czy innych metod, zmiażdżysz znienawidzonych Sasów, którzy dławią wołoski handel, uczynisz Wołoszczyznę krainą mlekiem i miodem płynącą, czy wtedy uznasz, że twój kismet się dopełnił?

- Nie - odparł Wład z ogniem w oczach. - To będzie dopiero początek. Klinga ulegnie naostrzeniu, lecz wciąż pozostanie w pochwie. Smoczy Szpon i miecz Boży staną się jednym i tym samym. A kiedy w końcu dobędę broni, kiedy wreszcie zrobię z niej użytek, zadam cios tak wielki, że każdy grzech, jakiego kiedykolwiek się dopuściłem, zostanie rozbity w proch, odcięty wraz z głowami moich wrogów, tak że pozostanie mi tylko odkupienie. - Uniesieniem dłoni powstrzymał rodzące się na ustach duchownego pytanie. - Wiem! Skoro kismet jest niezmienny, jak mogę myśleć, że uda mi się zmienić losy innych i świata? To rzeczywiście sprzeczność. No ale - uśmiechnął się lekko - sprzeczność to moja druga natura.

- Ale żeby uzyskać zmazanie wszelakich win, chrześcijański rycerz może uczynić tylko jedno

- To prawda.

Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy, po czym unisono powiedzieli:

- Krucjata.

Wład kontynuował:

- Wypowiem niewiernym świętą wojnę. Na powrót umieszczę Krzyż Pański nad ołtarzem Mądrości Bożej w Konstantynopolu.

Duchowny aż zatchnął się z wrażenia. Przedtem szukał w szmaragdowych pałających oczach pychy lub fanatyzmu, a zobaczył tylko pewność siebie. Jak mógł nie dostrzec w nich szaleństwa?

- Niepodobna tego uczynić.

- Czyżby? Kiedyś powiadano, że Konstantynopol nigdy nie upadnie, a jednak Mehmed go zdobył.

- Ale maleńka Wołoszczyzna przeciwko - Duchowny urwał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Mówi się, że sułtan potrafi w krótkim czasie zgromadzić jedną armię, która liczebnością nie ustępuje całemu naszemu krajowi, a takich armii ma bez liku!

- To niezupełnie prawda. Jak również nie jest prawdą to, że oszalałem, choć po twoim spojrzeniu widzę, że tego właśnie się obawiasz. Nasz kraj będzie tylko grotem włóczni. Reszta chrześcijaństwa stanowić będzie drzewce i główną siłę.

- Tak postrzegasz swoje przeznaczenie?

- Nie inaczej. - Wład, odpowiadając, patrzył w przestrzeń ponad ramieniem brata Wasyla. - I to od czasów, kiedy pozostawałem w tureckiej niewoli. Odkąd zyskałem błogosławieństwo tureckich mistrzów - Nagły mrok, który zasnuł mu oczy, nie całkiem przesłonił płonący w nich ogień. - Poza tym znam Mehmeda, którego obecnie zowią Fatih, Zdobywca. Jest próżny na wskroś. I właśnie dlatego łatwo go pobić, co zeszłego roku w Belgradzie udowodnił Hunyady

- Mrok pogłębił się jeszcze. - Wciąż więzi mego młodszego brata, ale Bóg da, pewnego dnia stanę z nim twarzą w twarz na wyciągnięcie miecza, a wtedy - urwał nagle.

- Wtedy? - odpowiedział duchowny.

- Umrę szczęśliwy wraz z chwilą, która dopełni mojego przeznaczenia. Umrę jako krzyżowiec. Umrę oczyszczony z wszelkich grzechów, z niesplamioną duszą. Zasnę w Panu jak prawy chrześcijanin.

Echo słów Włada Drakuli przebrzmiało i w pustym wnętrzu świątyni zapanowała głucha cisza. Jedyni obecni, gospodar wołoski i jego poddany,

patrzyli przed siebie, poza mury cerkwi i poza obietnice, które właśnie padły. Po długim czasie duchowny jakby przebudził się z letargu, nachylił do przodu i powiedział cicho:

- Przyszedłeś tu, aby się wyspowiadać. Celem spowiedzi wedle naszej wiary - wedle jedynej prawdziwej wiary - poprawił się zaraz - jest to, aby człowiek mógł ruszyć dalej oczyszczony z dotychczasowych grzechów. Zatem jesteś tu, żeby oczyścić swoją duszę, zanim zajmiesz się wprowadzaniem swoich planów w życie. - Wzdrygnął się nieznacznie. - Niewykluczone, że kiedy pozbędziesz się swego brzemienia, kiedy wyrzucisz z siebie wszystkie złe uczynki, jakie popełniłeś, kiedy doświadczysz łaski Bożej w postaci przebaczenia, którego ci udzielę, kiedy w końcu odbędziesz pokutę i znów poczujesz ciało i krew Chrystusa, naszego Zbawiciela, zaczniesz myśleć inaczej i zmienisz zapatrywania na zasadność i skuteczność swoich metod w dążeniu do celu.

Wład podniósł wzrok - nie na duchownego, lecz na figurę Jezusa Boleściwego nad ołtarzem. Po chwili milczenia bąknął:

- Niewykluczone

- Przypomnij sobie słowa świętego Łukasza: „Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego . - Duchowny przełknął ciężko. - Pozwól mi zatem wysłuchać twej spowiedzi. Abyś mógł patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość.

Drakula potrząsnął głową, przywołując na usta lekki uśmiech.

- Sam nie wiem, od czego zacząć - Byłby mówił dalej, ale u wejścia do świątyni rozległy się czyjeś kroki. Wład odruchowo zwrócił się w tamtą stronę. - Wzywają mnie - rzekł po prostu i z kucek opadł na kolana. - Ale możesz iść ze mną, bracie Wasylu. Kto powiedział, że ludzkich grzechów nie da się zważyć i ocenić przy dzbanie wina?

- To nie ja będę ważył i oceniał - surowo przypomniał duchowny, wstając - tylko Pan Bóg.

- Masz rację - uśmiechnął się pojednawczo Wład. - Tyle że z nim nie mogę się napić.

- Błędnie, książe?

- Chyba tak - westchnął, lecz uśmiechał się jeszcze szerzej. - Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłem przeciwko niebiosom i tobie - Drzwi cerkwi otworzyły się i stanął w nich Ion. Mrugał powiekami, próbując oswoić wzrok z panującą w środku ciemnością. W końcu wypatrzył sylwetkę człowieka, którego szukał.

- Książę - zwrócił się do klęczącego, wchodząc dalej do środka -już czas.
Wład obejrzał się za siebie.

- Już idę, Ion. I mój spowiednik też.

- Spowiednik?

Kiedy Wład obrócił się w stronę ołtarza, nikogo przy nim nie było.

- Nieważne - rzucił dziarsko Drakula, podnosząc się na nogi. - Znajdzie się, kiedy znów go będę potrzebował.

CZĘŚĆ III

KRUCJATA

*Zbudźcie się, wstańcie lub leżcie na wieki!
Słyszac ocknęli się i podrywają
Na skrzydłach, niby ludzie straż pełniący,
Co w sen zapadli, i oto odkryci
Są przez owego, który lęk w nich budzi,
Więc otrząsnęli się i przebudzili.*

John Milton, *Raj utracony*
księga I

28. CZARA

Tirgoviste, ponad cztery lata później, grudzień 1461 roku

Godzinami krążyli po mieście, zagłębiając się w boczne alejki i znów wyłaniając na główne ulice, aż w końcu opuścili Tirgoviste, wychodząc poza mury przez wschodnią bramę, skąd udali się przez most na drugi brzeg rzeki Lalomity, gdzie przystanęli, aby ogrzać się przy ogniskach karawanseraju rozstawionego po to, by każdy kupiec i podróżny, który z jakiegoś powodu postanowił nie wchodzić do miasta przed zamknięciem bram, miał gdzie przeczekać noc. Karczmarz nie poświęcił im więcej uwagi niż swoim innym klientom, aczkolwiek rzucił mu się w oczy bogaty strój pod podróżnymi pelerynami i tylko dlatego podał im lepsze wino niż reszcie, licząc sobie za nie odpowiednio wysoką cenę. Jego zajazd cieszył się dobrą opinią i nierzadko stawali u niego zamożni kupcy i handlarze, toteż i w obecności tych gości nie dostrzegł niczego dziwnego. Zresztą tejże nocy w zajęzdzie było wyjątkowo tłoczno, mimo iż na traktach zima rozpanoszyła się już na dobre. W okolicy od dłuższego czasu panował pokój, przynosząc bogactwo na równi karczmarzowi i tym, których obsługiwał. Rumiany mężczyzna nie zapomniał podziękować Chrystusowi i świętemu Mikołajowi Cudotwórcy, patronowi lichwiarzy - gdyż właśnie ten niechlubny proceder jeszcze sprzed czasów księcia Drakuli umożliwił mu zebranie krągłej sumki na otwarcie karczmy, którą obecnie z powodzeniem prowadził - zanim zwinnym ruchem zgarnął ze stołu złotą monetę pozostawioną przez możnych gości, błogosławiąc ich przy tym w duchu.

Gdyby wiedział, że pod jego dachem rozważali, w jaki sposób najsprawniej zakończyć ów miły mu stan pokoju, zapewne byłby mniej się uśmiechał i giął w ukłonach, a z większym zapałem modlił do Przenajświętszej Pani. Pomimo późnej pory Wład i Ion powrócili do miasta, dostając się za mury przez bramę zamkniętą dla wszystkich innych ludzi. Akurat kiedy przecinali na przełaj plac przed katedrą, drzwi jednej z pobliskich karczem otwarły się na oścież, tak że drewniane skrzydło z hukiem uderzyło o kamienną ścianę. Z wnętrza dochodziły krzyki i pijackie nawoływania, a na ich tle dało się słyszeć bełkot dwóch podpitych jegomości,

którzy z trudem wytaczali się na ulicę. Wład pociągnął kompana za rękaw, kryjąc się w cieniu zadaszenia wielkiej studni.

- Bojarzynie czekają, książę - szepnął Ion.

- Skoro czekali aż do tej pory, parę chwil więcej nie sprawi im różnicy. Zresztą niepewność uczyni ich bardziej podatnymi na moje sugestie. A teraz szła, chcę posłuchać, co mówią zwykli ludzie.

Przykucnęli na turecką modłę, udo do łydki, plecy do cembrowiny studni, i słuchali. Najpierw rozległ się tubalny, wzmocniony jeszcze wypitym trunkiem głos o tembrze charakterystycznym dla przyległej krainy. Ponad wszelką wątpliwość mówił Bułgar.

- Zasaństwo! To pewnie jeszcze jedno łgarstwo na jego temat!

- A jednak to prawda! - zapewnił drugi głos, mniej pijany, za to bardziej swojski, nie odróżniający się od tych, które można było usłyszeć na terenie miasta. - Minął równiutki rok, odkąd się tu znalazła, a wciąż jest, gdzie była.

- Zasaństwo! - powtórzył pierwszy mężczyzna i splunął siarczyście. - Gdzie?

- A tam, o!

Na chwilę zapadło zdumione milczenie, dało się tylko słyszeć jakąś szarpaninę, pewnie jeden pijak podtrzymywał drugiego.

- Chryste, na wozie! - zakrzyknął wreszcie Bułgar.

- Widzisz ją?

- Ano widzę, nawet po ćmoku Błyszczą się w świetle księżyca aż miło! - Gwizdnął z wrażenia. - I powiadasz, że to szczerze złoto?

- Najszczęśliwsze.

- A te dookoła to chyba te, no perły?! Cy, cy - zacmokał z podziwem. - A reszta? Bo z tej odległości nie potrafię dostrzec

- Rubiny, szafiry, szmaragdy - jął usłużnie wymieniać towarzysza obcokrajowca.

- Czara jak marzenie! Godna króla! A on ją tu wystawił, żeby mógł z niej korzystać byle spragniony chłop? - Podszedł, ujął naczynie w dłoń. - Ciężka, psiakrew. I nie przymocowana łańcuchem

- Napijmy się - zaproponował miejscowy. - Woda smakuje z niej lepiej od najprzedniejszego wina, któregośmy dość się dzisiaj ożłopali.

- Zgoda, napijmy się!

Podsłuchujących doszły odgłosy siorbania i przetykania. Ion gestem ponaglił do odejścia, lecz Wład znów przytrzymał go za rękaw.

Właśnie ponownie przemówił Bułgar, zdawał się o niebo trzeźwiejszy

niż przed paroma chwilami.

- Mógłbym za nią kupić pałac w Sofii - Chrząknął z niedowierzaniem.

- I naprawdę nikt jej nigdy nie ruszył? Ani razu?

- Tego nie powiedziałem. Została skradziona, a jakże, i to nawet dwa razy. Za pierwszym razem stało się to zaledwie dzień po tym, jak gospodar umieścił ją przy studni. Nie było jej przez tydzień, a potem wróciła na swoje miejsce razem ze złodziejem i jego całą rodziną. Wokół studni wyrósł wtedy zagajnik tuzina pali. Za drugim razem zabrakło jej tylko przez noc. Nazajutrz własny ojciec wydał rabusia, tak że potrzebny był jeden pal, nie więcej

Zagraniczny głos opadł do szeptu.

- Ale skąd niby miałby się dowiedzieć, że ją zabrałem? Przecież opuszczę miasto z samego rana, jak tylko otworzą bramy

- Potrząśnij nią, to zrozumiesz.

- Hę?

- Potrząśnij!

Bułgar najwyraźniej usłuchał, bo rozległ się słaby dzwoneczek.

- A to co?

- O tu, w nóżce Srebrne serce dzwonu dźwięczące o czyste złoto. Powiadają, że gospodar słyszy ten dźwięk, ilekroć ktoś podnosi czarę, i że jest w stanie wysledzić każdego, kto by ją ze sobą zabrał, no i że śmiałek zawsze skończy nabity na pal.

Bułgar chyba potrząsnął głową, bo czara ponownie cichutko zadzwoniła.

- Czyżby tak bardzo lubił nabijać ludzi na pal?

- Może tak, a może nie Pewne jest tylko to, że nie cierpi zbrodni. Dlatego wypenił ją z naszej ziemi. Za jego panowania można swobodnie się poruszać po całym kraju bez obawy o życie czy majątek. Wolny handel powrócił na Wołoszczyznę razem z zagranicznymi kupcami jak ty, którzy dostrzegli otwierające się dla nich możliwości. Obecnie jest nam wszystkim jeszcze lepiej niż za rządów jego ojca, Włada Smoka. Chyba sam to przyznasz

Bułgar nie odpowiedział, gdyż wciąż w zachwycie przyglądał się trzymanej w ręku czarze. Obracał ją na wszystkie strony, tak by promienie księżycy wydobywały całe jej piękno.

- Czyja to robota? - zapytał wreszcie.

- Gildii złotników z Braszowa. Ta czara to część trybutu, jaki przysłali Sasi, kiedy gospodar narzucił im swoje warunki i wymusił na nich pokój. Wtedy też uwolnili pojmanych kupców wołoskich i odtąd przepuszczają ich

swobodnie przez swoje ziemie. W dodatku wyłożyli fortunę na opłacenie armii, która strzeże traktów handlowych, no i już z własnej woli dołożyli tę czarę w ramach rekompensaty

- A on podarował ją ludowi! - Bułgar odcharknął i splunął. - Ciekawe, czy Sasi dobrze na tym wyszli

Jego towarzysz roześmiał się nieprzyjemnie.

- Oj, tak! Książę przestał nabijać ich na pal całymi tysiącami!

Zniecierpliwiony Ion usiłował zachęcić Włada do odejścia, ten jednak trwał na posterunku jak przymurowany. Przez parę uderzeń serca panowała niezmacona cisza, aż w końcu ponownie odezwał się Bułgar.

- A gdybym ją tak schował za pazuchę? I wymknął się skoro świt?

- W południe mógłbyś na nią spoglądać z wysokości pala - padła błyskawiczna odpowiedź. - Pijmy więc z królewskiej czary, póki możemy, gaśmy palące nas pragnienie, ale potem zostawmy ją dla gawiedzi

Kilka łyków później rozległo się echo uderzenia metalu o kamień.

- Mam dosyć obmierzłej wody ze studni! - burknął obcokrajowiec. Głos miał zniechęcony, pobrzmiwał w nim też gniew, jak gdyby Bułgar doznał upokorzenia. - Chcę wina!

- Ależ naturalnie - podchwycił mieszkaniec Tirgoviste. - Wróćmy do karczmy i nad dzbanem przyzwoitego trunku rozważmy, jak jeszcze mógłbym ci pomóc w sprawie tych kopalń miedzi. Ich właściciele wiecznie - Głosy cichły z każdym chwiejnym krokiem podtrzymujących się mężczyzn.

Drzwi do karczmy otwały się, wypuszczając na zewnątrz nieco zaduchu i trochę krzyków, po czym na ulicy znów zapanował spokój, kiedy dwie postaci zniknęły w środku.

Dopiero wtedy Wład i Ion podnieśli się z kucek. Obeszli studnię z dwu stron, a Ion, który doszedł do czary pierwszy, napełnił ją świeżą wodą i podał księciu.

- Cóż za lojalny poddany! - stwierdził. - A może raczej wiedział, że ktoś podsłuchuje rozmowę?

- Wiedział - potwierdził bez cienia wahania Wład, opróżniając czarę. Potem potrząsnął nią lekko, wywołując ciche dzwonienie. - Albowiem ja słyszę wszystko i wszystkich. - Odstawił naczynie na obramowanie cembrowiny i zwrócił się do przyjaciela. - A teraz chodźmy już do moich mniej lojalnych poddanych - zarządził.

Podjęli przerwana wędrówkę przez plac, kierując się ku zamkowi

książęcemu. W wielkiej sali panował nieludzki ziąb. Z wieczora nie rozpalono ognia i teraz wszyscy bojarzynowie marzli jak jeden mąż pomimo swoich grubych futer i wyszytych wełną butów. Nad stołem, przy którym zgromadziła się rada, Sfatul Domnesc, unosiły się kłęby zlodowaciałej pary.

- Może jednak powinienem był kazać, żeby rozpalono ogień - stwierdził Wład, spoglądając w dół przez sekretne okienko. - Teraz przyjdzie mi mówić do bloków lodu.

- Gdyby byli rozgrzani, przyszlaby im ochota sprzeczać się z tobą - odrzekł Ion. - A tak wysłuchają tego, co masz do powiedzenia, i dadzą swoją zgodę, byleby tylko szybciej mogli się znaleźć we własnych domach przed dającym ciepło paleniskiem.

Wład odsunął się od drzwi, żeby przyjaciel mógł ogarnąć salę spojrzeniem.

- Kto twoim zdaniem znajdzie w sobie dość energii, by dyskutować? - zapytał.

Ion zmrużył powieki, wyzierając przez gęstą kratownicę.

- Trzej najmożniejsi żupani: Turcul, jego brat Gales i Dobrita. Wszyscy trzej mają sporo do stracenia, gdyby wojna poszła nie po naszej myśli.

- I sporo do zyskania, jeżeli szala zwycięstwa przeważy na naszą stronę. Co z pozostałymi?

- Buriu, będąc spatarem, dowodzi kawalerią. Dla niego życie to wojna. Kazan, twój doradca, z pewnością będzie się martwił o to, kto zapłaci koszty wojny

- Uspokoją go moje nadzieje na bogate łupy. Kto jeszcze?

- Reszta to twoi wierni ludzie, przysięgali ci posłuszeństwo.

- A on? - wskazał Wład.

- Metropolita? - Ion zastanowił się, westchnął. - Z jednej strony powinna go cieszyć perspektywa świętej wojny, ale z drugiej posiada ziemie rozleglejsze niż najpotężniejszy z żupanów, Turcul, i monastiry w chwili obecnej zasobne we wszystko, a w razie wojny narażone na splądrowanie albo opróżnienie skarbcza. Mimo to jest bogobojnym człowiekiem, zapiekłym w swej nienawiści do niewiernych. - Wzruszył ramionami, nie potrafiąc się zdecydować. - Nie mam pojęcia, co powie.

- Cóż - rzekł Wład, odstępując znów od okienka. - Bojarzynowie czy biskupi, wszyscy oni są tylko ludźmi. I jako tacy dadzą się nagiąć do mojej woli zwykłymi sposobami.

Ion zdjął z haka krótką książeczkę pelerynę i udrapował ją na ramionach

przyjaciela, pytając:

- To znaczy?

- Chciwość i strach - wyjaśnił Wład, rozpościerając ramiona.

- Jak wyglądam?

Pod granatowoczną peleryną miał na sobie czarny jedwabny dublet, a jego nogi osłaniały jasne połyskliwe hajdawery. Ion wzdrygnął się bezwiednie.

- Ciarki biegają mi po krzyżu, kiedy na ciebie patrzę - oświadczył szczerze. Drakula uśmiechnął się.

- Doskonale. O taki właśnie efekt mi chodziło.

Tym razem Wład pchnął drzwi z impetem, otwarcie ogłaszając swoje nadejście, a nie zakradając się do wielkiej sali, jak uczynił to pewnej Wielkanocy przed paru laty. Ion podążał za nim jak cień. Zgromadzeni w dole mężczyźni jęli się zrywać z miejsc jeden przez drugiego, kiedy księżę wojewoda schodził po stopniach szybkim krokiem, kierując się od razu w stronę swego krzesła na krańcu długiego stołu.

- Moi panowie, dostojni żupani, ekscelencjo... Wybaczcie, że kazałem na siebie czekać. Gdy udawałem się do was, akurat na zamek ściągnęli posłańcy niosący wielkiej wagi wiadomości, których musiałem niezwłocznie wysłuchać, by móc podzielić się nimi z wami. Siadajcie, proszę. Rozległ się hurgot odsuwanych i przysuwanych krzesel.

- Co to za wiadomości, księżę? - zapytał nagłym tonem Turcul. - Mam nadzieję, że dość gorące, aby stopić sople, którymi obrosłem, siedząc tu beczynnie.

- Wystarczająco - potaknął Wład, nachylając się do przodu i kontynuując: - Ktoś rozpałił ogień, który dosięgnie nas wszystkich. Kruk wybiera się na południe wraz z nastaniem wiosny - obwieścił.

Zebrani wciągnęli powietrze, spojrzeli na niego, potem na siebie. Ion przyglądał się im uważnie, śledząc reakcję każdego z osobna. W większości zdawali się podnieceni, aczkolwiek było też paru takich, co się przerazili. Skoro król Węgier zamierzał nadciągnąć im z pomocą, gdy nastaną pierwsze roztopy, przedzierając się przez wciąż niebezpieczne o tej porze roku przełęcz, nie będą mieli innego wyjścia, jak ruszyć na wojnę. Stanie się tak, jak przepowiedział ich księżę wojewoda: to oni rozpoczną walki, wypowiadając niewiernym pokój i stając przed nimi zbrojni. Tyle że Maciej Korwin nie złożył takiej obietnicy, o czym wiedzieli na spółkę Ion z Władem i nikt inny.

- Właśnie na taką wiadomość czekaliśmy, czyż nie, moi panowie? - dociekał Wład, kując żelazo póki gorące. - Podczas gdy Niemcy, Polska, Wenecja, Genua i Italia wciąż się wahają, Węgrzy otwarcie zostają naszymi sprzymierzeńcami. Wspólnymi siłami bez trudu zgnieciemy Turków, mając za sobą taką potęgę.

Daleko za sobą, dodał w myślach Ion. Albowiem Maciej Korwin nie zamierzał wyściubić nosa z Budy dopóty, dopóki Wład nie roznieci płomienia wojny. Dopiero wtedy przebiegły Kruk zastanowi się, czy warto opuścić bezpieczne gniazdo czy nie.

- Dlatego powtórzę raz jeszcze, tym razem z większą mocą: nadszedł czas wojny. - Wciąż stojąc, oparł knykcie na polerowanym blacie i pochylił się tak daleko, jak mógł, by nie stracić równowagi.

- Mehmed Fatih rozprawił się z Białą Ordą na swoich wschodnich rubieżach. To z powodu swoich kłopotów z Uzbekami przed dwoma laty zawarł z nami traktat pokojowy, którego warunków ani myślał dotrzymywać w korzystniejszej dlań sytuacji, jaka prędzej czy później by nadeszła. Co gorsza, już teraz domaga się od nas trybutu, który w świetle wspomnianego traktatu należy mu się od nas jako jego „wasali” - sarknął. - Więcej jeszcze, ogłosił nabór do korpusu janczarów, tak że tysiąc pięciuset młodych, sprawnych, uzdolnionych Wołochów będzie musiało opuścić swoje rodziny i udać się na obczyznę, gdzie zostaną poddani tresurze, która zamieni ich w bojowników sułtana, ba, w jego niewolników. Nie wiem jak wy, ale ja wolałbym, aby moi rodacy pozostali w domach jako wolni ludzie i jeżeli już przyjdzie im ginąć, żeby ginęli za swoich!

Rozległy się pomruki aprobaty. Haracz w postaci janczarów, odbierany od większości podległych Wielkiej Porcie księstw, wysysał wszystkie życiodajne soki z ziemi.

- Ani razu nie uległem żądaniu sułtana i teraz też nie zamierzam ulec. Aż nazbyt dobrze wiem, jakich nauk udziela się jeńcom - Cichszym już głosem dokończył: - Wielu zostaje złamanych i nigdy potem nie jest sobą - Tylko nieliczni są zdolni do tego, aby oprzeć się temu, co wbijają im do głowy

- Ty, książę, byłeś tym z Drakulów, który się oparł, czy tak? - odezwał się inny bojarzyn, Dobrita. - Podczas gdy twój młodszy brat Radu ochoczo wypinał zadek dla przyjemności sułtańskiego syna.

Ten i ów parsknął śmiechem, natomiast Wład wyprostował się na całą swoją wysokość.

- Mój brat Radu nadal jest księciem tego królestwa. Przypominam ci,

Dobrito, że nikt bez konsekwencji nie znieważa dobrego imienia Drakulów.

Bojarzyn oblał się szkarłatem.

- Ja ja -jąkał się - ja nie miałem na myśli nic złego, książę. Ja tylko

- To bez znaczenia - przerwał mu Wład. - Radu będzie walczył u boku Mehmeda. Wielu naszych wrogów nie będzie Turkami, lecz co z tego? Pochylili czoło przed Półksiężycem, a teraz chcą zatknąć swoje buńczuki na murach naszych miast i wznieść meczety o minaretach wyższych niż kopuła Biserica Domneasca, jak uczynili w Konstantynopolu z kościołem Mądrości Bożej. Dlatego musimy ruszyć na krucjatę pierwsi. W obronie naszych ziem, naszych rodzin, naszej wiary.

- Której wiary, mości wojewodo? - zapytał metropolita głosem głębokim, wyćwiczonym przez lata prawienia kazań i zawodzenia inkantacji. - Krucjatę ogłosił biskup Rzymu - Ten tytuł w jego ustach zdawał się obelgą, podobnie jak dalsze słowa: - Co łączy z nim wyznawcę prawosławia? Co łączy z nim ciebie?

Wszyscy powiedli spojrzeniem od twarzy hierarchy do oblicza władcy. Każdy bojarzyn od dawna zadawał sobie w duchu to samo pytanie, lecz trzeba było odwagi metropolity, nie podlegającego władzy hospodara i dysponującego niemal równym bogactwem i wpływami, aby padło ono na głos. Niejeden chętnie by usłyszał wyznanie wiary Drakuli, co do którego przekonania narosło wiele legend.

Wład rozpoczął cichym głosem:

- Dobrze wiesz, ekscelencjo, że wyznaję tę samą wiarę co ty i mój lud. I że żywię takie samo przekonanie jak ty co do tego, iż wiara rzymska i grecka muszą pozostać oddzielne dopóty, dopóki wyznawcy jednej i drugiej nie zrozumieją swoich błędów. Mam odczucie, że rzymscy katolicy powoli się uczą i przeglądają na oczy - Potaknął własnym słowom w milczeniu, a po chwili głośniejszym głosem powiedział: - Wszelako nie wolno nam zwlekać z odpowiedzią na wezwanie papieża ogłoszone w Mantui. Oto co tam powiedział - Wład uniósł trzymany w ręku dokument i zaczął czytać: - „Mehmed nie złoży broni tak długo, jak długo nie odniesie całkowitego zwycięstwa albo nie przegra z kretelem. Każda wygrana będzie go prowadziła ku następnej, aż w końcu podbije wszystkich zachodnich królów, zniweczy starania chrześcijan z ostatnich piętnastu wieków i narzuci całemu światu prawa fałszywego proroka swojej religii .

Opuścił pergamin na blat i spojrzawszy prosto w oczy metropolicie,

kontynuował:

- Choć biskup Rzymu myli się w kwestiach doktryny, ma rację co do niebezpieczeństwa grożącego całemu chrześcijańskiemu światu. Mehmed pragnie wykorzenić z ludzkich umysłów nauczanie Ewangelii, bez względu na to jak my, podzieleni sporem natury teologicznej, je pojmujemy. Zawiesi symbol półksiężyca na świętej Górze Athos oraz w Watykanie. Każdy kraj, jaki podbije po drodze, będzie tylko małym krokiem w jego długim pochodzie ku unicestwieniu wiary Chrystusowej. A tak się składa, że Wołoszczyzna trafi pod jego but pierwsza.

Wład opuścił miejsce za stołem i przeszedł do wychłodzonego kominka. W górze wciąż wisiała figura Jezusa Boleściwego, będącego świadkiem wydarzeń, które zaszły w tej samej wielkiej sali przed niespełna pięcioma laty.

- Przed nami wybór, moi panowie. Czy mamy zacząć nazywać się muzułmanami, czy mamy rozpocząć walkę. - Odwrócił się plecami do ściany i popatrzył na zebranych. - Mehmed wezwał mnie do spotkania z jego ambasadorami w twierdzy Giurgiu nad Dunajem, którą wzniósł mój dziad, Mircza Stary. Mam się tam stawić z trybutem w postaci złota i młodych chłopców. Moim zamiarem jest zabrać ze sobą rycerzy i stal. A potem przedostać się za granicę, na ziemię Bułgarów, którą władają Turcy, i tam rozpocząć walkę z wrogiem. Zabrać złoto, zamiast je oddawać. Wyciąć w pień jego armię, zamiast dostarczyć mu materiału na niewolniczych wojowników.

Uniósł ramię i wskazując figurę Chrystusa, zapytał:

- Kto przyłączy się do mnie w imię chwały Bożej? W imię odkupienia grzechów wszelakich? W imię swojej ojczyzny?

Lekko licząc, połowa zebranych wstała i jęła wznosić radosne okrzyki, aczkolwiek wiele im brakowało do entuzjazmu. Widząc to, drugą ręką Drakula sięgnął po oparty o gzyms kominka solidny topolowy pał o zaoblonym końcu, teraz zabarwiony na rdzawoczerwono z domieszką brązu. Rozkrzyżowany niczym Zbawiciel, zawołał:

- Kto odmówi przyłączenia się do swego władcy w jego dziele?!

Najwyraźniej nie było takich, gdyż pozostali zerwali się jak na komendę. Najdonośniej wiwatowali trzej żupani dotąd raczej sceptycznie nastawieni do przedłożonego planu. Rychło krzyki przeszły w monotony zaśpiew, do którego potrzebne było tylko jedno słowo:

- Krucjata! Krucjata! Krucjata!

29. POŻEGNANIA

Długo po tym jak bojarzynowie zostali zwolnieni z obrad, aby zebrać popleczników i żołnierzy, a metropolita odesłany do swej kurii, by odsypać nieco złota, Wład i Ion nadal siedzieli w wielkiej sali, tyle że przy płonącym pełną mocą ogniu na kominku. Opracowywali strategię, studiowali mapy i dokumenty. Od czasu do czasu wzywali posłańców, którzy otrzymywali zapieczętowane wiadomości z poleceniem dostarczenia ich do rąk adresatów tak szybko, jak to możliwe. Księżyc świecił na niebie już od dawna, kiedy obaj mężczyźni w końcu mogli rozeprzeć się na krzesłach i poświęcić swoje myśli innym sprawom. Ion nalał wina do kielichów.

- Nie zdradziłeś mi jeszcze, przed którym ze znamienitych wysłanników Mehmeda przyjdzie nam się płaszczyć - powiedział.

Drakula zdążył już wziąć do ręki pełen kielich, teraz go jednak odstawił z powrotem na stół, nie upijając ani łyka.

- Przed Hamzą baszą.

- Nasz nauczyciel i sokolnik sułtana zyskał stanowisko baszy? - Ion zagwizdał przeciągle. - Kto by przypuszczał, że zajdzie tak wysoko

Wład zapatrzył się w płomienie.

- Hamza nigdy nie był tylko nauczycielem w enderunie i sokolnikiem, aczkolwiek przejawiał wybitne zdolności w obu kierunkach. Mehmed uczynił go głównodowodzącym podczas oblężenia Konstantynopola. Od tego czasu niejednokrotnie pełnił funkcję ambasadora Wielkiej Porty. Nic dziwnego, że w końcu został najwyższym urzędnikiem imperium. Krążą słuchy, że pewnego dnia otrzyma tytuł wezyra i będzie musiał liczyć się tylko z sułtanem.

- I taki wielki człowiek przybędzie do małej Wołoszczyzny? Cóż za zaszczyt spotkał nasz kraj!

- To nie kwestia zaszczytu - Wład pokręcił głową - raczej strategiczne posunięcie. Mehmed przysłał nam kogoś, kogo na pewno nie zapomniałem.

Rozmówca popatrzył na księcia uważniej, wychwytyjąc w jego głosie niezrozumiałą nutę, ten wszakże nie odwzajemnił spojrzenia, dalej spoglądając w płonący ogień.

- No tak, oczywiście. Byłeś nie tylko jego uczniem

Teraz Drakula wbił w przyjaciela oczy, w których wciąż odbijały się płomienie.

- Co masz na myśli?

Ion niespokojnie poprawił się na krześle.

- Ja Nic. Chodzi mi po prostu o to, że rozmawiałeś z nim jak żaden z nas. I podarowałeś mu coś, prawda?

- Rękawicę sokolniczą - potwierdził Wład, odwracając się znów twarzą w stronę kominka.

- Otóż właśnie, rękawicę do polowania z sokołem. A potem on wyciągnął cię z twierdzy Tokat i

- Nie - zaprzeczył Wład, wreszcie upijając łyk wina. - Hamza po mnie przyjechał, a to całkiem co innego.

Ion Tremblac był pewien, że jego ksiązę nie mówi mu wszystkiego, lecz bynajmniej go to nie dziwiło. Znali się od dzieciństwa i takie zachowanie przyjaciela nie było niczym nadzwyczajnym.

- Podejrzewasz, że tym razem nie przybędzie w pokojowych zamiarach?

- Trudno powiedzieć. Niewykluczone, że Mehmed w swym zadufaniu spodziewa się, że ucałuję stopy jego wysłannika i przekażę to, co jestem mu winien. Tak postąpiłaby większość ludzi w moim położeniu.

- Ale on przecież powinien znać cię lepiej. Było nie było, po dziś dzień nosi na ciele pamiątkę po pewnym pojedynku dżarodbazi

- Zgoda. Zatem jeśli nawet nie rozkazał mi zglądzić, cóż stoi na przeszkodzie, aby uczynił mi to samo, co Murad uczynił memu ojcu w Gallipoli? Może przykuć Drakulę do drabiniastego wozu na miesiąc, może zabrać jego synów jako zakładników

- Nie masz synów - wtrącił przytomnie Ion.

- Nie mam, to prawda - przyznał Wład. Jeszcze przez chwilę spoglądał w płomienie, po czym powstał z miejsca, mówiąc: - Ilona. - Dla wyjaśnienia dodał: - Obiecałem zobaczyć się z nią dzisiejszej nocy.

- Ksiązę - Ion odprowadzał go wzrokiem w drodze do wyjścia z komnaty. - Powinieneś raczej zażyć odpoczynku, skoro mamy ruszyć najpóźniej o świtanie.

Wład pchnął drzwi i odwrócił się z chmurnym obliczem.

- Po tym wszystkim co się stało, ty jeszcze próbujesz nas rozdzielić?

Ion spuścił oczy, mamrocąc: - Ależ skąd Ja tylko

- Ilona i ja jesteśmy razem od tylu lat, a ty nadal ją kochasz?

- Ożeniłbym się z nią choćby jutro - oświadczył uroczyście Ion.
- Ach tak - Wład ściągnął z haka przy drzwiach swoją podróżną pelerynę. - Ciekawe, co by na to powiedziała twoja obecna żona.

- Mógłbym anulować pierwsze małżeństwo.

- Na jakiej podstawie?

Ion zmarszczył brew, po czym rzucił:

- Związek nie został skonsumowany.

- Rozumiem Skąd w takim razie wzięły się twoje trzy córki?

- Trzy przypadki niepokalanego poczęcia. Sam wiesz, jak bogobojna jest moja Maria. Prawie nie wstaje z klęczek, a najbardziej upodobała sobie swoją imienniczkę.

Starzy przyjaciele roześmieli się zgodnie. Wład odwrócił się całkiem i położył dłoń na ramieniu Iona, który zdążył również podnieść się z wygrzanego miejsca przy kominku. Trzymał ją tam nawet wtedy, gdy śmiech ścichł zastąpiony przez słowa:

- Wiesz, czasem żałuję, że Ilona wybrała mnie, a nie ciebie. Sądzę, że z tobą byłaby szczęśliwsza.

- To nieprawda - z żalem zaprzeczył Ion. - Od tamtego dnia w adrianopolskim porcie nie liczy się dla niej nikt oprócz ciebie.

Drakula ścisnął ramię przyjaciela.

- Jeżeli w Giurgiu coś pójdzie nie tak, zajmiesz się nią, dobrze? Bojarzynowie jej nienawidzą. Ich zdaniem gdyby nie ona, już dawno poślubiłbym jedną z tych klaczy, które oni nazywają swoimi córkami. - Uśmiechnął się. - Być może akurat co do tego się nie mylą

- Zabiję każdego, kto by chciał ją skrzywdzić - przyrzekł solennie Ion. - Bez względu na pozycję i bogactwo. - Nakrył dłonią rękę Drakuli. - Masz na to moje słowo, książę.

- Doskonale. - Wład przestąpił próg. - Pamiętaj tylko, że bez względu na to gdzie trafię, czy do nieba, czy do piekła, będę oczekiwał, że wywiążesz się z danej mi tu dzisiaj obietnicy.

Blask świecy zwodził ją i czarował. Było w tańczącym pomarańczowo-niebieskim płomyku coś, co ją uspokajało, wyciszało, uwalniało rozum od ciężkości ciała i trosk ducha, pozwalało myślom wirować do woli wokół rozjaśnionego knota. Przed oczyma przelatywało jej życie - takie, jakiego doświadczyła, takie, jakie mogło być, takie wreszcie, jakie było.

Właściwie jej egzystencja sprowadzała się do czekania. Na niego. Na

jego coraz bardziej nieregularne wizyty. Straciła już rachubę, ile razy obiecywał, że się z nią zobaczy, i później nie przychodził. Oczywiście wiedziała, że jest bardzo zajęty. Była również świadoma, iż absorbują go tak nie tylko sprawy królestwa. Z całą pewnością była inna kobieta. Być może nawet więcej niż jedna.

A przecież jej życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Mogła zakochać się w kimś takim jak Ion. W kimś, kto kochałby ją całym sercem. Kto by jej nie zdradzał. Komu rodziłaby dzieci. Z kim mieszkałaby jak u Pana Boga za piecem w jakimś spokojnym zakątku królestwa Zamrugała powiekami i wizja takiego życia zaraz zniknęła. Nie, nawet gdyby została w wiosce, w której się urodziła, nigdy by nie spotkała syna bojara. Wychowana na końcu świata, będąc córką zwykłego szewca, w wieku czternastu lat wyszłaby za czeladnika swego ojca, znosiłaby zadawane ciężką ręką razy i upokorzenia, rok po roku rodziłaby dzieci, aż dochowałaby się co najmniej tuzina, z czego więcej niż połowa odumarłaby ją we wczesnym dzieciństwie, pozostawiając pamiątkę w postaci zwiotczącego ciała i zgarbionego grzbietu. Gdyby przeżyła ostatni poród, byłaby siwa, pomarszczona i brzydka, zanim zdążyłaby się naprawdę zestarzeć. Na pewno nie siedziałaby teraz w swoim własnym domu, wciąż całkiem ładna, o lśniących orzechowych włosach i w zdobnej adamszkowej sukni. Chociaż miała już na karku trzeci krzyżyk, wcale nie było tego po niej widać. Tak to już jest, kiedy kobieta ma łatwe życie i żadnych dzieci, które wyciskają z niej ostatnie soki.

Zamachała dłonią i płomyk zadrgał, ponownie zmieniając jej historię. Nie musiałyby wychodzić za czeladnika z warsztatu swego ojca. Była wystarczająco ładna, aby podczas jakiejś wyprawy wzięto ją w niewolę. Trafiałaby do domu schadzek, gdzie przygotowywano by ją do roli odaliski, wybranki sułtana. Mehmed chciałby ją widzieć jeszcze rzadziej niż Wład, miał przecież aż nadto innych żon, odalisek i młodych chłopców. Jej życie upływałoby w leniwym rytmie wyznaczanym przez rytuały seraju najpierw w Adrianopolu, później w Konstantynopolu, aż w końcu albo wydałaby na świat sułtańskiego syna, albo zostałaby odprawiona i podarowana na żonę jakiemuś oficerowi lub żołnierzowi.

Płomyk zadygotał i wydłużył się w pionie. Ktoś gdzieś otworzył drzwi. Zadrżała i objęła się ciasno ramionami, szczelniej przykrywając narzutą, po czym nachyliła się w przód i zdmuchnęła świecę. Nie musiała dłużej czekać, o tej porze już do niej nie przyjdzie. Zapomniał bądź zdecydował udać się gdzie indziej. Wybrał jakąś inną na tę noc

Lecz drzwi do jej komnaty uchyliły się i oto stał w progu we własnej osobie. Przy zgaszonej świecy i dogorywającym na palenisku ogniu nie umiała dojrzeć jego twarzy, jednakże pochodnia w korytarzu dawała dość blasku, by wydobyć z mroku sylwetkę, którą rozpoznałaby zawsze i wszędzie.

- Ilono!

- Książę

Nie poruszył się, zmrożony oficjalnym tytułem, jakim go uraczyła.

- Przepraszam - wybąkał. - Ja

- Pozwól, że zapalę świecę - powiedziała, ujmując ze stołu ogarek i przeciskając się pomiędzy nim a framugą, aby zająć knot ogniem od pochodni. Lecz on pochwycił ją za ramiona i przytrzymał mocno.

Kiedy kątem oka dostrzegła jego twarz, natychmiast pożałowała swojej oziębłości. Zwłaszcza że wymruczał:

- Wolę, jak jest ciemno

- Ale ja naszykowałam dla ciebie posiłek, mam wino i

- To nic - szeptął, pośpiesznie wpychając ją do środka i zamykając drzwi.

- Pragnę tylko ciebie

Gdy ciągnął ją w stronę łóża, gniew rozgorzał w niej na nowo. Czyż nie dość mu było dziewczek, które mógł w ten sposób traktować?

Wszelako gdy ułożył ją na wznak i sam legł obok, uprzytomniła sobie, iż pomyliła się co do jego intencji.

- Och - jęknął. - Dzięki niech będą Panu za puchowe pierze

- Czyżby mój książę dzisiejszej nocy potrzebował tylko gęsich piór pod plecami? - spytała rozbawiona.

- Może jeszcze jaką poduszkę - rzucił i od razu ją powstrzymał, kiedy sięgała po puchowy piernat. - O, tak - i podniósł głowę, a ona przesunęła się, wślizgując podeń i moszcząc, tak by już po chwili mógł opaść z westchnieniem ulgi. - Trzeba nam chwalić Pana i za miękkość kobiecych ud - dodał.

- Obojętne czyich? - zażądała odpowiedzi i unosząc palce, którymi pieściła jego czoło, wbiła mu paznokcie głęboko w skórę.

- Au! - wrzasnął. - Twoich ud, Ilono. Oczywiście, że tylko twoich, wierz mi - Zdecydowała nie drażnić tematu dalej ani nie wytykać, że rozminął się z prawdą.

Nie zdołała jednak zapanować nad mięśniami, które mogły stwardnieć, czyniąc „poduszkę” mniej wygodną.

- Tylko tutaj, leżąc tak jak teraz, zaznaję odrobiny wytchnienia, gwiazdo moja. Nie ma na świecie drugiego takiego miejsca.

- Obłudnik! -parsknęła, jednakże podjęła przerwana pieśczętę.

- Powiedziałem szczerą prawdę - wymruczał.

Gładziła go po czole i gęstych włosach, przysłuchując się coraz wolniejszemu oddechowi i czując, jak jego ciało odpręża się i nabiera ciężaru. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że zasnął, lecz właśnie wtedy on uchylił nieznacznie powieki.

- Pewnie wiesz, że wyjeżdżam jutro z samego rana. Właściwie to już dziś.

- Zatem czeka nas wojna?

- Czeka nas krucjata - odrzekł lekko drżącym ze wzruszenia głosem. - Zwycięstwo Krzyża nad Półksiężycem. Smoka nad końskim ogonem. Mnie nad Mehmedem ugiętym pod ostrzem mego miecza i do mojej woli.

- Ostatnie jest najważniejsze?

- Być może - uśmiechnął się. - Wiem, że jako rycerz Chrystusowy powinienem dbać tylko o chwałę Pana, a jednak szukam też własnej. Zależy mi na tym, aby zwyciężyć Zdobywcę.

- Ale czy jesteś w stanie tego dokonać? - spytała z troską, odsuwając na bok kosmyk czarnych włosów. - Czy Turcy nie są zbyt potężnym przeciwnikiem?

- Potężnym? Tak! Niezwyciężonym? Nie! Tak jak Hunyady wygrał pod Belgradem i Nisem, tak jak Skandenberg co rusz wygrywa w Albanii, mogę wygrać i ja tutaj. Wystarczy tylko mała pomoc

- Węgrów?

- Tak! Mogę zacząć tę wojnę i przez jakiś czas dobrze sobie radzić sam, ale jeśli Korwin nie skorzysta ze złota, które papież wyłożył, aby odepchnąć Turków

- Co się wtedy stanie?

- Zapadnie na nas wyrok. - Podniósł na nią spojrzenie swych zielonych oczu. - Mam nadzieję, że rozumiesz, iż zdradzam to tylko przed tobą, tutaj. Chyba nie popełniam błędu?

- Nie - zapewniła i dalej gładziła go monotonnym ruchem, a Wład oddychał miarowo, spokojnie, coraz wolniej. Kiedy po pewnym czasie spytała: - Mój książę? - nawet się nie poruszył. Wówczas wyslizgnęła się spod niego, aby zdjąć mu buty i po namyśle także swoją suknię, po czym zostawszy w samym tylko giele, czym prędzej wróciła do łoża, okryła ich

oboje grubą narzutą i wtuliła się w ciało ukochanego.

Czuwała, póki mogła, w dziwnym stanie ni to snu, ni to jawy, lecz w końcu sen musiał ją zmorzyć, gdyż kiedy się na dobre ocknęła, dojrzała za oknem jasność. Ostrożnie odsunęła się od leżącego obok niej mężczyzny, odrzuciła przykrycie po swojej stronie, wstała i przeszła na palcach parę kroków. Horyzont na wschodzie cały się różowił.

- Już świta? - doszedł ją jego zaspany głos.

- Nie, mój książę - odparła, przymykając okiennice. - Tirgoviste płonie. Śpij dalej.

- To dobrze - odrzekł, po czym na tym samym wydechu zapytał: - Żartowałaś tylko, prawda?

- Tak. Naprawdę możesz jeszcze spać - zapewniła, wślizgując się z powrotem pod przykrycie.

- Uch! Ależ masz zimne stopy.

- Są rozgrzane niczym węgle w porównaniu z moimi dłońmi. Sam zobacz! - To mówiąc, włożyła mu rękę za hajdawery i objęła palcami jego męskość.

- Chryste Panie! - wrzasnął, podrywając się i natychmiast opadając znów na plecy. - Co robisz?

- To - odparła, przesuwając dłonią - i coś mi się wydaje, że nie masz nic przeciwko temu.

- Ilona - jęknął, odwracając się do niej twarzą, wsuwając obie ręce pod jej gieźło, błędząc nimi po gładkim ciele.

- I kto tu jest zimny jak trup? - zażartowała, chwytając go mocniej.

- Przeszkadza ci to? Wolałabyś, żebyśmy przestał?

- Nigdy dotąd nie uczyniłeś nic, co by mi się nie podobało, i zapewniam, że cokolwiek uczynisz w przyszłości, również przypadnie mi do gustu.

- Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. Jestem twoja bez względu na wszystko. Teraz, tutaj. Zawsze.

- Tutaj i teraz na razie wystarczy - szepnął i rozdarł na niej gieźło.

Przychodził do jej domu w rozmaitym nastroju. Uprawiali miłość na wielorakie sposoby. Jednakże najbardziej ze wszystkiego lubiła, gdy działa się to właśnie tak. Kiedy zatracali się w miłosnej gorączce, a on zdawał się całkiem w niej zatopiony. Wtedy zyskiwała pewność, że jej książę nigdy nie chodzi donikąd indziej, że nie ma żadnej innej. Światu musiał pokazywać różne oblicza, lecz tutaj, przy niej, nigdy nie potrzebował udawać. To, że

zdawali się zlewać w jedno, niesłychanie ją podniecało, gdyż kiedy on gubił się w niej, ona mogła zagubić się w nim

Poruszali się zgodnie, na górze, na dole, zimna skóra do rozgrzanej, ciepło do ciepła, namiętniejsi z każdą chwilą. Słabe światło za oknem nabierało mocy, a Ilona jakimś skrawkiem świadomości marzyła, aby miasto rzeczywiście stanęło w płomieniach, które ogarnęłyby także ich i strawiły, zostawiając tylko popiół. W pewnej chwili poczuła, jak Wład po czasie zdającym się wiecznością zamiera, i wiedziała, że zaraz zechce się z niej wycofać, tak jak czynił za każdym razem, odkąd złożył przed duchownym obietnicę, iż nie spłodzi więcej nieprawych potomków, jeśli tylko Pan podaruje jej życie. Zrozumiała również, iż właśnie teraz, gdy być może są ze sobą po raz ostatni, a ona nigdy już nie ujrzy go żywego, nie może mu pozwolić się wyślizgnąć.

- Nie, mój książę. Zostań, gdzie jesteś - szepnęła i oplotła go ciasniej nogami.

- Ilona - wyjęczał.

- Wszystko dobrze, mój miły. Nic się nie stanie. Znam swoje ciało.

- Na pewno?

- Nigdy bym cię nie okłamała.

- Nie, masz rację. Ty jedna tego nie robisz. Dlatego przy tobie czuję się, jakbym znalazł swoje sanktuarium - Uśmiechnął się ciepło. - Bogu niech będą dzięki! - krzyknął, rozluźniając się i dając ujście swojej miłości do niej.

Chwila trwała, a oni krzyczeli razem, podczas gdy ich ciała i dusze wychodziły sobie na spotkanie.

Później długo leżeli przytuleni do siebie, czując bicie swoich serc i uspokajające się z wolna oddechy. Wład miał oczy zamknięte, twarz odprężoną. Ilona spoglądała na niego spod rzęs. Wyglądał niemal jak chłopiec, którego ujrzała, zdjąwszy brzęczący od monet welon, kiedy dane jej było zobaczyć go po raz pierwszy.

Nasłuchiwała się wielu różnych opowieści. Na książęcym dworze aż roiło się od chętnych, aby ją nimi uraczać - Elisabeta, jej dama do towarzystwa i córka żupana Turcula, była chyba najchętniejsza z nich wszystkich, Ilona musiała ją uciszać prawie siłą. Wszelako nic z tego, co wbrew sobie usłyszała: historie okrutne, brzemiennie w szczególności na temat metod, jakimi gospodar karał nieposłuszeństwo, nie pasowało do człowieka, który leżał w jej ramionach. Sam nigdy nie komentował krążących o nim opowieści ani nie rozwodził się nad tym, co robi, rządząc krajem. W żaden sposób także nie

odnosił się do powodu mroku zalegającego w jego spojrzeniu, do ciemności, która nieraz przesłaniała jasność jego oczu - czasami tylko na moment, czasami na znacznie dłużej. To wszystko zachowywał dla siebie i dla spowiednika, do którego - jak mówił - regularnie chadza, gdyż podobne sprawy przeznaczone są dla uszu duchownego i oczu Boga, nie dla niej. Ją nazywał swoim sanktuarium i nie zamierzał powiedzieć w jej obecności nic, co by zbrukało jedyne miejsce, w którym czuł się bezpieczny i spokojny. I nie miało najmniejszego znaczenia, co mówią o nim ludzie

Rozmyślenia Ilony przerwał klekot końskich podków na bruku pod oknem. Nie zatrzymuj się - zaklinała w duchu jeźdźca, ten wszakże jej nie posłuchał. Wkrótce rozległ się cichy gwizd i stłumiony przez okiennice męski głos:

- Książę?

Zdążyła zakryć mu uszy rękoma, lecz on i tak usłyszał.

- Już idę! - odkrzyknął.

Chociaż wierzchowiec z rycerzem oddalili się, wciąż byli blisko. Wład spróbował się podnieść, ale przygwoździła go piąstkami. Nakrył jej dłonie swymi.

- Zostań jeszcze - poprosiła.

- Nie wolno mi - odparł hardo. - Bóg wzywa.

- A mnie się wydawało, że to był Ion.

Zaśmiał się, oswobodził z uścisku i zaczął pośpiesznie ubierać. Gdy to robił, nie spuszczała z niego wzroku, starając się wyryć w pamięci każdy drgający mięsień na jego twarzy, każdą bliznę na ciele. Upewniła się, że od ostatniego razu, kiedy widziała go nagiego, nie przybyła ani jedna. Czując na sobie intensywność jej spojrzenia, odwrócił się, wzuwając drugi but.

- O co ci chodzi? - zapytał.

- Wróć do mnie - szepnęła.

Naciągnął cholewkę do końca i przysiadł na brzegu łoża.

- Wrócę - zapewnił. - Ale gdyby mi się nie udało, Ion złożył mi przyrzeczenie. Przyłożyła palec do jego ust.

- Domyślam się jakie. Jednakże coś mi podpowiada, że jeśli ty nie wrócisz, Ionowi również nie uda się ta sztuka. Nawet nie potrafię go sobie wyobrazić żywego, gdyby ciebie zabrakło. - Próbował jej przerwać, lecz nie pozwoliła mu na to. - O mnie się nie martw, potrafię o siebie zadbać. Raz jeszcze przebiorę się w męski strój i schronię u siostrzyczek w Clejani, który to konwent tak sownie wynagrodziłeś poprzednim razem. Zresztą czyż

klasztor to nie miejsce, w którym kończy każda królewska metresa?

Uśmiechnął się na jej ostre słowa, odciągnął palec od swoich warg, po czym złożył pocałunek na każdej opuszcze z osobna.

- A mnie jakoś trudno wyobrazić sobie ciebie w kornecie

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Jeżeli nie wrócisz, ogolę głowę i do końca życia nie rozstanę się z kornetem i habitem. Sięgnął ku ciężkim pasmom jej orzechowych włosów, ujął je pełną garścią, uniósł do nozdrzy, aby nabrać w płuca ich zapachu.

- Ale tylko wtedy, zgoda? Inaczej bardzo by mi się to nie podobało.

Przekrzywiła głowę i wtuliła policzek w zagłębienie jego dłoni. Wład pochylił się i ucałował oboje jej oczu.

- Trzymaj je o tak, zamknięte - szepnął. - A kiedy znów je otworzysz, będę już z powrotem.

Uśluhała go jak zwykle. Siedziała naga na łożu, wydobywając spośród hałasów rodzącego się dnia znajome dźwięki: trzask zamykanych drzwi, skrzypienie schodów, pisk zawiasów we wrotach na dole, szmer głosów, klekot końskich podków na bruku. Nawet gdy tętent ścichł w oddali, powieki miała wciąż przymknięte, mimo że wydobywały się spod nich wielkie jak grochy łzy. Dotychczas jeszcze nigdy nie złamał danej jej obietnicy, toteż postanowiła, że i tym razem będzie mu wierzyła tak długo, jak tylko się da.

30. NOCNE KRZYKI

Obudził go krzyk. Z początku Hamza nie był pewien, czy wołanie rozległo się w jego śnie czy na jawie. Jeżeli we śnie - pochodziło z miejsca, do którego często wracał myślami, spośród piaszczystych wydm pod murami Lazu, i skoro tak, mógł mieć nadzieję, że jeśli zaciśnie mocno oczy, raz jeszcze znajdzie się w rodzinnych stronach nad brzegiem Morza Czarnego, przynajmniej do czasu aż śpiew muezina ogłosi, iż nadeszła pora modłów. W takim razie czekało go jeszcze parę miłych chwil, w trakcie których pod powiekami przelatywać mu będą obrazy rozgrzanej ziemi i palącego blasku, zanim w końcu wstanie na chłód i szarość twierdzy Giurgiu, gdzie nawet najgrubsze owcze skóry i futra dzikich zwierząt nie ochronią go przed zimnem zakradającym się od rzeki. Jeżeli wszakże wołanie pochodziło z tego świata, najprawdopodobniej wydał je raróg, którego przywiózł tu ze sobą. Bo choć przysługujący mu tytuł nadwornego sokolnika był teraz czysto honorowy z racji nowych, ważniejszych obowiązków, które przydzielił mu sułtan, jak każdy mężczyzna nie zaniedbał swego powołania na wypadek dnia pomsty. Nawet Mehmed wciąż bywał w swoich ogrodach, gdzie z motyką w dłoni doglądał ukochanych roślin. Każdy emisariusz wysyłany w bliższe i dalsze zakątki imperium miał przykazane rozglądać się za rzadkimi okazami i zwozić je do stolicy.

To posłannictwo stało się dla Hamzy dobrą okazją do ułożenia kolejnego ptaka, który już na wiosnę mógł cieszyć łowczego ducha Mehmeda. Niestety maiż został podebrany z gniazda zbyt wcześnie, a w dodatku miał trudny charakter. Dotąd stosowana wobec niego łagodność nie przyniosła zadowalających efektów i wszystko wskazywało na to, że potrzeba będzie twardej ręki, aby dać sobie z nim radę.

Niepewność co do pochodzenia krzyku, jak również niepokój o dalsze losy raroga sprawiły, że Hamza rozbudził się na dobre. Marzenia o złotym piasku i ciepłej morskiej wodzie rozwiały się niczym dym, pozostawiając mroźną i mroczną rzeczywistość. Wiedział, że już za moment będzie musiał odrzucić przykrycie i znaleźć się na kolanach, oddzielonych od ziąbu kamiennej posadzki tylko przez cienki dywanik modlitewny, i wcale mu się ta perspektywa nie podobała. Twierdza w Giurgiu, obecnie w rękach Turków,

została wzniesiona przed wielu laty przez Franków, którym najwyraźniej nie przeszkadzało, iż chłód wykręcał im stawy, na stałe goszcząc w szpiku kostnym. Krzyk się powtórzył. Tym razem przypominał raczej chichot i rozlegał się tuż-tuż. Hamza odwrócił się i przypatrzył zarysowi czyjejś głowy na poduszce obok. Starannie ufryzowane rude włosy otaczały czaszkę niczym imponująca aureola, lecz Hamza nie wątpił, że sny rodzące się w środku nie mają wiele wspólnego ze świętością. Podejrzewał nawet, że istotną rolę odgrywa w nich ból, a raczej jego zadawanie.

Tomasz Katawolinos. Chociaż po zdobyciu Konstantynopola przez Turków przeszedł na islam, a nawet przybrał muzułmańskie miano Junus bej, pod którym służył sułtanowi, Hamza wciąż nazywał go w myślach starym imieniem. Tym bardziej że Grek w żaden inny sposób nie uległ nowym obyczajom, zachowując dawny strój, nie zakrywając głowy turbanem i folgując dawnym przyzwyczajeniom, z których większość nie szła w zgodzie z naukami Koranu. Mimo to zaszedł wysoko, gdyż posiadał pewne unikatowe zdolności Hamza westchnął. Zdawał sobie sprawę, dlaczego Mehmed wysłał go z misją właśnie tutaj i dlaczego na towarzysza wyznaczył mu Tomasza Katawolinos. Będąc sokolnikiem, sam często używał oślepionego szczura uwiązanego w pobliżu gniazda drapieżnika, aby odłowić dorosłego ptaka. Tym razem to on był smakowitym kąskiem mającym zwabić tego, który zmierzał im na spotkanie, natomiast leżący obok niego mężczyzna powinien tylko wykazać się swoim specyficznym talentem. Rozkazy sułtana były jasne: pojmać księcia Wołochów, a następnie go złamać. Zupełnie jak w wypadku skrzydlatych drapieżców, Mehmedowi brakowało cierpliwości oraz umiejętności, aby na własną rękę czynić z wrogów przyjaciół. Zdecydowanie wolał się cieszyć z efektów czyjejś ciężkiej pracy. A trzeba przyznać, że chyba nie było na świecie człowieka, który umiał łamać ludzką wolę sprawniej niż Tomasz Katawolinos. Cóż, myślał Hamza, Allahowi niech będą dzięki, że to nie moje zadanie.

Nazbyt dobrze pamiętał, ile trudu przysporzyło mu złamanie Wołocha w przeszłości, gdy był nie więcej niż młodym chłopcem. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak wiele zachodu będzie kosztować nagięcie go do swej woli teraz, kiedy stał się mężczyzną, a do tego władcą, który tak przynajmniej opowiadano uciekał się do zaiste interesujących metod

Hamza łudził się, że wezwany księżę nie stawi się w miejscu spotkania, że nie przekona go złudne bezpieczeństwo jego obecności, lecz rozsądek podpowiadał mu, że Władowi nie pozostaje nic innego. Mając szpiegów na

każdym liczącym się dworze w Europie, Hamza basza wiedział, że choć Wołoszczyzna chętnie wystąpiłaby zbrojnie przeciwko swoim wrogom, brak jej poparcia jakiegokolwiek królestwa. Wprawdzie na Węgrzech ogłoszono popolite ruszenie, lecz tylko dlatego że Maciej Korwin przyjął od papieża dość złota na cel walki z niewiernymi, by teraz musiał odegrać przedstawienie na użytek Rzymu. Hamza nie miał cienia wątpliwości, że przebiegły Kruk ani myśli brać udziału w wojnie.

Wład także musiał to wiedzieć. Nie na darmo turecki szpieg w Tirgoviste, bojarzyn imieniem Dobrita, od dawna przekazywał swoim mocodawcom wieści o tym, w jak wielkim osamotnieniu żyje książę nawet we własnym kraju. Wład Drakula nie miał innego wyjścia, jak stawić się na wezwanie, oddać trybut w złocie i janczarach, ugiąć kark przed majestatem sułtana. Co, nawiasem mówiąc, w niczym mu nie pomoże, gdyż Mehmed już postanowił, że na wołoskim tronie powinien zasiąść ktoś o łagodniejszym usposobieniu i bardziej spolegliwy - ni mniej, ni więcej, tylko jego kochanek, a brat Włada, Radu cel Frumos, czyli Piękny. Urodziwy już jako mały chłopiec, z wiekiem zyskiwał na aparycji i wciąż pozostawał w łaskach u Mehmeda, nadal nierzadko dzieląc z nim łożo.

Rozmyślenia ambasadora przerwał kolejny hałas, tym razem wyraźny jęk. Hamza popatrzył na Tomasza z nieskrywaną odrazą. Nie mógł odmówić swemu towarzyszowi ciepła jedyne łoża w twierdzy Giurgiu, skoro statusem byli sobie właściwie równi, ale w tej chwili pożałował, że nie przyszło mu do głowy spać w stajniach. Na swoje usprawiedliwienie miał chyba tylko to, że zima tego roku była naprawdę sroga.

Pierwszej nocy po przybyciu spodziewał się, że Grek zechce go uwieść. Leżał więc w ciemnościach wyprężony, gotów w każdej chwili się bronić. Po spędzonym razem tygodniu wiedział już, że Tomasza Katawolinosa nie interesują ani mężczyźni, ani kobiety - przynajmniej pod tym względem. Interesowało go wyłącznie zadawanie ludziom cierpienia. A on, Hamza, nigdy nie gustował w mężczyznach. Kilka razy zdarzyło mu się zwyczajnie kochać: wszystkie swoje cztery żony - zwłaszcza pierwszą, Karimę; starego sułtana Murada w czasach, gdy był jego podczaszym; krótko człowieka, po którego zostali teraz wysłani - i chyba tylko ów ostatni, zielonooki hardy młodzieniec, wciąż od czasu do czasu zajmował nocami jego myśli.

Hamza wzdrygnął się bezwiednie. Może jednak się nie pojawi - pomyślał i w tej samej chwili usłyszał krzyk: taki sam jak ten, który go wcześniej

wyrwał ze snu. Tym razem natychmiast poderwał się z łoża, nie zważając na mroźne powietrze i lodowaty kamień pod stopami. Tęgo ptaka w ogóle nie powinno tutaj być o tej porze roku! Zimą w delcie Dunaju miały prawo polować tylko czaple i myszołowy, skąd więc tu nagle sokół

Ktoś musiał go ze sobą przywieźć

Wzwał pantofle, narzucił szatę na ramiona i wspiął się po stopniach wiodących z komnaty na wieżę. Wstęga rzeki pobłyskiwała srebrzyście z trzech stron wysepki, na której wzniesiono twierdzę, jak również z czwartej, niewidocznej z miejsca, gdzie się znalazł. Na niebie wciąż jeszcze świecił księżyc w pełni, jednakże Hamza nie patrzył ani na jego tarczę, ani na odbicie w wodzie, tylko na ląd. Szeroki zalew płynnie przechodził w lekko uniesione brzegi porośnięte tatarakiem, sięgającym ku gęstej ścianie wierzb jakieś dwieście kroków od wąskiego mostu, który stanowił jedyne połączenie z wyspą. W oddali blask księżycyca wydobywał z mroku powykręcane sylwetki samotnych drzew.

Nagle od ściany wierzb oderwał się jakiś kształt, a dało się go dostrzec dzięki temu, że stanął na tle wstającego za nim świtu. Kiedy postać uniosła rękę, Hamza nabrał pewności, iż patrzy nie na dziką bestię, tylko na człowieka, aczkolwiek równie mrocznego jak ciemność, z której się wyłonił. I zaraz ponownie dobiegł jego uszu krzyk, bardzo podobny do tego, który usłyszał już dwukrotnie, a zarazem nieco inny, gdyż dobył się z ludzkiego gardła.

Tylko dlatego że księżyc świecił nad wyraz jasno tej nocy, a on miał doskonały wzrok, który w dodatku wyteżał ile sił, spostrzegł cień poruszający się szybko w powietrzu, obniżający się gwałtownie i zbliżający do ludzkiej sylwetki. Zobaczył również, jak mężczyzna pochyła się, absorbując impet ptasiego lądowania na swoim przedramieniu. Później tajemniczy sokolnik wyprostował się i przez parę uderzeń serca nic się nie działo. Zanim Hamza zdążył mrugnąć, człowiek i ptak wtopili się z powrotem w ścianę drzew, znikając mu z pola widzenia. Dopiero wtedy wypuścił nieświadomie wstrzymywane powietrze, mówiąc:

- Drakula.

- Książę? Gdzie jesteś?

Szorstki szept Iona stłumiła gęsta, pozbawiona teraz liści roślinność. Zaledwie parę chwil temu siedzieli razem pod starą wierzbą, a potem Wład nagle zniknął, pozostawiając go samego. Stało się to bez jednego szelestu,

bez jednego słowa. Moment później Ion usłyszał przeraźliwy krzyk polującego sokoła, którego Drakula uparł się ze sobą zabrać. W innych okolicznościach Ion Tremblac nie miałby nic przeciwko temu - podzielał pasję swego księcia - lecz czy w tej sytuacji był czas i miejsce na podobne rozrywki?

- Książę? - syknął ponownie.

- Jestem - odparł Wład, przysiadając równie cicho, jak przedtem wstał.

- Co robisz?

- Usiłuję polować - padła odpowiedź i lewa pięść uniosła się lekko - ale mój śliczny Kara- chan nie ma dziś szczęścia.

- Oczywiście, że nie ma - sapnął zdesperowany Ion. - Tylko głupiec chciałby polować z sokołem po nocy

W ciemności błysnął uśmiech Włada.

- Ach, więc teraz masz mnie za głupca - Gwizdnął cicho, przywołując swego sługę, który wyłonił się z mroku niczym duch. Srebrne promienie księżycy zatańczyły na łysej czaszce milczącego mężczyzny. - Możesz go zabrać.

Stoica skinął głową, gdyż odkąd duchowni odcięli mu język za bluźnierstwo, takie i inne gesty były jedynym sposobem umożliwiającym mu porozumiewanie się z otoczeniem. Przyłożył swoje przedramię do przedramienia Włada, nęcąc ptaka kawałkiem mięsa wyjętym z waćka, a gdy odniósł sukces, roztopił się w ciemnościach bez jednego dźwięku. Ion nie wyglądał na uspokojonego.

- Nie martwisz się, że ktoś mógł cię zobaczyć?

- Nocą, z takiej odległości?

- Mimo wszystko ktoś mógł cię wypatrzeć, rozpoznać nawet - A potem powiadomić Hamzę baszę.

- Przecież on i tak wie, że przybędę. Nie robiliśmy z naszego wyjazdu większej tajemnicy.

- To prawda - zgodził się Ion. - Lecz czy nie zdziwi się, że żaden z jego ludzi nie uprzedził go o twoim przybyciu?

- Nie da się tego wykluczyć - wyszczerzył się Wład. - Gdzie stroje? Gotowe?

Ion pokiwał głową z westchnieniem.

- Wszystko ma Stoica - rzekł.

Drakula ponownie zagwizdał, do przyjaciela zaś powiedział:

- Zbyttno się martwisz - Spojrzał na sługę, który pokazał się znowu,

tym razem bez sokoła, za to z nareczem ubrań i płytami zbroi. Wład wziął od niego napierśnik, przyłożył do ciała. - Pasuje - ucieszył się. - Obawiałem się, że nie znajdziemy takiego jak trzeba. Czy to możliwe, że Turcy stali się przez te lata wyżsi?

Z tym pytaniem na ustach jął zrzucać z siebie czarne odzienie. Ion chwycił poszczególne części stroju, a Stoica podawał to, co powinno je zastąpić.

- To strój ściągnięty z jednego z tych nieszczęśników, których pozbawiliśmy życia dzisiejszej nocy - zauważył Ion, przyglądając się przemianie swego księcia w tureckiego wojownika. Wład pozbył się każdej sztuki odzieży, w jakiej tu przyjechał, pozostawiwszy tylko przepaskę na biodrach, po czym owinął się dwoma pasami cienkiej materii, a na to narzucił długi do kolan wełniany capinat. Na wierzch włożył kolczugę chroniącą go od ramion po łydki, po czym jeszcze pozwolił zatrzasnąć się pomiędzy napierśnikiem i płytą broniącą pleców. U dołu obu stalowych części zwisała spódniczka z metalowych kółek zakrywająca uda. Podczas gdy Stoica wiązał skórzane paski utrzymujące wszystko na swoim miejscu, Wład spojrzał wprost na Iona.

- Dalej, Ionie beju, wyduś to z siebie, nim pęknie.

- Skoro już zwracamy się do siebie na turecką modłę, gospodarze - odszczeknął się rycerz. - Moim zdaniem to szaleństwo!

- Wiem, mówiłeś mi już o tym. Aczkolwiek nigdy w obecności moich ludzi - popatrzył na Stoicę, który jakby nigdy nic gmerał przy rzemieniach - nawet tych najgłupszych. A ja wyjaśniałem ci po stokroć, że muszę upewnić się co do twierdzy. W końcu będzie moją bazą po tym, co nastąpi.

- Rozumiem to. O zgryzotę przyprawia mnie co innego. Dlaczego nie ja mam to zrobić?

- Miałbym siedzieć bezpiecznie w obozie? - Wład potrząsnął głową, lecz poza tym nie poruszył się, ponieważ Stoica przystąpił właśnie do mocowania nagolenników. - Po tym wszystkim, cośmy razem przeszli, jeszcze się nie nauczyłeś? Nigdy nie będę dowodził zza pleców moich żołnierzy. Mój kismet jest taki, jaki jest. I jeżeli mam dziś zginąć, nie ma nic, co by mogło temu zapobiec.

- Niekoniecznie musisz zaraz ginąć. Mogą cię rozpoznać i pojmać - burknął Ion.

- Co? W tym przebraniu? - Nawet kiedy mówił, pozwalał słudze owijać sobie twarz jedwabną materią. W rękach już trzymał hełm. Nałożył go sobie

ostrożnie na głowę. Przez wąską szczelinę między metalem a turbanem z materiału widać było tylko dwoje niesamowicie zielonych oczu. Wskazał na nie palcami. - Jeżeli ktokolwiek je zobaczy, a moja Ilona zapewnia mnie, że nie sposób nie zwrócić na nie uwagi, ma mizerne szanse zachować swoje.

Ion westchnął z rezygnacją.

- Jeszcze się ciebie żarty trzymają

- Jakżeby inaczej? Niebawem zacznę zabijać Turków. - Zrobił krok do tyłu. - Jak wyglądam? Ion przypatrywał mu się długo. W końcu powiedział:

- Jak osioł, który lubi, gdy go dosiadają mężczyźni.

- Wyśmienicie! - ucieszył się Wład. - Powinienem wtopić się bez trudu Stoica zdążył zniknąć w krzakach i wrócić z naręczem broni.

- Hm - mruknął Wład, kładąc dłoń na głowicy Smoczego Szponu.

- Książę - rzucił ostrzegawczym tonem Ion.

- Masz rację, przyjacielu. Ten i ów może nie rozpoznać mojego spojrzenia, ale gdyby zobaczył wcielonego siłą do armii chłopca z półtorakiem w dłoni noszącym znak Smoka - urwał i wzniósł wzrok ku niebu. - Już niedługo, ojciec - szepnął, wypuszczając miecz i wybierając mamelucką szablę o lekko zakrzywionym ostrzu i rękojeści. Przeciął nią ze świstem powietrze i opuścił ją z impetem. - Dobrze wyważona, ale nie Tam dokąd się udaję, bardziej przyda mi się buława - zdecydował, podnosząc ciężką pałkę zakończoną kulą z żelaza symetrycznie naciętą rowkami z czterech stron. - I falcjon.

Wsunąwszy za pas broń o jednosiecznej głowni i buzdygan, odwrócił się i jął przedzierać przez chaszczę, skąd wyszedł na otwartą przestrzeń skutego lodem strumienia. Ion podążył jego śladem i wkrótce dwaj mężczyźni maszerowali dziarsko, a jedynym towarzyszącym im dźwiękiem było skrzypienie pod stopami. Kiedy dotarli do płytkiego rozlewiska w kształcie czary, porośniętego wokół gęstym tatarakiem i otoczonego skupiskiem wierzb, zobaczyli grupę około dwudziestu wojowników ubranych kropka w kropkę tak jak Wład. Ponad ich głowami z gałęzi drzew zwieszała się inna dwudziestka, obdarta z odzienia do naga i z wywalonymi na wierzch sinymi językami. Żołnierze powstali, kiedy do ich kręgu wkroczył Wład z Ionem. Drakula spojrzał uważnie w oczy każdego ze swoich witezów, którzy służyli mu już od jakiegoś czasu, pomagając najpierw odzyskać, a następnie utrzymać tron. Trzydziestu innych zostało w Tirgoviste, gdzie trzeba było mieć baczenie na bojarzynów. Wybrańcy - niemal wyłącznie Wołosi - spędzili część życia pośród Turków zarówno jako wojownicy, jak i

niewolnicy i posługiwali się nie tylko wschodnią bronią, ale również językiem osmańskim. Wład skinął na jednego z nich.

- Ilie - powiedział do wielkoluda, który wystąpił z szeregu i stanął obok niego, tak że teraz zdawało się, iż góruje ponad dowódcą niemal dwukrotnie, przebijając go także pod względem czarności stroju - opanowałeś już tę sztukę, o jakiej rozmawialiśmy?

- Nie, wojewodo - odparł zapytany głosem równie ponurym jak jego oblicze, po czym wyciągnął przed siebie rękę z trzymanym przedmiotem. - Coś z nim jest nie tak - stwierdził. - Nie da się naciągnąć jak należy.

- Nie da się?

Ilie zademonstrował, o co mu chodzi. Ujął cięciwę, zaczerpnął głęboko powietrza, po czym napiął wszystkie mięśnie. Mimo to cięciwa nie wyszła poza jego brodę. Przez chwilę dłoń utrzymująca napiętą cięciwę drżała, aż w końcu zwolniła uchwyt.

- Widzisz? - mruknął. - Musi być zepsuty. - Rozejrzał się dookoła. - Wszyscyśmy próbowali i nic. - Powrócił spojrzeniem do Włada. Przechylił lekko głowę i podał mu łuk, dodając: - Wszyscy oprócz ciebie.

Drakula przypatrzył się jego czarnym oczom, potem powiódł wzrokiem po reszcie swoich ludzi. Wszyscy milczeli jak zakłęci, zupełnie jak Stoica. Tylko Gregor szczerzył się jak zwykle. Ion pokręcił nieznacznie głową. On także próbował zmierzyć się z tureckim łukiem i poległ, co powinno uświadomić jego księciu, że to wyjątkowy rodzaj broni. Aby naciągnąć cięciwę, potrzebna była umiejętność, jaką posiada może kilku ludzi, i to szkolonych w niej od najwcześniejszego dzieciństwa. Gdyż nie tylko o zwykłą siłę tu chodziło; istotniejsze zdawało się umiejętne jej skoncentrowanie. Ledwie zauważalny ruch głową miał również przypomnieć Władowi o czymś jeszcze: o tym, że żołnierze zawsze wypatrują dobrych znaków przed walką. Przyglądanie się, jak dowódca zмага się z wielkim łukiem i przegrywa starcie, nawet jeśli wcześniej przegrało dwudziestu zaprawionych w boju mężczyzn, to z całą pewnością nie będzie dobry omen.

Z tych samych dwóch powodów jego oczy wyraźnie mówiły: nie rób tego. Wład wziął do ręki łuk i natychmiast się zorientował, że jeden z wisielców musiał być naprawdę zamożnym człowiekiem, gdyż broń, którą przy nim znaleźli, była niesłychanie finezyjnie wykonana. Z drewna klonowego, co do tego nie mogło być wątpliwości, i z rogu bawołu, choć aż trudno było w to uwierzyć. Łuk wyglądał na stary, aczkolwiek nie sposób było określić jego wieku. Dość powiedzieć, że zdaniem niektórych taki, co

wyszedł spod ręki mistrza w swoim fachu, mógł posyłać celnie strzały nawet przez dwieście lat.

Nie przedłużając zachwyków nad trzymanym w ręku egzemplarzem, wolną rękę zawiesił w powietrzu wnętrzem dłoni do góry. Stoica momentalnie umieścił w niej pierścień łuczniczy. Wład wszedł w jego posiadanie jeszcze w Adrianopolu i wysoko go sobie cenił, gdyż został wykonany na miarę przez wybitnego łucznicza, który najpierw zrobił odcisk palca młodzika w płynnym wosku. Teraz Dra-kula nasunął go zwinnie na palec i zaraz sięgnął po trzymaną przez służącego sosnową strzałę. Przejechał wzdłuż lotek z łabędzich piór i podniósłszy wzrok, wpił się oczyma w czarne studnie bez dna ziejące w twarzy Ilie. Nie odrywając spojrzenia od witezia, umieścił strzałę, naciągnął, sięgając cięciwą dokładnie do tego miejsca, na którym skończył Ilie, czyli przy własnej brodzie, a potem zaczerpnął powietrza i dociągnął napiętą już przecież cięciwę aż do ucha. Przytrzymał ją tak przez moment, zanim zwolnił. Wypuszczona strzała pomknęła poprzez gałęzie wierzb w stronę rzeki.

Wład opuścił łuk i jakby nigdy nic powiedział:

- Chyba go sobie zatrzymam, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu.
- Jest twój, wojewodo - uśmiechnął się Czarny Ilie, odstępując w mrok.
- Czas udać się śladem tamtej strzały - obwieścił Wład.

Kiedy poprzebierani za Turków mężczyźni zaczęli zbierać rozrzuconą wokół siebie broń, zwrócił się bezpośrednio do jednego z nich, który pozostał w odzieniu wołoskim. Był to Buriu, dowódca jego kawalerii.

- Wiesz, jaki będzie sygnał. Każ Stoicy tkwić przed linią drzew, tak aby był dobrze widoczny. - Skinął ku niemowie. - A kiedy cię wezwę, przybądź jak najprędzej.

- Będzie, jak rzekłeś, wojewodo - odparł Buriu i skłonił się przed Drakulą, po czym wraz z innym mężczyzną wycofał się w tataraki, gdzie w niewielkiej kotlinie czekała w odwodzie druga, znacznie pokaźniejsza grupa żołnierzy.

Tymczasem witeziowie ustawili się już w dwóch oddziałach. Wład zrobił krok w ich stronę, aby zająć miejsce na czele, lecz przystanął, kiedy Ion powstrzymał go gestem.

- Książę

Wład położył przyjacielowi dłoń na ramieniu.

- Nie teraz, Ion. Za godzinę. W zamku, który wybudował mój dziadek. Teraz już muszę iść.

Z tymi słowy wyminął rycerza i już po chwili zniknął w wąskim przejściu pomiędzy dwiema rosnącymi blisko siebie wierzbami. Za nim bez wahania ruszyli żołnierze. Ich szerokie ramiona wprawiły w ruch dwa ciała dyndające z samego brzegu - trupy jęły się kręcić w przeciwne strony i nie przestały nawet po tym, jak ostatni wojownik zniknął w ciemnościach. Ion musiał podejść do nich i przyłożywszy dłonie do bosych zimnych stóp, powstrzymać wirowanie.

- Odejdźcie z Bogiem - szepnął.

Moment później zajmował się już swoimi sprawami.

31. TROJA

Krajobraz wokół twierdzy Giurgiu jawił się w oczach Hamzy równie nijaki za dnia, jak i w nocy.

Promienie wstającego słońca w żaden sposób nie złagodziły ostrego północno-wschodniego wiatru; lodowate podmuchy nadal bezlitośnie ugiwały porastający brzegi gęsty tatarak, w którego szpalerze leniwie sunęły szarosine wody Dunaju. Przycupnięte na pobliskim niewielkim wzgórzu wierzby i topole zdawały się samymi szkieletami drzew, odkąd w rodzącym się świetle dało się dostrzec ich gołe, pozbawione listowia gałęzie, powykręcane i szarpane przez mroźny crivat.

Ale przynajmniej jutrzeńka przyniosła pierwsze oznaki życia. Na rzece pojawiły się liczne łódki płynące od trackiego brzegu i wiozące zapasy i ludzi. Hamza był też pewien, iż dostrzegł dwie łodzie, na których pokładzie aż roiło się od żołnierzy. Najwyraźniej, choć był dopiero początek zimy, Mehmed już zaczął czynić przygotowania do wojny, czego widomą oznaką było wzmacnianie tej nadgranicznej twierdzy.

Jednakże do wojny może wcale nie dojść, jeżeli nie myli mnie wzrok i to kawalkada Włada Drakuli przesuwa się tam, na lądzie, pomyślał Hamza, nie będąc pewnym, co w związku z tym czuje.

- Czy to on? - Grek zakradł się na blanki, stąpając cicho po kamiennych stopniach w pantoflach na miękkich podszwach.

Hamza pociągnął się trzykrotnie za brodę - co ostatnimi czasy weszło mu w nawyk, jak sam niechętnie musiał przyznać - i na moment przeniósł spojrzenie na Tomasza Katawolinosą, by zaraz znów patrzeć na kawalkadę opuszczającą szczyt wzgórza. Doliczył się tuzina jeźdźców i trzech zakrytych wozów, z których jeden - ostatni - był właściwie palankinem, o wnętrzu odgrodzonym czarnym suknem od świata i ludzkich spojrzeń.

- Niewykluczone - odpowiedział po chwili. - Wozy mogą zawierać daninę. A księżę może jechać w palankinie, jako że przesłał wiadomość, iż zaniemógł.

- Ale gdzie są chłopcy? - dociekał Tomasz, wychylając się zza krenelażu.

- Pewnie zwłóczą gdzieś na tyłach. Nasi szpiedzy donieśli, że księżę Drakula robił werbunek w każdym siole.

Mówiąc, Hamza przyglądał się stojącemu obok mężczyźnie. Wszystko wskazywało na to, że po przebudzeniu zdążył zająć się toaletą, gdyż włosy miał ułożone w kaskady rudych loków opadających schludnie na ramiona, a oczy, które właśnie zwrócił na towarzysza, otoczone karmazynową obwódką.

- Musi cię rozpierać ekscytacja, enishte Na samą myśl o ponownym spotkaniu ze swym dawnym kochankiem

Hamza bąknął coś pod nosem i czym prędzej umknął wzrokiem ku rzece, gdzie pojawiło się jeszcze więcej łodzi, z których znaczna część uwalniała na brzeg zastępy żołnierzy. Odrazą napawała go świadomość, iż inni wiedzą tyle o jego życiu, ale przecież sam opowiedział staremu sułtanowi o sposobie, w jaki ostatecznie poskromił młodego księcia Wołochów. Murad przekazał jego słowa synowi, a ten podzielił się sekretem z Katawolinosem. Od oblężenia Konstantynopola obecny władca otaczał się w większości możliwymi wywodzącymi się z podbitych ludów, tak że trudno było znaleźć pośród Dywanu osoby biegle posługujące się językiem osmańskim.

- Czy to prawda, że ten cały Drakula pobierał nauki w twierdzy Tokat? - zainteresował się Grek. Hamza potwierdził skinieniem, po czym dodał:

- Czynił to z największą niechęcią.

- Cóż, zatem łączy nas tylko miejsce. Ja bowiem bardzo mile wspominał czas tam spędzony. - Klasnął w dłonie. - Jestem pewien, że zgłębianą przez nas obu sztuka znacznie się różniła. Z radością podzielę się z nim nowinkami, a nawet zaprezentuję mu je, tak aby mógł poczuć kunszt swoich dawnych mistrzów na własnej skórze.

Śmiech Katawolinosa wzbudził w Hamzie dreszcz. Oczywiście wiedział, że rozkazy sułtana muszą zostać wypełnione co do joty. Lecz choć bywał świadkiem okrucieństw, jakie dotykały nieposłusznych woli Mehmeda, nie potrafił się zmusić i odgrywać swej roli z entuzjazmem. Zresztą w dalszym ciągu żywił wątpliwości co do tego, jak zakończy się cała ta sprawa. Wład, którego znał i zapamiętał, na pewno nie jest głupcem. I nieraz w przeszłości ich zadziwił. Wystarczyło przypomnieć sobie tę zadziwiającą historię, którą opowiedział im Radu, o uprowadzeniu odaliski na ulicach Adrianopola.

Kto powiedział, że nie zadziwi ich i tym razem? Być może rzeczywiście będzie leżał w palankinie złożony gorączką, a wtedy Hamza rozejrzał się bystro po dziedzińcu. Jak co dzień rano było tu tłoczno i gwarno, ludzie podążali w rozmaitych kierunkach, lecz wiele osób - jego podkomendnych - trwało w bezruchu, obserwując i czekając. Powiódł wzrokiem ku wieży strażnicy, będącej niemalże osobną fortecą w obrębie szerszych murów. Za

każdym zębem krenelażu stał uzbrojony żołnierz, a mimo to Hosnick, dowódca twierdzy, najwyraźniej postanowił uzupełnić szeregi posiłkami napływającymi wciąż znad rzeki.

Wszystko było gotowe na przyjęcie Drakuli. Pozostawało tylko pytanie, czy księżę ich zaskoczy czy rozczaruje. Targając po trzykroć brodę, Hamza nie umiał się zdecydować, którą z tych dwu możliwości by wolał.

Rzucił spojrzenie w stronę traktu, na który jakiś czas temu wstąpiła nadciągająca kawalkada. Wołosi właśnie mijali zgrupowanie chat, które przycupnęły po obu stronach bitego traktu, i przymierzali się do przekroczenia wąskiego mostu prowadzącego do twierdzy na wyspie. Z tej odległości Hamza mógł już stwierdzić, iż na czele kolumny podąża mężczyzna nie będący Władem. A jednak w wyprostowanej wysokiej sylwetce pierwszego jeźdźca było coś znajomego.

- Wyjdziemy naszym gościom na spotkanie? - zaproponował.

Po chwili schodzili już krętymi schodami, w ariergardzie i awangardzie mając po trzech halabardzistów ceremonialnej straży. Znaleźli się na poziomie dziedzińca w tej samej chwili, w której na bruku rozległ się stukot końskich podków. Hamza nawet nie musiał się rozglądać, aby wiedzieć, iż jego ludzie wzmogli czujność. Rozległ się ledwie słyszalny szelest lotek strzał równocześnie wyciąganych z kołczanów, powietrze zawibrowało od drżenia napinanych cięciw. Gdzieś w górze zabrzęczała zbroja - to Hosnick wychylił się zza blanek, trzymając uniesioną dłoń w górze.

Tymczasem kawalkada zdążyła wtoczyć się już na dziedziniec. Jeźdźcy zsiadali z koni, podróżni opuszczali wozy. Hamza postąpił krok w ich stronę.

- Allahowi niech będą dzięki za wasze bezpieczne przybycie - powiedział na przywitanie. Prowadzący kawalkadę rzucił wodze jednemu ze swoich ludzi, po czym zdejmując z głowy hełm, odwrócił się i rzekł:

- Niech Pan w niebiesiech pobłogosławi to pojednanie starych przyjaciół. Hamza zamarł w pół ruchu.

- A niech mnie! - zakrzyknął. - To ty, Ion?

- Nie kto inny, Hamzo baszo. Ion Tremblac, najgłupszy z twoich uczniów.

Dwaj mężczyźni skłonili się sobie, wiodąc dłońią od czoła do ust i od ust do serca, po czym rozłożyli szeroko ramiona w geście powitania.

- Nie ma czegoś takiego jak głupi uczeń, Ionie. Zdarza się, że najsilniejsze drzewo wyrasta ze słabej sadzonki. Zresztą wystarczy popatrzeć, jaki z ciebie wyrósł potężny wołoski dąb! - Hamza, który nie należał do

niepozornych wzrostem, musiał zadzierać głowę, by spojrzeć Ionowi prosto w twarz. Mimowolnie próbował odszukać piętno pod grzywką z długich płowych włosów, lecz tuga okazała się dobrze ukryta. - Wybacz. Oto mój współambasador, Junus bej.

Greki wykonał ten sam gest co uprzednio Hamza, po czym zbliżył się.

- Zanim Mehmed Zdobywca, niech jego imię będzie sławione do końca świata, sprawił, że łuski opadły mi z oczu i przyjąłem wiarę w Allaha miłosiernego, byłem znany pod imieniem Tomasz Katawolinos i zwykłem witać się z braćmi w wierze chrześcijańskiej o, tak - wyciągnął rękę. Ion ujął podaną mu dłoń, niemile zaskoczony siłą uścisku zniewieściałego mężczyzny.

- To dla mnie zaszczyt - powiedział.

- Dla mnie również - padła nieszczera odpowiedź.

Kiedy ręce opadły znów wzdłuż boków, trzej mężczyźni spoglądali na siebie niezręcznie. W końcu Hamza przerwał ciszę, pytając:

- A mój drugi uczeń? Twój książę? Czy dobrze się miewa?

- Niestety, enishte - Ion odstąpił o krok do tyłu. - Nadal zмага się z przypadłością, która pozbawiła go sił. Nic jednak nie powstrzymałoby go przed wypełnieniem swego obowiązku.

- Zatem jest tutaj?

- Tak - odparł Ion, przełknąwszy ślinę, po czym odwrócił się, by poprowadzić ich wzdłuż wozów i stojących rzędem żołnierzy. Hamza spostrzegł, że wszyscy uzbrojeni są co najwyżej w sztylety, jak zostało uzgodnione podczas wymiany korespondencji. - Przywieźliśmy nie tylko dziesięć tysięcy złotych monet, ale także podarunki zarówno dla ciebie, jak i oczywiście dla sułtana.

- To bardzo zadowolające - bąknął Hamza, nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Chłopcy pozostali za nami o półtora dnia drogi - kontynuował Ion. - Sam wiesz, jak wolno poruszają się takie młodziki. Zwłaszcza gdy jest ich aż piętnaście setek i nie nawykli do forsownego marszu.

- Wybornie - skwitował Grek.

Kiedy zbliżyli się do palankinu i Ion zaczął rozwiązywać paski czarnego sukna stanowiącego zasłonę, ze środka dobiegły ich jakieś szelesty.

- Spokojnie, książę, spokojnie - mruczał Ion, trzęsącymi się palcami rozplątując ciasno splecione troczki.

Słyszając uspokajający głos rycerza, Hamza bezwiednie zmarszczył czoło. Cóż to znowu za przypadłość złożyła Drakulę? Z jego dworu nadchodziły

coraz dziwniejsze wiadomości. Szpiedzy powiadali, że ponoć w napadach gorączki mówił i czynił niestworzone rzeczy. Niektórzy twierdzili nawet, że całkiem postradał zmysły. Jednakże w Imperium Osmańskim szaleńcy traktowani byli z szacunkiem jako ci, którzy porzucili krępujące ich więzy tego świata i zbliżyli się do raju. Być może dlatego Hamza - gdy Ion uporał się z supłami i odrzucił płachtę na bok, odsłaniając wnętrze palankinu - spodziewał się ujrzeć nie tyle człowieka, ile wizję; nie tyle swą dawną miłość, ile umiłowanego przez Najwyższego. Zobaczył jednak sokoła.

W centralnej części całkowicie pustego poza tym palankinu tkwiła żerdź, na której uwiązany rzemieniem siedział - sądząc po wielkości - tiercelet. Uniósł stalowoszare skrzydła, nastroszył jaśniejsze pióra wola i brzucha i wydał z siebie przeraźliwy dźwięk, mający wyrażać oburzenie z powodu nagłego wystawienia na jasne światło słoneczne.

Ion zdążył już włożyć rękawicę i teraz, cmokając uspokajająco, sięgał do małych drzwiczek palankinu, by otworzywszy je, wsunąć dłoń do środka, rozsypać ostatnie więzy i zachęcić ptaka do tego, żeby usiadł mu na pięści. Tiercelet z furią opuścił głowę, pastwiąc się ostrym dziobem nad skórą ochraniającą kciuk mężczyzny, lecz o dziwo, po chwili rozsiadł się wygodnie jakby nigdy nic. Hamza musiał w duchu przyznać, że sokół został wspaniale ułożony. W przeciwieństwie do niego Tomasz - najwyraźniej nie mający pojęcia o sokolnictwie - odsunął się na bezpieczną odległość już na pierwsze skrzeki drapieżnika. Teraz wyglądał zza ramienia Hamzy z pytającym wyrazem twarzy.

- A to co takiego?

- Sokół - odparł ambasador sułtana. - I to nie byle jaki. - Wysunął dłoń, za którą ptak wiódł spojrzeniem, jakby spodziewał się nagłego pojawienia się zdobyczy. Hamza cofnął rękę z szerokim uśmiechem. - Jak sądzę, to jest ów podarek Drakuli dla mnie? - zapytał.

Ion nie odpowiedział. Za to rozległ się inny głos, dochodzący gdzieś sponad ich głów.

- Nie, enishte. Czarny Książę jest mój.

Turcy zadarli głowy i zobaczyli równocześnie dwie rzeczy. Pierwszą było tryskające krwią gardło Hosnicka, który właśnie został przerzucony przez blanki i koziółkując w powietrzu, spadał na bruk dziedzińca. Drugą - wciąż poruszające się usta mówiącego mężczyzny o twarzy poza tym przesłoniętej zawojem.

Kiedy górujący nad nimi człowiek wyciągnął obleczoną w skórzaną

rękawicę dłoń, Ion odstąpił od wozu i zrobił silny wymach ramieniem. Karachan, Czarny Książę, poderwał się do lotu natychmiast. Tylko cztery uderzenia skrzydeł później ptak siedział już na zaciśniętej pięści Włada, gdzie wszakże zabawił ledwie przez moment, niemal od razu posłany znowu w powietrze. - Dobrych łowów! - krzyknął za nim Drakula, podczas gdy świat wokół pogrążał się w chaosie.

32. POJMANIE

Na szczycie baszty strażniczej każde miejsce pomiędzy zębami krenelażu zajmowali teraz Wołosi, naciągający ciężki łuk i gdzieś tam nadrabiający mikry wzrost wspieraniem się na trupach Turków, którym podcięli gardła.

Wład, który właśnie posłał ciało Hosnicka na bruk dziedzińca, stał już w łuczniczej pozycji, niebezpiecznie balansując na krawędzi blanek, naprężał ciężką i mierzył do celu. Moment później halabardzista stojący po prawicy Hamzy obejmował dłonią strzałę przesywającą mu pierś i zataczając się do tyłu, padał na wznak bez życia.

Obeszło się bez wydawania rozkazów. Każdy z witeziów doskonale wiedział, co ma robić. Ion dał przykład, obejmując ramieniem szyję Hamzy, drugą zaś ręką przykładając mu sztylet w okolicy ucha.

- Rusz się, a będziesz trupem - syknął.

Zmartwiały Hamza mógł tylko bezradnie obserwować rozwój wypadków. Śledzić bystrym wzrokiem strzały mknące w kierunku jego przybocznych i powalające strażników jednego po drugim. Z niedowierzaniem przyglądać się, jak Wołosi zbiegają na dziedziniec, kierują się ku wozom, zrywają z nich przykrycia i dobywają mieczy i tarcz. Jak tarcze te unoszą się, budując barykadę z nabijanego stałą drewna, spychając jego i Tomasza jeszcze bliżej palankinu. W pewnym momencie Ion musiał zwolnić chwyt na gardle Hamzy, aby samemu się osłonić, a Turek wykorzystał to, albowiem już od paru chwil wiedział, że jeśli dostanie się do niewoli - jeśli Giurgiu dostanie się w ręce Drakuli, na co niechybnie się zanosilo - on będzie martwy. Nie miał wątpliwości, że jeżeli nawet księżę Wołochów daruje mu życie, sułtan dopilnuje, aby spotkała go należyta kara za niewypełnienie misji. Dlatego na ułamek uderzenia serca przed tym, zanim tarcza Iona wzniosła się ponad jego głowę, odcinając mu widok na to, co dzieje się dokoła, i tłumiąc jego głos, zakrzyknął:

- Na nich!!

Nienaturalną ciszę, która zapadła w chwili upadku Hosnicka z blanek, wypełnioną tylko przez trzeszczenie napiętych majdanów i ciężki, a potem także przez ciche jęki umierających, rozdarł dziki wrzask.

Dobyl się z gardeł wszystkich obrońców twierdzy naraz, podczas gdy Wołosi ze swym księciem na czele w milczeniu sięgali po strzały i posyłali je jedna za drugą we wroga, póki jeszcze mieli okazję. Dosięły one wielu spośród Turków, wszakże tych było aż trzy setki, a każdy należał do rasy zdobywców. Drakula nie wątpił, że oficerowie garnizonu rozpoznali już zastosowany szyk testudo, który przez krótki czas miał bronić Iona i jego zakładnika. Mógł też podejrzewać, że co lepiej wykształconym przyszła na myśl znacznie starsza historia o zdobyciu Troi. Choć dwudziestu zbrojnych nie było w stanie odbić całej forticy, istniała szansa, że utrzymają basztę strażniczą do czasu, aż nadejdą posiłki w postaci regularnej armii.

Kiedy pierwsza wraza strzała zgrzytliwie wgryzła się w mur przed nim, Wład odstąpił parę kroków do tyłu i stamtąd ogarnął sytuację. Tak jak się spodziewał, jego oficerowie już wykrzykiwali rozkazy, posyłając swoich ludzi w przeciwne krańce blanek. Podczas gdy żołnierze przebiegali na zachodni i wschodni koniec murów, Wład zawołał:

- Do mnie! - Natychmiast obstała go część zbrojnych. - Tam! - dodał, wskazując czubkiem sztyletu i żołnierze bez chwili zwłoki jęli wypuszczać bełty w stronę nacierających w dole Turków. Niektórzy padali przesygnięci na wylot, inni potykali się o ciała kompanów i również zwałali się na ziemię, wszelako większość trzymała tarcze wciąż uniesione wysoko. Wład dostrzegł pomiędzy nimi paru, którzy dzierżyli taran. Nie czekając, by zobaczyć, czy zdołają go użyć, przebiegł na drugą stronę murów, gdzie wydał podobne rozkazy, na poły powstrzymując analogiczny atak. Wystrzeliwszy ostatnią strzałę z kołczanu, nie zatrzymał się nawet, aby sprawdzić, czy dosięgła celu. - Teraz! - wrzasnął i jego ludzie podążyli za nim jak jeden mąż, pozostawiając tylko sześciu najlepszych łuczników, aby kontynuowali ostrzał i nękanie przeciwnika.

Rzucił niespokojne spojrzenie ku lądowi i zaraz się przekonał, że Karachan musiał odnaleźć pięść niemowy, gdyż jeźdźcy właśnie opuszczali linię drzew, posuwając się wolno, co na tak podmokłym terenie nakazywały ostrożność i rozsądek. Dopiero za parę chwil mieli minąć rozlewiska i rwące strumienie skryte pośród tataraku, po czym osiągnąwszy stały grunt, puścić się galopem. W ciągu tych kilku chwil most zwodzony nie miał prawa zostać podniesiony.

Czterech ludzi Drakuli, pozostawionych w strażnicy na dole, robiło co w ludzkiej mocy, aby nie wpuścić Turków do środka, broniąc tym samym mechanizmu kołowrotu. Dzięki ich wysiłkom beczki, skrzynie i zwoje lin

zatarasowały oboje drzwi, teraz naprzeciwko nich stanęło siedmiu żołnierzy. Wład skierował się w stronę, z której dobiegło uderzenie tarana. Sięgnął do broni zatkniętej za pas; po chwili w jego prawej ręce pojawił się kiścień, w drugiej zaś falcjon. Nie pomylił się przy wyborze, trafnie przewidziawszy, jak ciasno będzie wokół ogromnego kołowrotu, za pomocą którego podnoszono i opuszczano most zwodzony. Gdyby zdecydował się zabrać ze sobą miecz bastardowy, długie i ciężkie ostrze okazałoby się nad wyraz nieporęczne.

Przy drugim uderzeniu obejrzał się na swoich ludzi. Większość porzuciła tureckie bułaty stanowiące część przebrania i trzymała już w dłoniach toporki, oszczepy i sztylety. Tylko olbrzymi Czarny Ilie dzierżył broń nie urągającą jego wielkości - dłuższą niż sam był wysoki halabardę, wyposażoną w topór, szpikulec i hak. Dostrzegłszy spojrzenie Włada, wyszczerzył się i potrząsnął drzewcem w niemym salucie.

Niemal równocześnie rozległ się jęk wyważanych wschodnich wrót. Podparte przez beczki stawiały opór jeszcze przez parę uderzeń serca, lecz w końcu ustąpiły z trzaskiem i wpadły do środka. Drakula i jego podwładni rozpiechli się na boki, żeby nie zginąć, zanim walka rozpoczęła się na dobre, wpuszczając do wnętrza pierwszego z Turków pociągniętego impetem tarana. Kiedy mężczyzna potknął się o wysoki do kolan zwój liny, Wład zamachnął się kiścieniem i wtłoczył w jego czaszkę metal szłomu. Jednakże następni deptali mu po piętach.

- Allahu akbar! - wrzeszczeli Turcy, wlewając się do strażnicy.

- W imię świętego Andrzeja! - ryknęli w odpowiedzi Wołosi, gotując się do starcia z wrogiem. Drakula był pomiędzy nimi, jak zawsze. Równa, otwarta walka sprowadzała wszystko do najprostszych zasad. Świat stawał się łatwy do ogarnięcia, ograniczony do znajomych, miłych dla ucha dźwięków: zgrzytu metalu o metal, trzasku pękających kości, okrzyków szału bitewnego, bólu i przerażenia. W sytuacjach takich jak ta Wład nie czuł ani gniewu, ani strachu; myślał wyłącznie o tym, aby odebrać życie kolejnemu wrogowi, zanim ktoś zabije jego. Liczba nie miała najmniejszego znaczenia - ofiar równie dobrze mogło być sto, jak tylko jedna. Każdy kto pragnął udowodnić, że jest silniejszy i sprawniejszy od niego, musiał zginąć.

Tak jak ci tutaj. Strażnicy wpadali do mrocznego ciasnego wnętrza jeden po drugim i jeden po drugim ginęli. Aczkolwiek sukces Wołochów - z których każdy był tak samo silny i sprawny jak ich książę - nieomal przywiódł ich do zguby. Chociaż bowiem liczba ciał rosła, powiększała się

też bariera ograniczająca ruchy i zawężająca pole manewru. I nagle jakiś rosły Turek niczym wcielenie mitycznego berserka przedarł się po zwałach poległych towarzyszy, odtrącił po drodze Czarnego Ilie za pomocą jednego uderzenia wielkiej tarczy i rzucił się z uniesionym mieczem ku Władowi. Zdawało się, że nic nie powstrzyma ciosu. Drakula mógł tylko cofnąć się niezdarnie, przy czym potknął się o platformę, na której umieszczony był kołowrót, i ostrze minęło jego głowę dosłownie o włos. Impet, z jakim miał zostać zadany cios, sprawił, że potężny miecz olbrzyma wbił się w drewnianą podłogę, a grube deski przytrzymały go tam wystarczająco długo, by Wład, odzyskawszy równowagę, zadał pchnięcie falcjonem, przesywając wrogowi gardło.

Jednakże w wejściu, które przed chwilą zastawiała zwalista sylwetka giganta, pojawiło się trzech następnych Turków.

- Za mną! - krzyknął Wład, chowając falcjon do pochwy i chwytając porzuconą tarczę. Zamachnął się nią na twarz pierwszego napastnika; uginając nogi w kolanach, uniknął sztychu drugiego; wprawionym w ruch kiścieniem roztrzaskał rzepkę trzeciego. Po jego obu stronach błyskały ostrza wznoszonych i opuszczanych ostrzy hamujących napór Turków.

- Wojewodo! - rozległo się gdzieś za jego plecami.

Skręcił tułów, spojrzął za siebie i zobaczył, że dwaj żołnierze, którzy osłaniali zachodnie wrota, odступują, w miarę jak topory - uparcie raz za razem uderzające po drugiej stronie i dokładające się do ogólnego harmideru - zamieniają twarde drewno w drzazgi, rozłamując ułożoną na krzyż żelazną poprzeczkę. Zdołali położyć trupem pierwszą parę, która oszołomiona sukcesem wpadła do środka, wszelako w ich oczach pojawił się zwierzęcy strach na widok tuzinów rozwścieczonych wrogów prze stępujących hurmem próg.

- Nie dać mi się tutaj! - zawołał Wład do obrońców wschodniej strony, po czym zakomenderował: - Gregor! Ilie! Gheorghe! Do mnie!

Ogarniając wzrokiem pobojuwisko, doliczył się, że z czternastu ludzi pozostało mu tylko dziesięciu. Dawało to pięciu obrońców na każde odrzwia. Czyżby tak miał wyglądać mój koniec? zastanowił się bez cienia emocji, czując, że umysł ma niesamowicie jasny. Porwał z ziemi nową tarczę i osłaniając się niemal po czubek głowy, przyjrzał się pierwszemu z rzędu nieprzyjacielowi. Był to przypominający górę, stojący w progu zachodnich wrót zarośnięty dzikus, wahający się, co dalej. Ta chwila nie mogła trwać w nieskończoność, jako że Turcy nigdy nie wahali się zbyt długo.

Uderzenie serca później usta wielkoluda rozchyliły się, a oczy otwały jeszcze szerzej - przyczyną jednego i drugiego musiało być zaskoczenie spowodowane widokiem strzały wystającej mu z gardła na długość dłoni. Na moment oczy mu się zjechały, jak gdyby chciał się lepiej przyjrzeć temu, co przeszkodziło mu w ataku, po czym zwałił się na ziemię, posyłając stojących po obu stronach kompanów na boki. Wzięci w dwa ognie Turcy miotali się pomiędzy siłą z przodu i celnością z tyłu, a ich szeregi topniały z każdą chwilą. Wład widział, jak strzała mija o włos głowę jednego wroga, by zatopić się w oczodole drugiego. Ów przez chwilę szarpał się z opierzonymi lotkami, po czym padł bez życia, odsłaniając widok za sobą. Do strażnicy wkraczali właśnie Ion z pozostałymi z szyku testudo, masą i precyzją kosząc krwawe żniwo.

Nagle Drakulę ogarnęło potworne zmęczenie. Przyklął, podobnie jak uczynili jego ludzie wokół.

- Rannyś, książę? - zapytał Ion, kucając przy nim. W odpowiedzi Wład tylko pokręcił głową.

- Co z twierdzą?

- Jest już prawie nasza. Pozostało tylko kilka grupek broniących się do upadłego. Reszta spośród tych, którzy nie zginęli, zbiegła. Buriu ich wykończy.

- Hamza?

- Cały i zdrow. Pilnuje go Stoica. Jego i Greka.

- A mój Czarny Książę?

- Tam gdzie jego miejsce: na żerdzi. - Ion wyciągnął ramię i pomógł Władowi stanąć na nogi.

- To dobrze - stwierdził Drakula, prostując się. - Trzeba go nakarmić.

33. WIEŚCI

Wład zorientował się, że nastąpiło południe, ponieważ - nie do wiary! - muezin zaczął nawoływać wiernych na modlitwę. Wołosi uznali to za nieodpowiednie zachowanie w twierdzy, która właśnie stała się siedzibą chrześcijańskiego księcia, i zrobili sobie z niego tarczę strzelniczą. Mężczyzna pewnie umarł szczęśliwy pomimo wgrzyżających mu się w ciało strzał, jako że męczeństwo otwierało bramy raj. Później wszyscy rzucili się wypełniać rozkazy hospodara. Drakula wyraźnie obwieścił, ilu jeńców ma zostać zabitych i w jaki sposób, a ilu tylko okaleczonych i puszczonech wolno ku przestrodze szerokiemu światu. Najsilniejszych Turków czekała długa droga do Tirgoviste, gdyż istniała szansa, że ją przeżyją i - jeśli tylko wszystko pójdzie dobrze - będą mogli być wymienieni na tych nielicznych, których Mehmed oszczędzi w dalszych walkach. Gdyby zaś sprawy przyjęły zły obrót - myślał Wład - cóż, wtedy się zobaczy

- Książę - rzekł donośnie Ion, wstępując do wielkiej sali twierdzy. Zgrabnie ominął rusztowanie, które przesłaniało wejście; Turcy na krótko przed atakiem zaczęli partiami przebudowywać fortecę, po posadzkach wały się narzędzia do ciesiołki. - Życzysz sobie zobaczyć ich teraz?

Wład rozejrzał się wokół, rozważając odpowiedź. W normalnych warunkach ambasadorów przyjmowało się z zachowaniem pewnych zasad, pilnując, by nie uchybić protokołowi. Zazwyczaj pierwszej zmywało się z dubletu krew i resztki mózgow ich strażników. Wszelako dziś warunkom daleko było do normalności.

- Tak, przyjacielu. Możesz ich wprowadzić.

Do sali wkroczyli uzbrojeni witeziowie, znów odziani w zwykłą czerń, przed sobą mając czterech ambasadorów. Wszyscy nowo przybyli podeszli do podwyższenia, na którym rozpierał się szeroki dębowy stół zasłany mapami i zapisanymi zwojami, jak również resztkami mięsiwa i chleba. Wład nie spuszczał wzroku z Turków. Nie uszedł jego uwagi wielki siniak na twarzy Hamzy oraz nadzwyczajna bujność rudej czupryny Greka. Głowy tego drugiego nie skrywał turban; zresztą Drakula wątpił, by Grek pomimo przejścia na islam często chował swą dumę pod przepisowym zawojem. Natomiast Hamza musiał stracić turban podczas nieodległej w czasie

szarpaniny, niewykluczone, że w wyniku tego samego ciosu, który oszpecił mu fizjonomię. Zdziwiło Włada co innego - włosy jego dawnego nauczyciela były niemal całkiem siwe. Dwaj pozostali ambasadorowie zachowali turbany na głowach, aczkolwiek nieco przekrzywione.

Drakula powiódł spojrzeniem po stole, na którym wcześniej przycisnął do blatu najważniejsze dokumenty porzuconymi przez cieśli młotkami i ćwiekami, ratując je przed porwaniem przez bryzę wiejącą od umieszczonych wysoko w murze łukowatych okien. Teraz wyciągnął spod prowizorycznego przycisku jeden z papierów i zapoznał się z imionami stojących przed nim mężczyzn. Abdula Aziza mgliście sobie przypominał - mężczyzna ów służył jeszcze na dworze Murada, pełniąc tam jakąś nic nieznaczącą funkcję, choć najwyraźniej od tamtych dni zdążył awansować. Abdul Munsif, najmłodszy spośród ambasadorów, był mu całkowicie nieznany. Wład ujął do ręki pióro, umoczył je w inkauscie i zawahawszy się na moment, przeciągnął grubą linią wzdłuż jednego z imion. Następnie, nie podnosząc oczu znad zapisanej stronicy, zapytał cicho:

- Czy wyszło ze zwyczaju zdejmować nakrycie głowy w obecności księcia?

Popatrzył na wprowadzonych do sali mężczyzn. Wszyscy czterej stali bez ruchu, najwyraźniej zastanawiając się, do kogo mówiący kieruje swe słowa. Dla pewności więc sprecyzował:

- Abdul Munsif To zdaje się, znaczy: sługa Sprawiedliwego, czy tak? Zapytany mężczyzna przełknął ciężko i energicznie kiwając głową, odparł:

- Tak, panie.

- Zapewne cieszysz się zaufaniem swego władcy. Więc postępuj tak, jak on by sobie tego życzył. Po cóż obrażać księcia, któremu niesiesz poselstwo, pozostawiając nakrycie głowy?

Abdul Munsif zamrugnął skonfundowany, w odpowiedzi zaś wyręczył go Hamza, odzywając się głosem schrypniętym od krzyku w ferworze walki.

- Dobrze wiesz, dlaczego nie mogą zdjąć przy tobie turbanu, książę Drakulo.

- Ponieważ taki przykład dał Prorok w obecności swego Boga, Allaha - stwierdził Wład, podnosząc się i zstępując z podwyższenia. Kiedy już stanął na równym poziomie z czterema ambasadorami sułtana, założył ręce na piersi i kontynuował: - Jednakowoż o ile nie ulega wątpliwości, że w tym pomieszczeniu znajduje się obecnie książę, o tyle jaką mamy pewność, że i Bóg jest tutaj z nami?

Hamza oblizał spierzchnięte wargi.

- Bluźnisz, książę. A bluźnierstwo jest uznawane za grzech zarówno przez twoją, jak i przez naszą religię.

- To prawda, aczkolwiek nie byłbym taki pewien, czy moje słowa faktycznie są bluźnierstwem. Być może Bóg, jakkolwiek byśmy go zwali, jest teraz zupełnie gdzie indziej? Zajęty sprawami innych grzeszników? - Postąpił w stronę Abdula Munsifa. - Czy zatem oddasz mi sprawiedliwość, przynajmniej ty jeden, i zdejmiesz nakrycie głowy?

Turek zaczął się trząść na całym ciele. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie na Hamzę, ten wszakże zdążył już spuścić oczy.

- Effendi! Mości książę! Ja ja po prostu nie mogę tego uczynić. Takie jest prawo Allaha.

Wład skinął, uśmiechając się.

- Jesteś nie tylko prawy, ale i odważny - rzekł.

Chociaż Abdul Munsif nie był ułomkiem, Wład z łatwością uniósł go nad posadzkę, chwyciwszy za szaty na karku, po czym skinął na swoich ludzi. Dwaj najbliżsi przyskoczyli i zaciągnęli nie opierającego się mężczyznę na podwyższenie, gdzie przygwoździli go do desek, przytrzymując za ramiona. Tymczasem Wład z uwagą wybierał jeden z świeków leżących na stole.

- Podziwiam odwagę taką jak twoja - mówił - dlatego pomogę ci dochować wierności swej wierze.

Podniósł z blatu młotek, gwałtownym ruchem przycisnął szyję Turka, po czym jednym uderzeniem wbił świek w turban i czaszkę ambasadora. Krzyk mężczyzny trwał zaledwie uderzenie serca, lecz jego nogi uderzały w ziemię o wiele dłużej. Kiedy w końcu agonia ustała, Wład sięgnął po trzy inne świeki i kolejno przyszpilił nimi głowę tureckiego ambasadora do drewnianego podestu. Następnie cofnął się i grobowym głosem rzucił:

- Abdul Aziz!

- Nie, panie, nie! Zobacz Widzisz? - Niższy i starszy mężczyzna klęczał, niezdarnymi ruchami zrywając zawój i odsłaniając łysą głowę. - Błagam cię, panie, zaklinam

Wład skinął beznamiętnie i dwaj przybocznicy już ciągnęli łkającego Turka ku podwyższeniu, gdzie pochwycili go niczym szmacianą kukłę i cisnęli na deski. Drakula nachylił się nad upokorzonym ambasadorem i przemówił łagodnie:

- Abdul Aziz?

Mężczyzna nie reagował, tylko z zamkniętymi oczyma bezgłośnie

mamrotał modlitwy, tak że Wład musiał go lekko postukać w skroń młotkiem. Zawodzenie i bełkot ustały jak nożem uciął.

- No, nareszcie - mruknął książę. - A teraz mnie posłuchaj. Twój kismet nie przewiduje, abyś miał dzisiaj umrzeć, za sprawą łaskowości Boga i twojego rozsądku, o ile faktycznie go przejawisz, robiąc dokładnie to, co ci powiem. Zostaniesz odstawiony za rzekę i jeszcze kawałek wzdłuż drogi. Dalej pójdziesz bez eskorty, prosto do swojego pana. Nie obawiaj się, nie będziesz sam. Za towarzysza posłuży ci ten tutaj sługa Sprawiedliwego, w takim stanie, w jakim jest teraz. - Pochylił się bardziej, przyciskając młotek do czaszki zdrętwiałego ze strachu mężczyzny. - Ale uważaj No, Abdul Aziz, otwórz oczy i uszy i posłuchaj mnie dobrze. - Łysy ambasador rozwarł powieki i wpatrzył się w twarz mówiącego. - Jeżeli nie dostarczysz Abdula Munsifa do sułtana albo uczynisz to inaczej, niż jest moim życzeniem, dowiem się o tym - zawiesił głos, odsuwając młotek od skroni, po czym uderzając w nią z wyraźnym „stuk! - i odnajdę cię, a wtedy będziesz się modlił, aby zginąć taką śmiercią jak twój towarzysz. Rozumiesz?

- Tak, effendi! Tak, książę! Dziękuję! Ja tak Drakula uniósł młotek, przerywając potok słów.

- Zabrać go! - krzyknął. Dwóch witezów poderwało klęczącego pod ramiona, zwlokło go z podwyższenia i na wpół ciągnąc, na wpół podpierając, skierowało ku wyjściu z wielkiej sali. Dwóch innych przybocznych dopadło przybitego Abdula Munsifa, z niejakim trudem oderwało go od desek i również powiodło na zewnątrz. Wład odczekał, aż zamknęły się za nimi drzwi, i przemówił ponownie:

- Tomasz Katawolinos?

Grdyka Greka poruszała się nerwowo w górę i w dół, kiedy Drakula doń podchodził.

- Ja mam gołą głowę, książę.

- Oczywiście, oczywiście - uśmiechnął się Wład. - Zresztą coś takiego jest zabawne tylko za pierwszym razem. - Przystanął na dwa kroki przed ambasadorem. - Zdaje się, że pobierałeś nauki w twierdzy Tokat?

- Tak, można powiedzieć, że chodziliśmy do tej samej szkoły

- Hm. Ja bym raczej powiedział, że ty byłeś tam z własnej i nieprzymuszonej woli, w przeciwieństwie do mnie. - Wład przeniósł spojrzenie na Hamzę, który nawet teraz nie podniósł wzroku. Nadal klęczał bez jednego ruchu, ze wzrokiem wbitym w posadzkę przed sobą, tak jak czynił, odkąd rozległo się pierwsze uderzenie młotka.

- Mimo to rad bym usłyszeć, jaka jest twoja opinia na temat wbijania na pal. Mam wrażenie, że udało mi się wprowadzić kilka udoskonaleń. Dzięki temu wszystko odbywa się sprawniej. Praktyka czyni mistrza, nieprawdaż? - Znowu się uśmiechnął. - Ion, zabierz naszego urodziwego gościa na dziedziniec i dopilnuj, aby znalazł się w miejscu, z którego będzie wszystko dobrze widział.

Ion Tremblac wystąpił do przodu, pochwycił czuprynę Greka i gwałtownym szarpnięciem zmusił go do powstania na nogi.

- Jego też? - spytał, ruchem brody wskazując Hamzę.

- Nie - pokręcił głową Wład. - On zostanie ze mną. Sam na sam.

Ion zmarszczył brew.

- Dam ci dwóch strażników do ochrony

- Nie, przyjacielu - przerwał mu Wład. - Mój nauczyciel i ja mamy wiele spraw do omówienia. I najlepiej będzie, jeżeli zrobimy to bez świadków. Poza tym Hamza basza nie jest jakimś tam zwykłym rzezimieszkiem. - Popatrzył na ciemną pochyloną głowę mężczyzny.

- Łże i przekupuje, ale nie zabija. Inni robią to za niego. No dalej, idźcie już.

Posłuchali jego rozkazu bez szemrania. Wkrótce w wielkiej sali pozostało tylko dwóch ludzi: jeden stojący, drugi na kolanach. Wład okręcił się na pięcie i podszedł do stołu. Sięgnął po dzban.

- Wina, Hamzo? - spytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Nie, oczywiście, że nie. Przecież chyba tylko ty na dworze Murada nie gustowałeś w alkoholu.

Ambasador sułtana nareszcie uniósł głowę, odchrząknął.

- Ludzie się zmieniają - powiedział, wstając i dołączając do Drakuli przy stole.

- Święte słowa - potaknął Wład, nalewając wina do dwóch kielichów i jeden z nich podając gościowi.

Hamza, zanim go ujął, przypatrzył się wyciągniętej ręce.

- Ani drgnie - orzekł. - Czyżby zabijanie tak bardzo weszło ci w krew, stało się dla ciebie takie łatwe, że zadawszy śmierć bliźniemu, nie trzęsiesz się na samo wspomnienie tego, co uczyniłeś?

Wład umieścił kielich w dłoni dawnego nauczyciela, po czym gestem zaprosił, by zajął krzesło za stołem. Kiedy Hamza siadał, udzielił przemyślanej odpowiedzi:

- Dlaczego miałbym się trząść? - zapytał retorycznie. - Może było tak

kiedyś, w czasach sprzed moich pierwszych lekcji. Nie zapominaj, że to ty byłeś moim nauczycielem, Hamzo ago.

- Nigdy nie uczyłem cię czegoś takiego. Za to próbowałem zaznajomić cię z innymi rzeczami

- Na przykład?

- Chociażby z filozofią miłości i współczucia. Wyrażoną przez święty Koran i twoją Biblię. Opiewaną przez Omara Chajjama i Dżalaluddina. Czyżbyś nic z tego nie pamiętał?

- Nie - cicho odparł Wład. - Zapamiętałem wyłącznie tę lekcję, której mi udzieliłeś, każąc pochylić się nad poduszkami i

- Przestań! - Hamza poprawił się na krześle, mimowolnie się odsuwając.

- To wcale nie było tak Myśmy

Drakula go nie słuchał.

- Jak miewa się mój brat?

Turek zamrugnął zdziwiony nagłą zmianą tematu.

- Radu - zająknął się - Radu doskonale sobie radzi. Kwitnie, można by rzec. Cieszy się wielkim poważaniem u sułtana.

- Tak właśnie myślałem. Czy nadal łączy ich fizyczna zażyłość?

- Nn Chyba nie

- Oczywiście, że nie. Radu ma już dwadzieścia pięć lat. Mehmed z pewnością woli młodsze towarzystwo. - Dolał ambasadorowi wina.

- A właśnie, jak miewa się mój dawny przyjaciel ze szkolnej ławy? - dopytywał. - Mówią nań Fatih, Zdobywca przynajmniej od czasu Konstantynopola. Zdaje się, że zwyciężanie weszło mu w krew, okazało się równie uzależniające jak trunek. - Uniósł swój kielich. - Ciekawe, czy kiedykolwiek zaspokoi apetyt w tym względzie?

- Wolał

Drakula nie pozwolił sobie przerwać.

- Doszły mnie słuchy, że ma się za wcielenie Aleksandra Wielkiego i zamierza kontynuować podboje dopóty, dopóki jego imperium nie rozszerzy się do granic tego z czasów antycznych. A tu proszę Pojawiłem się ja z moim małym księstwem i stoję mu na drodze.

- Wciąż jest czas - rzekł Hamza, odstawiając kielich. - Wciąż możesz zrezygnować z rozpoczęcia wojny, której nie zdołasz wygrać. Ugnij się. Zapłać haracz i wyślij chłopców, jak nakazuje dewszirme. Nie drażnij lwa, książę.

- Na to jest chyba jednak zbyt późno, ago - skwitował Wład, posługując

się zwojem pergaminu w celu zahamowania zmierzającego ku niemu strumyka krwi Abdula Munsifa. - Mam w planach obcięcie nosów jego ludziom i odesłanie mu ich tuzinami, spalenie jego plonów, wybicie jego trzody, nabicie na pal jego żołnierzy, a gdy wszyscy przywykną już do moich metod, obmyślę nowe sposoby zadawania bólu i powolnej śmierci.

Hamza przełknął ślinę parokrotnie, nim się odezwał.

- Ale dlaczego? Po co taka otwartość?

- Ażeby podrażnić lwa, ago, czyli zrobić dokładnie to, co mi w swej mądrości odradzasz. Gdyż wtedy wyciągnie po mnie ręce, zanim jeszcze będzie w pełni gotowy. - Wład pokiwał do siebie głową jakby dla potwierdzenia własnych słów. Po chwili zaś, pozornie bez związku, dodał: - Wiesz, co kazali nam powtarzać w twierdzy Tokat? „Torturuj innych, aby oni nie mogli torturować ciebie! Takie było motto tamtejszych mistrzów. - Uśmiechnął się krzywo. - Czy nie to właśnie zaplanował dla mnie Mehmed? Nawet gdybym przywiózł tu całe złoto Wołoszczyzny i przywiódł dziesięć tysięcy młodych chłopców nadających się na janczarów, przed zapadnięciem nocy znalazłbym się w klatce drabiniastego wozu, a ten twój Grek starałby się mnie złamać w drodze do Konstantynopola. Aby stanowiąc dla sułtana łatwą rozrywkę. Mam rację?

Zaprzeczanie jego słowom nie na wiele by się zdało, Hamza więc przytaknął w milczeniu.

- Tak też myślałem - kontynuował Wład. - Bo widzisz, Mehmed i ja doskonale się rozumiemy, a wieści o naszych czynach czasem wyprzedzają same czyny. Aleksander Wielki. Czyż to nie brzmi dumnie w naszych uszach? Tyle że historia od dawna milczy o tym, ilu niewinnych poniosło straszliwą śmierć po to, aby Macedończyk mógł zbudować swoje imperium. Nie wiadomo też, ile ludzi poległo, gdy mury Konstantynopola padły za sprawą współczesnego nam Zdobywcy. Ilu chłopców i ile dziewcząt zostało zgwałconych na ołtarzu Mądrości Bożej. - Drakula podniósł się ze swojego miejsca. - Gdybym ja miał naśladować kogokolwiek z zamierzchłej przeszłości, wybrałbym na swój wzór nie Macedończyka, lecz Kartagińczyka.

Hamza również wstał, aczkolwiek zaraz - czując słabość w nogach - oparł się blat stołu.

- Hannibala? Ale dlaczego? Czyż nie był największym okrutnikiem, jakiego zna historia?

- Właśnie dlatego, że nim był - wyjaśnił Wład. - Postanowił zniszczyć

Rzym, pięciokroć silniejszy od Kartaginy, i zadał armii rzymskiej wiele klęsk. Nieledwie sto lat temu pasterz ze Wschodu imieniem Tamerlan uczynił to samo, tyle że względem Turków, zabijając ich sułtana. - Kiedy mówił, oczy gorzały mu niezdrowym blaskiem. - Nie mam zamiaru okrzyknąć się drugim Aleksandrem Macedońskim, ale z całą pewnością mogę być następcą Hannibala albo jeszcze lepiej Tamerlana.

- Nie, Władzie - nieoczekiwanie odezwał się Hamza, podchodząc i ujmując młodszego mężczyznę za ramię. - Już teraz mówią o tobie Kazykły bej, księżę Palownik. Czy pod takim imieniem chcesz przejść do historii?

- Hamzo - odpowiedział Drakula, przytrzymując przez chwilę dłoń dawnego nauczyciela - jeżeli wygram, zostanę zapamiętany jako ten, któremu nareszcie udało się oswobodzić Wołoszczyznę.

Spoglądali na siebie w milczeniu, aż w końcu Wład opuścił rękę i wrócił do stołu, skąd wziął swój kiścień. Kiedy się odwrócił, jego twarz zdobił szeroki uśmiech.

- A przy okazji, czy to nie dziwne, że nadano mi przydomek wywodzący się od umiejętności, którą posiadam dzięki tobie? Poza tym jeśli już zyska się reputację w jakiejś dziedzinie, należy ją podtrzymywać, czyż nie? - Ruszył w kierunku drzwi. - Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać. Hamza ani drgnął.

- Widziałem już, jak nabijają człowieka na pal, księżę - powiedział tylko.

- No tak, czasem jednak reputacja może wchodzić w paradę - mruknął Wład, głośniejsz zaś dodał:

- Zamierzałem pokazać ci coś innego, Hamzo ago. Owoc innej nauki, którą zawdzięczam również tobie. Zdaje się, że wciąż jesteś nadwornym sokolnikiem?

- Tylko tytułarnie - zastrzegł się Hamza. - Nie mam zbyt wiele czasu dla sułtańskich ptaków. - Pomimo wcześniejszych obiekcji postąpił kilka kroków śladem Włada. - A czy ty nadal zajmujesz się szyciem?

- Niestety, i mnie nie staje czasu na przyjemności - odparł Drakula, otwierając drzwi. - Ufam, że masz przy sobie tę rękawicę, którą ci podarowałem.

- Nigdzie się bez niej nie ruszam - potwierdził Turek.

- Doprawdy? - Wład przechylił lekko głowę. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt, enishte.

Rozmawiając, wyszli na dziedziniec. Hamza rozejrzał się dookoła. Po zachodniej stronie karnie stali ci z garnizonu twierdzy, których nie spotkała

śmierć i którym nie udało się zbiec. Pilnowali ich Wołosi z napiętymi cięciwami i wymierzonymi w odsłonięte piersi strzałami. Liny leżały schludnie zwinięte, a drzewce opierały się o siebie nawzajem w przypominających snopki zboża grupkach. Nikt się nie ruszał, jak gdyby czas stanął w miejscu. Hamza zadrżał.

Wład nie zwrócił uwagi na martwość sceny i nie oglądając się za siebie, przeszedł prosto do wrót wschodniej wieży, przekroczył je i wspiął się po spiralnych schodach wiodących do komnaty, którą jeszcze niedawno zajmowali Hamza i Tomasz Katawolinos. Turek od razu zorientował się, że ich rzeczy zniknęły. Ich miejsce zajęła skrzynia o wieku ozdobionym srebrnym emblematem smoka. Jednakże i to nie był cel ich wędrówki. Drakula zmierzał wyżej, do baszty.

- Widziałeś mego Czarnego Księcia - powiedział, wychodząc na powietrze - lecz nie miałeś okazji poznać go z bliska.

Wyszedł na blanki, zbliżył się do żerdzi, na której siedział tiercelet, naciągnął rękawicę i jął odwiązywać rzemyki pętające nogi ptaka, aby przeskoczył mu na dłoń.

- Zaiste, piękność z niego - przyznał Hamza, podziwiając imponującego drapieżcę. - To dziwok czy hagard? - zainteresował się, podchodząc.

- Hagard, dzięki Bogu. Schwytany minionego roku. Dawałbym mu pięć lat, a ty? Spójrz tylko na ten odcień czerwieni w jego oczach

Sokół strzelał ślepiami na wszystkie strony w poszukiwaniu zdobyczy albo chociaż kawałka surowego mięsa. Widząc to, Wład sięgnął do przytroczonej do żerdzi torby i podał ptakowi kęs.

- Jakiś głupiec próbował go sposobić do polowania - poinformował. - Oczywiście bez większego sukcesu. Dopiero mnie udało się ta sztuka. - Pochylił się ku Czarnemu Księciu i zaszczebotał coś do niego cicho. - A ty, Hamzo? - zapytał, nie odrywając wzroku od ptaka. - Czy nadal zajmujesz się głównie sakerami?

- W istocie - potaknął Hamza. - Mam nawet jednego ze - Coś w oczach Drakuli kazało mu urwać. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście dostrzegł w nich błysk drapieżnej czerwieni?

- Nie miałbyś ochoty się przekonać, jak Kara-chan radzi sobie podczas polowania? - zaproponował. - Byłby doskonałym pomocnikiem każdego kucharza. W ciągu jednego dnia potrafi upolować dziesięć królików, trzy zające, nawet gołębice

- Gołąb to trudna zdobycz - stwierdził Hamza, nadal czując się nieswojo

i nie wiedząc, co jest tego przyczyną.

- I dość niespotykana o tej porze roku - zgodził się Wład. - Zastanawiam się, co byśmy mogli

Zamiast dokończyć, zagwizdał przeciągle. Na ten znak po przeciwnej stronie blanek otwarła się okiennica baszty i z otworu wyleciał ptak. Po sposobie lotu Hamza natychmiast poznał, że to raróg. Jego raróg.

- Zabij - powiedział Wład, robiąc wymach ramieniem, tak że pięść z sokołem poszybowała w górę.

Walka była nierówna. Saker został wypuszczony w światło dnia nagle, nie zdążył się przyzwyczaić do zmiany otoczenia, w dodatku znalazł się na nieznanym terenie, podczas gdy tiercelet miał okazję polować tu wcześniej. Mimo to rozpoznał niebezpieczeństwo, jeszcze gdy wzbijał się w powietrze, i dzięki temu mógł spróbować ucieczki w górę, korzystając z przewagi swoich większych skrzydeł. Jednakże sokołowi nie przeszkadzało, iż musi atakować od spodu. Kilkakrotnie uderzył mocno skrzydłami, w locie obrócił się na grzbiet i wykorzystując pęd, zbliżył się do ofiary. Wysunął szpony i zatopił je w ciele raroga.

Dwa ptaki, szczipione, zaczęły spadać ku ziemi niczym kamienie. W pewnym momencie Kara-chan ponownie dokonał wolty, obracając się brzuchem do dołu i wypuszczając z uchwytu ofiarę, która być może już była martwa albo zginęła, dopiero gdy bezgłośnie pacnęła w zlodowaciały grunt w pobliżu mostku. Czarny Książę sfrunął za nią, złożył skrzydła i z wciąż rozwianym piórem, ułożył jedną łapę na ciele zabitego ptaka. Rozejrzał się wokół, po czym odchyliwszy łebek do tyłu, dziobnął potężnie, rozdzierając powłoki i wyszarpując kawał mięsa. Zanim Hamza się odezwał, upewnił się, że panuje nad swym głosem.

- Niezły z niego lotnik - ocenił. - Nie zamierzasz go przywołać?

- Nie - odparł Wład, zdejmując i odkładając rękawicę. - Niech się naje.

To powiedziawszy, obrócił się i przeszedł na drugą stronę baszty, skąd rozciągał się widok na dziedziniec twierdzy. Wszyscy zgromadzeni tam ludzie - skrzepowani jeńcy, strażnicy trzymający liny i ociosane pale - spoglądali w górę, czekając. Nic nie zakłócało doskonałej ciszy. Wład Drakula uniósł dłoń

34. WOJNA

Siedem miesięcy później, lipiec 1462 roku

Gasnące światło dnia igrało ze wzrokiem Iona.

Za każdym razem kiedy spoglądał na któregoś ze swoich kompanów, po pewnej chwili twarz mężczyzny przeistaczała się, fizjonomia płynnie zmieniała się w rysy kogoś innego. Mógł na przykład patrzeć na Czarnego Ilie, a tu nagle śniada skóra blakła, nos się wydłużał, oczy zapadały w głąb, włosy rozjaśniały i już miał przed sobą Gheorghego. Tego samego, który dostał strzałę w płuca, gdy próbował powstrzymać wroga podczas przeprawy przez bród na Dymbowicy. Zabrali go ze sobą, uciekając przed nieprzyjaciółmi, i powierzyli jego wydobrzeń woli Boskiej. Przez trzy dni i trzy noce Gheorghe charczał i pluł krwią, mając nadzieję na ozdrowienie, lecz kiedy i czwartego dnia jego stan się nie poprawił, mężczyzna z trudem poprosił Iona, aby ulżył mu w cierpieniach i odciążył resztę od opieki nad sobą. Wiedząc, że dogorywający nie przeżyłby kolejnego dnia w drodze, Ion Tremblac bez wyrzutów sumienia poderznął mu gardło. Takie rozwiązanie było lepsze niż pozostawienie swojego człowieka na pastwę Turków. I dlatego Gheorghe nie miał prawa teraz tutaj z nimi siedzieć. Ion z każdą chwilą nabierał większego przekonania, że ich dawny druh został przemieniony w jednego z varcolaci, wilkołaków albo nieumarłych, na którym czarny płaszcz oznaczający przynależność do ludzi Drakuli przybierał kształt zwierzęcego futra, a na nienaturalnie bladym obliczu malowało się tylko jedno pragnienie: pomścić własną śmierć i doprowadzić do zguby mordercę. Ilekroć ostatnimi czasy Ion sięgał do pasa, szukał uspokojenia nie w chłodzie rękojeści miecza, lecz w znanym kształcie krucyfiksu dodającego mu otuchy jak rzadko kiedy.

Zamrugnął oczami i rysy twarzy ponownie się zmieniły. Naprzeciwko niego znów siedział Ilie i pytał:

- Dobrze się czujesz, dworniku?

Ion pokiwał głową i przyłożył czoło do kolan, mimowolnie przymykając powieki. Kiedy ostatnio spał? Kiedy naprawdę zażył ostatnio godziwego

odpoczynku? Kiedy którykolwiek z nich nie musiał mieć oczu szeroko otwartych pomimo środka nocy? Większość czasu spędzali na spowalnianiu postępu wrogiej armii. Podkładali ogień pod stodoły i spichrze z zeszłorocznymi resztkami i wszystkim, co tego lipca zostało zebrane na polach. Ogałali małe chłopskie gospodarstwa i rozległe majątki bojarzynów ze wszystkiego, co można było zjeść lub wypić. Pędzili przed sobą ludzi z taką ilością dobytku, jaką zdołali unieść z pożogi, pozostawiając za sobą zgliszcza i trupy zwierząt leżące pokotem, zatruwające studnie i strumienie - oczywiście po tym, jak już sami najedli się do syta i wypili wszystko wino i piwo, na jakie natrafili. W to najgorętsze lato stulecia, przeklinane przez starych i młodych, Turcy nie mieli wyjścia, jak ubijać swoje psy, wielbłądy i konie, oszczędzając im śmierci z pragnienia, i smażyli ich mięso bez użycia ognia wprost na rozgrzanych płytach zbroi. Tak było nocami.

Natomiast za dnia toczyły się walki. Nie na otwartym polu - przynajmniej od bitwy nad Dunajem, kiedy to poległo tylu Turków, że rzeka spłynęła krwią. Wołosi jednak dalej nękali wroga, robiąc podjazdy i wyskakując zza okazałych buków i dębów na maruderów, którzy oddalili się od trzonu armii w poszukiwaniu wody nadającej się do picia. Zakładali zasadzki na szpice, zwabiali małe oddziały w wąwozy i tam wycinali je w pień, staczali głowy w dół zboczy, masakrując niedobitków, wykorzystywali arkebuzy, wystrzałami strasząc zarówno ludzi, jak i leśne zwierzęta. Posyłali w szeregi wroga chorych przebranych za Turków - ofiarowując im męczeńską śmierć za sprawę bądź garść złota, jeśli jakimś cudem wracali żywi. Każdego mężczyznę i każdą kobietę, których posyłał z zabójczą misją, Wład całował prosto w usta, nie zważając na dławiący ich kaszel czy inne przypadłości ciała. Kiedy Ion starał się go odwieść od podobnego zachowania, Dra-kula wzruszał ramionami i mówił tylko jedno słowo:

- Kismet.

Chociaż jednak tak długo walczyli i tak wielu posyłał na łono Allaha, Turków nie ubywało. Ponoć dziewięć dziesiątek tysięcy przekroczyło już Dunaj i posuwało się na północ, a w armii wołoskiej nigdy nie było więcej niż dwie dziesiątki tysięcy żołnierzy na raz. Choć Turcy ginęli po drodze z głodu, pragnienia, od chorób i ze strachu, nadal mieli przytłaczającą przewagę i nie ustawali w marszu na Tirgoviste. Tymczasem słabnące oddziały Wołochów liczyły teraz już tylko niecałe pięć tysięcy dusz.

Ion poderwał głowę - gdyby tego nie zrobił, niechybnie by zasnął.

Powiódł wzrokiem po oficerach armii Drakuli siedzących w kręgu na niewielkiej polanie położonej w niecce. Na jej wyżej leżącym obrębie zwarli szeregi prości żołnierze, posłuszni rozkazom gospodarza, który opuścił ich przed trzema dniami.

- Wróć trzeciego dnia o zmierzchu - poinformował Iona i polecił: - Utrzymaj ich tutaj. Przebrany w turecki strój rozpląnął się w mroku, za towarzysza mając niemowę. A Ionowi w jakiś niepojęty sposób udało się utrzymać ludzi w tym miejscu. Ani na moment nie zmrużył oka, posługując się na przemian obietnicą i groźbą, odwołując się do lojalności wobec księcia i miłości do Krzyża. Ale gdyby Wład miał nie wrócić tej nocy, tak jak zapowiedział, w odwodzie Ionowi pozostałby chyba tylko Najwyższy. Lecz z jakiegoś powodu żywił obawę, że nawet sam Pan Bóg nie zdołałby powstrzymać żołnierzy przed rozpierzchnięciem się na cztery strony świata.

Nie zdawał sobie sprawy, że głowa znów mu opada, aż do chwili kiedy rozległ się kolejny głos.

- Dworniku - powiedział cicho inny mężczyzna, Gales, siedzący naprzeciwko niego - słońce już zachodzi. On nie wróci.

Słowa poniosły się echem po niecce, powodując, że wszyscy spojrzeli w ich stronę. Ion odparł więc na użytek dwu setek oficerów:

- Niebo wciąż jest jasne, żupanie. Myślę, że naszemu wojewodzie należy się nieco zaufania.

- Nie za wiele - mruknął Gales wystarczająco głośno, aby usłyszeli go bliżej siedzący. Iona odeszła senność. Obrzucił spojrzeniem niskiego korpulentnego mężczyznę, któremu najwyraźniej trudy wojaczki zbyt nie dopiekiły, bo wyglądał jak przedtem. W jednym jego oczodole tkwiła pomalowana kulka z drewna. Żupan Gales twierdził, że stracił oko lata temu, walcząc jeszcze pod starym księciem, lecz byli tacy, co utrzymywali, że wybił je sobie, nadziawszy się na sztachetę płotu, kiedy wracał skądś po pijaku. Ion Tremblac nie po raz pierwszy zastanowił się, czemu Gales nadal jest z nimi - jako jeden z dwóch wiernych żupanów, którzy nie opuścili Drakuli w potrzebie. Tym drugim był Kazan - logofet Drakulów, równie oddany synowi, jak wcześniej ojcu. Pozostałych pięciu zniknęło po cichu, pozostawiając listy z czczymi wymówkami, a zabierając swoich ludzi. Gales był bratem Stepana Turcula, który swój przydomek zyskał, spędziwszy jakiś czas w niewoli tureckiej, i był drugim po gospodarze człowiekiem w księstwie. Wcześniej Ion podejrzewał, że żaden z braci nie ośmieli się wystąpić przeciwko Władowi, dopóki ten nie zostanie całkowicie pokonany

przez Mehmeda, najchętniej zaś widzieliby go martwym.

Tymczasem Gales zdecydował się na otwarty atak. Ion w jednej chwili stracił złudzenia. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zareaguje szybko i odpowiednio ostro, niebawem połowa oficerów stanie po stronie żupana, a może nawet opuści szeregi. Mimo to zmęczenie wzięło górę i język stanął mu kołkiem w gębie. Zresztą cóż mógłby powiedzieć, skoro powoli sam tracił wiarę i ducha? Nieoczekiwanie wyręczył go Czarny Ilie. Siedzący po prawicy żupana witeź po prostu wyciągnął ramię i opuścił dłoń na bark oficera, zaciskając mocno palce. Gales wydał zduszony okrzyk, a jego jedyne oko zabłysło furją, zanim zamglił je ból. Wszelako nie odezwał się ani słowem więcej, a to w zupełności usatysfakcjonowało Iona. Jeszcze parę lat temu każdy chłopski syn, który poważiłby się choćby tknąć bojarzyna, skończyłby, dyndając nogami na najbliższej suchej gałęzi. Ale Ilie nie był zwykłym synem chłopa. Nosił się na czarno, dumnie prezentując emblemat Smoka, i zaliczał się do najzaufańszych przybocznych Włada Drakuli. A ci robili wszystko, co kazał im książę. Gales dobrze wiedział, co to oznacza, dlatego oddał teraz pole.

Ion ponownie obrzucił spojrzeniem zachodni horyzont. Po raz pierwszy tego wieczora nie musiał przesłaniać dłonią oczu. Słońce do połowy skryło się już za obrębem niecki. Powoli zbliżała się noc, a hospodara jak nie było, tak nie było.

Nagle coś poruszyło się w krwistych promieniach dogasającego słońca. Ion dostrzegł niewyraźną sylwetkę zwieńczoną charakterystycznym turbanem. Zebrał się w sobie do gromkiego okrzyku ostrzegającego przed czającym się wrogiem, lecz wtedy właśnie postać zstąpiła niżej i Ion przekonał się, kogo widzi.

- Wszyscy wstać na przywitanie księcia! - zakrzyknął. Oficerowie i żołnierze poderwali się równocześnie, odruchowo otrzepując odzienie z kurzu i rozglądając się na wsze strony w poszukiwaniu swego wojewody. Mężczyzna, który zbliżał się ku nim, nie rzucał się jednak w oczy, zwłaszcza że wszyscy wypatrywali odzianego w czerń hospodara. Zrozumienie ogarniało ich powoli, w miarę jak kolejno wyławiali z zapadającego zmroku kogoś obleczonego w najzwyklejszy turecki ubiór. Nie w szaty spahisa czy akindżysa, lecz w strój rzemieślnika - z szarym turbanem, poplamionym kaftanem, workowatymi hajdawerami i rozczłapanymi sandałami. Za tym kimś jednak kroczył niby cień nie dający się pomylić z nikim innym. Milczący Stoica, który niósł Smoczy Szpon. A żołnierze mieli to do siebie, że

poznawali swego wodza po sługach i broni.

Ion skłonił się głęboko i w jego ślady poszedł każdy, kto zrozumiał, że ma przed sobą księcia. Drakula wyciągnął rękę i przygarnął przyjaciela do siebie, po czym z wdzięcznością przyjął podany mu bukłak z wodą.

- Zatem utrzymałeś ich przy sobie? - szepnął, zaspokoiwszy pragnienie.

- Ledwie, ledwie - odparł równie cicho Ion.

- Dobrze - rzucił Wład, odsuwając się. Sięgnął obiema dłońmi do głowy i rozwiązał turban, pozwalając swym długim, lśniącym czarnym włosom opaść kaskadą na ramiona. Następnie uniósłszy obie ręce, okręcił się dokoła własnej osi, prezentując w całej książęcej okazałości, i zakrzyknął: - Wierni poddani! Przynoszę dobre wieści z obozu wroga. Turcy nie marzą o niczym innym jak o powrocie do domu.

Rozległy się okrzyki zdziwienia i radości ucięte jednak zaraz przez dalsze słowa Drakuli.

- Potrzebują wszakże małej zachęty.

- Jak małej, wojewodo? - doszło z obrębu niecki.

- Bardzo małej - odpowiedział. - Wystarczy, że uśmiercimy ich sułtana.

Okrzyki zamarły na ustach zdumionych żołnierzy, tu i ówdzie ktoś się roześmiał z niedowierzaniem. W końcu ten sam śmiałek zawołał:

- No to trzeba go będzie tutaj sprowadzić, książę! Mój koń ma sraczkę i nigdzie się nie wybiera!

Śmiechy przybrały na sile.

- W takim razie pójdiesz pieszo, Gregor. Chyba że uda ci się pożyczyć od kogoś luzaka. Bo musimy pojechać do sułtana.

Kiedy oficerowie otrząsnęli się z pierwszego szoku, w ich imieniu głos zabrał żupan Gales.

- Co zamierzasz, gospodarze? - spytał grobowo.

Wład w milczeniu odwrócił się do swego sługi, podał mu materię turbanu, a odebrał odeń miecz. Wysunąwszy ostrze z pochwy, uniósł je wysoko nad głowę, na co Gales potykając się, wycofał się o parę kroków. Wszelako Drakula nie ruszył w jego stronę. Zamiast tego krzyknął: - Zbliźcie się, żeby każdy widział! - i przykładając czubek miecza do piasku w wyschniętym korycie strumienia, wyrysował koło o średnicy dwakroć większej od wysokości przeciętnego mężczyzny. Zamknąwszy krąg, zabrał się do kreślenia czterech szprych. Ukończył dzieło do czasu, gdy wszyscy jego ludzie zbili się wokół niego w trzech osobnych grupkach, z których najbliższa i najciaśniejsza składała się z przybocznych i żupanów, dalsze zaś

kolejno z oficerów i żołnierzy.

Przeszedłszy na sam środek wielkiego koła, wyszeptał imię sułtana i z impetem wbił miecz w ziemię. Kiedy odstał, oczom wszystkich ukazał się słaby cień półtoraka w kształcie krzyża.

- Smoczy Szpon to buńczuk Mehmeda - wyjaśnił. - Zatknięty przed okazałym namiotem ustawionym w sercu wielkiego obozu. To tam sułtan odpoczywa chroniony przez swoją armię, tam popija sorbety, podczas gdy jego żołnierze cierpią palące pragnienie, tam zabawia swoich przyjaciół. Tam wreszcie czuje się bezpieczny z co najmniej czterdziestu tysięcy powodów. - Wład oderwał spojrzenie od miecza. - Nie wie, że to za mało, aby spać spokojnie - Przeszedł na krawędź wyrysowanego koła, schylił się i podniósł garść kamyczków. - Te linie - wskazał na szprychy - przedstawiają cztery główne drogi wiodące do obozu. Choć wszędzie wokół widać płataninę lin podtrzymujących tę płócienną twierdzę, na nich nie może być ani kawałka sznurka. Przejazd musi być zawsze wolny, na wypadek gdyby nadjeżdżał posłaniec z pilną wiadomością albo gdyby sułtanowi zachciało się udać na polowanie. Ale jak każdy trakt, i te cztery drogi wiodą w obie strony. Można się nimi wydostać z obozu lub do niego dostać. - Uśmiechnął się bardzo z siebie zadowolony.

Zaczął się przechadzać po obwodzie koła, upuszczając kamyczki.

- Zewnętrzny krąg stanowią masy zaciężne, jerlikułu z Anatolii, a także akindzysowie tatarscy, we krwi mający łupiestwo i najazdy. Tych ostatnich sułtan zawsze posyła w awangardzie - Wład uśmiechnął się ponownie - a my szlachtujemy ich tysiącami. - Ruszył w kierunku centrum koła, nie przestając upuszczać na ziemię kamyczków. - Tutaj stoją pawilony bejlerbejów z poszczególnych prowincji otoczone przez namioty spahisów wywodzących się z Anatolii, Rumelii, Egiptu i wybrzeży Morza Czerwonego

Kamyk upadał we właściwe miejsce przy każdej nazwie, aż w końcu Wład pozostał z pustymi rękoma. Dostrzegłszy to, Ion pośpiesznie dozbierał nowych i podał je swojemu księciu, który kontynuował wyliczanie i kreślenie tej swoistej mapy.

- Tu, bliżej środka, rozłożyły się orty janczarów. Można powiedzieć, że w miarę posuwania się ku sercu obozu ma się do czynienia z coraz bardziej doborowymi oddziałami. Na prawo od buńczuka Mehmeda, którego pawilon ustawiony jest frontem do Mekki, powiewa czerwony proporzec prawicy kawalerii, a na lewo żółty sztandar lewicy - Wład opierał się teraz o jelec Smoczego Szponu, wciąż wygięty z jednej strony na pamiątkę zwycięstwa

nad własnym kuzynem Władysławem. Otworzył dłoń i pozwolił ostatnim kamykom potoczyć się na ziemię. - To tutaj, w samym sercu obozu, w tych dwóch ogromnych namiotach, służących za kwaterę sułtanowi i jego Dywanowi, chronią się najważniejsi ludzie imperium. - Stuk. - Muteferrikowie, osobiści posłańcy wezyrów. - Stuk. - Pajucy, najzaufańsi ze straży. - Stuk. - Solacy, zarówno ci naciągający cięciwę prawą, jak i ci posługujący się lewą ręką, ażeby sułtan chroniony był ze wszech stron. - Stuk, stuk. - No i wreszcie sam Mehmed. - Dra-kula przyłożył ostatni, płaski kamyk do brzeszczotu i pozwolił mu się ześlizgnąć po metalu.

Opuścił krąg i przez chwilę przypatrywał mu się w milczeniu.

- Wjedziemy tędy - obwieścił, wskazując na południowy trakt. - Wprawdzie będziemy mieli za plecami tarczę księżycy w pełni, lecz przed sobą akindżysów, którzy są bliscy buntu, oraz spahisów pochodzących ze Wschodu i wykrwawionych w poprzedniej wojnie sułtana z Białą Ordą. Także pod złotym sztandarem lewego skrzydła kawalerii nie wszystko jest tak, jak być powinno. Minionego roku Mehmed kazał udusić doświadczonego dowódcę, cieszącego się poważaniem wśród żołnierzy, i zastąpił go złotodziobem, który musi wykupywać się w łaski podwładnych za pomocą raki pitej zamiast wody, gdyż ta potrzebna jest dla koni.

Wraz z każdym jego słowem wśród przysłuchujących się narastał szmer. Wład uciął go jednym gestem, kończąc przemowę:

- Najbliżej sułtana tkwią pajucy. Mężczyźni z usuniętą śledzioną, może i milsi w obyciu, lecz zarazem z pewnością mniej waleczni. I ostatecznie to oni będą mnie tylko dzielić od Mehmeda. - Wyprostował się. - Czy są jakieś pytania?

Żupan Gales postąpił krok do przodu, lecz to nie jego głos rozległ się pierwszy. Uprzedził go bowiem Czarny Ilie.

- Gospodarze - zagał basem - niektórzy z nas bywali w tureckich obozach, paru nawet w nich mieszkało, ale na gigantyczne jaja Samsona, jakim cudem udało ci się dowiedzieć aż tylu szczegółów?

Kiedy śmiech ucichł, Wład odpowiedział jakby nigdy nic:

- To proste, Ilie. W ścianie namiotu Mehmeda była dziura. Załatałem ją.

Okrzyki zdziwienia trwały dłużej niż poprzednio. Drakula pozwolił swoim ludziom się wyszumieć i dopiero wtedy podjął:

- Jak wszystkim zapewne wiadomo, Turcy zawsze mają dwa obozy równocześnie: jeden, który stoi, i drugi, który właśnie jest budowany. Dzięki temu armia może posuwać się naprzód nieprzerwanie i bez zbędnej zwłoki.

Tego ranka zawitałem do wznoszonego obozu. Spędziłem tam cały dzień, zaglądając to tu, to tam i rozmawiając ze sługami i niewolnikami. W końcu zostałem poproszony o rzucenie okiem na dziurę w ścianie namiotu sułtana, której nikt nie potrafił załatać tak, żeby nie pozostał ślad. - Odwrócił się do Iona i dodał na boku: - Okazało się, że nie na darmo szkoliłem się w szyciu na wypadek dnia pomsty. - Głośniej zaś powiedział: - Uporałem się z zadaniem zgodnie z oczekiwaniami, aczkolwiek nie wykonałem pracy do końca jak należy. Nigdy przecież nie wiadomo, kiedy człowiekowi zachce się opuścić namiot raczej przez tylną ścianę aniżeli przez frontowe wejście, na które zwrócone są oczy wszystkich. - Powiódł spojrzeniem po wpatrzonych weń twarzach. - Jakies inne pytania?

Tym razem odezwał się Gales.

- Nadal nie jestem pewien, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Ile dokładnie ludzi jest w tym obozie?

- Wiele oddziałów zostało posłanych w teren. Dodatkowo niektóre otrzymały misję zdobycia, zajęcia i utrzymania określonych miejsc w okolicy. Dlatego szacuję, że wokół sułtańskiego buńczuka jest obecnie zgrupowanych jakieś trzy dziesiątki tysięcy.

- Trzy dziesiątki! - Usta żupana pozostały otwarte. - I zamierzasz stawić im czoło z naszymi marnymi czterdziestoma setkami?

- Nie - odparł Wład, wzbudzając dalszą konsternację wśród oficerów. - Dwadzieścia setek poprowadzę sam od południa, tak jak pokazałem, a ty powiedziesz dalsze dwadzieścia od północy.

- Ale ale - jękał się Gales. - Ale nawet jeżeli w szeregach sułtana pozostali sami zniechęceni, pijani, pozbawieni narządów wewnętrznych i woli walki mężczyźni, w tym tylko rejonie obozu będzie ich, lekko licząc, z dziesięć setek! - Nagła myśl spowodowała, że zapomniał o strachu. - Czyżbyś do szczętu postradał zmysły?

Rozległy się syki wciągane powietrza. Wład pewnie postąpił ku żupanowi. Stali naprzeciwko siebie, a że byli mniej więcej tego samego wzrostu, ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

- A ty czyżbyś stracił serce? - zapytał i nawet nie czekając na odpowiedź, kontynuował: - Nie widzisz, do czego Mehmed przywiódł nasze ziemie? Nie potrafisz się domyślić, na co nam przyjdzie, jeśli go w porę nie powstrzymamy? A nie zdołamy zwyciężyć Osmanów podczas otwartej bitwy. Możemy najwyżej nękać ich z zasadzki, za wszelką cenę utrudniając ich marsz. - Oczy mu rozbłyły. - Lecz możemy także skończyć to wszystko

jednym celnie wymierzonym uderzeniem miecza. Wśród nocnego zamieszania, wśród paniki w tureckim obozie kilku ludzi z jasno wytyczonym zadaniem może bez wielkiego trudu zakończyć tę wojnę. Ocalić swój kraj. Ocalić cały chrześcijański świat.

Chociaż mówił do Galesa, usłyszał go każdy żołnierz. I właśnie do dalszych szeregów skierował swoje następne słowa:

- Rycerze Chrystusa! - wykrzyknął, a echo poniosło jego głos ku górze, wzwyż łagodnych zboczy niecki, ku wojownikom zebranych na krawędzi, gdy doszła ich wieść o powrocie księcia. - Nasz los mamy na wyciągnięcie miecza wzniesionego w imię Boga. Jeżeli polegniemy podczas tej krucjaty, jako męczennicy za świętą sprawę zapewnimy sobie miejsce po prawicy Najwyższego, odkupiwszy wszelkie ziemskie grzechy. Jeżeli zaś zachowamy życie, pomścimy to, co spotkało naszych braci w Konstantynopolu, i dokonamy niemożliwego: pokonamy Zdobywcę, Mehmeda Fatiha. - Wyrwał zatknięty w ziemię Smoczy Szpon i uniósłszy go wysoko, wzmocnił jeszcze głos: - Zatem czy staniecie po stronie Syna Diabła, towarzysząc mu w drodze do zwycięstwa lub raj?

Okrzyk nie zdążył odbić się echem, kiedy zewsząd już dobiegała odpowiedź - z szeregów zarówno oficerów, jak i zwykłych żołnierzy:

- Zwycięstwo! Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Drakula pozwolił grzmotowi przetoczyć się po dolinie. Dopiero po dłuższej chwili uniósł dłoń władczym gestem.

- Wracajcie do ognisk - polecił. - Wyczyśćcie ostrza, nakarmcie wierzchowce, sami najedzcie się do syta i zażyjcie trochę snu, jeśli zdołacie. Pogódźcie się ze Stwórcą i swoimi kompanami. Przed północą zgromadźcie się we wschodnim wyjściu z wąwozu. I bądźcie gotowi na chwałę. Na tym albo na tamtym świecie!

- Zwycięstwo! Zwycięstwo! - skandowali znów Wołosi jak jeden mąż.

Oficerowie wdrapywali się po zboczu, kierując się do swoich ludzi. Na dnie niecki pozostał tylko jeden. Potoczył wokół zdrowym okiem, po czym z niedowierzaniem zapytał:

- Dziś w nocy? Uderzysz dziś w nocy?

- Uderzymy, Galesie, chyba że kto inny powinien powieść wojsko prowincji Amlasz i Fogarasz do boju?

Żupan utkwiał rozbiegany wzrok w sylwetce Drakuli.

- Ja ich powiodę, książę - rzekł. - Tak jak zawsze.

To powiedziawszy, obrócił się na pięcie i ruszył śladem pozostałych

oficerów. Wład i Ion spoglądali za nim, aż malejąca postać zniknęła za obrębem niecki.

- Zdezerteruje - wyraził swoją opinię Ion Tremblac.

- Nie sędzę - zripostował Wład. - Nazbyt dobrze wie, co spotka jego i jego najbliższych, jeżeli odniosę zwycięstwo samotnie. Gdyby jednak - odwrócił się i podał miecz niemowie. Stoica wsunął Smoczy Szpon do pochwy, skłonił się głęboko i pobiegł przodem w stronę ich obozowiska. Wład podążył za nim, już nie tak pełen energii jak parę chwil przedtem. Ion niemal widział, jak zmęczenie i niepokój przygniatają księcia do ziemi. - Gdyby nie zrobił tego, czego się po nim spodziewam, ty będziesz tym, który wymierzy mu karę. Masz go zabić i powieść jego ludzi do walki. Ion zatrzymał się w pół kroku.

- Ja? Jakże to? Przecież moim zadaniem jest chronić twoje tyły, książę. Drakula również przystanął i oglądając się za siebie, odparł:

- Nie tym razem, przyjacielu. Ważniejsze od mego bezpieczeństwa jest przypilnowanie Galesa. Jeśli zajdzie taka potrzeba, poderżnij mu gardło i obejmij dowodzenie nad jego oddziałami. Abyśmy odnieśli sukces, konieczny jest atak z dwu stron.

- Dlaczego więc po prostu nie wyznaczysz mnie na dowódcę północnego skrzydła?

- W istocie będziesz nim dowodził. Tyle że dla wszystkich niewtajemniczonych dowódcą pozostanie Gales. Bojarzynowie zaczynają się buntować. Zwłaszcza ci, którzy pozostali w Tirgoviste. Jeżeli Turcul się dowie, że jego brat nadal walczy u mego boku, będę mógł liczyć dłużej na ich wierność. Tylko to zapewni mi prawdziwe bezpieczeństwo.

Wspięli się już na szczyt, skąd wiodły splątane ścieżki niknące w gęstwinie buczyny i dębiny boru wołoskiego, gdzie armia Drakuli skrywała się przed oczyma Turków. Jedna z nich wiodła wprost do namiotu księcia.

Oraz do dwóch stojących przed nim mężczyzn. W pierwszej chwili Ion nie rozpoznał ich twarzy, tak szybko zapadła wokół nich ciemność nocy. Wysforował się do przodu, żeby ich odpędzić bez względu na to, jakie wieści przynieśli ze sobą, gdyż księżę nade wszystko potrzebował odpoczynku, jeżeli za kilka krótkich godzin miał powieść swoją armię do walki. Lecz kiedy zbliżył się wystarczająco, by rozpoznać rysy twarzy, głos uwiązał mu w gardle.

35. PRZYSIĘGI

Wład również ich zobaczył.

- Ekscelencjo - rzekł z szacunkiem, klękając, aby ucałować pierścień metropolity. - Co cię sprowadza z Tirgoviste?

Duchowny był wysoki i szczupły i brał swoją rolę Bożego namiestnika na ziemi o wiele poważniej aniżeli wielu jego poprzedników, którzy obrośli tłuszczem, korzystając z profitów płynących z pełnionej funkcji.

- Przywożę wieści, mości księżę - odparł z zafrasowanym obliczem. - Takie, jakich nie powierzyłbym żadnemu posłańcowi.

- Rozumiem. Pozwól, że wysłucham ich za moment - powiedział Drakula z kamienną miną i obrócił się do drugiego z mężczyzn, który stał wciąż spowity w kurz podróżny. Pył i brud oblepiały na równi powyginaną miejscami zbroję i ciało, czyniąc rysy jego twarzy niemal nierozróżnialnymi.

- A ty, Buriu, najlojalniejszy spośród moich bojarzynów - Czy i ty masz dla mnie wieści, jakich nie mógł przywieźć nikt inny?

- Niestety, księżę. Nie pozostał przy życiu nikt godny zaufania.

Ion drgnął. Jakiś czas temu Drakula musiał posłać Buriu na wschód wraz z połową swojej armii i misją obrony twierdzy portowej w Kili. Nie przed Osmanami, lecz przed własnym dalekim kuzynem i niegdyś towarzyszem niedoli tułaczem, Stefanem Mołdawskim, który postanowił, iż nadszedł najlepszy czas, aby zdradzić dawnego druha i przy okazji Jezusa Chrystusa, sięgając po to, czego najbardziej pragnął. Że Buriu powrócił, i to sam, mogło znaczyć tylko jedno

Myśli księcia musiały podążać tym samym torem, gdyż zakomenderował:

- Wejdźcie do środka, przyjaciele. I zaklinam was, mówcie cicho

Pierwszy podzielił się wieściami stary bojarzyn. Mówił krótko i na temat, zresztą nie było wiele do opowiadania.

- że posłani na zwiad ludzie nie wrócili. Wtedy zrozumiałem, że muszę się śpieszyć, jeśli nie chcę, by ten przebrzydły Mołdawianin zajął twierdzę. Lecz mimo to chyba udało mu się ostrzec Turków - W tym momencie załamał mu się głos. Po chwili milczenia ciągnął: - Zaczaili się na nas w gęstym tataraku po obu stronach mostu - Odczekali, aż połowa

przeszła, i dopiero wtedy zaatakowali. Mieli co najmniej pięciokrotną przewagę, to była istna rzeź. Ja znajdowałem się w ariergardzie. Dotąd nie wiem, jak udało mi się zbiec ani po co.

Ciałem starca wstrząsnął szloch. Wład przysiadł obok, objął spatara ramieniem i powiedział:

- Ocalałeś, ponieważ potrzebuję mieć przy sobie najstarszego przyjaciela mego ojca.

Buriu podniósł spojrzenie na księcia, otarł łzy wierzchem dłoni.

- Prawdali to, co powiadają? Że dzisiejszej nocy uderzysz na obóz Mehmeda?

- Prawda - potwierdził Drakula.

Bojarzyn powstał, wyprostował się. Mimo że stare kości strzelały mu w stawach przy każdym ruchu, rzucił gromko:

- W takim razie muszę iść się szykować, naprostować pogiętą zbroję. Wład również podniósł się z miejsca.

- Dość już zrobiłeś - stwierdził. - Tej nocy powinieneś zażyć zasłużonego odpoczynku.

- Podczas gdy sztandar Smoka będzie powiewał we wrażliwym obozie? - oburzył się Buriu. Rozciągnął usta w uśmiechu. - Twój ojciec nigdy by mi tego nie wybaczył.

Skłonił się i wciąż na wpół zgięty wyszedł przez niskie drzwi namiotu, mijając się na zewnątrz z niemym sługą niosącym chleb, mięsivo i wino. Kiedy Stoica wszedł do środka, Wład poprosił metropolitę o wybaczenie i zajął się posiłkiem.

Duchowny pokiwał wyrozumiale głową, wskazując stół i pryczę.

- Będziesz potrzebował wiele sił, książę, aby sprostać postawionemu sobie zadaniu, a także aby wysłuchać moich wieści.

Wład przysiadł na skraju pryczy, przeżuł kęs do końca, popił z kielicha i ponaglił:

- Mów, proszę.

- Z pewnością wiesz, że gdy wstępowałeś na tron, nie byłem przekonany co do twoich intencji. Sądziłem, że jesteś jednym z wielu wojewodów sięgających po koronę po to tylko, by zaspokoić własną próżność i pragnienie władzy.

- A teraz co o mnie myślisz?

- Widziałem, co uczyniłeś dla swojej ziemi. I chociaż mógłbym kwestionować niektóre z twoich metod - metropolita zawiesił głos,

przełykając - to rezultaty nie pozostawiają wątpliwości. W kraju zapanował spokój, z traktów zniknęły bandy rabusiów, a lud może żyć bez obawy o utratę tego niewielkiego mienia, które posiadał dzięki twojej wspaniałomyślności i własnej ciężkiej pracy. Za twojego panowania znacznie zyskał Kościół, którego szczodrym benefaktorem jesteś. A to co zamierzasz teraz, kruczata przeciwko niewiernym Drakula westchnął przeciągle.

- Ekscelecjo, ciesz się moją aprobatą. Zawsze starałem się podążać ścieżką wytyczoną przez Kościół i jego mędrców z nielicznymi własnymi poprawkami. - Przeniósł spojrzenie na Iona. - Jednak to co widzę w twoich oczach, napawa mnie strachem. Obawa to ostatnie, czego teraz potrzebuję. Dlatego proszę: wyjaw mi, z czym naprawdę przybywasz.

Duchowny skinął głową i oznajmił wprost:

- Bojarzynie spiskują przeciwko tobie.

Wład mimowolnie się uśmiechnął.

- Niepotrzebnie tłułeś się aż tutaj z Tirgoviste. Od dawna każdy kruk otwierający dziób w lesie informuje mnie o tym samym.

- Być może, lecz tym razem bojarzynie są przekonani, że w ich ręce dostała się idealna broń przeciw tobie.

- Mianowicie?

- Ta kobieta Ilona Ferenc.

Ion zrobił krok do przodu, widząc, jak Wład spina się do skoku.

- Co z nią?

- Spodziewa się dziecka.

Drakula opuścił powieki. Przez krótką chwilę nie był księciem szykującym się w polu do bitwy swego życia, tylko mężczyzną w domu ukochanej kobiety, w jej łóżu, kochankiem czerpiącym otuchę z zapewnień o uldze nie niosącej żadnych zagrożeń. „Wszystko dobrze, mój miły. Nic się nie stanie. Znam swoje ciało

Okłamała go. Ta, której ufał bezgranicznie, haniebnie zawiodła jego zaufanie. Duchowny wpatrywał się z natężeniem w trzepoczące powieki księcia. Rzucił niespokojne spojrzenie Ionowi, przełknął ciężko i pośpiesznie mówił dalej:

- A bojarzynie, którzy od początku nienawidzili jej za wpływ, jaki miała na ciebie, za to, że póki ona żyje, nawet nie spojrzysz na żadną z ich córek i bratanic, dojrzeli w tym swoją szansę.

Nie otwierając oczu, Wład skinął powoli głową.

- Z powodu mego ślubowania - rzekł głucho.

- Tak. Z powodu twego ślubowania, że powstrzymasz się od płodzenia kolejnych bękartów, złożonego w obecności twojego spowiednika i potwierdzonego przed ołtarzem katedry w Tirgoviste w obliczu mojego majestatu. Są przekonani, że jej nie poślubisz. Że złamiesz dane przyrzeczenie, zhańbisz ją i siebie, a przede wszystkim nastawisz przeciwko sobie Boga, właśnie teraz, kiedy kraj potrzebuje Go najbardziej.

- Ach tak - powiedział wolno Wład, podnosząc głowę.

Poza ścianami jego namiotu wołoska armia przygotowywała się do bitwy. Aż tutaj dochodził wizg stali ostrzonej na osełkach, stukot młotków klepiących zbroje. Gdzieś w pobliżu jakiś żołnierz zawodził wołoską pieśń lamentacyjną za temat doiny obrawszy sobie nieszczęśliwą miłość pasterza i pasterki. Przez parę chwil przysłuchiwał się zwykłym odgłosom żołnierskiego obozu, czekając, aż w pieśni rozlegnie się drugi głos, który chłopięcym falsetem harmonijnie splótł się z męskim sopranem. Drakula rozwarł powieki, zaakceptowawszy wolę Boga, po czym wrzasnął:

- Stoica!

Sługa wyrósł jak spod ziemi. W rękach trzymał książęcy kaftan. Wład jął zrzucić z siebie resztę tureckiego przebrania.

- Ekscelencjo - instruował - zanim wyruszymy w drogę, pobłogosławisz w polu Hostię i ucałujesz sztandar ze znakiem Krzyża. Potem wrócisz jak najprędzej do Tirgoviste i rozpoczniesz przygotowania do mego ślubu. - Pozostawiwszy na sobie tylko spodnią tunikę, wyciągnął ręce za siebie, tak by Stoica mógł przyoblec go w miękki kaftan, mający chronić ciało przed twardością zbroi. Zwinne palce niemowli wiązały rzemyk za rzemykiem, utrzymując odzienie na swoim miejscu. - Równy za tydzień, w podwójne święto Jana i Szymona, przybędę do katedry Biserica Domneasca albo w trumnie, albo na własnych nogach. W pierwszym wypadku odpraw za mnie mszę żałobną, powierzając mą duszę Bogu, gdyż poniosłem śmierć jako chrześcijański książę Wołoszczyzny. W drugim - cóż, rozkaż bić w dzwony, ogłaszając radosną nowinę, że książę Wołochów się żeni.

Milczący Stoica, uporawszy się z pierwszym zadaniem, schylił się po płat zbroi i przyklękawszy, jął kolejno mocować trzewiki i nagolenniki na lewej i prawej nodze, systematycznie posuwając się w górę i zakuwając swego księcia w stal. Wład patrzył przed siebie, przyglądając się czarnym elementom opancerzenia. Kosztowało go majątek, słusznie zapłacony płatnerzowi z Norymbergi, i wielce się różniło od tych kawałków metalu, w które przyodziewał się w czasach, gdy wciąż walczył o tron.

Jaką długą drogę przebyłem - dumiał - i jak wiele grzechów zdążyłem popełnić Gestem powstrzymał sługę, który chciał nałożyć mu napierśnik, i zwrócił się do metropolity:

- Wysłuchaj mej spowiedzi, ojciec - przyklęknął - choć nie wiem, czy zdążę odkupić swe przewiny.

Metropolita po raz pierwszy, odkąd się pojawił w leśnym obozie, rozchmurzył się.

- Przywieź głowę Mehmeda Zdobywcy na swą weselną ucztę, książę, a odkupisz w ten sposób wszystkie swoje grzechy.

- Nie byłbym tego taki pewien - skontrował cichym głosem Drakula. - Już mam wiele na sumieniu, a jeszcze więcej splami je w przyszłości. - Przeżegnał się. - Ale oczywiście zrobię co w mojej mocy, aby spełnić twoją prośbę, ekscelencjo. W imię Boga Jedyneho i dla odkupienia win wszelakich.

Przystanęli na długim ziemnym występie, jeszcze pod koronami drzew, lecz już tam, gdzie las łagodnie przechodził w polanę. Świecący na niebie księżyc w pełni barwił krajobraz srebrzystą poświatą, pogrążając ich czarne zbroje w tym większym mroku. Zdawało im się, że w dole płoną setki gwiazd, ale to były światła tureckiego obozu, wzniesionego na planie okręgu rozpostartego na krzyżu z czterech dróg.

Wład trącił piętami boki Kalafat, słysząc, jak ruszają za nim Ion z Galesem.

- Osiągnięcie traktu od południowej strony zajmie mi mniej więcej tyle samo czasu, ile droga księżycy po nieboskłonie. Wtedy, mając światło miesiąca niemal za plecami, rzucimy się galopem wzdłuż traktu. Ty, Galesie, zatrzymaj się przy rozstaju z rozłupanym na dwoje dębem. Jak tylko twoich uszu dojdą odgłosy walki, a jestem pewien, że wrogowie będą krzyczeć o zmiłowanie wystarczająco głośno, natychmiast rusz północnym traktem. Z łaską Boga spotkamy się przy buńczuku Mehmeda.

- Jak rozpoznamy się w ciemnościach, wojewodo? - zapytał. - Oczywiście twojej zbroi nie sposób pomylić z żadną inną, ale wielu naszych ludzi nosi zbroje zdarte z pokonanych wrogów.

- Pomyślałem o tym - uspokoił obawy żupana Wład i podnosząc głos, aby usłyszeli go wszyscy żołnierze, rozkazał: - Niech każdy zsiądzie teraz ze swojego wierzchowca i na kolanach prosi o odpuszczenie grzechów, i modli się, by przelać dość krwi niewiernych, aby zmyła jego ziemskie przewiny.

A potem niech każdy przytroczy do hełmu białą wstążkę, symbol Maryi Dziewicy. Żołnierze przekazywali sobie rozkaz z ust do ust. Zsiadali z koni,

klękali gdzie popadło. Wśród nich krążyli duchowni w wysokich mitrach, podpierający się pastorałami. Udzielali rozgrzeszenia i rozdawali białe jedwabne wstążki, które żołnierze posłusznie przytracali do hełmów.

Wład i Ion także uklękli, przyjmując błogosławieństwo z rąk metropolity, po czym ramię przy ramieniu wrócili do swoich wierzchowców. Obaj sprawdzili raz jeszcze broń i uprząż.

- Zdajesz sobie sprawę, kogo spotkamy przy sułtańskim buńczuku? - spytał Ion.

Drakula pokiwał głową.

- Od lat marzyłem o chwili, w której uwolnię mego brata z uścisku Mehmeda. Dziś mam tylko nadzieję, że Radu nie zapomni, iż również jest synem Smoka. - Sięgnął po swój turecki łuk, ten sam, który służył mu od czasów walk o twierdzę Giurgiu i z którego nikt inny nie potrafił strzelać. Przełożył go sobie przez głowę, tak aby spoczął bezpiecznie na jego plecach z cięciwą obejmującą pierś, na koniec popatrzył wprost na Iona: - Zatem do zobaczenia na miejscu, przyjacielu.

Ion Tremblac odpowiedział cicho, gdyż jego słowa skierowane były tylko do jednego człowieka.

- Do zobaczenia w wirze walki, Władzie. Jak zawsze.

Księżę uśmiechnął się, po czym przeniósł wzrok na biały sztandar z czerwonym krzyżem powiewający po raz ostatni, nim zniknął w gęstwinie lasu. Nie przeszkadzał Chrystusowi w chwili Jego tryumfu i dopiero później okręcił się lekko w siodle, zwracając się do zwalistego mężczyzny po lewej.

- Teraz! - powiedział krótko.

Czarny Ilie skłonił się lekko, a potem wbił w boki konia ostrogę, wysforowując się na jakieś dwadzieścia kroków. Widoczny z każdego miejsca, stanął w strzemionach i jał machać długim drzewcem, rozwijając przymocowaną do niego chorągiew. Kiedy materia całkiem się uwolniła, odchylił się do tyłu, wyprostował i wyrzucił oba ramiona w górę, unosząc sztandar. Promienie księżyca padły na wyhaftowany srebrną nicią emblemat Smoka.

- Drakula! - zakrzyknął Ilie głębokim, donośnym basem.

- Draakuulaa! - odkrzyknęło czterdzieści setek gardeł.

Nim przebrzmiało echo, Wład, księżę Wołochów, nie odrywając wzroku od ojcowskiego herbu, puścił się pędem w dół zbocza.

36. KAZYKŁY BEJ

Większość drogi przebyli stępa, objeżdżając obóz wroga szerokim łukiem i zatrzymując się u krańca doliny, żeby zmienić szyki przed wyjechaniem na otwartą przestrzeń. Kiedy znów znaleźli się na trakcie wiodącym w dół i zaczęli się zbliżać do obozu, tyle że od przeciwnej strony, przyśpieszyli, nie zmuszając jeszcze jednak koni do pełnego galopu. Ukształtowanie terenu zmusiło ich do zacieśnienia szyków, tak że stanowili teraz zwartą falangę złożoną z jazdy i pieszych. Na bardziej płaskich odcinkach poruszali się ławą, z księciem pośrodku i dwiema kolumnami po obu jego stronach, w sumie dwadzieścia setek zbrojnych. Przez cały czas najbliżej Włada pozostawali jego przybocznicy - pięćdziesięciu witezów z początkowej setki - a spośród nich na wyciągnięcie ręki Drakuli trzymał się jego chorąży, Czarny Ilie, oraz wierny sługa, Milczący Stoica. Wszyscy byli uzbrojeni jak ich dowódca w najprzedniejszą norymberską stal, tak lekką i mocną, jaką tylko za pieniądze można było kupić. Za każdym z nich w bezpośredniej bliskości podążał giermek, również nie mogący powstydzić się swej zbroi i broni, nawet jeśli ustępowały znacznie książęcej. Owi młodzi chłopcy aspirujący do miana rycerza dzierżyli smolne łuczywa, zapalone jakiś czas temu tuż przed kolejnym karkołomnym zjazdem w dół urwistego zbocza, a teraz o płomieniu wyginającym się coraz bardziej do tyłu, w miarę jak kawalkada nabierała prędkości.

Nie było wśród nich takiego, co by nie widział komety, która przecięła wołoski nieboskłon tamtego roku, gdy Syn Smoka sięgnął po koronę. Niejeden dawał wiarę pogłoskom, jakoby Drakula ujeździł podniebny rydwan i za jego sprawą zatryumfował nad uzurpatorem. Tym, którym dane było przeżyć i trwać przy boku księcia, wydawało się tej nocy, że kometa powróciła i znów sprzyja ich władcy.

Dolina była równie sucha i jałowa jak reszta ziem. Końskie kopyta wzbijały kurz, a pęd powietrza wyrывał splątane korzenie kępek pożółkłych traw, które później toczyły się długo za nimi. Falangę otaczała więc ze wszech stron chmura gęstego pyłu i to ją właśnie najpierw dostrzegli osmańscy strażnicy, biorąc za zwiastun nadciągającej burzy. Płomienie łuczyw poczytali za pierwsze błyskawice, a potężniejący z każdą chwilą

tętent cwałujących wierzchowców za ostrzegawcze grzmoty. Kiedy w końcu dostrzegli emblemat Smoka, dla niego także znaleźli wytłumaczenie, jako że pośród koczowniczych ludów krążyły legendy o wielkich uskrzydłonych jaszczurkach zamieszkujących niedostępne szczyty gór i spadających z nieba na ludzi, aby wyssać z nich krew i szpik. Oniemiali ani myśleli sięgać po broń; zresztą byli przekonani, że na mityczną istotę nie zadziała stal zwykłego śmiertelnika. Zamarli więc w bezruchu, licząc na to, że pozostaną niezauważeni, a kto inny zaspokoi największy głód potwora. Część zginęła w oczekiwaniu na atak - zamiast smoczycy pazurów i zębów dosięgły ich bowiem wypuszczone już z oddali przez Włada i jego towarzyszy strzały.

Nieliczne. Reszta tkwiła nadal w kołczanach, czekając na o wiele ważniejsze cele. Niebezpieczeństwo rozpoznał dopiero chłop wcielony siłą do armii w jednej z żyznych anatolijskich nizin. Przebudził się właśnie ze snu o bogatych zbiorach z własnego pola i orzeźwiającym smaku czystej wody ze studni, by stanąć oko w oko z najstraszniejszym koszmarem. Przed laty jego brat zniknął w lochach twierdzy Tokat, a do rodzinnej wioski dotarły wieści na temat okrutnej śmierci, jaką zadali mu kaci. Od tamtej pory chłop ów żył w ciągłym strachu, że i jemu przyjdzie umrzeć w podobnie nieludzki sposób. Kiedy więc jego wzrok padł na powiewający sztandar ze srebrzystym smokiem, od razu zrozumiał, że to nie legendarny potwór ani mordercza nawała zbliża się ku nim.

- Kazykły bej! - krzyknął przeraźliwie, w rodzimym języku obwieszczając wszem wobec imię przeciwnika.

Palownik!

Wołosi wpadli do obozu jak burza, nie zaprząając sobie głowy zewnętrznymi kręgami. W okamgnieniu przemknęli wśród szeregów zaciężnych akindzysów, śpiących na otwartym powietrzu wprost przy koniach, i jerlikułu, zakwaterowanych w wielkich namiotach, które łatwo było wyminąć. Widniejące przed nimi namioty stawały się coraz mniejsze i gęściej rozmieszczone, a utrzymujące je liny stanowiły poważne zagrożenie dla nieustających w biegu wierzchowców. Czarny Ilie nie przestawał trzymać się blisko Drakuli, spieniony pysk jego konia niemal sięgał zadu książęcego rumaka, tak że ilekroć ów skręcał, chorąży podążał za nim, prowadząc resztę falangi z powrotem na szeroki trakt.

Teraz! Wład nie potrzebował rozglądać się na boki. Wiedział, że tuż za sobą z jednej strony ma olbrzyma z powiewającym sztandarem, z drugiej zaś zawsze milczącego niewysokiego mężczyznę, który trzymając się grzywy

swego tarpana, jakimś cudem dotrzymuje mu kroku. Gdyby jednak Drakula rozejrzał się wokół, zobaczyłby, jak wszyscy witeziowie kopiują jego ruch: zdejmują z pleców łuki, sięgają do kołczanów, wymacują groty strzał owinięte kawałkami materii nasączonej oliwą, wyciągają je gładko i równie zwinnie przeciągają nad płomieniem podetkniętego w pędzie łuczywa, by zaraz przyłożyć je do majdanu i naprężyć cięciwę. Nie musieli się zbytnio silić, mierząc do celu. Żaden nie chybił. Strzały dosięgły ścian namiotów spahisów. Nasączone smołą płótno zajęło się ogniem błyskawicznie.

- Kazykły bej! - Okrzyki, z których przebijało nieskrywane przerażenie, rozlegały się zewsząd.

- Słyszysz, jak nadchodzi, Mehmedzie? - wyszeptał Wład.

Zasłonę hełmu miał wciąż uniesioną, nieustannie strzelał oczyma na boki w poszukiwaniu celów dla zwykłych strzał o kościanych grotach, wypuszczał je jedna za drugą, nie przestając się poruszać i po ciemku orientować o pozycji w obozie. Nareszcie wypatrzył to, czego szukał. Za rzędem ostatnich, najmniejszych namiotów spahisów były ustawione koncentrycznie smukłe stożki obciążone wielbłądzą skórą i otaczające imponujących rozmiarów pawilon. Przed nim tkwiło wbite w ziemię drzewce, do którego przyczepiono flagę. Mrużąc powieki, Wład zdołał dojrzeć słonia na żółto-zielonym polu. Pamięć natychmiast podsunęła mu numer oddziału, którego był symbolem - w młodości niemal bałwochwalczo podziwiał mężczyzn, którzy byli jego członkami.

Siedemdziesiąta dziewiąta orta. Przed oczyma stanęła mu scena, gdy ostatnio widział takiego samego słonia: było to na obrzeżach Adrianopola w pobliżu tawerny, przy której uprowadził Ilonę. Nie zdążył jeszcze przegonić wspomnienia z głowy, gdy już krzyczał „Janczarzy!!”, szyjąc z łuku, gdzie popadnie. Wkrótce potem dosięgła go pierwsza strzała. Zachrobotąła na nierównej powierzchni napierśnika i ześlizgnęła się, nie czyniąc mu żadnej szkody, lecz mimo to odruchowo opuścił zasłonę hełmu, chroniąc twarz. Kalafat osłaniał gruby, zszyty z wielu różnych kawałków materii kropierz z nieregularnie rozmieszczonymi metalowymi nitami oraz stalowy element oladrowania w postaci naczółka i folgowego nakarczka. Wład bynajmniej nie chciał narażać swojej klaczy, lecz nie zależało mu również na ograniczaniu jej ruchów, od czego mogli ucierpieć oboje. Zamiast tego postawił na zmodyfikowany naczółek, do którego był przymocowany oszczep długości męskiego przedramienia, nadający jej wygląd jednorożca. I to właśnie zwierzę zapewne widzieli Turcy, kiedy w ich stronę galopował odziany w

czerni diabeł, obok którego głowy powiewał sztandar ze smokiem.

Ludzkie krzyki unosiły się nad obozem falami. Mężczyźni na oślep uciekali przed nawałą, potykając się, burząc namioty, wyrrywając z ziemi kołki trzymające liny. Uciekinierzy wpadali na tych, którzy zachowali zdolność trzeźwego myślenia lub po początkowej panice postanowili jednak walczyć. Wład bez mrugnięcia przyglądał się, jak janczarzy sieką wokół siebie, powalając na ziemię tchórzliwych dezertów. Ktoś zaczął uderzać w bęben i żołnierze, niektórzy tylko w hełmach, inni tylko w napierśnikach, lecz wszyscy z bronią w dłoniach, jęli formować szyki pod sztandarem słońca.

Pragnieniem Włada tej nocy było walczyć z tylko jednym człowiekiem. Zabić tylko jednego wroga. Wiedział wszakże, iż ci, których ma przed sobą, stanowią serce wrażej armii. Tylko janczarzy dzielili go od Mehmeda.

- Do mnie! - zakrzyknął na całe gardło, chociaż nie było takiej potrzeby. Jego ludzie nie rozproszyli się w ferworze walki, pozostając jak blisko się dało. Najbliżej nieodmiennie znajdowali się jego przybocznicy.

Nadszedł czas, by wypuścić ostatnie strzały. Zanim dosięgły celu, łuki zostały znów przewieszane przez plecy i dłonie odruchowo sięgnęły po miecze.

- Draakuulaa!! - rozległ się ogłuszający krzyk. Chwilę później Wołosi starli się z nacierającymi janczarami.

Tych ostatnich było trzy setki, może nieco więcej. Ale tylko przez moment. Potem rozpoczęło się krwawe żniwo. Witeziowie pracowicie robili mieczami, unosząc ostrza, opuszczając, zatapiając w ciele wrogów. Wysuszona ziemia piła łapczywie krew.

Nim Wład się obejrzał, przy życiu nie pozostał ani jeden janczar. Jego straty nie były dotkliwe, a droga do serca obozu stała się otworem. Przeformowali szyki, korzystając z tego, że w rzędzie mogło się poruszać po niej prawie dwudziestu jeźdźców. Z każdą chwilą nabierali prędkości, zmierzając niczym płonąca lanca wprost na niemilego Bogu nieprzyjaciela. Do świateł ich pochodni dołączył blask latarni ustawionych wzdłuż traktu. Szmaty nasączone oliwą kopciły niemal tak samo jak smolne łuczywa, a pęd zdawał się sprawiać, iż poruszały się niczym kule ognia, wskazując ostatni cel - pawilon Mehmeda.

Setka ludzi mogłaby leżeć głowa przy stopach u jego frontu. Wład ogarnął spojrzeniem ogrom budowli oraz ściany, które zaledwie poprzedniego dnia pomagał łątać. Do środka namiotu prowadziły okazałe

podwójne wrota. Jedyne, czego nie było widać z tej odległości dokładnie, to przyczepiony do drzewca buńczuk, Drakula wszakże wiedział, iż zwisa z niego sześć końskich ogonów, flaga ze złotym półksiężycem i tysiąc srebrnych dzwoneczków. Rozświetlone jasno wnętrze pozwalało dostrzec, iż mieszkańcy zajmują centralną część pawilonu. Wład był już blisko tego jedynego, którego szukał.

Tych dwóch, poprawił się zaraz w myślach, odruchowo pochylając się nad karkiem Kalafat, kiedy wokół zaczęły śmigać strzały, zupełnie jak uczynił to podczas pewnego pojedynku dżarodbazi. Gdziekolwiek bowiem był Mehmed, tam również znajdował się Radu, książęcy brat, którego jak dotąd nie zdołał ocalić z sułtańskich rąk. Wystarczyło puścić się galopem, zdając się na gibkość klaczy, i już po paru uderzeniach serca byłby miał ich obu w swojej mocy. Wszelako nim zdołał uczynić jakiś ruch, obraz przed nim nagle się zmienił. Tam gdzie jeszcze przed chwilą było zaledwie parę postaci dzielących go od wejścia do namiotu Mehmeda, nagle wyrósł oddział jeźdźców. Światło księżyca odbijało się w ich napierśnikach i hełmach, tańczyło na ostrzach broni. Ci ludzie zostali uprzedzeni o pojawieniu się napastnika i zdążyli się uzbroić, przynajmniej częściowo. Choć w mdłym blasku księżyca trudno było rozpoznać ich sztandar, Drakula domyślał się, iż jest to żółty jedwab kawalerii.

Powiedział swoim żołnierzom, że kawalerzyści są wycieńczeni wcześniejszymi walkami, niezadowoleni z nowego dowódcy i najpewniej pijani, lecz nie uznał za stosowne przypomnieć, że pomimo wszystko pozostali doskonałymi wojownikami, elitą pośród armii Mehmeda. Za osłoną końskich grzbietów zaś już napierała piechota z halabardami w garści - nieustraszeni pajucy. Nie było chwili do stracenia. Nie zrażony liczebnością wroga Wład przyłożył Smoczy Szpon równoległe do szyi Kalafat, tak że odtąd zdawał się wyposażony w miecz oraz róg jednorożca, którego dosiadał.

Ruszył na wybranego przeciwnika - oficera, sądząc po kicie z piór przy hełmie. Turek dzierżył kopię, dysponując przewagą, jeśli chodziło o długość broni, wszakże były sposoby na pokonanie kopisty nawet z krótkim orężem. Zwłaszcza że Drakula był już w pełnym galopie, podczas gdy kawalerzysta dopiero zaczynał się rozpędzać. Kiedy się do siebie zbliżyli, zamarkował ruch w prawo, jak gdyby chciał przyjąć cios na pierś, po czym błyskawicznie dokonał zwrotu w lewo, powodując, że czubek kopii zsunął się po licu tarczy, nie czyniąc szkody; następnie niemal od razu opuścił szczyt, równocześnie osadzając Kalafat w miejscu, i przyszpilił otumanionego przeciwnika własną

bronią, wytrącając go z równowagi i nieomal zrzucając z siodła. Na koniec opuścił rękojeść nisko, utrzymując czubek w górze, i wkładając w uderzenie całą swoją siłę, wraził ostrze pomiędzy kolczugę a nieosłoniętą brodę Osmana.

Przekreślił Smoczym Szponem w ranie, raczej poczuł, niż zobaczył, że męczyzna spada bezwładnie na ziemię, i już rozglądał się za kolejną ofiarą. Tymczasem walka wokół rozgorzała na dobre, bardziej przypominając jednak bijatykę aniżeli regularną bitwę. Trzymający się jego pleców Stoica właśnie wrażał wciąż płonące łuczywo w twarz olbrzymiego Turka, który wrzasnąwszy, spadł z konia, bezskutecznie próbując ugasić ogień w brodzie. Gdzieś obok śmiejący się szaleńczo Gregor roztrzaskał kiścieniem stalowy szyszak innego Osmana. Smok poszybował, kiedy Czarny Ilie przechylił zaostrome na końcu drzewce ze sztandarem Drakulów, ku chwale Boga przebijając pierś niewiernego. Wołosi napływali fala za falą, nieubłaganie spychając turecką kawalerię. Na przód wysforowali się ludzie księcia dosiadający ogromnych koni bojowych. Wład mógł ich z łatwością doścignąć, pozwalając Kalafat zrównać się z jej większymi, lecz wolniejszymi braćmi, pozostał jednak w drugiej linii, skąd obserwował pandemonium powstałe, gdy Wołosi wpadli pośród pajuków. Pierwszy szereg piechurów został niemal całkiem stratowany, lecz następni zrobili użytek z zakończonych hakami halabard, ściągając na ziemię jeźdźców i rozłupując im czaszki toporami albo wbijając szpikulce w odsłonięte przyłbice. Wszelako pod nieprzerwanym naporem atakujących zwarte szeregi pajuków ustępowały systematycznie, aż walka toczyła się już tylko w kilku skupiskach, z dala od czoła pochodu. Witeziowie nie spuszczała oka z księcia, galopując za nim i uniesionym wysoko sztandarem Smoka, który wytyczał drogę przez zgiełk bitwy. Kawalkada wypadła wreszcie na otwartą przestrzeń i w promieniach błędnącego księżyca Wład dojrzał wyraźnie sułtański buńczuk, a także tłum wojowników kłębiący się przed nim w panice. Byli tam i solacy, i spahisi, ci ostatni zarówno w siodle, jak i spieszeni. Gdy tylko Drakula i jego przyboczni wysforowali się przed tron oddziału, w powietrzu tysiącem grotów i ostrzy zabłysła stal strzał, kopii i mieczy.

Wład powiódł wzrokiem ponad tym lasem broni i dopiero poza nim wypatrył dwie postaci będące przyczyną, dla której pojawił się tutaj i tak bezlitośnie siał śmierć. Mehmed, odziany w fioletową nocną szatę oblamowaną złotem i obsypaną brokatem, ze wspaniałym złotym hełmem

na głowie zdobnym w strusie pióra, stał z jedną nogą wysuniętą do przodu i z mieczem w dłoni. Obok niego zaś tkwił - niby lustrzane odbicie - tak samo ubrany mężczyzna, tyle że dzierżący łuk w miejsce miecza. Człowiek, którego Wład widział po raz ostatni przed wielu laty, gdy obaj byli jeszcze chłopcami. Jego młodszy brat, Radu.

Drakula poczuł wilgoć w oczach. Podniósł zasłonę hełmu, aby otrzeć napływające łzy, i przy okazji rozejrzał się na prawo i lewo. Część jego ludzi nadal walczyła, część z pewnością czmychnęła po drodze, ratując skórę, wielu leżało martwych na ziemi. Z dwudziestu setek, z którymi wyruszył na tę straceńczą wyprawę, w siodle pozostało może dwustu. Lecz przecież właśnie teraz z przeciwnej strony sułtańskiego namiotu powinien wyłonić się Ion - lub Gales - z posiłkami w sile kolejnych dwudziestu setek niestrudzonych walką ludzi. Nie miał jednak czasu na nich czekać. Raz jeszcze przyjrzał się dwóm mężczyznom, których od tak dawna pragnął zobaczyć, i kłębiącym się w środku wojownikom gotowym na wszystko.

Pomimo nocnej pory powietrze wokół wibrowało od różnych dźwięków, wzmaganych przez odgłosy walki i okrzyki przerażenia, aczkolwiek chwilami było wystarczająco cicho, aby dało się usłyszeć delikatne podzwanianie srebrnych dzwoneczków. Rychło jednak wszystko zagłuszył przybierający na sile ryk. „Allah akbar!

W reakcji na to jawne wyzwanie chrześcijańscy rycerze łącznie znaleźli odpowiedź, nadal mając w pamięci, co uczyniło imię ich księcia pośród szeregów wroga.

- Kazykły bej! - zaryczeli w odpowiedzi Wołosi, gotując się do szarży śladem Drakuli. Tymczasem Wład i jego witeziowie schowali miecze do pochew i nie ruszając się z miejsca, znów sięgnęli po łuki, by odpowiedzieć gradem strzał na padające na nich kościane groty. I tym razem posłali w przestrzeń płonące pociski, od których z łatwością zajęły się ogniem płócienne ściany pawilonu Mehmeda. Płomienie w okamgnieniu przedostały się do wnętrza namiotu, znajdując żertwę w bogatych kilimach i jedwabiach, jak również rozrastały się na zewnątrz, wędrując po nasmołowanych napiętych linach. Gdy tylko z namiotu wystrzelił wysoko ogień, Wład przewiesił przez plecy łuk i ponownie ujął w dłoń miecz, pochylając głowę tak, jakby miał wjechać w padający z nieba deszcz, nie zaś w posyłane ku niemu ludzką ręką śmiertelne strzały. Nadzieję pokładał w najkosztowniejszej w całej dziedzinie zbroi, która po raz kolejny musiała bronić doń dostępu śmierci.

W którymś momencie otrzymał w pierś cios tak silny, że aż odrzuciło go do tyłu, lecz zgoła cudem zdołał utrzymać się w siodle i mimo iż Kalafat również zachwiała się od impetu, parł naprzód. Jeszcze kilka susów i przedarli się przez grad strzał, wpadając pomiędzy Osmanów. Teraz dystans był już zbyt mały, aby można mierzyć do siebie z łuku; przyszedł czas na inne sposoby zadawania śmierci.

Świadom, iż jego przybocznicy są tuż za nim, zmusił Kalafat, aby stanęła dęba, i utrzymał ją w tej pozycji przez chwilę wystarczająco długą, by pod przednimi kopytami klaczy mielącymi powietrze i ludzkie ciała zginęło kilku najbardziej zdesperowanych wrogów, po czym wpadłszy w szal bojowy, nie widział i nie słyszał niczego, tylko czuł cięcia i sztychy - te rozdawane i przyjmowane na tarczę i zbroję. Zabijał. W tym zawsze był dobry.

Nagle poprzez krwawą mgłę, w jaką się zapadł, przypomniał sobie cel, dla którego zaszedł aż tak daleko, i rozejrzał się po pobojowisku, odszukując wzrokiem Mehmeda stojącego jakieś dziesięć kroków za nim, w otoczeniu garstki solaków i pajuków. Brodę miał dłuższą i o ile to w ogóle możliwe - jeszcze czerwienią, oczy zapadnięte, usta odęte, lecz z całą pewnością był tym samym samochwałą, którego poznał w młodości, tym samym tyranem bezmyślnie znęcającym się nad słabszymi.

Wład nie miał wątpliwości, że oto stanął oko w oko z człowiekiem, który przybył na jego ziemię, aby go zniszczyć, ba, który prawdopodobnie już dawno zniszczył jego brata. Na tę myśl Drakulę zalała świeża fala wściekłości, lecz nie dał jej się ponieść. Równocześnie bowiem wróciło wspomnienie, że kiedyś już pokonał tego pyszałka w uczciwym pojedynku dżarodbazi. Dlatego teraz błyskawicznie wykorzystał to, że dwaj jego witeziowie oderwali się od falangi - stanowili dlań osłonę podobnie jak kiedyś Ion i Radu.

Szarżując w środku pomiędzy nimi, kątem oka zauważył, jak po obu jego stronach padają dwa ciężkie ciała, jak wierzchowce uciekają na prawo i lewo, umykając przed gęsto szyjącymi strzałami i ostrzami kręcącymi młynka. Pomimo to Wład nie uchylił się, tylko wpadł prosto na wroga. Zwarty szereg rozdarł się; nieopancerzeni łucznicy czmychali przed końskimi kopytami i tańczącym w dłoni Drakuli Smoczym Szponem - z lepszym lub gorszym skutkiem. Wielu Turków, strażników sułtańskiego majestatu, padło, nim zdołało krzyknąć „Allah jest wielki! . Wołosi, widząc swoją szansę, puścili się cwałem za wiodącym ich księciem, czyniąc we wrażliwych szeregach jeszcze gorsze spustoszenie.

W powstałym zamieszaniu Wład na moment stracił z oczu Mehmeda i brata, zaraz jednak - okręciwszy Kalafat w miejscu - na powrót ich wypatrzył. Sułtan wykrzykiwał obelgi pod adresem przeciwnika, ciągniony na siłę przez ostatniego z ocalałych strażników. Radu nadal tkwił u jego boku.

- Mehmed! - zawył Drakula, ściskając kolanami boki Kalafat. Dzielilo go odeń zaledwie pięć susów. Oczyma wyobraźni już widział, jak dopada swej ofiary na podobieństwo Czarnego Księcia, któremu także potrzeba było zaledwie pięciu uderzeń skrzydeł i może jeszcze ślizgu w powietrzu, aby z góry bądź z dołu wczepić się szponami w upatrzony cel.

Tyle że Kalafat nie posłuchała polecenia. Jej przednie kopyta opadły na ziemię, lecz zamiast znów się poderwać, jakby zatopiły się w gruncie. Nogi klaczy zgięły się w kolanach, z jej pyska trysnęła krew. Wład zeskoczył zwinnie i zobaczył to, czego nie dostrzegał z wysokości siodła: z przedpiersnia ladrów jeżył się pęk strzał, z których większość nie przebiła wprawdzie kropierza, lecz jedna - widać wystrzelona mocniej niż inne - zdołała sięgnąć serca. Ledwie odstąpił na bok, Kalafat zwała się z głuchym łoskotem na ziemię i zamknęła oczy.

Wład spoglądał na jej pysk o wyszczerzonych zakrwawionych zębach tylko przez moment. Nie miał czasu ani oplakiwać wiernego rumaka, ani nawet myśleć. Zareagował odruchowo, kątem oka dostrzegłszy pędzących w jego stronę dwóch zbrojnych w kindzały śmiałków.

Ujmując półtorak obiema rękoma, przykucnął w samą porę i wyrzuciwszy dłonie w górę pod kątem, dosięgnął czubkiem ostrza gardła jednego z napastników. Raniony mężczyzna wrzasnął i przewrócił się, padając tuż u stóp swego zabójcy, ale Drakula na to nie zważał, już poświęciwszy całą uwagę drugiemu napastnikowi. Ów spróbował wymachu ostrzem ponad ciałem poległego towarzysza, chybił jednak, a kiedy szykował się do powtórzenia ciosu, Wład poprawił uchwyt bastarda, uniósł go wysoko nad głowę niczym topór, po czym z impetem opuścił w dół, pozwalając, by brzeszczot sam znalazł drogę do czaszki ofiary. W ten sam sposób pozbawił niegdyś życia wołoskiego księcia i nie zdziwił się wcale, iż metoda sprawdziła się równie dobrze, gdy w grę wchodził niewolnik. Mężczyzna padł jak kłoda z rozłupaną czaszką i przeciętym na pół turbanem. Nim jeszcze obaj przeciwnicy wyzionęli ducha, Wład już skradał się śladem swego największego wroga, zaciąganego wbrew woli do wnętrza na wpół spalonego pawilonu. Kiedy przekroczył osmalone podwójne wrota, przekonał

się, że strażnicy nie mają zamiaru na tym poprzestać. Tylne wyjście, mniej okazałe, również stało otworem, a przy nim grupka ocalałych gotowała się do ucieczki.

Ciekawe, gdzie jest Gales? zastanowił się przelotnie Drakula.

Tymczasem do jego boku dopadli Milczący Stoica i Szczerbaty Gregor i już we trzech podążali śladem uciekinierów. Sułtana strzegło w sumie ośmiu strażników, uzbrojonych w piki bądź miecze, z których większość stanęła im na drodze na samym środku pawilonu, w okolicy wielkiego łoża na podwyższeniu. Toczyli walkę, podczas gdy wokół trzeszczała osłabiona konstrukcja namiotu. Choć siły były nierówne: dwa do jednego, to ci pozostający w mniejszości mieli przewagę uzbrojenia, a poza tym nie musieli zwracać sobie głowy pilnowaniem szalejącego sułtana. Szczerbaty Gregor zginął z uśmiechem na ustach, zatopiwszy kiścień tak głęboko w czaszce przeciwnika, że nie zdążył odzyskać broni, zanim dosięgnął go sztych miecza innego. Milczący Stoica zdawał się umierać bezgłośnie, tak jak przeżył większą część życia, z głową przeszytą na wylot piką, choć zdołał zabrać ze sobą swego zabójcę, tnąc go, gdy już padał bezwładnie na ziemię. Drakula poradził sobie z napierającą nań parą strażników, ujmując oburącz Smoczy Szpon i siekąc jednego z dołu, a drugiego z góry.

Wreszcie przy życiu pozostali już tylko dwaj.

Stali naprzeciw niego: Wołoch i Turek, obaj odziani na wschodnią modłę w barwne, ociekające złotem i brokatem szaty. Wład nie potrafił oderwać oczu od swojego brata. Kiedy widział go ostatnio, Radu był jedenastoletnim chłopcem. Dziecięca twarzyczka przypominająca cherubina zmeźniała, nabierając rysów ateńskich mitycznych wojowników. Nie bez powodu nadano Radu przydomek „cel Frumos - Piękny. Spoglądał teraz na Włada swymi turkusowymi oczyma odcieniem przypominającymi wody Bosforu, bezwiednie odrzucając gęste, faliste lśniące brązowe włosy na ramiona i zadzierając podbródek o starannie przystrzyżonym zaroście. Stojący u jego boku Mehmed ze swym haczykowatym nosem, pełnymi wargami i niechlujną brodą wyglądał jak uosobienie własnej niechlubnej reputacji. Zarówno jeden, jak i drugi stał w pozycji bojowej i dzierżył przed sobą turecki zakrzywiony miecz.

Spoza tłących się wciąż ścian namiotu dochodziły odgłosy nieprzerwanej walki. Od jakiegoś czasu rozlegało się też miarowe dudnienie bębna, a teraz właśnie dołączył do niego sygnał trąbek. To Wołosi nawoływali się do odwrotu. Mogło to znaczyć tylko jedno: Gales nie nadciągnął z odsieczą.

Było to bez znaczenia teraz, gdy Drakula stał twarzą w twarz ze swym odwiecznym wrogiem, mając go na wyciągnięcie ręki.

Uniósł zasłonę hełmu na czoło, postąpił krok w przód. Mehmed i Radu odruchowo się przed nim cofnęli.

- Bracie - rzekł Wład przez gardło ściśnięte wzruszeniem wywołanym poczuciem straty wielu wspólnych lat - nareszcie jesteś wolny. Niech synowie Smoka na powrót się zjednoczą przeciwko tyranowi.

Radu przełknął ciężko ślinę, lecz nic nie powiedział. Zamiast niego odezwał się Mehmed.

- On jest teraz moim bratem, Władzie Drakulo, nie twoim. I zamierzam oddać mu koronę Wołoszczyzny.

- Nie ty nią dysponujesz, Mehmedzie Celebi - odparł Wład, przenosząc spojrzenie na sułtana i używając jego dawnego imienia.

- W żyłach mojego brata wciąż płynie krew Drakulów bez względu na to, czym go przekupywałeś przez te wszystkie lata - Głos mu się załamał. - Wiem, kim dla siebie byliście. Dlatego nie poproszę go, by cię zabił. Wystarczy mi, że nie podniesie na mnie ręki, gdy będę wymierzał sprawiedliwość. Na te słowa Radu przesunął się nieznacznie na stronę. Mehmed zerknął na niego, powrócił spojrzeniem do twarzy Włada i syknął:

- Gdy będziesz próbował, Kazykły beju. Bo wciąż jestem nie gorszym od ciebie wojownikiem.

- To się dopiero okaże - stwierdził Drakula, opuszczając zasłonę hełmu. Poprawił miecz w garści i ruszył przed siebie.

Był tak skoncentrowany na postaci mężczyzny, którego nienawidził przez całe swoje życie, że nie zauważył opadającego z boku miecza do czasu, gdy było już niemal za późno na reakcję. Szarpnął się do tyłu, mimowolnie unosząc Smoczy Szpon nad głową. Ale jelec pozostał wygięty od dnia jego tryumfu nad Władysławem Danowiczem, toteż teraz zabrakło kawałka metalu, który mógłby ochronić mu rękę przed damasceńską stalą ostrza Radu. Brzeszczot przeciął rękawicę i siekł mały palec lewej dłoni Włada.

Odcięty członek upadł na zakryte kobiercem klepisko. Za nim pobiegły trzy pary oczu.

- Radu! - wykrztusił Wład.

- Nie! - krzyknął młodszy z Drakulów. - Nie przyszedłeś po mnie, jak obiecałeś! Zostawiłeś mnie im! No więc teraz należę do nich, nie do ciebie! I to dzięki nim zdobędę tron mego ojca!

Mehmed już skradał się w jego stronę, uśmiechając się paskudnie. Wład

trzymał półtorak tylko jedną ręką, czując, że ciężar miecza podwoił się w ciągu zaledwie paru chwil. Mimo to ponownie wzniósł go w górę.

- Radu - urwał, żeby odkaslnąć, lecz zanim zaczął mówić dalej, coś nad ich głowami trzasnęło i płonąca płachta płótna oderwała się od sklepienia namiotu, zawisała na moment nieruchomo, po czym spadła.

Wszystko przesłonił dym i ogień. Pośród pożogi poruszały się jakieś kształty, ktoś krzyczał, ktoś inny miotał się rozpaczliwie. Nikt jednak nie mógł się wydostać spod ciężkiej materii. Ciągnąc raczej, niż niosąc swój miecz lepki od własnej krwi, Wład oddalił się na tyle, na ile to było możliwe, odsuwając się pod pionową wciąż ścianę pawilonu, tłącą się, lecz jeszcze nie stojącą w płomieniach. Choć pierś podnosiła mu się i opadała, do płuc nie dostawało się życiodajne powietrze i umysł, już i tak dostatecznie otępiały, powoli zapadał się w nieświadomość. Jeszcze chwila i całkiem zabraknie mi tchu, pomyślał. Trzymając powieki otwarte pomimo gryzącego dymu, wypatrzył nisko niewielką łatę, którą własnoręcznie zafastrygował minionego dnia, dopadł do niej i krztusząc się, kopnął z całych sił, aż szwy puściły i mógł wydostać się na zewnątrz na czworakach. Powiódł wokół zamglonymi od łez oczyma i dostrzegł swoich ludzi, nadal pogrążonych w walce.

Jego uszu doszedł sygnał trąbki, ponownie wzywający Wołochów do stawienia się przy sztandarze Smoka. Zrazu podpierając się rękoma, ruszył w jego stronę, ale Turcy wciąż nie odpuszczali, zwracając się przeciwko każdemu, kogo mogli dosięgnąć. Z wielkim trudem Drakula podniósł swój miecz.

Nagle usłyszał krzyk spoza tego, co pozostało z sułtańskiego namiotu. Obrócił się w stronę, z której powinien nadjechać oddział składający się z dwudziestu setek wojowników pod wodzą Galesa, i dostrzegł tylko jednego jeźdźca przedzierającego się pomiędzy dwiema zaciekle walczącymi ortami janczarów.

- Ion! - krzyknął Wład.

Rycerz jakimś cudem dosłyszał w bitewnym zgiełku znajomy głos, wyłowił spośród tumultu postać swego księcia i zawróciwszy w biegu konia, skierował się ku wołającemu.

- Skacz! - polecił, zbliżając się, gdyż zrozumiał już, iż atakujący janczarzy uniemożliwią mu zatrzymanie się w miejscu. Wysunął ramię tak daleko, jak to było możliwe, pochwycił rękę Drakuli i nie zważając na jego okrzyk bólu, wciągnął go za siebie na siodło. Ująwszy ponownie wodze, zorientował się, że dłoń ma całą we krwi. - Książę! Jesteś ranny!

- To nic - szepnął Wład. - Nie zatrzymuj się, jedź - Przyłożył rozgrzane czoło do chłodnej zbroi przyjaciela.

- Czy

- Po prostu jedź - rozkazał Drakula, zamykając oczy.

Ion Tremblac dał koniowi ostrogę. Rumak skoczył i już po paru susach znalazł się w centrum walki. Czarny Ilie trzymał swój miecz oburącz, wywijając nim szeroko. Drzewce ze sztandarem Smoka zatknął obok w ziemię. Galopując mimo, Ion pochylił się, wyszarpnął kopię z flagą i zakrzyknął:

- Wołosi, do mnie, w imię Boże!

Tylko nieliczni go dosłyszeli. Jednakże dla pozostałych jasnym znakiem był oddalający się, powiewający za czarną zbroją sztandar z emblematem Smoka. Kto żyw starał się za nim nadążyć. Wracali tym samym traktem, którym przed paroma godzinami dostali się do obozu, tyle że znacznie mniejszą falangą, a stanęło im na drodze jeszcze mniej Turków niż wtedy.

37. MOLOCH

- Wład! - krzyknęła, próbując się podnieść na chrobot otwieranych drzwi.

- Nie, Ilono. To tylko ja. - Ion przemierzył komnatę i stanąwszy obok kobiety, położył jej dłoń na ramieniu. - Nie forsuj się

Jej ciało zdawało się bronić przed nawet tak lekkim dotykiem.

- Przecież już czas Powinnam

- Jeszcze jest wczesnie. Poza tym musiałyś tam stać, a gorąc w świątyni jest niemiłosierny. W twoim stanie mogłabyś tego nie znieść. Tu jest o wiele chłodniej. Odpoczywaj, póki możesz.

- Czuję się już znacznie lepiej - skłamała, opadając jednak na krzesło. - Jeszcze trochę, a i tak będę musiała - Nakryła dłoń na ramieniu swoją. - Przecież gdy się pojawi, zacznie od razu mnie szukać, tak jak zawsze. Nie wolno mi go rozczarować.

- Jeśli się pojawi - poprawił ją Ion, który także usiadł przy stole, a teraz oparł łokcie na blacie i objął głowę rękoma. Od miesięcy był nieustannie zmęczony. Od czasu, kiedy Turcy przekroczyli Dunaj.

- Jeśli? Masz więc jakieś wieści o nim?

Spojrzał w jej przestraszone oczy.

- Nie, nic konkretnego. Te same stare pogłoski. Uciekła szybko spojrzeniem.

- Powiadają, że zginął - Przymknęła oczy w oczekiwaniu na odpowiedź. Gdy jej nie otrzymała, ponagliła: - Opowiedz mi wszystko raz jeszcze.

- Ilono

- Opowiadaj! - rozkazała twardo. - O waszym spotkaniu sprzed tygodnia, kiedy ostatnio widziano go żywego. Słuchając cię, odnoszę wrażenie, jakby był tu z nami. - Machnęła dłonią przed opuszczonymi powiekami. - Wtedy żyje nadal, przynajmniej w moim umyśle.

Ion Tremblac westchnął. Ileż by dał za to, aby umieć ją okłamać! Lecz w ciągu tych wszystkich lat, przez które się znali, które spędzili razem, ponieważ Wład nigdy nie miał dla niej zbyt wiele czasu, nie był w stanie nakarmić jej choćby jednym uspokajającym kłamstwem.

- Turcy deptali nam po piętach. Spahisi i akindżysowie. W końcu doścignęli nas i żeby się dostać z powrotem w bezpieczną gęstwinę puszczy, musieliśmy sobie wyrąbywać pośród nich drogę. Przez jakiś czas sądziłem, że Wład śpi za moimi plecami, był taki cichy. Ale kiedy już niemal dojeżdżaliśmy do ściany lasu, zaledwie pięć susów od linii drzew, jeden z jego witezów dostał strzałą prosto w gardło i w okamgnieniu stoczył się z siodła. Cwałowaliśmy koń w koń. Wład poruszył się nagle i nim się zorientowałem, siedział już na drugim wierzchołku. Zauważyłem, że włożył prawą rękawicę na lewą rękę, żeby zatamować upływ krwi, ale nie przylegała chyba zbyt ściśle, bo nawet z tej odległości widziałem, jak na końską grzywę kapią duże czerwone krople - Ion urwał.

Znużenie chyba brało nad nim górę. Nawet jeżeli nie potrafił kłamać Ilonie prosto w oczy, nie musiał przecież mówić jej wszystkiego. - Zawołał do mnie: „Jedź do Tirgoviste! i zawrócił w miejscu, rzucając się w wir walki, żeby zabijać i bronić swoich ludzi. - Przełknął ciężko. - Posłuchałem rozkazu i zostawiłem go tam

Ilona nadal miała powieki opuszczone. Wyglądało to tak, jakby przyglądała się opisywanym scenom, nachylała się nawet do przodu, jakby dzięki temu mogła zobaczyć lepiej Włada.

- „Jedź do Tirgoviste! - powtórzyła jak echo i zniemacka otwarła oczy. - Walki ponoć ciągle trwają. Pogłoski mówią też o nich, prawda?

Ion potaknął.

- Niewierni wciąż atakują, aczkolwiek z mniejszym ferworem. Nasz nocny atak na główny obóz nieco nadwreżył ich wolę walki. A skoro w toczonych bitwach nadal giną przede wszystkim Turcy, można podejrzewać, że na tamten świat wysyła ich nasz książę.

- Ja w to wierzę - rzekła z mocą, po czym znów wróciła do wspomnień: - A ten nocny atak? Dlaczego nie zakończył się całkowitym sukcesem?

- Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Gales nadciągnął z odsieczą, tak jak było zaplanowane, a nie schował się ze swoimi ludźmi w jakiejś dziurze. Gdybym był go w jakiś sposób zatrzymał - Pokręcił bezradnie głową, obejrzał się na drzwi. - Dla tych szakali niepełny tryumf to niemal porażka

Sięgnęła ku niemu, uścisnęła mu dłoń.

- Dlatego właśnie wysłał cię tutaj. Dlatego musiałeś go posłuchać i zostawić samego. A żeby bojarzynowie się przeciwko niemu nie zbuntowali.

Tym razem to on nakrył jej dłoń swoją.

- Przysłał mnie tu także z innego powodu. - Uśmiechnął się. - Wład Drakula zna się na rządzeniu dumnymi panami. Aby ich zjednoczyć pod swoim berłem, książę potrzebuje wojny albo wesela. I popatrz, Ilono, teraz mamy i jedno, i drugie.

Wybuchnęli śmiechem. Tak, to musiał być efekt zmęczenia i długiego napięcia. Spazmy trwały przez pięć uderzeń serca, po czym skończyły się równie nagle, jak się zaczęły. Zdumiony nagłym mrokiem w jej oczach chciał przytrzymać ją za ręce, lecz mu się wyrwała.

- Wład zaplanował wasz ślub, ponieważ cię kocha - powiedział mimo to.

- Och, Ionie - zaśmiała się gorzko. - Ślub odbędzie się nie ze względu na mnie czy naszą miłość, tylko dlatego, że Wład złożył Panu Bogu pewną obietnicę. Musi jej dotrzymać, ponieważ potrzebuje Najwyższego po swojej stronie jak nigdy przedtem. W innej sytuacji nigdy by nawet nie pomyślał o tym, aby porzucić swoją świętą wojnę i poślubić córkę zwykłego szewca. - Ruchem głowy wskazała majaczącą za oknem kopułę cerkwi. - Już prędzej trzymałby ich wszystkich w ciągłej niepewności co do tego, na jaką niewiastę padnie jego wybór, pozwalając im łudzić się nadzieją, że ożeni się z którąś z ich córek czy sióstr, przybliżając jeden z wielkich rodów do tronu.

Ion wzruszył ramionami. Skoro nie okłamywał jej wcześniej, nie miał zamiaru zacząć robić tego teraz. We trójkę bardzo się starali, aby nie wplątywać jej w rozgrywkę, jaką każdy gospodar musiał toczyć ze swymi żupanami, lecz ponieśli sromotną klęskę. Ion Tremblac nie miał złudzeń: nawet jeżeli zdarzy się cud i Wład Drakula powróci do Tirgoviste, aby pojąć za żonę kobietę noszącą w łonie jego dziecko, nigdy nie uczyni jej królową. Ilona Ferenc na zawsze pozostanie tylko pionkiem.

Po raz kolejny przymknęła powieki.

- Gdyby miał się pojawić, już by tutaj był - stwierdziła. - Nie przyjedzie

Nie potrafił rozstrzygnąć, czy w jej głosie słychać skrywaną nadzieję czy nieświadomioną obawę.

- Odkąd go znam - powiedział, chcąc jej ulżyć - Wład nigdy i nigdzie nie pokazał się wcześniej, niż był oczekiwany. W najlepszym razie przybywał w sam raz na czas. - Uśmiechnął się szczerze. - To mnie zawsze doprowadzało do szału.

Ilona wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, a na jej twarzy malowała się mieszanka nadziei i obawy. Bładość jej lica nie ustępowała odcieniem bieli sukni ślubnej. Tę przedłużającą się w nieskończoność chwilę

przerwało trzykrotne uderzenie cerkiewnego dzwonu.

- Za kwadrans dwunasta - rzekła. - Muszę już iść.

- Ilono

- Nie - przerwała mu, podnosząc się z trudem na nogi. - Albo podaj mi ramię, albo zejź mi z drogi, Ion. Bo czy chcesz tego czy nie, właśnie idę powitać mojego księcia.

Ilona się zachwiała. Po raz kolejny ręka Iona przytrzymała ją i pomogła zachować równowagę.

- Przyniosę ci zydel - szepnął. - Wszyscy to zrozumieją

Nie chciała usiąść. Nie mogła. Wiedziała, że gdyby uległa, tego dnia już by się więcej nie podniosła. Drżała, że krew, która teraz ledwie się sączyła, popłynęłaby wartkim strumieniem. Że bez względu na to, ile warstw płótna chroniłoby jedwab jej białej sukni, plama przesiąkłaby na wylot, obwieszczając wszem wobec o jej wstydzie i cierpieniu.

Nie wolno jej pozwolić, aby był tego świadkiem. Nie tutaj, przed ołtarzem katedry w Tirgoviste, gdzie przyjął swoją koronę, i z pewnością nie w dzień jej ślubu.

Raz jeszcze zamknęła oczy, zaczerpnęła głęboko powietrza w próbie zahamowania kolejnej fali nudności, wdzięczna za podtrzymujące ją ramię Iona. Kiedy najgorsze minęło, znowu patrzyła prosto przed siebie, lekko mrużąc powieki przed jasnym blaskiem rozpalonych kandelabrow i pochodni, przed światłem słonecznym wpadającym przez wysokie witrażowe okna, które mieniły się wszelkimi odcieniami błękitu, czerwieni, zieleni i żółci, rzucając barwne cienie na posadzkę i jej białą suknię.

Żałowała, że nie może również zacisnąć nozdrzy, i aby sobie jakoś pomóc, oddychała niemal wyłącznie przez usta. Chociaż Biserica Domneasca była najchłodniejszym miejscem w Tirgoviste, panującą w niej temperaturę i tak trudno było znieść. Dodatkowego uprzykrzenia przyczyniali wielmoże pocący się w swych strojnych szatach i ich niewiele lepsze pod tym względem małżonki. Odór niezbyt czystego ludzkiego ciała mieszał się z mdlącymi zapachami drzewa sandałowego, mirry i lawendy, docierającymi do wiernych falami, w miarę jak duchowni poruszali kadzielnicami. W zamierzeniu woń kadzidła miała przytłumić wszechobecny smród, jednakże paradoksalnie tylko go zwiększała, czyniąc niemal niemożliwym do zniesienia.

Co jakiś czas zerknęła na Iona, jak zwykle stojącego wiernie przy niej, oraz na tych swoich krewnych, którym udało się przyjechać z Curtei de

Arges. Jej wujowie i kuzyni, niegdyś rzemieślnicy, a obecnie urzędnicy wyniesieni do ważnych funkcji przez samego księcia, pocili się najbardziej ze wszystkich, jako że nie byli przyzwyczajeni do tak bogatych strojów.

Żupani i bojarzynowie stali dalej za nimi, zbici w grupki, unikając jej spojrzenia jak ognia. Błądzili oczyma wszędzie, tylko nie wokół niej, gdyż jeszcze przez przypadek ich wzrok by się spotkał i poczuliby się urażeni tym, że patrzy im w twarz kobieta niskiego stanu.

Ależ oni mnie nie lubią! - pomyślała ze zdumieniem. Nie zrobiła w swym życiu niczego, co mogłoby ich obrazić albo im zagrozić: nie pożądała ich pozycji ani bogactwa, nie życzyła im źle.

Po prostu chciała, aby zostawili ją w spokoju, by mogła czekać i cieszyć się na te rzadkie chwile, kiedy jej ukochany ściągał z pola bitwy i szukał ukojenia w jej ramionach. O dziwo, w którymś momencie jeden z nich spojrzał na nią. Turcul, drugi co do ważności człowiek w księstwie. Jego brat, Gales, który powrócił z wojny, niosąc najgorsze wieści z możliwych, nie był obecny. Zdradził swego księcia podczas walk w obozie sułtana i Drakula bez wątpienia zabiłby go przy pierwszej okazji, nawet podczas własnego wesela. Mimo to Wład nadal potrzebował poparcia bojarzynów i najpotężniejszego z nich wszystkich - Turcula. A ów darzył ją szczerą nienawiścią i nie miało znaczenia, że oddał jej na służbę swoją córkę Elisabetę, która właśnie stała u jego boku, szepcząc mu coś do owłosionego ucha. Jak gdyby poczuła na sobie spojrzenie Ilony, omiotła ją spojrzeniem, patrząc jednak nie na twarz, tylko niżej.

Pomimo wszechogarniającego upału Ilonę przeszył mróz. Poczuła kolejną falę krwi, jak gdyby spowodowaną przez ich nienawistne poszeptywania i złe spojrzenia. Jeszcze mocniej wsparła się na ramieniu Iona, przymykając oczy przed natrętnymi tęczowymi odblaskami.

Może jednak się nie zjawi - myślała. - Słodki Jezu, niech się nie zjawi. Matko Boża, Święta Mario, spraw, aby Wład Drakula dziś tu nie przyjechał.

Jej modlitwa nie została wysłuchana.

Ilona nie umiałaby powiedzieć, który dźwięk usłyszała pierwszy: bicie wielkiego dzwonu ogłaszającego nastanie południa czy stukot podków jego wierzchowca na bruku. Przez dłuższą chwilę przeplatały się, cichszy i głośniejszy odgłos uderzania metalu, aż wreszcie jeden z nich ucichł, pozwalając bez zakłóceń wybrzmieć ostatniemu, dwunastemu uderzeniu dzwonu na kościelnej wieży.

Kiedy echo wciąż jeszcze odbijało się od kamiennych murów katedry,

uszu zebranych doszło trzykrotne uderzenie metalu o drewno. Jak gdyby ktoś przykładał rękojeść miecza do kościelnych wrót. Popi zakrzętnęli się i zadzierając duchowne sukienki, pośpieszyli ku drzwiom. Rychło podwójne wierzeje stały otworem.

Ciężko oparł się o wrota, zanim do nich zastukał. Tuzin stopni, które wcześniej musiał pokonać, tak go osłabił, że sięgnięcie po miecz zdawało się ponad jego siły. Chyba że miałyby go użyć, aby zabijać. Tylko wówczas czuł się prawdziwie żywy - gdy niewierni wpadali pod jego odsłonięte ostrze. Reszta życia stanowiła zaledwie sen, przez który przedzierał się z mozołem.

Kiedy ostatnio spał? Nie potrafił sobie przypomnieć, nie pamiętał nawet, jak się śpi. Jeśli zmęczenie brało nad nim górę, przymykał powieki, lecz to nie wystarczało. Przed oczyma nadal miał jasność, a oni nie chcieli odejść.

Kalafat, jego ukochana klacz, która opadała na kolana powoli, bardzo powoli, dając mu czas, aby zsunął się z jej grzbietu, zanim przewróci się na bok i wierzgając po raz ostatni, umrze. Hamza przywiązany do siodła, ciągniony w pyłe zakurzonego traktu. Najczęściej jednak dwaj mężczyźni: Mehmed znajdujący się tak blisko, że Władowi wciąż się zdawało, że czuje bijący odeń zapach imbiru i piżma, oraz Radu, piękny Radu, którego urodziwą twarz wykrzywiała teraz nienawiść. Radu opuszczający nań miecz z wysoka i

Ilekróć Drakula otwierał oczy, widział krew, prawdziwą, swoją. Rana po odciętym palcu nie chciała się zasklepić. Radzono mu oszczędzać lewą dłoń, lecz on mógł tylko wyśmiać takie rady. Zabijał Smoczym Szponem, a żeby go utrzymać, potrzebował obu rąk.

Wszelako to nie krew jego ani innych dręczyła go najbardziej. Nawet nie cios najokrutniejszy ze wszystkich, zadany bratu przez brata. Uporczywie powracała doń scena na moment przed tym, jak Radu podniósł na niego miecz. Mehmed Zdobywca stał na wyciągnięcie ręki, żywy dowód na to, że losy ich trójki splotły się w tym właśnie miejscu. Wład mógł w końcu przestać mówić o swoim przeznaczeniu i nareszcie je wypełnić. A jednak zamiast rzucić się w przód, ciąć ostrzem i zabić, zamarł bez ruchu. Uderzył za niego kto inny.

W dalszym ciągu walczył i zabijał, lecz teraz śmierć innych nie dawała mu już ukojenia, teraz szukał własnej zguby. A jego kismet odmawiał mu nawet tego.

Otwierając z wysiłkiem oczy, Wład przeniósł się w czasie i przestrzeni od tamtej bolesnej chwili do dębowych wrót katedry w Tirgoviste. Usłyszał

parsknięcie za sobą, obejrzał się na wpeł przytomnie i spostrzegł, że jego witeziowie stoją tuż za nim, trzymając wierzchowce za uzdy, i spoglądają nań z niepokojem. Stoica, który jakimś cudem przeżył walkę i pożar w sułtańskim namiocie i dołączył do niego później, Czarny Ilie i reszta. Pozostało ich tylko dwudziestu, a każdy był równie znużony jak książę, miał tak samo powgniataną od uderzeń zbroję i twarz umorusaną krwią.

Popatrzył im kolejno w oczy, szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego się tutaj znalazł. Czyżby zabrakło już Turków do wyrżnięcia? Co jest po drugiej stronie drzwi?

I nagle wszystko do niego wróciło. Przypomniał sobie, że przybył tu na ślub. Swój ślub.

Ponieważ pośród niezliczonych małych zrad spotkała go zdrada największa.

Jego gwiazda go okłamała. A on złożył Panu Bogu przyrzeczenie.

Poprawiając Smoczy Szpon w dłoni, wszedł do środka.

W prześwicie wrót oczom zebranych ukazała się podświetlona od tyłu sylwetka mężczyzny dzierżącego miecz.

Oto on. Drakula. Jej książę.

Niewysoki, lecz dość krępy i umięśniony, a w dodatku zakuty w wytłaczaną zbroję, jawił się gigantem na progu katedry.

Jej serce - jak zawsze gdy widzieli się po długiej rozłące - zaczęło bić żywiej, a oddech przyśpieszył. I jak zwykle przypomniła sobie ich pierwsze spotkanie, kiedy opromieniało go jasne tureckie słońce, a ona patrzyła nań poprzez filigranową kratownicę palankinu. I późniejsze, gdy spoglądała na niego poprzez zasłonę z dźwięczących i połyskujących monet tuż przed tym, zanim ją ocalił. Wreszcie przed oczami stanęło jej pożegnanie w porcie, kiedy to jedno przeciągłe spojrzenie wyznaczyło dalszy kurs jej życia. Jej kismet, jak on to nazywał.

Za nim kroczyli jego ludzie. Wszyscy pokłonili się niezgrabnie figurze Jezusa Chrystusa i przeżegnali szybko, po czym rozproszyli w tylnych ławach. W świątyni panowała głucha cisza dopóty, dopóki Drakula z szelestem nie schował miecza do pochwy i nie zaczął posuwać się wzdłuż nawy ku ołtarzowi. Szedł wolno, patrząc prosto przed siebie, nie zwracał uwagi na prężących się po obu stronach bojarzynów i ludzi ostatnich stanów.

Im był bliżej, tym wyraźniej widziała zmęczenie na jego twarzy. Ciemne sińce pod oczami odcinały się od jego nienaturalnie bladej skóry, podobne

raczej zakurzonemu metalowi zbroi, która ochraniała jego ciało. Poczula, jak Ion ściska ją za rękę, a kiedy spojrzała na niego, zobaczyła, iż uśmiecha się z radości, że jego książe żyje. Cieszyła się, że to on poprowadzi ją do ołtarza i odda małżonkowi, wypełniając rolę ojca, którego nie miała. W istocie trzymała się jeszcze na nogach wyłącznie dzięki ramieniu jedyne go przyjaciela i jedynej miłości. Tylko dziesięć kroków dzieliło go od niej. Kiedy pokona ten ostatni odcinek, stanie u jej boku i

Drakula zatrzymał się. Pomiedzy Iloną i jej ukochanym wyrósł bowiem jeden z żupanów. - Jesteś, wojewodo - powiedział gromko Turcul. - Nie sądziliśmy, że cię tutaj zobaczymy.

Wład zbierał się przez chwilę do odpowiedzi, a kiedy wreszcie się odezwał, głos miał cichy i przytłumiony zmęczeniem i podróżnym pyłem oblepiającym mu gardło.

- Czy mężczyzna nie powinien się zjawić na własnym ślubie? - Swoje słowa kierował do Turcula, lecz oczy, te zielone przenikliwe oczy zwracał na nią i na nikogo innego.

- Pytanie brzmi raczej: czy taki ślub w ogóle powinien się odbyć? Czy właśnie z nią? - Z ostatniego słowa przebijała cała pogarda, którą miał dla Ilony.

We wpatrzonych w nią oczach zaszła zmiana. Wypełzył z nich chłód, który przegonił wcześniejszy żar, i Ilona po raz pierwszy i ostatni w życiu poczuła dla żupana współczucie.

- Czy z nią? - powtórzył jak echo Wład, a zmęczenie nagle zniknęło z jego głosu. - Oczywiście. Z kimże by innym?

Turcul przełknął nerwowo. Był najznacniejszym wielmożą w księstwie, potęgą ustępującym jedynie Drakuli, lecz pomimo wszystko był tylko drugi.

- Mości książe - wymamrotał. - Chodzi mi wyłącznie o twój honor.

- Gdybyż to była prawda - rzekł z westchnieniem Wład. Nadal mówił cicho, choć odkąd wszyscy obecni wstrzymali oddech, jego słowa niosły się dobrze aż do najdalszych zakątków katedry. - Dlatego lepiej mów uczciwie, co ci leży na wątrobie.

Żupan się zawahał. Posunął się już jednak za daleko, aby teraz mógł się wycofać. Dopiero widząc desperację wielmoży i to, jak wielkie ryzyko jest skłonny podjąć, Ilona uświadomiła sobie grożące jej niebezpieczeństwo i zadrzała mimo oblepiającego upału.

- Przywiodła cię tutaj na fałszywej podstawie, mości książe. Chcąc przymusić do małżeństwa.

- Przymusić mnie? Mnie nikt nie jest w stanie do niczego przymusić! - Głos nagle przeszedł w krzyk. - Nikt!

- Niemniej - Turcul nie dokończył, gdyż przed oczami coś mu zawirowało, coś przesłoniło na moment tańczące promienie światła, i poczuł na krtani zaciśniętą dłoń obleczoną w rycerską rękawicę. Mimo że był o głowę wyższy od Włada, ów patrzył teraz nań z góry, przyginając przeciwnika twardo do ziemi.

Wśród wielmożów zapanowało poruszenie. Każdy miał u pasa miecz, żaden wszakże nie sięgnął po niego. Być może powstrzymał ich szelest wyciąganych z kołczanów strzał i dźwięczenie naprężanych cięciw. Głos ponownie obniżył się do szeptu.

- Mów uczciwie, o co ci chodzi.

Z gardła Turcula dobył się charkot. Palce się rozluźniły, pozwalając na sformułowanie zrozumiałych słów.

- Okłamała cię, mości książę. Nie spodziewa się twego dziecka.

- Okłamała? - powtórzył z niedowierzaniem, a echo zwielokrotniło znaczenie tego słowa. - Ilona nie kłamie - stwierdził z mocą. Rozejrzał się po zebranych. - Ona jedna nie - nie - zająknął się, bezwiednie postąpił krok naprzód, wypuszczając z uścisku szyję Turcula.

- Zatem zapytaj ją, mości książę! - zaświszcział żupan z poziomu posadzki. - Zapytaj

Kiedy Drakula powrócił spojrzeniem do niej, ujrzał w jego oczach mrok, jakim obdarzał innych, lecz nigdy ją. Nie ją... Poczula, że uchodzi z niej całe powietrze, jakby nagle zapomniała, jak się odдыcha.

- Jedno słowo, Ilono. Zakończmy to jednym słowem - mówił głuchym szeptem. - Czy nosisz w łonie moje dziecko?

Wtedy niemal zemdląła - z powodu obezwładniającego gorąca, nagłego upływu krwi, przerażająco ciemnych oczu, których z niej nie spuszczał.

- Mój książę - zaczęła.

- Odpowiadaj! - krzyknął. - Pytałem, czy nosisz w łonie moje dziecko?

Odpowiedzią była pustka, którą od dawna w sobie czuła, pogardliwe spojrzenie córki Turcula, przesiąknięte na wskroś płótno pomiędzy jej udami, ledwie zauważalny ruch palców Iona na jej ramieniu. W jednej chwili znajdowała się pośród rozświetlonych tęczą drobinek kurzu unoszących się w powietrzu, w drugiej już osuwała się w ciemność. Nie mogła sobie wszakże pozwolić na to, aby stracić przytomność. Jeszcze nie teraz. Najpierw musiała udzielić mu odpowiedzi. Żądał od niej jednego słowa, a ona zawsze go

słuchała.

- Nie.

Słowo zawisło pomiędzy nimi niczym kolejna drobina kurzu na promieniu słońca. I wszyscy zobaczyli, jaki efekt wywarło na księciu: jak skurczył się w sobie, zapadając w głąb zbroi, jakby nagle jego ciało zaczęło unikać dotyku zimnego metalu.

- Nie - powtórzył, po czym przymykając powieki, dodał: - Kolejne kłamstwo

Tymczasem Turcul podniósł się na nogi i dołączył do pozostałych bojarzynów, którzy otoczyli go ochronnym pierścieniem. Spoza tarczy ich ciał zapytał:

- I co zamierzasz teraz zrobić, mości Drakulo? Zamykająca się wokół niej ciemność ustąpiła.

„Mości Drakulo?! - chciała krzyknąć. - „Wład jest twoim księciem! Wiedziała jednak dokładnie, co Turcul właśnie zrobił. Przypomniał Drakuli, iż jest tylko primus inter pares - pierwszym pomiędzy równymi sobie - i że swą koronę zawdzięcza ich poparciu.

- Co zamierzam zrobić? - Do głosu księcia powróciło znużenie, widoczne także w spojrzeniu i postawie. - Pytasz mnie o to teraz, kiedy Turcy są zaledwie o dzień drogi od Tirgoviste? - Przez grupkę wielmożów przeszedł szmer. - Pytasz mnie ty, który w tej właśnie chwili powinienes zbierać swoich ludzi, wkładać zbroję i ruszać za mną do boju?

Nieoczekiwanie zamiast Turcula odezwał się inny z bojarzynów.

- Jak mamy stanąć za kimś, kto pozwala ujść płazem takiej zdradzie? Kto nie uczyni tego, co w takiej sytuacji należy uczynić? - Do jego słów dołączył się chór głosów tych, którzy odważni byli tylko w grupie, jeśli mogli pozostać anonimowi.

Uciszył ich wszystkich jednym podniesieniem pięści. Zobaczyła wtedy, że nawet w rękawicy mały palec lewej dłoni odstaje nienaturalnie od pozostałych, a kraniec grubej skóry nabijanej płytkami metalu w tym miejscu rudzieje od skrzepniętej krwi. Milczenie się przeciągało, aż w końcu Wład przemówił:

- Co w takiej sytuacji należy uczynić - powtórzył zmęczonym do granic głosem. W jego ustach nie było to jednak pytanie.

I nagle Drakula skoczył przed siebie i tak szybko, jak wcześniej pochwycił za gardło Turcula, ucałił Ilonę za ramię.

- Nie! - Ion przestał ją podtrzymywać, stanął pomiędzy człowiekiem w

czarnej zbroi i kobietą w białej sukni. - Książę! Władzie! Nie! Ona

Ta sama ręka, która wcześniej miażdżyła tchawicę żupana, teraz wylądowała zaciśnięta w pięść na twarzy rycerza. Odrzuciło go do tyłu, opadł na kamienną posadzkę jak kupa szmat. Wówczas Wład już bez przeszkód schwycił Ilonę mocniej i pociągnął ją przez portal tęczowy pod sam ołtarz, gdzie cisnął ją na ziemię. Nikt nie odważył się przekroczyć granicy pomiędzy świecką i duchowną częścią cerkwi - ani Turcul i inni bojarzynowie, ani nawet metropolita, którego domena to była. Wszyscy pozostali poza prezbiterium.

Przez moment Drakula przypatrywał się krucyfiksowi nad ołtarzem i przybitej do niego figurze umęczonego Zbawiciela. Przez moment zdawało się, że się waha. Potem zamknął oczy i dobył sztyletu o cienkim ostrzu i rękojeści ozdobionej głową smoka. Broń ta, choć mniej okazała, w niczym nie ustępowała słynnemu Smoczemu Szponowi, pogromcy zdrajców i niewiernych. Unosząc go wysoko nad głowę, tak że sztylet zdawał się stanowić zawieszony w powietrzu cień Krzyża, wrzasnął:

- Moloch!!

Okrzyk poniósł się aż pod sklepienie katedry i odbijał echem od mozaikowych kamiennych ścian i kolumn. Wielmoże jęli się tłoczyć przy łuku tęczowym, inni zgromadzeni w nawie, a Ion - plując krwią i zębami - podnosił się z miejsca, w które posłał go cios księcia. Nie było w świątyni człowieka, który nie wiedziałby, co oznacza to miano.

Kanaan i jego bóstwo łaknące całopalnej ofiary z żywych dzieci

Poświęcenie tego, co dla każdego człowieka najważniejsze

Ręka ze sztyletem opadła. Ostrze zagłębiło się nie w ciało - jeszcze nie - tylko w białą materię sukni, rozcinając ją od dekoltu do rąbka. Jedwab rozchylił się na boki niczym okładki otwieranej Biblii.

Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że mogłaby pocałować go w usta. Leżała tam jednak w bezruchu, ani myśląc się przeciwstawiać, bronić czy błagać o litość, zmrożona do szpiku przez chłód i mrok w oczach mężczyzny, którego kochała. Było w nich coś jeszcze, coś, czego nie widziała nigdy przedtem, nawet gdy patrzył na kogoś innego. Było, a może raczej czegoś n i e było. W oczach księcia Drakuli brakowało bowiem życia.

Pochyliwszy się tak nisko, że tylko ona mogła go usłyszeć, wyszeptał zmartwiałymi wargami:

- Nie drgnij nawet o włos!

Uderzenie serca później zatopił sztylet w jej piersi.

38. SAMOTNA ŁZA

Twierdza Poenari, 1481 rok

- Dość! Powiadam: dość! - zakrzyknął Petru, podrywając się na nogi.

Okrzyk spatara sprawił, że hrabia Peczu nagle przeniósł się w czasie i przestrzeni do twierdzy Poenari i ponownie zobaczył trzy przesłonięte słuchalnice, z których dobywała się opowieść. Przez jakiś czas bowiem dawał się ponieść słowom tej ostatniej spowiedzi Drakuli, przedstawianej przez troje ludzi, którzy znali go najlepiej. Zapomniał nawet, dlaczego musi wysłuchiwać tych wszystkich okropieństw, aż w końcu ostatnie okazało się zbyt trudne do zniesienia dla młodego dowódcy twierdzy, który - jak sobie teraz Horvathy przypomniał - miał brzemienną żonę w komnatach na górze oczekującą przyjścia na świat pierwszego dziecka.

- Spokojnie - rzekł, powstając z miejsca i podchodząc do młodego mężczyzny, aby ująć go pod ramię. Ten niespodziewany dotyk przywołał spatara do porządku, lecz Horvathy pod palcami czuł, ile rycerza kosztuje wymuszone milczenie. - Podzielamy twoje oburzenie i niesmak - zapewnił drżącego na całym ciele Petru. - Wszakże zgromadziliśmy się tutaj nie po to, aby okazywać swoje uczucia, tylko by wysłuchać i rozważyć historię życia człowieka, którego potem przyjdzie nam osądzić. Czyż nie tak?

Chociaż Horvathy zwracał się bezpośrednio do spatara, w rzeczywistości kierował swe słowa do drugiego z mężczyzn, tego, który dotąd nawet nie drgnął. Albowiem właśnie kardynał Grimani, legat papieski, miał wydać ostateczny werdykt i na koniec pomóc papieżowi podjąć decyzję o tym, jaki obraz rycerza Chrystusa w osobie Drakuli ma się wyłonić z tego procesu i czy Zakon Smoka będzie mógł powrócić z niebytu z podniesioną głową, aby zjednoczyć całe Bałkany pod swoim sztandarem przeciwko niewiernym. Tylko w takim wypadku - gdyby grzechy Włada Drakuli zostały odpuszczone - Horvathy byłby w stanie wybaczyć samemu sobie.

Hrabia obrócił się teraz jawnie ku kardynałowi i tak jak czynił wielokrotnie wcześniej w miarę rozwijania się opowieści, raz jeszcze spróbował odczytać coś z wyrazu twarzy hierarchy. I tak samo jak zawsze

dotąd napotkał obojętne oblicze Italczyka. Mimo że roztoczono przed nimi piekielne wizje, ze świętokradztwem na czele, nic z tego nie zdołało wywołać żywszej reakcji Grimaniego. Siedział rozparty wygodnie w krześle, z wargami ułożonymi tak, iż można go było podejrzewać o lekki uśmiech. Powieki mu opadały, jakby zaraz miał zapaść w sen, a mimo to oczy nic nie straciły na blasku i przenikliwości, bystro śledząc wszystko, co się działo w wielkiej sali.

- Wysłuchać i rozważyć?! - krzyknął Petru, wrywając się z uścisku. - A nad czym się tu zastanawiać? Wyrok może być tylko jeden! Ten człowiek był diabłem wcielonym, nie Synem Diabła, jak go zwano! Uczynić coś takiego na ołtarzu, pod Świętym Krzyżem, to bluźnierstwo w najczystszej postaci

- Być może. - Ciche słowa kardynała wywołały większe zdziwienie niż wcześniejsze egzaltowane krzyki młodzika.

- Być może? - wypluł z siebie Petru. - Masz jeszcze wątpliwości, eminencjo? Będąc sługą Bożym?

- To prawda - pokiwał głową duchowny - że służę Bogu, ale jestem również rycerzem Chrystusa. Wiem, co to znaczy mieć Turków za bramą, nigdy jednak nie znalazłem się w sytuacji, kiedy groziło, iż przekroczą mój próg.

Petru spurpurowiał na twarzy z oburzenia.

- Nazywacie to bluźnierstwo koniecznością w imię racji stanu? Odwrócił się ku Horvathemu. - Mości hrabio, odwołuję się do twego zdrowego rozsądku

Hrabia Peczu tymczasem przyglądał się hierarsze i czuł, jak nabrzmiewa w nim nadzieja.

- Jak już powiedziałem, podzielam twój wstręt do podobnego postępu, ale nie mogę też odmówić racji jego eminencji. Postaw się przez chwilę na miejscu Drakuli. Widziałeś kiedy, co się dzieje w mieście zajęтым przez Turków? To jedno bluźnierstwo utonęłoby w tysiącu innych, znacznie bardziej obscenicznych i okrutnych.

- To niczego nie usprawiedliwia

Horvathy podniósł dłoń, przerywając zaciętrzewionemu młodzikowi.

- Spatarze, książę Drakula był człowiekiem czynu. W tamtej chwili najbardziej potrzebował tego, aby bojarzynowie stanęli za nim murem. Ludzie rzadko kiedy słuchają swego władcy z miłości, nawet bojaźni Bożej - Przymknął jedyne oko. - Nadzwyczaj często zaś robią to ze zwykłego strachu.

- Czy coś nam nie umyka w tych górnolotnych dysputach, moi panowie?
- włączył się znów Grimani. Pozyskawszy uwagę obu mężczyzn, kontynuował: - W wielu rejonach Italii raz do roku obchodzimy fete desfous, święto głupców. Miejscowi szaleńcy uzyskują tego dnia prawo do zachowywania się tak, jak każe im natura. Czy ten wygodny zwyczaj nie sięgnął i pewnych obszarów Wołoszczyzny? Dlaczego nie przyjąć, że Drakula był zwyczajnie szalony wtedy przynajmniej i nie przykładać doń innej miary?

Jakkolwiek skołowany, Petru obstawał przy swoim.

- Raz człowiek czynu, kiedy indziej znów szaleniec - Pokręcił głową. - To niezbyt prawdopodobne połączenie cech.

- Wręcz przeciwnie, młodzieńcze - sparował Grimani ze śmiechem. - Większość książąt Italii przejawia tę niekonsekwencję, gdy idzie o ich charakter - Spowaźniał nagle. - Zastanawia mnie jednak co innego Podobnie jak większość jego czynów, i ten doczekał się wielu wersji przekazywanych z ust do ust przez dekadę. Ja słyszałem o zamordowaniu kochanki, a tu proszę, ona siedzi teraz z nami i opowiada nam, co ją spotkało. Czy mamy dać jej wiarę? - Wpatrzył się w środkowy konfesjonał, a za nim wszyscy pozostali.

Skryta za zasłoną Ilona nie przysłuchiwała się wymianie zdań sędziów, tylko chłonęła ciche dźwięki spadających łez po jej prawej stronie. Płacz Iona przypominał jej o jej własnej rozpacz. Tamtego dnia - z powodu bólu i smutku - oraz później przy dwu okazjach. Gdy doszedłszy do siebie, udała się do klasztoru i tam uprzytomniła sobie, co dokładnie uczynił jej ukochany, i że już nigdy, przenigdy nie będzie go mogła zobaczyć. I gdy się okazało, iż pomyliła się co do tego ostatniego i jednak się z nim spotkała. Przynajmniej w pewnym sensie Wszelako pytanie kardynała przebiło się do jej świadomości, a że tylko ona umiała na nie odpowiedzieć, rzekła cicho:

- Prawdą jest, że naciął mi skórę na piersiach, od brodawki do brodawki, a potem dopełnił dzieła, rysując ostrzem drugie ramię krucyfiksu, zaczynając na gardle, a kończąc na łonie.

- Po dwakroć bluźnierstwo! - zawył Petru, dopadając do środkowej słuchalnicy z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby w ten sposób mógł powstrzymać dobiegające z wnętrza słowa. - Dosyć tego! Cóż jeszcze trzeba nam wiedzieć?

- Tylko to - mówiła dalej Ilona, a jej głos nabierał mocy, gdyż to, co zaraz miała im powiedzieć, pozwoliło jej przetrwać najgorszy mrok jej

wszystkich kolejnych nocy - że kiedy przebijał moje ciało tutaj - dotknęła za zasłoną prawej piersi - i tutaj - jej ręka powędrowała do lewej - a także tu i tu - dopełniła świętokradczego znaku krzyża - ból, który mi tym zadał, był niewyobrażalny - westchnęła - a mimo to najbardziej ucierpiałam nie od jego sztyletu, lecz od samotnej łzy, którą na mnie uronił. Był to jedyny raz, kiedy widziałam go płaczącego.

Zamilkła, ucichł też chrobot gęsih piór po pergaminie i zaległa absolutna cisza, jeśli nie liczyć cichego posykiwania palących się łuczyw. Po paru chwilach Ilona podjęła szeptem, tak że wszyscy obecni mimowolnie nachylili się ku niej, aby nie przegapić żadnego jej słowa.

- Wcześniej nazywał mnie swoim sanktuarium, a wtedy tą jedną łzą wyraził więcej niż we wszystkich słowach pożegnania. Żegnał się nie tyle ze mną, ile ze spokojem, jaki mu dawałam, jedynym, jaki znał

- Przebaczasz mu?

- Czyż nie tego oczekuje po nas Pan Bóg, eminencjo?

- Ale przebaczyć coś takiego to

Co jeszcze mam im powiedzieć, aby zrozumieli? - zastanawiała się Ilona.

- Czy nie jest to wystarczająco oczywiste?

- Kochałam go - rzekła po prostu - i nadal Kocham.

- To niemożliwe - wyszeptał Petru. - Nikt, kto by otrzymał takie rany, nie zdołałby przeżyć. Odpowiedział mu inny głos, nabrzmiały od smutku, a dochodzący z konfesjonału rycerza.

- Tylko on potrafił zadać takie rany i pozwolić ofierze przeżyć - powiedział i zaraz przypomniał: - Wbrew własnej woli zgłębiał tajniki sztuki katów w twierdzy Tokat. Jak mało kto znał granicę pomiędzy życiem i śmiercią. Większość swojej egzystencji przeżył zawieszony pomiędzy nimi. Niech Bóg mi wybaczy, że mu w tym pomagałem

Tym razem cisza zapadła na znacznie dłużej, a krzyk, który ją rozdarł, pochodził nie z wnętrza zamku, lecz spoza jego murów.

Kto mógł, zadarł głowę na pisk sokoła i niemal od razu zmrużył oczy, mimo że przez półprzezroczystą, nasączoną pszczelim woskiem tkaninę zakrywającą wysoki wąski otwór strzelniczy przenikało zaledwie słabe światło.

Przysłuchiwali się spowiedzi świadków przez półtora dnia, a mimo to nikt nie czuł się zmęczony. Petru, tłumiąc odrazę, wydał służbie rozkazy, by zaspokojono potrzeby świadków i skrybów, po czym gestem zaprosił sędziów do stołu.

Horvathy pierwszy przemierzył komnatę, żeby nalać sobie wina, umoczył usta w rubinowym trunku. Stojąc odwrócony do sali stroną, po której miał pusty oczodół, nie zorientował się, że dołączył doń Grimani w butach na miękkiej podeszwie. Kardynał przez krótką chwilę przyglądał się okaleczonej twarzy hrabi Peczu, po czym odezwał się cicho:

- Zanim podejmiemy przesłuchanie, jest coś, o co chciałbym cię zapytać, mości hrabio.

Horvathy pokrył zaskoczenie obojętną maską, po czym upiwszy kolejny łyk, rzekł:

- Proszę pytać, eminencjo.

Kardynał obejrzał się przez ramię. W pobliżu nie było nikogo, mimo to ściszył głos do szeptu, mówiąc:

- Nie czyniłeś tajemnicy z tego, iż zależy ci, aby Zakon Smoka odzyskał dobre imię. W twojej ocenie taki wyrok wydatnie by się przysłużył naszej sprawie, a może nawet zdecydował o losach zbliżającej się krucjaty. Powiadasz, że tylko pod smoczym sztandarem książe Bałkanów zjednoczą się w obliczu zagrożenia ze strony Turków. Nie wykluczam, że masz rację i że o nic więcej nie chodzi - Nachylił się ku hrabi i ciągnął: - Lecz w twym zachowaniu, w tym, co mówisz i jak mówisz, a może przede wszystkim w tym, co zatrzymujesz dla siebie i dlaczego w ogóle masz przed nami tajemnice, widzę, że coś cię gnębi

Horvathy milczał.

- Widzę w tobie usilne pragnienie dotyczące czegoś o wiele bardziej poważnego aniżeli przywrócenie zakonowi rycerskiemu czci i honoru. Może nawet przekraczające twą miłość do Stwórcy? Co więcej, owo pragnienie wyrasta z wielkiego cierpienia. - Wyciągnął rękę i lekko uściśnął hrabię. - Nie powiesz mi chyba, że się mylę?

Jedyne oko Horvathyego, odbijające krwisty blask płonących łuczyw, skierowane było teraz wprost na kardynała.

- Być może nie

Grimani położył dłoń na ramieniu młodszego mężczyzny.

- Synu, nie zapominaj, że jestem nie tylko sędzią, ale i kapłanem. Ty zaś należysz do Świętego Kościoła Rzymskiego. - Jego głos opływał miodem. - Może więc powinienem wysłuchać twojej spowiedzi, zanim przystąpimy do dalszej części procesu? Wyrzucenie z siebie tego, co cię trapi, ulżyłoby twojej duszy. - Delikatnym ruchem brody wskazał słuchalnice. - Wyprosimy wszystkich z komnaty, zajmiemy jeden z konfesjonałów - Nie będziemy

niczego spisywać, tylko rozmawiać jak sługa Boży z wiernym

Horvathy oswobodził się z uścisku.

- Przemówię, kiedy nadejdzie czas. Otwarcie. Nie będzie tego wiele, ale zechcę, aby moje słowa zostały spisane dla potomnych. Żeby wszyscy: ci ludzie, ty, eminencjo, i Ojciec Święty, mogli oszacować moje grzechy.

- Dobrze. - Głos Grimaniego zauważalnie stwardniał. - W takim razie, na litościwego Chrystusa, im prędzej wrócimy do naszego zajęcia, tym lepiej. Od takiego siedzenia przybywa mi czyraków na tylnej części ciała.

Hrabia Peczu skinął głową i upił ostatni łyk wina, nim odstawił kielich na stół. Następnie różnym krokiem ruszył w stronę podwyższenia, a kardynał niezdarnie podreptał za nim. Uśmiech błakający się wciąż w kącikach jego ust zniknął, kiedy hierarcha z ciężkim westchnieniem mościł się z powrotem na twardym krześle.

Horvathy odczekał, aż Petru zajął swoje miejsce, po czym przemówił:

- Kto zatem podejmie opowieść? Najmłodszy z naszego grona wyraził chyba dość jasno opinię nas wszystkich: to o czym przed chwilą była mowa, stanowi na równi bluźnierstwo przeciw Najwyższemu i okrucieństwo wobec bliźniego. Czy nasze uszy czeka jeszcze coś straszniejszego czy też było to najgorsze, co mogliśmy usłyszeć?

Rozległ się głos słyszany w wielkiej sali najrzadziej ze wszystkich trzech.

- Bynajmniej nie usłyszeliście najgorszego, mości hrabio - oznajmił pustelnik. - Najgorsze bowiem jest dopiero przed nami

Jednooki hrabia skinął głową przyzwalająco, usiadł i polecił: - Mów.

- Taki mam właśnie zamiar

39. UCZTA WESELNA

Skończywszy zadawać rany Ilonie, Wład wyprostował się, zerwał z ołtarza biały obrus i narzucił go na jej ciało. Krew momentalnie przesiąknęła przez ciekłą tkaninę, rysując na zdobionej złotem materii wypaczony krucyfiks. Przez parę uderzeń serca wpatrywał się, jak czerwone linie nabierają intensywności, po czym odwrócił się gwałtownie, wciąż z odsłoniętym sztyletem w ręku, i spojrzał wprost w twarze przerażonych bojarzynów spoglądających nań przez portal tęczowy.

- Do mnie! - zakrzyknął jak na polu bitwy i wielmoże zostali odepchnięci na boki, gdy dwie dziesiątki przybocznych wpadło do prezbiterium.

Drakula pochylił się do ucha niemowy i przez chwilę coś szeptał. Stoica skinął głową, schylił się i bez najmniejszego wysiłku podniósł ciało okryte czerwono-białym całunem, po czym ostrożnie skierował się do zakrystii. Wład tymczasem rozglądał się już po zebranych.

- No więc? - zawołał. - Zdaje się, że miał tu się odbyć jakiś ślub!

Dwie setki par przerażonych oczu wpatrzyło się weń z niedowierzaniem. Nie wszyscy widzieli, co zrobił, lecz nie było w katedrze człowieka, który nie słyszałby krzyków, nie dostrzegłby nagłej bledności twarzy świadków stojących najbliżej ołtarza, nie poczułby ostrej woni wymiotów tych o najsłabszych żołądkach.

- Dalej! - ryknął, posuwając się do przodu. - Potrzeba mi panny młodej! Czy nie tego pragnęliście wszyscy? Chcieliście, abym pojął za żonę jedną z waszych córek. No więc teraz jestem gotów to uczynić. - Rozłożył szeroko ramiona, śmiejąc się szaleńczo. - Która mnie zechce? Wszystkie panny na wydaniu umknęły wzrokiem, to samo zrobili ich ojcowie i matki. Nie było w katedrze człowieka, który miałby odwagę spojrzeć księciu w oczy.

- Może ty, pani? - Wład już zstąpił w kierunku nawy i wskazywał skrwawionym ostrzem sztyletu jedną z niewiast. - A, nie Ty już masz męża. Zdaje się, że to on się kryje za twoimi plecami. Chociaż Przecież mogę najpierw uczynić cię wdową, a dopiero potem pojąć za żonę! Spuszczasz oczy na ziemię z nieśmiałości na myśl o poślubieniu swojego księcia? Cóż, może i masz rację - Teraz kroczył nawą, rzucając spojrzenia na boki. - Może więc ty? Nie, jesteś za stara. Mnie potrzeba synów, żeby

ród Drakulów władał Wołoszczyzną po wsze czasy. A ty? - Córka bojarzyna rozkrzyczała się wniebogłosy i schowała twarz na piersi ojca. - E, też nie. Na co mi taka młódka? Mam pewne przyzwyczajenia, a szkoda mi czasu, aby cię wszystkiego uczyć. Zatrzymał się i okręcił w miejscu, aż jego wzrok padł na jednego z żupanów.

- Turculu, można chyba powiedzieć, że dostałeś, co chciałeś, nie? Nie poślubiłem swojej kochanki. Zapewne napawa cię to ogromnym szczęściem. Czy jest jakiś sposób, abym uczynił cię jeszcze szczęśliwszym? - Ruszył wolnym krokiem w stronę najpotężniejszego z bojarzynów. - A któż to tam chowa się za tobą? Czyżby to była - zwinnym ruchem okrążył zwałistego mężczyznę - Elisabeta?! Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy! Dama do towarzystwa Ilony, nienawidząca jej z całej duszy. Doskonała partia! - Złapał dziewczynę za ramię, pociągnął ku sobie.

- Mości książe! Proszę! - Turcul pochwycił córkę za drugą rękę. - Proszę Nie możesz

- Czyżbyś jeszcze nie zrozumiał, do czego jestem zdolny? - ryknął Wład. - Byłeś świadkiem, jak składam ofiarę Molochowi. Miłość umarła i pozostał tylko obowiązek. Twój wobec mnie. Mój wobec Pana Boga. Odważysz się stanąć pomiędzy mną a Najwyższym?

- Książę - Turcul zaczął łamiącym się głosem, lecz puścił Elisabetę.

Drakula pociągnął szlochającą niewiastę ku ołtarzowi, cisnął ją jak kukłę u stóp metropolity.

- Udziel nam ślubu - rozkazał.

- Ja ja nie mogę tego zrobić. - Starzec wysunął przed siebie krucyfiks na grubym złotym łańcuchu, jak gdyby chciał przepędzić samego diabła. - Nie po tym świętokradztwie, do którego tutaj doszło - zatoczył ręką, wskazując na prezbiterium i strużkę krwi spływającą po wyłożonych czerwonym kobiercem schodkach.

- Co takiego?! - huknął Wład. - Przejmujesz się odrobiną krwi? A co z krwią Chrystusa? Co z Jego cierpieniem? Co z Jego poświęceniem?... Jezus wiedział wszystko o Molochu. - Mówiąc, szarpnął Elisabetę za rękę i pociągnął ją za sobą na kolana. - Teraz ty także wiesz!

- Książę! N nie wolno mi

- Udziel nam ślubu - powtórzył Wład cichym głosem, który jednak dotarł do wszystkich zakamarków katedry - albo spalę tę świątynię z tobą i całą resztą w środku, by porzucić chrześcijańskiego Boga raz na zawsze i stać się tym, za kogo i tak mnie uważacie: synem diabła! - Szept przeszedł w krzyk. -

Udziel nam ślubu!!

Ceremonia nie trwała długo. Książę nie życzył sobie zwykłej pompy, kazał skrócić wszystkie modlitwy i błogosławieństwa do minimum. Złożył swoje przyrzeczenie, upewnił się, że trudno zrozumiałe dźwięki, które wydawała Elisabeta, są w istocie jej ślubowaniem. Gdy tylko metropolita umieścił na jego głowie złoty wianek ze splecionych gałązek dębu i bluszczu, książę już stał zwrócony twarzą do zgromadzonych.

- Turcy są o dzień drogi od Tirgoviste. Muszę ich powstrzymać. Nie musimy ich powstrzymać wspólnie, skoro odtąd jesteście rodziną. Czyż nie tak, świekrze?

Żupan Turcul, ojciec księżęcej małżonki, pokiwał wolno głową. Wyraz jego twarzy mówił, iż myślami znajduje się daleko stąd. Mimo to Wład naciskał:

- Zatem na co jeszcze czekasz? Przywdziej zbroję, zwołaj swoich ludzi
- Kiedy wśród zgromadzonych rozległ się szmer niechęci, Drakula dodał: - Nie lękajcie się, nie zamierzam powieść was znowu do nocnego ataku. Tym razem mam inny plan. Mołoch posłużył mi za inspirację! - Odwrócił się do Elisabety, która łkając, wciąż klęczała na posadzce, i położył dłonie na jej już zabarwionych krwią włosach. - Najpierw jednak wyprawimy ucztę! I moja oblubienica musi otrzymać prezent! Pięć tysięcy prezentów - Oczy mu zabłyśły. Prostując się, krzyknął: - Ion!

Nikt się nie poruszył, nikt nie podszedł. Po długiej chwili z równego szeregu wystąpił Czarny Ilie.

- Książę - rzekł cicho. - Dwornik zniknął.

Drakula zatoczył się, powodując przeraźliwy krzyk Elisabety, kiedy jego palce zaplątane w jej długie włosy boleśnie szarpnęły. Szybko jednak odzyskał równowagę.

- W takim razie ty musisz to zrobić, Ilie. Taki jest mój rozkaz. Weź tylu ludzi, ilu zdołasz, opróżnijcie każdy loch, znajdźcie każdego dezertera i złoczyńcę, kobiety i mężczyzn za jedno, nie zapomnijcie też o tureckich jeńcach. Zgromadźcie wszystkich

- Dokąd ich mamy powieść? - zapytał Ilie, kiedy Wład zamilkł.

- Na Pole Kruków - udzielił odpowiedzi książę.

Czarny Ilie pokłonił się nisko, odwrócił i skinieniem głowy kazał iść za sobą połowie witezów. Drakula natomiast włożył dłonie pod ramiona Elisabety i podniósł ją na nogi, po czym zwrócił się w stronę tłumu.

- A wy wszyscy - krzyknął - radujcie się moim szczęściem! Uczęcie czas

zacząć!

Najpierw na Polu Kruków, rozciągającym się przed bramami Tirgoviste, stanęły ławy. Wład kazał je ustawić z precyzją układu tureckiego obozu, tyle że na planie krzyża, nie koła, jak gdyby to była katedra na wolnym powietrzu. Wysoki stół został umieszczony w samym środku - tam, gdzie w świątyni znalazłby się ołtarz. Wokół przecięcia ramion tego specyficznego krucyfiksu pozostało wiele przestrzeni, na razie przez nic nie zajętej.

Jedzenie nie było wyszukane. Goście weselni - wszyscy ci, którzy ściągnęli do katedry - musieli zadowolić się tym, co jedli zwykli żołnierze: świńskim mięsem pod każdą postacią. Podano więc mięsiwo gotowane, pieczone, smażone, bite i duszone, a także nadziane na metalowe pręty i osmalone nad otwartym ogniem. Łeb największego wieprza upieczono w podobny sposób, a potem ustawiono w centralnej części, aby wszyscy mieli dostęp do tego specjału. Słudzy odkrawali każdemu chętnemu sute kawały ociekających tłuszczem chrupkich świńskich policzków, w miarę trwania uczty cieniejących na zaostrzonym palu wbitym w ziemię. Pierwszym z wielu.

To, że uczta nie należała do specjalnie wystawnych, przeszło bez echa. Zresztą pożywiali się głównie żołnierze i ich dowódca, a czynili to z takim apetytem, jakby kampania, w której tygodniami brali udział, wcale się nie skończyła i wciąż byli wygłodzeni jak wilki. Wszyscy pozostali goście siedzieli bez ruchu, trzymając w dłoniach noże, których nie zamierzali użyć, i wpatrywali się martwo przed siebie, jakby ich zbawienie zależało od człowieka tkwiącego naprzeciwko nich.

To znaczy było tak do czasu, aż rozległy się krzyki. Przy ławach nastąpiło poruszenie, dopiero kiedy na Pole Kruków wprowadzono pierwszych więźniów.

Na przedzie szli Turcy, jeńcy pojmani w Giurgiu i dalszych drobnych potyczkach lub zasadzkach, podczas których chwymano wroga żywego, ilekroć nadarzyła się po temu sposobność. Dumni wojownicy Półksiężycy usiłowali maszerować, lżąc ile wlezie strażników dopóty, dopóki nie zobaczyli, co jest celem ich wędrówki. Wtedy przekleństwa zastąpiła modlitwa.

Za Osmanami postępowali Wołosi: kobiety i mężczyźni, poddani księcia i Cyganie, chłopci pańszczyźniani i rzemieślnicy, kupcy, mieszczanie oraz zwykli rabusie - wszyscy ci, którzy spędzili jakiś czas w mroku kazamatów, nie porzucając nadziei. Od dnia, w którym Dra-kula zasiadł na tronie, ręka

sprawiedliwości dosięgała każdego, kto dopuścił się choćby najdrobniejszej przewiny, a czyniła to tak szybko, że żaden ze skazańców nie zdążył spędzić w lochu pełnego dnia. Wszakże przez ostatnie siedem miesięcy, kiedy księżę z armią walczył z niewiernymi, nie odbyła się ani jedna egzekucja. Dlatego więźniowie wyciągali ręce po to, czego łaknie każdy dłużej pozbawiony wolności człowiek: po jadło i wodę. Ich krzyki i błagania także zmieniły się w jednej chwili, gdy zobaczyli, co jest przed nimi.

Pale zostały ułożone na ziemi w trzech rzędach i skierowane tępyimi końcami ku dziurom w ziemi wykopanym tuż za linią ław biesiadnych. Ciągnęły się od skrzyżowania stołów wzdłuż całego dłuższego ramienia krucyfiks.

Wielu gości zamknęło oczy, lecz jeśli nawet coś im to pomogło, nie byli w stanie odciąć się od wrzasków, które z każdą chwilą przybierały na sile. I od głosu Drakuli, który powstał ze swego miejsca za wysokim stołem i trzymając w jednej dłoni szaszłyk ze świńskiego mięsiwa, przemówił:

- Znane są dwa sposoby nabijania na pal. Niektórzy rozpowszechniają o mnie kłamstwo, iż stosuję tylko jeden z nich. Nie przeszkadza mi to, czasem dobrze jest, kiedy wróg ma o nas zaniżone zdanie. Faktem jest, iż prawdziwe trusus in anum - dźgnął szaszłykiem powietrze - jak każda skomplikowana sztuka wymaga nie lada umiejętności, mnóstwa czasu, wielu osób i doświadczenia. Nadaje się w sam raz na czasy pokoju. Lecz kiedy ma się Turków na karku, zaledwie o dzień drogi od miasta - zawiesił głos.

Uniósłszy szaszłyk do twarzy, powiódł wzrokiem wzdłuż ław i grupek ludzi stojących karnie za nimi. Każdemu więźniowi swoją uwagę poświęcało czterech strażników. Dwaj trzymali skazańca za ramiona, dwaj inni mieli w dłoniach ciężki drewniany pal, zaostrzonym końcem skierowany ku nieszczęśnikowi. Ci ostatni spoglądali bacznie w stronę księcia. Za pierwszym rzędem pozostali żołnierze robili co mogli, aby utrzymać w ryzach oczekujących na swą kolej, zanoszących modły lub po prostu rzewnie płaczących.

- Trzeba umieć sobie radzić w każdej sytuacji - dokończył i opuścił dłoń.

Na ten znak pary strażników z palami rozpędziły się, wbijając zaostrome drewno w ciała ofiar.

- Ta metoda nie jest doskonała - kontynuował Drakula mocniejszym głosem, próbując przekrzyczeć potępieńcze wrzaski traconych, zawrozdzenie następnych w kolejce i łkania wśród gości. - Po pierwsze, większość ginie od

razu, jak sami widzicie. Po drugie, kiedy już pal trafi tam, gdzie powinien brawo, Ilie, ty i twoi ludzie zasłużyliście na dzban wina za to, że zrobiliście to pierwsi! Ciało zsuwa się po gładkim drewnie, osiągając poziom ziemi w ciągu zaledwie godziny, co znacznie psuje efekt, bo ofiara tak czy inaczej jest już wtedy martwa. - Uniósł kielich do ust, napił się i mówił dalej: - Ale nasi zdolni cieśle poradzi sobie i z tym problemem. Konary zostały pozbawione gałęzi tylko do pewnej wysokości. Widzicie, jak grzesznik na nich się zatrzymał, o tam? - wskazał ręką. - Popatrz, moja żono, na tego, co wije się i wije Ależ nie, spójrz! - Pochylił się i oderwawszy dłonie Elisabety od jej twarzy, wolną ręką przekręcił jej głowę. Kobieta, zanosząc się płaczem, popatrzyła, po czym zaczęła wymiotować, gwałtownie łapiąc powietrze. Nie ona jedna. Drakula powiódł spojrzeniem po białych jak płótno obliczach mężczyzn i niewiast będących gośćmi na jego weselu. - Tak - powiedział do siebie. - Jesteście mi wdzięczni za to, że przywróciłem na tej ziemi ład i porządek. Że na traktach nie ma bandytów ani żebraków. Że każdy może bezpiecznie podróżować od Gór Fogaraskich do nizin nad Dunajem. Lecz nikt z was nie zastanawiał się nad ceną pokoju panującego na Wołoszczyźnie. Aż do dziś.

Podczas gdy Drakula mówił, strażnicy doprowadzali następne ofiary, a kaci wykonywali swoje zadanie najlepiej, jak umieli. Na Polu Kruków wyrastał las pali i ciał we krwi i flakach. Wład usiadł, dziwnie milczący, i zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem, pozwalając, by krzyki przybierały na sile, osiągnęły apogeum, po czym w końcu ścichły. W pewnej chwili słychać było tylko cichy płacz i odgłosy targanych torsjami pustych wnętrzności. Lecz kiedy Czarny Ilie podszedł do swojego księcia, nachylił się do jego ucha i zaczął coś gorączkowo szeptać, na polu zapanowała niemal całkowita cisza.

Drakula pokiwał głową, wstał i zaczął mówić, jakby nigdy nie przerwał:

- Dlatego jestem wam coś winien Wyjaśnienie, czemu stałem się na tyle sławny, by moi rodacy nazywali mnie za plecami Tepes, a Turcy krzyczeli na mój widok: „Kazykły bej! . - Uśmiechnął się. - W tym celu na sam koniec zachowałem trzech wyjątkowych skazańców. Ich pale staną tutaj, w samym środku uczty, na przecięciu ramion tego krzyża - zatoczył ręką. Dał kolejny znak i jak spod ziemi wyrosli słudzy, aby usunąć stoły, ławy i krzesła. Weselni goście wstawali falami, kiedy blaty umykały spod ich głów i łokci, robili krok do tyłu, lecz gęsty żywopłot z pali uniemożliwiał im wycofanie się na taką odległość, jaka by ich usatysfakcjonowała. Zamiast

odejść, stanęli jeszcze bliżej centrum wydarzeń otoczeni szczelnym kordonem witeziów. Tylko Drakula pozostał na swoim miejscu, dziwnie spokojny i wyciszony, z oczyma utkwionymi we własnych dłoniach.

Kiedy w kręgu żołnierzy otworzyło się przejście, stanął w nim na wpół prowadzony, na wpół ciągniony przez strażę mężczyzn. Gdy upadł, rzucony na ziemię u stóp Włada, ten pochylił się i uniósł mu głowę, aby każdy mógł go rozpoznać. Był to jeden z bojarzynów, Gales.

- Tak, Turculu, oczy cię nie mylą. To twój brat, którego miejsca pobytu ostatnio nie znałeś. Ale widać ktoś wiedział, gdzie on się podziewa, bo wykopał go z jednej zapomnianej przez Boga dziury, aby przywieść do drugiej - wskazał na troje służących, którzy pracowicie kopali dół.

- Książę, miej litość - zaskomlił klęczący mężczyzna. Drakula zignorował prośbę.

- Ten człowiek zdezerterował na polu walki, wiedząc, iż od niego zależy powodzenie przedsięwzięcia. Zostawił mnie sam na sam z wrogiem, odebrał mi zwycięstwo, które było moim przeznaczeniem. Zdradził nie tylko swego księcia i swój kraj, lecz również samego Najwyższego, którego ziemski przedstawiciel namaścił mnie na władcę tej ziemi. Zdradził świętą wojnę prowadzoną przeciwko niewiernym w imię Jezusa Chrystusa. - Spojrzał po twarzach bojarzynów i ich krewnych, ustawionych wzdłuż ramion krzyża z drewna i ludzkich skrwawionych ciał. - Niektórzy z was byli świadkami tego, co spotkało Albu zwanego niegdyś Wielkim. Najwyraźniej lekcja okazała się zbyt łagodna. Dlatego musi zostać powtórzona.

Galesem, wciąż klęczącym na ziemi, zaczęło wstrząsać niekontrolowane łkanie. Widząc to, Turcul postąpił w stronę Włada i również ukląkł.

- Mości książę, dopraszam się

- O miejsce obok niego, świekrze? Ależ oczywiście, skoro tak bardzo tego pragniesz.

Turcul zerwał się na równe nogi, zatoczył do tyłu, wrywając skraj peleryny z zaciśniętych palców brata. Drakula skinął na wiernego Ilie.

Na jego znak w kręgu pojawiło się sześciu mężczyzn odzianych w czarne zbroje. Nie jakichś pierwszych lepszych chłystków, tylko doświadczonych żołnierzy, zaprawionych w boju u boku księcia. Dźwigali długie pale, liny, kołowroty. Ostatni prowadził krępego wałacha skonfiskowanego jakiemuś chłopu. Koń, w kłapkach na oczach, sprawiał wrażenie, jakby wszystko było mu obojętne. Wład znów musiał podnieść głos, jeśli chciał, aby ktokolwiek go usłyszał poprzez nieopanowane wrzaski Galesa. Podczas gdy żołnierze

wykonywali swoją robotę, on mówił:

- Widzicie, jak długo to trwa? Ile wysiłku kosztuje? - Powiódł wzrokiem po spuszczonej głowach i ryknął: - Rozkazuję wam patrzeć! Przyglądać się pilnie i nareszcie poznać, jaka jest cena ładu, porządku i raz na zawsze zaprowadzonej sprawiedliwości! - Jedno po drugim pobielale jak kreda oblicza unosiły się, a oczy spoglądały na niego. Wład machnął ręką i wszyscy naraz obrócili się w stronę skazańca. - Wyśmienicie - stwierdził Drakula, wracając do siebie. Przez parę długich chwil stał z rękoma założonymi na piersi, by ruszyć się dopiero, gdy tępy koniec pala został uniesiony, a następnie opuszczony do wykopanego dołu, gdy gwoździe przebiły stopy, mocując je do drewnianej podpórki. Wtedy podszedł i zadał głowę do góry. - Nie żyje - mruknął. - Cóż, zdarza się. - Odwrócił się i łagodnym głosem udzielił podwładnemu reprimendy: - No, Ilie, następnym razem postaraj się być uważniejszy.

- Jak rozkażesz, gospodarze.

Przywleczono drugiego mężczyznę. Skołtunione czerwonorude włosy Tomasza Katawolinosa sprawiały wrażenie strzechy nieokreślonego koloru, niechybnie nabrawszy cech ściółki, na jakiej leżał przez ostatnie siedem miesięcy spędzone w pozbawionej światła słonecznego celi. Jego wytworne szaty były w strzępach. A jednak w utyłanej twarzy oczy pobłyskiwały wyzywająco. Drakula spojrzał prosto w jego źrenice.

- Masz mi coś do powiedzenia, ambasadorze?

- Tylko to, Palowniku. - Grek pochylił się i ostentacyjnie wciągnął powietrze nosem. - Straszny tu panuje smród. I jeśli się nie mylę, dochodzi od ciebie.

W tłumie rozległy się syki. Wład skinął spokojnie głową.

- To rzeczywiście musi być dla ciebie przykre, skoroś od młodości przyzwyczajony przebywać w zbytku i wśród woni pachnideł, z których słynie Wschód - rzekł, spoglądając w górę. - Jestem pewien, że tam, wyżej, jest świeższe powietrze. - Obrócił się ku swoim ludziom oczekującym dalszych rozkazów. - Znajdźcie dla niego dłuższy pal.

Tym razem kaci byli ostrożniejsi i oczy Tomasza pozostały otwarte nawet wtedy, gdy pal stanął prosto, aczkolwiek czy faktycznie było mu łatwiej oddychać na wysokości, na jakiej znalazły się jego nozdrza, mógłby powiedzieć tylko on sam.

- A teraz - rzucił Drakula, odwracając się od Greka - nareszcie Hamzę traktowano znacznie lepiej niż pozostałych więźniów. Takie było

życzenie Włada, a Ion dopilnował, by zostało skrupulatnie spełnione. Odwiedzał swego dawnego nauczyciela, gdy nadarzyła się okazja, gawędził z nim, przynosił mu lepsze pożywienie i świeżą wodę. Odzienie, w którym Hamza został pojmany w Giurgiu, nie było całe, lecz w miarę czyste, jego broda schludnie przystrzyżona, błękitne oczy jasne i niezmaczone. Spoglądał nimi teraz na otaczających go Wołochów, którzy odwzajemniali spojrzenie ze strachem. Na tysiące trupów z opuszczonymi powiekami. Na swego kompana i towarzysza misji zleconej przez sułtana, górującego nad nimi wszystkimi. W końcu zaś zatrzymał wzrok na swym byłym uczniu.

- Czy to już czas, Władzie? - zapytał.

Przez szeregi świadków przeszedł nerwowy szept.

Drakula skinął głową.

- Już czas, Hamzo ago - odpowiedział.

- A jednak - Turek przemówił ponownie, zwilżywszy językiem wargi - nie muszę dzisiaj zginąć. - Zerknął w górę na Tomasza Katawolinosa i czym prędzej opuścił oczy. - Sam najlepiej wiesz, jak to działa. Jaki jest sens podobnego przykładu jeśli nikt nie przekaze o nim świadectwa temu, dla którego został pomyślany? Pozwól mi wrócić do mego pana. On mnie wysłucha. Wierzę, iż zdołam go przekonać - może nawet odwieść od tej wojny na dobre? On mi ufa, zostawi cię więc w spokoju - Głos mu się pod koniec załamał. - Proszę, odeślij mnie do Mehmeda.

Zapadło milczenie. Nad Polem Kruków powiał wiatr, jednakże nie przyniósł ochłody. Poruszył tylko przesiąkniętymi krwią łachami ofiar, zafalował zlepionymi pasmami włosów. Po długiej chwili znad lasu nadleciał kruk i przysiadł na palu z Grekiem, przerywając ciszę łopotem skrzydeł, a potem także przeraźliwym krakaniem.

Wład spojrzął na ptaka, zamyslił się, po czym powrócił spojrzeniem do stojącego przed nim mężczyzny.

- Nie, stary przyjacielu - rzekł, odstępując w tył. - Wolę, aby to Mehmed przyszedł do ciebie.

Odziani w czerń żołnierze schwycili Hamzę, zdarli zeń ubranie, obrócili twarzą ku ziemi. Gdy przyginali mu plecy, Turek zawołał:

- Tutaj, książę, tutaj! Przy moim pasie

Wład uniósł dłoń i jego ludzie natychmiast zamarli w pół ruchu. Nachylił się ku rzuconym na kupę częściom stroju, wymacał przedmiot u pasa, wyprostował się na powrót. W dłoni trzymał rękawicę sokolnika.

- Pamiętasz jeszcze, kiedy ją dla mnie zrobiłeś? - spytał Hamza,

wykręcając szyję, aby spojrzeć mu w oczy.

- Tak - odparł, obracając rękawicę w dłoni. - Byłem dobry w swoim fachu, prawda?

- O, tak A czy pamiętasz ten wers?

Wład potaknął skinieniem. Nie patrząc na wyszyty napis, wyrecytował:

- Jestem więźniem. Zamkniętym w klatce swego ciała. A jednak nazywam się wolnym jak sokół. - Uśmiechnął się, przyklękając przy wygiętym w nienaturalnej pozycji mężczyźnie. - Dżalaluddin był naszym ulubionym poetą, czyż nie? Opiewał sprawy duszy i sokolników.

Żołnierze zwolnili uchwyt na ramionach Hamzy na tyle, że mógł obrócić się w pełni i spojrzeć wprost w zielone oczy swego dawnego wychowanka.

- Oszczędź mnie, Władzie - poprosił. Kiedy księżę nawet nie mrugnął, dodał szeptem: - Raz powiedziałaś, że mnie kochasz

Drakula spoglądał przed siebie jeszcze przez chwilę, zanim jego oczy zwęziły się, tak że skupił spojrzenie na mówiącym.

- Bo kochałem. I kocham nadal. Odejdź w pokoju - rzekł równie cicho. A potem schylił się i nałożył rękawicę na zaoblony koniec pała.

40. ZDRAJCA

Galopując na koniu, Ion łkał. Na myśl o zniszczonej rodzinnej ziemi. Na myśl o swoim księciu, który widocznie sprzymierzył się z piekłem. Na myśl o sobie. Przede wszystkim jednak łkał na myśl o Ilonie.

Szloch nadal nim targał, kiedy otoczyli go akindżysowie. Jak wszyscy Tatarzy dosiadali pokracznych kuców o zmierzwionej sierści i kopytach gołych, nie utwardzonych podkowami. Nie ogłosili swego pojawienia się tętentem, tylko wyrosli jak spod ziemi, biorąc go z dwu flank naraz. Gdy już ściągnęli go z siodła, głośno debatowali nad tym, czyby go nie usmażyć na wolnym ogniu. Ostatecznie zabili i upiekli tylko rycerskiego rumaka, gdyż taka wielka bestia, w jakich gustowali niewierni, na nic by im się nie zdała. Jednakowoż każdego w armii sułtana obowiązywał rozkaz, aby wszystkich jeńców doprowadzać do głównego obozu. Tatarzy nie należeli do najposłusznieszych poddanych i byliby może zignorowali wytyczne dowódców, gdyby nie to, iż wierzyli, że Mehmed dysponuje wszechwidzącym Okiem pożyczonym od pewnego słynnego dżinna, który budził w nich strach. Poza tym nęciła ich perspektywa nagrody w czystym złocie, przyobiecana za co znaczniejszych jeńców. A Ion Tremblac nawet w ich barbarzyńskich oczach zdawał się kimś wartym uwagi, sądząc po bogatej zbroi i ciężkim mieczu. Tatarzy wysoko cenili sobie złoto, mogli je bowiem wymienić na porządne koniki, ani trochę niepodobne do zwierzęcia, z którego kości właśnie wysysali szpik. Dlatego skończywszy posiłek, skrupowali Iona bykowcem, rzemieniem przywiązując mu kciuki do palców u stóp, po czym przerwali go przez grzbiet cuchnącego osła.

Ion leżał, wpatrując się tępo w kwietny wzór na kaszmirskim kobiercu. Odcięto już więzy krępujące mu palce rąk i nóg, aby go trwale nie okaleczyć i nie umniejszyć jego wartości, lecz dla odmiany zadzierzgnięto inne pętle wokół nadgarstków i kostek, unieruchamiając równie skutecznie i powodując, że powoli tracił czucie w członkach.

W namiocie sułtana panował spokój. Nieliczni mężczyźni, którzy się tam znajdowali - ci sami, co odebrali go Tatarom - nie spodziewali się, że jeńiec zna język osmański, i otwarcie przy nim rozmawiali o wyprawie Mehmeda na polowanie z sokołem, nie tyle dla rozrywki, ile dla zdobycia pożywienia.

Bo choć Kazykły bej zatrzał wodę i wyciął w pień bydło i trzodę na swojej ziemi, hamując postęp wroga i osłabiając jego armię, to nawet on - Syn Diabła! - nie był władny zagrozić przestworzom. Stąd właśnie częste po tureckiej stronie polowania z nie jednym sokołem, lecz z wieloma drapieżnymi ptakami, posyłanymi pod niebo w poszukiwaniu głuszców i gołębi, które następnie trafiały do kotła i na sułtański stół.

Być może Ion zapadł na krótko w sen, a może tylko pozostawał otepiały z bólu i pragnienia, gdy nagle znów spoglądał na barwną orchideę, słysząc coraz donośniejsze okrzyki. W końcu gdzieś w pobliżu rozległo się dźwięczenie końskiej uprzęży, w wejściu do pawilonu ktoś roześmiał się głośno, po czym natychmiast umilkł, i Ion zobaczył koło siebie dwie pary pantofli. Podnosząc wzrok nieco wyżej, zdołał dostrzec jeszcze tylko mankiety szarawarów pokryte grubą warstwą kurzu. Przymknął oczy.

- Czy wiesz, kto to, serce moje?

Tembr głosu Mehmeda Zdobywcy nie był łatwy do zapomnienia - dziwnie wysoki jak na tak potężnego mężczyznę, a zarazem dziwnie łagodny jak na takiego okrutnika. Wszelako od ich ostatniego spotkania głos Radu zmienił się z chłopięcego dyszkantu w męski baryton.

- Zwie się Ion Tremblac i jest prawą ręką Palownika.

- Cha! Cha! - zaśmiał się sułtan. - Odkąd pozbawiłeś go jednego palca, przydałaby mu się całkiem nowa ręka! Zwłaszcza że utracił i tego - nachylił się nad jeńcem. - Hm - Ja też go poznaję. Uczył się razem z wami w enderunie. Nawet brał udział w tamtym pojedynku dżarodbazi

- Racja, umiłowany - potwierdził Radu.

- Chwileczkę! - zakrzyknął Mehmed i uklęknął, żeby sięgnąć dłonią do czoła leżącego mężczyzny. - Teraz już mam pewność, że to on! - Odsunął zlepiiony kosmyk włosów na bok. - Widzisz to piętno? Wciąż je nosi! - Odjął rękę i wstał, wycierając palce w materiał hajdawerów.

- Ciekawe, cóż on tu robi? - zastanowił się głośno.

Ion wykręcił szyję, aby móc spojrzeć Mehmedowi w twarz.

- Pragnę złożyć hołd Drakuli - zająknął się. - Radu Drakuli. Czy zechcesz mnie uwolnić, abym mógł się przed nim pokłonić?

Radu wydawał się zaskoczony, jednakże Mehmed już uśmiechał się szeroko.

- Mój wielki poprzednik, Murad Pierwszy, niech jego pamięć będzie błogosławiona na wieki, został zamordowany we własnym namiocie po zwycięskiej bitwie na Kosowym Polu. Coś mi mówi, że niejedyn Wołoch

współcześnie chciałby pójść w ślady owego słynnego Serba. Lecz ty trafiłeś tu prosto z rąk Tatarów, którzy odarli cię z wszystkich cennych rzeczy, w tym z ostrzy. - Spojrzał na kogoś za nim. - Rozciąć mu więzy!

Rozkazu posłuchano natychmiast, wszakże Ionowi trzeba było kilku prób, zanim zdołał przybrać pozycję klęczącą. Kiedy spojrzął przed siebie, zobaczył Mehmeda siedzącego na purpurowo-złotej otomanie i stojącego u jego boku Radu. Opuściwszy szybko wzrok, zaczął mówić:

- Książę Radu, ofiarowuję ci siebie, swoją wiedzę i wszystko, co posiadam. Obiecuję poprowadzić twą armię przez ziemie Palownika. Wskażę doły wykopane jako pułapki na twoje wierzchowce, ostrzegę przed zatrutymi studniami i zawiadę do tych, w których woda jest czysta i słodka. Doprowadzę cię pod bramy Tirgoviste. Ani miasto, ani dwór książęcy nie są tak pilnie strzeżone, jak można by się spodziewać. Wład nigdy nie zamierzał bronić się w sercu swego kraju i nie zdążył ufortyfikować swej siedziby. Gdyby jednak bramy zostały zamknięte przed nadciągającą armią z tobą na czele, sprawię, że dla ciebie staną otworem. A potem poprowadzę cię do piwnic, gdzie twój brat ukrył tron, abyś mógł na nim godnie przyjąć koronę swego księstwa.

Radu Drakula długo przyglądał się Ionowi, zanim przemówił:

- A dlaczego uczynisz to wszystko? Ty, który trwałes przy nim, kiedy popełniał najgorsze grzechy

- Który popełniałem je sam, z równą jak on chęcią- sprostował rycerz.

- Tym bardziej więc: dlaczego? Czemu właśnie teraz? Czyżby dlatego, że i tak jest niemal pobity?

Ion potrząsnął przecząco głową.

- Wład Drakula jest daleki od przegranej. Gdyby przegrywał, stałbym przy nim murem i jak zawsze chroniłbym jego plecy przed czymś zdradzieckim ciosem, biorąc na siebie śmiertelny sztych, który miałby przeciąć jego linię życia

- No dobrze. - Rozbudzona w Radu ciekawość sprawiła, że postąpił kilka kroków w stronę jeńca. - Zatem co takiego uczynił mój brat, że utracił twoją lojalność?

Po raz pierwszy odkąd znalazł się w sułtańskim namiocie, Ion Tremblac podniósł spojrzenie i popatrzył prosto w oczy rozmówcy.

- Z zimną krwią zabił kobietę, którą kochałem.

Zabita kobieta wydała z siebie jęk.

Ujrzała nad sobą nie całkiem obcą twarz, która najczęściej występowała w dręczących ją ostatnio koszmarach. Grdyka łysego mężczyzny poruszyła się w górę i w dół, z jego gardła dobył się klaszczący dźwięk i zaraz pozbawiona włosów głowa odsunęła się, dopuszczając w pole widzenia kolejny przyprawiający o gęsią skórkę widok - Cyganki w kolorowej chuście, tej samej kobiety, która opiekowała się nią, gdy straciła pierwsze dziecko Włada. Starucha ujęła Ilonę pod szyję, uniosła ją lekko i przyłożyła jej do warg szyjkę butli. Płyn częściowo trafił do ust, a częściowo się wylał, kiedy wóz podskoczył na jakimś wykrocie. Czując wilgoć, Ilona jęknęła ponownie, a Cyganka biorąc tę reakcję za oznakę bólu, zmusiła ją, aby wypła więcej oszałamiającego dekoktu, po czym na powrót ułożyła podopieczną na wznak.

Lecz nie ból, przytłumiony przez otepiające działanie eliksiru, był przyczyną jęków leżącej. Ani nawet nie krwawienie z licznych ran, które ustało wkrótce po tym, jak krojenie dobiegło końca, gdyż sztylet kreślący znak krzyża ani razu nie sięgnął głębszych partii jej ciała.

Nie, jej cierpienie i smutek wynikały z jednego wspomnienia - samotnej łyzy i słowa, które od niego usłyszała.

„Żegnaj - rzekł tuż przed tym, zanim po policzku stoczyła się łza i sztylet ciął ją po raz ostatni. Ilona poruszyła się niespokojnie i głęboko westchnęła. Załzawionymi oczyma widziała, jak Stoica klepie Cyganek w ramię, po czym gestykułuje gwałtownie, domagając się jej uwagi. Odpowiedzią na jego zabiegi było wzruszenie ramion. Co mogła zrobić, już zrobiła. Opatrzyła straszne rany i przy jego pomocy wywiozła ją z miasta śmierci ku nieznannej przyszłości.

W umyśle Ilony kołatała się jedna myśl: ukochany ją zostawił. Pożegnał się z nią krwią, słowem i płaczem. A teraz to ona łkała, obojętna na katusze ciała, w głębi duszy wiedząc, iż już nigdy go nie zobaczy.

Dojrzeli kształt krzyża z pobliskiego wzgórza. Nie było o to trudno, gdyż co dwanaście kroków wzdłuż obu ramion ustawiono płonące pochodnie. Nocna ciemność spowiła jednak mrokiem resztę szczegółów i te uległy odsłonięciu dopiero z mniejszej odległości.

Akindzysowie pierwsi przynieśli do obozu wiadomość o lesie umarłych przed bramami miasta, o opuszczonych ludzkich siedzibach, o otwartych wrotach skrzypiących złowrogo na silnym wietrze. Lecz jako że Tatarzy byli ludem przesądnym i w opowieściach zawsze uciekali się do swoich mitów i legend o duchach i demonach, mało kto dał wiarę ich słowom. W to samo

miejsce posłano więc na zwiad zaufanych oficerów armii sułtańskiej, którzy wszakże powrócili równie wstrząśnięci i też mieli kłopoty z odróżnieniem rzeczywistości od koszmaru. Niecierpliwy jak zawsze Mehmed zbył machnięciem ręki ich mamrotania, dał koniowi ostrogę i oflankowany przez Iona i Radu pomknął przed siebie, pozornie mając za ochronę tylko solaków. Jednakże poza kręgiem blasku rzucanego przez dogasające pochodnie ustawili się w pięciu szeregach najwaleczniejsi wojownicy w liczbie pięciu tysięcy, szpica armii sułtana. Wszyscy jak jeden mąż skierowali się twarzami na zewnątrz kręgu, z odsłoniętą bronią. Od pamiętnego nocnego ataku na obóz, od chwili, w której znalazł się na wyciągnięcie miecza odwiecznego wroga, Mehmed nie sypiał zbyt dobrze i zaczął otaczać się ludźmi, którzy mieli równie czujny sen jak on.

Trzej jeźdźcy i dwaj solacy zbliżyli się do podstawy krzyża. Jego ramiona faktycznie tworzyły trupy ustawione w trzech gęstych rzędach - większość umarłych miała piersi przebite palami od frontu i ci zwisali twarzami ku ziemi, podczas gdy tylko nieliczni - zapewne dla urozmaicenia monotonnego zajęcia oprawców - zostali przebici od tyłu, patrząc teraz w milczące niebo niewidzącymi oczyma albo - znacznie częściej - pustymi oczodołami.

Na Polu Kruków poruszali się tylko nowo przybyli jeźdźcy i niemrawe od królewskiej uczty ptaki. Kilka zakrakało na widok ludzi, lecz ich protesty zdawały się pozbawione przekonania. Uczta dawno dobiegła końca.

Na palach zatknięci byli głównie Turcy i zarówno Mehmed, jak i Radu kilkakrotnie wydali cichy jęk, gdy ich spojrzenie padło na kogoś, kogo rozpoznawali. Jednakże byli tam także Wołosi: zdrajcy, złodzieje i zwykli pechowcy oraz nieliczne kobiety pomiędzy mężczyznami. Rzucając spojrzenia na lewo i prawo i posuwając się wolno stępa, sułtan kierował się ku punktowi przecięcia ramion krzyża, gdzie wzrok przyciągała jaśniejsza iluminacja. Jadący obok niego Ion początkowo próbował zliczyć zabitych, lecz dość szybko dał za wygraną. Zakładając, że wszystkie rzędy w obie strony były równie gęste, już wstępne szacunki dały liczbę kilku tysięcy ofiar Palownika.

W centralnej części było jakby luźniej. Wrażone w ziemię tkwiły tam tylko trzy pale, z których środkowy bez dwóch zdań był najwyższy. Ion bez trudu rozpoznał człowieka po lewej - był to bojarzyn zdrajca, Gales. O tożsamości mężczyzny po prawej świadczyła wystrzępiona, acz bogata grecka szata. Rycerz powiódł wzrokiem ku środkowej postaci, która -

podobnie jak dwaj towarzysze niedoli - została nabita na pal tradycyjną metodą.

Oczy nadwornego sokolnika były otwarte i dotąd nie wydziobane. Nie miały nawet zwykłej u trupów szklistości, lecz zdawały się ze zdziwieniem spoglądać na coś poniżej, co wystawało z ust. O dziwo, nie był to obło zakończony i zakrwawiony koniec pala, który wзираł z ust pozostałych dwu ofiar, tylko dłoń o palcach zeszywniałych od posoki. Zupełnie jakby ktoś nadział ciało Turka na własną pięść, przedarł się przez wnętrzności i znalazłszy drogę wyjścia na zewnątrz pośród miażdżonych organów, jeszcze teraz wygrażał każdemu, kto patrzył na zwłoki.

Ion obrócił się nieznacznie w stronę sułtana. Wiedział, że Mehmed jest okrutnikiem, który nie stroni od zabijania własnymi rękami, jeśli jest taka potrzeba. A jednak dostrzegł na jego twarzy coś, co świadczyło, iż znikł jego zwyczajny spokój. Po chwili zaś usłyszał, jak odzywa się głosem równie schrypłym jak krakanie kruk:

- Hamza basza!

Na ten okrzyk ciało na palu drgnęło. Wszyscy trzej poderwali głowy i zobaczyli, jak po drewnie spływa świeża kaskada krwi. Co więcej, dotąd martwe - jak się wydawało - oczy poruszyły się w orbitach. Mimo to z gardła ofiary nie dobył się żaden dźwięk. Nie było to ani możliwe, ani potrzebne.

- Nie! - skrzeknął Mehmed nieswoim głosem, strasząc wierzchowca, który zatańczywszy w miejscu, wyrwał się do przodu. Sułtan wielkim wysiłkiem osadził go i szarpnięciem wodzy zmusił do odstąpienia od pali. - Nie! Ja nie Ja nie - Odwrócił się, odszukując spojrzeniem Radu. - To nie tylko bluźnierstwo przeciwko Jedynemu Bogu! - zawołał. - To także bluźnierstwo przeciwko ludzkości. Ja nie Ja nie Wracam do seraju, do swych ogrodów - Mówiąc, aż dygotał z wściekłości. - A ty, jeśli tak ci zależy na tym skrawku potwornej ziemi, możesz ją sobie wziąć!

- Umiłowany

- Nie!

Z tym okrzykiem Mehmed wraził ostrogi w boki wierzchowca i puścił się galopem wzdłuż alei wysadzonej palami, na których dogorywały ostatnie ofiary. W ślad za nim cwałem pognali łucznicy, pozostawiając dwóch Wołochów samych. Przez chwilę spoglądali za oddalającym się sułtanem i jego świtą, by po chwili przenieść spojrzenie na siebie. Ion z wysiłkiem uniósł dłoń, wskazując poza linię pali, ku bramom Tirgoviste stojącym otworem przed każdym, kto zechciałby je przekroczyć.

Kiedy ruszali, pozostawiając w tyle krucyfiks z ludzkich ciał, za ich plecami przeraźliwie rozdarł się jeden z kruków.

41. OSTATNI SZANIEC

- Jak daleko jest Korwin?

Podobne pytanie zadał w czerwcu, stojąc na brzegu Dunaju i przyglądając się ogromnej armii tureckiej szukającej dogodnego miejsca do zejścia na ląd. Później wielokrotnie je powtarzał, w miarę jak cofał się coraz bardziej w głąb kraju, robiąc co w jego mocy, aby opóźnić postęp wroga - ogniem, plagą, głodem, pragnieniem, prochem strzelniczym, strzałami i ostrzami mieczy. A także sianiem przestachu w szeregach wrogiej armii. Turcy zapłacili wysoką cenę za każdą piędź wołoskiej ziemi, którą udało im się wyrwać Drakuli. A każda piędź, która pozostawała nadal w rękach Wołochów, była zaledwie dziesiątą częścią tego, co udałoby im się zatrzymać, gdyby w sukurs przyszedł im król Węgier.

Wład Drakula ponowił swe pytanie o jego plany pod koniec sierpnia, znajdując się w wielkiej sali swojej cytadeli na szczycie góry Poenari na obrzeżach księstwa. Z wież zamku mógł spoglądać na krainę rozciągającą się w dolinie rzeki Ardżesz, a także - kierując wzrok ku północy - zobaczyć majaczące na horyzoncie szczyty Gór Fogaraskich. Poza nimi skrywał się Siedmiogród, miejsce jego urodzenia.

Powiódł teraz spojrzeniem wzdłuż okazałego stołu, przy którym siedziało dwudziestu mężczyzn. Przed nimi na blacie wałały się naczynia i resztki skromnego posiłku. Kiedy pytał o plany Korwina po raz pierwszy, dowodził dwiema dziesiątkami tysięcy żołnierzy. Pozostały mu z nich te dwie dziesiątki głów, z których tylko część nosiła fragmenty czarnych zbroi, oraz dalsze trzy dziesiątki obecnie patrolujące mury obronne i wypatrujące zagrożenia. Kiedy odbudowywał i wzmacniał twierdzę Poenari, czynił to tak, aby mogła przetrwać broniona przez zaledwie pięć dziesiątek rycerzy, aczkolwiek nigdy się nie spodziewał, że kiedyś będzie musiał to sprawdzać na własnej skórze. Czekał na Macieja Korwina.

Każda twarz, na którą spojrzał, stanowiła odbicie jego twarzy. On od miesięcy nie przespał ani jednej nocy całej, jego witeziowie nie zaznali odpoczynku znacznie dłużej. Poznać to było po zapadniętych oczach, po szarości skóry spalonej wciąż silnym letnim słońcem. Mimo oznak zmęczenia wiedział, iż są gotowi walczyć dlań dopóty, dopóki daje im choć

cień nadziei na zwycięstwo. Dlatego zadał na głos pytanie, które zazwyczaj zachowywał tylko dla siebie. Bynajmniej nie zależało mu na odpowiedzi, właściwie jego słowa: „Jak daleko jest Korwin” nie były nawet pytaniem. Po prostu ci mężczyźni, ostatni spośród tych wszystkich, którzy ruszyli na ratunek swojemu księciu i krajowi, dysponujący ostatkiem sił i ducha, musieli zostać poderwani do walki jeszcze ten jeden raz. A on, ich książę, nie miał wyjścia, jak tylko wymagać od nich, aby uwierzyli mu jeszcze ten jeden, ostatni raz.

Twierdza Poenari może i została by obroniona przez zaledwie pięć dziesiątek dusz, lecz on wiedział, iż przyjdzie im otwarcie walczyć.

Pytanie nie pytanie zawisło w rozgrzanym ciężkim powietrzu niczym dym unoszący się z paleniska. Wład oparł się pięściami o blat stołu, pochylił do przodu.

- Niedaleko - powiedział z przekonaniem. - Czuję, że jest niedaleko. Wciągnął na swoje drzewce sztandar z Krzyżem, sztandar krucjaty przeciwko niewiernym, tak samo jak my, i straciłby honor, gdyby teraz zrejterował, zwijając go z powrotem, nie zadawszy wrogowi ani jednego ciosu. Z ostatnich raportów sprzed trzech tygodni wiem, że stanął w Szegedynie. Wciąż na Węgrzech, to prawda, ale od moich posłańców usłyszał o wielkim niebezpieczeństwie nam grożącym i jeśli tylko zaczął działać natychmiast, na wypoczętych koniach mógł już pokonać Siedmiogród i teraz zbliża się do Fogaraszu. Tutaj dotrze najdalej za tydzień. Krótkotrwałą ciszę przerwało pytanie zadane znużonym głosem:

- Czyżby, wojewodo?

Wład spoglądał prosto przed siebie; zdawało się, że patrzy na tego z nich, który odważył się powątpiewać w jego słowa, lecz w rzeczywistości próbował siłą wzroku przebić mury i zwały ziemi i skał będące Górą Fogaraskimi, by zobaczyć, co jest za nimi. Tym razem milczenie przeciągało się. Dwudziestka zaufanych poczęła kręcić się niespokojnie na ławach, zerkać na siebie nerwowo. Już wcześniej widywali swojego księcia zapatrzonego w przestrzeń, czasem trwało to bardzo długo.

- Wojewodo?

- Tak, Ion?

Potężny ciemnoskóry i czarnowłosy mężczyzna rozejrzał się wokół.

- To ja, Ilie, książę. Iona nie ma tu z nami

Wzrok Włada Drakuli skupił się na mówiącym doń mężczyźnie.

- Tak, Ilie - powiedział z mocą. - Korwin nadciąga nam z odsieczą.

- A to za Kruka! - ryknął Turcul. - I za jego podcięte skrzydła!

Jego głos utonął w okrzykach innych, wszyscy unieśli kielichy, spełnili toast. Ion pił razem z nimi i śmiał się razem z nimi, ani na moment nie tracąc czujności.

- Gdzież to Kruk podziewał się ostatnio? - podjął żupan, zwracając się do milczącego mężczyzny siedzącego u szczytu stołu. Oczy zebranych pobiegły ku Radu Drakuli, księciu Wołoszczyzny. - Wojewodo?

Radu uśmiechnął się szeroko i odparł:

- Przyczaił się na granicy węgierskiej. Po swojej stronie - podkreślił.

- Zatem nawet jeśli kiedykolwiek zamierzał włączyć się do walki, przegapił swoją szansę? - drążył podpity Turcul.

- Korwin nigdy nie miał takiego zamiaru - rzekł Ion, zwracając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych. - Skorzysta z papieskiego złota, aby odzyskać koronę świętego Stefana z rąk cesarza i zasiąść na tronie Węgier

- Co właściwie zrobi? - zainteresował się Radu.

- Wkroczy do Siedmiogrodu. To jego ziemie lenne i jako takie będzie się starał je wzmocnić w obawie, że ruszymy przeciwko niemu na północ. Jeśli nie wykonamy żadnego ruchu, zabierze się i wróci do Budy, gdzie rozgłosi wszem wobec, iż ksiązę Wład zawiódł zarówno jego, jak i Pana Boga.

Radu mimowolnie nachylił się do przodu.

- Skąd pewność, że tak właśnie uczyni?

- A jak ty byś postąpił na jego miejscu, ksiązę? Czyż nie tak właśnie postępują wszyscy, kiedy porażka jest przesądzona? Czyż każdy wówczas nie odsuwa się od przegranego, jak tylko umie?

- Tak jak ty zrobiłeś? - Radu uśmiechnął się szerzej, widząc ciemniejące oblicze Iona. - No dobrze. I co twoim zdaniem Kruk zrobi potem?

- Zawrze pokój ze zwycięzcą. Z tobą, ksiązę. Jak tylko oddalisz z tych ziem armię, którą sułtan pożyczył ci, kiedyś odbijał swoje dziedzictwo z rąk brata.

Młody Drakula zmarszczył brew.

- Moja armia składa się również z Wołochów, spatarze - przypomniał.

Ion skinął głową, lecz nic nie powiedział. Zamiast niego odezwał się Mihailoglu Ali bej, turecki dowódca.

- A Mehmed Fatih, wysławiane niech będzie jego imię, przysłał nas tutaj, abyśmy dopełnili Bożego dzieła. Abyśmy pomogli naszym braciom pozbyć się bestii gnębiącej ich ziemie.

Turcul z hukiem odstawił swój kielich.

- Co spotka tę bestię, jeśli zdołamy schwycić ją żywcem? - zapytał z pałającymi oczyma.

Mihailoglu Ali bej popatrzył na żupana zimno.

- Jego głowa trafi do sułtana.

- Ależ oczywiście - wyszczerzył się Turcul - ale kto powiedział, że musi zostać odcięta natychmiast po tym, jak zostanie pojmany?

- Powinien skończyć na palu ! - krzyknął jakiś bojarzyn.

Co do tego panowała zgoda. Rozbieżności wśród wielmożów dotyczyły wyłącznie szczegółów, którymi się przierzucali, na wyprzódki dodając własne pomysły. Podczas gdy toczyła się zażarta dyskusja na temat sposobu stracenia byłego księcia Wołochów, Ion przypatrywał się ukradkiem młodszemu z Drakulów. Jego urodzive oblicze nie zdradzało żadnych emocji. Przysłuchiwał się proponowanym przez wzburzonych bojarzynów coraz wymyślniejszym technikom, które miały pozbawić jego brata najpierw integralności ciała, a potem życia, i na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

W końcu przerwał dyskusję władcym uniesieniem dłoni.

- Cokolwiek z nim zrobimy, najpierw musimy go pojmać - powiedział. - Dlatego powinniśmy raczej zacząć się zastanawiać, jak tego dokonać, choćby i jutro.

- Zapewne nasi sprzymierzeńcy rzucają się na mury jego twierdzy i wzniosą most ze swoich ciał, tak jak uczynili w Konstantynopolu - mruknął Turcul. - Przecież wszyscy szukają ukojenia duszy w męczeńskiej śmierci.

- To prawda - rzekł Mihailoglu Ali bej, wstając. - Lecz nikt z nas nie zamierza polec niczym ostatni głupiec. A ty - pochylił się i sięgnął po kielich Turcula, by chlusnąć jego zawartością na poły na stół, na poły zaś na bogato zdobiony dublet wielmoży - chyba zbyt wiele wypijeś, skoro sądzisz, iż możesz bezkarnie lżyć nas i obrażać naszą wiarę.

Żupan pobladł, zakrztusił się, pobiegł spojrzeniem ku Radu.

- Książę, ja ja protestuję

- Zamilcz, jeśli nie chcesz utwierdzić Mihailoglu Ali beja w jego opinii o tobie - rzucił przez zęby Radu. Odczekał, aż Turcul się uspokoi, po czym kontynuował: - Zresztą nie ma powodu do męczeństwa, skoro wystarczy zwykła zdrada. - Popatrzył wprost na Iona, który uciekł wzrokiem.

- Kiedy mój brat schronił się w twierdzy Poenari, nie mógł lepiej wybrać. Zbocza są zbyt strome, a mury zbyt wysokie, aby zdobyć cytadelę w zwykłej

walce. Jednakże nawet idealna kryjówka ma swoje słabości. Przydatne zwłaszcza gdy wie o nich także przeciwnik. Ionie, powiedz nam to, czym podzielił się z tobą Wład.

Taka była jego kara za to, że zdradził swego księcia: publiczne przyznanie, iż to uczynił. Ion pogodził się z nią i zaczął mówić:

- Do szczytu Poenari przylega inna góra. Prowadzi na nią wąska ścieżka, którą normalnie skrywa płatanina kolczastych krzewów. Szlak ten jest tak wąski, że na ogół korzystają z niego tylko kozice, a gdyby miał nim podążać oddział wojska, musiałyby poruszać się gęsiego, a i to z trudem. - Westchnął. - Wszelako tam gdzie przemknie się dzikie zwierzę, i człowiek da radę. Jeśli ludzi będzie wystarczająco wielu i pogodzą się z tym, że nie wszyscy wrócą, na tę drugą górę da się zaciągnąć armatę. Pod warunkiem że ciury wyrąbiają wpierw przejście

Jakby na zawołanie rozległ się daleki dźwięk, jaki wydaje topór wbijany w drewno, po nim kolejny i jeszcze jeden. Na dowód tego, że na zewnątrz rzeczywiście znajduje się armia umiejąca posługiwać się siekierami.

- Żołnierze pracują dzień i noc, przy świetle pochodni jeśli trzeba - dodał Radu. - Część drzew palimy, inne rąbiemy na kawałki. Nim wstanie świt, przejście stanie dla nas otworem. W południe będziemy mogli użyć puszek. Mury może i są wysokie i grube, ale w końcu to tylko mury, kamień i zaprawa, miejscami naruszona zębem czasu. Tylko donżon został wzniesiony z bloków granitu, lecz kiedy okalające twierdzę mury runą, cóż - urwał, uśmiechając się do swoich myśli.

Mihailoglu Ali bej dokończył za niego:

- W ciągu prac przygotowawczych zgromadzimy wystarczająco dużo drewna, aby wtedy podłożyć je pod donżon i podpalić, wykurzając Palownika z kryjówki albo piekąc go żywcem. - Turek wstał, podnosząc kielich do ust. - Jutro o tej samej porze będziemy patrzeć na zwęglone zwłoki Drakuli albo nabijać go na pal. Niewykluczone, że uda nam się zrobić i jedno, i drugie

Zgromadzeni powstali, unosząc kielichy i wykrzykując toasty. Ion wstał razem z nimi, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu, w gardle czuł narastającą drapiącą kulę. Spojrzał ponad blatem stołu na Radu, w dalszym ciągu szeroko uśmiechniętego. Wzniósł kielich nad głowę i nawet wykrzywił wargi, zanim na moment przymknął powieki.

Śmiechom, okrzykom i toastom nie było końca. Mężczyźni wstali ze swoich miejsc, zbili się w grupki, a Ion dołączył do jednej z nich i

odzyskawszy głos, także się śmiał i wiwatował razem z nimi. Lecz na jego trzewiach zaciskała się stalowa pięść nie mająca nic wspólnego z ilością wypitego trunku. Usiłował przekonać sam siebie, że znajduje się tu, gdzie powinien, że postąpił tak, jak należało, że wybrał właściwego Drakulę. Bezskutecznie jednak. Gdy zyskał pewność, iż w pijackiej euforii nikt nie zauważy jego zniknięcia, wymknął się cichcem z namiotu. Skierował się ku brzegowi rzeki, wszedł na grząski piach, zgiął się wpół i zaczął wymiotować, szarpany torsjami. Krztusił się i dławił długo po tym, jak opróżnił żołądek do cna, aż w końcu poczuł w ustach gorzki smak żółci. A może raczej taki smak miała jego zdrada. Przystając na to, nie otarł warg, by gorycz przypominała mu o jego wyborze.

Nienawidził Włada. Nienawidził go całym sobą, jak potrafi tylko ktoś, kto raz kochał obiekt swej nienawiści. Jedno uczucie zastąpiło drugie w okamgnieniu, gdy leżąc na płytach posadzki katedry w Tirgoviste, usłyszał przeraźliwy krzyk umierającej Ilony, krzyk, który mówił, co się działo za łukiem tęczowym świątyni. I nie miało znaczenia, że nigdy nie była ani nie miała być jego. Kochał ją. Gdyby Wład stanął teraz przed nim, przebiłby mu pierś na wylot z uczuciem ulgi i radości. Lecz gdy ci wszyscy zdrajcy o nalanych twarzach, ci zwycięzcy Turcy, ten piękny brat spiskowali pospołu, już dzieląc skórę na niedźwiedziu, już obmyślając, jakie to wymyślne cierpienia zadadzą jego księciu, nim pozbawią go życia, temu samemu księciu, temu samemu Władowi, którego chronił na ulicach Adrianopola i w zgiełku pól bitewnych i który chronił jego, i mógł poszczycić się bliznami na ciele o tym zaświadczającymi, gdyż bronili się nawzajem niezliczone razy, i Poderwał głowę do góry. Gąszcz lasu porastającego zbocze skrywał szczyt i położoną na nim twierdzę, jednakże Ion wiedział, że Wład tam jest wraz ze swymi ludźmi, dawnymi towarzyszami broni jego i księcia.

Otarł dłonią usta, przeganiając precz gorzki smak. Nienawidził człowieka ukrywającego się w twierdzy Poenari. Gdyby tylko mógł, pierwszy przedostałby się przez mury i zadusiłby go gołymi rękami. Mimo to nie mógł pozwolić, aby szakale rozszarpały go na strzępy. Wrócił chyłkiem do swojego namiotu, napisał list. A następnie pochwycił swój turecki łuk i wydostawszy się poza obóz, ruszył w górę zbocza.

42. BEŁT W CIEMNOŚCIACH

Dźwięk był zwyczajny, taki, jaki wydaje topór wbijany w żywe drzewo, i zrozumiały: armia potrzebowała drewna, na ogniska i do obrony, zwłaszcza że mieli się bronić przed wrogiem w zaledwie kilkadziesiąt dusz. Mniej zwyczajne było to, że rozlegał się w nocy - rzadko prowadzi się wyrąb lasu w ciemnościach. Kiedy do uderzeń jednej siekiery dołączyły następne: drugiej, dziesiątej, pięćdziesiątej, setnej - podszedł do otworu w murze i jął przebijać wzrokiem mrok, usiłując dociec, z której strony docierają odgłosy i dlaczego.

W którejś chwili musiał zasnąć, bo obudził go cichy jęk. Natychmiast otrzeźwiał, kładąc dłoń na rękojeści sztyletu i rozglądając się wokół siebie. Ale to tylko leżąca z nim kobieta rzuciła się niespokojnie na łożu, przeżywając senny koszmar. Patrzył na nią przez chwilę, po czym powrócił myślami do rąbiących toporów. Z zadumania wyrwało go nagłe kołatanie do drzwi. Zbliżył się do nich, pytając:

- Kto tam?

- Ilie.

Wład zdjął ciężką belkę, odłożył ją obok wejścia, dobył sztyletu i odstąpiwszy od drzwi, zawołał:

- Wejść!

Pchnięte skrzydło zaskrzypiało lekko. W progu stanął Czarny Ilie. Wład już miał się odezwać, powiedzieć, że też słyszy siekiery, że to normalne i nie ma się czego obawiać, kiedy dostrzegł cienie majaczące za szerokimi barkami witezia.

- Kto jest z tobą? - zapytał, wysuwając sztylet przed siebie.

- Wieśniacy z Arefu - odparł Ilie.

- Skąd oni tu - zaczął Wład i urwał. Arefu leżało na Wołoszczyźnie, a jej mieszkańcy byli chyba jego ostatnimi sprzymierzeńcami. Od zawsze wierni Drakulom, darzyli szczerą miłością Włada Smoka i nie odwrócili się w potrzebie od jego syna. Między innymi dlatego wybrał Poenari na swoją siedzibę. I dlatego nie miało sensu pytać, jak udało im się przekraść przez oblegającą wzgórze armię wroga. W końcu byli u siebie.

- Przeszukałeś ich? - spytał, a otrzymawszy potwierdzenie, dorzucił: - No

to ich wprowadź. I stań przy mnie z odsłoniętą bronią.

Do środka weszło trzech chłopów. Dwaj z nich musieli być spokrewnieni, takie podobieństwo ich łączyło - zapewne byli braćmi, może nawet bliźniakami. Pasterze od urodzenia, sterani ciężką pracą w polu i przy zwierzętach, mogli mieć równie dobrze trzydzieści, jak i siedemdziesiąt lat. Za nimi, w głębszym cieniu, stała trzecia postać. Mężczyzna odziany był w mnisi habit barwy odwróconej skiby ziemi, na głowę miał zarzucony obszerny kaptur. Pod natrętnym spojrzeniem Drakuli kapuca przesunęła się odrobinę, odsłaniając na moment twarz zakonnika, i wtedy kolana ugięły się pod księciem. Krzyknął, zatoczył się na ramię stojącego przy nim witezia, tak że ten musiał go podtrzymać.

Wład oddychał szybko, urywanie. Przymknął nawet oczy, aby uspokoić oddech, i otworzył dopiero, gdy - jak mu się zdawało - był gotów ponownie stawić czoło nieoczekiwanemu widokowi. Jednakże teraz kaptur znowu zakrywał oblicze tajemniczego gościa. Mimo to książę dobrze wiedział, kto nim jest. W mgnieniu oka pomiędzy jednym spojrzeniem a drugim dostrzegł oczy swego ojca, swoje oczy, oczy pałające zielenią przypisaną do rodu Drakulów. Nieraz widywał już Włada Smoka, który najczęściej przychodził doń w bezsenne noce podczas nieustającej wojny, a zawsze towarzyszył mu ból świeżych ran i gryzący smak wywarów mających uśmierzyć cierpienie duszy i ciała. Zdarzało się nawet, że przy tych okazjach rozmawiali ze sobą, tak jak wcześniej toczyli długie rozmowy, gdy pozostawał zamknięty w lochach twierdzy Tokat. Lecz przecież nigdy dotąd nie widział ojca w obecności innych ludzi. Nigdy aż do teraz. Przyboczny w dalszym ciągu trzymał dłoń na jego ramieniu. Gdy coś szepnął, Wład skierował spojrzenie na pasterzy, dostrzegając zdziwienie na ich twarzach. Wypuszczając powietrze z płuc, zmusił się, aby patrzeć wprost na nich, nie zaś błędzić oczyma w poszukiwaniu cienia za ich plecami, i przemówił:

- Bądźcie pozdrowieni. Z czym przybywacie?

Dwaj mężczyźni równocześnie postąpili krok do przodu, jeden po drugim uklęknęli, by ucałować pierścień z emblematem Smoka, po czym kłaniając się, dotknęli czołami czubków miękkich pantofli Włada. Przez cały ten czas figura za nimi ani drgnęła.

- Nie przybywamy, aby o coś prosić, lecz aby coś zaoferować - z nosowym zaśpiewem charakterystycznym dla doliny odezwał się pierwszy z pasterzy. - A tym czymś jest twoje zbawienie.

- Od spraw zbawienia duszy mam swojego spowiednika - rzucił Wład -

choć przyznaję, od dawna go nie widziałem, zapodział gdzieś po drodze.

- Nie chodzi nam o zbawienie twojej duszy, lecz ciała - oznajmił drugi z pasterzy niemal identycznym głosem jak jego brat bliźniak.

- Jesteśmy w stanie wyprowadzić cię z zamku tą samą drogą, którą sami tu przyszliśmy. Wiemy o ścieżce, której istnienia nikt inny nawet nie podejrzewa. Biegnie ona od jaskini pod tymi murami aż do rzeki.

Drakula przełknął ciężko. W dalszym ciągu skupiał wzrok na postaciach pasterzy, ignorując czającą się w mroku sylwetkę.

- Ja także dobrze znam tę górę - odparł - i nic mi nie wiadomo o żadnej tajemnej ścieżce.

Drugi z pasterzy oblizwał usta, zerknął na brata.

- Wybacz, miłościwy panie, że odważam się tobie zaprzeczyć - powiedział - ale ta ścieżka istnieje. Możesz nam zaufać w tej sprawie. Jak również co do tego, że zawieziemy cię bezpiecznie do brzegu rzeki, gdzie już czeka tuzin koni z przewodnikami, którzy przeprowadzą cię przez góry na drugą stronę, gdzie nic już nie będzie ci groziło.

- Tutaj również nic mi nie grozi.

- Na razie, być może. Lecz nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

- Przyszłość jest jasna. Z odsieczą nadciąga król Węgier - Nie uszło jego uwagi spojrzenie, jakie między sobą wymienili. - Wiecie coś o nim? Mówcie!

- Nic pewnego, miłościwy panie - zająknął się pierwszy z bliźniaków. - Ale słyszeliśmy, że jego przybycie jest wątpliwe.

- W takim razie źle słyszeliście - uciął Wład głosem na tyle donośnym, by dotarł do wścibskich uszu poza murami jego komnaty.

- Modlimy się, żeby tak było, miłościwy panie - stwierdził spokojnie drugi bliźniak. - Tymczasem jedyne, czego jesteśmy pewni, to że potrafimy cię wyprowadzić z twierdzy dzisiejszej nocy. Później - zerknął w kierunku otworów strzelniczych i wzruszył niezdarnie ramionami.

Drakula powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego i z powrotem.

- To, że przyszłście mi to wspomniałyście, może wystawić na niebezpieczeństwo was i wasze rodziny. Dlaczego to robicie?

- Moja rodzina od zawsze jest wierna Smokowi - powiedzieli chórem. - A poza tym - dodał jeden z nich.

- Co poza tym? - ponaglił go Wład. Znowu przemówił ten śmielszy.

- A poza tym twoja rodzina, miłościwy panie, również coś dla nas

zrobiła. Wład Smok przyznał nam prawo do wypasania kóz i owiec na halach dziesięciu okolicznych wzgórz, tyle że umarł, zanim otrzymaliśmy nadanie na piśmie, i teraz żupan Turcul zaprzecza, by coś takiego w ogóle miało miejsce. Gdybyś więc - wymownie zerknął na pierścień Drakuli, będący zarazem pieczęcią - wtedy my - urwał, pozwalając, by niewypowiedziana obietnica zawisła w powietrzu.

Książę rozejrzał się wokół. Popatrzył przez otwór strzelniczy na zewnątrz, ku światłom obozu wroga i odgłosom uderzeń toporów, potem zadarł głowę i spojrzął na belkowe sklepienie komnaty, na koniec powrócił wzrokiem do stojących przed nim mężczyzn. Wreszcie, gdy uznał, iż jest na to gotowy, powiódł spojrzeniem poza ich plecy. Błyskawicznym ruchem dobył sztyletu i w trzech krokach dopadł do za-kapturzonej postaci mnicha. Odtrącił czubkiem ostrza kapucę i uniósł sztylet do ciosu

Leżąca wciąż w łóżu Elisabeta krzyknęła przeraźliwie. Dwaj pasterze postąpili do przodu, lecz Czarny Ilie syknął na nich, potrząsając mieczem, i zamarł w pół ruchu. Wszyscy wpatrywali się w Drakulę i w klęczącego u jego stóp młodego mężczyznę, kulącego się ze strachu na widok obnażonego ostrza.

Z piersi Czarnego Ilie i Elisabety równocześnie dobyło się głębokie, pełne zdumienia westchnienie.

- Kim ty jesteś? - zapytał szeptem Wład.

Jeden z pasterzy poruszył się, podniósł nogę i przypomniawszy sobie o mieczu przybocznego, natychmiast ją opuścił, nie przybliżając się do księcia nawet o piędź. - Miłościwy panie to twój syn.

Od łóża dobiegł kolejny okrzyk. Elisabeta wstała, aby się lepiej przyjrzeć klęczącemu. Chłopak, który trzymał powieki zaciśnięte w oczekiwaniu na cios, otwarł oczy na dźwięk łagodnego głosu Dra-kuli.

- Kim była jego matka?

- Nazywała się Maria Sanctu. Zmarła, wydając go na świat.

- Nie pamiętam takiej

- Nie, miłościwy panie?

Drakula wolno opuścił broń, wsunął sztylet do pochwy i drugą ręką ujął klęczącego pod brodę. Rysy twarzy nie stężyły jeszcze w męską maskę, wciąż zachowując młodzieńczą miękkość, lecz zarazem stanowiły lustrzane odbicie oblicza patrzącego, a przy tym otwierały wrota dla wspomnień. Chłopak miał takie same jak on kości policzkowe, takie samo wysokie czoło, taki sam wydatny nos, takie same czarne włosy i brwi. Tylko oczy były

nieznacznie inne od jego, różniące się kształtem i głębokością osadzenia, aczkolwiek równie intensywnie zielone. Spoglądając w nie, Wład pokiwał głową.

- Właśnie sobie przypomniałem - rzekł zgodnie z prawdą. Znalazł się wcześniej w tej okolicy. Było to na początku jego panowania, w roku bodaj tysiąc czterysta czterdziestym ósmym, a zatem czternaście lat temu, kiedy to przybył z wizytą do wzniesionej przez jego dziada twierdzy Poenari i na okoliczne ziemie. Reszta to banał: ładna pasterka, samotny młody mężczyzna, chłodna noc - Jak cię zowią? - spytał swego syna, wciąż trzymając go za podbródek.

- Moja matka nalegała, by ochrzczono mnie Nicolae, po jej ojcu - odpowiedział chłopak głosem na granicy pomiędzy dzieciństwem i dorosłością; potem coś przesłoniło jego spojrzenie i już grubszym głosem dokończył: - lecz ja zawsze mówiłem o sobie Wład. Po moim ojcu.

W komnacie zapadła głucha cisza. Nikt już nie mógł udawać, że nie słyszy uderzeń opadających miarowo siekier i nawoływań drwali. A później rozległ się świst. Ostry, nagły i zakończony przeciągłym krzykiem.

Przez otwór strzelniczy - z niewłaściwej strony, można by rzec - wpadła do środka strzała. Grot utkwiał w zagłowie łoża, o dłoń od twarzy przerażonej Elisabety.

Ion potarł oczy i obniżył łuk. Zawsze był dobrym łucznikiem - niemal tak dobrym jak Wład. W dodatku teraz sprzyjał mu brak wiatru. Lecz z drugiej strony strzelał w ciemnościach nocy, z ponad dwustu kroków, ze szczytu jednego wzgórza na szczyt drugiego, wyższego, a więc nieco w górę, i mierzył do płomyka świecy widocznego przez wąski otwór strzelniczy w grubych murach twierdzy.

Wiedział, że dwa pierwsze strzały oddał w pustkę, a list przepisał tylko w trzech kopiach, licząc na wsparcie Trójcy Świętej.

A może raczej trójcy „Bóg, Człowiek i Diabeł” - pomyślał, ponownie unosząc łuk do twarzy i napinając cięciwę. Mierząc, koncentrował myśli na bełcie i przebitym nim kawałku pergaminu, który mógł zadecydować o losach Drakuli. Wypuścił powietrze z płuc, zwolnił cięciwę i niemal natychmiast usłyszał kobiecy wrzask. Trafiał. Bóg jeden tylko wiedział w co. Po tym jednym przeciągłym krzyku nie nadeszły następne. Dziękujemy Panu za drobne łaski - westchnął w duchu Ion Tremblac. Nadto dobrze pamiętał krzyki innej niewiasty, krzyki, które wciąż nie pozwalały mu zmrużyć oka w

nocy.

Wład od razu rozpoznał charakter pisma. Było nie było, wspólnie z Ionem zgłębiali tajniki stawiania liter, kiedy obaj mieli po siedem lat.

- Co tam jest napisane? - wyszeptała Elisabeta.

- Sama przeczytaj - polecił, podając jej pergamin. - Na głos. Zrobiła, jak jej kazał.

- „Kruk siedzi w gnieździe. Topory oczyszczają drogę dla armaty, która zagrzmie wraz ze wschodem słońca. Już ostrzą pał dla Ciebie. Jeśli zdołasz, uciekaj. - Podniosła wzrok znad trzymanej w rękę kartki. - Co zamierzasz?

Wszyscy wpatrywali się weń z natężeniem. Odwzajemnił spojrzenie każdego po kolei - pasterzy, syna, swego wiernego przybocznego. Na księżniczkę nawet nie zerknął, wyjmując jej list z rąk.

- Odejdę stąd.

Czarny Ilie wziął od niego pergamin.

- Książę, to jest pismo dwornika.

- To prawda - przyznał.

- W takim razie - Wielkolud zawahał się. Wszyscy witeziowie przekonali się już, że w obecności Drakuli lepiej nie wspominać o Ionie i jego zdradzie. Mimo to nie mógł milczeć. - Czy to nie pułapka? - Nagle przypomniał sobie o pasterzach, którzy zjawili się z nieoczekiwaną propozycją. - Część większego spisku?

Wład rozważył słowa przybocznego i po chwili potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że Ion Tremblac wyrwałby mi bijące serce z piersi, gdyby miał po temu okazję. Niewykluczone, że prędzej czy później spróbuje to zrobić. Lecz nie należy do tych, co stoją z boku i biernie przyglądają się, jak robi to kto inny. - Zwrócił się ku jednemu z braci. - Masz tuzin koni, powiadasz? - Otrzymałszy milczące potwierdzenie, dalej mówił do Czarnego Ilie: - Zabiorę ciebie, niemowę i ośmiu innych. Niech witeziowie ciągną losy. - Przerwał na chwilę. - Mój syn także pojedzie ze mną.

Chłopak aż się zatchnął.

- A reszta? - Czarny Ilie już czekał na dalsze rozkazy.

- Muszą utrzymać mury całe, póki nie oddalimy się na bezpieczną odległość. Potem niech każdy próbuje szczęścia na własną rękę.

- A ja? - spytała Elisabeta lodowatym tonem. - Czy i ja w obliczu Turków mam próbować szczęścia na własną rękę?

Drakula gestem kazał wszystkim opuścić komnatę. Jego syn ociągał się z

wyściem, lecz Ilie pchnął go w stronę drzwi, które następnie starannie zamknął za sobą. Kiedy Wład został sam na sam z Elisabetą, na powrót umieścił zasuwę na swoim miejscu i zaczął zbierać swoje rzeczy, równocześnie mówiąc:

- Gdzieś tam - ruchem brody wskazał okolicę - jest twój ojciec, który szuka chwały w mojej śmierci. Moi ludzie utrzymają cytadelę tak długo, jak się da, po czym spróbują ucieczki albo się poddadzą. Jeśli Bóg ci sprzyja, wrogowie wyznaczą łagodne warunki i żupan odzyska cię całą i zdrową. Gdyż jak oboje wiemy, twoje dziewictwo jest wciąż w cenie

- Jeśli Bóg mi sprzyja - powtórzyła z niedowierzaniem. - Czy naprawdę nienawidzisz mnie aż tak bardzo, że jest ci obojętne, iż niewierni Turcy mogą mnie zamęczyć na śmierć, w ostatnich chwilach mojego życia odbierając mi owo cenne dziewictwo, którym wzgardziłeś?

Wład w dalszym ciągu pakował sakwę, nie podnosząc oczu znad zebranych w pośpiechu przedmiotów.

- Czy cię nienawidzę? Nigdy nie poświęciłem ci dość uwagi, by zapalać do ciebie jakimkolwiek uczuciem - rzekł zimno.

- To prawda, co o tobie powiadają! Jesteś Diabłem wcielonym! - krzyknęła i rzuciła się w stronę małych drzwi prowadzących na wieżę. Drakula nadal wypełniał sakwę tym, co mogło mu się przydać podczas ucieczki i później, nie zaprzatając sobie głowy niewieściami fanaberiami, do chwili gdy usłyszał wołanie: - Ojczy! Żupanie Turculu!! Pomocy!!!

Topory przestały uderzać w pnie drzew i wokół twierdzy zaległa absolutna cisza. Wtedy głos Elisabety poniósł się jeszcze dalej.

- Ojczy! Diabeł myśli o ucieczce! Pomocy! Na pomo Czyjaś dłoń zakryła jej usta i zdławiła ostatnie słowo.

- Milcz, kobieto! Moja ucieczka jest dość trudna i bez ucha! Nie zdołał stłumić jęku. Elisabeta schwyciła jego okaleczoną dłoń, która nigdy nie wydobrzała na tyle, by mógł się nią w pełni sprawnie posługiwać i przysparzała mu regularnie bólu, nawet gdy nikt jej dotykał. Chcąc nie chcąc, musiał zwolnić uścisk na jej twarzy. Wyrwała mu się i przebiegła na drugi kraniec wieży. Pomimo obojętności bólu w miejscu kikuta po odciętym palcu Wład sięgnął do pochwy i wy dobył sztylet. W słabych promieniach księżyca, docierających pod drewniane zadaszenie wieży, zabłyszczała stal.

- To był chyba - wysyczała z goryczą - pierwszy raz, kiedy mnie dotknąłeś - Czując się pewnie po przeciwnej stronie, wyciągnęła szyję i

jęła ponownie wołać o pomoc w stronę świateł tureckiego obozu: - Na pomoc, ojczy! Drakula ucieka!

Skoczył ku niej, a ona odruchowo cofnęła się, szybko - zbyt szybko. Stopy zaplątały się w skraj długiej sukni, tak że potknęła się i upadła dokładnie pomiędzy dwa zęby blanek, a ciężar jej ciała przeważał i pociągnął ją w dół. Wład schwycił rąbek jej sukni, lecz trzema palcami i kciukiem nie był w stanie przywrócić Elisabecie równowagi i zahamować upadku. Runęła w dół. Wprawdzie sam donżon nie był nazbyt wysoki, mierzył może tyle, ile sześciu rosnących mężczyzn, za to został wzniesiony na skraju urwiska. Elisabeta nie skręciła karku ani nie przestała krzyczeć wniebogłosy, dopóki nie uderzyła w skały mniej więcej w połowie przepaści.

Wład długo patrzył w rozciągającą się w dole ciemność, po tym jak krzyki kobiety ucichły i zanim drwale podjęli pracę. Usłyszawszy pierwsze uderzenia topora, odwrócił się i zwinnie zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Dokończył pakowania w ciągu paru uderzeń serca. Doskonale pamiętał, jak niewiele potrzebuje zbieg, i to właśnie zabierał ze sobą. Smoczy Szpon już przerzucony w pochwie przez plecy; pierścień z emblematem Smoka na jedynym małym palcu; zwinięty w kostkę sztandar Drakulów. Mniej okazała, aczkolwiek równie mocno ufortyfikowana tylna brama wychodziła na północne zbocze góry, tak strome, że nie udało się tam zbudować choćby krzywej wieży. Pomagając sobie nawzajem i linami, paru ludzi zdołaloby się z mozołem wspiąć po zboczach. Albo zsunąć się w dół. Daleko w dole płynęła wijąca się wstęga rzeki Ardzesz. Ilekroć księżyc wychylał się zza chmur, połyskiwała srebrzyście.

Wład popatrzył w dół, potem w górę, na blanki. Ci, którzy z nim się nie wybierali, spoglądali nań z wysokości murów. Usłuchali go bez szemrania - ze strachu, z miłości i z wszystkich powodów plasujących się pomiędzy tymi dwoma uczuciami. Wiedzieli, dlaczego otacza go tylko dziesięciu przybocznych. A on wiedział, że przysięga wierności przestanie obowiązywać obrońców twierdzy Poenari z chwilą, gdy uciekinierzy znajdą się w dolinie. Miał nadzieję, że niektórzy z nich przeżyją. Turcy wysoko sobie cenili wyszkolonych niewolników i nawet dość się o nich troszczyli - niemal tak samo dobrze jak o swoje zwierzęta gospodarskie - aczkolwiek zupełnie inaczej sprawa się miała z żądnymi zemsty Wołochami.

Odganiając myśli o losie porzuconych, przeniósł wzrok na pasterzy, którzy mieli powieść wybrańców tajemną ścieżką, na tych, do których

uśmiechnęło się szczęście podczas losowania, wreszcie na swojego syna. Oczy lśniły w znajomej twarzy niezdrowym blaskiem.

Wład coraz bardziej widział w chłopcu siebie w młodzińcych latach - jadącego dumnie u boku ojca na spotkanie z sułtanem. Tak jak jego syn teraz, on również w przeszłości znikąd nie uciekał, tylko zmierzał ku nieznanemu przeznaczeniu. Ku swemu kismetowi. Nagle dotarło do niego, że los wciąż go nie dopadł, że jego przeznaczenie jeszcze się nie wypełniło.

Mając w uszach głuchy dźwięk coraz częstszych uderzeń toporów i złowieszcze krakanie kruków, mężczyzna i chłopiec zsunęli się jako ostatni po sypkim gruncie. Mroząca krew w żyłach przepaść kończyła się nagle niewidoczną z góry pieczarą, z której rozwijała się wstęga ścieżki wiodącej w dół ku rzece. Na jej brzegu czekały spętane wierzchowce. Nie bojowe rumaki, tylko wytrzymałe górskie tarpany. Konie miały kopyta owinięte szmatami, żeby mogły bezgłośnie poruszać się w kamienistym korycie rzeki, prowadzone przez przewodników, o których mówili dwaj pasterze.

W pewnym momencie rzeka dość ostro skręcała. Przed nimi rozciągały się długie pasma górskie rzucające cień na dolinę. Za nimi wciąż widoczna była twierdza Poenari. Wład skrócił wodze, pozwalając innym wysforować się naprzód, po czym obrócił się w siodle i spojrzał za siebie. Księżyc, który się właśnie wyłonił zza skłębionych chmur, był w nowiu, opierając się dolnym rożkiem o blanki cytadeli. Drakula, będąc niewiele starszy od chłopca, który przed chwilą go minął, zdążył już zdobyć i stracić tron po raz pierwszy. Przynależał sobie wtedy, iż powróci i odzyska utracone dziedzictwo. Teraz wiedział, że była to przysięga godna młodzika. Starszy od tamtego siebie o czternaście lat i bogatszy w rozmaite doświadczenia, nic nie obiecywał ani sobie, ani Bogu. Gdy księżyc znowu zaszedł, wbił ostrogi w boki wierzchowca - robił to, odkąd utracił Kalafat - podążył za innymi i po chwili połknął go mrok.

43. ZDRADA

Braszków, Siedmiogród, sześć tygodni później

- Jak wyglądam?

Stoica i Ilie wzruszyli ramionami. Pierwszy nie mógł odpowiedzieć, drugi obawiał się wyrazić swoje zdanie. A jednak to wzruszenie ramion wystarczyło za odpowiedź - że gospodar wołoski powinien przyjąć wysłanników króla Macieja Korwina i radę miasta Braszowa odziany godnie, jak na księcia przystało. Wszyscy wiedzieli, że posiada wspaniały strój z czarnego aksamitu, zamówiony tego samego dnia, w którym przybył do Braszowa przed ponad miesiącem, i dostarczony już w tydzień później, a opłacony przez mieszkańców. Ci bowiem niczego by mu nie odmówili, mając w pamięci jego poprzednią wizytę sprzed trzech lat, kiedy to negocjował z nimi za pomocą ognia i zaostrzonych drewnianych pali.

Lecz tego dnia błyszczący miękki strój pozostał w skrzyni na ubrania, a wojewoda odział się w zbroję. Wcześniej nawet nie pozwolił Stoicy wyklepać licznych wgłęć ani zeszkrobać grubej warstwy błota i krwi, która zrudziawszy ze starości, przypominała wyglądem rdzę. Wład uśmiechnął się, doceniając elokwencję swych przybocznych, nie zmienił jednak decyzji. W przeciwieństwie do sług wiedział, jak myślą możni tego świata. Gdyby wystąpił przed rajcami i emisariuszami Korwina przyobleczony w dworskie szaty, zostałby potraktowany jak jeszcze jeden pretendent do tronu, dopraszający się o wsparcie, złoto i wojska, aby odbić koronę z rąk obecnego księcia. Odziany we własną wysłużoną zbroję prezentował się jak wojownik, którym był w istocie - co więcej, zwycięski wojownik toczący ciągłą wojnę, która zaledwie uległa przerwaniu. Czarna zbroja Drakuli miała im również przypominać o czymś jeszcze: o tym, co potrafił robić najlepiej. O jego kunszcie zabijania.

Odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion i odwrócił się do drzwi. Patrząc na nie, przypominał sobie scenę z przeszłości, gdy w okolicy Wielkiejnocy także wpatrywał się w pewne drzwi. Stał wtedy przed tajemnym wejściem do wielkiej sali dworu książęcego w Tirgoviste i

przymierzał się do rzucenia wyzwania bojarzynom. Swoim zwyczajem zapytał towarzyszącego mu Iona, jak wygląda, a ten odpowiedział szczerze, bez ogródek, i z pewnością teraz też nie oszczędziłby swemu księciu prawdy - bez względu na to, czy niosłaby pochwałę i admirację czy też krytykę i obrazę. Uśmiech spelzł z warg Włada. Iona przy nim nie było. Pozostał sam, jeśli nie liczyć tych dwóch wiernych sług, spoglądających nań z nieskrywaną dezaprobatą. Ale już za kilka godzin miał zyskać zaczątki armii i obietnicę złota, którym opłaci żołnierzy. Ci zaś ruszą na wojnę, której daleko było do końca.

- Mój miecz - rzucił.

Stoica podał mu Smoczy Szpon i jał gmerać przy pasie przerzuconym przez książęce ramię, lecz Wład powstrzymał go uniesieniem okaleczonej lewej dłoni. Następnie opuścił ją, kładąc trzy palce na rękojeści miecza zdobnej w emblemat frunącego smoka i myśląc o innym smoku, który oczekiwał nań w gildii złotników braszowskiego ratusza.

Janos Horvathy Poznał go, kiedy przebywał na wygnaniu na dworze Korwina. Horvathy był wtedy świeżą krwią w otoczeniu nowego króla, który nie ufając zasiedziałym na swych zamkach wielmożom, poszukiwał ludzi lojalnych tylko wobec siebie, mniej znacznych i młodszej daty, lecz ambitnych i łaknących zaszczytów. Sądząc z tego, że Janos Horvathy został wysłany z tak ważną misją, musiał w ciągu tej dekady zdobyć zaufanie Macieja Korwina i pozycję. Uśmiech powrócił na oblicze Drakuli. Spowodowała go nie myśl o przysiędze, jaką Horvathy złożył swemu królowi, lecz wspomnienie przyrzeczenia, jakie obaj wypowiedzieli, przystępując do zakonu rycerskiego.

„Bracie Smoku - tymi słowami przywitał go Horvathy tydzień wcześniej. Ciepło kryło się także w specjalnym uścisku przedramienia, którym obdarzył go hrabia Peczu, w powitalnym pocałunku w oba policzki, w długim spojrzeniu. W następnych dniach twardo negocjował warunki w imieniu swego suwerena, lecz Wład nawet wówczas czuł, że Węgier ma obligacje także wobec potężniejszej siły, wynikające z przysięgi najświętszej ze wszystkich.

- Bracie Smoku - powtórzył teraz Drakula, a Stoica, który nie dosłyszał lub nie zrozumiał, uznał, iż jego pan ponownie rozkazał mu przypasać miecz. Tym razem książę pozwolił przełożyć gruby skórzany pas przez pierś i ramiona i tylko nieznacznie poprawił Smoczy Szpon na plecach, tak by jego czubek osłonięty pochwą nie dotykał samej ziemi.

Wład przełożył rękę ponad barkiem, upewniając się, że gdyby zaszła potrzeba, zdołałby dobyć miecza w okamgnieniu, mimo iż wiedział, że ostrze ma mu tylko posłużyć jako dopełnienie wizerunku niezwycięzonego wojownika. Wierzył, że nie będzie musiał go użyć, skoro pośród rajców i wysłanników czeka na niego inny członek Zakonu Smoka.

- Pora na nas - zarządził.

Janos Horvathy potarł oczy. Nie pomogło to wiele i obraz nadal pozostał rozmyty. Ulżyć mógł mu tylko sen, a tego nie zażywał wystarczająco w ciągu ostatniego tygodnia, odkąd rozpoczęły się negocjacje z Drakulą ba, w ciągu minionych trzech dni nie spał wcale, gdyż Maciej Korwin, król Węgier i jego suweren, uznał, iż czas już zakończyć rozmowy i przejść do konkluzji. Snu z powiek Horvathyego nie spędzała bynajmniej świadomość, że musi nadać ustaleniom ostateczny i możliwie detaliczny kształt, tylko wspomnienie innej, ważniejszej przysięgi.

- Mości hrabio? Słyszeliście, co mówiłem?

Horvathy poderwał się na ten nagły głos. Całkiem zapomniał, że Jiskra jest tuż obok. Jakimś cudem zdołał skupić wzrok na twarzy starego żołnierza: na nosie skrzywionym w lewo przez dawno zapomniany cios, na miejscami różowawej jak u niemowlęcia skórze, tu i ówdzie łuszczącej się, tak że męczyzna wyglądał, jakby go obsypano mąką, na gęstej skołtunionej siwej brodzie, na małych, osadzonych blisko siebie oczach. Im bardziej koncentrował się na szczegółach, tym wzrok mu się bardziej wyostrzał.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że już czas, mości hrabio. Wszystko gotowe.

- Rada czeka?

- Wszyscy rajcy zajęli swoje miejsca.

- Twój ludzie są w pogotowiu?

- Każdy usłyszał wyraźne rozkazy.

- Jesteś pewien, że sobie poradzą?

Jan Jiskra parsknął.

- Czemu, na rany Chrystusa, wszyscy tak bardzo obawiają się tego Wołocha? Czy dlatego, że odniósł parę zwycięstw nad Turkami, wykorzystując przy tym hm wyszukane metody? - Zaśmiał się drapieźnie. - Cóż, ja zabijałem Turków za pomocą wyszukanych metod ! już kiedy mały Drakula ssiał cycek swojej mamki. Poza tym teraz za cały poczet ma tych dwóch przygłupków. A ja znam się na swoim fachu.

- W to nie wątpię. Chodzi mi tylko o to - Hrabia urwał i zaczął od nowa: - Nie żal ci, że trzeba postąpić tak a nie inaczej?

- Mam żałować, że trzeba postąpić tak a nie inaczej? - powtórzył z niedowierzaniem Jiskra. - Żołnierz robi to, co mu każą !

A rozkaz naszego króla jest jasny i prosty. Drakula to dla nas wszystkich utrapienie, kula u nogi. W dodatku zwykły głupiec! - Przytaknął sobie energicznym skinieniem głowy. - Tylko głupiec się domaga, żeby Kruk dotrzymał starych obietnic. Żaden władca nie wywiązuje się z danego słowa, chyba że jest mu to na rękę. Królowie działają, kierując się względami praktycznymi. A w obecnej sytuacji wyprawiać się na Turka nie leży w interesie Węgier, zresztą Korwin nigdy nie zamierzał walczyć z niewiernymi w imię jakichś mrzonek. Przewidział dla swej armii inne cele, leżące raczej na północ od jego królestwa niż na południe, i z pewnością znajdzie lepsze przeznaczenie dla swego złota. Władcą pełną gębą stanie się dopiero wówczas, gdy na jego skroniach spocznie korona świętego Stefana, za którą cesarz nie tak znów świętego Cesarstwa Rzymskiego żąda, bagatela! osiemdziesięciu tysięcy koron! Za tyle złota z łatwością można poprowadzić wojsko na zwycięską wojnę albo - Jiskra zmrużył powieki - wykupić wysadzaną klejnotami królewską koronę z rąk lichwiarza. - Obrócił się, chrząknął donośnie i splunął w palenisko. - Jakby tego było komuś mało - rozkręcał się wyraźnie, lecz Horvathy mu przerwał.

- Wiem, wiem! - Uniósł dłoń, hamując potok słów. Jiskra, rozkręciwszy się, potrafił perorować tak godzinami, przedstawiając swoje teorie na temat polityki. Jeśli tylko mu pozwolono. - Chodziło mi o to, że ja czuję żal, iż sprawy mają przybrać taki obrót - stwierdził, wskazując na trzy zrolowane pergaminy leżące na stole.

Jiskra wzruszył ramionami.

- Co znaczy kilka więcej kłamstw w ich masie? Ten Wołoch robi niepotrzebne zamieszanie, odwołuje się do papieża, do innych władców. Należy więc udowodnić, że zdradził wspólną sprawę, a potem się go pozbyć.

- Zdradził wspólną sprawę? - mruknął pod nosem Horvathy. - Ciekaw jestem bardzo, kto tu jest prawdziwym zdrajcą!

- Boże w niebiesiech - Jiskra wznosił oczy ku sklepieniu. - Mości hrabio, jesteście jednym z zaufanych ludzi Korwina, korzystacie na łasce królewskiej. Czy przypadkiem nie macie też odzyskać swego zamku, kiedy będzie wykupywał koronę z zastawu? Pod warunkiem że zrobicie, jak każe Powiem wam jeszcze coś: nie przeżyjecie w Budzie, w tym wężowym

gnieździe, ani jednego dnia, jeżeli tak wam zależy na nieskazitelności waszego sumienia.

Rozgniewany Horvathy skontrował:

- Nie tylko królowi jestem winien lojalność! Drakula i ja należymy do tego samego zakonu rycerskiego! Powołanego po to, by orężem zwalczać niewiernych. Członkowie Zakonu Smoka przysięgali sobie wierność i pomoc w potrzebie. A ja nie lekceważę swoich obietnic

- Niech piekło pochłonie możnych i ich nic niewarte przyrzeczenia! - ryknął Jiskra. - Wolę być wolnym człowiekiem, a nie jednym z grupki szaleńców! Służę tylko Bogu Najwyższemu i królowi, co znacznie upraszcza sprawy i moje życie. - Wyprostował się. - Nie zamierzam okazywać lojalności nikomu innemu. Ktokolwiek jest ich wrogiem, musi zostać publicznie oskarżony i wtrącony do lochu, tak by wieść o jego niegodziwych postępkach i zdradzie rozniosła się szerokim echem. - Pochylił się ku Horvathemu. - Gotowiście uczynić, co do was należy, mości hrabio, czy też raczej będziecie się kryć za swymi przysięgami i sumieniem, na mnie zwalając brudną robotę?

Horvathy podniósł się z miejsca, sięgając po miecz.

- Bez obaw - rzekł. - Uczynię, co do mnie należy. Nie mam innego wyjścia.

- Zaiste, nie macie - potwierdził Jan Jiskra. W tej samej chwili otworzyły się drzwi komnaty i przez próg przestąpił żołnierz. Jiskra odwrócił się na moment do niego i odczytawszy znak, dodał:

- Drakula już tu jest.

Podwójne odrzwia do siedziby gildii złotników w braszowskim ratuszu otworzyły się na rozcież. W jednej chwili rajcy, usadowieni po obu stronach długiego stołu wedle znaczenia i bogactwa, zamilkli i zwrócili spojrzenia ku wejściu. Horvathy, siedzący u krańca stołu na lekkim podwyższeniu, zamrugał oczami oślepiony przez rażące światło słoneczne, które wpadło do środka. Moment później majacząca w progu ciemna postać postąpiła krok do przodu, przecinając promień słońca i sprawiając, że hrabia dostrzegł jej sylwetkę wyraźniej. Obrzucił spojrzeniem pogiętą zbroję i sfatygowaną pelerynę i uśmiechnął się, odczytawszy przesłanie, jakie miały nieść. Zaraz jednak przypomniał sobie, iż cokolwiek Drakula powie tego dnia, nie będzie miało żadnego znaczenia.

Przeniósł wzrok na poruszonych, poszeptujących rajców obrośniętych

tłuszczem i obleczonych w aksamitne dublety i błyszczące peleryny, stanowiących jawny kontrast dla żyłatego rycerza w wysłużonej zbroi, mającego za całą gwardię tylko dwóch mężczyzn. Rajcowie spoglądali na nowo przybyłego z mieszaniną pogardy i strachu, gdyż to on trzy lata temu zmusił ich do upokarzającej kapitulacji, teraz zaś przychodził do nich jak dziad proszalny. Na twarzach tych nielicznych, którzy z konieczności zostali zaznajomieni z planem, czaiły się tryumfalne uśmieški.

Wład Drakula, nie rozglądając się na boki, przeszedł pewnym krokiem na środek komnaty i zatrzymał się przed stołem, na którym spoczywały archiwa rady miejskiej Braszowa w postaci ciężkich, oprawnych w skórę tomiszcz. Obok nich stały dwa szczerozłote przedmioty, symbole zamożności cechu złotników i przykłady sztuki należących do niego rzemieślników. Jednym był księżyc opleciony liśćmi winorośli, drugim - sokół o rozłożonych skrzydłach, z których każde było wielkości męskiej dłoni, rozdziobujący upolowanego zająca, przy czym zarówno ptak, jak i zwierzę zostały przedstawione w najdrobniejszych szczegółach. Przyglądał się im przez moment, podziwiając misterne wykonanie i zastanawiając się nad losem drapieżnika i ofiary. Potem podniósł spojrzenie na rajców, na których polecenie obie figurki powstały, i dojrzał wcale nieskrywane uśmiechy. Przeniósł wzrok na kraniec stołu i siedzącego na podwyższeniu mężczyznę i zauważył w jego szarych oczach czający się smutek. Zobaczył jeszcze, jak Horvathy zerka w lewo, i na granicy pola widzenia dostrzegł nieznaczny ruch, kiedy Jan Jiskra dawał znak.

Do komnaty wpadł tuzin zbrojnych. Jedni w dłoniach dzierżyli miecze, drudzy tylko pałki. Czarny Ilie na widok obnażonej stali sięgnął do swojego boku, lecz zaraz spadły na niego ciosy, powalając go na ziemię i dalej uderzając na oślep - po głowie, brzuchu, nogach. Stoica zdążył dobyć sztyletu, ale nic poza tym; zanim się zorientował, stał z własnym ostrzem przyłożonym do gardła. Wład pozostał na razie nietknięty, aczkolwiek czubki mieczy były wymierzone prosto w jego pierś. Żaden nie przebił go być może dlatego, że uniósł już wysoko ręce w czytelnym geście poddania, Odczekał, aż ucichł gwar, po czym zapytał donośnie: - Dlaczego?

Przewodniczący rady powstał, aby udzielić odpowiedzi, lecz Drakula nawet na niego nie spojrzał. Swoje pytanie kierował do Węgra stojącego u szczytu stołu, jakieś dziesięć kroków przed nim. Horvathy zaczerpnął powietrza i mając nadzieję, że głos mu nie zadrży, przemówił zarówno do pytającego, jak do rozmieszczonych w czterech kątach pomieszczenia

skrybów, mających przykazane zapisać każde słowo, jakie tutaj padnie.

- Władzie Drakulo, mieniący się księciem Wołoszczyzny, doszły nas słuchy o twej zdradzie, która wywołała w naszych sercach wielki żal i smutek. Nazywałeś siebie rycerzem Chrystusa i wiernym wasalem dobrego króla Macieja Korwina, a tymczasem jak życie pokazało, zdradziłeś ich obu.

Drakula odezwał się głosem pewnym i mocnym w przeciwieństwie do słabego i drżącego, jakim mówił hrabia.

- Życie pokazało? Jak niby? Odkąd pamiętam, nie robiłem nic innego, jak służyłem Bogu i wypełniałem powinności wobec Korwina, daremno oczekując wzajemności.

- Mamy twoje listy - odparł krótko Horvathy.

- Listy? Jakie listy?

- Takie - Węgier wskazał na trzy zwoje przed sobą. - Pierwszy napisałeś do swego zdradzieckiego kuzyna, Stefana z Mołdawii. Drugi do wielkiego wezyra Turków, Mahmuda. Trzeci i ostatni do samego sułtana, którego kłamliwie nazywałeś swoim śmiertelnym wrogiem. Wszystkie one świadczą o tym, że snułeś w tajemnicy plany przeciwko swoim oficjalnym chrześcijańskim sprzymierzeńcom. Że zamierzałeś przyjąć od miłościwie nam panującego króla Macieja Korwina zaoferowaną armię i na polu bitwy obrócić ją przeciwko prawowitemu władcy. Że wykoncypowałeś sobie wziąć ofiarowane ci złoto dobrych ludzi z miasta Braszowa i przekupić nim tych, którzy winni są swoją lojalność Krukowi. Wreszcie, co woła o pomstę do nieba - Horvathy podniósł ze stołu jeden z pergaminów - że przyobiegałeś pojmać w niewolę króla Węgier i odarłszy go z godności przynależnej namaszczonego świętym olejem, dostarczyć go niewiernym w pętach i bez odzienia na grzbiecie

W miarę jak hrabia mówił, rajcowie poszeptywali coraz głośniejsze, a gdy padły jego ostatnie słowa, wielu zakrzyknęło ze zdumieniem i wytykając palcami zdrajcę, jęło go przeklinać w żywy kamień. Co bardziej zapalczywi, nagle nabrawszy odwagi w obliczu Syna Diabła, spluwali otwarcie w jego stronę. Wład stał bez ruchu, nie zwracając uwagi na obelgi, i wpatrywał się w jednego tylko człowieka.

Ów człowiek uniósł dłoń, aby uciszyć powstały harmider, po czym podjął:

- Wszystko to jest w tych listach czarno na białym, podpisane twoim imieniem i przypieczętowane twoją pieczęcią. Pergaminy te zostaną dołączone do archiwów miasta Braszowa, a drukarze otrzymają zadanie

opublikowania i rozpowszechnienia pamfletów, tak aby cały świat dowiedział się o twej zdradzie i podłości. - Horvathy opuścił dłoń z trzymanym zwojem, zauważywszy, że palce mu drżą. Już cichszym głosem zapytał: - Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

- Tylko to - odrzekł Wład, podchodząc i nachylając się nad stołem tuż przed hrabią. Choć jego ruchy były powolne, zbrojni zdwoili czujność i obstąpili go ciasniej, mierząc w niego półtuzinem mieczy.

- Wiem, czemu robią mi to mieszkańcy Braszowa, którzy żywo nienawidzą mnie od co najmniej trzech lat. Wiem też, czemu robi mi to król Węgier, pod którym kiwa się niepewny tron, tak że jedynym sposobem, aby go ustabilizować, jest podłożenie papieskiego złota, pierwotnie przewidzianego na krucjatę przeciwko niewiernym. - Dopiero teraz podniósł głowę i spojrzał prosto w zamglone oczy Horvathyego.

- Nie wiem jednak, dlaczego ty mi to robisz bądź tylko pomagasz, aby mi to uczyniono. Przecież musisz zdawać sobie sprawę, bracie, że te fałszywie rzucone oszczerstwa przyniosą niesławę naszemu zakonowi rycerskiemu. I to jest prawdziwa zdrada, w której wyniku przeklęci zostaną wszyscy członkowie Zakonu Smoka, a ostrze włóczni chrześcijaństwa wymierzonej w serce niewiernych zostanie stepione być może na zawsze.

Horvathy poczuł, że miękną mu kolana. Pochylił się jak pod uderzeniem, schwycił brzeg stołu i tak - poprzez drewno - połączony ze stojącym naprzeciwko niego mężczyzną, powiedział wolno:

- Czynię to, co muszę, Drakulo. Dla królestwa, dla króla

- I dla siebie - wpadł mu w słowo Wład. - Bo nie wątpię, że dostarczywszy mnie Krukowi na srebrnej paterze, wzrośniesz w siłę bardzo szybko, zyskując pozycję na dworze w Budzie. Ale posłuchaj mnie uważnie, Janosu Horvathy - wyprostował się nagle, wyciągając przed siebie okaleczoną dłoń, i ułożywszy trzy palce w znak klątwy, kontynuował: - Nie zaznasz spełnienia w twym dążeniu do władzy i potęgi. Przeklinam ciebie i twoją rodzinę na wieki! Moje przekleństwo nigdy was nie opuści. I już wkrótce przekonasz się, że rzucona przeze mnie klątwa jest równie prawdziwa, jak twoje kłamstwa były fałszywe. Dowiedz się, że nie bez przyczyny mówią na mnie Syn Diabła!! - jego głos przeszedł w krzyk.

- Brać go! - wrzasnął Jan Jiskra.

Jeden ze zbrojnych postąpił do przodu, lecz Wład zrobił unik i zamiast dać się schwytać, sam złapał żołnierza za rękę, złamał mu kość i odepchnął kwilącego jak dziecko na drugiego, który właśnie ruszył kamratowi na

pomoc. Wład rozejrzał się i wykorzystując chwilę przewagi, doskoczył do środkowego stołu, pochwycił szczerozłotego sokoła i zamachnąwszy się potężnie, cisnął nim przed siebie. Ostro zakończony metalowy dziób, ręką złotnika na zawsze skierowany ku ciału zmartwiałej ze strachu ofiary, wbił się prosto w lewe oko Horvathyego. Hrabia zawył i zatoczył się do tyłu, nie widząc, jak zbrojni opadają chmarą ścichłego, nagle bezbronnego Drakulę.

CZEŚĆ IV

OSTATNIA WYPRAWA

*Grzech mój wyznałem Tobie i nie ukryłem mej winy.
Rzekłem: „ Wyznaję nieprawość moją wobec Pana , a Tyś darował winę mego grzechu.*

*Psalm 32, Wyznanie uwalnia od grzechów
Pieśń pouczająca, Księga Psalmów*

44. WYGNANIE

Twierdza Poenari, 1481 rok

- Jak powiedział, tak się stało.

W wielkiej sali twierdzy nareszcie zapadła cisza. Horvathy przestał mówić, pierwszy raz od naprawdę długiego czasu. Już wcześniej urwały się wtrącenia pustelnika zamkniętego w swym konfesjonale, lecz nie tracącego wątku opowieści i często dodającego coś od siebie, przynajmniej dopóty, dopóki hrabia nie zaczął wyrzucać z siebie słów tak szybko, że spisujący je skrybowie ledwie nadążali. Teraz wszyscy trzej z ulgą rozprostowywali palce i korzystając z okazji, ostrzyli nowe pióra.

Horvathy nie pozwolił im jednak odpoczywać długo.

- To - dotknął narośniętej na zamkniętym oczodole blizny - okazało się najmniejszym z przekleństw. Drakula nie mylił się: zyskiwałem na znaczeniu, a hrabstwo Pecz z zapomnianej przez Boga krainy zamieniło się w mlekiem i miodem płynące ziemie lenne króla Węgier. Tenże stawał się coraz silniejszym monarchą także za moją sprawą. A jednak wzrostowi mojej potęgi towarzyszył cień klątwy. - Na moment przymknął zdrowe oko. - Moja żona zmarła w wieku dwudziestu pięciu lat. Moi dwaj synowie poszli w ślady matki; jeden zginął na wojnie od śmiertelnej rany, drugi oddał Bogu ducha podczas zarazy. Moja jedyna córka skonała w połogu, próbując wydać na świat swoje pierwsze dziecko, które nie tylko ją zabiło, ale i samo nie ujrzało nigdy światła słonecznego. A ja - ja jestem ostatnim z rodu Horvathych i nic już tego nie zmieni

Ponownie zapadło milczenie, które tym razem przerwał inny głos.

- Uboższy duchem człowiek byłby już dawno pogrążył się w cierpieniu i smutku - rzekł cicho kardynał Grimani - ty wszakże nadal robisz co w twej mocy, aby wypełnić przysięgi złożone swemu królowi i Stwórcy.

- Nie, eminencjo. W najlepszym razie służę im obu. Lecz usiłuję wypełnić całkiem inne przyrzeczenie, złamane w obliczu brata w Zakonie Smoka. To samo, za które spadła na mnie klątwa i którego sprzeniewierzenia nikt nigdy mi nie darował. - Wbił spojrzenie jedyne oko w rzymskiego

hierarchę. - Lecz wciąż się łudzę, że to, co tutaj usłyszeliśmy to, co wciąż czeka na nasz osąd sprawi, że klątwa zostanie zdjęta, a przebaczenie udzielone. Oraz że sztandar Smoka raz jeszcze z dumą uniesie się w górę.

Grimani odwrócił głowę, uciekając przed palącym wzrokiem hrabi.

- Słusznie prawisz, mości hrabio - rzekł obojętnym tonem - że wyrok jeszcze nie zapadł. Wszelako powoli zaczyna się już klarować. Bo widzi mi się, iż nie pozostało wiele do wysłuchania. Tym bardziej więc wyteżmy wszyscy siły, żeby doprowadzić rzecz do końca. - Rzucił spojrzenie w stronę łukowatych okien, przez które wpadało światło wstającego dnia. - Pragnę opuścić to miejsce, mając wyrobiony pogląd na sprawę i gotowe rekomendacje dla Ojca Świętego, nim znów zapadnie noc. Aczkolwiek - zawiesił głos - chętnie poświęcę nieco więcej czasu, aby wyjaśnić pewne luki i niekonsekwencje w opowieści naszych świadków - Popatrzył na ostatni w rządzie konfesjonał. - Gdzie ty byłeś, ojcze?

Zza zasłony dobiegł skrzekliwy głos pustelnika.

- Ja?

- Ano ty - potaknął Italczyk. - Przekazując nam słowa Włada Drakuli, rzekłeś, że ksiązę zapodział cię gdzieś po drodze. Zatem gdzie się podziewałeś?

- Ja - Pustelnik odkaszlnął. - Usłyszawszy, do czego doszło w katedrze, przyłączyłem się do dziesiątek dziesiątków uciekinierów z Tirgoviste, nie chcących stanąć samotnie oko w oko z Turkami.

- Chcesz rzec, że nie byłeś na weselu swego księcia? Ani na uczcie uświetnionej lasem pali?

- Nie byłem.

- A mimo to pomagałeś pozostałym dwóm świadkom opisywać wspomniane wydarzenia.

Hrabia Peczu pochylił się do przodu i okręciwszy lekko w krzesło, popatrzył na siedzącego po lewej kardynała.

- Jakie to ma znaczenie? - zapytał.

- Tylko takie, że nawet ten spowiednik, który zdałoby się, poznał Drakulę jak nikt inny, nie wszystko widział na własne oczy i przekazuje nam zasłyszane przez się opowieści, podczas gdy ten drugi - wskazał na konfesjonał skrywający rycerza - w swym szaleństwie ma chwilami wrażenie, że jest kim innym, choćby tym Turkiem, Hamzą baszą.

- Znałem go dobrze! - zaprotestował Ion. - Odwiedzałem go w lochu, kiedy

Obaj wielmoże zignorowali jego słowa.

- Z czego płynie wniosek ?

- Z czego płynie wniosek - powtórzył kardynał - że ich świadectwo musi zostać potraktowane z wielką ostrożnością.

- Czyż nie po to powołaliśmy aż trzech świadków, aby pozyskawszy trzy różne wersje, zgodzić się na tę jedną, prawdziwą? - zdziwił się Horvathy.

- Zaiste - potwierdził Grimani, rozpierając się w krześle. - Po prostu uznałem, iż należy na to zwrócić uwagę, dla potomnych i ku przestrodze. Ludzka pamięć jest zawodna, a wyobrażenia czasem bez granic. Przekaz to tylko przekaz, nic więcej, wart tyle, ile honor opowiadających. Dlatego - uśmiechnął się lekko - werdykt powinien zapaść w naszych duszach.

Horvathy skinął głową.

- I powinien odpowiadać naszym potrzebom.

- W rzeczy samej.

Petru, mniej zaprawiony w wielkiej polityce, za to wciąż wierzący w proste prawdy, wtrącił:

- Ale przecież ten mężczyzna był spowiednikiem Drakuli! Mówi nam to, co usłyszał z jego ust. Nawet jeśli teraz popełnia grzech, zdradzając tajemnice konfesjonału, nie możemy nie dawać mu wiary. Żaden człowiek nie łże podczas spowiedzi.

- Doprawdy? - spytał kpiąco kardynał. - Znałem ludzi, którzy wyolbrzymiali swoje grzechy, w nadziei że jeśli raz uzyskają odpuszczenie win awansem, później będą mogli grzeszyć ile wlezie, nie narażając nieśmiertelnej duszy na uszczerbek.

Młody spatar nie posiadał się z oburzenia.

- Być może postępują tak rzymscy katolicy - Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, ściągając na siebie gniew kardynała, do rozmowy włączył się Horvathy.

- Ludzie wszędzie są tacy sami, spatarze. Czuję pewność, iż nawet Turcy za pomocą swoich rytuałów postępują podobnie, licząc, że uda im się wyprowadzić w pole duchownych, a także samego Najwyższego. Byle tylko uzyskać wybaczenie tego, co prędzej czy później uczynią - Głos wyraźnie mu zadrżał. - Tak czy inaczej, skoro słowa jego eminencji znalazły się już w protokole, kontynuujmy. - Odwrócił się ku słuchalnicom. - Ja także żywię niejaki wątpliwości co do spójności twojej opowieści, ojcze. Powiedz nam, kiedy znów pojawiłeś się u boku Drakuli?

Pustelnik zaskrzeczał:

- Udałem się doń, gdy znalazł się w niewoli w Wyszehradzie.

- Znowu w lochu - mruknął kardynał Grimani.

- Wyszehrad to nie Tokat - zauważył Horvathy - raczej pałac niż więzienie. W oknach i drzwiach nie ma krat. Wokół cytadeli położone są wspaniałe ogrody utrzymane w italskim stylu. A jaka bogata ziemia otacza zamek! Nie brak w niej zwierzyny do polowania z ogarami i sokołami! - Pokiwał do siebie głową. - Można tam być wcale szczęśliwym.

- Drakula szczęśliwy?! - zdumiał się Petru. - Po tym jak zabijał, obracał w perzynę, niszczył - po tym jak utracił tron i miłość swego życia? - Przełknął ciężko. - Po tym jak zdradził go najbliższy przyjaciel, który teraz raczy nas swoją wersją opowieści, próbując wytłumaczyć i usprawiedliwić swoją zdradę? - Potrząsnął energicznie głową. - Czy naprawdę, mości hrabio, podejrzewasz, że wiódł tam życie ukontentowanego pana na włościach?

- Ukontentowanego? - burknął Horvathy. - A skądże mi to wiedzieć? Najpewniej bywały chwile, że ryczał z wściekłości niczym raniony tur. Lecz koniec końców, co może robić śpiewający ptak, jak nie śpiewać? Świat się zmienił, Drakula utracił niemal wszystko: koronę, władzę, poparcie, miłość - Obrzucił wzrokiem dwa pierwsze konfesjonały. - Poznał już, jak smakuje życie wygnańca. A teraz w dodatku miał tysiące wrogów, którzy czaili się na każdym kroku z odsłoniętym sztyletem, łaknąc jego krwi. Mógł traktować więzienie jak schronienie broniące go przed zakusami zawistników myślących o zemście.

- Wreszcie mógł być zwyczajnie zmęczony - dodał Grimani. - Zmęczony ciągłym przelewaniem krwi.

Horvathy zwilżył spierzchnięte wargi.

- Ta część opowieści jest wciąż przed nami.

Goszczący sędziów dowódca twierdzy Poenari zerknął w wysokie i wąskie łukowate okna, przepuszczające do środka słabe światło dnia.

- Nie powinniśmy przedtem odpocząć? - zaproponował. - Tkwimy tu cały dzień i całą noc. Może ostatnich wyznań powinniśmy wysłuchać ze świeżym umysłem po choć krótkim śnie? Hrabia Peczu spojrział z ukosa na kardynała.

- Nie. Podzielam zdanie jego eminencji w tej kwestii: im szybciej poznamy zakończenie tej historii, tym lepiej. Bez obaw, spatarze, już niedługo pozbędziesz się nas ze swego zamku i znów legniesz u boku swej uroczej małżonki. Być może nawet o wszystkim zapomnisz. - Uniósł dłoń,

powstrzymując protesty. - Pozwólcie, że przyśpieszę proces, co jestem zdolny uczynić, gdyż wiem, co nastąpiło później. Przebywałem przecież na dworze Kruka, dokąd dochodziły rozmaite słyuchy i docierały wydrukowane pamflety potępiające w czambuł postać Włada Drakuli. I gdzie sam pogrążałem się jeszcze bardziej, skazując na wieczne potępienie Zakon Smoka poprzez rozpowszechnianie pogłosek - Potarł palcami czoło i podjął: - Minęło trochę czasu, sprawa Drakuli przybladła, ponieważ pojawiły się nowe potwory, na których skupiła się nasza uwaga. Chrześcijanin podniósł znów miecz na chrześcijanina, podczas gdy niewierni siedzieli bezpiecznie u siebie, śmiejąc się z nas do rozpuku.

- To nic nowego - mruknął kardynał. - Przejdź do tego, co było dalej, mości hrabio.

- Dalej - ciągnął Horvathy - jakieś cztery lata później, kiedy oczy wszystkich odwróciły się od niego na dobre, Drakula został cichcem przeniesiony z Wyszehradu do Pesztu, gdzie zamieszkał w podarowanym mu domu na brzegu Dunaju, skąd mógł podziwiać królewski pałac w Budzie. Co więcej, dano mu za żonę królewską kuzynkę.

- Co? - sapnął Petru. - Jak to?

- Wciąż chodził na postronku Korwina, lecz cieszył się o wiele większą swobodą. Głównie dlatego, że król wdał się w wojnę z krewnym Drakuli, Stefanem z Mołdawii, który jak pewnie pamiętacie, zdradził księcia podczas jego krucjaty, zmuszając do podzielenia niewielkiej armii. Kruk najpierw użył imienia Drakuli jako straszaka wobec niego, a potem, kiedy już dwaj chrześcijańscy monarchowie dogadali się między sobą i wspólnie zwrócili przeciwko niewiernym, nadal się nim posługiwał jako groźbą, tyle że wobec Turków. Drakula był bronią trzymaną w zanadrzu

Grimani aż się pochylił ku hrabi, pytając:

- Widziałeś go wtedy?

- Nie - pokręcił głową Horvathy. - Maciej Korwin miał dla mnie inne zadania, kiedy Drakula zjawiał się na jego dworze. Widać chciał mi oszczędzić spotkania. Wład bywał gościem w Budzie, ilekroć przybywało tureckie poselstwo. Kruka bawiło, że wysłannicy sułtana bledną na widok Drakuli i pośpiesznie ściągają turbany. - Zaśmiał się, aczkolwiek bez cienia wesołości w głosie.

- Lecz jak każda broń, tak i ta prędzej czy później musiała zostać dobytą z zanadrza.

Kardynał wciągnął powietrze, natomiast Petru zapytał z młodzieńczą

niecierpliwością: - I co się stało?

- Co się stało? - powtórzył hrabia Peczu. - Świat ponownie uległ zmianie.
- Skierował spojrzenie jedyne oko na słuchalnice. - Które z was opowie nam o szczegółach?

45. UŚPIONY SMOK

Peszt, królestwo Węgier, trzynaście lat po uwięzieniu Włada Drakuli, luty 1475 roku

Zmierzchało, kiedy Ion dotarł do budynku na skraju miasta. Żałował, że nie udało mu się przybyć wcześniej, tak aby mógł dostarczyć wiadomość i powrócić do pałacu królewskiego w Budzie jeszcze za dnia. W tych czasach mało kto ważył się bowiem podróżować po ciemku.

Trudności piętrzyły się przed nim, odkąd tylko podjął się tego zadania miesiąc przedtem. Na samym początku drogi ledwie pokonał przełęcz Górną Fogaraskich, teraz zaś napotkał spalony most łączący Budę z Pesztem. Normalnie o tej porze roku nie stanowiłoby to problemu, gdyby nie wyjątkowo wczesna odwilż, która uniemożliwiając przeprawę po zmarzniętej tafli ludziom i bestiom, nadwerżyła solidną zwykle pokrywą lodu na Dunaju, nie na tyle jednak, aby promy i łodzie mogły poruszać się swobodnie. Ion musiał nadłożyć drogi, udając się w górę biegu rzeki do zwiężenia, w którym siłą ludzkich rąk wyciosano w pękającym lodzie przeprawę, przepłacić dwukrotnie za przewiezienie jego i wierzchowca na drugi brzeg, po czym wrócić wzdłuż nurtu do Pesztu. Oznaczało to dlań konieczność przenocowania w zajezdzie, gdyż nigdy nie zatrzymałby się pod dachem człowieka, któremu przywiózł wiadomość.

Ów dach niczym nie odróżniał się od innych pokrywających okoliczne budynki - szara kamienna dachówka pięła się ostro do góry z dwu stron, łącząc się niezgrabną kalenicą z drewna. Domostwa były zwaliste, wzniesione na planie kwadratu, każde miało łukowatą bramę, zdolną pomieścić nieduży powóz, i rozmieszczone symetrycznie okiennice, zamknięte na głucho przed zimnym porywistym wiatrem. Ściany były barwy ochry, miejscami bardziej żółtej, gdzie indziej znów raczej brązowej, jakby pomocnik murarza niezbyt znał się na swojej robocie. Ogólnie, nic imponującego. W większości należały z pewnością do mniej znacznych kupców lub mieszczan. Ionowi nie śpieszyło się z zeskoczeniem na ziemię i zapukaniem do drzwi, mimo że jadąc tutaj, spędził w siodle aż miesiąc i teraz

zimno kąsało go dotkliwie w odsłonięte partie ciała, lodowatymi podmuchami zagładając także pod okrywające go futro i nękając niezliczone blizny i wielokrotnie nastawiane kości wrażliwe na chłód. Każda kolejna zima była dlań trudniejsza do zniesienia; z każdym kolejnym rokiem stawał się coraz sztywniejszy w stawach, a jego włosy coraz bielszymi kosmykami opadały mu wciąż na oczy, maskując piętno zadane ręką Mehmeda przed trzema dziesiątkami lat, obecnie już mniej odcinające się krwistą czerwienią, a bardziej ginące pośród zmarszczek.

Bezwiednie wyciągnął rękę i przejechał palcem po ledwie wyczuwalnej wypukłości. Sam nie wiedział, czemu się waha, skoro w drodze tutaj śmiało parł naprzód, odkąd wyruszył z suczawskiego dworu Stefana Mołdawskiego zwanego Wielkim.

Być może odpowiedzią było to, że nie widział się z człowiekiem, przed którego domem stał, od ponad trzynastu lat. Od dnia pod każdym względem innego w Tirgoviste, kiedy z nieba lał się żar, a w powietrzu panowała duchota. I gdyby miał cokolwiek do powiedzenia, gdyby król i księżę nie widzieli jego roli odmiennie, nigdy już by się z nim nie spotkał. Ion wołał myśleć, iż to Bóg nimi kierował. Musiał wierzyć, iż taka jest wola Boga, w przeciwnym razie nie zdołałby podprowadzić wierzchowca pod wrota, zeskoczyć tam z siodła ani objąć dłonią metalowej kołatki, unieść jej i nie zastukał. Zanim bowiem opuścił rękę, zza drzwi dobiegły go znajome odgłosy: uderzanie stali o stal, męskie krzyki. W środku ktoś walczył, i to walczył o życie. Wiedziony instynktem rycerza Ion w okamgnieniu przytroczył konia do palika przy bramie i dobył miecza. Przyciskając jedno ucho do metalowej kratownicy, posłyszał ciężki tupot stóp i zdławiony wrzask przerażenia. Ion Tremblac nie przebył całej tej męczącej drogi po to, aby dostarczyć wiadomość trupowi. Tymczasem gospodarz domu najwyraźniej stanął oko w oko z jednym ze swych licznych wrogów. Nie namyślając się wiele, Ion przekręcił żelazną gałkę w drzwiach i ze zdziwieniem przekonał się, że skrzydło ustępuje bez oporu. Pchnął je silnie, gdyż nie wiedział, jak szybko będzie zmuszony wkroczyć do akcji, i wstąpił w ciemny tunel, zza którego wciąż dobiegały krzyki. Koniec mrocznego tunelu zdawał się płonąć - to pochodnie jasno oświetlały dziedziniec położony za zewnętrznymi wrotami i krótkim przedsionkiem. Osłaniając oczy przed rażącym blaskiem, Ion wypatrzył dwie poruszające się sylwetki. Obie dzierżyły w dłoniach miecze bastardowe. Jedna postać desperacko przyjmowała ciosy na zastawę, druga zaś uderzała miarowo: z góry i od dołu,

z szerokiego wymachu i z bliska.

Podkraść się ostrożnie bliżej, pozwalając oczom przywyknąć do płomieni łuczyw i trzymając swój miecz w pogotowiu. Walczący mężczyźni tańczyli wokół siebie po dziedzińcu, a echo niosło odgłosy szczęki metalu, ciężkiego oddechu i powtarzających się okrzyków.

Kiedy zniknęli Ionowi z pola widzenia, przyłożył dłoń do krawędzi przedsonka, zaczerpnął powietrza i wychylił się zza węgła.

W tej samej chwili jeden z walczących uniósł miecz do ciosu, moment później zachrobotła stal. Mężczyźni zwarli się, oddzieleni tylko skrzyżowanymi ostrzami, żyły na rękach im wystąpiły, gdy mocowali się, usiłując zyskać przewagę. Byli tak zajęci sobą, że nie zauważyli intruza i Ion mógł im się bezkarnie przyglądać przez kilka uderzeń serca. Jeden z nich był odziany w czarny skórzany kaftan i pełną przyłbicę zasłaniającą twarz. Drugi - odwrócony do Iona plecami - miał nagi, lśniący od potu korpus, do połowy przykryty długimi ciemnymi włosami. Spomiędzy kruczoczarnych pasm wyzierały grube sploty mięśni, zdające się parować na chłodzie wieczoru. Nie miał pojęcia, jak powinien zareagować. Nie wiedział przecież na pewno, kto walczy ani dlaczego. Zamierzał już zawołać albo w inny sposób odwrócić uwagę szermierzy, kiedy zapasy skończyły się nagle i zakuty w stal przeciwnik, ugiąwszy kolana, wyprostował się błyskawicznie, odpychając tego o nagim torsie. Ów zatoczył się na stojącą na dziedzińcu ławę, przytrzymał jej, po czym okręcając się w miejscu, uniósł miecz nad głowę i

I wtedy Ion zorientował się, że ma przed sobą Włada Drakulę. Wypuścił powietrze z wrażenia. Czy to możliwe?

Książę nie zmienił się ani na jotę od czasu, gdy widział go po raz ostatni. Takie samo węzłaste ciało, włosy czarne niczym skrzydła kruka, gęsty długi wąs Blizny, wyraźnie widoczne w jasnym świetle pochodni, tak że Ion bez trudu mógłby powiedzieć, od jakiej broni, gdzie i kiedy powstała każda z nich. Ani trochę nie posunięty w latach od ich ostatniego spotkania, a nawet może młodszy! Ion przeżegnał się raz, potem drugi i zaczął mamrotać modlitwę mającą go uchronić od Złego. Byli tacy, co powiadali, że książę jest Synem Diabła nie tylko w imieniu. Nie dawał takim pogłoskom wiary aż do teraz, kiedy na własne oczy zobaczył dowód, iż Drakula niechybnie musiał zawrzeć pakt z szatanem. Zaprzedał własną duszę, w zamian otrzymał wieczną młodość i nieśmiertelność.

- Boże w niebiesiech, chroń mnie od Złego! - krzyknął mimowolnie Ion.

Szermierze, którzy zwarli się już w następnych zapasach na stal i mięśnie, nie mogli go nie usłyszeć. Nie opuszczając mieczy, rozejrzeli się równocześnie wokół, po czym Drakula odjął ostrze i uwolniwszy przeciwnika, jął się wycofywać. Bezimienny rycerz z przyłbicą w okamgnieniu odwrócił się ku niemu i obniżając lekko ostrze, zaszarżował jak rozjuszony byk. Poruszając się jak błyskawica, jednym zwinnym ruchem nadgarstka ciął powietrze przed sobą, powodując przeraźliwy skowyt Drakuli. Uderzenie serca później Ion zrozumiał, dlaczego książę krzyknął. Na jego płaskim, gładko umięśnionym brzuchu pojawiła się czerwona linia, której brzegi momentalnie się rozchyliły, pulsując krwią. Drakula z jękiem wypuścił miecz z dłoni, złapał się za brzuch i ponownie zatoczył w tył. Kant ławy podciął mu nogi i książę padł na wznak jak nieżywy. Ten drugi pochylił się nad nim, lecz nie zadał morderczego ciosu, tylko sięgnął dłońmi do głowy i zaczął ściągać przyłbicę, mówiąc:

- Czy ty nigdy się nie nauczysz? Walki nie przerywa się bez względu na okoliczności, walczy się dopóty, dopóki przeciwnik trzyma miecz w ręku

- Raniłeś mnie! - rzucił tamtemu w twarz Drakula.

- Owszem - potwierdził, zdejmując hełm, przez co jego głos nabrał metalicznego brzmienia - i mam nadzieję, że blizna, którą ta rana pozostawi, nauczy cię czegoś i kiedyś uratuje ci życie. Szłom znalazł się nad głową i Ion pomyślał, że śni.

Obok siebie stali dwaj identyczni mężczyźni, tyle że ten, który właśnie odsłonił twarz, zdawał się rozświetlony najjaskrawszą błyskawicą, jaka kiedykolwiek przecięła niebo. Wszystko to, co było czarne jak noc u na wpół nagiego młodzika: wąsy, brwi, gęste włosy opadające luźno na ramiona, u tego drugiego było białe jak wysuszona na słońcu kość. Po pierwszym wrażeniu zaraz nadeszło drugie: że dwaj mężczyźni nie są tak do siebie podobni, jak mu się z początku zdawało. Starszy był raczej karykaturą młodszego - z zapadniętymi oczyma, nosem wydłużonym i haczykowatym, z pergaminową skórą luźno opiętą na kościach policzkowych. Mimo to rozpoznał go, zanim jeszcze ów obrócił się i przemówił.

- Witaj, Ionie - powiedział prawdziwy Drakula. - Spodziewałem się ciebie.

Po krótkiej prezentacji młodzik został odprawiony. Rana nie zrobiła większego wrażenia na starszych mężczyznach, takie draśnięcie było niegodne uwagi dojrzałego rycerza, którego skóra i serce stwardniały podczas licznych pojedynków. Mimo to obaj odprowadzali go pełnymi troski

spojrzeniami, gdy wchodził do budynku poszukać pomocy u gospodyni.

- Chciałem, żeby został duchownym - rzekł Wład - ale on uparł się, że zostanie wojownikiem. No więc uczę go, jak się robi mieczem, i nie zapominam przy każdej okazji uświadomić mu, jaka jest cena jego wyboru.

- Masz syna - odezwał się Ion. - Nie miałem pojęcia, że spłodziłeś syna tak wcześnie. Ile on właściwie ma lat?

- Dwadzieścia sześć. Pamiątka z Arefu. Poznałem go tej samej nocy, której uciekłem z twierdzy. Chybiłeś wtedy, Ion.

Ion zeszywniał.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Czyżby? - Wład przyglądał mu się uważnie przez chwilę, po czym odwrócił wzrok. - Mam jeszcze dwóch innych synów, ale to mali chłopcy. - Ponownie popatrzył na przyjaciela. - A ty? Ilu ty masz synów?

- Ani jednego - odparł Ion. - Za to mam pięć córek.

- Aż pięć? W twoim domu musi panować niesamowity gwar.

- Za to u ciebie jest niesamowicie cicho.

Wład potaknął skinieniem.

- Moja żona chowa chłopców, kiedy ćwiczymy na dziedzińcu. Zazwyczaj leje się wtedy krew. Czasem nawet moja, bo robię się coraz wolniejszy. - Ujął Iona pod ramię. - Zostaniesz na wieczerzy?

Ion powiódł wzrokiem ku dłoni, która obejmowała go za łokieć. Kciuk, trzy palce i kikut.

- Nie. Rozkazano mi dostarczyć wiadomość. Ale mogę się zatrzymać, gdzie chcę, i jadać, z kim chcę, panie.

Okaleczona dłoń zacisnęła się mocniej.

- „Panie ? Przypominam ci, że wciąż jestem księciem.

- Nie moim - odparował Ion. - Ja służę innemu księciu.

Wład nawet nie drgnął, lecz na jego twarz wypłynął krwisty rumieniec, zadziwiający w kontraście z wszechobecną bielą.

- Tak słyszałem. Memu kuzynowi Stefanowi z Mołdawii. Niektórzy mówią o nim „cel Mare za sprawą jego sławionych w pieśniach zwycięstw nad Turkami i Węgrami. - Obniżył głos do szeptu. - Podczas gdy moje zwycięstwa uległy zapomnieniu, a mnie nazywają Palownikiem. Jak gdyby na pamięć zasługiwało narzędzie sprawiedliwości, którą kiedyś zaprowadziłem na swoich ziemiach.

- Och, ludzie pamiętają o tobie z wielu powodów, panie - rzucił przez zęby Ion, wyrywając ramię z uścisku.

Wład Drakula ze spokojem patrzył na wyższego od siebie mężczyznę, odnotowując gorycz w jego głosie i spojrzeniu. Wreszcie skinął głową i powiedział sucho:

- Cóż, tak czy inaczej nie podejmuję niczyich wysłanników, kiedy jestem spocony, a w gardle mam pustynię. Więc albo zostaniesz na wieczerzy i zjesz przy moim stole, albo wrócisz kiedy indziej spa-tarze.

Ion milczał przez chwilę.

- W takim razie zostanę.

- Doskonale. - Wład zaklaskał w dłonie. - Z pewnością pamiętasz niemowę?

Z cienia arkad wysunął się niewielki łyśy mężczyzna. W odróżnieniu od swego pana nie wydawał się mocno posunięty w latach. Ion dostrzegł drobne kurze łapki w kącikach jego oczu, dopiero gdy Stoica zbliżył się i wszedł w krąg światła.

- Oczywiście, że pamiętam - potwierdził Ion. - Co u ciebie? - zwrócił się bezpośrednio do niemowy. Ten wzruszył ramionami, nie zmieniając wyrazu twarzy. Tymczasem Wład kontynuował:

- To nie jedyna znajoma twarz, na jaką natkniesz się w Peszcie. W okolicy zamieszkało wielu moich witeziów. Czarny Ilie wciąż jest moim przybocznym, chociaż w mieście ma żonę i rodzinę. - Następne słowa skierował do sługi: - Zabierz konia do stajen, a jego sakwy do komnaty gościnnej.

- Powiedziałem, że zostanę na wieczerzy - zaprotestował Ion. - Nie mówiłem nic o noclegu.

- Uwierz mi, nie chcesz chodzić po ulicach Pesztu nocą. To nie Tirgoviste sprzed trzynastu lat. No ale oczywiście będziesz mógł zadecydować, kiedy już zaspokoisz głód i pragnienie po długiej podróży.

Ruchem głowy ponaglił niemowę. Stoica skłonił się i wycofał ku bramie, a Wład już zniknął w mroku arkad. Nie obracając się za siebie, rzucił jeszcze do Iona: - Gdy dzwon na wieży wybije ósmą, Stoica po ciebie przyjdzie. - Chwilę później nigdzie go nie było widać.

Przed Ionem wyrósł pacholek. Wziąwszy jego skinienie za zaproszenie, rycerz schował miecz do pochwy - przez całą rozmowę nawet nie pamiętał, że trzyma ostrze obnażone - wzdrygnął się bezwiednie i ruszył za służącym.

46. PERSWAZJA

Drakula był sam; siedział przy dalszym końcu prostokątnego stołu. Kiedy Ion wszedł, nie podniósł głowy, tylko dalej spoglądał na chybotający płomień świecy. Dopiero gdy rycerz zajął przygotowane dlań miejsce za przeciwległym krańcem blatu, tym bliższym drzwi, Wład uniósł spojrzenie zielonych oczu, w których jednak nie pojawił się błysk rozpoznania. Ignorując tak chłodne powitanie, Ion przyjął z rąk sługi, który zaraz wycofał się na korytarz, kielich grzanego wina, choć nie przytknął go od razu do ust.

Aby uniknąć pustego, świdrującego spojrzenia gospodarza, opuścił wzrok na świeżo nakryty blat stołu. Znajdowały się na nim dwa garnce z parującą zawartością - w jednym było wino podgrzane z korzeniami i jałowcem, wydzielające ciężką, upajającą woń, w drugim zaś, również sądząc po zapachu, polewka z dziczyzny (Ion nie miał kłopotów z rozpoznaniem domieszki zepsucia, charakterystycznej dla skruszałego zająca czy królika). Pomiędzy garncami stały cynowe misy, noże i łyżki, dwa kandelabry i metalowe drzewko przedstawiające dąb o gałęziach pozbawionych liści na zimę; kunszt rzemieślnika poznać było po splekanej korze i powykręcanych malowniczo konarach. Płomień świecy odbijał się w gładkich zmijowych zębach rozwieszonych na nich gęsto.

Ion z niechęcią spojrział w oczy bez wyrazu. Wskazując na finezyjne drzewko, zapytał przesadnie głośno, aby nareszcie przerwać martwą ciszę:

- Czyżbyś wciąż obawiał się otrucia?

Drakula drgnął.

- Niczego się nie obawiam - odparł głucho. - Lecz jako że moim przeznaczeniem nie jest zginąć z ręki truciciela, korzystam ze zmijowych zębów. I z rogu jednorożca. - Obrócił kielich, ukazując tę jego stronę, na której w ściankę ze srebra wtopiono prążkowany róg.

- Ty masz taki sam - dodał.

Ion popatrzył na trzymane w ręku naczynie.

- Musiało cię to sporo kosztować.

- Nie mnie, tylko moją żonę.

- A, właśnie. Kiedy dołączy do nas ona i twój syn?

- Mój syn udał się na miasto hulać z przyjaciółmi i przechwalać się

świeżą blizną. Jak słyszałem, od lat nie płaci za trunki, gdyż tylu jest chętnych, aby postawić mu dzban wina czy piwa i zobaczyć ślady po Smoczym Szponie. Tych dzbanów musiało być już całkiem sporo, bo jak sam widziałeś, młodzik nie potrafi skoncentrować się na walce. - Drakula przyłożył kielich do warg i upił łyk. - Natomiast moja żona zajrzy tu na chwilę, lecz nie zostanie na wieczerzy. Jeden z naszych synów jest chory i żona niemal go nie odstępuje. - Wład wstał, uśmiechając się. - O wilku mowa Wejź, moja droga, i poznaj mojego dawnego przyjaciela, Iona Tremblaca. Ionie, przedstawiam ci Ilonę.

To imię! Nie schodziło z jego myśli od dnia, w którym opuścił Tirgoviste, jak gdyby Ilona Ferenc towarzyszyła mu na każdym kroku, a jej rany krzyczały na głos, domagając się zemsty, której z różnych powodów nie mógł spełnić. Teraz wstając od stołu, Ion zachwiał się lekko, nim obrócił ku niemożliwemu.

Jednakże to nie duch stał w progu, tylko kobieta z krwi i kości. Twarz miała białą jak ściany za nią, oczy ciemne i błyszczące, nos długi, a kości policzkowe wystające. Wysokie czoło o zgolonych brwiach - taka moda panowała na dworze w Budzie - zakrywał kornet trzymający w ryzach czarne włosy. W niczym nie przypominała Ilony, o której Ion pamiętał w każdej chwili swego życia, lecz jeśli nawet nie była piękna, to dało się zauważyć w jej oczach nadzwyczajną łagodność.

Kobieta podeszła bliżej i wyciągnęła do rycerza rękę. Ion pochylił się, żeby pocałować podaną dłoń, i usłyszał:

- Witaj, panie. Wiele o tobie słyszałam. - Mówiła po węgiersku, głosem miękkim i przyjemnym.

Ion, prostując się, poczuł zmieszanie. Co też Wład powiedział o nim swojej żonie? On niewiele mówił w domu o mężczyźnie, którego niegdyś darzył szczerym uczuciem, a jeśli już to robił, to zazwyczaj zamroczony trunkiem albo przez sen, krzycząc lub bełkocząc, pełen żalu lub złości.

- Ja - zająknął się. - Bardzo bym sobie życzył poznać cię lepiej, pani - wykrztusił po chwili.

- Ja też na to liczę - zrewanżowała się. - Być może niebawem znajdzie się po temu sposobność. Lecz na razie muszę doglądać chorego dziecka, drugie zaś - urwała, sięgając ręką do tyłu, i nagle u jej biodra pojawiła się miniaturowa twarzyczka o włosach i olbrzymich oczach koloru jej własnych, barwy nocy, należąca bez wątplenia do chłopca lat około czterech. Malec wyrzwał zza obfitej sukni matki, zadzierając brodę, żeby ogarnąć spojrzeniem

postać nieznanego, po czym jego wzrok natychmiast uciekł w kierunku stołu i poruszających się w podmuchu powietrza żmijowych zębów.

- Mogę ich dotknąć, tato? - spytał z przejęciem, spoglądając na ojca.

- Możesz - przyzwolił Drakula - ale ostrożnie! Choć wyjęte z paszczyki węża, wciąż potrafią gryźć!

Chłopiec podszedł do stołu na paluszkach, wyciągnął rączkę, pstryknął w jeden z wiszących na drzewku zębów i zaśmiał się perliście. Jego ojciec uczynił dokładnie to samo, lecz zamiast się roześmiać, krzyknął:

- Ajajaj! Zobacz! Odgryzły mi palec! - Przyłożył lewą dłoń do piersi, rozczapierzając ją, tak że kikut stał się dobrze widoczny.

Dzieciak rozpromienił się, kiedy mężczyzna potarł go za włosy, i z przejęciem na buzi pobiegł z powrotem do matki.

Kobieta przyciągnęła syna do siebie, po czym wciąż z uśmiechem w oczach zapytała:

- Przyjdiesz zobaczyć Mirczę ?

Wład skinął głową.

- Przyjdę. Później, kiedy już załatwię ważną sprawę, którą mam tutaj do załatwienia - rzekł.

- Ważne sprawy! - prychnęła, marszcząc brew. - Tylko nie - urwała i przeniosła spojrzenie na gościa. - Tylko nie zaprzataj głowy mego małżonka zbyt długo, panie - poprosiła.

- Obiecuję zająć mu tak mało czasu, jak to będzie możliwe, skoro tego sobie życzysz, pani - odrzekł Ion z ukłonem.

Skinęła lekko głową i odwróciła się do wyjścia, zagarniając ramieniem ciekawskiego urwisa. Wład, nadal stojąc, długo spoglądał za nimi i dopiero kiedy drzwi zamknęły się ze szcękaniem, przemówił.

- Ilona to mądra niewiasta - powiedział w rodzimym języku. - Baczę na jej słowa, zwłaszcza te, których nie wypowiada. Na ogół czai się w nich jakieś ostrzeżenie

Siadając, zaklaskał w dłonie i w komnacie ponownie pojawił się sługa. Na znak gospodarza nalał polewki do misek i podał pełne naczynia siedzącym przy stole. Drakula nieznacznym ruchem głowy wskazał drzwi i sługa zniknął, jakby nigdy go nie było. Moment później Wład posilał się już. Ion ujął w dłoń łyżkę, lecz nie zanurzył jej w polewce.

- Ostrzeżenie przed czym? - zapytał.

- W tym wypadku przed tobą - odparł Drakula. - Czy też raczej przed tym, do czego zechcesz mnie przekonywać.

Rycerz nadal siedział bez ruchu.

- A skąd nawet tak mądra kobieta jak twoja żona może wiedzieć, z czym przybywam?

Drakula sarknął, nie przestając jeść.

- Choć wywodzi się z rodu Szilagych, jest blisko spokrewniona z Korwinem. Będąc moją żoną, jest zarazem Krukiem i świetnie się orientuje w tym, co kruki robią najlepiej: pozwalają innym zabijać za siebie, a potem zjawiają się pod koniec uczty, by skorzystać z resztek. - Przyjrzał się pełnej łyżce, którą niósł właśnie do ust. - A ty przecież przyjechałeś tutaj, aby namówić mnie, bym zapewnił Korwinowi wieczerzę.

Iona Tremblaca apetyt odszedł całkowicie. Rycerz położył łyżkę na stole i rzekł twardo:

- Nie jestem poddanym króla Węgier, tylko Stefana z Mołdawii.

Wład siorbnął polewki.

- Król Maciej Korwin uwielbia go bądź nienawidzi i walczy z nim bądź się obejmuje w zależności od tego, jaki wiatr wieje od strony Konstantynopola. Teraz akurat Stefan cel Mare i Maciej Kruk potrzebują się wzajemnie. I uradzili, że przyda im się też Palownik

- Nie wydaje mi się, żebyś w pełni pojmował

- Nie ma takiej rzeczy, której bym nie pojmował! - zakrzyknął Drakula, pochylając się głęboko nad stołem. Pod kościanobiałymi włosami opadającymi mu na twarz lśniły intensywnie zielone oczy. - Nie zapominaj, że pozostaję w niewoli u Kruka od trzynastu lat. Od chwili gdy mnie zdradził, gdy zdradził wspólną sprawę krucjaty przeciwko niewiernym, gdy zdecydował, że nie udzieli mi pomocy i nie przybędzie z odsieczą, gdy sprokurował fałszywe listy, które miały zaświadczać o mojej zdradzie, wykorzystując do swych niecznych celów człowieka, który był mi bratem. - Cisnął łyżkę w nie opróżnioną do końca miskę. - Cztery lata spędziłem w Wyszehradzie, kuląc się ze strachu w oczekiwaniu na płatnego zbirą, który pozbawi mnie życia na rozkaz tego czy innego wroga. Wreszcie kierunek wiatru się zmienił. Korwin zaczął walczyć, najpierw przeciwko Stefanowi, później także przeciwko Turkom, i Palownik zaczął znów być mu potrzebny. Och, nie po to, aby popisywać się swoim kunsztem w wąskiej dziedzinie - Uśmiechnął się drapieźnie. - Wyłącznie jako groźba skierowana przeciwko temu, kogo akurat Kruk wybrał sobie za wroga. - Machnął ręką w nieokreśloną stronę. - Znalazłem się w innym więzieniu, nawet zyskałem towarzysza niedoli. Byłem trzymany blisko, aczkolwiek nie zbyt blisko, ot,

na przeciwległym brzegu rzeki, tak abym w dogodnej chwili mógł zostać zaprezentowany jako przestroga, pokazany możliwym, jak wybryk natury pokazywany jest gawiedzi

Powstał z miejsca, przeszedł przez komnatę do stojącej pod ścianą skrzyni, otworzył wieko i jął gmerać w środku. Dopiero po długiej chwili znalazł to, czego szukał.

- Pokażę ci coś - powiedział, podchodząc z powrotem do stołu. Cisnął na blat paręnaście płacht papieru. - Pamflety - rzucił przez zęby. - Po raz pierwszy ukazały się w Braszowie i Sybinie tuż po moim upadku. Zgoda, moi sascy wrogowie mieli dobre powody, aby mnie nienawidzić, skoro przełamane ich monopol na handel na Wołoszczyźnie. Ale także Węgrzy, w tym moi bracia w Zakonie Smoka, przyczynili się do rozpowszechniania oszczerstw na mój temat, chcąc w ten sposób zatuszować własną słabość i zdradę. - Podniósł jedną płachtę i podetknął ją Ionowi pod nos. - Wiesz, co jest tutaj napisane?

Rycerz odepchnął rękę sprzed twarzy.

- Te pamflety są wszędzie, także na dworze księcia Stefana.

- Zatem wiesz, co w nich o nas piszą - stwierdził Drakula i powtórzył: - O nas, Ionie. - Odrzucił papier, jakby go parzył w palce. - Ten tutaj głosi, jakobym w Braszowie nabił na pal trzy dziesiątki tysięcy ludzi. Czy pamiętasz jeszcze, jak długo trwa nabijanie człowieka na pal?

- Pamięt

Wład nie pozwolił mu skończyć.

- Trzy dziesiątki tysięcy! - powtórzył. - Gdyby to była prawda, wciąż tkwiłbym pod Braszowem, z mozołem unosząc pale! - Podniósł i odrzucił inny pamflet. - Ten z kolei powiada, że obcinał piersi karmiącym matkom, a w powstałe dziury wtykał głowy niemowląt! To także sobie przypominasz?

- Nie. Ja

Drakula w dalszym ciągu nie oczekiwał odpowiedzi. Teraz już przekładał pamflety jeden za drugim.

- Ponoć odcinałem bojarzynom głowy i używałem ich do nawożenia pól kapusty. Kapusty!! - powtórzył głośniejszym głosem. - Nawet nie wiem, jak to warzywo smakuje!

Stał nad Ionem, dysząc ciężko. Potem oparł dłonie na blacie i używając go jako podpory, wolnym krokiem obszedł stół i zatrzymał się dopiero na przeciwnym krańcu. Nie usiadł jednak, tylko opierając się pobielającymi knykciami i nachylając nisko, ciągnął:

- Wiem, że popełniłem wiele czynów wzbudzających wątpliwości. Zdaję też sobie sprawę, że równie wiele spornych czynów popełnili inni z moim imieniem na ustach. Wystarczyło mi bowiem przeciąć sznur i uwolnić bestię.

- Bestię? Jaką bestię?

- „Któż jest podobny do Bestii i któż potrafi rozpocząć z nią walkę? - Drakula nachylił się jeszcze bardziej. - Księga Objawienia. Nadal ją czytam. Nigdzie indziej w Biblii nie jest napisane wprost, że kiedy szatan szaleje, znajduje tysiące naśladowców, kopistów, a także takich, co pragną go prześcignąć w okropieństwach. Szatan, diabeł albo Syn Diabła. - Ponownie wskazał na rozsypane na całym blacie pamflety. - Ale nawet ci, którzy powypisywali o mnie te potwarze i łgarstwa - kontynuował - a zrobili to, aby chronić siebie i własne podłogi, wiedzą również, że kiedy sztandar krucjaty powiewa w górze, wtedy bestia kryje się pod znakiem Krzyża i wszyscy bez wyjątku czynią rzeczy, jakie można kwestionować. - Zaśmiał się chrapliwie. - I tak stałem się legendą, jaką ku rozrywce powtarza się przy stołach opasłych mieszczan i jaką straszy się dzieci, gdy nie chcą iść spać. - Upił z kielicha. - Wszystko co uczyniłem dla Wołoszczyzny, moje działania przeciwko zbrojcom i zdrajcom, i niewiernym, zostały sprowadzone do tego - dźgnął palcem wskazującym najbliższy pamflet - a ja stałem się łaknącym krwi potworem. Skończywszy mówić, opadł na krzesło i zapatrzył się przed siebie. Ion przyglądał mu się z narastającym niepokojem. To nie był człowiek, którego znał, szanował i szczerze kochał. To nawet nie był człowiek, którego zaczął nienawidzić. Prawdziwy Drakula bowiem nigdy nie usprawiedliwiał swoich czynów ani nie obwinał tych popełnionych w jego imieniu, z jego wiedzą lub bez. W takim razie kim był ten ten siwowłosy uzurpator, ta pusta skorupa człowieka pełnego żalu wobec świata, który przestał go rozumieć?

Już zamierzał się odezwać, sprowokować wymianę zdań dającą odpowiedź, czy pod tą bezbarwną powłoką kryje się choć cień człowieka, jakim Drakula niegdyś był, kiedy Wład znów go uprzedził.

- A teraz ty przybyłeś, aby poprosić mnie o to samo, o co już poprosili mnie moi kuzyni Stefan cel Mare i Maciej Kruk i czego im odmówiłem: abym na powrót uwolnił potwora z okowów. - Pochwycił łyżkę i jął pośpiesznie wybierać z miski resztki polewki. - Po co miałbym to robić? Ażeby zyskali jeszcze więcej powodów do straszenia mną dzieci? - Uniósł wysoko mlecznobiałe brwi, zatoczył oczyma. - Oto całe królestwo, jakiego teraz potrzebuję. Mam swoje książki, czas na rozmyślania, synów, których

dorastaniu się przyglądam, pięcioro sług, dwa wierzchowce i jednego wspaniałego jastrzębia, któremu zawdzięczamy dzisiejszą wieczerzę. Mam kontrolę nad wszystkim, na czym mi zależy. Tam - powiódł spojrzeniem ku oknom - niczego nie mógłbym kontrolować. - Wpatrzył się z natężeniem w twarz Iona. - Umiesz podać choć jeden powód, dla którego powinienem to zmienić?

Ion także został ostrzeżony. Najpierw przez księcia Stefana Wielkiego, zanim wyruszył w drogę, a potem, już po przybyciu na Węgry, przez króla Macieja Korwina. Obaj uprzedzili go, że Drakula się zestarzał i stał mniej drapieżny. Rycerz powiódł wzrokiem ku rozrzuconym na stole pamfletom. W zdecydowanej większości były takie, jakimi przedstawiał je Wład: wyolbrzymiały uczynki hospodara wołoskiego, z rządów twardej ręki czyniły sensację, ale przecież w każdym z nich tkwiło ziarno prawdy, każdy wynikał z jakiegoś grzechu popełnionego przez Syna Smoka. A grzechy, jak wiadomo, potrzebują odkupienia i przebaczenia. W tym wypadku zwłaszcza jeden grzech. Ion Tremblac pochylił się lekko w stronę gospodarza i przemówił cicho:

- Dla Ilony. Zmienisz to dla Ilony.

Oczy Drakuli, które otwierały się coraz szerzej wraz z wyrzucanymi uprzednio słowami i pozostały rozwarte w oczekiwaniu na odpowiedź, teraz przymknęły się nagle, on sam zaś opadł na oparcie krzesła.

- Dla Ilony? - wymamrotał.

- Nie chodziło mi o - Ion machnął dłonią w stronę drzwi wiodących w głąb domu.

- Wiem, o kogo ci chodziło! - warknął Drakula, rozwierając powieki.

Przyglądali się sobie w milczeniu, siłując się wzrokiem i mocując z własnymi wspomnieniami. Ciszę przerwał nagły syk, gdy płomień świecy objął wirujący na nitce żmijowy ząb. A potem znowu odezwał się Ion.

- Spowiadasz się jeszcze?

- Mam spowiednika - odparł szybko Drakula. - Trzymam go zawsze w pobliżu. - Wpatrywał się przez całą długość stołu w siedzącego naprzeciwko rycerza. - Ale tylko z nim rozmawiam, nie spowiadam się. Jaką mógłby mi wyznaczyć pokutę? Przejść boso stąd do Ziemi Świętej? Nie przebyłbym nawet staj, bo ktoś zaraz by mi wraził ostrze między łopatki. Nie, nie ma już dla mnie odkupienia win - Popatrzył Ionowi prosto w oczy. - Ani tej winy, ani żadnej innej.

Ion potrząsnął głową.

- Mylisz się, Władzie. Jak zawsze jest jeden sposób na zmycie swoich grzechów.

Płomień pojawił się najpierw w oczach Drakuli, potem w jego głosie.

- O czym mówisz?

- O krucjacie.

- Ach tak. - Drakula zapadł się w siebie, blask w jego oczach zniknął. - Już tego próbowałem - okazał się głucho. - Nadaremno. Nie wystarczy bowiem wyprawić się na krucjatę. Trzeba na niej umrzeć albo zwyciężyć. Mnie nie udało się ani jedno, ani drugie.

- Ale tym razem możemy wygrać - rzekł Ion i gestykulując, kontynuował: - Mołdawia i Węgry nareszcie są po tej samej stronie. Korwin nie zawaha się nadejść z odsieczą, ba, on zechce poprowadzić armię. Wołoszczyzna tylko na tym zyska, wzrastając znów w siłę pod sztandarem Smoka.

- Wołoszczyzna już teraz wzrasta w siłę pod sztandarem Smoka - przypomniał ponuro Wład. - Mój brat, Radu Piękny, jest wszak nieodrodnym synem Drakulów.

- Ale książę, właśnie dlatego tutaj jestem - wtrącił Ion, po raz pierwszy celowo używając tytułu książęcego. - Twój brat przestał panować na wołoskiej ziemi. Radu nie żyje.

Drakula zamrugnął, jakby go oślepiło rażące światło.

- Kto odebrał mu życie? - zapytał słabo.

- Bóg. - Ion wzruszył ramionami. - Wcześniej utracił większość ziem, które przejął po tobie. Na rzecz bojarzynów, Turków, fałszywych sprzymierzeńców. W końcu zostało mu się tylko Giurgiu, forteca, którą zająłeś podstępem i brawurą. Podniósł w niej most zwodzony i myślał, że jest bezpieczny - Przełknął ślinę. - Przed karzącą ręką Boga jednak nie sposób uciec. Choroba, która dopadła go lata temu, zaczęła zjadać go po kawałku, niwecząc urodę, jaką uwiódł niegdyś sułtana. Zaiste spotkała go kara za grzechy, których dopuszczał się w łożu z Mehmedem. Pod koniec życia Radu zwany Pięknym nie miał nosa, uszu, połowy brody - Drakula uniósł dłoń.

- Dosyć! - krzyknął. - Wiem, że dla ciebie to ohydny grzesznik, który został sprawiedliwie ukarany, dla mnie jednak to brat, który umierał w cierpieniu - Przytknął okaleczoną dłoń do ust, pocałował kikut małego palca, szepcząc: - Radu - Po chwili znów patrzył w oczy Iona. - Któż zatem włada teraz w Tirgoviste?

- Twój kuzyn, Basarab Laiota. Stefan Mołdawski od dawna próbował

osadzić go na tronie w miejsce Radu, ale gdy przyszło co do czego, kukielka odmówiła współpracy. Basarab podpisał rozejm z Turkami, posyła sułtanowi złoto i chłopców

Drakula przechylił głowę, jednym okiem zezując na sklepienie.

- Zatem to nigdy się nie kończy - Westchnął. - Danse macabre trwa, martwi podają ręce żywym i wycinają hołubce na grobie Włada Smoka. - Opuścił wzrok. - A ty chcesz, żebym i ja dołączył do tego szaleństwa? Żebym podzielił los swoich najbliższych? Żebym tak jak Drakul został pozbawiony głowy, jak Mircza pozwolił zakopać się żywcem albo jak Radu zgnił za życia?

- Nie, książę - zaprzeczył Ion i tym razem tytuł książęcy w jego ustach zabrzmiał już naturalnie. - Wiem, że tym razem, mając zapewnione takie sojusze, możemy odbić nasze ziemie z rąk wrogów i je utrzymać, przegnać precz uzurpatora narzuconego Wołochom siłą, dokończyć dzieła rozpoczętego przed laty. Uczynić Wołoszczyznę krainą bezpieczną i silną.

- My, Ion? - Drakula wysunął głowę w przód, nie zważając na bliskość płomieni świec. - Ty, który nienawidzisz mnie bardziej niż ktokolwiek inny na świecie, stanąłbyś u mego boku? Dlaczego?

Ion nie zdołał wytrzymać pałającego wzroku księcia. Opuścił spojrzenie niżej, na żmijowe zęby, i odpowiedział cicho:

- Uczyniłbym to nie dla ciebie, tylko dla rodzinnej ziemi, która nie zasługuje na to, aby bez przerwy przechodzić z rąk do rąk, aby wydzielali ją sobie nieudacznicy i rozszarpywali na strzępy w bratobójczych walkach, aby rządili nią tyrani. Uczyniłbym to także dla Krzyża, nareszcie ponownie uniesionego nad głowami niewiernych, i dla odkupienia własnych niezliczonych grzechów. Moich i twoich także - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Bo jeśli dobry Bóg umie przebaczyć tak wiele, być może ja w końcu potrafiłbym odpuścić to jedno

- Wybaczyć mi to, co uczyniłem Ilonie - rzekł Wład głośno, wyraźnie.

- Tak - potwierdził Ion, odnajdując wzrokiem spojrzenie Drakuli.

Znowu zapadła cisza, której nie przerwało nawet głośniejsze westchnienie. Ion i Wład spoglądali na siebie, aż w końcu gospodarz odchylił się na oparcie krzesła, sięgnął po kielich i przyłożywszy go do ust, pił długo. Odstawiwszy naczynie, otarł białe wąsy i rzekł:

- No cóż. Niemało proponujesz. W istocie proponujesz więcej niż jakikolwiek książę czy król w przeszłości. Ale żeby zaraz prawić o przebaczeniu i rozgrzeszeniu? - Pokręcił głową. - Nie wydaje mi się, aby

rozgrzeszenie było możliwe dla któregośkolwiek z nas, przynajmniej nie po tej stronie piekła. - Potarł powieki. - Poza tym nawet gdybym bardzo tego chciał, niby jak mam zrobić to, o co prosisz? Nie jestem już tym człowiekiem co kiedyś. Popatrz na mnie! Taki starzec jak ja powinien być zadowolony ze swego małego królestwa, z tego, co może kontrolować. - Westchnął głęboko. - Dręczy mnie obawa, że Smok pozostawał uspiiony zbyt długo, aby teraz mógł być z niego jakiś pożytek.

- Książę! - zaprotestował Ion. - Jesteśmy prawie w tym samym wieku. Masz dopiero czterdzieści cztery lata. Podczas gdy twój ojciec

- Jestem stary - przerwał mu Wład i potrząsnął głową, pozwalając siwym włosom opaść na twarz. - Wyprawy krzyżowe są dla młodych duchem i ciałem. - Ujął w dłoń łyżkę i jął skrobać po dnie miski.

Ion wpatrywał się z niedowierzaniem w siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Chciał coś powiedzieć, przemówić mu do rozsądku, odwołać się do wspólnej przeszłości, uciec do jakiegoś ostatecznego, niepodważalnego argumentu. Ale jeżeli Drakula nie chciał tego uczynić dla siebie, dla swej ziemi, dla Boga ani nawet dla Ilony

Milczenie się przeciągało. Płomień świecy dosięgnął kolejnego żmijowego zęba. Następna chwila ciszy Nagle przerwały ją głośnie krzyki i uderzanie metalu o drewno. Dwaj mężczyźni bez słowa poderwali się ze swoich miejsc, równocześnie sięgając po miecze.

47. ZAJAZD

Wypadli na dziedziniec rozświetlony blaskiem pochodni, z których większość trzymali niespodziewani goście. Jeden z nich, ustawiony niemal dokładnie pośrodku, miał wolne obie ręce i próbował obezwładnić Stoicę.

Kiedy wystąpili z cienia arkad, uniosły się w ich stronę dwa łuki. Ion i Wład wyciągnęli przed siebie miecze.

- Pokój ! - zawołał Drakula.

- Jeśli tego właśnie chcecie - odkrzyknął osiłek trzymający Stoicę jak w imadle - rzućcie broń. Natychmiast!

Posłusznie odłożyli miecze na stojącą na dziedzińcu ławę.

- Czy teraz możesz już puścić mego sługę? - zapytał Wład.

- He? - Dowódca popatrzył w dół, jakby zapomniał, że mocarnymi łapami poddusza człowieka. Nie wyglądało na to, aby miał zamiar go uwolnić nawet teraz. - Próbował bronić dostępu - wyjaśnił. - A potem odmówił odpowiedzi na moje pytania!

- To niemowa.

- O - Wypuścił Stoicę z uścisku, jak gdyby właśnie usłyszał, że przez przypadek dotknął trędowatego. Zmaltretowany sługa odczołgał się pod ławę, gdzie ze zboląłą miną rozmasowywał sobie gardło. - No tak - Dobrze, że przynajmniej ty umiesz mówić. Zatem powiedz mi, kazałeś swoim ludziom bronić tutaj dostępu królewskiej straży?

- Mój dom jest moim królestwem - odparł Drakula. - Goście zazwyczaj pytają, czy mogą mnie odwiedzić.

Olbrzym odgiął głowę do tyłu i wybuchnął ogłuszającym śmiechem.

- Królestwo, powiadasz? A to dobre! - Otarł łzy z oczu. - Wy peszteńscy mieszczanie! Wszystkim wam się wydaje, że jesteście księżętami krwi! - Uspokoił się nieco, przestał podrygiwać ze śmiechu i podrapał się w zmierzwioną brodę. - W ciągu tego tygodnia, który tu spędziłem, widziałem więcej oszustów niż na niejednym europejskim dworze, a możesz mi wierzyć, że bywało się, oj, bywało!

- Mimo to

- Milcz, starcze! - huknął. Górował nad Drakula wzrostem i sylwetką, zasłaniając go całego, kiedy zbliżywszy się, niemal zetknął się z nim twarzą. - Nie przybyłem tu po to, aby cię odwiedzić, tylko by schwytać rabusia. -

Wyprostował się i rzucił w kierunku swoich podwładnych: - Przeszukać dom!

- Nie wolno wam

- Powiedziałem: milcz! - Dowódca uniósł potężną pięść w grubej rękawicy i światło łuczyw wydobyło z mroku błyszczące metalowe ćwieki. - Chyba że chcesz się przekonać, co przeżył twój sługa półgłówek! - Odwrócił się i ponaglił strażników: - Dalej, przeszukać dom!

Ion przyglądał się swemu dawnemu księciu, nie wierząc własnym oczom. Nikt nigdy nie odnosił się w ten sposób do Drakuli bezkarnie - ani bojarzynowie, ani Turcy, ani nawet królowie. Tymczasem teraz Wład Drakula stał bez ruchu, nie okazując żadnych emocji, i tylko patrzył, co się wokół niego dzieje. Ion usiłował dojrzeć, podobnie jak podczas wieczerzy, jakiś błysk w oku, lecz widział jedynie własne odbicie. Ten niespodziewany brak woli walki u księcia sprawił, iż po raz pierwszy tego wieczora Ion Tremblac pomyślał, że odbył tę daleką i uciążliwą podróż na darmo, niepotrzebnie tracąc cztery tygodnie.

- Kogo szukacie? - zapytał bezbarwnym tonem Drakula, kiedy strażnicy rozbiegli się po budynku.

- Hmmm? - mruknął dowódca, siadając na ławie i wyciągając przed siebie długie i grube, obute w skórę nogi. - Och, po prostu rabusia. Czym wyświadczam ci wielką przysługę, starcze. Ten niecnota okradł już połowę mieszczan w Peszcie. Miejscowa straż okazała się wobec niego bezradna, dlatego posłano po mój oddział. - Uderzył się pięścią w szeroką pierś. - Masz przyjemność z Janosem Varcencym, pogromcą rabusiów.

- Z Janosem Horvathym? - spytał cicho Drakula.

- Z Varcencym! Nie dość, że staryś, to jeszcze głuchyś? - Dowódca nie zwracał uwagi na gospodarza. Zdjął powoli rękawice, po czym przyłożył jeden palec do skrzydełka nosa, przechylił się lekko w bok i smarknął na ziemię. Zadowolony z efektu wytarł palce w kaftan i uśmiechnął się.

- Na pewno o mnie słyszałeś. Jestem najlepszy w swoim fachu.

- A ten złodziej - powiedział pozornie bez związku Drakula. - Skąd pewność, że znajdziesz go właśnie u mnie?

- Pewien karczmianny szczur doniósł nam, że dziś wieczorem rabuś zamierza splądrować budynek w pobliżu. No więc staliśmy zaczajeni na zewnątrz. Słodki Jezu, mróz panuje dziś taki, że nawet kamiennej figurze Chrystusa zmarzły jajca. No, tak czy inaczej przyczailiśmy się w zaułku, przyuważyliśmy gada, ale i on nas zoczył i jak jakiś kocur przeskoczył z

dachu na dach. - Rozłożył ramiona. - Stąd się tutaj wzięliśmy.

Na dziedziniec dobiegały odgłosy otwieranych na rozcież drzwi, grzmocących o mur okiennic, unoszonych i z hukiem opuszczanych wiek skrzyń. Gdzieś rozległ się brzęk jakiegoś naczynia, po czym donośny śmiech.

- Na górze jest moja żona z dziećmi. Nie sądzę, żeby spali. Muszę tam pójść i uspokoić ją

Varency poderwał się na równe nogi.

- Nigdzie nie pójdziesz! Jak będzie trzeba, zostaną tu przyprowadzeni.

- Nie - odrzekł cicho Drakula. - Moja żona i dzieci nie mogą patrzeć na rozlew krwi.

Ion, który od dłuższej chwili wpatrywał się w ziemię, kontemplując upadek swego księcia i własną porażkę, spojrzął bystro do góry. To samo uczynił dowódca straży.

- Krew się nie poleje - zapewnił Varency. - No, może odrobina. Rajcy miejscy zażyczyli sobie dostać w swoje ręce tego świniójeba żywego, bo chcą go ugotować na wolnym ogniu ku przestrodze innym łasym na cudzą własność. Przedstawienie ma się odbyć w najbliższą niedzielę.

- Nie o jego krwi mówiłem - stwierdził Drakula.

- Hę? - Varency zmarszczył czoło, ale nie dokończył myśli, gdyż właśnie dały się słyszeć krzyki tryumfu i rozpaczy. Dwaj strażnicy wyszli z budynku od strony kuchni, prowadząc przed sobą trzeciego mężczyznę. - No, mam cię nareszcie! - ucieszył się Varency.

Strażnicy doprowadzili pojmanego i cisnęli go w piach dziedzińca u stóp dowódcy. Ten zadarł mu brodę czubkiem buta. Więzień miał na sobie brudną połataną pelerynę, przetarte wełniane pludry i ciżemki, których noski odłaziły od podeszew. Jego tłuste brązowe włosy opadały po obu stronach kanciastej twarzy. W istocie był to raczej chłopak aniżeli mężczyzna.

- To ma być on? - zapytał Janos Varency z niesmakiem, krzywiąc się na myśl, że buty znów będą wymagały czyszczenia, jak za każdym razem gdy nie udało mu się wyminąć rysztoła. - Taka pluskwa? - Nałożył już obie rękawice i schylił się, żeby schwycić łańchmany na grzbiecie wyrostka. Moment później chłopaczysko majtało nogami w powietrzu, nie mogąc dosięgnąć ziemi, i dygocząc na całym ciele, błagało niewyraźnie o litość. Dowódca straży cofnął wolną dłoń, zwinął ją w pięść i z impetem uderzył prosto w twarz więźnia. Dygot ustał natychmiast, podobnie jak jęki, podczas gdy ciało zwiotczało. Varency wypuścił je niczym kupę szmat. Wytarł wierzch dłoni o kaftan, pozostawiając na nim ślady po krwi i zdartej skórze,

po czym rozkazał: - Wyciągnąć mi go stąd na ulicę, a żywo! - Skierował się ku bramie.

Dwaj strażnicy postąpili do przodu, schwycili po jednej stopie i ruszyli w stronę wyjścia.

- Zaczekajcie.

Nikt nie usłyszał Drakuli z wyjątkiem Iona, który czekał na jakieś jego słowo, na jakiś gest. Czekał, nie tracąc nadziei. Dlatego Wład je powtórzył, tym razem głośniej, równocześnie susem dopadając jednego z łuczników zamykających pochód i kładąc mu dłoń na barku. Mężczyzna spróbował pozbyć się natręta wzruszeniem ramion, lecz kiedy się zorientował, że to nic nie daje, zawołał:

- Kapitanie?

Dowódca, który zdążył już zniknąć w połowie przedśionka, zatrzymał się, to samo uczynili strażnicy ciągnący nieprzytomnego więźnia po ziemi.

- O co chodzi? - spytał, obracając się.

- Wiem, jak ty się nazywasz, Janosu Varency. Ty jednak wciąż nie znasz mego imienia.

- A cóż mnie ono obchodzi? - sapnął poirytowany Varency. Położył dłoń na rękojeści miecza, dostrzegłszy, że gospodarz powstrzymuje łucznika. - Puść mojego człowieka - powiedział groźnie, zawracając.

Jego rozkaz został spełniony. Gospodarz uwolnił łucznika i przeszedł parę kroków w stronę ławy.

- A powinno cię obchodzić - odrzekł - bo zwę się Drakula.

Wszyscy na dziedzińcu wciągnęli głośno powietrze i zamarli w bezruchu. Ktoś zagwizdał, Varency roześmiał się.

- Co, może jeszcze powiesz, żeś Wład Drakula, zwany Palownikiem? - zakpił.

- Tak mówią o mnie jedni - przyznał gospodarz. - Inni nazywają mnie po prostu księciem Wołoszczyzny. - Rozejrzał się wokół. - Dlatego kiedy oznajmiłem ci, że mój dom jest moim królestwem, nie żartowałem. Wszędzie gdzie stoję, znajduje się kawałek mojej rodzinnej ziemi. - Wskazał na wracającego do zmysłów więźnia. - A on poszukał na mojej ziemi schronienia. Jako książę mam prawo zdecydować o jego dalszym losie.

- Ty będziesz o czymś decydował? - zdumiał się szczerze Varency. Nabrawszy powietrza w płuca, ryknął: - Nie dość, że stary, nie dość, że głuchy, to jeszcześ głupi jak but?! Od tygodnia ja stanowią prawo w Peszcie!

- Już ci mówiłem. Mój dom nie leży w Peszcie, tylko na wołoskiej ziemi.

A ja jestem jej księciem. Zatem to ja stanowią tutaj prawo.

Dowódcę ogarnęła furia.

- Nie obchodziłoby mnie, nawet gdybyś był chędożonym papieżem! - rzekł groźnie, podchodząc bliżej. - Możesz sobie być Drakula, bo to oznacza, że jesteś niewiele lepszy od tego chłystka, którego pojmałem, sam w niewoli u króla, któremu służę. - Kopnął chłopaka w nerki, powodując skowyt bólu. - Za dostarczenie tego ścierwa do miejskiego lochu dostanę worek srebra. Całkiem okazały worek. I żaden tam książę, Drakula czy nie, mnie nie powstrzyma. Zrozumiano?! - Obrócił się do swoich ludzi z rozkazem na ustach: - Zabrać go stąd, a żywo! - po czym dobył miecza.

- Nooo - rzekł przeciągle Drakula. - To mi wygląda na wypowiedzenie wojny.

- A idźże ty nabić się na własny pał, Palowniku z Bożej łaski! - warknął Varency. Były to jego ostatnie w życiu słowa.

Ion nie był pewien, czy zobaczył choć część z tego, co rozegrało się na dziedzińcu. Miecz Drakuli leżał na ławie, obok jego ostrza, lecz w okamgnieniu znalazł się w dłoni Włada, który dopadł do dowódcy straży jednym długim susem, podskoczył na obu nogach, jako że Węgier był odeń znacznie wyższy, równocześnie biorąc potężny zamach, i głowa Varencyego potoczyła się po ziemi, mimo że ciało wciąż stało w pozycji wyprostowanej i dopiero po zdającej się ciągnąć w nieskończoność chwili przechyliło się i upadło, tryskając fontanną krwi z rozplątanej szyi.

Dopiero wtedy Ion drgnął, złapał swój miecz, lecz nie zrobił zeń użytku, gdyż strażnicy wespół z łucznikami jęli wycofywać się rakiem wzdłuż przedsiionka. Potem jak jeden mąż odwrócili się na pięcie i pognali przed siebie w mrok nocy.

Złodziej wciąż leżał wyciągnięty na ziemi, spoglądając oprzytomniałymi nagle oczyma prosto w zdumioną twarz Janosa Varencyego. Podniósł wzrok, dopiero gdy pochylił się nad nim Drakula. - Znajdź sobie inne miasto do uprawiania złodziejskiego fachu - poradził mu, dźgając ostrzem miecza osłonięte ciało. Młodziak zerwał się i uciekł w okamgnieniu.

Wład zaś nachylił się nad odciętą głową dowódcy straży. Przypatrzwszy się nadal otwartym oczom, wyprostował się, odszukał spojrzeniem Stoicę i polecił:

- Przynieś cebrzyk. Taki z pokrywą.

Niemowa odkuśtykał ku kuchniom, lecz na dziedzińcu nie padło ani jedno słowo aż do jego powrotu. Na znak księcia podniósł głowę za długie

rozpuszczone włosy, włożył ją do cebrzyka i zasłonił przykrywką.

- Niewykluczone, że Korwin będzie chciał jeszcze zobaczyć swego gwardzistę - stwierdził Drakula, chowając miecz do pochwy. - My zaś powinniśmy się z nim spotkać jeszcze dzisiejszej nocy. - Zwrócił spojrzenie swoich przenikliwie zielonych oczu na Iona. Zarzucił białymi włosami i uśmiechnął się. - Zdaje się, że nie zmieniłem się tak bardzo, jak myślałem.

Kruk w niczym nie przypominał ptaka, od którego wziął swój przydomek. Był wysoki, szczupły i jasnowłosy, a nie krępy i przysadzisty z lśniąco czarnymi włosami. Jego głowę otaczała masa blond loków, twarz zaś zdobiły liczne blizny i dzioby. Te ostatnie odznaczały się wyraźnie zwłaszcza teraz, gdy na lica wypłynął mu rumieniec spowodowany tyleż gorącym panującym w jego do niedawno wyiębłym łożu, co przemożnym gniewem.

Stojący przed nim i drżący jak osika sługa bez powodzenia próbował przewiązać pas królewskiego szlafroka. Przy trzeciej nieudanej próbie król Węgier uderzył na płask trzęsącą się dłoń i zasupłał węzeł własnoręcznie, ani na moment nie spuszczać wzroku z dwóch mężczyzn naprzeciwko.

- No, kuzynie... - rzekł nieprzyjemnym głosem - mam nadzieję, że masz dobre wytłumaczenie na to, że wyciągasz mnie z łoża o tak bezbożnej porze.

Ion przyglądał się Korwinowi z uwagą. Widział go przedtem kilkakrotnie, przybywając z poselstwem. Ostatnio zaledwie minionego dnia, gdy pojawił się w Budzie prosto z dworu Mołdawianina, żeby przedstawić szczegóły swojej misji. Król był o dekadę młodszy od nich obu, lecz wyglądał tak, jakby liczył lat dwadzieścia parę. Po części powodowała to młodzięcza cera, po części zaś to, że z wrodzonej ostrożności oszczędzał się na polach bitwy i raczej niż w namiotach sypiał w pałacach, w odróżnieniu od swego ojca, Jana Hunyadyego - Biały Rycerz nie spędził bowiem chyba jednej nocy w gęsim puchu.

- Bardzo dobre wytłumaczenie, wasza wysokość - odparł Drakula, kłaniając się. - Pomyślałem sobie oto, że powinieneś usłyszeć dwie wiadomości wprost z moich ust, nie zaś od kogoś innego.

- A jakież to wieści są tak ważne, że nie mogły wyczekać poranka? - spytał cierpko Korwin.

- Przyjmij moje przeprosiny - rzekł Drakula bez cienia skruchy i zaraz przeszedł do rzeczy: - Po pierwsze, czy znałeś, miłościwy królu, niejakiego Janosa Varencyego?

- Tego pogromcę rabusiów? Oczywiście, że tak! Sam go posłałem do P
- urwał nagle. - Jak to: czy „znałem” ?

- Z przykrością muszę cię poinformować, miłościwy panie, że Varency nie żyje.

- Doprawdy? A jak umarł?

- Odebrał sobie życie - poinformował Drakula, podnosząc pokrywkę cebrzyka.

Cały kolor opuścił poczerwieniałe oblicze króla. Korwin walczył przez chwilę sam ze sobą, odniósł zwycięstwo.

- Czyż to nie dziwne - zapytał przez zęby - skoro ma odrąbaną głowę?

- Ależ nie - zapewnił go Wład. - Oczywiście, że odebrał sobie życie. Z chwilą gdy postanowił najść dom monarchy. Ja mu po prostu pomogłem.

Korwin podniósł nań wodniste oczy.

- Pomóc komuś w odebraniu sobie życia to także grzech, książę.

- Za który odpokutuję, królu.

Dwaj władcy spoglądali na siebie przez długą chwilę. Ion przebiegał wzrokiem od twarzy księcia do twarzy króla i z powrotem, aż na oblicze Korwina wypłynął uśmiech i Węgier roześmiał się rubaszenie.

- Kuzynie! - zawołał. - Jesteś niemożliwy, jak zawsze!

- To przyjemność dla mnie sprawić waszej wysokości przyjemność - rzekł skromnie Drakula. Uśmiech zniknął.

- To się jeszcze okaże - Korwin obszedł cebrzyk szerokim łukiem, przepchnął się pomiędzy dwoma mężczyznami, podszedł do stołu. Rozlał wino do trzech kielichów, obrócił się i gestem przywołał gości. Skinieniem zaprosił ich, by wybrali naczynie, po czym ujął w dłonie pozostały na blacie kielich i napił się szczerze. - Kiedyś wrócimy do sprawy Varencyego, chętnie usłyszę więcej o tym, co go spotkało, lecz teraz skupmy się na tym, czy mój inny wysłannik - ruchem głowy wskazał na Iona - odniósł sukces w swej misji. - Przeniósł spojrzenie na Włada. - Udasz się na wyprawę krzyżową czy nie? - zapytał wprost.

Drakula skinął głową.

- To właśnie druga wiadomość, którą ci przynoszę, wasza wysokość. O wiele ważniejsza od pierwszej. Zaiste wybieram się na krucjatę. Pod pewnymi warunkami jednak

Korwin odstawił kielich.

- Wymień je.

- Będę walczył w twoim i swoim imieniu pod sztandarami Węgier i

Smoka. Ale nie znajdę się pod niczyją komendą z wyjątkiem waszej miłości. Z pewnością nie będzie mną dowodził mój kuzyn Stefan z Mołdawii.

- Z czego wynika, że skoro ja z wyjątkiem uniesienia sztandaru przed wyruszeniem armii w pole będę głównie przebywał tutaj, w Budzie, dowodzenie przejdzie w twoje ręce już na początku krucjaty.

- Co więcej, będę wymagał całkowitego posłuszeństwa. Od wszystkich. Ponieważ znam tylko jeden sposób walki. Bez litości. Litość jest dobra na czasy pokoju, na wojnie nie ma dla niej zastosowania.

Kruk, zaglądając przez wciąż uchyloną pokrywę do wnętrza cebrzyka, zadrżał mimowolnie.

- Czyżbyś już ostrzył nie tylko stal, ale i drewno, Władzie Drakulo? - zapytał.

Na wargi gospodarza wołoskiego wypełzł nieznaczny uśmiech.

- Wasza wysokość nie słuchał uważnie przekazów. Pali się nie ostrzy, lecz celowo stępia. - Uśmiech zniknął. - Ale tak, rzeczywiście zamierzam uczynić wszystko i wszystkim, byle odnieść zwycięstwo podczas tej wyprawy - przyznał. - Ponieważ tylko zwycięstwo się liczy w ostatecznym rozrachunku i nigdy nic, co do niego doprowadziło, nie ma już potem znaczenia. - Popatrzył po przyglądających mu się mężczyznom, po czym wyrzucił przed siebie okaleczoną dłoń, zwijając ją w pięść. - Zatem zgoda?

- Zgoda! - odrzekł Ion, oplatając palcami pięść Drakuli. - W imieniu Stefana z Mołdawii przyrzekam, że nie cofniemy się przed niczym w drodze ku zwycięstwu, nawet gdyby miało to oznaczać naszą śmierć.

Maciej Korwin położył rękę na samej górze.

- Zgoda! Przysięgam na święty Krzyż i w imieniu królów Europy, że poprowadzisz taką armię, jaka będzie potrzebna, by odbić swoje ziemie z rąk wroga, strącić z tronu swego ojca uzurpatora i samemu na nim zasiąść, a także odrzucić niewiernych aż za Dunaj. Uczynisz znów Wołoszczyznę przedmurzem chrześcijaństwa, broniącym je przed Turkami. - Dołączył drugą rękę, obejmując teraz obiema dłońmi pozostałych dwóch mężczyzn. - Przyrzekam uczynić wszystko, co konieczne, abyśmy zatryumfowali, nawet gdybym miał postradać życie.

- I ja przyrzekam to samo - rzekł Drakula i spoglądając prosto na Iona, dodał: - W nadziei na odkupienie moich win.

- Zatem w drogę! - rzucił Korwin, podnosząc wysoko ręce swoje i Wołochów i przez chwilę trzymając je nad głową. - Zbierz armię i pomóż moim wrogom odbierać sobie życie

To powiedziawszy, król wrócił do łoża, Wład i Ion zaś wyszli przed pałac. Na wschodzie dniało już i oczy obu mężczyzn powędrowały ku wstającemu słońcu widocznemu przez mgiełkę unoszącą się nad rzeką.

- No więc, książę - zaczął Ion - czyżby miało nam się udać porzucić okowy piekła?

Drakula potrząsnął głową.

- Nie, Ion. Rozwiniemy sztandar mego ojca. Poniesiemy na południe święty Krzyż. I będziemy świadkami, jak bestia znajduje schronienie pod oboma tymi chrześcijańskimi symbolami.

48. DANSE MACABRE

Bukareszt, dwadzieścia dwa miesiące później, grudzień 1476 roku

Stojąc na blankach, Ion przyglądał się, jak przez bramę przejeżdża ostatni człowiek. Węgier uniósł dłoń, lecz Ion ani myślał wyjmować ręki spod ciepłego przykrycia wełnianej peleryny, aby odwzajemnić salut. Po pierwsze, było na to zbyt zimno. Po drugie, uczynił wszystko, żeby zatrzymać tego człowieka i jego żołnierzy w twierdzy. Wolałby, aby pochłonęło go piekło, aniżeli teraz machać mu na pożegnanie.

Jak gdyby wyczuwając jego niezadowolenie, Stefan Bathory, książę siedmiogrodzki, odwrócił się i poświęcił całą swoją uwagę wierzchowcowi, wbijając mu w boki ostrogi i trzymając pewnie wodze, żeby jak najszybciej dogonić swoich. Większość jego armii wyruszyła jeszcze minionego dnia, kierując się ku górskim przełęczom, które - chyba tylko cudownym zrządzeniem losu - były wciąż wolne od śniegu. Właśnie ten cud sprawił, że Bathory podjął decyzję o powrocie na dwór swego króla w Budzie, aby tam świętować narodziny Zbawiciela. Dlaczego zabrał ze sobą całą swoją armię, pozostawało tajemnicą. Może uznał, że skoro Stefan cel Mare mógł powrócić na Boże Narodzenie do Mołdawii, on nie powinien być gorszy.

- Wcześniej wstałeś

Głos dobiegł go z tyłu, lecz nie musiał się odwracać, aby wiedzieć, kto doń mówi.

- Ty także, książę.

- Ja? - Mówiący mężczyzna stanął u jego boku. - Ja w ogóle nie położyłem się spać.

Ion okręcił się i zobaczył, że Drakula faktycznie odziany jest w ten sam strój, który miał na sobie podczas pożegnalnej uczyty poprzedniego dnia: w skórzany kaftan i pelerynę równie czarne jak jego włosy. Pierwsze co zrobił po wyruszeniu na tę krucjatę, to ufarbował je oraz brwi, jak również wąsy, które wszakże nie nabrały odpowiednio głębokiego odcienia czerni, dlatego kazał je zgolić. Jego syn natychmiast poszedł w jego ślady, goląc swój bujny, naturalnie czarny wąs. Pomysł ufarbowania włosów i ukrycia siwizny nie

wynikał z czczej próżności. Tej książę był niemal całkowicie pozbawiony. Chodziło o to, że znów przestał być zwykłym człowiekiem, a stał się przywódcą, który miał dawać przykład i stanowić inspirację dla podwładnych, ci zaś rzadko z chęcią słuchają rozkazów starców.

Ion wpatrywał się w księcia z natężeniem. Brak snu, dokuczliwy chłód i ciągle zmartwienia otępiały go, czyniły starszym, niż był w istocie, wywoływały ból w wielokrotnie połamanych i nastawianych kościach i starych rwących ranach, podczas gdy Drakula mimo trudów wyprawy z każdym dniem wydawał się młodszy i wytrzymalszy. I kolor włosów miał tu najmniejsze znaczenie. Zniknęło gdzieś napuchnięte ciało, wpadnięte w głąb czaszki oczy, niezdrowa szarość cery, jak gdyby Wład zmienił skórę niczym wąż. Taką przemianę przechodzili wybitni wojownicy, ilekroć udawali się na wojnę. A odkąd sztandar Smoka i świętego Krzyża zostały podniesione w Budzie przed ponad półtora rokiem, w okolicy trwała nieprzerwana wojna. Krzyżowcy przecinali Bośnię wzdłuż i wszerz, mordując każdego Turka na swojej drodze i wiernie podążając za przewodem Drakuli. Ion starał się go przestrzegać, poskramiać jego apetyt na coraz to nowe małe zwycięstwa, tłumacząc, że to pycha pcha go zawsze na pierwszą linię, podczas gdy prawdziwym zadaniem dowódcy jest mądrze dowodzić, nie zaś brać udział w bezpośredniej walce z wrogiem. Po raz pierwszy powiedział to pod Srebrenicą kiedy książę stojąc przed nim, zawiązywał sobie na głowie turban, już odziany w turecki strój i zbroję, i przygotowywał się do przekradnięcia do garnizonu nieprzyjaciela celem zdobycia informacji przydatnych dla późniejszego ataku. Drakula, biorąc do ręki turecki łuk, ten sam, którego cięciwę tylko on potrafił naciągnąć, uśmiechnął się i odpowiedział: „Moje życie jest w rękach Boga, Ion, a mój kismet od dawna zapisany”.

- Polowałem - powiedział teraz Wład, podchodząc bliżej i wychylając się za blanki. - Pamiętasz tę ranną jastrzębicę, którą znaleźliśmy pod Kuslatem? Wydobrzała i jest już zdolna do krótkich lotów. Świetnie sobie radzi o zmroku i świtaniu, kiedy na niebie wciąż jest mało światła.

Ion odwrócił się z lekkim drżeniem. Nie tylko tę jastrzębicę zabrali pod Kuslatem, pod Zvornikiem, pod Srebrenicą i na dziesiątce innych pól bitewnych od tamtej pory. Przede wszystkim zabierali ludzkie życia - i to tysiącami. Turków, Bułgarów, zdradzieckich Wołochów. Przejsie krzyżowców wiązało się, jak zwykle, z rozlewem krwi i lasem pali, a na razie zakończyło tutaj, w Bukareszcie, który Wład z jakichś powodów upodobał sobie ponad Tirgoviste. Mówił, iż dlatego, że bliżej stąd do Dunaju i prędzej

można usłyszeć o nadciągającym wrogu, ale Ion wiedział swoje. Bukareszt był nowszym miastem i nie łączyło się z nim tyle złych wspomnień.

Brama twierdzy, ledwie się zamknęwszy, otworzyła się ponownie. Przez uderzenie serca Ion miał nadzieję, że ujrzy w niej powracającego Bathoryego, który nareszcie zdał sobie sprawę z bieżącego niebezpieczeństwa i postanowił jednak spędzić zimę na Wołoszczyźnie. Oczywiście jego nadzieje okazały się płonne. Bramę przekroczył drugi z Drakulów. Ścisłej mówiąc, przetoczył się przez nią, podtrzymywany przez trzech równie wstawionych kompanów.

- Widzę, że mój syn wciąż świętuje zwycięstwo nad Turkami - zauważył Wład.

Ion parsknął rozeźlony.

- My nigdy nie czciliśmy zwycięstwa Krzyża nad Półksiężycem w zamtuzach.

Drakula uśmiechnął się nieznacznie.

- Starzejesz się, przyjacielu

- A jednak to prawda, co powiedziałem. Nie włączyliśmy się po lupanarach. - Ion poczuł w ustach gorycz: od kwaśnego wina, które wypił wcześniej, i od własnych zapalczywych słów.

- Ja nie miałem takiej potrzeby. Kochałem kogoś - urwał na chwilę. - A ty, Ion? Kogo ty miałeś, kto powstrzymywał cię przed łajdaczeniem się jak mój syn teraz?

Ja także kogoś kochałem, pomyślał Ion, lecz nie powiedział tego głośno, czując, jak wykręcają mu się wnętrzności.

Ramię przy ramieniu przyglądali się młodemu Drakuli, gdy zataczając się, przecinał dziedziniec. Jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest obserwowany, zatrzymał się i spojrzał do góry, po czym uklonił się z przesadą, zaśmiał i ruszył dalej przed siebie, ani trochę pewniejszym krokiem. W walce sprawdzał się całkiem dobrze, jeśli wziąć pod uwagę jego możliwości. Nie był swoim ojcem i zbyt nie folgował sobie, jeśli chodzi o trunki i kobiety, lecz nosił na ciele blizny, których nie zadał mu starszy Drakula podczas ćwiczeń. Zadziwiająco przybyło mu lat i doświadczenia, podczas gdy jego ojciec zdawał się młodziwiec i odzyskiwać wigor i entuzjazm. Czasami Ion odnosił wrażenie, że obaj spotkali się gdzieś w połowie drogi pomiędzy młodością a starością. On i Wład nigdy nie byli sami. Z rzadka padało jej imię i wtedy towarzyszyła im pełniej, jakby wspomnienie nabierało ciała, wydobywając całą miłość i nienawiść, którą do

niej czuli, którą czuli do siebie. Gdy oddawali się zajęciom, jakie połączyły ich z dawnien dawną: polowaniu, walce, rządóm, było tak, jakby nigdy nic się pomiędzy nimi nie zmieniło od czasów wspólnej nauki w enderunie czy wspólnych wypraw na dzika jeszcze wcześniej, na rodzinnej ziemi. Lecz prędzej czy później pojawiała się ona - w rzuconym mimochodem słowie, w cieniu przesłaniającym spojrzenie - i przynosiła ze sobą diabelnie silne uczucia, w żaden sposób nie dające się poskromić. Podobnie jak rana po palcu, który odciął Władowi Radu, wspomnienie o niej nie chciało się zagoić w duszy. Tyle że kikut Drakuli zmartwiał i niemal przestał boleć, jak w końcu dzieje się z każdym, nawet najokrutniejszym zranieniem, dla którego jedynym lekarzem jest czas. Rana w duszy Iona nigdy się nie zagoiła.

Drakula chyba wyczuł kłębiące się w przyjacielu myśli i uczucia, poczuł jej obecność. I wtedy po raz pierwszy postanowił o tym porozmawiać. Odchrząknął i rzekł:

- Jeśli chodzi o Ilonę, powinieneś coś wiedzieć.

- Nie - Ion przerwał mu, spoglądając groźnie spod opadającej na oczy grzywki. - Wielokrotnie cię ostrzegałem. Nawet nie próbuj tego tłumaczyć, znajdować wymówek, powodów, pretekstów - byłyby może wymieniał dalej, ale jego słowa zagłuszyło uderzenie drewnianych wrót o mur, kiedy brama otwarła się po raz trzeci w krótkim czasie. Tym razem przejechał ją jeździec na spienionym koniu. Patrzyli, jak ześlizguje się z siodła, opiera o bok zwierzęcia, wyraźnie wycieńczony. - Musiał przejechać z daleka - ocenił Ion, z trudem dobywając głos z gardła ściśniętego wzruszeniem. - Pewnie przynosi wieści o uzurpatorze.

Drakula przyjrzał się Ionowi z uwagą, potem obrzucił spojrzeniem jeźdźca.

- Chodźmy do niego dowiedzieć się, co się stało - rzucił. Opuścili blanki i po krętych schodach zeszli do wielkiej sali, by wysłuchać nowin, które dla nich wcale nowinami nie były. Posłaniec bowiem powiedział im to, co ich szpiedzy widzieli na własne oczy i o czym zdążyli już dawno donieść: że Basarab Laiota wzywa nielojalnych wołoskich bojarzynów pod swój sztandar, a jego tureccy sojusznicy już gromadzą armię na drugim brzegu Dunaju.

- Widzisz? Zyskałeś potwierdzenie

- To wszystko jeszcze nie oznacza, że na nas uderzą, Ion. Po prostu grożą nam, aby uczynić nas niepewnymi swego, nerwowymi, bardziej narażonymi na złe posunięcie. Ja na jego miejscu robiłbym to samo.

- Mimo to nie powinniśmy byli pozwolić Mołdawianom i Węgrom zabrać swoich oddziałów! - Ion grzotnął pięścią w stół. - Bo jeżeli jednak Basarab uderzy

- Poradzimy sobie z nim. - Drakula przełamał chleb i zamoczył kawałek w grzonym winie. - Poza tym jak niby mieliśmy zatrzymać naszych sojuszników na podstawie samych pogłosek? Tak czy inaczej wybraliby świętowanie Bożego Narodzenia pośród bliskich. Ty także powinieneś wracać do rodziny, Ion. Jedź do Suczawy i swoich pięciu córek.

- A ty? Jakoś nie wybierasz się do Pesztu.

- Dobrze wiesz, że ja nie mogę

- Ani nie wzywasz żony z synami, by dołączyła do ciebie tutaj na czas świąt.

- Nie, ale

Ion opadł na krzesło.

- Zatem i ja nigdzie nie pojedę.

- Doskonale wiesz, że zima nie sprzyja walkom. Armie liżą rany, opracowują strategię, przeczekują do wiosny

- Tak jak my w Giurgiu? - spytał z sarkazmem Ion. - Tak jak ty w Bośni minionego roku?

- Cóż - Wład wzruszył ramionami. - Wszystko w rękach Boga, jak zwykle.

- To prawda - zgodził się Ion - lecz jeszcze nie powód, by siedzieć na własnych. - Podniósł się z miejsca. - Jako twój logofet mam masę spraw, którymi powinienem się zająć. Po pierwsze, pošlę umyślnych do lojalnych wobec ciebie bojarzynów, żeby zebrać złoto i ludzi, których ci obiecali.

Wład odrzucił skórkę od chleba, którą pracownicy przeżuwał.

- A ja mam parę listów do napisania. Sasi z Braszowa i Sybina nadal zwłóczą z przysłaniem złota, które już dawno powinno było zasilić skarbiec krucjaty. - Zatarł dłonie. - No i muszę się zaopiekować jednym z sokołów. Oblazły go wszy, a Stoicy dopiero niedawno udało się znaleźć trochę rtęci

Ion potrząsnął głową.

- Nie masz poważniejszych zajęć, książę? Sokoły mogą poczekać.

- Sokoły nie lubią czekać, logofecie. Jeszcze tego nie wiesz?

Tydzień później nadeszły następne wieści. Nareszcie takie, co ich zaskoczyły. Ion odnalazł Drakulę w ptaszarni, stworzonej w wydzielonej części stajni, z sokołem na zaciśniętej pięści. Kiedy rycerz wpadł do ciemnego pomieszczenia, jastrzębica poderwała się na tyle, na ile pozwoliły

jej przytrzymujące ją rzemienie, obróciła się w powietrzu do góry brzuchem i rozłożywszy skrzydła, zatrzepotała nimi rozpaczliwie.

- Ostrożnie, mój skarbie! - uspokajał podopieczną Wład. - Ostrożnie, najdroższa

- Książę!

Nieobleczona w rękawicę sokolniczą lewa dłoń Drakuli machnęła na Iona niecierpliwie.

- Zamilcz - powiedział tym samym głosem, którego używał, mówiąc do ptaka - i zaczekaj.

Ion stał więc, na przemian zaciskając i rozluźniając palce. Po chwili, kiedy wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, rzucił spojrzenie za Drakulę i wzdrygnął się, dostrzegłszy stojących w mroku stajni Stoicę i Czarnego Ilie, nieodłączne cienie księcia. Większy z mężczyzn skinął mu zimno głową na powitanie, mniejszy i łysy po prostu gapił się bez słowa. Obaj ocalali witeziowie Drakuli niechętnie widzieli powrót zdrajcy Iona Tremblaca, lecz jemu było to obojętne. Nie mogli wiedzieć, jak ważne motywy nim kierowały.

Jastrzębica w końcu się uspokoiła, zachęcana gładkimi słowami i kawałkami surowego mięsa. Wkrótce znowu siedziała pewnie na zwiniętej dłoni, sięgając dziobem do podawanego jej posiłku i nadstawiając łeppek do głaskania.

- Teraz po cichu - powiedział w którymś momencie Drakula i Ion dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że polecenie było skierowane do niego.

- Przekroczyli - zaczął z przejęciem.

- Po cichu!

Ion przymknął powieki, odetchnął głęboko, zacisnął i rozluźnił palce. Kiedy ponownie się odezwał, głos miał cichy i zrównoważony.

- Basarab Laiota przekroczył Dunaj.

- Ilu ma ludzi?

- Sprawozdania nie są jednoznaczne. Ale co najmniej trzydzieści setek.

- Nie tak znów wielu. A co uczynił bojarzyn, którego pozostawiłem, aby obserwował pochód wroga i opóźniał go w miarę możliwości? Gheorghina, który zaplawał się z entuzjazmu, składając mi przysięgi na wierność podczas mojej koronacji?

- Przeszedł na stronę uzurpatora.

- Ach tak. Powoli, najśliczniejsza, powoli - powiedział, nie podnosząc głowy, po czym tym samym tonem kontynuował: - Gdzie są bojarzynie,

których sprosiłeś tutaj na ucztę bożonarodzeniową?

- Otrzymałem sporo zapewnień z ich strony, że lada moment wyruszą w drogę. Niestety żaden z moich szpiegów nie potwierdził, by ktokolwiek opuścił domowe pielesze

- Naprawdę? - Na wargach Drakuli pojawił się uśmiech. - Ktoś mógłby pomyśleć, że znany jestem z niegościnnosci.

Ion omal nie pękł z gniewu.

- Bierzesz to wszystko nazbyt spokojnie, książę.

- A co powinienem zrobić twoim zdaniem?

- To co musisz - odparł Ion, przysuwając sobie zydel. Opadł na niego i pochylił się do przodu. - Kazałem sposobić się do wymarszu. Możemy opuścić twierdzę o zachodzie słońca.

- I udać się dokąd?

Ion zmarszczył brew.

- Jak to: dokąd? Do Tirgoviste, gdzież by indziej? Jeśli choć część bojarzynów tam do nas dołączy, będziemy w stanie obronić książęcy dwór do czasu, aż nadciągną z odsieczą Węgrzy. I jeśli zyskamy niewielkie poparcie, a coś mi mówi, że tak będzie, stamtąd będziemy mogli się wycofać do Poenari. Kiedyś powiedziałeś, że cytadelę da się utrzymać, mając w obsadzie pięćdziesięciu ludzi. My mamy pięć setek, więc

- Pięć setek? - Drakula oderwał oczy od jastrzębicy. - A Basarab trzydzieści? To jeden na sześciu, na Boga! Mamy szansę, wołoską szansę! Kiedyśmy najechali obóz Mehmeda w lesie, proporcja wynosiła jeden do dwudziestu, pamiętasz?

Ion poczuł, jak na ciele występują mu ciarki.

- Książę, myśmy wtedy przegrali.

- Ale byliśmy bliscy zwycięstwa.

- Byłeś bliski zachowania palca u lewej dłoni - wyrzucił z siebie Ion - a jednak go straciłeś!

W ciemnościach Czarny Ilie poruszył się i postąpił krok w przód. Drakula powstrzymał go w miejscu uniesieniem dłoni.

- Co z tego? - zapytał, nie podnosząc głosu. - Zaryzykowaliśmy wtedy i nie udało się. Możemy zaryzykować ponownie, a rezultat okaże się zupełnie inny. - Gestem pokazał, żeby mu nie przerywać. - Nie, Ion. Nie pozwolę się znów zapędzić na dobrze znany trakt. Z Tirgoviste przez Poenari do Pesztu. Uciekinier, potem wygnaniec, w końcu znowu ubogi krewny króla. Potwór, którym można straszyć mieszczańskie dzieci i wielmożów podczas uczt, aż w

końcu wszyscy zaczną się ze mnie śmiać. Nie - powtórzył. Zapatrzył się przed siebie ponad głową jastrzębicy. - Wiesz, ktoś kiedyś w podobnej sytuacji zapytał mnie, czy wolę być przedstawiany jako ostatni osioł czy jako niepokonany lew. No więc teraz odpowiem, że bycie przez cały czas lwem bywa męczące. - Potrząsnął głową. - Odkąd żyję, usiłowałem zerwać więzy pętające każdego wołoskiego hospodara. Próbowałem żyć nie tak, jak życzy sobie sułtan albo jakiś król, tylko w zgodzie z zapisanym mi kismetem. Zawierzając Bogu i swemu rozumowi. Ale w końcu znudziło mi się odbieranie tronu z czyichś rąk, by zaraz go znowu utracić i tak w koło Macieju - zrobił krótką pauzę, jakby coś sobie uświadomił. - Za którymś razem to błędne koło musi zostać przerwane. Dlatego raczej wybiorę się z moimi ludźmi, żeby zobaczyć nadciągającą armię Basaraba, i zabiję go, jeśli tylko zdołam.

Głos Iona był równie cichy jak głos księcia.

- A jeśli to on ciebie zabije?

- Wtedy będę martwy. I moje cierpienia nareszcie się skończą. - Drakula klasnął językiem, żeby zwrócić uwagę ptaka. Jastrzębi-ca nastroszyła pióra. Palce człowieka zwinnie rozplatały supły na rzemieniach i równie szybko zawiązały nowe, tyle że wokół żerdzi. Kolejny kawałek surowego mięsa trafił do wiecznie głodnego dzioba.

- Ale lepiej nie mówmy o mojej, tylko o jego śmierci. Poślemy po Mołdawianina i Bathoryego. Zaapelujemy znów do bojarzynów. Jeżeli nie przywabi ich Krzyż, może zdoła uczynić to pał? - Rozciągnął wargi w uśmiechu. - Wierz mi, przyjacielu, ja nie szukam śmierci jak ostatni osioł, tylko sposobu, jak by to raz na zawsze zakończyć. Taniec śmierci Pomożesz mi znaleźć ten sposób?

- A czy mam wybór?

Wład Drakula, który już się odwracał, żeby przywołać niemowę, zamarł na moment i wolno obrócił głowę ku rycerzowi.

- Wybór, powiadasz? - rzekł wolno, przekazując słudze ptaka. W jego oczach pojawił się dziwny blask. - Pamiętasz ten dzień w Adrianopolu, kiedy zaoferowałem wybór Ilonie?

Dźwięk jej imienia wypalił mu w duszy kolejną ranę. Jak zawsze ogarnął go nagły, niepokonany gniew zmieszany z bólem.

- Ona nigdy nie miała żadnego wyboru! - krzyknął w odpowiedzi.

- Miała, Ion - odparł Drakula. - Taki sam jak my wszyscy Zostać albo odejść. Ty też możesz teraz zostać przy mnie albo mnie zostawić. - Zielone

oczy pociemniały. - Już kiedyś dokonałeś takiego wyboru.

Najpierw jej imię i wspomnienie tego, co ją spotkało, a teraz jeszcze wypominanie mu zdrady, której się dopuścił!

Coś w nim pękło. Czuł, jak uczucia wzbierają w nim żółcią i krwią i nie myśląc, co robi, sięgnął przed siebie, pochwycił niższego mężczyznę i przyciągnął go bliżej. Za nim jak cień poruszył się Czarny Ilie, tłumiący przekleństwo na ustach, jednakże Drakula ponownie osadził go w miejscu uniesioną dłonią.

- Zaczekaj! - rozkazał swemu słudze i wpatrzywszy się prosto w oczy Iona, zapytał cicho: - Co takiego chcesz mi powiedzieć od dawna?

Przez parę uderzeń serca Ion nie potrafił wydobyć z siebie głosu. W końcu jednak mu się udało.

- Przysięgam ci kiedyś, że zabiję mężczyznę, który ją skrzywdzi. To tylko jeszcze jedna obietnica, którą złamałem. Ale posłuchaj mnie teraz dobrze, Władzie - wysyczał jego imię, utracił na moment głos, by dopiero po chwili wykrztusić: - Nigdy Nigdy więcej nie mów o niej do mnie, ty ty ty chędożony synu dziwki! - wyszeptał. - Ani nie mów o niej, ani nie opowiadaj, jak to ją kochałeś. Jeśli kiedykolwiek to zrobisz w mojej obecności, odejdę. Tym razem na dobre! - Przycisnął twarz do twarzy Włada, tak że stykali się nosami. - Lecz zanim cię zostawię, będę z ulgą przyglądał się twojej śmierci!

Odepchnął Drakulę od siebie. Książę zachwiał się i byłby upadł, gdyby Czarny Ilie przytomnie go nie podtrzymał. Osuwając się do tyłu, obaj wyrznęli o żerdź, na której siedziała jastrzębica. Ptak zatrzepotał skrzydłami, poderwał się na uwięzi i rozdarł piskliwie. Ion odwrócił się i wybiegł ze stajni, zatraskując za sobą drewniane wrota. Lecz mimo to długo jeszcze słyszał przeraźliwy skrzek ptaka i czuł świdrujące spojrzenie przenikliwie zielonych oczu.

49. OSTATNI PAL

Ion wędrował w górę zbocza oślepiiony przez zawieję śnieżną. Wirujące płatki śniegu, siekące zmarzniętymi kryształkami raz z jednej, raz z drugiej strony, oblepiały mu twarz i praktycznie odcinały wszystkie zmysły. Już dawno musiał zsiąść z wierzchowca, który zaparł się kopytami w zaspie i ani drgnął dopóty, dopóki Ion nie zeskoczył z siodła i zakrywszy mu oczy klapkami, nie szarpnął za uzdę. Wyciągniętą przed siebie wolną ręką torował sobie po omacku drogę pośród poskręcanych, ogołoconych z liści i igieł gałęzi, nie dających wędrowcowi najmniejszego choćby schronienia. Odkąd zmysł wzroku stał się całkowicie bezużyteczny, owinął sobie twarz pasem materii, chroniąc się przed siarczystym mrozem, i brnął naprzód, mając nadzieję, że porusza się tym samym szlakiem, którym przed pięcioma dniami, w słoneczny, suchy i zupełnie niezimowy dzień, poprowadził ich Drakula, robiąc zwiad w obozie wroga rozłożonym na pobliskim wzgórzu.

Basarab Laiota od tygodnia przymierzał się do ataku na Bukareszt, jednakże wciąż trwał przyczajony, wyczekując na posiłki. Dlatego właśnie Ion został posłany w celu zgromadzenia większych oddziałów do obrony, niestety misja się nie powiodła i wracał teraz samotnie. Nagle ostatni działający, aczkolwiek przytłumiony przez zamieć zmysł ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Z szumów i świstów wiatru wyłowił odgłos łamanego patyka i krótkie parsknięcie klaczy. Odruchowo dobył miecza. Sytuacja mogła się zmienić w ciągu ostatnich paru dni, być może i wróg już zajmował także to wzgórze. Drakula nie miał szans go utrzymać. Zerwał z twarzy zasłonę i mrużąc powieki, wpatrzył się we wszechogarniającą biel.

- Swój! - krzyknął, lecz wiatr porwał krótkie słowo, zanim zdążyło wybrzmieć. Stojąc z plecami przyciśniętymi do pnia najbliższego drzewa, zawołał jeszcze raz, tym razem głośniejsze.

- Jaki swój? - nadeszła basowa odpowiedź, wprawiając Iona w konsternację.

Kiedy wyruszał, niebo było błękitne i czyste, a powietrze ciepłe jak na grudzień. Nikt nie pomyślał o tym, aby ustalić hasło na wypadek śnieżycy. Ion kucnął, uniósł miecz nad głowę i rzucił na próbę:

- Przyjaciel Smoka! - Zamarł w oczekiwaniu na cios, który nie spadł.

- Logofet?

Z ulgą rozpoznał głos Romana, jednego z dwu setek Mołdawian, których Stefan cel Mare raczył zostawić Drakuli.

- To ja! - odparł Ion, wstając. - Czy wojewoda wciąż tu jest?

- Zaprowadzę cię do niego - powiedział wciąż niewidoczny poprzez zawieruchę człowiek. - Złap mnie za rękę.

Ion wsunął miecz do pochwy, wyciągnął dłoń, namacał, zamknął uchwyt. Z jedną ręką przed sobą, drugą zaś z tyłu, nadal trzymającą uźdę opierającej się klaczy, dał się poprowadzić w górę zbocza. Po jakimś czasie śnieg zrzedł na tyle, że można było cośkolwiek zobaczyć - jak się okazało, tę część wzgórza porastały gęste sosny, których korony stanowiły swego rodzaju baldachim. Nagle teren zrobił się bardziej płaski i Ion potknąwszy się, opadł na kolana, wypuszczając z dłoni rękę przewodnika. Zadarłszy głowę, dostrzegł płomień ogniska.

- Tędy - powiedział basowy głos. - Wojewoda jest w środku.

Przed sobą mieli wejście do pieczary. Była ogromna, z łatwością mieściła co najmniej pół tuzina ognisk, których światło wydobywało z mroku ściany oddzielone od siebie o lekko licząc dwadzieścia kroków. Kiedy Ion wygiął szyję, żeby popatrzeć na sklepienie jaskini, przekonał się, że znajduje się tak wysoko, iż nie sposób go dojrzeć. Snujące się potężne kolumny dymu, uchodzące przez naturalne otwory czy szczeliny w sklepieniu, dawały najlepsze pojęcie o rozmiarach pieczary. Wystarczyło parę kroków i twarz Iona zaczęła tajać, a po czole jęły mu spływać strużki wody z topiącego się szronu na brwiach i włosach. Podążając za Romanem, rycerz zdał sobie sprawę, że nie tylko ogień oddaje ciepło we wnętrzu jaskini. Wszędzie leżeli pokotem żołnierze, tak że musiał uważać, gdzie stawia nogi. Musiało ich być tutaj niemal pięć setek. Cała wołoska armia zgromadzona w jednej jaskini. Na wysuniętej półce, niczym na podwyższeniu w wielkiej sali zamku, przy własnym ognisku siedział po turecku Drakula. Powstał na widok Iona i przywitał go, wyciągając rękę, a kiedy Ion otworzył usta, powstrzymał go:

- Na razie nic nie mów. Siadaj, jedz i pij. Rozgrzej się.

Zmarznięty na kość przybysz z wdzięcznością osunął się na ziemię. Stoica zbliżył się do ogniska z dwiema miskami, zanurzył je w niewielkich kotłach zawieszonych na metalowym ruszcie, po czym podał Ionowi pierwszą. Logofet wziął haust grzanego wina, zakrztusił się, lecz nie przerwał picia. Druga miska zawierała potrawkę z dziczyzny i ją także pochłonął w okamgnieniu. Otarł usta, westchnął i znów chciał coś powiedzieć, Drakula

jednak ponownie uniósł rękę, przerywając mu w pół słowa.

- Jedz i pij. Rozgrzej się - powtórzył tylko.

Stopniowo lód tajał w całym jego ciele; wreszcie Ion odzyskał czucie w członkach na tyle, że zdołał rozsypać troczki wierzchniej peleryny, poluzować elementy zbroi. Gdy opróżnił do dna obie miski, Drakula przyłożył palec do ust, powstał i skinąwszy, dał znak, aby logofet podążył za nim. Przeszli w głąb groty, poza kręgi światła rzucanego przez płonące ogniska, i schronili się pod występem skalnym w najdalszym zakątku. Ciągnęło tam chłodem od wyraźnie pokaźnej szczeliny w stosunkowo bliskim sklepieniu i Ion zaczął ponownie drzeć. Powiedział, co miał do powiedzenia, w krótkich, zwięzłych słowach. Wysłuchawszy go, Drakula pokiwał głową.

- Zatem moi bojarzynowie nie przybędą - skwitował.

- Wciąż ślą wieści, że zamierzają do ciebie dołączyć, księżę. Niektórzy nawet czynią pozorne ruchy przypominające zwoływanie ludzi pod swą chorągiew. A jednak żaden nie ruszył się na krok od swych włości, kiedy opuszczałem Bukareszt. - Ion westchnął głęboko. - Co gorsza, przy takich zamieciach nasi posłańcy mogą nigdy nie dotrzeć do Węgrów ani nawet na dwór w Suczawie.

- Śnieżycy już się kończy - wtrącił Wład. - Nie czujesz tego? - Uniósł głowę i wciągnął głośno powietrze do płuc. - Jesteśmy zdani tylko na siebie, jak zawsze. - Rzucił spojrzenie ku szerszej części pieczary. - I dobrze.

Ion powiódł za nim wzrokiem.

- Chyba nie myślisz o tym, żeby podjąć walkę? - spytał. Odpowiedział mu dźwięczny śmiech.

- Nie myślę o niczym innym - odparł Drakula i dodał: - Jak zawsze.

Ion opuścił oczy.

- Lecz jeśli Basarab doczeka się posiłków

- Już się doczekał - przerwał mu Wład. - Dwa dni temu Dunaj przekroczyło dwadzieścia setek Turków. Kilku pojaliśmy, paru innych zabiliśmy, ale większość dotarła do głównych sił. Dzisiaj Basarab wyruszy na Bukareszt.

- A my co zrobimy? - zapytał Ion słabo, przeczuwając odpowiedź.

- My im w tym przeszkodzimy.

Chociaż wiedział, że nie zdoła przemówić Drakuli do rozsądku, po raz ostatni spróbował odwieść go od tego pomysłu.

- Księżę, twój przeciwnik dysponuje teraz pięćdziesięcioma setkami

ludzi, ty masz zaledwie pięciuset

- Czterystu dziewięćdziesięciu dziewięciu.

- Jak to?

- Czarny Ilie odszedł.

- Opuścił ten padół?

- Opuścił ten oddział.

- Ilie zdezerterował? - Ion nie potrafił w to uwierzyć. Olbrzymi Siedmiogrodzianin był pierwszym z witezów i ostatnim, oprócz niemowy. Był chorążyym Drakuli, trwał u jego boku w najgorszy czas. W umyśle Iona zaczęło kiełkować podejrzenie. - Cóżżeś mu uczynił?

- Dałem mu wybór. Mógł zostać i umrzeć. Albo wrócić do Pesztu, do żony, i przeżyć. Czarny Ilie wybrał życie.

Ion popatrzył w stronę ogniska, ku niewielkiej zgarbionej postaci.

- A Stoica?

- Stoica nie ma dokąd wracać. W przeciwnieństwie do ciebie. - Wład nachylił się ku przyjacielowi. - Ty także powinienes wybrać życie - Zanim Ion zdążył w jakikolwiek sposób odpowiedzieć, książę podniósł się z kucek. - Patrz, kto idzie.

W ich stronę zmierzał młodszy Drakula o włosach i pelerynie oprószonych śniegiem.

- Prosiłeś, aby cię powiadomić.

- Tak?

- Nieprzyjaciel zwija obóz. Niebo się przejaśnia. - Strącił z czarnej brwi kroplę wody. - Szykujemy się do ataku, ojcze?

- Najpierw się podkradniemy i zorientujemy w sytuacji. Przekaż dowódcom, żeby budzili swoich ludzi.

Młodszy Drakula zasalutował i odbiegł śpiesznie, głośno wydając rozkazy.

- On jest szalony - stwierdził Ion, wiodąc spojrzeniem za młodym mężczyzną, rozentuzjasmowanym nadchodzącą bitwą.

- Oczywiście - zgodził się starszy Drakula, również się oddalając. - Mamy to we krwi.

Stali na skraju lasu, zdając się cieniami pośród gry światła i cienia. Dniejące niebo było ciężkie od sinych brzuchatych chmur zapowiadających kolejne opady śniegu, który już okrył puchowym całunem każdy krzak i każde drzewo w okolicy, sprawiając, że łagodne zbocze wiodące do doliny zdawało się piernatem. W niecce wróg szykował się do wymarszu. W jego

szeregach znajdowali się tatarscy akindżysowie, odziani w wielbłądzie skóry i z głowami okrytymi okrągłymi wełnianymi czapami, i spahisi obleczeni w zbroje i kolczugi, na które zarzucili pledy. Najmniej na zasypnym śniegiem trakcie do Bukaresztu było Turków. Przeważali Bułgarzy, Serbowie, Czarnogórcy, Chorwaci - oraz Wołosi, ubrani tak samo jak ci, którzy ich bacznie obserwowali: w wełnę, skórę i miękką materię wypełniającą każdą szczelinę w zbroi i odzieniu, przez którą mógł gryźć ciało ostry wicher wiejący znad Dunaju.

Ion spojrzął za siebie, na ich oddziały, i nieoczekiwanie stanęła mu przed oczyma całkiem inna linia drzew i mężczyźni, którzy byliby radzi dosiadać wierzchowców nago, byle tylko ulżyć sobie pośród okrutnego upału, a jedyne co ich przed tym powstrzymywało, to świadomość, że czeka ich szarża na uzbrojonego w stal przeciwnika. Tyle że wtedy, gdy szykowali się zaatakować położony w lesie obóz Mehmeda, nie był w stanie sięgnąć wzrokiem krańca oddziałów, na które składało się czterdzieści setek żołnierzy. Tymczasem tutaj z łatwością widział ostatnie szeregi krzyżowców, i to nawet w dopiero wstającym świetle pochmurnego dnia. Było ich tylko pięć setek. Nie całe pięć setek, o czym dowiedział się od Włada i co dobitnie poświadczają teraz ciche trzaski łamanych przez kopyta gałązek, kiedy niektórzy Wołosi w ostatniej chwili zmieniali zdanie i pozwalali koniom ześlizgiwać się po przeciwnej stronie zbocza, skąd mogli podjąć ucieczkę, klucząc między gęsto rosnącymi drzewami.

Obrócił się niecierpliwie i popatrzył na dwóch mężczyzn obok siebie, Drakulów, ojca i syna, odzianych w identyczne czarne zbroje. Młodszy drżał z podniecenia i miotał przekleństwa, rwąc się do walki, natomiast starszy trwał w bezruchu niczym posąg, nic nie mówiąc i pozwalając, by szron osadzał mu się na brwiach i formował sople na końcu ostrego nosa.

Już czas, pomyślał Ion. Czas pójść w ślady mądrzejszych od siebie i biorąc przykład z tych, którzy znajdowali się dalej od dowództwa, cichcem opuścić szeregi i wtopić się w mrok lasu Albo

- Książę?

Drakula drgnął, błyskawicznie skupiając wzrok na swoim doradcy.

- Już czas? - zapytał.

- Tak. Jeżeli uda nam się ich okrążyć i wyprzedzić, znajdziemy się na trakcie pierwsi. Wyciskając z koni wszystko, dopadniemy Bukaresztu, tam przejmujemy garnizon i będziemy mogli ruszyć dalej - nie dokończył. Coś w tej trupio bladej twarzy, w tych zielonych oczach kazało mu przestać

mówić. Drakula wykorzystał to i odezwał się:

- Nie czas na ucieczkę, Ion. Czas na atak.

- Nie, książę - odważył się zaprzeczyć Ion. Wskazał na przeciwległe wzgórze. - Ich jest zwyczajnie zbyt wielu.

- Tam, na szczycie, być może. Ale tu, w dole - Wychylił się w siodle lekko do przodu. - Widzę niewiernych, którym trzeba odebrać życie. - Obrócił się do swojego syna. - Przekaż rozkazy: najpierw łuki, jeszcze stąd. Potem, w bezpośredniej walce, miecze.

- Zaczekaj! - Ion szarpnął się i pochwycił młodego mężczyznę za ramię. Ten popatrzył na ojca.

- Ale nie teraz! Kilku zabitych więcej nie uczyni żadnej różnicy. - Wyraz białej twarzy i zielonych oczu nie zmienił się ani na jotę. - Książę, pomyśl o swej ziemi, o swym ludzie - Znów pod butem uzurpatora - Pomyśl o swojej rodzinie

- O niczym innym nie myślę - rzekł lodowato Drakula. - Myślę o moim ojcu pozbawionym głowy przez zdrajców. Myślę o jednym bracie, z wypalonymi oczyma i zakopanym żywcem. Myślę o drugim bracie i o tym, jak twarz zgniła mu od choroby, którą podarował mu sułtan. - Wskazał przed siebie. - Tam, w dole, mogę pomścić to wszystko. Zdrajcy i niewierni będą padać od ciosów mego miecza jeden po drugim, bez końca. - Zwinnym ruchem oswobodził ramię syna z uścisku Iona i powiedział raz jeszcze: - Przekaż rozkazy. Najpierw łuki, potem miecze.

Młodszy Drakula oddalił się nieznacznie i powtórzył słowa ojca najbliższemu dowódcy, ten zaś następnym. Wkrótce żołnierze zaczęli wyciągać łuki ze skórzanych łubiów.

Ion raz po raz potrząsał głową.

- Dlaczego? - szeptał. - Po co? W imię czego?

- Dlatego, że nadszedł czas wyboru. Dla nas wszystkich. - Wład poprawił się w siodle. - Ja już wybrałem, a ty? Jedziesz ze mną?

- Na pewną śmierć?

- Śmierć czai się na nas każdego dnia. Może czeka tam, w dole, na ciebie, a może na mnie. Może zginiemy obaj. - Powiódł spojrzeniem po twarzy przyjaciela. - Zatem wybieraj. Teraz.

- Ja - zaczął Ion i urwał.

W tej krótkiej chwili przerwy czas stanął w miejscu, a kiedy znów ruszył, świat wyglądał całkiem inaczej.

- Za późno - rzekł Drakula, odwracając się. - Dokonałem wyboru za

ciebie. Zwalniam cię ze służby u mnie. Wracaj do swojej żony, do córek. Umrzyj we własnym łóżu.

- Nie - zająknął się Ion. - Ja

- Czy ty naprawdę nie rozumiesz? - Wład znowu patrzył na niego, miotając z oczu błyskawice gniewu. W jego głosie brzmiała niesłychana pewność. - Nie chcę cię tutaj. Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym zdrajcy osłaniać mnie na polu bitwy?

Ion sapnął z wrażenia.

- To nie b

- Wiem, opuściłeś mnie z powodu Ilony. Z powodu swojej miłości do niej - sarknął. - Tak, tak, pamiętam, że zabroniłeś mi wymieniać jej imienia, ale pozwól, że powiem ci coś o niej. Coś, czego odmawiałeś przyjąć do wiadomości. Jak ją

- Ani się waż!

- Jak ją zabiłem!

- Ja to wiem

- Nie wiesz. Słyszałeś o tym później, bo uciekłeś ze szlochom do moich wrogów, zanim poznałeś rezultat. Zatem posłuchaj - zaśmiał się szaleńczo.

- Otóż wraziłem czubek mego sztyletu w jedną z jej krągłych piersi, prawą, jeśli mam być dokładny. A potem

- Przestań! Przestań natychmiast!

Ion chciał odjechać, lecz Drakula zastąpił drogę jego wierzchowcowi, po czym objął go ramieniem, tak że dłoń zakryła mu usta. Rycerz być może zdołałby się oswobodzić, miał przecież dość siły, by walczyć, lecz powstrzymało go spojrzenie zielonych oczu, lśniących nienaturalnym blaskiem, i ten głos, obniżony teraz niemal do szeptu.

- Rozdarłem ją od piersi do piersi, a potem wkłułem się tuż pod brodą i otworzyłem ją jak patroszonego zająca z góry na dół

- Przestań - poprosił Ion niewyraźnie, gdyż dłoń wciąż zakrywała mu usta. Jednakże ani ręka, ani głos nie ustąpiły.

- A jeszcze później, jak już ukończyłem swoje dzieło, śmiałem się. Bo to co zrobiłem, nie było wcale różne od tego, gdyśmy się kochali w łóżu. Sprawiało mi przyjemność zadawanie jej bólu, a ona lubiła być raniona. Przeze mnie. - Spoza przyłożonej na płask do twarzy dłoni dobył się jęk. Lecz niczego to nie zmieniło. - To wszystko szczerą prawdą. Wiele mówiliśmy ostatnio o wyborze. No więc taki był jej wybór. Została ze mną i pozwoliła mi się ranić, chociaż mogła poślubić ciebie i zaznać łagodnej

miłości. A jednak wybrała mnie i cierpienie! Ależ się wtedy śmiałem, płatając ją na dwoje, wolno i słodko, aż w końcu dotarłem do miejsca zdrady, w którym formowali się moi nieślubni synowie i skąd wyslizgiwali się na zewnątrz nie więksi niż

- Nie!! - Ionowi udało się nareszcie wyswobodzić z uścisku, oderwać od tego spojrzenia, odwrócić od głosu. Wład jednak wykazał się refleksem i siłą, gwałtownym ciosem zwałił rywala z siodła, zeskoczył za nim i przycisnąwszy go do ziemi całym ciałem, zbliżył się do jego twarzy o włos. Po czym podjął straszliwym, zduszonym szeptem:

- To koniec, Ionie Tremblacu. Koniec miłości, lojalności i prawdy. Pozostała tylko śmierć. Ilony, niewiernych, moja Nie mogę się jej doczekać. Pragnę objąć ją, jak niegdyś obejmowałem kochankę. Jestem gotów dziś umrzeć, jeśli taka jest wola Boga.

- Bóg? - wyszczał Ion. - Nie powinieneś nawet o nim myśleć. Będziesz smażył się w piekle po kres świata!

Drakula poderwał się, podnosząc za sobą Iona. Schwycił go mocniej za pelerynę na piersi i odepchnął z całych sił, tak że rycerz zatoczył się na swego wierzchowca. Klnąc w żywy kamień, z twarzą zalaną łzami Ion zaczął gmerać pod kropierzem w poszukiwaniu miecza. Drżącymi palcami odtoczył pochwę od siodła, dobył ostrza i odwrócił się. Kiedy ocierał łzy z oczu, aby lepiej widzieć, zorientował się, że Drakula zdążył już dosiąść konia i dźgając jego boki ostrogami, oddala się w stronę lasu.

Miecz wysunął się z dłoni rycerza. Mógł tylko zatoczyć się do tyłu, znajdując oparcie w szorstkim zimnym pniu, i patrzeć, jak Wołosi w milczeniu wskakują na siodła i śladem swego wojewody zawracają ku krzywiźnie gruntu. Ion rzucił spojrzenie w dół zbocza, zobaczył Turka z zadartą głową, który poruszył się kilkakrotnie niczym kukła, aż w końcu ogarnęło go zrozumienie i ryknął:

- Kazykły bej! Kazykły bej!

W tej samej chwili Palownik uniósł łuk, jeden z niemal pięciuset.

- Strzelać! - krzyknął Wład, zwalniając cięciwę na moment przed resztą oddziału. Wypuszczona z potężną siłą strzała trafiła do celu, pozbawiając życia pierwszego Turka w dolinie, tego samego, który go zauważył i rozpoznał. Mężczyzna padając, próbował wyszarpnąć strzałę z przebitego oczodołu. Uderzenie serca później niebo poszarzało jeszcze bardziej od gęsto szyjących strzał. Cięciwy były naprężane i zwalniane dopóty, dopóki w kołczanach nie zabrakło strzał. Wówczas cały oddział rzucił się na łeb na

szyję ku dolinie. - Miecze! - zawołał Drakula, opuszczając zasłonę hełmu i dobywając Smoczego Szponu.

Galopujący obok niego syn skopiował jego gest, lecz nie sięgnął po broń. Zamiast tego pochylił się w siodle i przejeżdżając mimo wbitego w ziemię drzewca, wyrwał je jednym szarpnięciem. Wokół drewna była ciasno owinięta materia, którą uwolnił kilkoma potężnymi machnięciami w obie strony, pozwalając, by silny naddunajski wiatr porwał tkaninę i raz jeszcze rozpostarł w powietrzu sztandar Smoka.

- Draakuulaa! - zawył, odczekał, aż oddział podchwyci okrzyk, i cwałem puścił się w dół zbocza.

Ci, którzy znajdowali się w niecce i wciąż żyli, spróbowali rozpaczliwej ucieczki ku głównemu obozowi na szczycie następnego wzgórza. Lecz stamtąd także zjeżdżali już żołnierze i wielu tych, co chciało poszukać schronienia pośród szeregów Basaraba, zginęło pod kopytami wierzchowców towarzyszy broni. Nieprzyjaciel najwyraźniej spodziewał się ataku. Szarżowali poszczególnymi oddziałami, mimo to Ion widział, że ich liczba idzie w dziesiątki setek.

A jednak Wołosi mieli po swojej stronie przewagę. Wzięli wroga przez zaskoczenie i nadal siali pośród jego szeregów strach. Część niewiernych z dna doliny rzuciła się do walki, ale z łatwością zostali odparci. Pierwszą szarżę Basaraba powstrzymała niewielka falanga Wołochów. Później walczący przemieszali się i rozpętała się seria krwawych pojedynków. Zza masy kłębiących się ciał zwierząt i ludzi, zza sierści, skóry, wełny i stali, pośród ziemi oranej kopytami i obutymi nogami i zamienianej w błotnistą maź, Ion potrafił dojrzeć tylko sztandar Smoka, podskakujący w górę i w dół, unoszący się i obniżający, aż wreszcie znalazł się na dobre w górze, wyrzucony i złapany. W tej samej chwili Ion dostrzegł też błysk Smoczego Szponu uniesionego na moment w geście tryumfu.

Niemal równocześnie natarł na Wołochów oddział ciężkozbrojnych spahisów, którzy kierowali się jakby z ubocza wprost na chorążego Drakuli. Wycinali sobie drogę przez walczący tłum, siekąc na równi wrogów i sprzymierzeńców i nie schodząc z raz obranego kursu. Na ich czele mknął dowódca przyobleczony cały w biel, począwszy od turbanu, a skończywszy na zwieńczonych ostrogami jeździeckich butach. Dzierżył solidny topór, którym zamachnął się na samotną, zakutą w czarną stal postać pod powiewającym wciąż dumnie sztandarem Smoka. Grube ciężkie ostrze napotkało brzeszczot miecza, przygięło go do ziemi, mimo to - Ion widział to

wyraźnie - Drakuli udało się sparować cios. Coś jednak zaraz poszło nie tak. Klinga zamiast trafić w szyję Turka, ześlizgnęła się po jego ramieniu, nie sięgając ciała. Odziany w biel spahis ściągnął wodze, zmuszając wierzchowca do ciasnego zwrotu, zamachnął się toporem ponownie i jednym rąbnięciem odrzucił wielki miecz. Przez uderzenie serca Ion Tremblac widział swego księcia bez broni w ręku, patrzącego na uniesiony nad jego głową topór, lecz w tej samej chwili, w której ostrze zaczęło opadać, wokół podniósł się znów tumult, zasłaniając widok na dowódcę spahisów, sztandar Smoka i Drakulę.

- Nie! - krzyknął Ion ile sił w płucach. W okamgnieniu znalazł się w siodle i zmuszał konia do cwału w dół śliskiego zbocza. Nie zatrzymał się nawet, aby podnieść z ziemi upuszczony wcześniej miecz. Nie było na to czasu.

Przedostał się na dno niecki szybko, gdyż nie zawracał sobie głowy zadawaniem lub parowaniem ciosów. Zresztą walka na obrzeżach nie była już tak zacięta jak na początku potyczki. Wołosi pilnie przyglądali się sztandarowi Smoka nawet w czasie najgorętszej bitwy i teraz, zobaczywszy jego upadek, nie mieli zamiaru nadstawiać karku na próżno. Uciekali dziesiątkami - przynajmniej ci, którzy utrzymali się w siodle, a nie leżeli na ziemi, rozkrzyżowani przez cztery pary ramion i wijący się, podczas gdy piąty Turek wrażał ostrze kindżału gdzie popadnie.

Przedostał się blisko, lecz bliżej już nie mógł. W końcu zwrócił czyjąś uwagę. Ktoś uczeplił się jego wierzchowca, ciężarem swego ciała próbując go zwalić na ziemię. Ktoś inny ciął klacz przez przednie nogi, powodując, że opadła na kolana z przeraźliwym rzeniem i runęła na bok, pierwiej wyrzuciwszy go w powietrze nad własnym łbem. Grzmotnął o ziemię, jego hełm, z braku czasu niepodpięty należycie, spadł mu z głowy i ledwie się odtoczył, jakiś Turek już próbował przebić go halabardą, Ion jednak wykonał nagły skręt ciała i ostrze minęło go o włos. Drzewce wszakże zahaczyło o niego, przygniatając do ziemi twarzą w dół. Wpatrzony w rozdeptane dziesiątkami stóp błoto, zdążył zacząć odmawiać modlitwę, kiedy ostrze halabardy znów się nad nim uniosło. Pogodzony z losem wyczekiwał chwili, kiedy spadnie, tym razem tnąc mu szyję i pogrążając w wiecznym mroku

gdy nagle wielkim wysiłkiem woli wykręcił wciąż całą szyję i zobaczył coś, co przywróciło mu zmysły i nadzieję. Drakula podnosił się z ziemi, zarzucając czarnymi włosami na połowę twarzy - tę, która została zmiażdżona. Druga połówka jego oblicza wydawała się bez skazy i oko tej

właśnie strony, szeroko otwarte, błyszczące, zielone, wpatrywało się prosto w niego, Iona. Zaraz jednak w polu widzenia pojawiła się reszta księcia, a raczej co z niego zostało: szyja zakończona krwawą kreską i nic więcej. W miarę jak ogarniał go cień opadającej nań halabardy, Ion dojrzał jeszcze, jak głowa Drakuli zostaje zatknięta na pal, ten zaś podniesiony na sztorc.

50. CAŁUN

Śniła o nim. Dotykał jej delikatnie, tak jak miał w zwyczaju a ona pragnęła go aż do bólu - tak jak zawsze. Ale chciała też, aby był wobec niej mniej łagodny. W domu uciech przy ulicy Rahia nauczono ją sposobów, jak znosić męską siłę, wpojono rolę, którą miała odgrywać, zaznajomiono ze sztuczkami, jakie by wzmogły przyjemność mężczyzny. Była na tyle pojętą adeptką, iż wiedziała, że zastosowane właściwie zdołają również zaspokoić w pełni ją. Nie chciała teraz patrzeć na jego smutek, nie chciała być niczym sanktuarium. Chciała zostać wzięta ostro, szybko i brutalnie, chciała, by wypełnił jej pustkę, jej żądzę. Pragnęła, by kazał jej się odwrócić, rozsunał jej szorstko uda, złapał za włosy, odginając głowę do tyłu, pochylił się i kasał ją w szyję w tym samym czasie, kiedy będzie w nią wchodził i miotał się w niej. Gdyby mogła, uszczypnęłaby go w rękę, w tę okaleczoną dłoń, oddałaby mu ból za ból, a potem zastanowiłaby się, z której jeszcze sztuczki skorzystać.

Obudził ją krzyk. Nie krzyk przyjemności ani nawet nie krzyk bólu. To był krzyk przerażenia i Ilona, przytomna w jednej chwili, natychmiast pomyślała, że być może znów przez sen zaatakowała leżącą obok niej osobę. Coś takiego zdarzało się rzadko, aczkolwiek wystarczająco często, żeby zgłaszano sprzeciwy, gdy komuś przychodziło dzielić z nią łożę - gdyż zimą zakonnice, szukając ciepła, opuszczały swoje pojedyncze cele, w których zamarzyłyby na śmierć, i łączyły się w pary. Całkiem już rozbudzona zorientowała się, że tej nocy ma za towarzyszkę Marię - gadatliwą rumianą Marię - i miała szczerą nadzieję, iż nie uczyniła jej żadnej krzywdy. Darzyła ją sympatią, a poza tym wesoła córka zwykłego chłopca dawała najwięcej ciepła w całym klasztorze. Jednakże teraz Maria nie śmiała się, tylko zawodziła po cichu. Być może sama też śniła jakiś koszmar. Ilona wyciągnęła dłoń, aby uspokoić dziewczynę.

- Co się stało, dziecko? - zapytała szeptem.

- Nie słyszałaś, siostró Bazyliso? - Głos Marii drżał, a jej ciało pokryło się gęsią skórką.

Ilona wyteżyła słuch. Śnieżyca minęła, wiatr przestał targać gałęziami drzew przylegających do budynku klasztoru, w kominie już nie świszczą.

Właściwie nie było słycać nic poza głuchą ciszą. Ilona wyobraziła sobie otoczony bielą świat, zastygły w milczeniu i bezruchu. Ta pierwsza, potężna śnieżna burza odcięła je całkiem od świata. W perspektywie miały długie tygodnie radzenia sobie przy tych zapasach, jakie pozostały im w spiżarniach, aż do pierwszych roztopów, które uczynią znów trakt to Clejani przejezdnym.

Dopiero po chwili dźwięk rozległ się ponownie i Ilona usłyszała to co wcześniej Maria. Chłód przejął ją natychmiast do szpiku.

Do bram klasztoru ktoś się dobijał. Trzy mocne uderzenia w drewniane wrota i ponownie zapadła cisza, tym razem jednak nie całkowita. Obie kobiety wyraźnie słyszały posapywanie bestii.

- Varcolac! Warkołak! - zawyła Maria, ze strachu chowając głowę pod przykrycie.

Ilona poklepała jej obfite kształty, próbując ją uspokoić. Wiedziała, że młodsze siostrzyczki lubują się w opowiadaniu sobie przerażających historii. Zabijały w ten sposób czas po ostatnich wieczornych modlitwach, a przed zaśnięciem, za temat zaś najczęściej brały nocnych łowców - warkołaki, nieumarłych, którzy tylko śpią w swoich grobach, mając oczy otwarte i wyczekując pełni księżyca, by móc wyjść na powierzchnię, zakradać się do ludzkich siedzib, porywać niemowlęta z kołyszek i pożywiać się ich krwią.

Ilona także wierzyła, iż po ziemi chodzą stwory przybyłe z tamtej strony, wszelako dźwięk, który dobiegał od bramy, kiedy mu się dobrze przysłuchiwała, świadczył raczej o tym, że to zwykły śmiertelnik próbuje się dostać do klasztoru. Klasztor położony był na odludziu i nawet w środku lata rzadko ktoś do nich zaglądał. Na ogół odwiedzały je osoby w wielkiej potrzebie. Jakaż potrzeba mogła wyciągnąć kogoś z domu w taką śnieżycę? pomyślała Ilona i poderwała się z łoża. Zawsze była wyczulona na ludzką krzywdę.

- Pójdę zobaczyć, kto to - powiedziała, wyslizgując się spod ciepłego wełnianego przykrycia.

- Iść z tobą, siostro? - zapytała drżącym głosem Maria. Ilona uśmiechnęła się do niej.

- Nie, dziecko. Zostań i zatrzymaj trochę ciepła w łożu. Opuściła nogi na kamienne płyty posadzki i sięgnęła po habit.

Stary Kristo, jedyny mężczyzna mieszkający na terenie klasztoru, stał przed dębowymi wrotami. Oczy miał wciąż zasnuwane mgiełką starczego snu i od nadmiaru śliwowicy.

- Powiedziałem temu tam, co się dobija, żeby zaczekał do rana, siostrze Bazyliś - wybełkotał. Z bezzębnych ust sączyła się strużka śliny. - Nijak się nie odezwał, ale - wskazał na bramę, która aż zatrzeszczała pod kolejnym uderzeniem.

- Ilu ich jest? - spytała Ilona, wskazując na okienko w drzwiach.

- Jeden. Widziałem tylko jednego. Ale przecie pozostali mogą się gdzieś kryć. - Podrapał się po zapuszczonej brodzie. - Może obudzić mateczkę?

Ilona potrząsnęła głową. Matka Ignacja była wiekowa i miała twarde sen; poza tym scedowała już większość swych obowiązków na „siostrę Bazyliś” .

- Nie - odpowiedziała, zbliżając się do furty w bramie i otwierając okienko. - Ja ją obudzę, jeśli będzie trzeba

Urwała nagle, jakby zabrakło jej tchu. Stoica postarzał się w trakcie czterech lat, które minęły od dnia, gdy przywiózł ją do klasztoru - brwi mu całkiem posiwiały, twarz poznały gęste głębokie linie zmarszczek - lecz niebieskie oczy i łysa czaszka wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy. Skinął jej głową po swojemu, kiedy i on ją rozpoznał pomimo licznych zmian, jakie przecież musiały zajść na jej twarzy w ciągu tak długiego czasu.

Zatrzasnęła okienko i przytknęła czoło do lodowatego metalu, chętnie witając niemiłe wrażenie, jakby ktoś wypalał jej piętno nad oczami. Ten ból był przynajmniej prawdziwy - w odróżnieniu od dziesiątek myśli, które pojawiły się w jej umyśle. Klasztor może i był na uboczu, ale nawet tutaj docierały w końcu wieści. Wiedziała, że ożenił się ponownie, został nawet ojcem. Kiedy przeszłego roku najechał znów te ziemie, pokonał uzurpatora w bitwie i ponownie zasiadł na tronie wołoskim, układano na jego cześć pieśni, te zaś nuciły nawet zakonnice w Clejani. Przed ostatnią śnieżycą zjechał do klasztoru drwal, dostarczający im drewno na zimę, i grzejąc się przy palenisku, długo rozprawiał o tym, że uzurpator wraca, mając za sobą armię turecką, i że wojewoda przymierza się, aby wyjechać mu na spotkanie. Od tamtego czasu nieustannie się modliła. Za niego. Za siebie. Ponieważ pośród zamętu myśli wciąż tliła się w Ilonie słaba nadzieja. Wiedziała, że nie uczyni z niej znowu swojej kochanki. Jej wspaniałe bujne, kasztanowe włosy zdążyły zmatowieć i posiwieć, zresztą były teraz długie najwyżej na palec i kłujące, a nie miękkie jak niegdyś. Chodziła przygarbiona, gdyż wciąż rwał ją ból w miejscach po ranach, a tam gdzie na ciele nie było żadnych blizn, zdawało się ono workowate i skóra przypominała pergamin. Nawet gdyby zechciał na nią spojrzeć, nie dostrzegłby cienia młodej odaliski, którą po raz

pierwszy zobaczył w Adrianopolu. Nie dojrzałby w niej też swojej dawnej kochanki, którą trzymał na wyciągnięcie ręki w Tirgoviste. Lecz przecież zawsze nazywał ją swoim sanktuarium. Może więc teraz, z tyłoma wrogami na karku, zechce zwrócić się do niej w potrzebie? Zwłaszcza że był tutaj Stoica. To mogło znaczyć tylko jedno: że jej księżę przez cały czas wiedział, gdzie się znajduje, że śledził jej wędrówkę od klasztoru do klasztoru, aż w końcu nikt już nie znał jej pod innym imieniem niż przyjęte miano siostry Bazylisy. Nigdy nie pokazała nikomu swoich blizn, nie opowiedziała, co ją spotkało. Ale on pamiętał o nich i o niej.

Nabierając powietrza w płuca i nowej nadziei, gestem poleciała, by Kristo otworzył bramę. Mężczyzna, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem, odbił rygle, uniósł ciężką zasuwę, odłożył ją na bok i zabrał się do ciągnięcia skrzydła. Otworło się ze skrzypieniem, tworząc małą zaspę ze śniegu. Ilona nie potrzebowała pochodni, którą chciał jej wepchnąć w ręce starzec - na niebie świecił księżyc w pełni, nie przesłaniała go ani jedna chmurka. Zadarłszy habit, skwapliwie przestąpiła przez białą pryzmę.

Stoica skłonił się i odstąpił na bok, ramieniem wskazując za siebie. Na zasypanym trakcie stał - pogrążony w świeżym śniegu niemal do łopatek - osiołek. Serce Ilony zabiło szybciej, gdy pomyślała, że przecież nie może udać się w drogę tak jak stoi, w środku nocy. Musi przygotować się do podróży, zabrać futra chroniące przed zimnem, trochę jada. Zaraz jednak przyszła myśl, że może ktoś potrzebuje jej natychmiast, bez chwili zwłoki.

Wtedy dojrzała, że na grzbiecie osła coś leży. Rulon z kozłej skóry i grubego płótna przymocowany do siodła. Zamarła w pół ruchu.

- Co to - zdołała wyszeptać.

Stoica już ją wyminął, zaczął rozwijać stwardniałe na mrozie płótno. Jej oczom ukazała się naga stopa, sina i sztywna.

Tuż przed bramą znajdowało się poidło dla koni, woda w nim była zamarznięta i kiedy Ilona opadła na nie, czując, że traci grunt pod nogami, lód zatrzęszczał cicho pod jej ciężarem.

- Czy to on? - zapytała cicho z oczami wbitymi w ziemię, po czym przypomniawszy sobie, że Stoica jest niemową, podniosła wzrok. Sługa skinął twierdząco głową. - Czy księżę życzył sobie, abym to ja przygotowała jego ciało do złożenia do grobu? - pytała dalej przez zaciśnięte gardło. Odpowiedzią było ponowne skinienie.

Ilona zdała sobie sprawę, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Jej księżę potrzebował jej - ten jeden, ostatni raz.

- W takim razie spełnię jego życzenie - rzekła, ocierając z oczu łzy, które pojawiły się tam nie wiadomo kiedy.

Podniosła się z trudem i gestem pokazała, aby Stoica przeszedł przez bramę. Sługa powstrzymał ją uniesieniem dłoni, wskazał na przeciwny bok zwierzęcia, zaprowadził ją tam i podniósł kawałek sztywnej skóry.

Najpierw zobaczyła kikut ręki, lewej, tej okaleczonej, odciętej zapewne ze względu na kosztowny książęcy pierścień. Znalazła w sobie dość siły, by powieść spojrzeniem wyżej, gdyż wciąż miała nadzieję pocałować ukochanego na pożegnanie, nawet w martwe wargi. Spotkało ją jednak rozczarowanie. W miejscu głowy znajdowała się ziejąca dziura o nierównych, poszarpanych brzegach posklejanych skrzepniętą, zamarznąętą krwią.

- Och, najdroższy - westchnęła, kładąc dłoń na zimnym ramieniu i błędząc czubkami palców po bliźnie, którą jak jej się zdawało, pamiętała.

Stoica sięgnął do uprząży i razem przekroczyli wrota klasztoru, wiodąc na oślim grzbiecie zwłoki Drakuli.

Zajęła się jego ciałem sama. Stoica odszedł równie nagle, jak się pojawił, prowadząc osła w mrok nocy. Zakonnice, usłyszawszy o zmarłym, uznały, że chodzi o jakiegoś krewnego siostry Bazylisy, i zaoferowały swoją pomoc. Poprosiła, aby zagotowały wodę w największym kotle i przyniosły go do celi położonej najbliżej kuchni, i pozwoliła porwać prześcieradła na dziesiątki wąskich pasów. Potem jednak odprawiła wszystkie pomocnice. Od zbyt dawna marzyła o tym, by móc być z nim znów sam na sam. Teraz nareszcie było to możliwe.

Jego ciało zdawało jej się nieco inne od tego, które zapamiętała, nie tylko z powodu mrozu i śmierci. Ale przecież minęło niemal piętnaście lat od dnia, w którym go dotykała, a półtorej dekady to szmat czasu. Jej ciało również zmieniło się nie do poznania. Były na skórze blizny, po których niegdyś wodziła opuszkami palców i koniuszkiem języka, lecz były też takie, których nigdy nie widziała - te musiały pojawić się już później. Miała przed sobą wyrysowaną na ciele mapę życia, które było ciągłą walką. Życia, które właśnie dobiegło końca.

Zwłoki były wygięte w łuk, tak jak zastygły zaraz po śmierci przerzucone przez grzbiet osła, musiała je więc ułożyć na boku. Potem zaś zamoczyła pierwszy pas płótna w gorącej wodzie i przytknęła go do skrwawionej skóry. Równocześnie zaczęła śpiewać. Jeszcze w Adrianopolu poznała tysiąc i jedną pieśń, które mogły zadowolić mężczyznę, teraz

wszakże nuciła piosenkę zapamiętaną z dzieciństwa spędzonego w rodzinnej wiosce. W klasztornej celi poniosły się monotonne, jęklive dźwięki wołoskiej doiny.

Nie śpieszyła się. Zaczęła obmywanie od stóp i powoli posuwała się w górę ciała, przykładając mokre czyste szmatki do skóry, ścierając z niej krew i nieprzerwanie zawodząc. Wspominała dzień, kiedy to ją w podobny sposób obmywano; dzień, w którym później ją wykradł. Sporo trudu kosztowało ją przewrócenie go na drugi bok, ale jak na swój wiek i przejścia była wciąż dość silna. Kiedy zmyła już całą krew, która zabarwiła stygnącą wodę w kotle na delikatny róż, zabrała się do zszywania otwartych ran. Ściągała ich brzegi tak dokładnie, jak umiała, a gdy doszła do ziejącej rany w szyi, zakryła ją lnianym gał-gankiem, który także przymocowała nicią do skóry. Na koniec sięgnęła po olejek bergamotki i drzewa sandałowego, którym natarła całą powierzchnię ciała, aż zaczęło błyszczeć w świetle kaganka. Raz został namaszczone świętym olejem na księcia przez metropolitę, teraz natomiast ona udzieliła mu ostatniego namaszczenia.

Czuła się skonana, kiedy na miejsce, w którym powinna się znajdować jego twarz, padły pierwsze promienie wstającego słońca. Jednakże jej zadanie jeszcze nie dobiegło końca. Zbierając się w sobie do ostatniego wysiłku, wzięła do rąk płachtę prześcieradła i z niejakim trudem zawinęła w nią zwłoki. Potem wyrównała brzegi płótna i za pomocą szpagatu umocowała całun. Odstąpiła od blatu pełniącego teraz funkcję mar, rozcierając sobie zgrubienie na karku. Na poruszenie w celi za drzwiami podniósł się gwar. Teraz potrzebna jej była pomoc sióstr zakonnych. - Wejdźcie! - zawołała.

Znosiły śpiewne modlitwy, przewożąc go znów przez bramę - z Iloną na czele, sześcioma młodszymi siostrzyczkami wokół wozu z ciałem i resztą zgromadzenia drepzczącą z tyłu. Kawalek dalej, w dole zbocza, rósł samotny, okazały omszały dąb, pod którym teraz stali mężczyźni pomagający w stajniach i ogrodzie. Łopatami odgarnęli grubą warstwę śniegu, rozpalili ogień, aby ogrzać zamrzniętą ziemię - na szczęście okazało się, że tylko wierzchnią część skuł mróz, tak nagłe było nadejście zimy. Szpadlami wykopali dół, który Ilonie wydał się zbyt długi, jako że jej ukochany nigdy nie należał do wysokich mężczyzn, a teraz jeszcze Z trudem powstrzymała rodzący się na wargach uśmiech. Taki rodzaj dowcipu z pewnością rozbawiłby jej księcia. Niemal usłyszała jego śmiech, tak rzadki, a przez to cudowny.

Zakonnice ostrożnie zdjęły ciało z wozu i położyły je na ziemi obok

grobu. W dole Ilona wypatrzyła kilka żołądzi. Wiedziała, że spodobałoby mu się to: rozpaść się w proch w wołoskiej ziemi, stać się pożywką dla nowych drzew.

Pieśń lamentacyjna przybrała na sile. Ilona uklękła i położyła mu dłonie na piersi. Być może pozbawiono go głowy, lecz jego serce wciąż było na swoim miejscu, nie miała co do tego wątpliwości.

- Odpoczywaj w pokoju, najdroższy - szepnęła, a potem przeniosła obie dłonie pod okryte całunem ciało i bez niczyjej pomocy wtrąciła je w czeluść grobu.

51. OCZYSZCZENIE

Twierdza Poenari, 1481 rok

Nie było nic więcej do powiedzenia, przynajmniej dla niej. Historia dobiegła końca wraz ze złożeniem jego ciała do grobu. Miejsce pochówku w żaden sposób nie zostało oznaczone. Wystarczyło, że ona wiedziała, gdzie jest grób, a o to nie było trudno, gdyż z jednego z tamtych żołędzi wyrósł młody dąbczak. Co roku wystrzelał w górę o długość męskiego przedramienia i nabierał grubości. Wkrótce miał zacząć toczyć bój o światło i przestrzeń dla swego listowia ze starszym, z którego powstał. Tak to już jest wśród drzew i ludzi. Ilona nie wątpiła, że karmiąc się ciałem i krwią Drakuli, dąbczak wygra tę walkę.

Zachowała te myśli dla siebie, pozwalając gęsim piórom dobrać do ostatnich słów, które padły z jej ust, i nareszcie zamrzeć w bezruchu wraz ze śmiercią jej księcia. Kiedy zamilkło ostatnie skrzypnięcie, w wielkiej sali twierdzy Poenari zapadła dźwięcząca cisza. Tylko zza murów dobiegały zwykłe odgłosy dnia. Tutaj także śnieżycy ustąpiła, przywracając na niebo słońce grzejące na tyle mocno, że śnieg i lód począł się niemal od razu topić. Wszyscy obecni milczeli, przysłuchując się cichemu kapaniu kropel wody, po którym nastąpił łoskot spadającego i rozpryskującego się na odłamki sopła.

Pierwszy przemówił hrabia Peczu. Zwrócił się do kardynała, szukając u niego jakiejś reakcji, powodu do nadziei, lecz twarz hierarchy okazała się tak samo jałowa jak zawsze. Horvathy przełknął, upewnił się, że głos ma pewny, i odezwał się:

- Czy to wystarczy, eminencjo?

- Drakula nie żyje - stwierdził oczywiste Grimani. - Z wielką ciekawością wysłuchałem o tym, co się stało z jego doczesną powłoką. Może nawet umiem dodać do tego pewien szczegół Dla potomności. - Uśmiechnął się. - Jak wszystkim wiadomo, jego odcięta głowa została wysłana do Mehmeda. Ten i ów powiadał, że sułtan po raz pierwszy z radością przyjął podarek, który nie był egzotyczną rośliną Z tak wielką

radością, że trzymał ją przy sobie przez cały tydzień, zanim pozwolił ponownie nabić na drzewce i umieścić na murach Konstantynopola. - Ociężale podniósł się z miejsca i przeciągnął kości, aż chrupnęło. - Zatem teraz przesłuchanie prawdziwie dobiegło końca. Aczkolwiek wciąż pali mnie ciekawość której skrybowie nie zawrą w swojej pisaninie jak udało się przeżyć naszym trzem świadkom. I w jaki sposób przeżyli ostatnie pięć lat.

Kiedy cisza zaczęła się przeciągać, Petru nachylił się do przodu i rzucił ponaglająco:

- Słyszeliście pytanie? Odpowiadać tedy!

- Mój los powinien ci być znany, ponieważ to twoi ludzie mnie tutaj przywiedli. Tam gdzie przez długie lata byłam jedną z siostrzyczek, zostałam w końcu ksienią. Ksienią klasztoru w Clejani.

- Habit potrafi skryć liczne tajemnice, nieprawdaż, wielebna matko? Aczkolwiek twoje blizny są chyba znacznie bardziej interesujące od moich. - To powiedziawszy, kardynał zwrócił spojrzenie ku konfesjonałowi po lewej. - A przyjaciel Drakuli? Z twojej opowieści można było odnieść wrażenie, żeś zginął na polu bitwy, co oczywista jest nieprawdą. Jakież więc były dalsze losy znamienitego zdrajcy?

Umysł Iona, wirujący jak liść na wietrze od chwili, w której opowiedział o ostatnim palu, zatrzymał się i skupił na rzuconej potwarzy.

- Jakże chciałem wtedy zginąć! Niestety, nie było mi to dane. Przeznaczenie sprawiło, że zostałem wzięty w niewolę przez żołnierzy Basaraba Laioty i pogrzebany w tym samym dniu, w którym złożono do grobu ciało Drakuli. Tyle że ja zostałem pochowany za życia, jak niegdyś jego brat! Z tą różnicą, że nie złożono mnie w ziemi i mogłem dalej ciągnąć swą marną egzystencję, zapomniany przez wszystkich po dziś dzień. Dlaczegoż nie mogłem pozostać zapomniany na zawsze? - Załkał żałośnie. - Jeśli tli się w was choć odrobina miłosierdzia, nie będziecie mnie już więcej dręczyć tymi wspomnieniami!

Horvathy, czując wzbierającą niecierpliwość, popatrzył na ostatnią słuchalnicę.

- A ty, ojczy? Niewiele się ostatnio odzywałeś. Odpowiedz na pytanie jego eminencji i daj nam nareszcie zaczerpnąć świeżego powietrza!

Głos pustelnika zadziwił wszystkich swoją dźwięcznością.

- Co miałem mówić? Pozostałem w Peszcie, podczas gdy ksiązę znów udał się na wojnę, nie poszukawszy pierwszej rozgrzeszenia. Nie mnie prawić o jego ostatnich słowach.

- A jednak później, już po jego śmierci, udałeś się z Peczu aż tutaj, na tę górę, na której wzniósł swą niezdobytą twierdzę, i zamieszkałeś w jaskini. Czyż nie tak?

Pustelnik milczał.

- Odpowiadaj! - ponaglił znowu spatar. Pozostało już tylko jedno, ostatnie zadanie do wykonania i Petru śpieszyło się, aby mieć je za sobą.

- To prawda - potwierdził spowiednik Drakuli. Kardynał przestał kręcić zeszywniała szyją i zapytał:

- Ot i znowu wzbudziłeś moją ciekawość. Czemu bowiem tu przybyłeś?

- Ponieważ uznałem, że w tym miejscu wybranym przez niego zdołam usłyszeć jego ostatnie myśli. - Pustelnik zaśmiał się, a wszystkich obecnych przebiegły ciarki. Dźwięk był tyleż rzadki, co dziwny. - I jak się okazało, nie pomyliłem się.

- Dość tego! - warknął Horvathy, wstając. Odwrócił się znów ku kardynałowi. Aczkolwiek był zmęczony i łaknął snu jak pozostali sędziowie, wiedział, że prawdziwego odpoczynku bez straszących go duchów przeszłości zaznać może wyłącznie za sprawą stojącego obok niego mężczyzny. - Ponowię pytanie, eminencjo: czy to wystarczy? Czy powinniśmy usłyszeć jeszcze coś, co nie tylko zaspokoi twą niezdrową ciekawość, lecz także przyczyni się do wydania sprawiedliwego wyroku?

Grimani popatrzył prosto w jedyne, przepełnione nadzieją oko hrabi.

- Nie - powiedział.

Horvathy zawahał się, nie odrywając spojrzenia od niższego od siebie krągłutkiego mężczyzny, a zwłaszcza od jego nic nie zdradzającej twarzy. Przełknąwszy ślinę, spytał:

- Zatem do jakich wniosków doszedłeś, eminencjo? - Uniósł dłoń i potarł pusty oczodół. - Wysłuchaliśmy opowieści jak z najgorszego koszmaru, lecz równocześnie roztoczono przed nami wizję rycerza Chrystusa wycinającego w pień Jego wrogów w imię Krzyża i sztandaru Smoka. Krzyżowca, który zginął, unosząc dumnie ów sztandar i zabierając ze sobą morze niewiernych. Mając papieski edykt oczyszczający ze względu na okoliczności egzoneracyjne i nasze złoto, moglibyśmy stawić tamę rozpowszechnianym łgarstwom i stonować okrutną prawdę, Syn Smoka mógłby powstać z martwych jako bohater, a wraz z nim cały Zakon Smoka - urwał, szukając w oczach hierarchy jakiegoś znaku. Gdy się go nie doczekał, wyrzucił z siebie grubiańsko: - No więc, Grimani? Czy mój zakon ma upaść czy przetrwać?

Kardynał obdarzył hrabię przeciągłym spojrzeniem, następnie przeniósł wzrok na młodszego mężczyznę, na którego twarzy również malowała się nadzieja, wreszcie powiódł oczyma ku trzem konfesjonałom.

- Ani jedno, ani drugie - odrzekł i podnosząc głos, aby zagłuszyć sapanie, dodał: - Na razie. - Zstąpił z podwyższenia i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymawszy się parę kroków przed nimi, obrócił się i dorzucił: - Doprawdy, mości hrabio, chyba nie spodziewałeś się decyzji po tak długiej i ciężkiej nocy. Zresztą wiesz przecież, że to nie ma być moja decyzja. Owszem, reprezentuję najwyższą zwierzchność, lecz nie wolno mi przemawiać w jej imieniu. Zamierzam przeczytać wszystko to, co zostało spisane. Potem odbędę rozmowę z Jego Świątobliwością. Wtedy nastąpi oczyszczenie - obrzucił spojrzeniem słuchalnice i wzruszył ramionami - lub nie. Tylko Ojciec Święty ma moc wybaczenia grzesznikowi takiemu jak Drakula.

Kiedy kardynał mówił, Horvathy zbliżył się do niego.

- Ale czy mogę mieć nadzieję? Dla siebie. Dla świętego Zakonu Smoka?

- Cóż - odparł Grimani. - Bywały już precedensy. Dlatego chyba możesz gotować swoje złoto na potrzeby nowej krucjaty. Jak również rozbudzić w sercu nadzieję.

Hrabia Peczu skinął głową. Nie zaniedbał niczego. Jego rola wypełniła się z tymi słowy.

- Zbiorę teraz spisane zeznania świadków. Każdą kopię opatrzymy naszymi pieczęciami. Potem ty, eminencjo, przyłożysz swoją. Jeden zwój zabierzesz do Rzymu, drugi ja wezmę ze sobą do Budy, gdzie już czeka drukarz. Trzeci pozostanie tutaj, w miejscu, gdzie został spisany.

- Wyśmienicie - zgodził się kardynał, wciąż patrząc na konfesjonały. - A hm ta inna sprawa?

- Zajmiemy się nią na miejscu, eminencjo - rzekł szybko Horvathy, popatrując na spatara.

Grimani obrzucił obu szybkim spojrzeniem.

- Oczywiście, że się zajmiecie - rzekł cicho. - Jak to mówią? Niech każdy robi to, co umie najlepiej? - Uniósł dwa złączone palce prawej dłoni. - Dominus vobiscum - zaintonował, czyniąc znak krzyża.

- Et cum spiritu tuo - odpowiedział Horvathy z lekkim ukłonem.

Skłaniając głowę w geście pożegnania, kardynał Grimani opuścił wielką salę. W progu wyrosła żylasta sylwetka przybocznego dowódcy twierdzy, Bogdana. Mężczyzna uniósł pytająco brwi i Petru skinął potakująco głową.

Bogdan odwrócił się i przywołał dwóch strażników - jednego młodego, aż rwącego się, aby się wykazać, drugiego starszego, bardziej doświadczonego i ostrożniejszego w wypełnianiu rozkazów.

Za strażnikami pojawił się jeszcze ktoś. Mężczyzna odziany nie po wojskowemu, tylko w fartuch z niewyprawionej skóry długi od szyi do kostek. Twarz miał pokrytą sadzą, a w dłoniach, dotykając metalem do brody, trzymał rękojeść miecza. Czubek klingi opierał się o posadzkę. Horvathy uśmiechnął się szeroko.

- Smoczy Szpon - ucieszył się. - Zapomniałem, że kazano go przekuć.

Przywołał do siebie kowala, odebrał oburącz miecz i podniósł go nad głowę.

- To ci dopiero broń! - zachwycił się, obracając brzeszczotem tak, by odbijały się w nim promienie słońca wpadające do środka przez wąskie łukowate okna. Światło zatańczyło na rękojeści, sprawiając, iż patrzącym wydało się, że Smok umieszczony po obu stronach zrywa się do lotu. - Wiesz, Petru - zwrócił się do spataro - ci, którzy nigdy nie trzymali w dłoniach bastarda, myślą, że jest ciężki, bo trzyma się go w dwu rękach. A przecież stal półtoraka bywa tak wykuta, że cienką klingę można bez wysiłku podnosić raz za razem i raz za razem zadawać nią śmierć - Wyrzucił miecz do góry, złapał go w locie, westchnął. - Z czymś takim w dłoni myślę sobie, że w pojedynkę mógłbym odbić Konstantynopol.

- Mości hrabio?

Horvathy otrząsnął się z marzeń i powiódł wzrokiem ku twarzy przejętego spataro. Młody mężczyzna patrzył wprost na niego, wyciągając przed siebie obie ręce. Kiedy hrabia Peczu nie obniżył ostrza, Petru dodał:

- To miecz hospodara wołoskiego, mości książę. Należy do tej ziemi i do mego księcia.

Jedyne oko Horvathyego zwęziło się niebezpiecznie. Zaraz jednak hrabia wzruszył ramionami, opuścił miecz i podał go spatarowi. Petru ujął go, przytrzymał w dłoniach przez moment, zanim ułożył płasko na poręczach środkowego krzesła. Potem gestem odprawił kowala, który wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Hrabia westchnął ponownie.

- Zeznania! - rzucił ostro, podchodząc do pierwszego z prawej konfesjonału. Zasłona natychmiast została odciągnięta i siedzący za nią mnich zamrugał, przyzwyczajając wzrok do rażącego światła. Pergamin miał już zwinięty w rulon, który opasała kolorowa tasiemka. Horvathy odebrał zwój. - Możesz być pewien nagrody - rzekł i dodał: - Proszę, powstań i

zaczekaj tam - wskazał ruchem brody miejsce przy drzwiach.

Skryba poderwał się na nogi i niezdarnie od długiego siedzenia podreptał ku stojącym w pobliżu wejścia strażnikom. Hrabia tymczasem zbliżył się kolejno do drugiej i trzeciej słuchalnicy, gdzie powtórzył słowa i gesty, odbierając z rąk skrybów pozostałe zwoje. Mnisi, traktowani niemal równie surowo jak świadkowie, zostali wypuszczeni z komnaty tylko dwukrotnie podczas całego przesłuchania i teraz wydawali się nie ludzko zmęczeni, złąknieni snu i przyzwoitego posiłku. Petru wskazał mniejszy stół na przeciwległym krańcu komnaty.

- Pożywienie i napitek czekają. Częstujcie się - zaprosił gestem.

Skrybowie nie zwlekając przeszli na drugi koniec wielkiej sali, nie zwracając uwagi, że strażnicy towarzyszą im jak cienie.

Horvathy przycisnął rulony pergaminu do piersi. Drugą dłonią po kolei odsłonił wciąż zaciągnięte zasłony we wszystkich trzech konfesjonalach. Ion długo mrugał powiekami i zasłaniał porażone światłem oczy podniesioną dłonią. Odkąd uwolniono go z lochu, wzrok mu się poprawił i reagował boleśnie na najmniejszą zmianę oświetlenia. Teraz widział nawet niewyraźne rysy twarzy pochylającego się nad nim człowieka, ciemniejszy owal otoczony przez jaskrawą jasność. Hrabia nie zatrzymał na nim dłużej spojrzenia, tylko już się przesunął ku środkowej słuchalnicy. Ilona nie podniosła nań wzroku, nawet nie otworzyła oczu. Usta jej się poruszały, aczkolwiek nie sposób było określić, czy klepie słowa modlitwy czy nuci wciąż doinę, którą śpiewała nad grobem Drakuli. Pustelnik także nie uniósł opuszczonej, zakapturzonej głowy. W jego twarzy Horvathy mógł dojrzeć jedynie cienkie wargi poruszające się jak u ksieni.

Zawahał się lekko, przełknął rosnącą w gardle gulę, lecz w końcu okręcił się na pięcie, wrócił na podwyższenie i odłożywszy zwoje z zapiskami, ujął Petru pod ramię. Prowadząc go na bok, szepnął:

- Zrób to, co trzeba uczynić.

- Ja - Spatar twierdzy Poenari obejrzał się za siebie, oblizał nerwowo wargi i bąknął: - Żal mi kobiety. To chyba grzech

- Słyszałeś jej spowiedź - rzucił twardo hrabia. - Sama zgrzeszyła niezliczone razy. - Uścisnął ramię Petru. - Nie zapominaj, że wszystkie nasze grzechy zostaną zmyte podczas wyprawy krzyżowej. Kiedy znak Krzyża i Smoka załopocą znów jeden obok drugiego nad głowami chrześcijan i niewierni nareszcie zostaną na zawsze odepchnięci z Bałkanów.

Petru niechętnie skinął głową.

- Co trzeba uczynić - powtórzył. Widząc, że Horvathy już kładzie dłoń na gałce drzwi, przyłożył do nich rękę, powstrzymując otwarcie. - Nie zostaniesz tu, mości książe, aby być świadkiem?

Spojrzał młodzikowi w oczy, dostrzegł w nich poczucie obowiązku, lęk, ale i dziwne pragnienie. Petru lojalnie, skrupulatnie wypełniał wszystkie rozkazy swego księcia wojewody, lecz w głębi duszy sekretnie marzył o wstąpieniu do Zakonu Smoka, gdyby miał zostać oczyszczony z zarzutów i przywrócony wierze chrześcijańskiej. I zaiste, gdyby zakon miał zmartwychwstać, gdyby ich mozolna praca ostatnich dni nie poszła na marne, nie byłoby źle mieć swego człowieka, brata w Chrystusie i walecznego rycerza, w tak kluczowym zamku na granicy, jakim była twierdza Poenari, skoro miało znów dojść do walk z niewiernymi i wydzierania ziemi kawałek po kawałku. Młody spatar wykazał się licznymi zdolnościami, czy jednak potrafi zabijać? Warto było się tego dowiedzieć.

Horvathy odjął rękę od metalowej gałki.

- Zostanę - zdecydował. - Ale uwiń się szybko! - Ujął znowu zwoje i dodał: - Trzeba je podpisać i zapieczętować, zanim kardynał wyruszy do Rzymu. A czemuś bardzo mu się śpieszy

Petru raz jeszcze skinął głową i przekręcił klucz w drzwiach, a następnie zapatrzył się na trzy postacie siedzące nieruchomo w słuchalnicach. Potem przeniósł spojrzenie na przeciwległy kraniec pomieszczenia, gdzie skrybowie dalej się posilali pod czujnym okiem strażników.

- Bogdan! - zawołał, a gdy przyboczny spojrzał na niego, uniósł dłoń.

W ocenie Horvathyego wszystko odbyło się szybko, bez niepotrzebnego cierpienia. Przyglądał się ruchowi tylko kątem oka, uwagę koncentrując raczej na świadkach, by zobaczyć, jak zareagowali na nieoczekiwany dźwięk, ciche sapnięcia, mlask metalu na gardle, krótki charkot. Wydawało mu się, że żadne z tych trojga niczego nie zauważyło, pogrążone w tym, co ich zajmowało - mamrotaniu, mruganiu i bezmyślnym gapieniu się w przestrzeń. Kiedy znów spojrzał w okolice mniejszego stołu, strażnicy stali nad dwoma wciąż podrygującymi ciałami, podczas gdy Bogdan opuszczał trzecie na posadzkę, równocześnie sięgając wolną dłonią ku metalowemu kółku zamocowanemu w jednym z kamieni w posadzce. Hrabia i Petru patrzyli, jak mężczyzna zgina się wpół, napina mięśnie, szarpie kamienny blok i wsuwa coś w powstały otwór. Ciało pierwszego mnicha zniknęło z wielkiej sali w okamgnieniu. Poprzedni pan tego zamku, ten sam, o którym opowieści wysłuchiwali, odmawiając sobie snu, kazał budowniczym stworzyć zapadnię

w celu łatwiejszego usuwania nieczystości i resztek po ucztach. Z pewnością wykorzystywał ją również do pozbywania się niepożądanych ciał. Oni po prostu skorzystali z wprowadzonego przezeń udogodnienia.

Kiedy w otworze zniknęły ostatnie zwłoki - zataczając ramieniem, jakby w geście pożegnania - Petru przywołał do siebie swoich ludzi i zaczął się zbliżać do konfesjonałów.

- Chodźcie - rzekł łamiącym się głosem. - Chodźcie - powtórzył nieco pewniej. - Spisaliście się doskonale, wszyscy troje. Po drugiej stronie sali jest stół uginający się od jadła, a także czeka na was miejsce, gdzie będziecie mogli odpocząć przed dalszymi trudami. Potem wrócicie do swych siedzib. Ty, Ionie Tremblac, zostaniesz przeniesiony do Suczawy, gdzie z pewnością znajdzie się ciepłe palenisko, przy którym będziesz mógł wygrzewać stare kości - Kłamstwa uspokajały mówiącego, którego głos męźniał z każdą chwilą. - Chodźcie, dobiegło końca wasze zadanie przysłużenia się Bogu i ludziom

Tkwiący jak kamień w swojej słuchalnicy Ion zdawał się nie słyszeć padających słów. Wciąż ze zmrużonymi powiekami wpatrywał się w tylko dla niego widoczne obrazy. Na znak Petru młody strażnik sięgnął i wyszarpnął rycerza z jego miejsca. Słabe nogi nie podtrzymały wieloletniego więźnia lochu i Ion poleciał na posadzkę jak kupa szmat. Strażnik patrzył z niesmakiem, jak upada u jego stóp.

Ilona podniosła się z miejsca bez niczyjej pomocy. Stała z boku konfesjonału i obróciła się, aby po raz pierwszy od lat zobaczyć mężczyznę, którego niegdyś znała. Jego mamrotanie, szloch, dziki śmiech przygotowały ją nieco - nie na tyle jednak, by nie zdumiał jej widok wraku człowieka, który stanął jej przed oczami.

- Och, Ion - szepnęła, klękając i oplatając go w pasie rękoma. Łzy popłynęły spomiędzy ich zaciśniętych powiek.

- Ty też, pustelniku - to znaczy, ojcie - poprawił się zaraz Petru.

Mimo wszystko człowiek, który wydawał mu się najbardziej szalony spośród trojga świadków, był kiedyś duchownym. I podobnie jak ksienia miał najmocniej zaciążyć na jego sumieniu. Pustelnik ani drgnął. Siedział z wciąż opuszczoną głową, tak że spod kaptura wyzierała tylko jego broda i usta. Widać było, że lekko się uśmiecha. Petru natychmiast stwardniał.

- No już, podnoś się! - warknął i ze zniecierpliwieniem skinął na Bogdana, który bez namysłu postąpił krok do przodu. Niepotrzebnie.

W tej samej chwili starzec wstał, odstąpił na bok i zamarł w bezruchu,

stojąc z głową nadal opuszczoną i ramionami zwieszonymi wzdłuż ciała.

Najlepiej będzie zabić ich w tym samym miejscu co mnichów, uznał spatar, dochodząc do wniosku, że nawet jeśli nie przyjdzie im użyć zapadni (zwłoki świadków nie miały prawa być nigdy odnalezione), dobrze się stanie, jeśli plamy krwi skupią się na ograniczonej powierzchni. Poza tym przecież na podwyższeniu normalnie stał stół jadalny, a jego żona, odkąd była brzemienna, czuła nudności nawet bez powodu, nie byłoby więc rozsądne jeszcze jej ich dostarczać. - Chodźcie i pożywcie się - zaprosił gestem.

Skierowali się ku mniejszemu ze stołów, a on podążył ich śladem. Ion ledwie szedł, więc Bogdan doskoczył do niego, złapał za łokieć i pociągnął, równocześnie starszy ze strażników podparł rycerza z drugiej strony. Drugi strażnik szedł koło Ilony i Petru widział, iż ma już na podorędziu nóż, aczkolwiek w dalszej od niej ręce. Nierozważnie jest straszyć zwierzęta wiedzione na rzeź, a ta sama prawda odnosiła się w dwójnasób słusznie także do ludzi.

Znienacka odezwał się pustelnik.

- Zaczekajcie.

Głos miał cichy, a jedyne słowo wypowiedział spokojnie, wcale nie jak rozkaz, mimo to wszyscy usłuchali. Stojący przy drzwiach Horvathy zeszywniał. W nagłej ciszy zapadłej w wielkiej sali dało się słyszeć dzwonięcie upręży wierzchowców, na których goście mieli opuścić zamek. W dali zaskrzeczał ptak.

Pustelnik zwrócił twarz w stronę umieszczonego wysoko okna, przysłuchiwał się przez chwilę, by zaraz zwiesić głowę, kiedy starszy strażnik na znak Petru opuścił miejsce przy boku rycerza i podszedł do opornego starca. Bez subtelności właściwej możliwym warknął:

- Ej, ty, rusz się! - Postąpił krok do przodu, by niemal od razu cofnąć się i z niedowierzaniem popatrzeć w dół. - Co jest ? - zapytał, a potem przysiadł niezdarnie na ziemi, jedną dłonią obejmując rękojeść noża, który utkwiał w jego brzuchu.

Wszystko stało się tak szybko, że żaden ze strażników nie był pewien, czy dobrze widzi. Kiedy pustelnik obszedł leżącego mężczyznę, Petru przebudził się z letargu i dobywając miecza, krzyknął:

- Stój!

Zrobił krok w przód, równocześnie biorąc zamach mieczem, ale starzec pochylił się nadspodziewanie gibko i zaraz zwarł się z napastnikiem, wrażając mu lewą dłoń w okolice pachy, prawą zaś sięgając do rękojeści

miecza i wykręcając ją nienaturalnie. Petru stęknął z niedowierzania i bólu, wypuścił broń z ręki. Pustelnik pochwycił ostrze, nim spadło na ziemię, poprawił uchwyt, lecz wciąż trzymał brzeszczot odwrotnie, tak że sięgał mu za plecy.

Wtedy reszta rzuciła się nań jednocześnie. Młody strażnik pchnął Ilonę, zwalając ją na ziemię, i doskoczył do ściany, na której wisiała kusza. Bełt jak zawsze tkwił w jej łożu, gotów do strzału na wypadek niespodziewanego ataku. Złapał broń do ręki, kiedy Bogdan krzychał: „Zostaw go dla mnie!” i z wyciągniętym sztyletem biegł już prosto na pustelnika. Ale ten, oparłszy się o ramię skamieniałego Petru, dokonał nagłego zwrotu, wprawiając w obrót ich obu, a miecz, wciąż trzymany w ten sam sposób, zamigał tylko w oczach nadbiegającego przybocznego, który ani nie potrafił go należycie umiejscowić, ani nic w związku z tym zrobić. Jego skórzany kaftan nie zatrzymał stali i Bogdan wrzasnął, wypuścił sztylet z ręki, zatoczył się do tyłu, by w końcu padając, zacisnąć dłoń na mieczu właśnie zwolnionym przez pustelnika. Petru szarpnął się, nieomal oswobadzając z mocarnego uścisku.

- Nie ! - wykrztusił, widząc, jak strażnik opuszcza kuszę i mierząc, naciska spust dokładnie w chwili, gdy starzec przyciągnął go bliżej do siebie. Bełt utkwiał mu w gardle, zanim zdążył dokończyć komendę, a moment później odebrał mu życie.

Pustelnik pozwolił dogorywającemu spatarowi osunąć się bezwładnie na posadzkę. Petru dołączył do swego przybocznego, który wciąż obejmował obiema dłońmi rękojeść miecza wystającego mu z pleców na długość męskiego przedramienia, jak gdyby zastanawiał się, czy wyciągnąć z ciała ostrze czy też nie. Zanim zdążył podjąć decyzję, przechylił się na bok i uderzając ramieniem o kamień, zamknął na zawsze oczy.

Pustelnik ogarnął wzrokiem pobojowisko. Starszy strażnik, który rzucił się na niego pierwszy, nadal siedział w miarę prosto, z palcami obejmującymi wciąż rękojeść noża, aczkolwiek teraz już luźniej i z zamkniętymi oczyma, jakby się poddał. Młodszy ze strażników rzucił kuszę na ziemię i zaczął się wycofywać, zaraz jednak zdał sobie sprawę, że z tyłu komnaty nie ma wyjścia, i postąpił w przód.

Ale starzec w kapturze już zmierzał w jego stronę, schylając się po nóż, który młodzik odrzucił, gdy jego wzrok padł na kuszę.

- Pomocy! Na miłość boską, pomóż mi! - zawył ku Horvathemu.

Hrabia wszakże nie poruszył się. Nie mógł. A ci w komnatach powyżej z

pewnością spodziewali się podobnych krzyków i nie mieli zamiaru reagować. W miarę jak pustelnik postępował w przód, młody strażnik się cofał, aż wreszcie oparł się plecami o mur. Uświadomiwszy sobie, że pozostała mu tylko jedna droga ucieczki, z przeraźliwym krzykiem rzucił się w otwór zapadni. Echo jego okrzyku niosło się długo - tyle, ile trwało spadanie mężczyzny - aż w końcu urwało się nagle. Niemal od razu rozległ się ponownie skrzek ptaka, równie przeciągły i raptownie urwany. Dopiero wtedy czworo pozostałych przy życiu ludzi spojrzało na siebie.

- Kim ty ? - wyszeptał Ion, chociaż już znał odpowiedź na to pytanie, nawet jeśli jeszcze nie potrafił w nią uwierzyć.

Horvathy również wiedział. Zrozumiał to nagle i bez cienia wątpliwości. I to właśnie on na wydechu sapnął:

- Drakula.

- Tak - dobiegło spod kaptura ciche potwierdzenie.

- Nie - zaprzeczył hrabia Peczu, wypuszczając z rąk zwoje pergaminu.

Przy pasie miał tylko krótki nóż. Po tym co tutaj zobaczył, wiedział, że to za mało. Dlatego błyskawicznym ruchem skoczył w stronę podwyższenia, do stojącego tam krzesła i przełożonego przez oparcia miecza. Uniósł go, obrócił się i

Drakula stał na wyciągnięcie ręki od niego.

- To należy do mnie - rzekł spokojnie.

Jakby nie słysząc, Horvathy uniósł ostrze w górę, na wysokość twarzy przeciwnika, i zawiesił czubek klingi o dłoń od jego obu oczu.

- Nawet nie p - zaczął.

- Nawet nie próbować odebrać tego, co jest moje? - zapytał Drakula, kończąc za niego.

Mówiąc, przybliżył się jeszcze, a Janos Horvathy nie mógł wrazić, uderzyć, ciąć - Nie mógł się nawet poruszyć. Stał tylko i patrzył w zielone, obwiedzione czerwienią oczy mężczyzny naprzeciw. Ten zaś powoli wyciągnął przed siebie dłoń, położył ją na rękojeści miecza i wyjął ją z uchwytu Węgra.

Uczyniwszy to, podniósł Smoczy Szpon wysoko w górę, zerkając wzdłuż zboczy.

- Kowal z Curtei de Arges spisał się bez zarzutu - stwierdził z zadowoleniem i uśmiechnął się. - Nareszcie znów czuję się kompletny.

Przeniósł wzrok na Horvathyego. I hrabia zobaczył we wpatrzonych w niego zielonych oczach to, czego się spodziewał - własną śmierć. I widząc ją,

poczuł, jak opuszcza go wszelki strach. Uspokoiwszy oddech, powiedział:

- Zrób to, co trzeba uczynić. Odeślij mnie za moją żoną.

Drakula potrząsnął głową.

- Twoja żona była świętą kobietą, mości hrabio. Tak przynajmniej słyszałem. Bez wątpienia zajmuje teraz miejsce po prawicy Pana Boga. Podczas gdy ty przynależysz gdzie indziej. Do tego wyjątkowego kręgu w piekle, gdzie trafiają zdrajcy.

Strach powrócił nową falą. Horvathy uniósł jedną dłoń.

- Bracie Smoku - zaczął.

- Nazwałeś mnie tak już kiedyś - powiedział Drakula.

Uderzenie było błyskawiczne, z wysoka. Ostrze zatopiło się w ciele Horvathyego do połowy, zanim opadł na kolana i pozostał w takiej pozycji podtrzymywany przez stal. Jego jedyne oko wszakże było nadal otwarte, kiedy Drakula pochylił się i spojrział w nie, szepcząc:

- Nigdy nie byłem twoim bratem.

Wraz z ostatnim słowem wyszarpnął miecz z rany, odwrócił się i popatrzył na pozostałe dwie żywe osoby w komnacie.

52. Z MARTWYCH

Ion nareszcie przejrzał na oczy, lecz teraz z kolei nie potrafił uwierzyć w to, co widzi. W ciągu całego swojego życia znał tylko jednego człowieka umiającego zabijać tak, jak ten mężczyzna przed nim, który właśnie w parę uderzeń serca pozbawił życia czterech mężczyzn. Lecz ten człowiek nie żył. Ion na własne oczy widział, jak Turek nabija jego odciętą głowę na drzewce. I w końcu zrozumiał. Ktokolwiek cokolwiek odkładał, odkładało miecz z powrotem na oparcia krzesła i zbliżał, zbliżało się ku niemu, był, było tego człowieka nieumarłym sobowtórem, powstałym z grobu warkołakiem łaknącym ucztę z ludzkiego mięsa i krwi. A jednak dłoń, która opadła mu na ramię, wydawała się prawdziwa i dobrze znajoma z charakterystycznym kikutem po małym palcu. Objął ją własną ręką i szepnął:

- Wład

- Tak - rzekł Drakula, schylając się i podnosząc słabego więźnia, by na wpół zanieść go do konfesjonau i tam usadzić.

- Nie! - Ilona, podchodząc, łkała. - Nie! To niemożliwe Matko Boska, miej nas w swojej opiece, przecież ty umarłeś! Jesteś nieżywy! Sama wrzuciłam cię do grobu i patrzyłam, jak na twoje zwłoki spadają grudy zmarzniętej ziemi! - wykrzyczała to wszystko przez łzy, zerwała się do biegu, już wyciągając ręce, dopadła go i strąciła mu z twarzy kaptur.

Po czym zamarła. Gdyż nie miała przed sobą żywego trupa, co rozdarł długimi paznokciami całun, który na nim zeszyła. Ciało nie było zgniłe ani nadjedzone przez robaki. Było starsze, to pewne, poznaczone licznymi zmarszczkami, i wszystko co pamiętała jako czarne, było na nim białe: włosy, brwi, broda, wąsy, lecz to była jego twarz, poza wszelką wątpliwością. Nagle ogarnęła ją pewność, że to nie żaden nocny łowca stoi przed nią, tylko człowiek z krwi i kości, mężczyzna, którego kochała.

- Pochowałam cię, opłakałam - Rozszlochała się znowu.

Drakula spojrział na nią.

- Pochowałeś i opłakałeś mojego syna. I to jego czerep zgnił na murach Konstantynopola.

- Nie! - Ion kręcił zamasyście głową. - Widziałem twoją śmierć.

- Widziałeś wielkiego Turka, który odcinał komuś głowę. Nie zaglądałeś

mu jednak pod hełm gdzie skrywał się Czarny Ilie, odesłany przeze mnie dzień wcześniej, aby po raz ostatni przebrał się za niewiernego i oddał ostatnią przysługę w mojej służbie.

Ilona chwiejnym krokiem przeszła parę kroków i także opadła na siedzisko słuchalnicy.

- Zabiłeś swego rodzzonego syna?

Drakula wzruszył ramionami.

- Nie ja go zabiłem. Zginął, tak jak chciał: na polu walki. W imię sprawy. Sprawy jego ojca.

- Ale dlaczego? - dopytywał Ion. - Dlaczego?

- Ponieważ postanowiłem żyć dalej. Postanowiłem zobaczyć, jak inaczej może wyglądać moje życie. Zamieniłem królestwo na jaskinię, za jedynego sługę obrałem sobie sokoła. - Skinął głową do swoich myśli. - I było dobrze. Przez jakiś czas.

- Przez jakiś czas?

- Tak. A potem - Zmarszczył brwi. - A potem któregoś dnia zeszłej jesieni poszedłem na targ w Curtei de Arges sprzedać jedno z moich piskląt, tak jak czyniłem co roku. Zahaczyłem o karcznię, w której jakiś pijak, ledwie trzymając się na nogach, odczytywał na głos nowy pamflet składający się z samych kłamstw na temat mojego życia. Wielu w karczmie zakrzyczało go, bo to wciąż jest moja ziemia i ludzie tutaj są wierni rodowi Drakulów. Ale uderzyła mnie wtedy myśl o innych, o tych spoza granic Wołoszczyzny, którzy słuchają podobnych opowieści i zaśmiewają się do rozpuku w swoich pałacach, zajazdach i domach. I uprzytomniłem sobie, że takie historie kalają nie tylko moje imię, ale i imię świętego zakonu rycerskiego, którego byłem członkiem, tępiąc do szczytu ostatnią włóczęgę chrześcijaństwa w tej części Europy. Zamiast stać się sławnym krzyżowcem, zostałem okrzyknięty potworem w ludzkiej skórze, gorszym od najgorszego zdrajcy.

Ion Tremblac wzdrygnął się. Drakula jednak nie patrzył na niego, tylko poprzez niego. Spoglądał na ciągle rosnącą kałużę krwi rozlewającą się u stóp Węgra.

- Zapragnąłem tego samego, czego chciał Janos Horvathy: wynudzenia Zakonu Smoka ze snu. Pragnąłem, aby moi synowie, kiedy dorosną, mogli z dumą i podniesionym czołem cwałować u mego boku pod powiewającym nad naszymi głowami sztandarem Drakulów. Nie wiedziałem tylko, czy moje pragnienia mogą się urzeczywistnić. Byłem skonfundowany przez kłamstwa powtarzane tak często, że niemal stały się prawdą. Zapomniałem

prawie, kim jestem, kim byłem. Dlatego postanowiłem o to zapytać ludzi, których znałem najlepiej i którzy mnie znali jak mało kto. Którzy mieli wszystko do zyskania, wystawiając także świadectwo sobie. Chcąc sobie przypomnieć prawdę o sobie, zaaranżowałem tę spowiedź

- Spowiedź? - powtórzył jak echo Ion. - A co z twoim spowiednikiem? Nigdy go nie było, czyż nie?

- Był raz, kiedyś, w Tirgoviste. Wtedy gdy - zerknął na Ilonę, potem ponad jej głową. - Zresztą po co mi spowiednik? Żaden człowiek nie jest w stanie oceniać moich czynów, pojąć tego, co mną powoduje. Tylko jeden Bóg to potrafi.

- Zatem wszystko to - Ion zacisnął palce na ścianie konfesjonau - wszystko to zaaranżowałeś?!

- Zostawiłem sobie pieczęć księcia wojewody Wołoszczyzny, aby móc w każdej chwili prokurować potrzebne dokumenty. Aż nazbyt dobrze znałem sposoby niełojalnych braci Zakonu Smoka. I miałem wystarczająco dużo złota, ponieważ przez pięć lat wyłapywałem dziczki, układałem je i szkoliłem, po czym odsprzedawałem z zyskiem. - Potaknął sam sobie. - Łatwo jest zaaranżować takie rzeczy. Pod warunkiem, że jest się za pan brat z ludzkimi żądzami i strachem.

Spoza murów twierdzy nadal dochodziły odgłosy przygotowań do wyjazdu kawalkady. Drakula przysłuchiwał im się przez moment.

- Nie wiem, czy to wystarczy. Kardynał zawiezie zeznania do Rzymu razem ze swoją wyrobioną opinią. Być może papież uzna za stosowne udzielić rozgrzeszenia temu jednemu konkretnemu grzesznikowi, oczyścić imię jego i zakonu z wszelkich zarzutów. A może nie. Nad tym co się stanie, nie mam żadnej kontroli. Uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy.

- Jak jednak można znaleźć wytłumaczenie dla tego, mój książe? - Ilona, przełykając ciężko, wskazała na leżące w nieładzie ciała.

Wywołało to lekkie skrzywienie warg Drakuli, które można było widać za uśmiech.

- Sprzeczką przy dzieleniu łupów? Albo kłótnią o miecz? - skierował spojrzenie ku Smoczemu Szponowi spoczywającemu beczynnym na oparciach krzesła. - Odwieczną niezgodą pomiędzy Węgrem z Wołochem, rzymskim katolikiem a prawosławnym, której jak zawsze towarzyszy głośne wiwatowanie Turków? To nie ma znaczenia. Ponieważ odejdziemy stąd, a oni pomyślą, że pozbyto się nas w sposób podobny jak skrybów. Gdyż jest z tej twierdzy, ba, z tej komnaty inne wyjście, o którym wiem tylko ja.

Podszedł do drzwi, omijając szerokim łukiem kałużę wyciekającą spod ciała hrabi Peczu, i przekręcił klucz w zamku, który wcześniej zamknął na cztery spusty Petru.

- Niebawem tu się pojawią - ciągnął. - Będą szukali tego! - Schylił się, by podnieść jeden ze zwojów upuszczonych przez Horvathyego. - „Prawdziwa historia Drakuli . Jak sądzicie, czy to dobry tytuł na kolejny pamflet? Czy ludzie na całym świecie będą straszili niegrzeczne dzieci opowieścią o mnie i moich czynach?

- Uśmiechnął się krzywo. - E, chyba nie. Ta historia jest za mało krwawa.

Znowu rozległ się skrzek ptaka, tym razem znacznie głośniejszy. Wracając od drzwi, Drakula położył zwój na jednym z krzesel, po czym sięgnął za pazuchę i wydobyl rękawicę sokolniczą. Oblekł ją na lewą, okaleczoną dłoń. Następnie podchodząc pod jedno z łukowatych okien, wydał podobny skrzek do ptasiego i pochyliwszy się ku otworowi, wystawił rękę na zewnątrz.

Niemal od razu dał się słyszeć dźwięk, który z powodzeniem można było wziąć za echo ludzkiego zawołania, lecz który w rzeczywistości stanowił odpowiedź. Nagle Drakula zgiał się i do połowy zniknął w otworze, jakby go ktoś pociągnął, zaraz jednak cofnął się i wyprostował. Na jego zaciśniętej pięści siedział sokół.

Kiedy Drakula obrócił się twarzą ku wnętrzu komnaty, ptak zamrugał dwukrotnie, przyglądając się zebranym, zaraz wszakże stracił nimi zainteresowanie, całą uwagę skupiwszy na waćku przytroczonym u pasa pod habitem trzymającego go mężczyzny.

- Moja piękna - szepnął, podając sokolicy kawałek surowego mięsa. Oderwał spojrzenie od ptaka, zauważywszy, że Ilona podnosi się z miejsca.

- Kiedyś tak do mnie mówiłeś - rzekła. - Teraz raczej już nie możesz. Przyglądał się, jak podchodzi do niego, utykając na jedną nogę.

- W moich oczach zawsze będziesz piękna, Ilono.

Ion także ześlizgnął się z siedziska i z trudem kuśtykał ku tej dwójce.

- A ja, książę? Czy nadal jestem u ciebie na służbie? Czy już na zawsze pozostanę tylko zdrajcą?

- Nie, Ion - padła odpowiedź. - Mając nadzieję na przebaczenie, sam muszę przebaczać. Zrobiłeś to, co musiałeś uczynić. - Kiwnął głową i zerknął na Ilonę. - Z miłości i z nienawiści. Ale ani na chwilę nie przestałeś być moim przyjacielem.

Na te słowa Ion niemal całkiem się wyprostował. Z bliska przekonał się, że wzrok zaiste musiał mu się poprawić, gdyż widział, aczkolwiek jakby przez mgłę, twarze przed sobą. Kiedy się natężył, mógł rozróżnić nawet kolor oczu. Tęczówki Ilony, które oczarowały go tak dawno temu, nadal były intensywnie piwne. A te u Drakuli? Ze zdziwieniem stwierdził, że są nie tylko zielone jak zawsze, ale nabrały także z lekka odcienia czerwieni.

- Co teraz? - zapytał z trudem. Drakula uniósł wolną dłoń.

- Cii Słyszycie?

Kobieta i mężczyzna pochyłili głowy. Ktoś na górze krzyczał. Konie na dziedzińcu parskają spłoszone.

- Czy słyszymy co, mój książę? - zapytała Ilona.

- Dzwoneczki na buńczuku Mehmeda - odpowiedział Wład. - Raz jeszcze ustawił swój namiot wojenny pod murami Konstantynopola. Wybiera się walczyć. - Odwrócił się do Iona. - Pamiętasz tamten pojedynek dżarodbazi? - spytał. - Zakład, który wtedy zrobiliśmy?

Ion Tremblac potarł oczy.

- Nie Zaraz, tak! Pamiętam! Obrzezanie za sokoła! Zgadza się?

- Za orła - sprostował Drakula. - Mehmed nie dotrzymał umowy. Nadszedł czas, żeby go do tego zmusić. - Kiedy się pochylił, jego oczy zabłyśły intensywną czerwienią. - Mehmed jest mi winien orlicę Szeherezadę lub jej potomstwo.

EPILOG

*Oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć,
I Otchłań mu towarzyszyła.*

Księga Objawienia, 6,8

Gebze, okolice Konstantynopola, cztery tygodnie później

Przez bardzo długi czas dźwięk był niesłyszalny pośród rozgwaru panującego w obozie Turków szykujących się do nocnego spoczynku. Wokół rozlegały się nawet inne krzyki - ośle i końskie, wielbłądzie, a także człowiecze. Jednakże w miarę jak mężczyzna, który parął się zszywaniem zwierzęcych skór i materii, zagłębiał się w gęstą plataninę namiotowych stożków i utrzymujących je sznurów, te inne odgłosy stopniowo cichły. Im bliżej środka obozu, tym więcej było ludzi mamroczących coś do siebie, znacznie rzadziej do innych, oglądających się przez ramię, czyniących zaklinające gesty, w zamierzeniu mające chronić ich przed dźwiękiem, który z każdą chwilą przybierał na sile, tak że teraz dało się już rozpoznać wycie umierającego. W samym centrum większość stała z twarzami zwróconymi ku głównemu pawilonowi, ten i ów kuczał bądź klęczał, część trwała w milczeniu, pozostali zaś szeptali bezgłośnie modlitwy. Nikt nie zwracał uwagi na tego kanciastego, niechlujnego mężczyznę odzianego w utyłaną błotem tunikę, z wyblakłym turbanem na głowie, zwichrzoną brodą i o bosych, niemiłosiernie brudnych stopach. Nie miał przy sobie broni, tylko przerzucony przez ramię niewielki worek z przyborami niezbędnymi do wykonywania jego fachu - kościanymi igłami wszelkich rozmiarów, szpulkami wielbłądziej wełny, szpagatem, stalowym szydłem. Gdyby ktoś przyjrzał mu się uważniej, mógłby zobaczyć, że jego worek roni jakiś płyn. Nikt jednak, jako się rzekło, na niego nie patrzył. Było łatwiej niż poprzednim razem, kiedy próbował się dostać w pobliże sułtana. Pokonywał ten sam porządek co wtedy - najpierw krzywo ustawione namioty gazich i akindzysów, potem równiutki krąg stożków, w których spali janczarzy, wreszcie otoczone przez namioty spahisów okazałe pawilony bejlerbejów. Idąc, spoglądał na znajome sztandary przedstawiające wieżę, koło, połówkę słońca, nawet słońca siedemdziesiątej dziewiątej orty. Kiedy dostrzegł żółtą chorągiew lewego skrzydła, wiedział, że jest tuż-tuż. Zresztą wielce wymowna była cisza panująca w wewnętrznych kręgach i przeraźliwy krzyk, teraz dochodzący już całkiem z bliska.

Jako że nie był wysokim mężczyzną, a ci, pośród których szedł, należeli do kwiatu tureckiej armii, nie widział wiele dopóty, dopóki nie minął ostatnich szeregów wojowników, i dopiero wtedy przekonał się, czym jest

cichszy, delikatniejszy dźwięk przebijający się zza głośniejszego, straszniejszego.

Ominął ostatnich żołnierzy i wydostawszy się na otwartą przestrzeń, zobaczył buńczuk z przywieszonymi doń dzwoneczkami. Sułtański sztandar umieszczony był u wejścia do pawilonu identycznego jak ten, który spalił przed dwudziestoma laty.

Nikt go nie zatrzymywał, kiedy podchodził do podwójnych wrót namiotu Mehmeda i mijał je, mimo że wokół stali żołnierze z odsłoniętymi mieczami i solacy ze strzałami przyciśniętymi do policzków. Nikt się nie poruszał, ponieważ wszyscy czuli to samo: że gdyby drgnęli, choćby o włos, wówczas równowaga świata uległaby zachwianiu i sułtan, Blask Świata, Mehmed Zdobywca przegrałby z demonami szarpiącymi mu wnętrze i umarł.

Dlatego Drakula bez żadnych przeszkód mógł się pochylić, unieść róg płótna i wstąpić do środka pawilonu sułtana.

Odniosł wrażenie, że z jednego świata trafił do drugiego, całkowicie odmiennego, gdyż tutaj panowało poruszenie i gwar, dochodzący głównie ze środkowej części namiotu, gdzie wokół leżącej na poduszkach postaci tłoczyli się mężczyźni w białych szatach z purpurowymi szarfami, będącymi oznaką zawodu lekarza. Przykładając kielich do warg miotającego się na wszystkie strony pacjenta, usiłowali wlać mu do ust jakiś płyn, ale sułtan targnął się mocniej, wykrzyczał na poły przekleństwo, na poły modlitwę, wytrącając im z rąk naczynie i rozlewając dekokt. Niewzruszeni lekarze podjęli kolejną próbę i tym razem jakimś cudem część medykamentu spłynęła do gardła chorego. Ciało Mehmeda rozluźniło się nieco i nienaturalnie zeszywniałe opadło do tyłu na poduszki, aczkolwiek nogi nie ustawały w tańcu, jak gdyby sułtan robił co w jego mocy, aby opuścić splamione łożo.

Nieludzki krzyk obniżył się do cichych jęków i lekarze odstąpili, ocierając czoła. Najwyższy z mężczyzn, dostojnik w bogatym stroju wezyra, zbrukany teraz żółcią i ochrą, odciągnął jednego z medyków na bok, pytając:

- Co teraz, hekimie Jakubie? Zapytany potrząsnął głową.

- Nie wiem - odrzekł bezradnie. - Zostałem wezwany ostatni i nie mam pojęcia, co mój szanowny kolega, Hamiduddin al-Lari, podał choremu

- Szanowny osioł! - syknął wezyr. - Będę wyciągał temu synowi wielbłądzicy flaki przez usta tak długo, aż mi powie, czego zadał sułtanowi, pod warunkiem że go pierwszej znajdę. Czy sądzisz, że to była trucizna?

Lekarz wzruszył ramionami.

- Nie można tego wykluczyć.

- Ile mu zostało?

- Tego również nie wiem

Wezyr zaklął pod nosem. Potem podniósł wzrok na sługi, niewolników, strażę i medyków - ogółem jakichś dwudziestu ludzi, z których każdy odpowiedział pustym spojrzeniem.

- Nikt nie opuści tego namiotu - ogłosił wezyr. - Ani słowo na temat tego, co spotkało sułtana, nie może się wydostać na zewnątrz. Jeśli jego syn Bajazyd dowie się, zanim uda mi się dotrzeć do księcia Cema - Przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych. Na koniec spojrzął na Drakulę i szeroko otworzył oczy. - Kim, na Eblisa Łapać go! - ryknął.

Wład zdążył odrzucić na bok worek, zanim opadło go czterech ludzi. Każdy pochwycił jedną kończynę, ciągnąc w swoją stronę. Rzucony na ziemię i rozplaszczony Drakula nie opierał się. Po pierwsze, nie miało to większego sensu, po drugie zaś - nie po to tutaj przybył.

- Kim jesteś? Co tutaj robisz? - Wezyr postąpił w jego stronę. Wszyscy inni także wpatrywali się w niego z napięciem, otoczywszy kołem, jakby za wszelką cenę pragnęli choć na chwilę zapomnieć o widoku, głosie i zapachu mężczyzny umierającego w swoim łóżu.

- Przynoszę Oswobodzicielowi Świata najrzadszy kwiat na ziemi, panie - przemówił Wład ostrym w brzmieniu językiem osmańskim. - Można go znaleźć tylko w jednej dolinie na świecie, położonej na drugim brzegu Dunaju, na Wołoszczyźnie.

Wezyr przyglądał mu się z otwartymi ustami. Oczywiście wszystkim było wiadomo, że nieukrywaną pasją sułtana jest ogrodnictwo, w którym rozsmakował się, doskonaląc swe umiejętności na wypadek dnia pomsty, ale żeby teraz? W końcu z trudem znalazł odpowiednie słowa.

- Co? Przynosisz mi kwiatek? - Rozejrzał się i wrzasnął: - To albo wierutny łgarz, albo szaleniec, albo szpieg! Wyciąć mu oczy, jądra i serce za każdą z tych przewin, bo nie ma czasu dochodzić, kim jest w istocie, a resztki rzucić psom na pożarcie! Natychmiast! - rozkazał. Strażnicy poderwali jeńca na równe nogi. Kiedy pociągnęli go w stronę wyjścia z namiotu, wezyr wydarł się na nich: - Głupcy! Powiedziałem wcześniej, że nikt stąd nie wyjdzie! Macie zrobić to tutaj. W kącie!

Dwaj trzymali go prosto, dwaj pozostali dobyli sztyletów i zamierzali się ostrzami, lecz zanim zdążyli zatopić je w ciele ofiary, z łóża dobiegł

schrypnięty od wcześniejszych krzyków szept:

- Zaczekajcie

Wszyscy obecni, z wyjątkiem strażników zajmujących się Drakulą obrócili się jak jeden mąż ku źródłu głosu.

- Panie mój! - Wezyr już podchodził do skraju łoża, by opaść tam na kolana. - Wróciłeś do nas!

- Przeprowadź go do mnie - wyszeptał Mehmed.

- Kogo, panie mój?

- Tego człowieka z kwiatem.

Dostojnik wzruszył ramionami ze zdziwienia, ale odwrócił się posłusznie i przywołał strażników, którzy pociągnęli ku łożu Drakulę, wciąż trzymanego mocno z dwu stron. Wład spojrział w dół

Po raz ostatni widział Mehmeda dwadzieścia lat wcześniej, w innym namiocie, na innej ziemi. Obaj byli wtedy młodzi i pewnie dzierżyli miecze. Oczywiście zdawał sobie sprawę z mijania czasu i tego, jaki wpływ na niego wywarł, lecz jak się przekonał, czas obszedł się jeszcze mniej łaskawie z sułtanem. Czas albo choroba bądź jedno i drugie. Rude włosy zniknęły, pozostały tylko marne ich resztki nad uszami. Miedziana skóra poszarzała, stała się ziemista z domieszką niezdrowej zieleni. Smukła i giętka sylwetka zamieniła się w masę napuchniętego, ciastowatego ciała. Człowiek, który niegdyś z łatwością wygrywał niemal każdy pojedynek dżarodbazi, skończył w łożu zbrukany krwią i cuchnącymi wydzielinami.

Oczy Mehmeda pozostały przenikliwe jak dawniej. Przewiercał nimi na wylot stojącego naprzeciw wieśniaka i kiwając zachęcająco głową, zapytał:

- Zatem co za kwiat dla mnie przyniosłeś?

- Jest tam, Gwiazdo Stworzenia. W mojej torbie.

- Pokaż.

Uchwyt na ramionach Drakuli nie zelżał ani trochę. Po worek schylił się jeden ze strażników.

- Ot wórz - padło następne polecenie przerwane spazmem bólu.

Strażnik usłuchał i ostrożnie sięgnął do środka. Wszyscy wiedzieli, jak wielką miłością Mehmed darzy rośliny i że niejeden sługa zapłacił życiem za nieodpowiednie obchodzenie się z nimi, toteż nieszczęśnik nie chciał popełnić podobnego błędu. Wydobył z worka mniejszy płócienny woreczek pełen mokrej ziemi. Wewnątrz tkwił maciupki kwiatek o mięsistych, jakby pokrytych włoskami, ostro zakończonych płatkach stulonych w sobie.

- To szafran - wyjaśnił Drakula. - Dopiero co zakwitł w dolinie, o której

przed chwilą mówiłem, na drugim brzegu Dunaju. Jeśli postawić go tutaj w słońcu, natychmiast rozwinie płatki, ukazując amarantowe i żółte wnętrza. W języku starożytnych Rzymian zwał go crocus

Wezyr i hekim Jakub popatrzyli bystrzej na wieśniaka używającego przy nich łąciny, Mehmed jednak w całości poświęcał uwagę roślinie. Dopiero po długiej chwili przeniósł wzrok na tego, który ją przyniósł, i zaraz przechylił się poza krawędź łoża, by ulżyć targanemu spazmami ciała i uwolnić je od jasnozielonej żółci. Otarłszy usta, znowu spojrzał w górę.

- Zostawcie nas - wycharczał.

- Czy mamy najpierw zabić go na twoich oczach, panie mój? - Wezyr już unosił dłoń, aby wydać rozkaz strażnikom.

- Nie. Nie jego Ale wy wyjdźcie. Wszys wszyscy! - Mehmed podniósł się na łokciach i powiódł wokół rozgorączkowanymi oczyma, by niemal od razu opaść z powrotem na poduszki, walcząc z kolejną falą torsji.

- Nikt nie może się oddalić dalej niż do wrót - syknął dostojnik wystarczająco głośno, by każdy go usłyszał. Zebrani opuszczali główną część pawilonu jeden za drugim, aż w środku pozostał tylko wezyr, który trzymając w rękę brzeg płótna, obejrzał się i pokręcił głową, po czym także zniknął w wyjściu.

Zostali sami. Poza namiotem panowała głucha cisza, podobnie było pośród jego ścian, jeśli nie liczyć głośniego gulgotu dobiegającego z kiszek sułtana i szelestu odzywającego się za każdym razem, kiedy Mehmed przesuwiał nogami po jedwabnych obiciach poduszek. Dwaj mężczyźni długo mierzyli się wzrokiem, w końcu Mehmed przerwał milczenie.

- Drakula - wyrzucił z siebie.

Książę drgnął. Tego się nie spodziewał - nie brał pod uwagę, iż zostanie rozpoznany. Jeżeli nawet zmienił się o wiele mniej niż Mehmed, czas przecież i tak odcisnął na nim swoje piętno. Właściwie nie miał żadnego planu poza podarowaniem sułtanowi krokusa. Resztę pozostawiał kismetowi: swojemu i Mehmeda, co w istocie było jednym.

- Znasz mnie? - spytał z braku lepszego pomysłu.

- Wiem, kim byłeś - odparł sułtan. - Wiem, że umarłeś. Wiem więc również, iż powróciłeś z martwych. Musisz mieć dla mnie ważną wiadomość z drugiej strony.

Drakula pochylił się nad leżącym.

- Nie, Mehmedzie Celebi - rzekł, używając dawnego imienia sułtana. - Mylisz się. Ja żyję i z pewnością nie przynoszę ci żadnych wieści od nikogo

spośród tysięcy, które zabiłeś.

- A co z tymi, których ty zabiłeś, Drakulo? Przecież dorównywałeś mi pod tym względem, czyż nie? Na swój mały sposób, w swoim małym królestwie. Na własne oczy widziałem las postawionych przez ciebie pali. - Nim skończył mówić, jego ciało opanował kolejny spazm. Mehmed przyknął oczy, przechylił się w bok, przez kilka uderzeń serca pozwalał, by wnętrznościami targały suche torsje, po czym ułożył się na wznak i przez chwilę odpoczywał.

- Spotkam ich już wkrótce, Mehmedzie - odpowiedział Wład, nachylając się bardziej i nie spuszczać wzroku z ziemistej twarzy sułtana. - Lecz ty stanesz oko w oko ze swoimi ofiarami na długo przede mną.

Mehmeda ogarnęło coś jakby śmiech, rychło przemieniony w charkotliwy kaszel. Zwijał się przez chwilę na splamionych poduszkach, lecz raz jeszcze doszedł do siebie, popatrzył przytomniej.

- Czy naprawdę sądzisz, że moja śmierć okaże się czymś innym niż błogosławieństwem Allaha? - zapytał. Wpatrywał się w zawieszoną przed sobą twarz bez mrugnięcia powieką, w końcu zdumiony potrząsnął głową. - Więc jednak przeżyłeś, co? Nie mam czasu zapytać, jak ci się to udało. Lepiej powiedz mi, co tutaj robisz, Palowniku?

Drakula rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Przyszedłem odebrać swoją orlicę, Zdobywco.

- Or orlicę?

- Postawiłeś ją w zakład przed naszym pojedyńkiem dżarodbazi, nie pamiętasz? Mój napletek przeciwko twojej Szeherezadzie. Jako że wygrałem, wciąż jesteś mi winien tamtego ptaka.

- Szeherezada Córa cienia Moja piękność - Oczy Mehmeda zaczęły uciekać w głąb czaszki, głos cichł i stawał się coraz bardziej chropawy. Ale po chwili sułtan oprzytomniał i zniemacka wrzasnął: - Szeherezada nie żyje od prawie dwudziestu lat!

- W takim razie wezmę innego ptaka.

Ich spojrzenia zwały się znowu. Mehmed pierwszy przyknął oczy i machnąwszy dłonią, wyszeptał:

- Skrzynia, tu, za łóżem Otwórz ją - Drakula zrobił, jak mu powiedziano. - Powinna tam być spora bryła onyksu z wygrawerowaną na licu moją tugrą. Masz ją?

- Tak.

- Tylko ja i mój nadworny sokolnik możemy jej używać. Pokazujemy ją

temu, kto ma dla nas przywieźć drapieżnego ptaka. Zazwyczaj mówimy, którego chcemy. Ty możesz poprosić o którego bądź. Jednakże ja radziłbym ci wziąć Hamę.

- „Ptaka, który przynosi radość . - Drakula pokiwał głową, wyjmując ze skrzyni tugrę. - Czy rzeczywiście mi ją przyniesie?

- Hama jest młoda i wciąż jeszcze nie do końca ułożona, ale jeśli uda ci się nagiąć ją do swojej woli, będzie zabijać jak żaden ptak przed nią od czasów mojej Szeherazady. Lecz zważ, iż będziesz musiał się namozolić, by ją sobie podporządkować. Czy aby starczy ci zdolności?

- Hm. Szkoda, że Hamza basza nie może powrócić z zaświatów, aby udzielić mi pomocy. Był znakomitym sokolnikiem, najlepszym, jakiego znałem.

- Hamza! - Sułtan wykrzyczał to imię, krzywiąc się z bólu spowodowanego także kolejnym spazmem. Schwycił się za brzuch obiema dłońmi, lecz nawet poprzez splecione kurczowo palce widać było, jak pod napiętą powłoką skóry coś się porusza. - Zamordowałeś go z zimną krwią!

- Tak. Najpierw go kochałem, a potem zabiłem. Tak jak ty najpierw kochałeś mojego brata Radu, a potem sprawiłeś, że umarł.

- Nie! Nie zrobiłem tego! Ja - Mehmed nie dokończył, w pół słowa wygiął się w pałąk i zawył z bólu. Po chwili, zapanowawszy nad sobą, wyprostował się i sięgnął do dłoni Drakuli, do trzech palców trzymających bryłę z onyksu, i przyciągnął go ku sobie, tak że ich twarze nieomal się zetknęły. Książę wyczuwał smród gnijących trzewi sułtana, widział cierpienie w jego oczach. - Ale zapłacisz mi za tego sokoła, Synu Diabła. Chociaż ty, czekając na to całe swoje życie, nie poczytasz tego za wygórowaną cenę. Pozbaw mnie życia - syknął. - Teraz!

Drakula nie odrywał spojrzenia od pałających oczu proszącego. Tak wiele razy spoglądał w źrenice swoich ofiar na moment przed tym, zanim umarły. Na szczycie pała, na ziemi pod ostrzem miecza. Na ogół potrafił określić, jak wiele życia pozostało jeszcze człowiekowi. I teraz widział, że Mehmedowi pozostało go jeszcze trochę.

- To był drugi powód mojej wizyty - rzekł. - Chciałem podarować ci ten kwiat i zabrać życie, jeśli zdołam. Być może ginąc w tej samej chwili, razem z tobą, nareszcie spełniony. I tak, masz rację, marzyłem o zabiciu ciebie od dnia, w którym cię poznałem. Raz mi się nieomal udało, wtedy gdy straciłem to - Wyrwał rękę z uścisku sułtana, uniósł okaleczoną dłoń, wyprostował się dumnie. - Lecz kiedy cię znów zobaczyłem - Uśmiechnął się. -

Postanowiłem odebrać tylko to, co mi się należy.

Ciężko było rozróżnić wykrzykiwane przez Mehmeda słowa, kiedy do namiotu znowu wpadli dostojnicy i słudzy, strażnicy i lekarze.

Wrzaski zdawały się nieść imię dawnego wroga sułtana, co hekim Jakub złożył na karb nadmiernej dawki opium. Mimo to zdecydował podać mu nieco więcej wywaru, choć zauważył, że lek przynosi coraz słabsze efekty. Gdyby podwoił dawkę, sprowadziłby na Mehmeda śmierć, co w tych okolicznościach byłoby dlań łaską. Ale przecież nie mógł zabić Opoki Świata. Tego się po prostu nie robiło, zwłaszcza jeśli samemu zamierzało się pożyć jeszcze trochę.

Nieco czasu upłynęło i wezyr pierwszy przypomniał sobie o wieśniaku. Pobieżne poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Mężczyzny nie było nigdzie w pobliżu namiotu ani nie widziała go tylna straż. Kiedy ze wzmożoną uwagą przyjrzano się dokładnie płótnu namiotu, dostrzeżono w jego zachodniej ścianie małą łatę nie przyszytą do końca. Wezyr w pierwszym odruchu chciał zarządzić zakrojone na szeroką skalę poszukiwania w całym obozie, lecz zaraz przypomniał sobie, że najważniejsze to utrzymać w tajemnicy wiadomość o chorobie sułtana. Wszystko inne musiało poczekać do czasu, aż Mehmed umrze i na tronie zastąpi go właściwy człowiek. A co do luźnej łaty, było pewne, że ktoś prędzej czy później ją naprawi. Pośród Turków bowiem nie brakowało mężczyzn, którzy parali się szyciem na wypadek dnia pomsty.

Czekając na Drakulę Ionowi wydawało się, że całe życie nie robił nic innego. Zawsze przygotowywał się na najgorsze - że już nigdy nie zobaczy swojego księcia. I zawsze nieodmiennie przeżywał zaskoczenie, kiedy znów się spotykali.

Tym razem jednak naprawdę nie wierzył, aby mieli się jeszcze kiedyś zobaczyć. Księżę nie życzył sobie, aby mu towarzyszył podczas tej ostatniej wyprawy na niewiernych. Ion Tremblac mimo to nalegał. Wprawdzie ze słabym wzrokiem, płaczącymi się wciąż nogami oraz z drżącymi rękoma niewiele mógłby uczynić, aby tak jak niegdyś bronić pleców Włada, ale przynajmniej byłby świadkiem.

Cień wysokiej skały, na której się przyczaił, nieubłaganie przesunął się nad doliną. Księżę zapowiedział, że wróci o zachodzie słońca. „Jeżeli do tego czasu mnie nie będzie, nie czekaj dłużej. Mehmed będzie wciąż żyw bądź obaj będziemy martwi. Tak czy inaczej, mnie już nie stanie pośród żywych -

rzekł bez smutku. - „Powiedz wtedy Ilonie - uśmiechnął się. - „Powiedz jej, że jednak umarłem jak lew, nie jak osioł Ion wyrwał się z zamyślenia i zmrużył powieki, próbując przepatrzyć dno doliny. Niewiele zobaczył. Lata spędzone w ciemnym lochu nadwerężyły jego wzrok, tak że widział, i to nie najlepiej, właściwie tylko z bliska. Orientował się, że po lewej rozciąga się Gebze, będące dlań niewyraźną plamą. Po prawej zaś położony był turecki obóz Potarł zmęczone oczy. W tej samej chwili jeden z wierzchowców wydał ostrzegawcze rzenie. Ion odruchowo sięgnął po łuk. Gdyby nawet podkraść się do niego jakiś akindzys, rycerz dostrzegłby w najlepszym razie rozmytą plamę. Ale przecież Turek by o tym nie wiedział

- Kto idzie?! - zawołał.

- To ja! - odkrzyknął Drakula, wspinając się po nierównej powierzchni skały.

Ion odłożył łuk.

- Wróciłeś - powiedział niezbyt odkrywco.

- Tak - potwierdził Drakula, kucając, aby dać odpocząć zmęczonym mięśniom.

- A Mehmed?

- Żyje.

- Aha. - Ion nie wydawał się zdziwiony.

Cały ten plan od początku był nierealny. Nikt nie dostaje się przed oblicze sułtana, chyba że zostanie wezwany. Po to, by wysłuchać rozkazu, dostarczyć sułtanowi rozrywki albo zginać z jego ręki. Na wszelki wypadek przyjrzał się lepiej twarzy księcia, oddalonej nie więcej niż o dłoń od jego oczu. Zielone oczy z czerwoną obwódką nie miały żadnego wyrazu. Ion uznał więc, że w ciągu długiego marszu od granic obozu Turków księżę głęboko zakopał swoje rozczarowanie. Dopiero po chwili spostrzegł jakiś cień na wyciągniętym, dalszym ramieniu Włada. - A co to?! - wykrzyknął, choć kształt wydał mu się znajomy.

- To jest - odparł spokojnie Drakula - Hama.

- Sokół Mehmeda?

- Nie. Teraz już mój.

Ion nachylił się. Wodził spojrzeniem po łupkowoszarym grzbiecie, jasnobrązowej piersi z ciemnymi podłużnymi plamkami, żółtych nogach. Ptak, chociaż zakapturzony, musiał wyczuć jego obecność, bo rozłożył długie smukłe skrzydła, przekrzywił łeppek, wydał z siebie przeraźliwy krzyk.

- Cudny - szepnął.

- Tak. Jest silna i drapieżna, chociaż przy tym uparta, jak mnie ostrzeżono. - Drakula uniósł palec do kaptura i sokolica natychmiast dziobnęła go przez materiał, chwytając ciało. - Zacząłem ją układać w drodze tutaj - dodał. - Wkładałem i zdejmowałem karnal, obracałem na ramieniu na cztery strony świata, karmiłem mięsem z waćka

- Jest też młoda, jeśli mnie oczy nie mylą - mruknął Ion, wstając. Jęknął cicho, po czym powiedział: - No więc sprawa pojedynku dżarodbazi nareszcie zakończona. Sokoła ukradłeś?

- Dostałem.

- Ach tak. - A jednak za wyprawą Drakuli do obozu niewiernych kryła się jakaś historia. Ion wszakże nie widział powodu, aby nie można jej wysłuchać przy ognisku karawanseraju. Słońce zdążyło się już schować za widnokregiem i Ion poczuł w kościach łamiący ból. - Zbieramy się? - zapytał.

Wład nie ruszył się z miejsca.

- Nie chcesz wpierv zobaczyć jej w locie? - odpowiedział pytaniem i sięgnął do głowy ptaka, aby usunąć karnal. Łepek obrócił się na wszystkie strony, kiedy sokolica ogarniała spojrzeniem otoczenie. Dwóch mężczyzn. Wierzchowce. Ciemniejącą dolinę.

Drakula wystąpił z głębszego cienia, równocześnie poluzowując pęta więżące nogi ptaka z trzema palcami jego lewej dłoni, i zbliżył się do krawędzi. Ion stanął za jego plecami.

- Władzie - rzekł cicho - ona może nie wrócić.

- Jak zwykle masz rację - odparł Drakula, unosząc ramię do góry i robiąc nim potężny wymach.

KONIEC

OD AUTORA

Nie nękaście umarłych, albowiem oni udali się śladem tych, których uśmiercili za życia.

Jeden z hadisów, czyli wypowiedzi Proroka

Niniejsza powieść była najtrudniejsza do napisania ze wszystkich moich książek. To, że jestem dumny z końcowego efektu, w niczym nie umniejsza trudu drogi, którą musiałem przejść. Po pierwsze, wziąłem na warsztat niejedną, lecz dwie legendarne postacie. Z jednej strony był kontrowersyjny - delikatnie mówiąc! - piętnastowieczny włoski władca. Z drugiej - słynny wampir.

Najpierw parę słów o łakącym ludzkiej krwi potworze. Fantastyczny, gotycki w nastroju thriller Brama Stokera rzeczywiście opowiada o mesmerycznym wampirze imieniem Drakula. Jednakże dowiedziono - uczyniła to w błyskotliwy sposób profesor Elizabeth Miller - że Stoker niewiele wiedział o wywodzącym się z Wołoszczyzny pierwowzorze swego bohatera, noszącym to samo miano. W pierwotnych zamierzeniach jego czarny charakter miał się nazywać hrabia Wampyr, lecz w trakcie pracy nad powieścią Stoker natrafił na sporządzone w trzeciej dekadzie XIX stulecia zapiski pewnego angielskiego podróżnika z wyprawy po Karpatach Południowych. W notatkach pojawiła się wzmianka o postaci żyjącej na tych ziemiach kilka wieków wcześniej - mężczyźnie, który zasłynął z wyjątkowego okrucieństwa. Podróżnik ów podawał również tłumaczenie imienia Drakula, przekładając je niezbyt dosłownie jako Syn Diabła. Stokerowi wydało się to idealnym pretekstem do ukazania walki Dobra ze Złem - i tak wykorzystał w swojej książce niosące określone konotacje imię oraz region znany ze swego mrocznego folkloru. I nic więcej. Ja wszakże, ani myśląc pisać o wampirze, musiałem się dowiedzieć jak najwięcej o

prawdziwym Drakuli. Tym sposobem rozpoczęła się moja przygoda z barwnym mitem i historycznymi przekazami o nieprawdopodobnej deprawacji i okropieństwach, które przekraczały wyobrażenie mieszkańców tego w gruncie rzeczy przywykłego do ciągłego horroru regionu świata. Przeczytałem niezliczone opracowania i książki, przeprowadziłem rozmowy z wieloma ludźmi. Nie chciałem „nękać umarłych”, ale też nie zamierzałem pomniejszyć znaczenia win mojego bohatera, jak czynią niektórzy, mówiąc coś w rodzaju: „No tak, ale przecież Hitler lubił małe dzieci i owczarki alzackie”.

Przez bardzo długi czas tkwiłem w martwym punkcie. Zrozpaczony pożaliłem się nawet jednemu z moich konsultantów, Marin Cordero, której drobiazgowa znajomość epoki dotąd mnie zdumiewa i wprawia w poczucie własnej niedoskonałości. Moja główna obawa sprowadzała się do tego, że przedstawię swego bohatera bardziej ludzkim, niż był w istocie. Marin odpowiedziała mi, iż to niemożliwe, ponieważ Dra-kula był człowiekiem.

„Człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce - napisał komediopisarz rzymski Terencjusz. Tak na to patrząc, uczynki Włada nie mogły być mi obce, lecz i tak czas spędzony nad opowieścią o nim zaliczam do mroczniejszych w ciągu całego mojego życia. Jako aktor z zawodu i powołania, podchodzę do bohaterów swoich książek jak do postaci, które miałbym zagrać na scenie czy planie filmowym - przede wszystkim zastanawiam się nad motywacją. Rozważam, jakie zdarzenia i jakie związki międzyludzkie uczyniły ich tym, kim się stali, co ich ukształtowało i wywołało takie, a nie inne zachowania. Co nimi powodowało? Doszukiwałem się prawdy o motywacjach Włada w ponurych kronikach i usiłowałem ułożyć fakty w jakąś sensowną całość, która stanowiłaby dające się przyjąć wytłumaczenie podejmowanych przez niego działań. Chyba właśnie ta część pracy nad książką przysporzyła mi najwięcej trudu. A potem - mniej więcej w dwu trzecich pierwszego szkicu, będącego prawdziwym brudnopisem, gdyż postanowiłem pisać ręcznie, aby skutecznie połączyć umysł i serce z dłonią- doznałem olśnienia. Wcale nie potrzebowałem oceniać swojego bohatera! Uznałem, iż wystarczy, że pokażę, co robił, przestając się zamartwiać, dlaczego postępował tak, a nie inaczej. Ogólnie mówiąc, od tamtej chwili pozwoliłem swojemu bohaterowi być sobą - cokolwiek to w jego wypadku znaczyło. Przedstawiłem jego czyny, skrupulatnie zebrane po kronikach i opracowaniach historycznych, w kontekście barbarzyńskiej epoki, w której przyszło mu żyć i panować, i

przestałem zaprzętać sobie głowę resztą. Pozwoliłem, aby to Czytelnik wyciągnął za mnie wnioski. Odtąd pisanie stało się o wiele łatwiejsze, co nie znaczy, że tamten brudnopis był pierwszym i ostatnim. Każda kolejna wersja przynosiła coś nowego, rzucała nowe światło, pozwalała skomplikowanej układance ułożyć się w całość. Zakończenie książki także nie pojawiło się od razu i też zmieniało formę. Bynajmniej nie dlatego, że byłem w rozterce. Po prostu w miarę pisania coraz więcej się dowiadywałem, niespodziankom nie było końca. Nie raz podczas pisania powieści przeżyłem prawdziwy szok.

Sprawę utrudniało też to, iż postanowiłem trzymać się prawdy historycznej na tyle, na ile to było w ogóle możliwe. Powiedziałem kiedyś, że pisarz książek historycznych może pracować wyłącznie dzięki lukom w przekazach. A w tym wypadku luk było co niemiara! Po części dlatego, że o interesujących mnie postaciach i wydarzeniach nie napisano w kronikach wiele, lecz przede wszystkim z tego względu, że większość z tego, co zapisano, stanowiła najczystsza propagandę, rozpowszechnianą i powtarzaną w głównej mierze przez wrogów. A ci mieli mnóstwo powodów, aby oczernić Włada III. Nie twierdzę wcale, że nie popełnił wielu potworności wobec Turków, Sasów z Siedmiogrodu i własnych poddanych. Mówię tylko, że gdy w końcu został pokonany, jego historię opowiedzieli zwycięzcy Drakuli.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego utrwaliła się jego zła renoma. Otóż Wład przegrał walkę w czasie, kiedy do użytku wchodził nowy wynalazek - prasa drukarska z ruchomymi czcionkami. Od mniej więcej połowy piętnastego wieku technologia ta - podobnie jak później Internet - umożliwiła rozpowszechnianie tego wszystkiego, co miało być ludziom potrzebne, a więc: tekstu Pisma Świętego, traktatów religijnych, podręczników. Lecz jak się okazało przy okazji wynalezienia Internetu i jego wejścia do powszechnego użytku pod koniec drugiego tysiąclecia, identycznie pięć wieków wcześniej wykorzystanie prasy drukarskiej ujawniło, czego ludzie łakną najbardziej. Seksu i przemocy. Historia Drakuli dostarczała jednego i drugiego - i to w jakim zakresie! - nic dziwnego więc, że jego wrogowie to wykorzystali, wytwarzając nagminnie kopie pirackich kaset wideo ówczesnych czasów, czyli pamflety! I podobnie jak wszyscy zdolni polityczni manipulatorzy wszech czasów obrócili jego dzieje na swoją korzyść, ani trochę nie przejmując się rzetelnością historyczną.

Ja oczywiście uczyniłem to samo. W pewnym sensie. Ponieważ przynajmniej starałem się dochować wierności faktom. I z tego co mi

wiadomo, nie rozminąłem się z prawdą, pisząc o:

- pobycie Drakuli jako zakładnika w Imperium Osmańskim, najpierw jako uprzywilejowanego ucznia enderunu, a następnie adepta sztuki katowskiej w twierdzy Tokat;
- incydencie pomiędzy Radu i Mehmedem;
- komecie zwiastującej powrót Włada;
- nabiciu na pal bojarzynów podczas próby wielkanocnego puczu;
- oślepieniu i pogrzebaniu żywcem brata Drakuli, Mirczy;
- przywróceniu porządku i prawa na Wołoszczyźnie, w tym o umieszczeniu na miejskiej studni złotego kielicha;
- przybiciu głowy ambasadora do stołu;
- nocnym ataku na obóz Mehmeda;
- rozplątaniu żywcem kochanki;
- nabiciu na pal dziesiątek setek ofiar przed bramami Tirgoviste;
- nabijaniu wybrańców na wyższe pale, aby mogli wachać świeższe powietrze;
- upadku jego żony z blanek twierdzy Poenari;
- przyznaniu pasterzom prawa do wypasu na halach w zamian za pomoc w ucieczce z obleżonego zamku;
- sfałszowanych listach, rzekomo świadczących o zdradzie Włada;
- zabiciu oficera, który wtargnął do jego domu w Peczu i nazwaniu tego później „samobójstwem żołnierza”;
- sfingowanym skróceniu o głowę podczas ostatniej bitwy.

Aby powyższe „fakty” mogły się wykrystalizować, musiałem odsiać nieliczne ziarno od wszechobecnych plew. Oczywiście dodałem coś od siebie, za nadrzędny imperatyw mając chęć napisania dobrej książki, a nie zwykle oczernianie czy kontynuowanie propagandy. Nie potrafiłbym wymienić wszystkich tytułów książek, które przeczytałem, i adresów stron internetowych, na które zajrzałem, przed przystąpieniem do pracy oraz później, już w trakcie pisania. Pozwolę sobie jednak podać w tym miejscu tytuły czterech najważniejszych książek: przekrojowej Kurta W. Treptowa *Vlad III Dracula - The Life and Times of the Historical Dracula* („Wład III - Życie i epoka historycznego Drakuli”); napisanej z rozmachem i błyskotliwej M. J. Trowa *Vlad the Impaler: In Search of the Real Dracula* („Wład Palownik: W poszukiwaniu prawdziwego Drakuli”); porażającej, choć niejasnej D. C. Phillota *Observations on Eastern Falconry* („Uwagi na temat wschodniego sokolnictwa”); i wreszcie zaczytanego na śmierć „Księcia

Machiavellego, która to pozycja została napisana jakieś pół wieku po zgonie Włada, lecz zawiera obserwacje na temat Realpolitik i przetrwania narodu, które książę wojewoda z pewnością by zrozumiał i z którymi może nawet by się zgodził. Wyimki z tego ostatniego tekstu upstrzyły ścianę nad biurkiem, przy którym pisałem.

Inspiracja jednak nigdy nie pochodzi tylko z książek innych. Odbyłem podróż do Rumunii i Sztambułu, która przyniosła obfity plon. Najpierw zatrzymałem się w domu Tomescusów, Gheorgho i Marii mieszkających w wiosce Arefu niedaleko cytadeli Poenari, będącej prawdziwą siedzibą Drakuli (jeśli traficie z wycieczką do Rumunii, zapomnijcie o zamku Bran - to atrakcja turystyczna, taki Disney-Drakula, w którym gospodar wołoski prawdopodobnie nigdy nawet nie postawił stopy!). Arefu to wspaniałe miejsce, w którym ludzie żyją w dużej mierze tak, jak żyli ich przodkowie przed wiekami: jeżdżą po bitych drogach za pomocą wozów ciągniętych przez woły, jedzą to, co wyhodują na polu i w zagrodzie (w początkach kwietnia, kiedy wypadła moja wizyta, oznaczało to marynowane warzywa i każdą część świni, której gospodarze nie zjedli wcześniej), a piją pędzoną własnym sumptem owocową nalewkę zwaną tuica. To dzięki nim spędziłem niemal całkiem samotnie pięć godzin na terenie ruin twierdzy Poenari, do której wchodzi tysiąc czterysta kamiennych stopni wykutych w skale. Chyba tam właśnie moja powieść nabrała ducha i atmosfery. Odwiedziłem też wspaniałe, otoczone murami miasto Sighisoara w Siedmiogrodzie, gdzie piłem piwo w domu narodzin Włada. Nazajutrz miałem do swojej dyspozycji dwór książęcy w Tirgoviste, gdzie zasiadłem na miejscu Włada i wyobraziłem sobie scenę wielkanocnego puczu. Z wielkim uporem starałem się przeniknąć religijne motywy, które stały za poczynaniami ówczesnych krzyżowców. W kościele w Arefu oddałem się rozmyśleniom i medytacji, a w maleńkim kościółku w Bukareszcie wysłuchałem porannej mszy odprawionej dla niewielkiej parafii, po czym podziwiałem wspaniałe freski przedstawiające miejscowych świętych.

Najwięcej jednak wyniosłem z rozmowy z nie szczędzącym mi czasu i pomocy Nicolae Paduraru, który jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zajął się szerzeniem wiedzy o postaci Drakuli i od tamtych czasów oprowadza wycieczki i samotnych zainteresowanych takich jak ja. Otóż opowiedział mi on, że zaledwie tydzień przed moim przyjazdem rumuński parlament zarzucił prezydentowi uchybienie godności urzędu. Zgodnie z prawem decyzję posłów poddano pod ogólnonarodowy plebiscyt. Na ulice

wyległy masy ludzi demonstrujących w obronie najwyższego w państwie urzędnika. Co ciekawe, zamiast transparentów mieli oni dwa portrety - prezydenta i Drakuli. Jak widać, były władca Wołoszczyzny nadal uważany jest za probierz uczciwości, sprawiedliwości i porządku, a współcześni Rumuni tęsknią za czasami, kiedy na miejskiej studni można było zostawić złoty kielich do powszechnego użytku i nikogo nie świerzbiły na jego widok ręce.

Z kolei Stambuł, godny następcą pełnego cudów Konstantynopola, to zdumiewające, oddziałujące na zmysły miasto, gdzie człowiek naprawdę czuje, że znalazł się w centrum świata. Dopełniło ono obrazu, jaki zbudowałem sobie na podstawie lektury - obrazu wrogów Włada: Turków, a w szczególności Mehmeda - oraz do pewnego stopnia pokazało mi, jak mogło wyglądać życie młodego Drakuli pośród „niewiernych”, jak również pozwoliło prześledzić proces dojrzewania Wołocha na obczyźnie. Spotkało mnie niezmiernie szczęście, że za przewodnika po największym mieście Turcji służył mi mój wielki przyjaciel, Allan Eastman, reżyser filmowy, autor książek o podróżach, uważny obserwator - i uczestnik - życia we wszelkich jego przejawach i odcieniach. Wspomniałem już o profesor Elisabeth Miller, wybitnej znawczyni wszystkiego, co wiąże się z postacią Drakuli. I o Marin Cordero - która z wielką wspaniałomyślnością i swadą dzieliła się ze mną swoją niesłychaną wiedzą na temat Turków osmańskich i rodu Drakulów, a także była na tyle miła, iż zechciała przejrzeć manuskrypt w poszukiwaniu zawinionych przeze mnie usterek. Oprócz nich było jeszcze wiele osób, które służyły mi pomocą. Moja żona Aletha, która musiała stawić czoło obsesji silniejszej niż przy pisaniu wcześniejszych książek i znosić wczesne poranki i zarwane noce, a także to, iż mam w zwyczaju zabierać ze sobą do łóżka bohaterów, którymi właśnie żyję. Może nie jest to takie złe, gdy w grę wchodzi Jack Absolute - lecz kiedy trzeba sypiać z Drakulą - hm - Nie byłbym w porządku, gdybym nie złożył podziękowań dr. Howardowi McDiarmidowi i jego synowi Charlesowi McDiarmidowi, którzy prowadzą uroczy zajazd Wickaninnish Inn w mieście Tofino w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Użyczyli mi domku należącego do ich rodziny, abym mógł w spokoju ukończyć pierwszą wersję książki pośród odciągającego uwagę, lecz ostatecznie także inspirującego otoczenia. Dziękuję również kobiecie, której tę książkę zadedykowałem - Almie Lee, która nie tylko zorganizowała mój pobyt u McDiarmidów, ale także okazywała mi pomoc i udzielała rad na przestrzeni wielu lat. Najbardziej wdzięczny jestem za jej przyjaźń.

Kiedy powieść była niemal na ukończeniu, doszło do prawdziwej tragedii - moja wyjątkowa pod każdym względem agentka, Kate Jones, umarła na raka. Nagłość tej śmierci wywołała u mnie szok, ponieważ wraz z odejściem Kate utraciłem nie tylko przewodniczkę i mentorkę, mającą tak wielki udział w rozwoju mojej kariery i niniejszej książki w szczególności, lecz także wesołą, hojną i ukochaną przyjaciółkę. Jej wpływ jest dla mnie widoczny na każdej karcie moich powieści i co dzień brakuje mi jej od nowa.

Byli też inni, którzy przyczynili się do ostatecznego kształtu tej powieści. Moi norwescy kuzynowie zabrali mnie do Falcon Hut (Sokolej Chaty) w Oppland w Norwegii i zainspirowali. Rachel Leyshon, u mego boku od pierwszej książki, doradzała mi ze zwykłą dla niej przenikliwością i mądrością. Cały zespół wydawnictwa Orion, od kierownictwa po pracowników działu marketingu, sprzedaży, kontaktów z czytelnikami i praw zagranicznych, spisał się na medal. Podobnie jak mój kanadyjski wydawca, Kim McArthur, będąca jak zawsze istnym tornadem entuzjazmu i umiejętności.

Koniec końców książka, którą trzymacie w rękach, nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie jej redaktor, Jon Wood. To on jakieś dwa lata temu - podczas nieprzyzwoicie wystawnego lunchu - rzucił pomysł spisania prawdziwej historii Drakuli, a następnie pracowicie podpierał intuicyjne przeczucie moją, mrówczą pracą podczas zbierania materiałów. Jego redaktorskim uwagom nigdy nie brak lekkości i przyjaznego nastawienia, a największe uznanie należy mu się za to, że potrafi skutecznie okiełznać moje ciągotki do przenoszenia do książek hollywoodzkiego rozmachu, który nie zawsze służy powieściom. Diabeł wcielony, można by rzec! A co do Drakuli - Dotrzymałem słowa - nie oceniałem go i nie postawiłem kropki nad „i”. Uczynić to jest zadaniem tych, którzy wysłuchali jego prawdziwej historii, no i rzecz jasna Czytelników.

C. C. Humphreys
Vancouver, Kanada

BIBLIOGRAFIA

Wład III Drakula i Wołoszczyzna

Treptow Kurt W., Vlad III Dracula, The Life and Times of the Historical Dracula. Trow M. J., Vlad the Impaler, In Search of the Real Dracula. Miller Elizabeth, Dracula - Sense and Nonsense. Mackintosh May, Rumania. Rezachevici Constantin, „Vlad Tepes and his Use of Punishments

w: Journal of Dracula Studies, nr 8, 2006. Oraz wydawnictwa kanadyjskiego oddziału The Transylvanian Society of Dracula: Journal of Dracula Studies, roczniki pod red. Elisabeth Miller. The Borgo Post, biuletyny pod red. Elisabeth Miller.

Turcy osmańscy

Babinger Franz, Z dziejów imperium Osmanów: sułtan Mehmed Zdobywca i jego czasy.

Wheatcroft Andrew, The Ottomans: Dissolving Images.

Goodwin Jason, Lords of the Horizons: A History of the Ottoman Empire.

Goodwin Godfrey, The Janissaries.

Nicolle David, Constantinople 1453: The End of Byzantium.

Freely John, Inside the Seraglio: Private Lives of the Sultans in Istanbul.

Wieki średnie

Huizinga Johan, Jesień średniowiecza.

Talhoffer Hans, Medieval Combat.

Walsh Michael, Wojownicy Pana: chrześcijańskie zakony rycerskie.

Scott George Riley, A History of Tortures

Sokolnictwo

Phillott D. C., Observations on Eastern Falconry.

Lascelles Gerald, The Art of Falconry.

Religia

Koran Biblia Psychologia

Goldberg Carl, Speaking with the Devil: A Dialogue with Evil.

Egger Steven, The Need to Kill: Inside the World of the Serial Killer

Inspiracje

Machiavelli Niccolo, Książę.
Dante Alighieri, Boska komedia.
Dżalaluddin Moulana, Liryki.
Chajjam Omar, Rubajjaty.
Stoker Bram, Dracula.

GLOSARIUSZ

Wołosi mówili językiem przypominającym współczesny język rumuński - limba romana lub limba rumana - będący jednym z języków romańskich. Przy zapisie posługiwali się językiem staro-cerkiewno-słowiańskim, oficjalnym językiem Kościoła prawosławnego wykorzystującym cyrylicę, a później także łaciną.

Język osmańsko-turecki był oficjalnym językiem imperium osmańskiego, a stanowił mieszaninę języków tureckiego, perskiego i arabskiego.

Wszelkie odniesienia do Grecji, Greków itp. dotyczą Konstantynopola, a nie Bizancjum z racji okresu historycznego.

aga - nauczyciel

akindżysowie - lekka jazda

aszczibasza - dosł. główny kucharz; kwatermistrz janczarów

bastard - miecz bastardowy, półtorak

basza - najwyższy urzędnik w Turcji osmańskiej

bej - wódz, wyższy urzędnik

bejlerbej - gubernator prowincji, następny po wezyrze, przełożony sandżakbeja

bektasze - odłam derwiszów

Biserica Domneasca - katedra prawosławna w Tirgoviste

bojarzyn - wołoski szlachcic

bolukbasi - dowódca straży

buńczuk - drzewce zakończone kulą lub grotem i ozdobione końskim włosiem

capinat - rodzaj stroju

crivat - płn.-wsch. wiatr wiejący nad Wołoszczyzną zimą

dar al-harb - ziemie niewiernych, oczekujące podbicia

dar al-islam - ziemie islamu

derwisz - mistyk, muzułmanin, mnich

dewszirme - prawo regulujące pobór do korpusu janczarów

dexterius - koń bojowy

doina - wołoska pieśń lamentacyjna

donżon - wolno stojąca wieża obronna w twierdzy, ostatni punkt obrony
stołp dwornik - namiestnik, wielkorządca
Dywan - rada przyboczna sułtana
dżarodbazi - zabawa polegająca na rzucaniu tępym oszczepem podczas jazdy konnej
dżinn - duch w wierzeniach arabskich
effendi - pan, władca
enderun - szkoła wewnętrzna, szkoła dla wtajemniczonych
enishte - wuj
falcjon - broń biała z jednosieczną, szeroką, lekko zakrzywioną na końcu głownią
fatih - zdobywca
Frank - tureckie określenie mieszkańca Europy
garda - jelec miecza
gazi - wojownik za wiarę
gomlek - wełniana tunika
gózde - odaliska, wybranka, faworyta, ta, która wpadła w oko sułtanowi
hadis - wypowiedź Proroka
hafez - ten, który zna na pamięć cały Koran
hammam - łaźnia turecka
harem - część domu lub pałacu przeznaczona dla kobiet
hekim - lekarz
hospodar - władca Wołoszczyzny
hurysa - piękna dziewczyna o orientalnej urodzie
janczar - żołnierz doborowego oddziału piechoty tureckiej; wcześniejszy chrześcijański niewolnik
jerli kułu - siłą wcieleni do armii chłopci
język osmański - język Imperium Osmańskiego
karawanseraj - dom zajezdny
Kazykły bej - Palownik
kilic - rodzaj miecza podobnego do bułatu (wym. kilicz)
kobza - instrument strunowy
logofet - kanclerz na dworze wołoskim; doradca hospodara
mamelucy - sprawujący władzę w Egipcie byli chrześcijańscy niewolnicy wcielani siłą do armii
mescid - mały meczet
metropolita - głowa wołoskiego Kościoła prawosławnego

muezin - mężczyzna wzywający wiernych do modlitwy
muteferrik - posłaniec wezyra natir - służąca w łaźniach
orta - wspólnota wojskowa janczarów mająca wspólny kocioł i dzieląca między siebie łupy
otak - pawilon z płótna
pajuk - halabardzista należący do straży pałacowej
palankin - zasłonięty środek transportu, najczęściej noszony przez tragarzy; rodzaj lektyki
rabiec - opierzony sokół podebrany z gniazda; dziwok
raki - turecka wódka ze świeżych winogron, rodzynek lub fig
seraj - pałac
Sfatul Domnesc - rada
solak - łucznik w obrębie straży
spahisi - feudalne oddziały nieregularnej jazdy tureckiej
spatar - rycerz, dowódca kawalerii
szarawary - szerokie, długie, bufiaste spodnie; inaczej hajdawery
tellak - służący w łaźniach
Tepes (wym. Cepesz) - Palownik
testudo - taktyka obronna polegająca na utworzeniu z ciał i tarcz legionistów formacji przypominającej żółwia
Tracja - bułgarska część Turcji
tugra - w kulturze islamu: monogramowy znak panującego monarchy
warkoлак - nieumarły
wezyr - wysoki urzędnik, odpowiednik ministra
witeziowie - osobista ochrona możnowładcy, np. wojewody; jego przybocznicy
wojewoda - tytuł dowódcy wojsk, później także gubernatora prowincji, pan wołoski, późniejszy hospodar
żupan - naczelnik żupy, odpowiednika kasztelanii, hrabstwa

5 a .

qj FJj F
ULęqAF L4Lf qVF
JęFą FLóUśvęUqAFv
Jq P34LvZAǫ F
śęqZqG
,DVv3VFAón
zDj qą AFLF
wDBv3AFAǫF
P3 óśóUj Z
,DBFj FJAǫj
zDę4VFZv
wDV43VFAón
nDUBęFAj ó
tDqJFZóUj F
kDV4BęFAj F
źDśqęVFAón
SDqUAqVF óV Lvj
oDj qVFZ
,bDqJś FLF
,,DLqj FL
,zDV4B ę
,wDśóęVUB4 ęF3
,nDęFBónP
,tDóAǫPźFPźF
,kDj ęFźVqźA4
,źDqKvęLF
,SDAF LęqAón
,oDf Pónj óAónę
P3 óśFZqVAǫj
zbdj 3ǫj óv ZFLF
z, Dj qą vLF
zzDśqźvJ4Avj
zwDśę34GqLqVFAǫF

znDę v3f ę vj PżF
zt DśFA 3ą Fę LV 4Pg V ULF
zkDśqj f LF
zzDś óę V UBF Uśq V óvJ

P3 óój ę f PżFLF

zSDP3F ę F
zoDśq vGAF AóF
wbDAq PAv j ę 34j ó
w DLę q żF
wzDśq żą FA óv
wwDV óv Pó
wnDV q żAF
wt Dśę 34 Uó Gó
wkDj F34j 4 Bvż
wżDą q Zq Pg
wSDUF ą q LAF 3F
woDf P3LF V vUvZAF
nbDBJ ę F żPF
n, Dq ULFLAóUBFA óvP
nzDBv L V Póną Aq PóF Pg
nwDBJ ę FJ F

P3 óE q ULFLAóF V 4śę FVF

nnDV 4 GAF A óv
nt Df ś óq A4 Uą qj
nkDś vę UV F 3żF
nżDBF żF 3J
nSDJ FAUv ą FPF Bę v
noDq ULFLA óś FZ
t bDPF f A
t, Dq P34 UB P3v A óv
tzDB ą Fę LV 4Pg

vś óZq G

qJ Ff Lq ę F

BóBZ óq Gę F KóF

GZq UF ę ó UB